

DLA FANÓW HARLANA COBENA I LEE CHILDA

TIM WEAVER

ZAGINIONY CZY ZAGUBIONY?
OFIARA CZY SPRAWCA?

OKRUCHY PAMIĘCI

ALBATROS

TIM WEAVER

OKRUCHY

PAMIĘCI

Z angielskiego przełożył
Lech Z. Żołędziowski

DAVID RAKER, SPECJALISTA OD POSZUKIWAŃ OSÓB ZAGINIONYCH. WKRACZA DO AKCJI,
GDY WSZYSCY INNI SĄ BEZSILNI.

NIETYPOWE ZLECENIE

Coś takiego jeszcze mu się nie zdarzyło. Dotąd zwracali się do niego bliscy osób, które przepadły bez śladu. Teraz robi to sam „zaginiony”. Prosi, by Raker pomógł mu odnaleźć siebie. I nie chodzi o pomoc psychologiczną.

NIEZNANA PRZESZŁOŚĆ

Zostaje wyłowiony z morza u wybrzeży Anglii, pobity i ledwie żywy. Nie pamięta, kim jest ani skąd pochodzi. W prasie ukazują się artykuły z prośbami, by zgłaszał się każdy, kto może cokolwiek powiedzieć. Ale nikt go nie zna... albo nie chce się do tego przyznać.

NIEKOŃCZĄCE SIĘ PYTANIA

Żadnemu ze śledztw Rakera nie towarzyszyło tyle wątpliwości. Nie ma pojęcia, kim jest nowy klient i czy wie o sobie tylko tyle, ile zdradza. By uzyskać odpowiedzi, Raker będzie musiał przemierzyć Atlantyk i na małej wysepce zmierzyć się ze śmiertelnym zagrożeniem.

TIM WEAVER

Brytyjski pisarz, z zawodu dziennikarz. Jako wolny strzelec współpracował z wieloma gazetami i czasopismami, m.in. z „The Guardian” i „Sports Illustrated”; pisał o filmach, telewizji, sporcie i grach komputerowych. Jest autorem serii thrillerów o prywatnym detektywie Davidzie Rakerze, zajmującym się poszukiwaniem osób zaginionych.

Dotychczas ukazało się dziewięć powieści Weavera – w tym *Ścigając umarłych*, *Zanurzyć się w mrok*, *Bez ostrzeżenia*, *Zniknęli na zawsze*, *To, co zostaje*, *Bardzo złe miejsce* i *Nie wiesz, kim jesteś* – oraz zbiór opowiadań.

Tim Weaver uwielbia powieści Lee Childa i Michaela Connelly’ego.

timweaverbooks.com

Tego autora
ZANURZYĆ SIĘ W MROK
BEZ OSTRZEŻENIA
ZNIKNĘLI NA ZAWSZE
BARDZO ZŁE MIEJSCE
TO, CO ZOSTAJE
NIE WIESZ, KIM JESTEŚ
OKRUCHY PAMIĘCI

Tytuł oryginału:

I AM MISSING

Copyright © Tim Weaver 2017

All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędzowski 2022

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Zdjęcie na okładce: Derek Liang/StockSnap

ISBN 978-83-6742-610-7



Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://www.facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://www.instagram.com/wydawnictwoalbatros)

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu EPUB oraz MOBI

Katarzyna Rek

woblink

woblink.com

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Penny.

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Otchłań

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

CZĘŚĆ DRUGA

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Gotowa od urodzenia

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Potwór

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Tchnienie

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Siostry.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Rozdział 43

Rozdział 44

Rozdział 45

Rozdział 46

Rozdział 47

Rozdział 48

Rozdział 49

Rozdział 50

Rozdział 51

Staw

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

Rozdział 62

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Podziękowania](#)

Dla Erin

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Kościół stał na samym brzegu, przyssany do wapiennego klifu niczym skorupiak do skały.

Podjechałem pod wejście i zgasilem silnik.

Gwałtowne podmuchy wiatru kołysały moim audi, niebo było pokryte grubą warstwą szarych chmur, morze rozhukane i wzburzone. Kościół znajdował się w odległości pięciu kilometrów od Christchurch, a w wiszącej nad wodą mgiełce sterczały w oddali skały przyłądka Needles, niczym dryfujące statki. Sięgnąłem na tylne siedzenie po notatnik i przypomniałem sobie dzień, gdy płynęliśmy z żoną na wyspę Wight promem, który zмагаł się z zimowym sztormem na wodach kanału La Manche, i poczułem ukłucie żalu, że to już na zawsze pozostanie tylko wspomnieniem.

Zamknąłem samochód i ruszyłem do kościoła.

Drzwi były otwarte. W środku zobaczyłem dziesięć drewnianych ławek, a z przodu kamienny ołtarz, nad którym ciągnął się rząd kolorowych witraży, i mimo ponurej szarości nieba nawa kościelna zalana była barwnymi refleksami. Na spękanej kamiennej posadzce kładło się odbicie Ostatniej Wieczery, co z daleka wyglądało jak kałuża opalizującej wody.

Siedział skulony w drugim rzędzie ławek po lewej stronie nawy, z rękami luźno złożonymi na oparciu ławki przed nim, jakby zamierzał się

modlić lub właśnie skończył modlitwę. Miał na sobie niebieski płaszcz przeciwdeszczowy, na głowie szarą czapkę, a spod ławki wystawał jego mocno zdarty i zabłocony bucior.

Niemal się z nim zrównałem, zanim w ogóle zauważył, że tu jestem. Zwrócił się w moją stronę, opuścił ręce na kolana i spojrzał na mnie przepłoszonym wzrokiem.

– Pan Kite? – upewniłem się.

– Tak. – Wstał z ławki. – Tak, to ja.

– David Raker.

Uścisnęliśmy sobie ręce. Jego dłoń, tak jak on cały, była drobna i koścista, na opuszkach palców wyczułem blizny lub odciski, twarz też miał pooraną bliznami. Największa i całkiem świeża biegła od brody do dolnej wargi.

– Dziękuję, że pan przyjechał, panie Raker.

– Wystarczy David. Przepraszam za spóźnienie. Wiem, że byliśmy umówieni na dziesiątą.

– Nic nie szkodzi.

Popatrzyłem na witraże i łukowe sklepienie.

– Pracowałem już nad wieloma sprawami, ale nie przypominam sobie, by któraś z nich zaczynała się w kościele.

– A bywa, że się w nim kończą? – spytał, blado się uśmiechając.

Obrzuciłem go spojrzeniem. Jego wzrok prześlizgnął się wzdłuż nawy w stronę ołtarza i zawisł na drewnianych marach, które stały złożone i oparte o ścianę.

– Staram się w miarę możliwości do tego nie dopuszczać – odparłem.

Spróbował znów się uśmiechnąć, ale uśmiech zgasł, nim zdążył w pełni się uformować, a ja pomyślałem, że pewnie zrozumiał, o czym mówię: mogę próbować wpływać na czyjeś losy tylko wtedy, gdy wiem, że ten ktoś

żyje. Gdy chodzi o kogoś zmarłego i pozostaje mi tylko oddać rodzinie garstkę prochów, zlecenie przybiera zupełnie inny charakter, a ja staję się kimś w rodzaju malarza obrazu ukazującego motywację i przyczyny; kimś, kto tworzy narrację na podstawie zebranych strzępów wiedzy.

– Nie powiedział mi pan zbyt dużo, dzwoniąc do mnie, panie Kite.

– Mam na imię Richard. Wiem i przepraszam. Nie chciałem mówić o tym przez telefon. Nie umiem rozmawiać przez telefon. Wolę bezpośrednio, twarzą w twarz.

– Jasne – rzuciłem. Przypatrywałem mu się przez chwilę.

Sprawiał wrażenie zgnębnionego, co wcale mnie nie dziwiło. W moim zawodzie spotykam się z tym nieustannie. Ale w nim było coś jeszcze, ukrytego pod maską smutku. Wydawał się zmieszany, jakby pozbawiony pewności siebie, a to u kogoś, kto wyglądał na nie więcej niż trzydzieści pięć lat, było czymś nie na miejscu. Znowu zmusił się do bladego uśmiechu, jakby o tym wiedział i chciał to ukryć, ale tkwiło to w wyrazie jego oczu i w grymasie ust, rozprzestrzeniało się po całej twarzy, niczym pleniące się chwasty. Po jego telefonie próbowałem odszukać go w sieci, w mediach społecznościowych, jakimi żyją wszyscy w jego wieku, ale nic nie znalazłem. Nie natknąłem się na żaden ślad Richarda Kite’a.

– Pracuję tu we wtorki i w czwartki – oznajmił, ogarniając ręką wnętrze. – Pomagam pastorowi w utrzymaniu ogrodu. Głównie jak trzeba coś przekopać... tego typu rzeczy. Nie jestem ogrodnikiem, ale staram się, jak mogę. – Zamilkł, patrząc na pogrzebowe mary, i po chwili dodał: – Pastor powiedział, że możemy skorzystać z salki na zapleczu... gdyby pan wolał.

W głębi widać było otwarte drzwi, za którymi ciągnął się korytarzyk. Na podłodze stało żółte wiadro, do którego skapywała woda z przecieku w suficie.

– Możemy rozmawiać gdziekolwiek – odparłem – ale najpierw chciałbym usłyszeć, kim jest ta osoba, której mam szukać.

– Tak, oczywiście.

Uniósł rękę w przeproszającym geście, lecz nic więcej nie powiedział. Odwrócił tylko głowę, jakby w mrocznym wnętrzu kościoła szukał potrzebnych słów. Twarz miał bladą i wymizerowaną, z ciemnym kilkudniowym zarostem, oczy wydawały się dziwnie bezbarwne. A mnie nagle uderzyła myśl, że gdzieś go widziałem. Skądś go znam.

Czyżbyśmy się już kiedyś spotkali?

– Zadzwoiłem do ciebie, bo słyszałem, że odnajdujesz zaginione osoby. A o to mi właśnie chodzi. – Zawahał się i głośno przełknął ślinę. – Żebyś odnalazł kogoś zaginionego.

– Dobrze, ale kogo mam szukać?

Wrażenie, że skądś go znam, nie ustępowało. Czekać na odpowiedź, zacząłem grzebać w pamięci. Szukałem punktu, w którym nasze życiowe ścieżki mogły się przeciąć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. W każdym razie jeśli kiedyś go spotkałem, nie było to związane z żadną ze spraw, które prowadziłem.

– Richard, kogo mam szukać? – powtórzyłem z naciskiem.

Zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszał. Jego wzrok nie przestawał błądzić po zakamarkach kościoła, do których nie docierało światło z witrażowych okien. I gdy już miałem zadać pytanie po raz trzeci, wreszcie się odezwał.

– Mnie – powiedział, zwracając się do mnie twarzą.

– Co tobie? – Zmarszczyłem brwi.

– To ja jestem tym zaginionym.

2

– Cierpię na amnezję dysocjacyjną – powiedział cicho.

Słyszałem o takiej chorobie, choć nie wiedziałem o niej zbyt dużo. Ale przynajmniej cała rzecz nabierała sensu. Gdy zadzwonił do mnie poprzedniego dnia, próbowałem uzyskać od niego jakieś bliższe informacje, lecz oświadczył, że wolałby spotkać się ze mną osobiście. Dodał, że sprawa jest „nietykowa i trudna do wyjaśnienia”. To wystarczyło, bym się zainteresował. Przyczynił się do tego również brzmiały w jego głosie smutek, taki sam, jaki słyszałem u wszystkich rodzin, którym pomagałem. Przyszło mi wtedy do głowy, że może chodzić o zaginięcie żony, któregoś z rodziców, brata, siostry czy dziecka. Tymczasem nie dotyczyło to żadnej z tych osób.

Dotyczyło to jego własnego życia, którego nie pamiętał.

Przeszliśmy do salki na zapleczu. Okno z szybą pokrytą nalotem soli wychodziło na mały, ale zadbane ogródek, dalej widać było krawędź urwiska, wyznaczoną pasmem żwiru w kolorze miedzi, oraz ciągnące się po horyzont morze i zachmurzone niebo. Pod ścianą stał stół, a w kącie piętrzyła się sterta krzeseł. Richard przyniósł dwa i spytał, czy chcę się czegoś napić. W drugim końcu salki znajdował się kącik kuchenny – półka ze słoikiem kawy instant i kartonem mleka – a ja przejechałem za

kierownicą blisko sto sześćdziesiąt kilometrów, więc kubek kawy, jakiegokolwiek, był nie do pogardzenia.

Po chwili wrócił do stołu, postawił przede mną kubek i przysiadł na brzeżku drugiego krzesła. Wydawał się spięty i zdenerwowany. Ze stojącego przed nim kubka unosiła się para. Palce jego dłoni częściowo zasłaniały grube czarne litery umieszczonego na nim napisu: JAK JEZUS PARZY TĘ HERBATE? PO ŻYDOWSKU. Pod ciężarem mojego wzroku Kite opuścił głowę i znów odniosłem wrażenie, że skądś go znam.

– Czy myśmy się już kiedyś spotkali, Richard?

Podniósł na mnie wzrok i zmarszczył brwi. Ze wszystkich możliwych pytań tego chyba najmniej się spodziewał.

– Nie – odparł. – Chyba nie.

Nie widziałem powodów, dla których miałyby kłamać, więc przyjąłem jego odpowiedź i wziąłem do ręki długopis.

– No dobrze – powiedziałem łagodnym tonem, by go ośmielić. – Może na początek wyjaśnij, co to jest ta amnezja dysocjacyjna.

Skinął głową i odchrząknął, jakby słowa lepiły mu się do podniebienia.

– To stan, w którym człowiek zapomina o różnych ważnych rzeczach. Jest tak, jakby w mózgu zostały zatarte podstawowe informacje, na przykład kim w ogóle jesteś. To coś innego niż amnezja znana większości ludzi. W tej zwyczajnej powstają pionowe wyrwy w pamięci. Pamięć określonych zdarzeń znika i już nie powraca, ale człowiek nadal pamięta wszystko, co robił przedtem i potem. Wiesz, jak się nazywasz, ile masz lat, pamiętasz swoją rodzinę, gdzie pracujesz, tego typu rzeczy. W moim przypadku... jest inaczej. Nic z tego nie pamiętam. Pionowo i poziomo, wszystko, co dla mnie ważne, zniknęło. Nie wiem nawet, kim jestem.

– Zupełnie?

– Bardzo mało.

– Czy to znaczy, że możesz nawet nie mieć na imię Richard?

– Myślę, że mam. – Zawahał się. – Kiedy pierwszy raz zapytano mnie o imię, takie podałem. Po prostu miałem je w głowie. – Odjął rękę od kubka i zaczął trzeć oko. – Przy tego rodzaju amnezji wspomnienia bywają nie do końca zatarte, ale większość tkwi tak głęboko ukryta, że można ich nigdy nie odszukać. Byłem poddawany różnym zabiegom terapeutycznym, nawet hipnozie, i w rezultacie parę szczegółów sobie przypomniałem. Myślę, że mam na imię Richard. Myślę, że dorastałem gdzieś nad morzem. Ale gdybyś mnie spytał, czy mam dziewczynę lub kim są moi rodzice i czy w ogóle żyją, to nie umiałbym odpowiedzieć. Szczerze przyznaję, że nie wiem. – Jego słowa rozplynęły się w powietrzu, a on odwrócił głowę i zapatrzył się w zalane deszczem okno. – Przyjąłem nazwisko Kite*, bo czasami tu siedzę i obserwuję dzieci puszczające latawce na plaży. Zwykle towarzyszą im rodzice. Przyglądam się temu ze smutkiem i pewnie z zazdrością i myślę wtedy, że musiałem mieć kogoś bliskiego, kto mnie kochał, bo inaczej dlaczego miałbym tym dzieciom zazdrościć? Ale nikogo takiego nie pamiętam, więc może nie miałem. Nie wiem.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat, mówił jednak jak ktoś znacznie starszy. Utrata tak ważnych wspomnień – myśl o tym, że mógł mieć kogoś bliskiego, kto go kochał i kogo on też kochał – jakby go odmieniła.

– Powiedziałaś, że chyba dorastałeś gdzieś nad morzem?

– Tak – potwierdził.

– Próbuję umiejscowić twój akcent.

– No tak. – Skrzywił usta w półuśmiechu.

– Ktoś inny już tego próbował? – domyśliłem się.

Pokiwał głową.

– Policja długo nad tym pracowała. Doszli do wniosku, że muszę się wywodzić z West Country lub z rodziny królewskiej, bo mówię mieszaniną

obu tych akcentów.

Z tą rodziną królewską oczywiście żartował, ale diagnoza była wyjątkowo trafna. Mówił z eleganckim akcentem, niemal takim z wyższych sfer, jednak chwilami głoska „r” brzmiała warkotliwie, a słowa były niemiłosiernie przeciągane. W rezultacie powstawała przedziwna dychotomia, jakby chodził po linii rozpiętej między dwoma konkurującymi ze sobą dialektami.

– Nie pamiętasz nic o miejscu swego pochodzenia?

– Nie. Tkwi mi w głowie tylko jedno wyraźne wspomnienie. Jestem gdzieś nad morzem, czuję się młodo, stoję przy oknie i patrzę na plażę.

Skończyłem robić notatki i rzuciłem okiem na mój stenograficzny zapis.

– Odzyskałem przytomność na przystani ratowniczej.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Tam mnie znaleźli i od tego zaczyna się moja pamięć. Ocknąłem się na początku roku na wybrzeżu Hampshire, tuż obok przystani łodzi ratowniczych.

– Ocknąłeś się na... – Zamilkłem, po czym dodałem, niemal do siebie: – Ty jesteś ten Zagubiony.

Najwyraźniej nie lubił przydomka, jaki mu nadano, bo gdy tylko go wypowiedziałem, zmarszczył nos, wywinął wargę i ostentacyjnie odwrócił się twarzą do okna, jakby urażony. Ale tym mianem ochrzciła go lokalna prasa i właśnie stąd go znałem. Prasa na całym południowym wybrzeżu dużo o nim pisała, w nadziei, że pomoże to ustalić jego tożsamość. Nigdy się nie spotkaliśmy, tylko po prostu czytałem o nim w gazetach, gdy pojechałem do Devonu odwiedzić córkę. O młodym mężczyźnie, którego znaleziono nieprzytomnego przy ujściu Southampton Water i który nie pamiętał, kim jest.

Zagubiony.

Czytałem o nim, że nic nie pamięta, nawet swojego nazwiska ani rodziny. A gdy apele o zgłaszanie się wszystkich, którzy mogliby coś o nim wiedzieć, nie przyniosły rezultatu, szum wokół niego szybko ucichł. To dlatego nie od razu go skojarzyłem. Zwiodło mnie również to, że wyglądał teraz inaczej niż na tamtych zdjęciach: starzej i gorzej, choć wtedy, w styczniu, miał plastry na twarzy i podbite oko. Teraz pozostało już tylko kilka blizn.

– Przepraszam – bąknąłem.

– Nie masz za co przepraszać. – Wzruszył ramionami. – Tak mnie nazwali. Kiedy się to wszystko działo, myślałem: To niemożliwe, żeby nie ustalono, skąd się tu wziąłem. Ten cały szum w prasie, te wszystkie artykuły na mój temat. Przeczyta je jakiś znajomy, zgłosi się i będę miał punkt zaczepienia. Ale nikt się nie zgłosił. Ani jedna osoba.

– Nie znaleźli żadnych tropów?

– Żadnych.

Chwilę milczałem.

– A więc odzyskałeś przytomność obok przystani ratowniczej.

Pokiwał głową.

– I to jest pierwsze, co pamiętasz?

– Tak.

– Nie pamiętasz nic, co działo się wcześniej?

– Pytasz, czy pamiętam, skąd się tam wziąłem? Nie. Nic nie pamiętam.

– Którego stycznia to było?

– Znaleźli mnie w środę, dwudziestego.

– Obsługa przystani ratowniczej?

– Tak.

Dziś był dwudziesty piąty października, minęło nieco ponad dziewięć miesięcy, ale odnosiłem wrażenie, jakby upłynęło dużo więcej czasu.

Gazety porzuciły ten temat, bo pojawiały się tysiące innych sensacji dnia. Sam też kiedyś funkcjonowałem w młynie prasowym i byłem jednym z tych, którzy czyjś życiowy dramat sprowadzają do jednozdaniowej notatki u dołu strony. Tak funkcjonują media. Dla nich – i dla mnie wtedy – dziewięć miesięcy to jak dziewięć lat.

– Jak się nazywa miejsce, w którym cię znaleźli? – spytałem.

– Coldwell Point.

– Przypomnij mi... gdzie to dokładnie jest?

– To taka dwukilometrowa piaszczysta łąka w miejscu, gdzie rzeka Hamble łączy się z Southampton Water. Poza piachem jest tam niewiele więcej. Nieduży parking i kamienisty brzeg. Pochylnia dla łodzi. Przystań ratownicza mieści się na samym czubku półwyspu i to tam znaleźli mnie ludzie z RNLI**

– Pamiętasz ich nazwiska?

– Pierwszy natknął się na mnie Rory. Rory Yarkley. Pracuje na przystani jako mechanik. Zawołał kolegę, Simona Griffina. To jeden z ratowników.

– Byłeś ranny?

Dotknął palcami swoich blizn. Było ich pięć, wszystkie po lewej stronie twarzy – dwie małe na kości policzkowej, następne dwie na szczęcie. Piątej, największej, trudno było nie zauważyć. Nie widziałem jej na zdjęciach publikowanych w prasie, bo miał założony opatrunek, ale zwróciłem na nią uwagę, gdy tylko zobaczyłem Richarda. Teraz przyjrzałem się jej uważniej. Biała gruba krecha, biegnąca od czubka brody do kącika ust. Policja uznała, że został pobity albo mocno uderzył lewą stroną twarzy w coś twardego, albo jedno i drugie. Podwinął lewy rękaw i pokazał blizny na łokciu, przedramieniu i wierzchu dłoni.

– Wygląda na to, że się przewróciłeś – powiedziałem.

– Lub zostałem przewrócony. Albo napadnięty.

– Myślisz, że zostałeś napadnięty?

– Nie wiem.

W jego głosie brzmiała rezygnacja. Spojrzałem w okno. Deszcz przybierał na sile, mgła gęstniała. Próbowałem zebrać myśli.

– Miałeś jakieś złamania kości?

– Nie.

– Tylko zranienia i stłuczenia?

– Tak. Kiedy mnie znaleźli, te mniejsze już się goiły, ale ta... – Dotknął palcem brody. Wzdłuż blizny ciągnęły się punkciki w kształcie gwiazdek, ślady po szwach. – Tu wdało się poważne zakażenie. Środkowa część twarzy była opuchnięta i z rany ciekła ropa. Miałem też zakażenie kości szczęki. Wyglądało to groźnie.

– Kiedy ci ludzie z RNLI cię znaleźli, byłeś ubrany?

– Tak, miałem na sobie spodnie, T-shirt i polar. Brak było jednego buta.

– I co stało się potem?

– Zabrali mnie na przystań, okryli kocem, dali coś ciepłego do picia i zawiadomili policję. Kiedy czekaliśmy na przyjazd policji, zaczęli mnie wypytywać. Kim jestem, skąd się tu wziąłem, czy mają kogoś zawiadomić, tego typu rzeczy. Na większość ich pytań nie umiałem odpowiedzieć. Właściwie potrafiłem podać im jedynie swoje imię.

– Utrzymujesz z nimi kontakt?

– Nie. Przez pewien czas Rory do mnie dzwonił, żeby spytać, jak się miewam i czy coś się wyjaśniło. Myślę, że on i Simon czuli się za mnie na swój sposób odpowiedzialni, bo to oni mnie znaleźli.

– Ale już do ciebie nie dzwonią?

– Nie. Nadal nie wiem, kim jestem, i nadal nie wiem, skąd się tam wziąłem, więc o co jeszcze mogą mnie pytać?

Trudno było na to odpowiedzieć.

– Gdzie potem trafiłeś?

– Tamtejsza organizacja dobroczynna opłaciła mi miejsce w schronisku dla bezdomnych. I... nie zrozum mnie źle... byłem im za to bardzo wdzięczny, ale nienawidziłem tego miejsca. Musiałem dzielić pokój z trzema innymi facetami, którzy bez przerwy kręcili się tam i z powrotem. W schronisku panował wieczny hałas i rozgardiasz i czułem się tam jak intruz. Nie mogłem z nikim porozmawiać, bo nic o sobie nie wiedziałem. Pomyśl, że ktoś cię pyta, jak się nazywasz i skąd jesteś, a ty na wszystko masz jedną odpowiedź: „Nie wiem”. Ci trzej, z którymi mieszkalem, zaczęli w końcu patrzeć na mnie jak na wyrzutka. Pomógł mi ten szum w gazetach, bo dzięki niemu wielebny Parsons dowiedział się o mnie i mnie znalazł.

– Pomógł ci się tutaj urządzić?

– Tak, był dla mnie bardzo dobry.

Zajrzałem do notatek.

– Wiesz może, czy na Coldwell Point są kamery monitoringu?

– Tylko jedna. Jest zamontowana z boku przystani, ale akurat nie działała. Ci z policji mówili, że miała być naprawiona w następnym tygodniu. Więc jeśli nawet ktoś podjechał samochodem na parking i mnie tam zostawił albo przywieźli mnie łódką i wyrzucili na brzeg, albo sam dopłynąłem z jakiegoś miejsca, gdzie wypadłem za burtę, nie da się tego stwierdzić. Ani ja tego nie wiem, ani nie ma nagrania z kamery.

– Nie pamiętasz nic z tego, co się działo, zanim cię tam znaleźli? Bo mówiłeś, że masz w głowie jakieś strzępy wspomnień. Na przykład, że dorastałeś gdzieś nad morzem.

– Prawdopodobnie dorastałem nad morzem – sprostował z naciskiem na pierwsze słowo i pokręcił głową. – Nie, nic. Nie pamiętam, co działo się ze

mną wcześniej i skąd się tam wziąłem. Nikt się po mnie nie zgłosił.
Znaleziono mnie samego na brzegu rzeki i wciąż jestem sam.

.....
* *Kite* (ang.) – latawiec.

** Royal National Lifeboat Institution – Królewski Instytut Ratownictwa Wodnego.

3

Zrobiłem nam obu świeżą kawę, choć on prawie nie tknął swojej pierwszej, i dałem mu chwilę na ochłonięcie.

– To wspomnienie morza... – odezwałem się w końcu. – Dlaczego sądzisz, że dotyczy twojego dzieciństwa?

– Sam nie wiem. – Zamilkł, szukając w głowie słów na przekazanie swoich myśli. – Trudno to wytłumaczyć. Pewnie tak działa pamięć, prawda? Coś sobie przypominasz, jakiś obraz czy wrażenie, i łączysz to z określonym przedziałem czasowym. Automatycznie wiesz, kiedy to było, i nie musisz się nad tym zastanawiać. Wiem, że to wspomnienie z mojego dzieciństwa. Po prostu wiem. Ale nie umiem wyjaśnić skąd.

– Co jeszcze jest w tym wspomnieniu?

Przysunął sobie kubek z kawą.

– Stoję przy oknie, wyglądam przez nie i widzę plażę. Tak jak ją teraz widzę, plaża ciągnie się bez kresu w obie strony. Brzmi to egzotycznie, ale wcale takie nie jest. To nie jest jakaś tropikalna wyspa. To typowo brytyjski widok. Zupełnie taki, jaki mógłbym dziś zobaczyć z tego okna. Niebo jest szare, morze też. I mży.

Przerwał i zapatrzył się w przestrzeń, usiłując wydobyć z pamięci jak najwięcej szczegółów. W oczach lśniły mu refleksy światła sączącego się przez okno. Grzebanie we wspomnieniach Richarda Kite'a mogło być

niebezpieczne. Nie jestem psychiatrą ani psychologiem i nigdy nie przeszedłem szkolenia w tym zakresie, więc moja znajomość tych mechanizmów jest na poziomie elementarnym, ale przesłuchiwałem wystarczająco wielu ludzi, aby wiedzieć, że wymuszanie od nich wspomnień nie prowadzi zwykle do niczego dobrego. Ludzie w rodzaju Richarda za wszelką cenę starają się znajdować odpowiedzi na zadawane pytania, na siłę wypełniając luki w pamięci, i ich relacje szybko ulegają zniekształceniu. Zaczynają zmyślać, ich wspomnienia podlegają podświadomej obróbce, a przesłuchujący traci potem całe dni i tygodnie na sprawdzanie fałszywych poszlak.

– No dobrze – powiedziałem. – Coś jeszcze poza tym wspomnieniem plaży?

– Tylko jedna rzecz. Pamiętam jakiś program telewizyjny. Animowany, i był w nim stojący na wzgórzu maszt nadajnika, z którego coś promieniowało w niebo. To mógł być program dla dzieci, w każdym razie tak mi się to kojarzy.

– Myślisz, że to mógł być fragment czołówki tego programu?

– Jakies tło dla napisów początkowych? Nie wiem. Możliwe.

– Mógłbyś mi to narysować?

– Narysować?

– Spokojnie. – Podsunąłem mu notatnik i podałem długopis. – Nie chodzi mi o jakieś artystyczne dzieło. Po prostu naszkicuj to, co pamiętasz.

Kiedy skończył, wziąłem od niego notatnik i spojrzałem na rysunek. Przedstawiał ażurowy maszt telewizyjny z kratownicą; z jego czubka rozchodziły się coraz większe półkoliste fale. Przypominało to powszechnie stosowaną ikonę wi-fi. U stóp masztu narysował kilka kwiatków.

Próbowałem sobie uprzytomnić, czy widziałem kiedyś coś podobnego, ale jeśli była to czołówka jakiegoś programu dla dzieci, to ja na niego nie

trafiłem. Jeśli Richard oglądał go jako dziecko, program mógł być sprzed ponad dwudziestu lat. Trzeba będzie trochę pogrzebać.

– Coś jeszcze? – spytałem. – Cokolwiek?

Zmarszczył czoło i ściągnął twarz, aż blizny na skórze mu zbieleły.

– Umiem pływać. Właściwie jestem dobrym pływakiem. – Wzruszył ramionami i niedopowiedzianą drugą część zdania można było wyczytać z jego twarzy: jakby to teraz miało jakiegokolwiek znaczenie. – Mam zręczne dłonie – ciągnął ściszone głosem. – Umiem naprawiać różne rzeczy. To dla mnie jakby naturalne. Kiedy mam coś do zrobienia tu lub na kempingu, gdzie pracuję, idzie mi to gładko. Mike, policjant prowadzący moją sprawę, uważa, że mogę być z zawodu mechanikiem albo rzemieślnikiem, albo kimś w tym rodzaju.

Pokiwałem głową.

– Jak się nazywa ten Mike? – spytałem.

– Barton. Detektyw posterunkowy Mike Barton.

– Z policji hrabstwa Hampshire?

– Tak. Pracuje na komendzie w Southampton.

– Kiedy miałeś z nim ostatnio kontakt?

– Dwa, może trzy miesiące temu. – Usłyszałem żal w jego głosie. – Zadzwonił, żeby mi przekazać najnowsze wieści. Powiedział, że nadal próbują to wszystko poskładać. Może rzeczywiście tak jest... nie wiem. Chciałbym w to wierzyć. Ale myślę, że tak naprawdę moja teczka leży w jakiejś szafie i pokrywa się kurzem. I wcale bym się nie dziwił. Bo czemu nie? Nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, nie jestem dla nikogo zagrożeniem. Czyli to zrozumiałe.

Wprawdzie mówił, że godzi się z tą sytuacją, rozumie, dlaczego jego sprawę odłożono na półkę, ale jego mina świadczyła o czymś innym. Czuł się skrzywdzony i rozczarowany.

– Poza pracą tutaj – drążyłem dalej – pracujesz też na jakimś kempingu, czy tak?

– Tak, około półtora kilometra stąd.

– Czyli masz dwie prace?

– Można tak powiedzieć. Praca na kempingu to ogólny nadzór nad wszystkim, od koszenia trawnika, przez drobne naprawy, po konserwację toalet. Ale to praca sezonowa. Od kwietnia do końca września przez pięć dni w tygodniu, a od października do marca tylko dwa razy na tydzień. Dlatego w zimie po parę dni w tygodniu pomagam tutaj. Próbuję jakoś wiązać koniec z końcem, ale jest to możliwe tylko wtedy, gdy zatrudniający mnie ludzie są gotowi pogodzić się z moją sytuacją.

– To znaczy?

– Z naginaniem przepisów.

– W jakim sensie?

– Nie mam numeru ubezpieczenia społecznego i nie mogę go uzyskać. Formalnie nie istnieję. Władze nie mogą mi przyznać nowego numeru, bo nikt nie może mieć dwóch, a ja w którymś momencie życia musiałem taki numer posiadać. Godzinami gadałem z nimi przez telefon, wyjaśniając swoją sytuację. Powtarzałem im bez końca, że nie pamiętam swojego nazwiska. Pisałem do nich, załączałem świadectwa lekarzy, którzy się mną zajmowali, a także wielebnego Parsonsa. Wysyłałem im wycinki z gazet dotyczące mojej sprawy, ale wszystko na nic. Moje podania ginęły w trybach biurokracji.

– Nie mogą ci nadać tymczasowego numeru?

– Prosiłem o to. Ale wydawanie numerów tymczasowych wstrzymano w dwa tysiące pierwszym roku.

– Czyli mówiąc o naginaniu przepisów, masz na myśli to, że płacą ci z ręki do ręki, tak?

– Albo w ogóle nie płacą. Mieszkam na kempingu. Pozwalają mi za darmo korzystać z jednej ze stacjonarnych przyczep, wliczając wodę, prąd i gaz. Za nic nie płacę. Odrabiam czynsz godzinami pracy. Tu, w kościele, to drobiazg, dostaję czterdzieści funtów dziennie i nikt się tym nie przejmuje. Ale kemping należy do dużej firmy, która ma sieć parkingów na całym wybrzeżu. Nie mogą sobie pozwolić, żeby ktoś ich przyłapał na niepłaceniu podatków.

I znów mówił to spokojnym, zrezygnowanym tonem, ale widać było, że go to dręczy i czuje się skrzywdzony. Po twarzy przebiegały mu drobne skurcze, jakby pod skórą buzował ogień, który nie chciał zgasnąć. Przypominał mi kogoś wykuwającego swoje kwestie na blachę. Słuchając Richarda, można było pomyśleć, że pogodził się ze swoim losem, z bezdusnością władz, ze świadomością, że znalazł się poza nawiasem, niczym uchodźca, ale gdy spojrzało się uważniej, ta maska opadała. Bez numeru ubezpieczenia był fantomem. Mógł być człowiekiem z krwi i kości, który żyje, oddycha i siedzi ze mną przy stole, ale skoro nie ma go na twardym dysku urzędnika w Whitehall, jest tylko zjawą, echem kogoś, kto gdzieś kiedyś istniał. Pracodawcy nie mogą go zatrudniać, bo nie ma jak płacić podatku. Nie może wystąpić o zasiłek mieszkaniowy. Jeśli zachoruje lub złamie nogę i trafi do szpitala, NHS* nie uzna go za swojego pacjenta. Jakże traumatyczna musi być taka sytuacja. I jak musi narastać w nim wrogość i rozgoryczenie wobec świata, nawarstwiając się niczym kolejne blizny.

– Jeśli martwisz się o swoje honorarium – odezwał się z nagłą paniką w głosie – to chcę cię uspokoić, że na tym szumie wokół mnie nieźle zarobiłem i mam trochę oszczędności. Pomaga mi też kościół. Na pewno ci zapłacę.

– Nie martwię się. – Machnąłem uspokajająco ręką, choć rzeczywiście zaczynałem się zastanawiać, skąd weźmie pieniądze. Przez chwilę patrzyłem, jak sący kawę, po czym spytałem: – Czyli nie dysponujesz żadnym dowodem potwierdzającym twoją tożsamość?

– Żadnym. – Pokręcił głową. – Nie mogę wyrobić sobie paszportu, bo nie wiem, jak się nazywam, ani nie znam miejsca i daty swojego urodzenia. Nie wiem, kim są moi rodzice. Nie mogę wyrobić prawa jazdy, bo potrzebny jest do tego jakiś dokument tożsamości, na przykład paszport, oraz numer ubezpieczenia.

– Czyli konta bankowego też nie masz?

– Nie mam.

Jego sytuacja rzeczywiście przedstawiała się beznadziejnie. Trzymanie gotówki w szufladzie, w przyczepie na kempingu, było dla niego jedynym wyjściem. Do wszystkiego potrzebował oficjalnego potwierdzenia tożsamości, a nie mógł go uzyskać, nie wiedząc, kim jest.

– Pozwolisz mi rozejrzeć się po twojej przyczepie?

– Oczywiście. Zgadzam się na wszystko, co może mi pomóc.

– Masz telefon komórkowy?

– Tak. Kupiłem w supermarkecie telefon na kartę. Tylko taki mogłem dostać.

– Adres mailowy? Media społecznościowe?

– Mam konto mailowe, a ludzie z kościoła założyli mi konta w mediach: na Facebooku, Twitterze i takich tam, by nagłośnić moją sprawę. Nie korzystam z nich jednak.

– Masz komputer?

– Laptopa. Ale w nie najlepszym stanie.

– Do niego też będę chciał zajrzeć. Zgadzasz się?

– Tak, oczywiście.

W tej sprawie wszystko stało na głowie. Zwykle konstruowanie obrazu zaginionej osoby zaczynałem od badania jej finansów, maili i wykazów połączeń telefonicznych oraz ludzi w jej orbicie, a także miejsc, do których mogła się udać, decyzji, jakie mogła podjąć, i znajomości, które mogła nawiązać. W tym przypadku osoba zaginiona siedziała pół metra ode mnie i nie bardzo wiedziałem, co może mi dać przeszukanie jej przyczepy czy laptopa, czułem jednak, że jeśli tego nie zrobię, mogę przeoczyć coś ważnego.

– Wspomniałeś, że ktoś poddawał cię hipnozie.

Pokiwał głową.

– Tak. Moja terapeutka Naomi.

– Jest psychiatrą czy psychologiem?

– Nie bardzo wiem, czym to się różni.

– Zapisywała ci jakieś lekarstwa?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek mówiła coś o lekarstwach?

– Nie, raczej nie.

– Psychiatria jest specjalnością medyczną, więc mogłaby ci przepisywać jakieś leki, gdyby była psychiatrą. Wygląda mi bardziej na psycholożkę. Jak ona się nazywa?

– Russum.

Zapisałem sobie nazwisko.

– Jak często się spotykacie?

– Teraz dwa razy w miesiącu.

– Z początku było częściej?

– Tak. Początkowo spotykaliśmy się dwa razy w tygodniu. Odbywaliśmy długie sesje, bo próbowała mi pomóc wydobyć coś z pamięci. I jak mówiłem, stosowała nawet hipnozę, ale praktycznie nic to

nie dało. Przeglądamy też fotografie znanych ludzi, postaci historycznych i słynnych miejsc, aby sprawdzić, czy coś mi się kojarzy. Kogo i co poznaję lub nie. Robi to, by ustalić mój wiek, miejsce urodzenia i dorastania.

– Ale do niczego nie doszła?

– Nie. – Wzruszył ramionami.

– Gdzie Naomi przyjmuje?

– Ma gabinet w Londynie. Ale przyjeżdża tutaj. Mogę podać ci jej adres.

Z pewnością należało się z nią skontaktować, a to, że mieszka w Londynie, ułatwiało mi sprawę, choć wiedziałem, że nie udostępni mi zapisków z sesji terapeutycznych, a nawet miałem poważne wątpliwości, czy zechce je ze mną omówić.

– Skąd masz pieniądze, by płacić jej za wasze sesje? – zapytałem.

– Robi to za darmo.

– Nic od ciebie nie bierze?

– Nic.

– Czyli to ona zapoczątkowała wasze kontakty?

– Tak. Zadzwoiła jakieś pięć tygodni po tym, jak mnie znaleźli.

– Powiedziała dlaczego?

Po jego twarzy przemknął cień uśmiechu.

– Chyba traktuje mnie jako wyzwanie.

Albo szansę na grubszą forszę. Co nie znaczyło, że ją potępiałem. Sprawa tak niezwykła musiała być głośna w jej środowisku. Za zgodą Kite'a mogła o jego przypadku pisać referaty i artykuły, może nawet wystąpić w telewizji. Ale to, że poświęcała mu czas zupełnie za darmo, od razu wzbudziło we mnie chęć, by z nią porozmawiać. Nie wątpiłem, że Russum chce mu pomóc i że stara się, jak może. Ale w dzisiejszych czasach rzadko się zdarza, by ludzie robili coś całkiem bezinteresownie.

– Czyli te sesje właściwie nic ci nie dały – zauważyłem.

Głowa mu opadła, palce rozczapierały się i zaciskały na kubku.

– Nie. Naomi twierdzi, że są warte wysiłku, ale co one mogą dać, jeśli wszystko, czym dysponuję, to tylko niejasne wspomnienia mało znaczących rzeczy? Jak ma pomóc to, że pamiętam plażę? Albo maszt z programu telewizyjnego? Jakie znaczenie ma to, że dobrze pływam? – Znów zawiesił głos. – Nic z tego nie wynika.

– Może wyniknie.

– Bardzo wątpię.

– Nie trać nadziei, bo jeszcze nawet nie zaczęliśmy.

Uśmiechnął się do mnie jakby z wdzięcznością za moje słowa otuchy, a przede wszystkim za to, że zgodziłem się mu pomóc. Ale uśmiech szybko zniknął mu z twarzy i zapadła cisza, w której słychać było tylko szum deszczu.

* NHS (National Health Service) – odpowiednik polskiego NFZ.

4

Richard powiedział, że ma jeszcze trochę zajęć w kościele, dał mi klucz do swojej przyczepy i zaproponował, żebym tam na niego zaczekał. Wróciłem do samochodu i przez chwilę siedziałem, wsłuchując się w szum deszczu i próbując uporządkować myśli. Wciągnęła mnie jego opowieść i to wszystko, przez co przeszedł, i byłem już zdecydowany mu pomóc. Ale jednocześnie czułem pewną konsternację, i to nie tylko z powodu całkowitego odwrócenia zwykłego porządku rzeczy przy poszukiwaniu osób zaginionych, ale także dlatego, że nie bardzo wiedziałem, od czego zacząć. Nie mogłem zacząć od niego, od jego rodziny i pracy, od jego dawnych znajomości. Miałem zaledwie parę punktów zaczepienia: miejsce, gdzie go znaleziono, stan, w jakim go znaleziono, jego kilka niejasnych wspomnień oraz ludzie, którzy się z nim ostatnio zetknęli.

Odsunąłem od siebie wątpliwości, uruchomiłem silnik i ruszyłem w stronę kempingu. Znajdował się jakieś półtora kilometra od wybrzeża, wciśnięty między dwie farmy na południowym krańcu New Forest. Okolica była ładna, nawet w deszczu. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola uprawne, ogrodzone wysokimi żywopłotami i rzędami jesionów, które zaczynały już żółknąć na jesień. Z szosy kemping był niemal niewidoczny, ale drogę wskazywały tablice informacyjne. Na miejscu zobaczyłem, że jest to sześć placów, mniej więcej po dwa tysiące metrów kwadratowych każdy:

pięć dla przyjezdnych przyczep kempingowych, o tej porze roku świeące pustkami, oraz jeden dla przyczep stacjonarnych, które wyglądały jak białe kontenery, ustawione w ośmiu rzędach po dziesięć.

Chwilę później odnalazłem przyczepę Richarda. Stała w najdalszym kącie, wśród wysokich drzew. Wsiadłem z samochodu i rozejrzałem się w poszukiwaniu jakichś sąsiadów, ale stojące najbliżej przyczepy były ciemne i opuszczone; sprawiały wrażenie od dawna niezamieszkanym. Kawalek dalej przy kilku przyczepach zauważyłem ślady życia, świadczące o tym, że ktoś tam na stałe mieszka: wiszące koszyki, talerze satelitarne, sznury do suszenia prania, grille gazowe. Jednak większość przyczep najwyraźniej była nieużywana od wakacji. Nadawało to parkingowi niemiły wygląd zapomnianego krańca świata i otwierając drzwi przyczepy Richarda, zastanawiałem się, czy jest to dla niego najlepsze miejsce – życie tutaj musiało dodatkowo wzmacniać w nim poczucie opuszczenia.

Wnętrze przyczepy wyglądało dość standardowo – mała kuchenka na wprost wejścia, na lewo pokój dzienny z narożną kanapą, stolik z telewizorem i kilka szafek wiszących na wysokości głowy. Wąski korytarzyk po prawej stronie prowadził do dwóch małych sypialni i łazienki. Na stole był laptop podłączony do gniazdka, obok telewizora piętrzyła się sterta płyt DVD, książek i czasopism.

Idąc do części sypialnej, słyszałem walące w dach krople deszczu, jakby ktoś sypał żwir. W pierwszym pokoju ujrzałem niezasłane łóżko z wymiętą pościelą, na szafce obok niedopitą szklankę wody i opakowanie ibuprofenu. Po przeciwnej stronie korytarzyka mieściła się druga sypialnia z dwoma wąskimi łóżkami bez pościeli, a na jednym z nich stało kartonowe pudło.

Zajrzałem do niego – było pełne wycinków gazetowych, fotokopii i wydruków. Richard kolekcjonował materiały prasowe na swój temat.

Wziąłem do ręki pierwszą stronę „Daily Echo”. Pod dużym tytułem: ZAGUBIONY widniało zdjęcie Richarda, zrobione kilka dni po znalezieniu go w Coldwell Point. Patrzył prosto w obiektyw i wydawał się przestraszony i dezorientowany.

Przeniosłem pudło do pokoju dziennego, postawiłem je obok laptopa, po czym wróciłem do sypialni i zacząłem przeglądać ciuchy Richarda. Poszukując kogoś zaginionego, zwykle nie miałem oporów przed grzebaniem w jego ubraniach i w rzeczach, które były mu bliskie. Przeglądanie fotografii, na których widniał w otoczeniu członków rodziny, czy czytanie jego prywatnej korespondencji nie było dla mnie żadnym problemem, bo wiedziałem, że jeśli tego nie zrobię, może mi umknąć jakaś istotna wskazówka.

Tym razem jednak sytuacja przedstawiała się inaczej. Te ubrania były używane na co dzień, te szuflady były wciąż otwierane; wszelkie notatki, które zrobił, i wysłane maile stanowiły część jego aktualnego życia. Zaglądając do kieszeni dzinsów Richarda, czułem się jak intruz naruszający prywatność ograniczonej egzystencji, jaką zdołał sobie zorganizować.

Nie znalazłem niczego w szafach ani w ubraniach i nie natknąłem się na żadne fotografie. Nie było w tym nic dziwnego, zważywszy, że nie wiedział, kim jest, skąd pochodzi i jaką ma rodzinę, ale znaczyło to też, że moje pole poszukiwań drastycznie się zawężyło, co nie wyglądało na zachęcający początek. Wróciłem do pokoju i usiadłem przy stole, by przejrzeć zawartość pudła.

Na pierwszy rzut oka informacje prasowe były dość skromne i wszystkie zdawały się podążać tym samym utartym szlakiem. Mimo to ułożyłem je w porządku chronologicznym i zacząłem kolejno czytać. Starłem się odtworzyć w głowie bieg wydarzeń od chwili, gdy go znaleziono, od dwudziestego stycznia. Rozmawiał ze ściśle ograniczoną

liczbą przychylnych mu osób, w rodzaju Bartona z policji Hampshire, ludzi z organizacji dobroczynnej Zaczynaj od Nowa czy pastora Parsonsa, którzy zawsze stawali po jego stronie. Z tych rozmów, podobnie jak z rozmowy ze mną w kościele, wyłaniał się spokojny, elokwentny i dziwnie niedzisiejszy człowiek, chwilami nieśmiały, chwilami zakłopotany i pełen obaw.

Byłem ciekaw, czy ta jego potulność wynika z ostatnich przeżyć i jest reakcją na traumę utraty pamięci, czy też odzwierciedla jego dawną osobowość. I jeśli był taki potulny także przed odzyskaniem przytomności na przystani ratowniczej, to dlaczego? To rodziło dalsze pytania. Czy zawsze posługiwał się tak eleganckim językiem? Co mówiło to o jego wykształceniu, rodzinie, miejscu, w którym dorastał? Nie dawał mi też spokoju jego akcent, dziwna mieszanina dialektów. Zaskakująco niewiele osób zwróciło na to uwagę, ale może dlatego, że nie to było najbardziej intrygującym aspektem jego historii.

W sumie podjęto trzy oddzielne próby wykorzystania prasy: dwudziestego pierwszego stycznia, dwudziestego dziewiątego stycznia i dwunastego lutego. Widząc spadek zainteresowania prasy, można było wręcz sporządzić wykres bezcelowości jej wysiłków. Na fali pierwszej próby znalazłem aż trzy artykuły z pierwszych stron gazet – po jednym w „Echo” z Southampton i Bournemouth i jeden w „Heraldzie” z Plymouth. W związku z brakiem nowych doniesień w następnym tygodniu pojawiły się tylko ponowne apele o informacje, ale żaden nie trafił już na pierwszą stronę. Dziesiątki tysięcy słów na temat Zagubionego skurczyły się do paru tysięcy przy drugiej próbie, dwudziestego dziewiątego stycznia, a kiedy sprawę Richarda poruszono po raz trzeci, zamieniły się już tylko w krótkie notatki w wiadomościach lokalnych i łatwe do przeoczenia wzmianki na dalszych stronach gazet. Współczułem i jemu, i Parsonswi, bo choć wyraźnie robili, co mogli, by ponownie ożywić zainteresowanie opinii

publicznej, to niecały miesiąc po znalezieniu Zagubiony znów odchodził w zapomnienie.

Pojawiał się też niezamierzony aspekt sprawy. Włączenie się lokalnej prasy sprawiło, że wszystko stawało się historią kogoś miejscowego, znalezione na brzegu „naszej rzeki”. W rzeczywistości Richard mógł wcale nie pochodzić z Hampshire, z Dorset czy z Devonu, ani w ogóle z południowego wybrzeża, ale ponieważ sam nie wiedział, skąd pochodzi, po prostu robiono takie założenie, co dla miejscowej prasy stanowiło główny punkt zaczepienia, czemu trudno się dziwić. Szybko zaczęto więc przyjmować za pewnik, że Richard Kite jest człowiekiem stąd, a to prowadziło do niezamierzonego rozmycia całej sprawy. Jeśli nawet do ludzi w innych częściach kraju docierała wiadomość o poszukiwaniach, stwierdzenie, że rzecz dotyczy mieszkańca południowego wybrzeża, powodowało, że szybko tracili zainteresowanie.

To oczywiście nie znaczyło, że Richard nie mógł być stąd. Jego warczące, twarde „r” niewątpliwie pasowało do dialektów spotykanych w hrabstwach Dorset i Devon. Niemniej nic, co o nim przeczytałem w gazetach lub co sam mi powiedział, jak dotąd nie przesądzało sprawy.

Odsunąłem pudło i zabrałem się do laptopa.

Stary model HP, odrapany po bokach, klawiatura ciemna od brudu, zaplamiony ekran. Obok panelu dotykowego widniała niebieska naklejka z informacją, że sprzęt przeszedł regenerację w lokalnym serwisie komputerowym. Wpisałem hasło, które podał mi Kite, i wszedłem do wyczyszczonego, uporządkowanego komputera, z wykazem folderów i plików po prawej stronie pulpitu. Jeden z folderów zawierał skany kolejnych materiałów prasowych – część z nich pokrywała się z wycinkami, które już przeczytałem. W innym folderze znalazłem obrazy ściągnięte z internetu, setki fotografii różnych fragmentów wybrzeża,

zdjęcia nadmorskich klifów i zatok, fal o rozmaitym zabarwieniu i przeróżnych plaż: piaszczystych, kamienistych, żwirowych, białych jak kreda i szarych jak popiół. Było oczywiste, dlaczego się tu znalazły: Richard Kite próbował odszukać plażę, której obraz pozostał mu w głowie i która mogłaby przywołać jakieś inne wspomnienie, doprowadzić do czegoś więcej. Wszystko okazywało się jednak równie nieskuteczne jak artykuły w prasie.

Jeden z plików, composite.jpg, zawierał kolaż: używając programu do edycji, Richard zmontował z fragmentów różnych zdjęć jeden obraz, najlepiej oddający zapamiętany widok plaży. Efekt okazał się dość mizerny, pomyślałem jednak, że ten kolaż może się przydać choćby dlatego, że widok, który opisał mi Richard, był prawie identyczny, ale nie do końca. Richard wspominał tylko o pustej plaży, lecz w jego kompozycji na pierwszym planie znalazł się pas trawy, a dopiero za nim ciągnął się piasek. Czy był to trawnik posesji, z której patrzył, czy pasmo trawy na plaży?

Grzebałem dalej, ale moją uwagę zwrócił jedynie dokument Worda, w którym Richard zawarł wszystkie znane mu informacje o sobie.

Mam na imię Richard.

Umiem pływać.

Umiem prowadzić samochód.

Część dzieciństwa spędziłem nad morzem.

Pamiętam program telewizyjny, w którym

W tym miejscu wykaz się urywał.

Wspomnienie programu telewizyjnego nie było całkiem pewne, podobnie zresztą jak plaża z czasów dzieciństwa. Wiedział, że umie pływać, bo pewnie kąpał się w basenie lub w morzu; wiedział, że umie prowadzić, bo w którymś momencie usiadł za kierownicą samochodu i nawet jeśli nie wyjechał nim na drogę, coś mu zaskoczyło. To był odruch, instykt, coś, co

tkwiło w nim głęboko i wypłynęło na powierzchnię. Bardzo możliwe, że tak samo było z programem telewizyjnym oraz wspomnieniem plaży, jednak nie mógł być tego pewien, bo nie miał na to dowodu. Pamiętał plażę, ale nie potrafił jej odnaleźć. Pamiętał program telewizyjny, ale równie dobrze mógł to być obejrzany w internecie filmik lub reklama, lub choćby obrazek w komiksie czy czasopiśmie, który ożywiła jego pamięć. Nawet jego imię było oparte tylko na odczuciu, nie na twardym fakcie. Dlatego poleganie na wspomnieniach bywa ryzykowne.

Umysł potrafi zmyślać.

Znów popatrzyłem na wykaz, przebiegłem wzrokiem pierwsze trzy wiersze i zrobiło mi się żal Richarda Kite'a. Jego lista była chyba najsmutniejszym tekstem, jaki kiedykolwiek czytałem. Związałem odzwierciedleniem tego, czym stało się jego życie dziewięć miesięcy po ocknięciu się w nieznanym świecie. Był pozbawiony życiowej kotwicy. Nie dawało się zakończyć jego historii, bo jego historia nawet się nie zaczęła. Był pięcioma linijkami tekstu, w tym jedną niedokończoną.

Prasa miała rację w jednym punkcie.

Był człowiekiem zagubionym.

5

Przed powrotem Richarda do przyczepy zdążyłem jeszcze przejrzeć jego maile i wykaz połączeń.

W skrzynce odbiorczej była tylko jedna ciekawa wiadomość: sporządzony przez pastora Parsonsa raport, oparty na różnych źródłach, takich jak relacje detektywa posterunkowego Bartona, doniesienia medialne i internetowe oraz wiadomości zebrane przez organizację Zaczynij od Nowa. Nie były to akta sprawy w tradycyjnym sensie, ale niewiele się od nich różniły. Wysłałem całość mailem na swój adres i zająłem się kontem telefonicznym Richarda.

Wcześniej podał mi nazwę użytkownika i hasło, więc zalogowałem się do jego konta i ujrzałem na ekranie wykaz wszystkich jego połączeń i esemesów od drugiego lutego, kiedy to kupił telefon komórkowy, do dwudziestego czwartego października, czyli do wczoraj. Odbył niewiele rozmów i wysłał jeszcze mniej esemesów. Przy numerach nie było żadnych imion ani nazwisk, ale bez trudu je zidentyfikowałem. Najczęściej dzwonił do kierownika kempingu, do gabinetu Naomi Russum, swojej terapeutki, i pod numer stacjonarny i komórkowy pastora Parsonsa. Pozostałe połączenia były równie niewinne. W pierwszych kilku miesiącach Richard często telefonował pod numer 0345 – okazało się, że to infolinia ubezpieczenia społecznego. Dzwonił też kilka razy do dziennikarza

z „Daily Echo”, do posterunkowego Bartona z policji Hampshire i do gabinetu miejscowego lekarza, gdzie w ciągu początkowych tygodni przechodził badania. Powtarzały się wciąż te same numery.

Wybrałem numer Naomi Russum, by nawiązać z nią kontakt i umówić się na spotkanie, ale był zajęty. Spróbowałem ponownie po dziesięciu minutach – nadal zajęty. Chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o amnezji dysocjacyjnej, wszedłem do sieci i wyszukałem numery paru innych przychodni, ale wszędzie bezceremonialnie mnie zbywano i dopiero gdy się dodzwoniłem do gabinetu w Londynie i przedstawiłem sprawę psychoterapeucie od schorzeń dysocjacyjnych, niejakiemu Matthew Wilsonowi, udało mi się zainteresować go przypadkiem Richarda.

– Nie mogę nic panu powiedzieć o Richardzie, bo go nie znam i nigdy go nie leczyłem – oświadczył – ale typową amnezją dysocjacyjną nazywa się stan, w którym pacjent traci takie wiadomości o sobie, jakich nie utraciłby w procesie zwykłej utraty pamięci. Chodzi o tak zwaną pamięć autobiograficzną. Niektórzy pacjenci mogą utracić wszystko, łącznie z dobrze znanymi im umiejętnościami i swoją wiedzą o świecie, choć to rzadkie przypadki. Dużo częściej się zdarza, że zapomniane informacje, kim się jest, skąd się pochodzi, życiorys, rodzina i tak dalej, przestają być dostępne dla bieżącej świadomości, ale nadal wpływają na zachowanie.

– W jakim sensie? – spytałem.

– Powiedzmy, że mamy do czynienia z dzieckiem, które bezwzględny rodzic przez lata regularnie zamykał w piwnicy. Ktoś taki, cierpiąc na amnezję, może bać się piwnic lub wręcz odmawiać wchodzenia do nich, mimo że nie pamięta doznanej przemocy i nie rozumie swego lęku przed piwnicą. Po prostu się jej boi.

– Czy utracone wspomnienia powracają?

– Czasami tak.

– Ale czasami nie?

– U każdego przebiega to inaczej. Mogą powrócić tylko niektóre wspomnienia, mogą wszystkie, a mogą też nie wrócić żadne. Niestety, nie da się tego przewidzieć z jakąkolwiek pewnością. Jedyne, co obserwuję regularnie, to wpływ choroby na zachowanie. Pacjenci często z trudem nawiązują kontakty z ludźmi, łatwo wpadają w depresję, miewają skłonności samobójcze. Domyśla się pan, jakim wstrząsem dla umysłu jest taka amnezja i jak trudno się z nią pogodzić.

To wydawało mi się dość oczywiste.

Po rozmowie z Wilsonem, patrząc na pudło z wycinkami, laptopa i otaczającą mnie bezosobową pustkę przyczepy, myślałem o tym, jak mało wciąż wiem o Richardzie, i znów poczułem lekki niepokój. Postanowiłem go zignorować i zająłem się pobieraniem esemesów Richarda, historii połączeń telefonicznych i wejść do internetu, ale kiedy skończyłem, uczucie niepokoju wcale nie minęło. Czekaając na powrót Richarda, zacząłem się po raz pierwszy zastanawiać, czy przyjęcie tej sprawy nie było z mojej strony błędem.

6

Richard Kite wrócił kwadrans po czwartej, przemoknięty do suchej nitki. Patrzyłem z przyczepy, jak jedzie rowerem przez pusty kemping i skręca w moją stronę. Na ramionach miał plecak i był w niebieskim płaszczu przeciwdeszczowym i szarej czapce, tak jak w kościele.

Wszedł do przyczepy, spojrzał na mnie, przewrócił wymownie oczami i zsunął kaptur płaszcza.

– W takie dni jak ten żałuję, że nie mam prawa jazdy – powiedział.

– Nastawić czajnik? – spytałem z uśmiechem.

– Byłoby świetnie.

Poszedł do sypialni się przebrać, a ja zerknąłem na swój telefon i stwierdziłem, że mam nieprzeczytanego esemesa. Był od mojej córki Annabel. Odpisałem, że się do niej odezwę, jak już będę w domu. Po chwili wrócił Richard, w spodniach od dresu i zielonym T-shircie z nazwą kempingu na przodzie. Po raz pierwszy był bez czapki i mogłem zobaczyć jego włosy: długie na czubku głowy, zaczesane do tyłu i podgolone po bokach. Nieco ciemniejsze w miejscach, gdzie jeszcze były mokre, miały kolor od rudego po brąz, w zależności od kąta padania światła.

– Jak minęła reszta dnia? – spytałem.

Wzruszył ramionami, wyciągnął ku mnie dłonie i je obrócił. Miał na palcach świeże skaleczenia i na całej skórze siateczkę otarć.

– To od cierni ogników – wyjaśnił.

Podał mi kubek herbaty.

– Przejrzałem twoje pudło z wycinkami i komputer. Widziałem tę kompozycję zdjęć z różnych plaż.

– Nie za dobrze posługuję się edytorem zdjęć.

– Nie zamierzam cię krytykować. Wysłałem ten kolaż mailem na swój adres, bo uważam, że jest całkiem interesujący. I chcę cię o coś spytać. – Ściągnąłem obraz na ekran. – Ten pas zieleni na pierwszym planie. To ma być trawnik przed domem czy trawa na plaży?

Usiadł na kanapie i wbił oczy w ekran laptopa.

– Sam nie wiem – odparł.

– Ale myślisz, że tak mogło wyglądać miejsce, gdzie dorastałeś?

Znów przeniósł wzrok na ekran i z napięciem wpatrywał się w obraz. W końcu pokręcił głową, a głos najwyraźniej uwiązł mu w gardle.

– Nie wiem – zdołał tylko wykrztusić.

Zaczynało się to powtarzać jak refren, ale wolałem go zbyt nie naciskać, bo czując presję, mógłby wygrzebywać z mroku niepamięci obrazy niezupełnie zgodne z prawdą. Im mocniej będę cisnął, tym bardziej poczuje się w obowiązku, żeby udzielić mi jakichś informacji, a tego chciałem uniknąć. Ale jednocześnie wiedziałem, że z okruchów może powstać ważna całość, jak z pojedynczych maźnięć pędzla tworzy się cenny obraz.

– Wiesz, co jest dziwne? – odezwał się. – Nigdy nic mi się nie śni.

Ta nagła zmiana tematu trochę mnie zaskoczyła.

– Jak to?

– Po prostu nigdy nie mam snów. Nigdy.

– Od dziewięciu miesięcy ani razu nic ci się nie śniło?

– Ani razu. W każdym razie nie pamiętam. To tak jakby... – Wypuścił z sykiem powietrze i zapadł się w sobie jak przekłuty balon. – Jakby ta część mnie przestała istnieć.

Zapadło ciężkie milczenie. Szukałem w myślach czegoś, co mógłbym powiedzieć, żeby go jakoś pocieszyć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Spojrzałem na zegarek.

Wpół do piątej.

Do zachodu słońca zostało około półtorej godziny, a po kolejnej półgodzinie zrobi się zupełnie ciemno. Dopilem herbatę i włożyłem płaszcz.

Richard popatrzył na mnie ze zdziwieniem.

– Masz ochotę na przejażdżkę? – spytałem.

– Hm... dobrze. A dokąd?

– Chciałbym zobaczyć to miejsce, gdzie cię znaleziono.

7

Przejechaliśmy New Forest i wyjechaliśmy na autostradę, łagodnym łukiem okrążającą Southampton. Po drodze Richard opowiadał o pracy, o sporcie i o programach, które oglądał w telewizji przez minione dziewięć miesięcy. Szybko uzmysłowiłem sobie, że są to dla niego ważne rzeczy. Nie dlatego, że się nimi pasjonował – choć możliwe, że tak – ale dlatego, że dzięki nim mógł nawiązywać rozmowy ze zwykłymi ludźmi. Tak znacząca część jego życia była białą plamą i tak wiele jego kulturowych odnośników zniknęło, że pogawędka o zawodach sportowych z ostatnich dziewięciu miesięcy, o filmach i programach telewizyjnych, jakie widział w tym czasie, a nawet o wydarzeniach politycznych, o których dowiedział się z wiadomości, pozwalała mu nie czuć się Zagubionym. Stawał się znów uczestnikiem rozmów, zamiast być tylko ich przedmiotem.

Po siedemdziesięciu pięciu minutach jazdy dotarliśmy do Coldwell Point, długiego ciągu betonowych parkingów, ograniczonych rzeką Hamble po prawej stronie i Southampton Water z przodu. Przystań RNLI mieściła się na skrawku lądu przy samym ujściu rzeki do zalewu i miała pochylnię do spuszczenia łodzi na wodę.

Z parkingu prawie nie widziało się ujścia rzeki Hamble. Przed nami ciągnęła się ogromna połać zalewu Southampton Water, rozszerzającego się w kształcie litery V, w miarę jak oddalał się od miasta w kierunku cieśniny

Solent. Na przeciwległym brzegu, w odległości około dwóch kilometrów, widać było idealnie płaski kawałek ziemi ze sterczącymi w niebo kominami i wieżyczkami zabudowań fabrycznych oraz ogromne cielska zacumowanych kontenerowców. Deszcz wreszcie ustał, niebo się przejaśniło i nawet ten ponury fabryczny pejzaż wyglądał lepiej w promieniach zachodzącego słońca, które barwiło na czerwono resztki chmur. Ale jeśli wcześniej miałem nadzieję, że znajdę tutaj coś, co mi podpowie, jak i dlaczego Richard Kite się tu znalazł, to teraz jasno dotarło do mnie, że nasza wycieczka zakończy się niepowodzeniem.

Wysiedliśmy z samochodu.

Przez chwilę przyglądałem się, jak Richard stoi wpatrzony w jakiś punkt z pięć metrów od nas, po czym wędruje wzrokiem wzdłuż półwyspu, w stronę przystani RNLI i dalej, do miejsca, gdzie parkował czyjś kamper. Para, która nim przyjechała, robiła zdjęcia zalewu, na przenośnej kuchence stał czajnik.

Zatrzasnąłem drzwi i obszedłem samochód od przodu. Richard, wciąż chłonąc ten widok, powrócił spojrzeniem do miejsca, od którego zaczął. Domyślałem się, że to właśnie tutaj dziewięć miesięcy temu odzyskał przytomność. Parking i cały teren aż do przystani był ogrodzony, choć ogrodzenie można było bez trudu pokonać i zejść do wody, bo miało zdecydowanie symboliczny charakter i nie służyło ochronie. Za ogrodzeniem ciągnęła się blada kreska żwiru, która wytyczała obrys całego półwyspu.

– Tam – powiedział. – Tam mnie znaleźli. – Wskazał ręką miejsce w połowie drogi między nami a przystanią RNLI, któremu wcześniej się przyglądał.

Ruszyłem po płycie parkingu, a on z ociąganiem poszedł za mną. Światło dnia wokół nas szybko bladło, tarcza słońca wtapiała się

w horyzont, wody zalewu lśniły wieczornymi błyskami. Miejsce znalezienia Richarda niczym się nie wyróżniało – taka sama mieszanina żwiru, kamieni i piasku, jaką widać było wszędzie dookoła.

Przed przystanią RNLi nie paliły się lampy, na parkingu przed wejściem nie stały żadne samochody. Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie należałoby zostać tu dłużej i porozmawiać z ludźmi, którzy znaleźli Richarda, a także z wielebnym Parsonsem, dziś nieobecnym, jednak postanowiłem najpierw zapoznać się z raportem pastora. Jeśli uznam rozmowę z nim za konieczną, przyjadę tutaj ponownie.

Rozejrzałem się, by sprawdzić, czy niczego nie przeoczyłem: jakieś odstępstwa od normy w układzie parkingu, coś, co nie pasowało do tego miejsca, co mogłoby mi podpowiedzieć, dlaczego Richard znalazł się właśnie tutaj – ale nic takiego nie dostrzegłem. Jak mówił, tamtego dnia kamera monitoringu była zepsuta. Gdzie mogła być najbliższa działająca kamera? Przy głównej drodze, półtora kilometra stąd? Na przeciwległym brzegu zalewu? Odpowiedzi na te pytania zawierał może raport Parsonsa, ale jedno było pewne: nawet jeśli w tym rejonie są inne kamery monitoringu, i tak nie dowiem się z nagrań, jak to się stało, że Richarda Kite'a znaleziono właśnie tutaj.

Odwróciłem głowę i znów mu się przyjrzałem.

Stał tuż przy ogrodzeniu, niemal dotykając go kolanami, i wpatrywał się w ziemię. Za nim widać było statki prujące wody zalewu – ogromne tankowce wolno sunęły na południe, motorówki i jachty zostawiały na wodzie krzyżujące się kilwatery, które fale morskie wygładzały i pędziły w naszą stronę. Gdy w końcu uniósł głowę, słońce już znikło i niebo mroczniało, jakby dopasowując się do wyrazu jego twarzy.

To miejsce nie kryło w sobie żadnych odpowiedzi, tak jak nie kryło ich w chwili, kiedy się tu ocknął, zakrwawiony i zapomniany.

8

Wróciłem do domu tuż przed dziewiątą. Zalegała w nim głucha cisza, jak zawsze od śmierci mojej żony, ale panował też chłód i atmosfera opuszczenia, do czego trudniej było przywyknąć. Mogłem napalić w kominku i pozapalać wszystkie światła, co by ogrzało i rozjaśniło cały dom, wiedziałem jednak, że to i tak nie uwolni mnie od poczucia samotności.

Wziąłem prysznic, przebrałem się w domowe ciuchy i zadzwoniłem do Annabel.

Choć miała dwadzieścia osiem lat, znaleźliśmy się dopiero od czterech. Wszystko przedtem było kłamstwem, najpierw opowiedzianym mnie, potem powtórzonym jej. Odrabialiśmy stracony czas, ale Annabel mieszkała na krańcach Dartmoor, co nie ułatwiało nam życia. Kilka razy rozmawialiśmy o jej przeprowadzce do Londynu lub moim przeniesieniu się do Devonu – gdzie kiedyś mieszkałem – aby być bliżej siebie. Ale sprawę komplikowała moja praca oraz to, że Annabel miała dwunastoletnią siostrę Olivię, dla której była całym światem, i nasze plany kończyły się na niczym. Oboje byliśmy dorosłymi ludźmi, zanim się poznaliśmy, i każde z nas od dawna miało swoje życie.

- Hej – rzuciła do słuchawki.
- Hej, kochanie. Co u ciebie?

– Całkiem nieźle – odparła, choć nie zabrzmiało to przekonująco. – To znaczy życie z Liv to koszmar, ale tego nie muszę ci mówić.

– A co znów zbroiła?

– To co zwykle. Ma dwanaście lat. Kazesz jej coś zrobić, a ona robi coś dokładnie odwrotnego. Łatwiej byłoby mi dogadać się z drzewem.

Annabel i Olivia nie były rodzonymi siostrami, ale zawsze żyły w przekonaniu, że nimi są. Matka i ojciec Olivii – ludzie, o których Annabel zawsze myślała jako o swoich rodzicach – już nie żyli. Annabel miała dość napięte stosunki ze swoją prawdziwą matką i zdawałem sobie sprawę, że w momentach kryzysu obowiązki rodzicielskie spadają na mnie, tyle że nigdy nie wiedziałem, jak się włączyć. Oferowanie Annabel pomocy było niezręczne, bo nie miałem żadnego doświadczenia w wychowywaniu dwunastoletniej dziewczynki. W ogóle nie miałem doświadczenia z dziećmi.

Mimo to starałem się cierpliwie wysłuchać jej utyskiwań. Następnie Annabel zaczęła mówić o swojej pracy instruktorki tańca i dramatu scenicznego, a kiedy spytała, co u mnie i nad czym teraz pracuję, opowiedziałem jej o Richardzie.

– Chyba coś sobie przypominam – skomentowała.

– Tak, w styczniu trafił na pierwszą stronę „Heralda”. Dlatego wydał mi się znajomy. Chyba musiałem być wtedy u ciebie, bo historia była głośna, choć tylko na południowym wybrzeżu.

– I nic nie pamięta?

– Jakieś okruchy, ale nic istotnego.

– Nawet swojego nazwiska?

– Nie wie, jak się nazywa, ile ma lat, czy ma rodzinę i przyjaciół, nic nie wie.

– Kurczę – rzuciła cicho. – Biedak.

– No – przytaknąłem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Jak w ogóle można się znaleźć w takim stanie?

– W wyniku jakiejś głębokiej traumy, wypadku, fizycznej napaści, przeżyć wojennych, katastrofy. Chodzi o to, że wspomnienia nie zniknęły, tylko zostały głęboko zagrzebane. Niektóre mogą się samoistnie ujawnić, inne nie. Dlatego przechodzi terapię i dlatego zastosowano hipnozę. Starają się wydobyć te jego wspomnienia na powierzchnię.

– Ale się nie udaje.

– Jak dotąd nie.

– Pomyśleć, że można nie pamiętać własnego nazwiska albo swojej rodziny – powiedziała Annabel, po czym oboje zamilkliśmy, każde z własnych przyczyn.

Popatrzyłem na fotografie córki, Olivii i mojej żony, Derryn, które w ciągu ostatnich sześciu miesięcy stopniowo wydobywałem z zapomnienia i wieszałem na ścianie. Zacząłem to robić po tym, jak rozpadł się mój ostatni związek. Powrót do wspomnień z dawnego życia sprawiał mi ulgę.

Derryn była kobietą, z którą łączyła mnie silniejsza więź niż z kimkolwiek innym w całym moim życiu. Rozumiałem ją, a ona rozumiała mnie i wszystkie moje wady. I wiedziała, co zrobić, by mnie od nich uwolnić. Ufałem jej i kochałem ją – i nawet po ośmiu latach od jej śmierci czasami tęskniłem za nią tak, że aż bolało.

Czułem się samotny, ale przynajmniej miałem jej fotografie.

Miałem wspomnienia.

Richard Kite nie miał nic.

9

Obudziłem się wcześniej, wyszedłem pobiegać i wróciłem jeszcze przed wschodem słońca. Nim zdążyłem wziąć prysznic i zjeść śniadanie, czterdziestostronicowy raport pastora Parsonsa na temat Richarda Kite'a leżał już wydrukowany na tacy mojej drukarki.

Zabrałem go do salonu i zacząłem od informacji, które przekazał Parsonsi i Richardowi detektyw Barton – przyjąłem je za punkt wyjścia do mojej dalszej pracy. Wiedziałem, że nie znajdę tam wszystkiego, co ustaliła policja, ale – zważywszy, że sprawa już utknęła w martwym punkcie i brak było ofiary jako takiej, a więc nie obowiązywały tradycyjne zasady utrzymywania w tajemnicy informacji, materiału dowodowego i ewentualnych poszlak – to mi na razie wystarczało. Jeśli będę chciał później zajrzeć do akt policyjnych, mogłem liczyć na moje dawne kontakty z czasów pracy dziennikarskiej.

Szybko się okazało, jak trudno sklasyfikować przypadek Richarda Kite'a. Nie było to zwykłe dochodzenie, bo nic nie świadczyło niezbicie o tym, że doszło do przestępstwa. Barton poinformował Parsonsa, gdzie i w jakim stanie znaleziono Richarda – jak był ubrany i że brakowało jednego buta – oraz dość szczegółowo opisał jego skaleczenia i otarcia na lewej stronie twarzy. Przekazał też wstępne wyniki badań kryminalistycznych, z których wynikało, że pod śladami obrażeń

w okolicach lewego oczodołu, na lewym policzku i na brodzie doszło do uszkodzenia tkanki podskórnej, możliwe, że od uderzeń tępym narzędziem. To by wskazywało, że Richard stał się ofiarą napaści, ponieważ jednak nic nie pamiętał i nie było sposobu, by jednoznacznie określić to narzędzie, specjaliści medycyny sądowej nie mogli wydać definitywnego orzeczenia.

Czytałem dalej. Testy laboratoryjne wykazały na dłoniach Richarda ślady podchlorynu wapnia, który jest głównym składnikiem tabletek do chlorowania wody w basenach kąpielowych. W formie sproszkowanej używa się go również do odkażania wody pitnej. Richard twierdził, że jest dobrym pływakiem, ale co mogło być jeszcze ważniejsze – jeśli domysły Bartona były słuszne – ten związek chemiczny występuje także w lakierach i woskach, rozpuszczalnikach oraz olejach i płynach hydraulicznych. Jeśli Richard był z zawodu mechanikiem lub rzemieślnikiem, jego dłonie mogły mieć częstą styczność z tego typu substancjami. Testy poszerzono o szukanie śladów innych chemikaliów, w nadziei, że uda się zidentyfikować źródło pochodzenia podchlorynu wapnia i ustalić, na przykład, konkretny typ oleju, ale wyniki nie były jednoznaczne. Składano to na karb działania wody morskiej. Być może Richard przeleżał wiele godzin w Coldwell Point i w związku z przyływami i odpływami fragmenty jego ciała mogły być przez jakiś czas całkowicie zanurzone w wodzie. Woda morska stałaby się wtedy czynnikiem zanieczyszczającym, co zniekształciłoby lub całkowicie zafałszowało wyniki testów. Zrobiłem sobie notatkę i czytałem dalej.

Policja Hampshire doszła do wniosku, że istnieją tylko trzy możliwe powody tego, że Richard znalazł się właśnie w tym miejscu. Pierwszy powód: sam z jakichś nieznanых przyczyn udał się do Coldwell Point i tam go napadnięto. Drugi: napadnięto go gdzie indziej, stracił przytomność,

a wtedy przewieziono go do Coldwell Point i zostawiono. Trzeci: wyrzuciło go tam morze.

Pierwsze dwa brzmiały bardziej prawdopodobnie, nie tylko ze względu na rodzaj jego obrażeń. Szukając dowodów na trzecią teorię, sprawdziłem badania lekarskie. Wynikało z nich, że nie nałykał się zbyt wiele wody morskiej, a na jego ciele brak było obrażeń wskazujących na walkę o utrzymanie się na powierzchni. To raczej wykluczało, że wyrzuciła go fala przyprływu lub że sam dopłynął do brzegu. Wprawdzie to drugie nie było całkiem niemożliwe, zwłaszcza że Richard uważał się za dobrego pływaka, ale w miejscu, gdzie go znaleziono, Southampton Water ma ponad półtora kilometra szerokości, więc przepłynięcie takiego dystansu stanowiłoby nie lada wyczyn. Były też inne pytania związane z tą teorią. Jeśli płynął łodzią, to dlaczego trafił za burtę? Czy znajdował się w tej łodzi wbrew swojej woli? Czy z niej wypadł, czy może wyskoczył, próbując uciec? Jeśli tak, to dlaczego jego prześladowcy nie popłynęli za nim do brzegu? Zakładając, że wypadł za burtę i że nie taki był plan, nie mogłem zrozumieć, dlaczego ktoś go najpierw porywa, a potem pozwala mu uciec. I jeśli nawet przyjąć, że ucieczkę zauważono znacznie później, dlaczego nie zawrócono? Wydawało się dużo bardziej prawdopodobne, że Richard stał się ofiarą napaści.

Zwróciłem uwagę na jeszcze dwie inne, drobniejsze sprawy.

Po pierwsze, tatuaż Richarda. Zajrzałem do opisu jego cech fizycznych – wzrost, waga, kolor oczu, kolor włosów oraz inne, trudniejsze do zmierzenia informacje – i w punkcie ZNAKI SZCZEGÓLNE natrafiłem na wzmiankę o tatuażu. Znajdował się na jego lewym ramieniu, niecałe trzy centymetry od łopatki, i miał pięć centymetrów wysokości i cztery szerokości. W raporcie zamieszczono wyraźny rysunek tatuażu. Pochyliłem się, lekko wodząc palcem po obrysie rysunku.



To była sylwetka ptaka w locie.

Czy to przypadek, że miał taki tatuaż i przybrał nazwisko oznaczające coś, co lata? Nikt w raporcie tego nie wychwycił, a Richard też nie wspomniał nic o tatuażu ani o jego pochodzeniu. Zrobiłem w tej sprawie notatkę i czytałem dalej.

Po drugie, we wszystkich protokołach figurował jako Richard, a nie jako pan Kite, Richard Kite czy tylko Kite, bo sporządzono je, zanim wymyślił dla siebie to nazwisko. To jeszcze bardziej podkreślało fakt, że jest kimś zagubionym w systemie, wyizolowanym i oderwanym od rzeczywistości. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jak ważne jest dla człowieka nazwisko, teraz jednak dotarło to do mnie z całą mocą: nazwisko jest niezbędne, aby znaleźć swoje miejsce w systemie. Ludzie wciąż walczą z systemem, nie chcąc być trybikiem w maszynie i pozycją w bazie danych. Ale łatwiej walczyć, gdy jest się częścią systemu. Kiedy przydzielono ci tożsamość i numer ewidencyjny, w portfelu masz karty do bankomatu, a ludzie nie patrzą na ciebie podejrzliwie, jak wtedy, gdy im mówisz, że nie pamiętasz swojego nazwiska, że umiesz prowadzić samochód, ale ci nie wolno, lub że nie możesz mieć konta w banku, tak jak wszyscy.

Nazwisko jest niczym, ale tylko do chwili, kiedy staje się wszystkim. A ekonomicznie, biurokratycznie i towarzysko było ono dla Richarda Kite'a wszystkim.

10

Po wczorajszej nieudanej próbie skontaktowania się z psycholożką Richarda Kite'a zatelefonowałem ponownie. Tym razem dodzwoniłem się do sekretarki Naomi Russum. Oświadczyła mi, że jej szefowa ma kalendarz spotkań wypełniony po brzegi i będzie jej trudno znaleźć dziś dla mnie czas, ale gdy wspomniałem, że chodzi o sprawę Richarda Kite'a, kazała mi poczekać. Po chwili zostałem przełączony, znów chwila czekania – i wreszcie usłyszałem głos Russum.

– Pan Raker?

Miała miły, melodyjny głos. Wcześniej zajrzałem na jej stronę internetową i znalazłem fotografię. Wyglądała na czterdzieści kilka lat, szczupła, piwne oczy, oliwkowa cera i ciemne włosy przycięte na pazia. Jej klinika nazywała się Aldgate i mieściła się na zachodnim krańcu Aldgate High Street. Russum zatrudniała trzy osoby – jednego psychologa i dwie konsultantki psychiatryczne. Z jej CV wynikało, że pracowała naukowo w londyńskim King's College i wykładała zarówno na uczelniach państwowych, jak i prywatnych.

– Dziękuję, pani doktor, że znalazła pani dla mnie chwilę.

– Dzwoni pan w sprawie Richarda?

Poinformowałem ją, że zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc.

– Chyba liczy na to, że odnajdę jego tożsamość – wyjaśniłem i zamilkłem, czekając na jej reakcję. Nie odezwała się. – Pragnę zapewnić, że nie zamierzam wchodzić pani w drogę – dodałem. – Pomyślałem tylko, że moglibyśmy wzajemnie sobie pomóc.

– Nie bardzo wiem jak.

Nie była opryskliwa – w każdym razie nie zabrzmiało to w ten sposób – dawała mi tylko do zrozumienia, że nie widzi pola do naszej współpracy. Rozpatrywała przypadek Richarda z klinicznego punktu widzenia, podczas gdy moje podejście było emocjonalne i bardziej intuicyjne. W moich działaniach była metoda, ale nie taka, jaką ona stosowała w sesjach. Czułem też, że odmówi mojej ewentualnej prośbie, abyśmy dzielili się wynikami naszych ustaleń. Nie oczekiwałem, że ujawni mi swoje wnioski, zebrane dane i przebieg sesji z Richardem, ale ona na wszelki wypadek postawiła sprawę jasno.

– Czy moglibyśmy się spotkać? – spytałem.

– Po co?

– Nasza rozmowa mogłaby się okazać przydatna.

– Dla kogo?

Nie odpowiedziałem i w słuchawce zapadła długa cisza.

– No dobrze – odezwała się w końcu z westchnieniem. – Choć wątpię, żeby na cokolwiek się to zdało.

– Dziękuję.

Kiedy powiedziała, że spotka się ze mną o siedemnastej, pospiesznie się rozłączyłem, żeby nie zdążyła zmienić zdania. Prawdę mówiąc, sam nie bardzo wiedziałem, czego po tym spotkaniu oczekuję, czułem jednak, że powinienem się z nią spotkać, bo była jedną z osób, które spędziły dużo czasu z Richardem Kite'em.

Choć nie jedyną.

Po dłuższych poszukiwaniach dotarłem w końcu do Simona Griffina i Rory'ego Yarkleya, dwóch pracowników przystani ratowniczej, którzy znaleźli Richarda na brzegu Southampton Water. Obaj, niezależnie od siebie, wyrazili żal, że nie utrzymują z nim kontaktu, i wydawali się autentycznie przejęci jego losem, żaden jednak nie dodał wiele do tego, co już wiedziałem.

Wreszcie dodzwoniłem się też do pastora Colina Parsonsa, z którym nie udało mi się skontaktować poprzedniego dnia. Mówił łagodnym, pełnym empatii tonem, co skojarzyło mi się z zatroskanym rodzicem, i być może właśnie kimś takim – z braku prawdziwego ojca, matki czy jakiegokolwiek rodziny – stał się dla Richarda. W rozmowie próbowałem nakierować jego uwagę na rzeczy, które Richard pamiętał, a nie te, z którymi się zmagał, bo tak naprawdę tylko one mogły mnie dokądś zaprowadzić.

– Niekiedy wydaje się kompletnie rozkojarzony – powiedział pastor. – Mówił panu o swoim uporczywym wspomnieniu, że dorastał gdzieś przy plaży, nad brzegiem morza?

– Tak, mówił.

– Męczyło go to od samego początku. Nie było mnie przy nim, kiedy go znaleźli. Wtedy zajmowali się nim policjanci i władze administracyjne. Dopiero później postanowiłem zadziałać. Przeczytałem o nim w jednej z miejscowych gazet i zrobiło mi się go żal. Nazwali go Zagubionym. Wyglądał na strasznie samotnego, więc zadzwoniłem na policję Hampshire i powiedziałem, że jeśli chce, może zatelefonować do mnie do kościoła, a ja zrobię wszystko, żeby mu pomóc. Odezwał się jakieś dwie godziny później.

Wróciłem do czegoś, co mówił chwilę wcześniej.

– Wspomniał pastor, że czasami Richard wydaje się kompletnie rozkojarzony. Dzieje się to w odniesieniu do jakichś konkretnych spraw czy też wynika z jego ogólnego stanu?

– Powiedziałbym, że jedno i drugie, chociaż te rzeczy się łączą. Amnezja dysocjacyjna z samej natury powoduje rozkojarzenie, ale w ciągu minionych miesięcy zdarzało się, że mówił coś, co zupełnie nie pasowało do reszty. – Zawiesił głos. – Chyba niezbyt jasno się wyrażam, prawda? Chodzi mi o to, że to jego wspomnienie plaży wciąż się powtarza, ale od czasu do czasu przedstawia ten obraz nieco inaczej.

– W jakim sensie inaczej?

– Nagle przypomina sobie jakieś domy albo ludzi na plaży. Raz nawet powiedział, że to chyba było popularne nadmorskie uzdrowisko. Ale najbardziej mnie zaskoczyło, jak kiedyś oświadczył, że to morze to wcale nie morze, tylko rzeka, a po jej drugiej stronie było miasto. Powiedział, że pamięta wysokie budynki, długie ulice, samochody i duży ruch uliczny... tego typu rzeczy.

– I co pastor na to?

– „Nigdy dotąd nie wspominałeś o mieście”, powiedziałem mu, a on na to: „Bo nigdy dotąd go nie widziałem”. Tak jakby sam był tym zdumiony.

– I nagle je zobaczył?

– Nagle je zobaczył.

– Kiedy to było? – spytałem.

– Nie wiem. Jakies cztery, pięć miesięcy temu.

– Nic mi nie mówił o mieście.

Parsons westchnął.

– Bo potem ten obraz znów jakby mu się rozmył.

– Czyli to wspomnienie o mieście nie trwało długo?

– Nie. Jakiś tydzień później spytałem: „Przypomniałeś sobie coś więcej o tym mieście?”, a on pokręcił głową i odparł: „Nie jestem pewien, czy tam w ogóle było jakieś miasto”. Tak to z nim jest. Czasami zmienia swoją opowieść, po czym wraca do poprzedniej wersji.

– Myśli pastor, że kłamie?

– Och, nie. Nie, nie, absolutnie nie. Nawet nie przemknęło mi przez myśl, że mógłby okłamywać mnie lub kogokolwiek. Ale sądzę, że jest głęboko zaburzony. Wydaje mi się, że cierpi na coś w rodzaju... nie wiem, jak to się nazywa, nie jestem lekarzem, ale nazwałbym to zaburzeniem emocjonalnym. Coś mu przyjdzie do głowy, a on próbuje zamienić to w rzeczywistość.

– Zmyśla?

– Nie... A właściwie chyba tak, ale nie to, że świadomie wprowadza kogoś w błąd. No bo proszę postawić się w jego sytuacji. Gdyby był pan przekonany, że dorastał przy plaży i widział z okna morze, i że pamięta pan czołówkę programu telewizyjnego dla dzieci, ale nikt nie wie, co za miejsce pan opisuje lub o jakim programie telewizyjnym pan mówi, to co by pan zrobił?

– Starabym się więcej sobie przypomnieć.

– Otóż to. Starabym się pan coraz bardziej i bardziej, i jeszcze bardziej. Aż któregoś dnia zacząłby pan myśleć: „A jeśli na tej plaży byli jacyś ludzie, tylko nie mogę sobie ich przypomnieć?”. I im dłużej pan o tym myśli, im większe ma pan wątpliwości, tym bardziej puszcza pan wodze fantazji. „Co to za ludzie mogli tam być? Ilu ich było? Jeśli byli tam ludzie, to mogły też być domy. A jeśli były domy, to była też jakaś wioska. A może nie wioska, tylko kurort. A może nie kurort, tylko wielkie miasto”. I tak się to rozrasta, aż w końcu ma pan w głowie jasny obraz tego, co tam mogło być.

– Choć w rzeczywistości mogło nie być nic.

– Otóż to. Ale jest już za późno, żeby coś zmieniać, bo to już nie jest tylko wytwór fantazji. Staje się to rzeczywistością, ponieważ pragnie pan wierzyć, że tak właśnie było.

– Chce pastor przez to powiedzieć, że nie można ufać jego wspomnieniom?

– Tak daleko bym się nie posunął – odparł Parsons. – Chcę przez to powiedzieć, że jeśli Richard nagle traci pewność co do swoich wspomnień z plaży, to zaczynamy się zastanawiać, co z nich jest prawdą, a co... no wie pan...

– Co zostało zmyślane.

– Właśnie – mruknął Parsons. – Właśnie w tym problem.

...

Metro z Ealing Broadway się spóźniało, więc usiadłem na pustej ławce w połowie peronu i wyjąłem telefon oraz swoje notatki. Chciałem się upewnić, czy jestem dobrze przygotowany na spotkanie z Naomi Russum. Po części dlatego, że nie sądziłem, by zamierzała ułatwić mi sprawę, ale przede wszystkim chodziło mi o to, aby niczego nie przeoczyć.

Otworzyłem plik PDF, który wysłałem do siebie z telefonu komórkowego Richarda – pełny wykaz jego połączeń, esemesów i wykorzystania danych, od początku użytkowania telefonu – i wkrótce coś zwróciło moją uwagę. O ile u niego w przyczepie dość dokładnie sprawdziłem wszystkie połączenia i esemesy, o tyle nie przyjrzałem się bliżej transmisji danych. Zrobiłem to teraz i natknąłem się na pewną anomalię.

Używał aparatu Huawei Y3, smartfonu dla początkujących, z systemem operacyjnym Android. System ten zapewniał mnóstwo aplikacji i dzięki niemu Richard mógłby korzystać z mediów społecznościowych i teoretycznie oglądać coś w rodzaju iPlayera. Jednak gdyby chciał to robić, potrzebowałby telefonu nieco wyższej klasy. Ten model był w zasadzie przeznaczony dla ludzi, którzy ograniczali się do esemesowania i rozmów telefonicznych lub którym zależało na tanim abonamencie. Huawei Y3 był

wręcz wymarzonym modelem dla Richarda Kite'a, który nie korzystał z mediów społecznościowych, nie był zarejestrowanym użytkownikiem sklepu z aplikacjami Androida i nie używał żadnych apek, a z internetem łączył się przez laptopa i sieć wi-fi na kempingu, nie przez telefon.

Zauważyłem jednak w telefonie coś dziwnego: miesięczne wykorzystanie danych było bardzo wysokie. Może nie absurdalnie wysokie, ale dużo wyższe, niż można by się spodziewać. Richard nie kupował żadnych aplikacji, na co dzień prawie nie korzystał z internetu, nie włączał GPS-u, nie czytał newsów, nie oglądał programów telewizyjnych ani filmów w streamingu. A mimo to miesiąc w miesiąc zużycie danych wynosiło około 500 MB.

Jak to możliwe?

Ta ilość odpowiadała wysyłce około 17 000 maili, a on prawie do nikogo nie pisał. Pozwalała też przeglądać Facebooka przez dwadzieścia pięć godzin, jednak Richard nie tylko nie miał kont w mediach społecznościowych, ale też nigdy nie zaglądał na konta utworzone specjalnie do nagłośnienia jego sprawy. Nie googlował, nie streamingował, czasami oglądał filmiki na YouTubie, ale musiałyby ich być co najmniej czterdzieści, żeby wykorzystać 500 MB.

Wziąłem swojego laptopa, zalogowałem się na konto telefonu komórkowego Richarda i ponownie otworzyłem rejestr wejść do internetu. Na ekranie ukazała się seria wykresów dla każdego z minionych ośmiu miesięcy. Przyjrzałem się temu za wrzesień. Zużycie danych wynosiło 501 MB, z czego 42 MB stanowiło przeglądanie stron internetowych, 61 MB – korzystanie z poczty elektronicznej; 398 MB pochłonęły aplikacje, a przecież Richard ani nie ściągał, ani nie używał żadnych apek. To nie miało sensu. Musiała to być pomyłka operatora sieci albo wada techniczna telefonu.

Lub coś znacznie gorszego.

Richard Kite mnie okłamywał.

Penny

Ojciec Penny zniknął, kiedy miała trzy lata. Była za mała, by go zapamiętać, ale trzymała ich wspólne fotografie, wyblakłe kolorowe zdjęcia, zrobione w ogrodzie ich dawnego domu. Na jednym z nich uciekała przed tatą, roześmiana, z rozłożonymi rączkami, a on ją gonił po trawniku. Na innym siedział na ogrodowym krześle, trzymając ją na kolanach, i z tyłu widać było dymiący grill. Patrząc na to zdjęcie, zawsze się uśmiechała, bo oboje z tatą byli ubrani w zimowe kurtki, a niebo nad ich głowami miało kolor granitu. „Typowa brytyjska pogoda grillowa”, jak mawiała jej mama.

Mama nigdy nie chciała z nią rozmawiać o tym, co się stało z tatą. Jednym z najwcześniejszych wspomnień Penny było to, jak mama prowadzi ją ze szkoły do domu i nagle wybucha płaczem; albo jak Penny bawi się z dziećmi w ogrodzie i słyszy szloch mamy, dobiegający z kuchennego okna. Płacz po chwili ustawał, ale Fiona zdawała się dźwigać swój żal niczym ciężar, którego nie może z siebie zrzucić. Penny słyszała, jak ludzie rozmawiają o jej mamie w sklepie, na placu zabaw czy w przebieralni kąpieliska, nie wiedząc, że Penny jest w kabinie obok. Mówili, że Fiona jest sama sobie winna.

Na ósme urodziny Penny miała mieć przyjęcie w sali parafialnej, ale imprezę odwołano, bo na wzgórzach otaczających miasteczko znaleziono kość pszczelową. Penny nie rozumiała całego zamieszania wokół tej

sprawy, ale wieczorem mama posadziła ją przy sobie i powiedziała, że Ray Sankle, którego pies wygrzebał tę kość, uważa, że to może być kość ludzka, a jeśli tak, to niewykluczone, że należy do jej taty. „Lekarze ją zbadają”, dodała mama.

Tego wieczoru, leżąc już w łóżku, Penny słyszała, jak mama znów szlocha. Wymknęła się z pokoju, zeszła do połowy schodów i patrzyła przez barierkę na siedzącą w pokoju mamę. Obok niej na kanapie siedział mężczyzna i ją obejmował.

Mężczyzna miał na imię Jack i później został ojczymem Penny. Polubiła go, ale jeszcze bardziej polubiła swoją nową, przybraną siostrę. Beth była dwa lata młodsza od Penny, lecz obie niemal od razu przypadły sobie do serca. Bawiły się w ogrodzie i budowały szałas z kawałków starej blachy i żelaznych prętów. W ciepłe dni chodziły na skraj miasta do kąpieliska, którego główny budynek był reliktem w stylu art déco i przypominał latający spodek, jakby żywcem wyjęty ze starych czarno-białych filmów science fiction. Dziewczynki były nawet do siebie podobne i gdy ludzie pytali o ich pokrewieństwo, często mówiły, że są rodzonymi siostrami.

Znaleziona kość okazała się ludzka, ale nie należała do ojca Penny. Mama znów ją posadziła przy sobie i powiedziała jej o tym, tuląc ją do piersi i ujmując jej dłonie. Penny tylko słuchała, prawie się nie odzywając, a gdy mama znowu zaczęła płakać – imię ojca działało na nią niczym włącznik łez – Penny zaczęła ją pocieszać; mówiła, że wszystko będzie dobrze. Pani Hardew, jej nauczycielka, czytała kiedyś w klasie opowiadanie, w którym jakaś kobieta tak właśnie mówiła do jednego pana, kiedy zaginął mu kot.

Następnego dnia rano, przed wyjściem do szkoły, gdy mama brała na górze prysznic, Penny zobaczyła artykuł na pierwszej stronie miejscowej gazety. Wynikało z niego, że znaleziona kość należała do kobiety, a dalsze

badania wykazały, że tą kobietą była turystka, która przed paroma laty zaginęła podczas wycieczki na okoliczne wzgórza. W drodze do szkoły Penny powiedziała o tym Beth, spodziewając się, że opowieść zafascynuje i przestraszy młodszą siostrę, ale Beth tylko wzruszyła ramionami i obojętnym tonem odparła: „Tata uważa, że Ray Sankle zachował się jak dureń. Mówi, że pan Sankle i jego pies mogli zginąć”.

Penny spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– O czym ty mówisz?

– O panu Sankle’u. To jego pies znalazł tę kość.

– Tak, wiem. Ale dlaczego mieliby zginąć?

– Bo tata mówi, że tam, na wzgórzach, jest coś niedobrego.

– Co to znaczy „niedobrego”? – Penny zmarszczyła czoło.

– Jakiś potwór czy coś w tym rodzaju.

W przeciwieństwie do większości dziewczynek w klasie, które wolały pisać wypracowania i rysować, Penny lubiła przedmioty ścisłe i historię. Uwielbiała też oglądać filmy przyrodnicze, jeśli tylko mamie udawało się wypożyczyć coś w bibliotece lub kiedy – niestety bardzo rzadko – pokazywano je w telewizji. Interesowało ją także życie ludzi w dawnych czasach. Lubiała stare czarno-białe filmy. Dawną modę. Mama twierdziła, że jak na dziewczynkę w jej wieku bardzo dobrze zna historię, ale Penny jeszcze więcej wiedziała o zwierzętach i różnych eksperymentach naukowych.

– Nie istnieje nic takiego jak potwory – odparła.

Nie zrobiło to na Beth większego wrażenia.

– Tata mówi, że dlatego postawili ten płot – oznajmiła.

– Jaki płot?

– No ten na wzgórzach. – Beth machnęła ręką w stronę gór wznoszących się na północ od miasteczka.

Penny nigdy tam nie była. Dzieciom mówiono, żeby trzymały się z daleka, bo jest tam niebezpiecznie. Penny zawsze rozumiała to ostrzeżenie tak, że dzieci mogłyby się tam zgubić, jak ta turystka.

A może chodziło o coś innego?

– Tata mówi, że dawno, dawno temu – ciągnęła Beth – rozmieścili tam miny, żeby źli ludzie nas nie napadli.

– Chodzi o drugą wojnę światową?

Beth nie bardzo rozumiała, o co Penny pyta, ale to chyba musiało być to. Penny przeczytała kiedyś w książce wypożyczonej z biblioteki, że w niektórych miejscach w Wielkiej Brytanii zaminowano pola, by uchronić kraj przed nazistowską inwazją.

– A więc Jack twierdzi, że tam nie ma żadnych min?

– Tego nie wiem – odparła Beth.

– Uważa, że nie dlatego postawili tam płot?

– Tego też nie wiem. Ale chyba tak.

– Byłaś tam kiedyś?

– No.

– Naprawdę? – Penny nie potrafiła ukryć zaskoczenia. – Ile razy?

– Tylko raz.

– Z Jackiem?

– No. Tata poszedł obejrzeć płot po tym, jak pies pana Sankle'a znalazł kość. – Beth wykrzywiła twarz w uśmiechu i zaczęła machać rękami jak pies, który właśnie wygrzebuje kość. – Odkrył dziurę w płocie i tak długo kopał, aż przecisnął się na drugą stronę. Widziałaś kiedyś psa pana Sankle'a?

– Nie.

– Ma na imię Jessie i jest słodka.

Penny tylko kiwnęła głową.

– I jak on wyglądał?

– Kto?

– Ten płot.

– Normalnie. Zwyczajny wielki płot.

Beth wcisnęła ręce pod paski o wiele za dużego plecaka i przez chwilę obie milczały. W końcu jednak Penny zauważyła, że Beth zerka na nią z ukosa, jakby się wahała, czy ma głośno powiedzieć to, o czym myśli.

– Co jest? – spytała Penny.

– Nic. – Beth odchrząknęła. – Tylko że jak oni z mamą się rozstali, to któregoś wieczoru tata się upił i zaczął mi opowiadać różne rzeczy, których nie powinien mówić. Mama nazwałaby to obgadywaniem. – Zatrzymała się i ponownie odchrząknęła. – Wiedziałaś, że twoja mama ma kupę kasy?

Penny popatrzyła na nią.

– Wcale nie.

– Właśnie że ma. Twój tata był bogaty.

– Nie był.

– A właśnie że był. Trzymał całą swoją kasę w torbach.

– Nieprawda.

Beth wzruszyła ramionami.

– Nie był bogaty, Beth – powiedziała Penny. – Bogaci mieszkają w wielkich domach, jak te w Beverly Hills 90210. Jeśli mama ma kupę kasy, to dlaczego nie ma ferrari i służącego? Albo basenu? Fajnie by było mieć basen w kształcie serca, nie?

– Bardzo fajnie.

– I zjeżdżalnię.

– No, taką śmiertelnie wysoką! – Beth aż pisnęła. – Na pięćdziesiąt pięter. Zanim zjechałabyś na sam dół, już miałabyś goły tyłek!

Zaczęły obie chichotać, chichot przeszedł w głośny śmiech i Penny szybko zapomniała o pomyśle, że jej mama może być bardzo bogata.

Ale o minach na wzgórzach nie zapomniała.

Dwa tygodnie później, kiedy Jack i Beth oficjalnie się do nich wprowadzili, Penny, idąc ulicami miasteczka, w powietrzu ciężkim od wilgotnej mgły, zaczęła dumać o wznoszących się za dachami domów wzgórzach. Wisiała nad nimi tak gęsta mgła, że ledwo było widać trzy blade kreski traktów, które wiły się w górę zbocza. Penny przypomniała sobie słowa Beth o płocie i o plotkach, że na wzgórzach żyje jakiś potwór, a potem pomyślała o kości znalezionej przez psa pana Sankle'a. A jeśli ta turystka nie umarła dlatego, że się tam zgubiła? A jeśli została napadnięta? A jeśli tam naprawdę coś jest, a miny wymyślono tylko po to, aby trzymać ludzi z daleka?

A jeśli jej ojciec też gdzieś tam jest?

A jeśli zniknął właśnie przez tego potwora?

11

Zanim wyszedłem ze stacji Aldgate, deszcz ustąpił miejsca mgłę, nadającej wszystkiemu sinawy odcień, jakby całe światło gdzieś umknęło. Spojrzałem w prawo i dostrzegłem sylwetki olbrzymów City – Gherkin, Cheese Grater i Walkie Talkie – ale niemal od razu ich bryły znów się rozplynęły we mgle, jak zjawy, które pojawiają się i znikają.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy, przeskakując kałuże, które potworzyły się na nierównym asfalcie, i zacząłem szukać wejścia do kliniki Aldgate. Po chwili znalazłem je w głębi krótkiego zaułka i nacisnąłem dzwonek.

– Słucham.

Nachyliłem się do interkomu.

– David Raker do doktor Russum.

Zawarczał brzęczyk, drzwi odskoczyły od framugi i znalazłem się w małym przedsionku z drzwiami windy i schodami wiodącymi na górę. Wsiadłem do windy i pojechałem na najwyższe piętro. Siedząca za oszklonymi drzwiami kobieta nacisnęła kolejny brzęczyk i wszedłem do niewielkiego pomieszczenia recepcyjnego ze ścianami z mlecznego szkła.

– Pan Raker?

– Tak.

– Doktor Russum zaraz przyjdzie.

Chwilę później z lewej strony dostrzegłem na szklanej ścianie przesuający się cień, drzwi się otworzyły i stanęła w nich doktor Russum. Podeszła do mnie, siląc się na uśmiech. Nie był to zbyt zachęcający początek, ale zgodziła się mnie przyjąć i tylko to się liczyło.

– Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas – powiedziałem i uścisnęliśmy sobie ręce.

Kiwnęła głową i wprowadziła mnie do nowocześnie urządzonego gabinetu z widokiem na zachodni odcinek Fenchurch Street. Na lewo od wejścia stały dwa eleganckie skórzane fotele zwrócone przodem do siebie, na prawo znajdowała się kanapa, dodatkowy fotel i szafki na dokumenty. Środek pokoju zajmowało biurko, utrzymane w tak idealnym porządku, że nawet długopisy leżały w równym rzędku obok klawiatury, oraz jeszcze jedna szafka na dokumenty ze stojącym na niej drzewkiem bonsai.

Wskazała mi fotel, a sama usiadła za biurkiem.

Od razu zacząłem relacjonować moje dotychczasowe ustalenia w sprawie Richarda. Russum przez cały czas siedziała lekko wychylona do przodu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, nie mówiąc ani słowa. Gdy na moment milkłem, aby zajrzeć do notatek, zza okna dochodził szum ruchu ulicznego i jęki dźwigów budowlanych z Bishopsgate.

– Chciałbym spytać o pani wnioski z leczenia Richarda – powiedziałem na koniec. – Co pani ma nadzieję osiągnąć?

– Mam nadzieję całkowicie go wyleczyć – odparła sucho.

– W pełni przywrócić mu pamięć?

– Tak.

– Jest to możliwe?

– Trudno powiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – Zawsze uważałam, że umysł ludzki jest jak odcisk palca. Każdy inny.

– Czyli może się udać ale może też nie, prawda?

Jej wyraz twarzy pozostał obojętny i tylko lekko zacisnęła usta.

– To bardzo złożony stan psychologiczny – zaczęła powoli i dobitnie, jakby miała do czynienia z durniem. – W przypadku amnezji zlokalizowanej chory nie pamięta określonego zdarzenia lub przedziału czasowego. Przy amnezji selektywnej zapomina pewne fragmenty, na przykład niektóre osoby czy miejsca. W przypadku amnezji całościowej, na którą cierpi Richard, pacjent zapomina całą swoją przeszłość i całkowicie traci poczucie tożsamości. Richard utracił fundamentalne części składowe życia, które decydowały o tym, kim jest. Niemal na pewno zachował o nich pamięć, ale rzecz polega na dotarciu do nich.

– A więc to może potrwać lata?

– Owszem.

– Ale możliwe również, że wszystko przypomni sobie jutro?

– Tak też może być. – Znów wzruszyła ramionami. – Różne rzeczy mogą uruchomić jego pamięć i wydobyć na powierzchnię to, co zapomniał. Może oglądać film i nagle sobie przypomnieć, że widział go już w kinie w określonym miejscu i czasie. Albo zobaczyć w czasopiśmie fotografię jakiegoś budynku i przypomnieć sobie, że był w nim z wycieczką szkolną. To tylko przykłady, ale rozumie pan, do czego zmierzam. Umysł to bardzo szczególny i dziwny twór, dlatego trudno jest przewidzieć, kiedy może ożywić wspomnienia... jeśli w ogóle ożyją.

– Czyli równie dobrze Richard może nigdy nie odzyskać pamięci?

– Tak, z taką ewentualnością też należy się liczyć.

Odchyliła się na oparcie fotela, aż skóra zaskrzypiała pod jej ciężarem. Nawet jeśli miałem jakieś nadzieje, to teraz byłem już pewny: pani doktor nie puści pary z ust na temat przebiegu sesji z Richardem, i to nie tylko dlatego, że zabraniała jej tego etyka zawodowa. Widziałem po jej minie i sposobie, w jaki unikała odpowiedzi, że jest niezadowolona z pomysłu

Richarda, by zwrócić się do mnie o pomoc, ale nie mogła mu tego oznajmić wprost, bo zagrażałoby to jej pracy z nim. Gdyby uznał, że działa wbrew jego interesom i staje na przeszkodzie jego zamiarom, mógłby zerwać z nią kontakt, a wtedy wszelkie jej plany i ambicje – a także honoraria, na które liczyła, i prelekcje, które chciała wygłaszać – ległyby w gruzach. Zgodziła się spotkać ze mną, bo pozwalało jej to zachować równowagę.

– Widzę, że jest pani wykwalifikowaną hipnoterapeutką.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– Zgadza się.

– Richard mówi, że już wcześniej stosowała pani hipnozę.

– Na temat hipnozy istnieje wiele błędnych poglądów – mruknęła, jakby odpierała oskarżenie, którego w ogóle nie wysunąłem. Jej palce zacisnęły się na krawędzi biurka. Widać było, że o tym też nie chce rozmawiać, ale jednocześnie nie chciała dopuścić, bym wyciągnął z tego niekorzystne dla niej wnioski. – Hipnoza to nie jest sztuczka cyrkowa. Nie chodzi w niej o to, by zmuszać ludzi do tańczenia po scenie, w przeświadczeniu, że są szympancami. Stosowana we właściwy sposób, może być potężnym narzędziem terapeutycznym. Niestety, wielu lekarzy wciąż nie wierzy w hipnoterapię, i ma ku temu powody. Spędziłam dwa lata na studiach magisterskich i trzy na doktoranckich, specjalizując się w psychologii. Moja praca dyplomowa dotyczyła hipnoterapii. Poświęcam dużo czasu w ciągu roku na seminaria i kursy szkoleniowe, zarówno jako uczestniczka, jak i prelegentka. Wykładałam w King's College i chcę wierzyć, że wiem, co mówię. Ale wciąż się uczę. Człowiek uczy się przez całe życie. Czuję obowiązek ciągłego pogłębiania wiedzy. Chociaż u nas, w Anglii, nie ma takiego obowiązku. Wolno praktykować hipnoterapię przy minimalnym zasobie wiedzy i nawet nie trzeba być członkiem stowarzyszenia zawodowego. W rezultacie mnóstwo ludzi uważa się za hipnoterapeutów,

choć tak naprawdę nie mają o tym pojęcia. Chyba nie muszę pana przekonywać, że niesie to ze sobą poważne zagrożenia.

– Ile razy poddała pani Richarda hipnozie?

– Dwa.

– Dlaczego tylko dwa?

– Bo najpierw trzeba się upewnić, czy jest to właściwe narzędzie dla danego przypadku. A ja po tych dwóch sesjach doszłam do wniosku, że w odniesieniu do Richarda tak nie jest. Chodzi o to, że hipnoterapią nie posługujemy się jak mapą. Nie wchodzimy do czyjejś głowy, by wyszukać zagubione rzeczy i wyciągnąć je na zewnątrz. Nie da się wcisnąć pauzy ani przewinąć taśmy do tyłu czy do przodu i nastawić na żądany fragment, jak w magnetofonie. Ludzie wciąż coś zapominają. Powiedziałabym nawet, że powinniśmy zapominać. Gdybyśmy pamiętali każdy drobiazg ze swojego życia, nie byłibyśmy w stanie funkcjonować. Tak więc zastosowałam hipnozę głównie po to, by odstresować Richarda. Jak się pan zapewne domyśla, gdy przyszedł do mnie po raz pierwszy, był spięty, zdezorientowany i wystraszony. Podjęłam wstępną pracę, aby zbadać wspomnienia, odczucia i myśli, jakie mogły tkwić ukryte w jego podświadomości, ale to go jeszcze bardziej zestresowało.

– I dlatego po dwóch sesjach zrezygnowała pani z hipnozy?

– Owszem.

– Czy właśnie to próbuje pani z nim nadal robić? – spytałem. – Stara się pani dotrzeć do wydarzeń, które mogą tkwić w jego podświadomości?

– W zasadzie tak, choć w przypadku Richarda wygląda to nieco inaczej. Brak jest u niego tradycyjnych punktów zaczepienia. Nie można go poprosić, by opowiedział o swojej rodzinie albo o swoim dzieciństwie, albo o studiach, bo przecież nic z tego nie pamięta. I w rezultacie moje podejście

musi być jeszcze ostrożniejsze niż zwykle. Jakikolwiek błąd, jakiegokolwiek niedociągnięcie z mojej strony może stworzyć problemy.

– Co ma pani na myśli, mówiąc „niedociągnięcie”?

– Chcę podkreślić, dlaczego dysponowanie odpowiednią wiedzą jest tak ważne. Ludzka pamięć to pole minowe. Pełno tu potencjalnych niebezpieczeństw, i to nie tylko dla pacjenta.

Milczałem w nadziei, że rozwinie ten temat, ona jednak sprawiała wrażenie, jakby stwierdziła, że już powiedziała za dużo i dała mi się zmanipulować. Nie przeczę, że byłem ciekaw, o czym rozmawiają z Richardem, ale byłem z góry przygotowany na to, że nic z niej nie wyciągnę. A teraz zaczynałem mieć wątpliwości, czy w ogóle jest o co walczyć. Richard spotykał się z nią od ośmiu miesięcy i jak dotąd nic z tego nie wynikło. Wspomnienia plaży i czołówki programu telewizyjnego tkwiły w jego głowie od początku, zanim jeszcze postawił nogę w gabinecie Russum.

Zaczęła się bawić długopisem; toczyła go tam i z powrotem po biurku.

– Słyszał pan o amerykańskiej psycholożce Elizabeth Loftus?

– Nie.

– Jest specjalistką od ludzkiej pamięci i dezinformacji. Jeden z jej najśłynniejszych eksperymentów, jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, dotyczył zeznań naocznych świadków. Chodziło w nim o to, czy można na nie wpłynąć za pomocą informacji po fakcie. Przeprowadziła badanie, w którym grupa ludzi na sali oglądała przebieg wypadku samochodowego, po czym tydzień później ona i jej asystenci spytali ich, co z tego wypadku zapamiętali. Okazało się, że uczestnicy eksperymentu chętniej opowiadali o stłuczonych szybach, gdy badacze pytali o samochodową „kraksę”, niż gdy mówili o „kolizji”. Co ciekawe, nigdzie na oglądanym filmie nie było widać stłuczonego szkła. –

Przetoczyła długopis z powrotem na jego miejsce przy klawiaturze. – I właśnie o to mi chodzi. W przypadku kogoś takiego jak Richard ważne jest, by zadawać właściwe pytania we właściwy sposób. Rzeczy pozornie tak trywialne jak mowa mogą nastęrczać problemów.

Cofnąłem się myślami do słów pastora Parsonsa, który opowiadał mi przez telefon o chwilach kompletnego rozkojarzenia Richarda i jako przykład podał jego wspomnienie miasta przy plaży.

– Rozmawiałem z pastorem Colinem Parsonsem – oznajmiłem. – Twierdzi, że Richard chwilami bywa kompletnie... rozkojarzony.

– Oczywiście, że jest rozkojarzony.

– Miał na myśli jego wspomnienia.

Zmarszczyła czoło.

– W jakim sensie?

Wyjaśniłem, że we wspomnieniach Richarda pojawiło się miasto przy plaży.

– Mnie nigdy o tym nie mówił – odparła chłodnym tonem.

– Richard nie rozmawiał z panią o tych wspomnieniach?

Zapadła długa cisza.

– Pani doktor?

Przeniosła na mnie wzrok i wyprostowała się w fotelu.

– Pastor Parsons musiał go źle zrozumieć.

– Nie sądzę, by go źle zrozumiał.

– Jestem pewna, że Richard by mi o tym powiedział.

– Może celowo nie chciał.

Znów się nastroszyła.

– Myślę, że wyjaśniliśmy już sobie wszystko, panie Raker.

Wstała z fotela, nawet nie próbując krzyć, że czuje się urażona, i gdy ja również wstałem, bez słowa poprowadziła mnie do drzwi i dalej do windy.

Ale potem stało się coś nieoczekiwanego: przywołała na twarz uśmiech i zaczęła paplać o coraz wcześniejszych wieczorach, o tym, jak nienawidzi przestawiania czasu na zimowy, i o tym, że ani się obejrzymy, a już będzie Boże Narodzenie. Ta nagła zmiana była tak raptowna, że trudno było jej nie zauważyć. Russum stała się teraz wręcz nienaturalnie swobodna, jej ton zrobił się sztucznie przyjacielski – w niczym nie przypominała nadętej pani doktor sprzed chwili. U siebie w gabinecie była sztywna i zimna, o twarzy pozbawionej wyrazu. Teraz próbowała grać przyjazną i rozluźnioną, ale wyglądało to całkiem nieprzekonująco.

Przyjrzałem się jej uważnie, kiedy podaliśmy sobie ręce przy drzwiach windy, które bezszelestnie rozsunęły się za moimi plecami. I nie spuściłem z niej wzroku, póki się nie zamknęły.

Nie rozumiałem jej zachowania.

A jeśli czegoś nie rozumiem, próbuję to rozgryźć.

12

Russum wyszła z pracy tuż po siódmej. Deszcz wciąż jeszcze wisiał w powietrzu, choć trochę się przejaśniło i mgła się rozwiąła. Pozostały po nim śliskie chodniki, ścieki pełne wody i kałuże, w których odbijały się kolorowe światła miasta.

Ruszyłem za nią, w bezpiecznej odległości; lawirowałem między ludźmi idącymi w przeciwnym kierunku. Po drodze rozmawiała przez telefon, który oświetlał połowę jej twarzy. Great Tower Street zmieniła się w Eastcheap, ta z kolei w Cannon Street, a Russum szła i szła, cały czas rozmawiając. W końcu schowała telefon do kieszeni i zaczęła bardziej zwracać uwagę na otoczenie, zostałem więc nieco w tyle, na wypadek gdyby się obejrzała, ona jednak zaraz skręciła w małą uliczkę River Hill. Przystanąłem przy narożnym sklepie garmazeryjnym, z którego okien padały na chodnik kremowe plamy światła. Była jakieś dwadzieścia pięć metrów ode mnie i szła w stronę rzeki; poły jej długiego zakietu powiewały na wietrze. Na ramieniu miała torebkę, czarną jak zakiet, której wcześniej nie zauważyłem, bo ścisła ją pod pachą. Teraz przesunęła ją sobie do przodu i zaczęła w niej grzebać; zwalniała kroku, aż całkiem się zatrzymała.

Stała na wysokości łukowatego podcienia, które mogło prowadzić na jakiś dziedziniec, zaraz się jednak okazało, że nie ono jest jej celem. Celem

były znajdujące się obok przeszklone drzwi. Wyjęła z torebki kartę, przesunęła przez szczelinę czytnika na ścianie, pchnęła je i weszła do środka.

Podszedłem do drzwi z wytrawionym na szybie herbem i zajrzałem do środka. Zobaczyłem krótki korytarzyk z dębową posadzką i kremowymi ścianami, a na jego końcu wewnętrzne drzwi z takim samym czytnikiem na kartę. Cofnąłem się kilka kroków i ogarnąłem wzrokiem cały budynek. Był okazały, miał trzy piętra, na każdym po osiem okien, zasłoniętych od wewnątrz drewnianymi okiennicami. Przyjrząwszy się uważniej, stwierdziłem, że łukowate podcienie obok drzwi prowadzi na podwórze służące jako parking. Nad wjazdem wisiała drewniana tablica z napisem: TYLKO DLA PERSONELU RED TREE.

Pomyślałem, że za rogiem musi być główne wejście do budynku, i ruszyłem uliczką River Hill, która kończyła się małym rondem. Dalej ciągnął się ogród pełen ławek i klombów kwiatowych. W centralnym punkcie ogrodu stała na postumencie metalowa rzeźba – drzewo z czerwonymi blaszanymi liśćmi. Z prawej strony dobiegały odgłosy i światła ruchu ulicznego na Upper Thames Street, po lewej wznosiła się fasada eleganckiego georgiańskiego budynku z odnowionymi oknami i marmurowymi kolumnkami. Schody prowadziły do poczwórnych drzwi z matowego szkła, na którym zobaczyłem taki sam herb jak na bocznych drzwiach. Wszystkie były na głucho zamknięte – w środku lekko jaśniało bladożółte nocne oświetlenie – a przed nimi stały cztery wielkie plansze reklamowe z fotografiami uczniów w szkolnych mundurkach, którzy siedzieli skupieni na lekcjach w klasie lub grali na boisku w hokeja czy rugby. Na planszach widniały hasła w rodzaju *Szacunek*, *Odpowiedzialność*, *Innowacyjność*, a obok taki sam herb jak na drzwiach. A także nazwa szkoły.

Red Tree City of London School.

Właśnie zacząłem się zastanawiać, czy to ma jakieś znaczenie i czy Russum, jej zachowanie i przyście do tej szkoły może być ważne dla sprawy, gdy zadzwonił mój telefon.

To był Richard Kite.

– Zostawiłeś mi wiadomość, David – powiedział, gdy odebrałem.

Dzwoniłem do niego, aby spytać o niezrozumiałe wykorzystanie danych w jego telefonie. Przedstawiłem mu teraz swoje wątpliwości, a on słuchał w milczeniu moich wywodów w sprawie korzystania z aplikacji.

– Ale ja nigdy nie używam żadnych aplikacji – powiedział.

– Wiem. Dlatego to takie dziwne.

– Myślisz, że to jakaś wada w moim telefonie?

– Nie wiem. A miałeś z nim jakieś problemy?

– Właściwie nie. W każdym razie nic poważnego.

– Ale coś się z nim działo, tak?

– Czasami sam się wyłącza, nic poza tym.

– Wyłącza się bez żadnego powodu? – spytałem po chwili milczenia.

– Tak.

– I dzieje się tak przy naładowanej baterii?

– Tak – potwierdził. – Wyłącza się nagle i bez żadnego ostrzeżenia.

Wczoraj tak było, mimo że chwilę wcześniej go naładowałem.

Poczułem dreszcz niepokoju.

– Zauważyłeś jeszcze coś dziwnego?

– Nie wiem – odparł po chwili namysłu. – Chyba nie. Zależy, jak daleko chcesz się cofnąć.

– Jak tylko sięgasz pamięcią.

– No cóż, na samym początku, po zakupie, w trakcie rozmów odzywały się w nim dziwne dźwięki.

- Co to znaczy „dziwne dźwięki”?
- Jakby echo. Buczenie i zakłócenia.
- Przez cały czas?
- Nie, to trwało dość krótko.

Moje zaniepokojenie jeszcze bardziej wzrosło.

– Richard, coś przerywa.

– Naprawdę? Ja cię dobrze słyszę.

– A ja prawie nic nie rozumiem. Masz na kempingu jakiś inny telefon, przez który moglibyśmy porozmawiać?

– Masz na myśli telefon stacjonarny?

– Tak.

– Jest telefon w domku klubowym.

– Mógłbyś z niego do mnie zadzwonić?

– Hm... chyba tak.

Powiedziałem, że będę czekał, i po pięciu minutach moja komórka ponownie zabrzęczała. Wyświetlił się numer z Christchurch.

– Richard?

– Tak, już tu jestem.

– Nie dzwoń do mnie więcej ze swojej komórki, dobrze?

– Co? – W jego głosie zabrzmiało zdziwienie. – Dlaczego?

– Twój telefon jest na podsłuchu.

Na moment go zatkało.

– Co ty mówisz? – prychnął.

– Jestem prawie pewny, że masz w swoim telefonie zainstalowany program szpiegowski. Wszystko na to wskazuje: nadmierne wykorzystanie danych, dziwne reakcje aparatu. Powiedziałbym, że to niezbyt wyrafinowany program, ale na pewno jesteś podsłuchiwany. Ktoś cię obserwuje, kontroluje twoje rozmowy i esemesy oraz twoje wejścia do

internetu. Te dziwne dźwięki i zakłócenia świadczą o tym, że ktoś podnosi słuchawkę, jak w połączeniu konferencyjnym, i słucha twoich rozmów.

Milczał.

– Richard?

– Nie mogę... nie mogę... – Urwał. – Jak to się mogło tu dostać?

– Pewnie za pośrednictwem maila lub esemesa. To działa jak phishing. Klikasz na link, myśląc, że to legalne przejście do innego adresu, a w rzeczywistości otwierasz swój telefon.

– I ten ktoś może słyszeć i widzieć wszystko, co mówię i robię?

– Myślę, że tak należy przyjąć. Musimy założyć, że wszystkie twoje rozmowy, esemesy i maile są monitorowane. I póki się nie dowiem dlaczego, trzeba zmienić sposób naszej komunikacji.

Znowu zapadła cisza.

– Richard?

– Ja... ja nic z tego nie rozumiem.

Jeśli nawet nie wiedział, czym jest program szpiegujący, pewnie bez trudu mógł się domyślić. Nie rozumiał, dlaczego ktoś go szpieguje.

– Przychodzi ci do głowy, kto może za tym stać? – spytałem.

– Nie – jęknął. – Zupełnie nie.

– Może mi nie wierzysz, ale nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo. – Zawiesiłem głos. Czy choć to jest prawdą? – Dzieje się tak, od kiedy masz ten telefon, ale nikt w żaden sposób nie wykorzystał podsłuchu. Świadczy to, moim zdaniem, o tym, że przynajmniej na razie wystarcza im tylko monitoring. Dlatego chciałbym, żebyś nadal normalnie korzystał z komórki i rozmawiał z nią jak zwykle, z kempingiem, pastorem Parsonsem... – Spojrzałem na wejście do szkoły. – Z Naomi Russum też.

– Dobrze.

– A jutro z samego rana kup sobie najtańszy telefon komórkowy na kartę i zadzwoń do mnie z niego. – Znów popatrzyłem na budynek szkoły. – Tylko o jedno cię proszę. Niech ta sprawa programu szpiegowskiego w twoim telefonie pozostanie wyłącznie między nami. Proszę, żebyś nikomu o tym nie wspominał.

– Dobrze – powtórzył.

– Nikomu... to znaczy także doktor Russum. – Zwłaszcza jej, dodałem w duchu. – Rozumiemy się?

– Tak.

Przez chwilę obaj milczeliśmy.

– Nie rozumiem, kto mógł mi zrobić coś takiego.

– Ja też nie mam pojęcia – powiedziałem.

Ale gdy mój wzrok znowu powędrował ku budynkowi szkoły i pomyślałem o Naomi Russum i jej dziwacznym zachowaniu w gabinecie, sam już nie byłem pewien swoich słów.

13

Korzystając ze starych kontaktów z czasów dziennikarskich, przez kilka następnych godzin próbowałem dotrzeć do źródeł oprogramowania szpiegowskiego, ciągle jednak trafiałem w ślepy zaułek. Oprogramowanie mogło nie być zbyt wyrafinowane, ale jego źródła były dobrze zamaskowane. Wszedłem z pubu, w którym się usadowiłem, wróciłem do budynku kliniki Russum i przez godzinę go obserwowałem, starając się poznać panujący tam rytm i zwyczaje.

Światła były zgaszone na wszystkich piętrach z wyjątkiem parteru. Tu przez okna widać było strażnika, który siedział przy biurku i grał w coś na przenośnej konsoli, ale co pół godziny wstawał i robił obchód całego budynku. W kolejnych oknach rozbłyskiwały wtedy światła, strażnik sprawdzał wszystkie pokoje i wracał do swojego biurka. Chwilę potem światła znowu gasły.

Poszedłem w głąb zaułka, szukając oznak życia w sąsiednich budynkach, po czym, z wytrychem w dłoni, zająłem się zamkiem w drzwiach kliniki. Po paru minutach zmagania usłyszałem znajomy trzask i drzwi odskoczyły, otwierając przede mną ciemności przedsionka. Przez chwilę czekałem w napięciu, czy nie rozlegnie się alarm lub odgłos kroków.

Panowała cisza.

Wszedłem na schody i minąłem drzwi pierwszego piętra. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że do następnego obchodu strażnika mam mniej więcej dwadzieścia pięć minut. Znaczyło to, że muszę się pospieszyć i wyjść przed upływem dwudziestu minut, bo inaczej mogę nadzieć się na niego na schodach.

Otworzyłem zamek w drzwiach recepcji, zdjąłem ze ściany gaśnicę i podparłem nią otwarte drzwi. Światła na suficie zapaliły się samoczynnie. Wszedłem do środka i pochyliłem się, żeby nie dostrzegł mnie ktoś z ulicy. W gabinecie Russum zapaliły się kolejne światła, więc opuściłem żaluzje w oknach i rozejrzałem się po pokoju.

Najpierw podszedłem do komputera, usiadłem przy biurku i go włączyłem. Czekaając, aż się uruchomi, zerknąłem do szuflad i zacząłem przeglądać stojącą z tyłu szafkę na dokumenty, ale nie znalazłem tam nic interesującego. Zamknąłem szafkę i powróciłem do komputera.

Starałem się go możliwie jak najszybciej przeszukać. Miała skrzynkę do kontaktów z klientami, ale nie byłem w stanie do niej zajrzeć, bo choć znałem adres mailowy, nie znałem hasła dostępu. Nie traciłem czasu na jego złamanie, tylko przeszedłem dalej; sprawdziłem najpierw folder ze skanami raportów medycznych i informacji o pacjentach, potem folder z konspektami przeprowadzanych sesji i wygłaszanych prelekcji, zawierający teksty, notatki i skróty wykładów, które już wygłosiła i które dopiero planowała.

Nigdzie nie było ani słowa o Richardzie Kicie.

Szukałem dalej, ale w żadnym z folderów Richard Kite nie figurował. Uznawszy, że pewnie szukam w niewłaściwym katalogu, włączyłem opcję przeszukiwania całego systemu, ale wynik nadal był zerowy. Zdawało się to potwierdzać moje przeczucie, że dzieje się tutaj coś dziwnego. Russum leczyła Richarda od ośmiu miesięcy, stawiała na głowie, by mu pomóc,

jeździła do niego do Dorset, a tymczasem nigdzie nie było o tym nawet wzmianki.

A potem wpadło mi w oko coś innego.

Po prawej stronie pulpitu widniała ikonka pliku audio. Wcześniej nie zwróciłem na nią uwagi, bo ekran był pełen przeróżnych dokumentów i folderów, i dopiero po chwili to do mnie dotarło. Plik był zapisany jako 261016.

To była dzisiejsza data.

Kliknąłem dwukrotnie i plik się uruchomił. Usłyszałem cichy szum i odgłos otwieranych drzwi. Jakieś głosy, początkowo zbyt ciche, by coś zrozumieć, potem jednak przybrały na sile i stały się wyraźniejsze. Jeden głos należał do Russum, drugi do mnie. Szliśmy z recepcji do jej gabinetu. Słysząc było, jak siada w swoim fotelu, a ja grzecznie zaczynam mówić.

Nagrywała naszą rozmowę.

Słuchając naszych głosów, zastanawiałem się, po co to zrobiła i dla kogo. Dla siebie? Dla kogoś innego? Nie mogłem zajrzeć do jej skrzynki pocztowej i sprawdzić, czy wysłała komuś to nagranie, ale wydawało się to logiczne.

Wyłączyłem komputer i podszedłem do szafek na dokumenty. Były zamknięte i nigdzie w pobliżu nie dostrzegłem klucza, musiałem więc po raz trzeci tego wieczoru pokonać zamek wytrychem. Kiedy wysunąłem górną szufladę, ujrzałem w niej rząd teczek pacjentów i poczułem wyrzuty sumienia – nie wobec Russum, tylko wobec jej pacjentów, których prywatność właśnie miałem naruszyć. Ponownie zerknąłem na zegarek – zostało mi dziesięć minut i choć poczucie winy mnie nie opuszczało, zacząłem przeglądać zawartość szuflady. Grzebiąc w życiu nieznanym mi ludzi, ich słabościach, lękach i sekretach, czułem się jak intruz, bo po śmierci Derryn mogłem sam łatwo trafić tu jako pacjent.

Akta pacjentów znajdowały się w szarych wiszących teczkach z szynami. Na każdej teczce widniało nazwisko i numer ewidencyjny pacjenta; były ułożone w porządku alfabetycznym. W górnej szufladzie mieściły się teuczki pacjentów od M do Z. Czym prędzej otworzyłem zamek drugiej szuflady i w niej były teuczki od A do L.

Mniej więcej w połowie szuflady odnalazłem teczkę Richarda Kite'a.

Wyjąłem ją i zaniósłem na biurko. Jeszcze zanim do niej zajrzałem, poczułem, że coś z nią jest nie w porządku, ale dopiero po jej otwarciu zrozumiałem co.

Teczka była praktycznie pusta.

Na wierzchu znajdował się formularz osobowy, do którego Russum wpisała to, co Richard Kite o sobie pamiętał. Było tam to wszystko, co mi opowiedział – od paru mętnych wspomnień z przeszłości po jego stwierdzenie, że jest dobrym pływakiem. Miejsca przeznaczone na dane osobowe, takie jak wiek, data urodzenia, historia medyczna pacjenta i przebieg jego pracy, pozostawały puste. Tego mogłem oczekiwać, ale nie tego, co było dalej. W dalszej części teczki, gdzie spodziewałem się znaleźć notatki z odbytych sesji czy wnioski z przeprowadzonej hipnoterapii, niczego takiego nie było.

Żadnych notatek, jedynie plik fotografii.

Szybko je przejrzałem. Przedstawiały znane postacie historyczne, żyjących celebrytów, światowe pomniki i słynne budowle. Przypomniałem sobie, jak Richard opowiadał o sesjach z Russum: „Przełóżmy też fotografie znanych ludzi, postaci historycznych i słynnych miejsc, aby sprawdzić, czy coś mi się kojarzy”. Podobno robiła to, żeby ustalić jego wiek, miejsce urodzenia i dorastania. No to gdzie są jej wnioski? Gdzie uwagi i komentarze?

Wróciłem do szafki z dokumentami i na chybił trafił wyjąłem teczkę innego pacjenta. Była pełna różnych kartek. Odłożyłem ją i wyjąłem następną. Dokładnie tak samo. W stosunku do innych pacjentów Russum dopełniała swych obowiązków terapeutki: zadawała pytania, notowała odpowiedzi i zapisywała wnioski, miejscami obszernie cytując wypowiedzi pacjentów. Zawartość teczek jasno wskazywała, że Russum miała inne podejście do Richarda niż do reszty pacjentów. W ich przypadku były to całe mapy ludzkich doświadczeń, u Richarda występował tylko poczet celebrytów. A przecież sama się do niego zgłosiła i zaoferowała mu pomoc. I robiła to za darmo. Sądziłem, że widzi w tej sprawie szansę na duże pieniądze, ale biorąc pod uwagę podsłuch w telefonie Richarda, zaczynałem się zastanawiać, czy nie chodzi tu o coś więcej. Czy rzekome sesje terapeutyczne nie są przykrywką dla czegoś zupełnie innego?

Przez chwilę wpatrywałem się w teczkę pacjenta Richarda Kite'a, z jedną kartką i plikiem fotografii, po czym spojrzałem na zegarek. Zostały mi już tylko trzy minuty. Zacząłem zbierać fotografie, aby włożyć je do teczki, i nagle jedna rzuciła mi się w oczy.

Przedstawiała trzydziestoparoletnią kobietę z blond włosami i zielonymi oczami, siedzącą na ławce w parku. Fotografia ujmowała właściwie tylko twarz i ramiona kobiety, ale za nią dostrzegłem listwy ławki, a w tle drzewa i nieostre sylwetki innych ludzi. I tuż przy prawej krawędzi zdjęcia coś jeszcze: fragmencik wystającej ponad drzewa szarej konstrukcji.

Masztu radiowego BT Tower.

Zdjęcie zrobiono w Regent's Parku.

Odłożyłem je na bok, po czym przejrzałem inne, pod kątem podobnie odstających od całości elementów, i znalazłem drugie zdjęcie tej samej kobiety, dokładnie takie samo jak to pierwsze. Ta sama ławka w Regent's

Parku, taka sama poza, ten sam fragment BT Tower na krawędzi kadru. Po co Russum trzymała dwie identyczne fotografie tej samej osoby?

Położyłem je obok siebie i skończyłem przeglądać resztę, lecz wszędzie były jedynie postacie historyczne, gwiazdy popkultury i znane budowle. Nie tylko wszystkie bez trudu rozpoznałem, ale też nie miałem wątpliwości, że to profesjonalne zdjęcia, pochodzące z czasopism lub z internetu, wydrukowane na papierze fotograficznym przy użyciu wysokiej klasy drukarki laserowej. Wszyscy celebryci olśniewali urodą, słynne budowle były świetnie skadrowane i oświetlone.

Z wyjątkiem dwóch fotografii kobiety w parku.

Nawet nie to, że były nieudane, ale na pewno nie zrobił ich profesjonalny fotograf: kolory wydawały się nieco rozmyte, lewa połowa twarzy kobiety nie była idealnie ostra. Przyjrzałem się jej dokładniej, żeby sprawdzić, czy nie widziałem jej już wcześniej – może to jakaś gwiazda YouTube’a albo piosenkarka – i stwierdziłem, że chyba jest za stara, żeby nagrywać filmiki, w których pokazuje, jak przejść jakąś grę. Mimo że była niewiele po trzydziestce i pomimo wielkich srebrnych kół w uszach, wyglądała dość zwyczajnie i skromnie, co raczej wykluczało bycie gwiazdką popu czy aktorką. A więc kim mogła być? I co jej zdjęcie robiło w teczce Richarda?

Chwyciłem komórkę i sfotografowałem oba ułożone obok siebie zdjęcia kobiety, po czym wrzuciłem wszystko z powrotem do szafki na dokumenty.

Miałem już dziewięćdziesiąt sekund opóźnienia.

Upewniłem się, że zostawiam w gabinecie wszystko w niezmiennym stanie, wyszedłem na klatkę schodową i zacząłem nasłuchiwać. Cztery piętra niżej słychać było kroki i odgłosy otwierania drzwi. Odwiesiłem gaśnicę na miejsce i ostrożnie przymknąłem drzwi, aż zatrask cicho zaskoczył.

Zszedłem piętro niżej i przystanąłem.

Wcisnąłem się do ciemnego kąta i przez poręcz wyjrzałem na schody. Strażnik wchodził na podest pierwszego piętra, przesuwał dłoń po poręczy.

Zbliżał się do mnie.

Stojąc w swoim kącie, patrzyłem na dłoń sunącą po poręczy i słuchałem brzęku obrączki o metalowe pręty balustrady. Strażnik dotarł do podestu drugiego piętra, przesunął kartę przez szczelinę czytnika, zamek puścił i drzwi odskoczyły. Oczekałem, aż wejdzie do środka i drzwi się za nim zatrzasną, po czym zbiegłem w dół, przeskakując po dwa stopnie. Koło drzwi na drugim piętrze przemknąłem skulony i zdążyłem zbiec do holu na parterze, zanim z góry dotarł odgłos otwieranych drzwi i stukot ciężkich kroków.

Znieruchomiałem, czekając, aż strażnik wejdzie do biura na trzecim piętrze.

A potem opuściłem budynek.

Otchłań

Dziewczynki po raz pierwszy poszły na wzgórza dwa miesiące przed dziewiątymi urodzinami Penny. Trochę trwało, nim zebrały się na odwagę, ale ciekawość zwyciężyła i któregoś dnia wymknęły się z domu po zmroku, kiedy ich rodzice myśleli, że obie już śpią, i ruszyły jednym ze szlaków prowadzących w górę. Okazało się, że Beth nie zmyślała. W pewnym miejscu ścieżka kończyła się na płocie. Penny nie umiała ocenić jego wysokości, ale był co najmniej tak wysoki jak jej ojczym Jack, może nawet wyższy. Chwilę po tym, jak doszły do płotu, usłyszały dochodzące z za niego dziwne odgłosy i to wystarczyło, by wzięły nogi za pas i biegiem wróciły do domu.

Po jakimś czasie poszły tam znowu, a ponieważ tym razem nic ich nie wystraszyło, postanowiły wybrać się po raz trzeci, potem czwarty; za każdym razem zostawały nieco dłużej, tak że pięć minut zmieniło się w trzydzieści, a trzydzieści w godzinę.

I za każdym razem zauważały coś nowego. Parę razy mogłyby przysiąc, że widzą, jak za płotem coś się rusza. Chwilami wiatr ustawał, chmury się rozpraszały i zarośla tonęły w srebrzystym blasku księżycy, który oświetlał też wysoką trawę i płot odgraniczający je od ciągnących się dalej mokradeł. Z kryjówki, którą sobie znalazły – małego betonowego bunkra – widziały po drugiej stronie płotu tylko sporadyczne błyski, zawsze w oddali, w rejonie

nazywanym przez Jacka, a później także przez większość ludzi z miasteczka, Otchłanią.

I na tym polegał problem. Mogłyby się przekonać, czy tam naprawdę coś jest – czy też nie – gdyby odważyły się pójść dalej niż tylko do bunkra. Gdyby podeszły bliżej płotu, a może wręcz, w przyпыływie odwagi, przeszłyby na jego drugą stronę. Ale chociaż Penny z każdą wieczorną wyprawą do ich kryjówki robiła się coraz odważniejsza i choć wszystkie popularnonaukowe książki, które czytała, utwierdzały ją w przekonaniu, że w wysokich trawach i na mokradłach za płotem nie może być żadnych duchów, potworów ani groźnych zwierząt, to w miarę upływu czasu opadały ją coraz większe wątpliwości.

„Si Rickles twierdzi, że kiedyś koło płotu znaleźli całą rękę”, oświadczyła Beth podczas ich osiemnastej wyprawy. Si Rickles był nieznośnym łobuziakiem z ich szkoły, synem sierżanta w lokalnej policji. Gdy Penny – już wtedy dziesięcioletnia i bardzo dojrzała jak na swój wiek – zaproponowała, argumentując, że gdyby tak było, to napisaliby coś w gazetach, i że przecież nikt inny w mieście o tym nie mówi, jej siostra odparła: „Tata uważa, że jeśli się to rozniosło, nikt już nie chciałby tu przyjeżdżać, dlatego ludzie nic nie mówią”.

Penny to nie przekonało, ale miały też miejsce inne – trudniejsze do wyjaśnienia – zdarzenia. Za którymś razem, gdy straciły już rachubę swoich wypraw na wzgórza i jak zwykle siedziały w bunkrze, patrząc na otaczające je trawy, nagle usłyszały z mokradeł ciche plaskanie. Wpatrzyły się w dal, rozmawiając zduszonym szeptem. Doszły do wniosku, że jeśli się nie przesłyszały, to ten dziwny dźwięk dochodzi z Otchłani, ale po tej stronie płotu są bezpieczne i nie ma się czym przejmować. Mimo to niepokój pozostał, zwłaszcza że była już dziesiąta wieczorem, wokół panowały kompletne ciemności i nawet gdy świeciły latarką przez okienko w ścianie

bunkra, stożek światła nie sięgał zbyt daleko. Nie miały pewności, z jakiej części mokradeł dobiegł ten dźwięk.

A potem usłyszały go znowu.

Tym razem brzmiało to całkiem jak chlupot zapadającej się w podmokłym torfie i wyciąganej z głośnym plaśnięciem nogi. Albo łapy. Albo szponów. I cokolwiek to było – lub ktokolwiek – znajdowało się bardzo blisko nich. Dużo bliżej niż poprzednio. Szepnęły do siebie, że jeśli to coś jest tak blisko, jak się wydaje, powinny to już widzieć z tej strony płotu. Ale i tak były wystraszone. Gdy jest się dzieckiem, nocne ciemności przesłaniają logikę.

– Boję się – szepnęła Beth drżącym głosem.

– Ja też – przyznała Penny, chwytając siostrę za rękę.

– Naprawdę. Strasznie się boję, Pen. Chcę już do domu.

– Wiem. Wiem, że się boisz. – Penny spojrzała na siostrę. – Ja też się boję.

Tego wieczoru biegły do domu szybciej niż kiedykolwiek. Wypadły z bunkra i pognały w dół ścieżką, w kierunku świateł miasteczka. Gdy zdyszane i wystraszone dobiegły do domu, serca waliły im jak młotem. Przez okno dojrzały rodziców szykujących się do snu. Wspięły się po kracie obrośniętej pnączem, weszły do pokoju przez uchylone okno, wskoczyły do łóżek, naciągnęły na siebie kołdry i zaczęły udawać, że śpią. W ciszy, która aż dzwoniła w uszach, obiecały sobie szeptem, że już nigdy więcej tam nie pójdą.

Że już nigdy nie wybiorą się do Otchłani.

Ale nie dotrzymały słowa.

...

Minęły trzy miesiące i obie stopniowo zapominały o swoim strachu. Przez dwanaście tygodni wspólnego chodzenia do szkoły nie przestawały

o tym rozmawiać i narastała w nich odwaga. Muszą tam jeszcze pójść. Przecież tam nic nie ma, nic nie czai się w tych trawach. Za płotem nie ma nic poza zagrzebanymi głęboko w ziemi minami, a jeśli wierzyć ojczymowi Penny, to min też może wcale nie być.

Mimo wszystko, kiedy po tej trzymiesięcznej przerwie znów wybrały się do bunkra, były mocno wystraszone. Ten wieczór, gdy usłyszały kroki na mokradłach i w popłochu uciekły, zostawił w ich głowach wyraźny ślad. Nie zniknął podczas drugiej wyprawy, a potem trzeciej, dziesiątej i dwudziestej. Tak naprawdę uczucie strachu już nigdy ich nie opuściło.

Czasami ten strach powodował, że widziały coś czającego się w wysokich trawach. Coś, co mogło być puklem włosów, zarysem nogi lub ręki, palcami, kością bielejącą w świetle księżyca czy oczami, w których tańczyły punkciki światła. Chwytały się wtedy za ręce i Penny starała się być dzielna i nie pokazywać po sobie strachu, choć jej mięśnie robiły się sztywne jak skała. Obie się bały, ale jednocześnie były zafascynowane Otchłanią, a także myślą, że coś tam może się jednak czaić. Otchłań je pociągała, stawała się ich obsesją.

Koleżankom w szkole nie mówiły o swych wieczornych wyprawach, w obawie, że mogłoby to dotrzeć do ich rodziców. Właściwie nie było oficjalnego zakazu chodzenia po wzgórzach, tam gdzie znalazły bunkier. Zakaz dotyczył przekraczania płotu, ale z upływem czasu Penny i Beth coraz częściej słyszały, jak ludzie w miasteczku rozmawiają o Otchłani. Zaczęto gadać o niej w sklepach, na boisku szkolnym, na ulicach. Jack wraz z innymi mężczyznami chodził na wzgórza, aby się upewnić, że płot jest nienaruszony i nikt przez nieuwagę nie zabłądzi na pole minowe ani żadne zwierzę nie przecisnie się przez niego, tak jak pies pana Sankle'a. Penny i Beth podpytywały Jacka, co wie o minach i pogłoskach, że w Otchłani jest coś gorszego od min, ale Jack odpowiadał, że póki nie będą się same tam

pchały, nic im nie grozi. Przytulał je i mówił, że je kocha, lecz są na tym świecie pewne sprawy, o których dzieci nie powinny nawet myśleć. Penny pytała, co przez to rozumie, na co on tylko się śmiał, choć jej się zdawało, że w jego śmiechu jest coś jeszcze. Coś, co widywała też na twarzy Beth, gdy czasami siedziały w bunkrze, i co Beth widywała u niej.

Strach.

Wkrótce potem policja wydała oficjalny zakaz wstępu do Otchłani – z powodu znajdujących się tam niewypałów. Łany wysokiej trawy i strome zbocza za domami stały się ziemią zakazaną, po której nikomu nie wolno było chodzić. Dla dzieci, a także dla dorosłych, obszar za płotem stał się terenem tajemniczych odgłosów i cieni, miejscem, o którym nie rozmawiało się z obcymi, siedliskiem tajemnic, o których miejscowi bali się lub wstydzili mówić. Płot sprawdzono i w paru miejscach wzmocniono, a w połowie jednego z trzech szlaków, prowadzących z miasteczka na wzgórze, rada miejska postawiła dwuipółmetrową bramę, by zagrozić drogę turystom i podpitym włóczęgom z miasteczka i uniemożliwić im dotarcie do Otchłani.

Ale Penny i Beth to nie powstrzymało.

Cztery miesiące po ustawieniu bramy dziewczynki znów wybrały się na wzgórze. Powiedziały rodzicom „Dobranoc”, odczekały godzinę, ułożyły poduszki pod kołdrami, wymknęły się przez okno i zeszły po kracie obrośniętej pnączem.

Odetchnęły głęboko w otaczających je ciemnościach i ruszyły ku północnym obrzeżom miasteczka. Obeszły z dala sklepy, pub i miejski ośrodek kultury i dotarły do początku szlaku, ale dopiero gdy znalazły się w zaroślach, zapaliły latarki, co pozwoliło im przyspieszyć kroku na ścieżce, która miała doprowadzić je do bramy. Ścieżka wiła się zakosami i po ciemku wyglądała dużo bardziej tajemniczo niż za dnia, a zbocze zdawało się wyższe i bardziej strome, jednak nocą szło się bezpieczniej. Nie było

ryzyka, że mogą się na kogoś natknąć, bo nikomu nie wpadłoby do głowy, że dwie małe dziewczynki – dwunastoletnia i dziesięcioletnia – odważyłyby się na taką nocną eskapadę. Nie bardzo wiedziały, co zrobią, gdy dojdą do bramy – jak ją ominą lub pokonają – ale postanowiły zmierzyć się z tym problemem, kiedy już przed nim staną. I wtedy ze zdumieniem coś odkryły.

Nie było żadnej bramy.

Wcale jej nie postawiono.

Dorośli kłamali.

14

Następnego ranka obudziłem się wcześniej.

Począpałem do kuchni, nalałem wody do czajnika i ponownie obejrzałem fotografie kobiety z teczki Richarda Kite'a. Przyglądałem im się już wczoraj, w drodze powrotnej do domu, szukając jakichś charakterystycznych szczegółów, ale potem mój poziom adrenaliny opadł i szybko mnie to znużyło.

Teraz, po nocnym wypoczynku, ponownie zabrałem się do szukania na zdjęciach czegoś, co mogłem wcześniej przeoczyć. Poza tym wciąż dręczyło mnie pytanie, po co Russum trzymała dwie odbitki tego samego zdjęcia. Nawet jeśli przyjąć, że wybrała to zdjęcie, aby się przekonać, czy Richard rozpozna na nim Regent's Park, mogła do tego wybrać tysiąc innych ujęć, na których park byłby lepiej widoczny. A więc dlaczego ta kobieta, i w dodatku dwukrotnie? Kim ona jest?

Nie przychodziły mi do głowy żadne możliwe odpowiedzi.

Zrobiłem sobie kawę, wziąłem laptopa i zająłem się szkołą, do której doprowadziła mnie Russum. Nigdy przedtem nie słyszałem o szkole Red Tree, ale jeszcze wczoraj pogrzebałem trochę w telefonie i szybko się dowiedziałem, że to jedna z bardziej ekskluzywnych prywatnych szkół w Londynie. Wszedłem teraz na ich stronę i w zakładce *Opłaty* znalazłem informację, że dla uczniów dochodzących opłata za semestr wynosi prawie

siedem tysięcy funtów, natomiast uczniowie mieszkający w internacie płacą ponad jedenaście tysięcy. Może nie były to stawki jak w Harrow, Malvern czy Eton, ale niedużo im brakowało.

W zakładce *Historia* przeczytałem, że szkoła wzięła nazwę od buka, który kiedyś rósł na dziedzińcu przed budynkiem i miał intensywnie fioletowoczerwone liście. W 1962 roku trafił w niego piorun i drzewo uschło. Dowiedziałem się też, że obecny gmach szkoły zbudowano na miejscu dawnego kościoła, który spłonął w wielkim pożarze Londynu w 1666 roku, i że zanim otwarto tu szkołę, mieściły się w nim kolejno instytucja rządowa, dom mieszkalny, muzeum i bank. Zajrzałem też do zakładki *Nasz personel*, gdzie znalazłem zdjęcia dyrektora szkoły Rolanda Della – przystojnego, zadbanego mężczyzny pod pięćdziesiątkę – oraz jego dwóch zastępców i kilku kierowników katedr.

I znów zacząłem się zastanawiać, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie dla mojej sprawy. Wprawdzie nurtowały mnie pytania, w jakim celu Naomi Russum poszła do szkoły Red Tree i dlaczego posiadała kartę otwierającą boczne drzwi, ale w chłodnym świetle poranka nawet to wydawało się dużo mniej tajemnicze. Z informacji na stronie internetowej kliniki Aldgate wynikało, że Russum wykłada zarówno na uczelniach państwowych, jak i prywatnych. Moje zainteresowanie nią nie miało bezpośredniego związku z Richardem Kite'em, tylko wynikało z przeświadczenia, że coś przede mną ukrywa. Dlatego postanowiłem ją śledzić.

Tylko czemu nagrywała naszą rozmowę?

Nie mogąc znaleźć odpowiedzi na to pytanie, wróciłem do zdjęć kobiety siedzącej na ławce w zalanym słońcem Regent's Parku. Wpatrywałem się w jej twarz, próbując rozgryźć, kim może być, dlaczego Russum właśnie jej zdjęcie pokazywała Richardowi i dlaczego trzymała dwie identyczne odbitki. Przyglądałem się obu osobno, potem razem,

potem znów osobno. W pewnej chwili moja uwaga skupiła się na szyi kobiety, jej obojczyku i ramionach.

Nagle zamarłem.

A potem chwyciłem komórkę i zrobiłem maksymalne zbliżenie jej lewego barku. Bluzka kobiety na piersiach i ramionach była nieprzejrzysta, ale rękawy były uszyte z czegoś w rodzaju prześwitującej gazy. Nadal trudno było dojrzeć przez nią skórę rąk, lecz zaczynałem dostrzegać pod gazą niewyraźny zarys czegoś, co odrobinę wyzierało spod krótkiego rękawa. Przywołałem na ekran drugą fotografię kobiety.

Zdjęcia nie były identyczne.

Pochyliłem się i patrzyłem raz na jedno, raz na drugie i z powrotem. Na pierwszym widać było mały czarny znaczek pod bluzką kobiety, na drugim nie. Znaczek zniknął. Fotografie były identyczne z wyjątkiem tego drobiazgu: na jednej kobieta miała na ramieniu tatuaż, na drugiej tatuaż został cyfrowo usunięty.

Tatuaż przedstawiający sylwetkę ptaka w locie.

Dokładnie taki sam, jaki miał Richard Kite.

15

Zadzwońłem pod numer stacjonarny kościoła. Był czwartek i wiedziałem, że tego dnia rano Richard tam pracuje, ale sekretarka na plebanii poinformowała mnie, że dzwonił, że jest chory.

Odłożyłem telefon i pomyślałem o naszej wczorajszej rozmowie o podsłuchu na jego komórce. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak go to wystraszyło, że bał się pójść do pracy. Zadzwońłem na jego komórkę, by mu powiedzieć, żeby poszedł do biura kempingu i zadzwonił do mnie z telefonu stacjonarnego. Albo może okaże się, że zdążył już sobie kupić drugą komórkę i będziemy mogli przez nią porozmawiać.

Ale zgłosiła się tylko poczta głosowa.

Rozłączyłem się, nie zostawiając wiadomości, i zacząłem się zastanawiać. Może naprawdę jest chory. Może śpi. Może wyszedł, żeby właśnie kupić drugą komórkę, i starą zostawił w przyczepie. Jeśli moje domysły są trafne, to gdy wróci lub się obudzi, zobaczy, że do niego dzwoniłem.

Stało się jednak inaczej.

Gdy czterdzieści minut później robiłem sobie w kuchni kolejną kawę, dostrzegłem przed podjazdem mężczyznę, który przez chwilę przyglądał się domowi i tabliczce z numerem, po czym niepewnym krokiem ruszył do drzwi.

Otworzyłem je, zanim zdążył nacisnąć dzwonek.

– Richard?

Na ramionach miał plecak, w ręce ścisnął nowiutką komórkę.

– Przepraszam za najście – powiedział.

– Co ty tu robisz?

– No bo ja... hm... – Głośno przełknął ślinę. – Przepraszam, ale trochę się...

Wystraszyłem, dokończyłem za niego w myślach.

Zaprosiłem go do środka i zrobiłem mu kawę. Gdy przyniosłem ją do salonu, stał pochylony nad stołem i wpatrywał się w rozłożone na nim papiery, wyraźnie spięty.

– Wiesz już, kim jestem? – spytał, wskazując stół.

Powiedział to z uśmiechem, ale jego oczy zdradzały, że w głębi duszy liczy na potwierdzenie.

– Dużo myślałem o tym telefonie – dodał cicho. Popatrzyłem na aparat w jego dłoni. – Tak jak chciałeś, kupiłem nową komórkę, ale nie mogę przestać myśleć o tej starej.

Powrócił wzrokiem do stołu, na którym leżały porzucane papiery i wystające spod nich fotografie, znaczące dla niego tyle, ile znaczyłby pusty stół. Jego zaczerwienione i podkrążone oczy świadczyły o tym, że spędził bezsenną noc, podczas której każdy dźwięk za oknami przyczepy musiał brzmieć jak szept i skradanie się prześladowców. Wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany, ale przede wszystkim wystraszony. Nie zwróciłem na to uwagi przy naszym pierwszym spotkaniu, teraz jednak widziałem to wyraźnie: tkwiło w nim dziecko, echo tego, kim był kiedyś.

– Dlaczego ktoś mnie śledzi? Nie rozumiem.

– Ja też nie, ale się dowiem. Naprawdę – zapewniłem go, a on pokiwał głową.

Podszedłem do stołu, rozgarnąłem papiery i wziąłem do ręki jedną z dwóch odbitek zdjęć kobiety w Regent's Parku. Tę bez tatuażu. Chwilę przypatrywałem się jej i widocznemu za nią fragmentowi BT Tower, po czym podałem zdjęcie Richardowi.

– Poznajesz tę kobietę?

Zmarszczył brwi, biorąc ode mnie fotografię. Przez wszystkie te lata, kiedy zajmowałem się poszukiwaniem osób zaginionych, i wcześniej, w latach pracy dziennikarskiej, nigdy nie pomyślałem, że w ludzkim mieszanu mogą być jakieś odcienie. Albo jesteś zmieszany, albo nie. Ale patrząc na Richarda Kite'a, za każdym razem uzmysławiałem sobie, jak bardzo się myliłem. Trwał w stanie permanentnego mieszania, tak zdezorientowany, że każde nowe pytanie, jakie zadawał, i każda odpowiedź, jakiej się nie spodziewał lub nie rozumiał, jeszcze bardziej wytrącały go z równowagi.

– Tak. – Spojrzał na mnie. – Poznają.

– Skąd ją znasz?

– To jedna z tych kobiet, które Naomi mi pokazuje.

– Często ci pokazuje zdjęcia tej kobiety?

– Nie wiem, czy często. Ale czasami.

– Wyjaśniła ci dlaczego?

– Pewnie próbuje pobudzić moją pamięć. – Wzruszył ramionami. – Pokazuje mi zdjęcia różnych ludzi, miejsc i zdarzeń. A ta kobieta... Naomi chyba mówiła, że to jakaś piosenkarka.

– Tak. A powiedziała ci, jak się nazywa?

– Nie podaje żadnych nazwisk. Mówi, że na dłuższą metę będzie dla mnie lepiej, żebym próbował zapamiętywać tylko wzrokowo.

Nawet dla takiego laika jak ja trąciło to bzdurą.

Richard wlepił we mnie wzrok.

– A ty jej nie znasz?

Tu musiałem zachować ostrożność. Chciałem, by podczas następnego spotkania z Russum zachowywał się normalnie, bo inaczej ona od razu się domyśli, że coś jest nie tak. Już kazałem mu ukryć przed nią to, że jego telefon jest na podsłuchu, więc gdyby teraz zaczął kwestionować pokazywane mu fotografie, byłoby to równoznaczne z podważaniem jej metod leczenia, co mogłoby nas wyprowadzić na jeszcze głębsze wody.

– Nie, ale dla mnie zawsze liczył się tylko Elvis – rzuciłem obojętnym tonem na znak, że to w sumie nie takie ważne.

Uśmiechnął się i znów popatrzył na fotografię, a ja wszedłem do sieci i wpisałem do bazy piosenek rysopis kobiety, żeby zawęzić pole poszukiwań. Nic mi to nie dało, ale utwierdziłem się w przekonaniu, że kobieta na zdjęciu na pewno nie jest znaną piosenkarką.

Wyjąłem mu z ręki wydruk i schowałem między papiery na stole.

– A słyszałeś kiedyś o Red Tree? – spytałem.

Spojrzał na mnie.

– Red Tree? Nie.

– To nazwa szkoły. Nigdy się z nią nie zetknąłeś? Może Naomi coś o niej wspominała podczas waszych sesji?

– Nie, nigdy.

Drażyłem dalej:

– Przeczytałem w twojej dokumentacji, że masz na ramieniu tatuaż.

– Mam.

– Mogę go zobaczyć?

Zdjął cienką nieprzemakalną kurtkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Pod spodem miał polar w kolorze wojskowej zieleni, który też rozpiął, ale zsunął tylko z jednego ramienia. Bez trudu dojrzałem tatuaż.

Zrobił krok w moją stronę i podciągnął rękaw T-shirtu. Tatuaż był dość toporny, a rysunek niezbyt udany – wyglądał dokładnie tak samo, jak widziałem to w jego papierach. Miałem nadzieję, że z bliska uda mi się określić, co to za ptak.

– Pamiętasz coś z okoliczności zrobienia tego tatuazu?

– Nie.

– Nie wiesz, gdzie ani kiedy był zrobiony?

– Nie, zupełnie nie. – Spojrzał na swoje ramię i kosmyk rudych włosów opadł mu na czoło. – Chętnie bym sobie przypomniał – dodał cicho.

Ale gdy znów podniósł na mnie wzrok, w wyrazie jego twarzy pojawiło się coś nowego. Cokolwiek to było, nie potrafiłem tego rozszyfrować.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

– Tak.

– Czy chciałbyś mi coś jeszcze powiedzieć?

– Nie.

– Na pewno?

– To takie męczące – jęknął. Poprawił sobie T-shirt i polar i tatuaż zniknął pod ubraniem. – Takie męczące, że niczego się nie pamięta.

Pokiwałem głową, patrząc na niego uważnie.

Czułem, jak znów ogarnia mnie podejrzliwość i zbiera mi się w gardle niczym dławiąca gula. I nie byłem do końca pewien, czy źródłem tej podejrzliwości jest Naomi Russum i jej kłamstwa, czy też – co byłoby znacznie gorsze – zaczynam wątpić w autentyczność Richarda Kite'a.

16

Zaproponowałem Richardowi, by skorzystał z kanapy w moim pokoju gościnnym i trochę odespał niespokojną noc, a sam spróbowałem uporządkować myśli. Jeśli mnie okłamuje lub coś przede mną ukrywa, nie byłby to pierwszy raz, że ktoś mnie angażuje i nie mówi całej prawdy. Ale wiedziałem też, że można łatwo zrozumieć jego wahania i ogólne rozkojarzenie.

Tak naprawdę nie brałem go za oszusta, a już na pewno nie za kłamliwego naciągacza, zwłaszcza że nie miałem pojęcia, co mógłby skorzystać na moim kręceniu się w kółko i szukaniu znanych mu odpowiedzi. A ponieważ atmosfera podejrzeń bywa zabójcza dla sprawy i szybko ją rozwała – szczególnie jeśli podejrzewania skierowane są pod niewłaściwy adres – postanowiłem uznać, że Richard ze mną nie pogrywa, i wrócić do pracy.

W pierwszej kolejności zadzwoniłem do mojego starego kumpla, Ewana Taskera, który był obecnie na częściowej emeryturze policyjnego śledczego, a jednocześnie pracował jako konsultant Narodowej Agencji do spraw Przestępczości. Zналиśmy się jeszcze z moich czasów dziennikarskich, kiedy to pomagał mi zdobywać różne informacje, a ja pomagałem jemu, nagłaśniając wiadomości, na których mu zależało.

Odebrał po kilku sygnałach.

– Raker, ty stary łobuzie.

– Cześć, Task. – Uśmiechnąłem się. – Co słychać?

Chwilę pogawędziliśmy – o jego żonie, która ostatnio niedomagała, o jego grze w golfa, o wspólnych znajomych z Policji Metropolitalnej i spoza niej – po czym skierowałem rozmowę na interesujące mnie tory, mówiąc, że liczę na jego drobną przysługę.

– O co tym razem chodzi? – zapytał.

– O zajrzenie do bazy danych – odparłem. – Usiłuję kogoś zidentyfikować. Biała kobieta po trzydziestce. Nic o niej nie wiem. Nie znam jej nazwiska, daty urodzenia, adresu, życiorysu, niczego. Praktycznie jest białą kartą. Właściwie nawet nie jestem pewny, czy w ogóle figuruje w policyjnej bazie danych, ale jeśli tak, to sądzę, że jej tatuaż mógłby zawęzić pole poszukiwań. Sylwetka ptaka w locie, wysoko na lewym ramieniu. Zobaczysz go na fotografii, którą ci już wysyłam.

Tasker aż gwizdnął.

– No dobra.

– Wiem, że to bardzo mętna wskazówka – dodałem.

– Myślisz, że ta kobieta jest w bazie danych, bo nie została jeszcze zidentyfikowana?

Tak naprawdę pytał, czy myślę, że już nie żyje.

– Nie wiem – odparłem. – Nie wiem, co mam o niej myśleć.

W tym momencie przyszło mi coś do głowy: jeśli kobieta figuruje w policyjnej bazie danych, to jej tatuaż zostałby tam wpisany jako znak szczególny. A jeśli tak, to dlaczego nie powiązano z nią Richarda? Przecież mieli identyczny znak w tym samym miejscu. To by znaczyło, że albo detektyw posterunkowy Barton schrzanił robotę w swoim wstępnym śledztwie – w co raczej wątpiłem – albo kobiety nie było w policyjnej bazie danych. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym wydawało mi się

pewniejsze, że starania Taskera nie przyniosą żadnych rezultatów, ale skoro sam nic o niej nie wiedziałem, to prosząc go o pomoc, mogłem tylko zrobić krok do przodu.

– Dobrze – rzucił Tasker. – Zostaw to mnie.

– Dzięki, staruszk. A jak już będziesz zaglądał do bazy, mógłbyś też sprawdzić niejaką Naomi Russum?

– Masz jej datę urodzenia?

– Wiem tylko, że urodziła się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim – powiedziałem, zaglądając do notatek.

Znalazłem ten rok w notce biograficznej na końcu jej referatu.

Tasker obiecał, że tym również się zajmie, i rozłączył się.

Wróciłem do laptopa i sam zacząłem szukać w sieci wiadomości o Russum. Okazało się, że jest ich bardzo dużo. Miała wiele publikacji naukowych, często występowała też jako ekspertka w telewizji i w programach radiowych z telefonicznym udziałem słuchaczy. Natknąłem się także na wiele jej zdjęć z różnego rodzaju imprez, przyjęć charytatywnych i wyjazdów sponsorowanych przez rozmaite firmy. Fotografie pochodziły głównie z czasopism w rodzaju „Hello!” czy „OK!” i były to starannie upozowane wizerunki sztucznie uśmiechniętych ludzi z kieliszkami szampana w dłoniach. W podpisach pod zdjęciami Russum figurowała jako *znana psycholog, pisarka i gwiazda medialna, świetnie prosperująca bizneswoman z City oraz właścicielka ekskluzywnej kliniki Aldgate*. Na wszystkich zdjęciach była nienagannie ubrana i uczesana, tyle że jej sztuczny uśmiech i brak błysku w oczach od razu skojarzyły mi się z moją wizytą u niej w gabinecie.

Oglądając jej zdjęcia, przypatrywałem się jednocześnie ludziom wokół niej. Szukałem znajomych twarzy i sytuacji, które mogłyby połączyć ją i jej znajomych z Richardem Kite'em, ale po chwili widziałem już tylko tych

samych ludzi, w tym samym towarzystwie, z takimi samymi podpisami, jakby ktoś użył funkcji „kopiuj i wklej”.

Ale potem, przy drugim podejściu, moją uwagę zwróciło jej zdjęcie w czasopiśmie sprzed dwóch lat. Zostało zrobione na imprezie charytatywnej gdzieś po drugiej stronie Tamizy, zorganizowanej na rzecz bezdomnych dzieci z Bliskiego Wschodu i Afryki. Russum stała przy kominku, w gronie pięciu innych osób: trzech mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałem, kobiety, której twarz kojarzyła mi się z programem o antykach w porannej telewizji, i czwartego mężczyzny w beżowym garniturze. Był po trzydziestce, wysoki, trochę zwałisty. Jego też nie znałem, ale zainteresował mnie powtarzający się wzór na jego krawacie.

Wzór wyglądał jak herb.

Taki sam, jaki widziałem na drzwiach Red Tree.

Ściągnąłem obraz na mój komputer i zrobiłem zbliżenie. Mężczyzna stał na prawo od Russum, był od niej wyższy o ponad dziesięć centymetrów, gładko ogolony, z ciemną czupryną, lekko przeredzoną na czubku głowy. Podpis pod zdjęciem informował, że to Jacob Howson, *znany autor i kierownik katedry w ekskluzywnej szkole Red Tree.*

Czy to on jest ogniwem łączącym Russum ze szkołą?

Poszukałem w sieci Howsona. Miał swoją stronę na Facebooku, ale jego ściana i wszystkie fotografie były zablokowane. Znalazłem natomiast jego zdjęcie w zakładce *Nasz personel* na stronie Red Tree. Jego książka – stąd zapewne ten *znany autor* w podpisie pod zdjęciem – okazała się biografią Josepha Conrada.

Znów spojrzałem na zdjęcie jego i Russum i odniosłem wrażenie, że jest tam coś jeszcze, co na razie mi umyka.

Kilkakrotnie powiększyłem obraz, po czym wróciłem do jego normalnych rozmiarów, wciąż nie wiedząc, co mnie niepokoi. Musiało to być coś ledwo dostrzegalnego, ale coś było. Zrobiłem zbliżenie twarzy Russum i Howsona, szukając jakiejś wskazówki w ich minach, a potem przyjrzałem się pozostałym osobom na zdjęciu, by przekonać się, czy wcześniej, przed sprawą Richarda, gdzieś ich nie widziałem. Nie. Byłem tego pewny.

A zatem co wzbudziło mój niepokój?

Znów spojrzałem na Russum i Howsona. Ich pozy były – zapewne na życzenie fotografa – niemal identyczne: stali zwrócenii do siebie, z łokciami opartymi o gzyms kominka, z wymuszoną swobodą, jaką widuje się na tego typu fotografiach. Przeniosłem wzrok w lewo, na pozostałe osoby w kadrze, i z powrotem na Russum i Howsona. Czy chodzi o to, jak stoją na tym zdjęciu?

Czy może o to, gdzie stoją?

Za nimi, nad gzymsem kominka, wisiało duże lustro w połączanej ramie, w którym odbijał się obraz sali. Widać było uchwycony obiektywem tłum ludzi – eleganckie garnitury, barwne suknie, kieliszki szampana.

Powiększyłem odbicie w lustrze między Howsonem a Russum, tak że w końcu miałem na ekranie tylko szkło z wąskimi brzegami: beżowym od garnituru Howsona i niebieskim od sukni Russum. W lustrze widać było cztery rozmawiające osoby, nieświadome tego, że są w kadrze, oraz stojącą nieco z boku kobietę, która z lekko opuszczoną głową wpatrywała się w wyświetlacz komórki.

Poznałem ją od razu.

To była kobieta z ławki w Regent's Parku.

17

Im dłużej patrzyłem na widoczne w lustrze odbicie kobiety, tym bardziej się upewniałem, że była tam w towarzystwie Jacoba Howsona i Naomi Russum. To nie przypadek, że znalazła się na tym samym przyjęciu, w tym samym punkcie Londynu i dokładnie w tym samym czasie. Już wcześniej stwierdziłem, że musi istnieć związek między Russum a tą kobietą, skoro Russum pokazywała Richardowi Kite'owi jej zdjęcie. Ich obecność na tym samym przyjęciu świadczyła o tym, że się znają, i to całkiem dobrze.

Kobiety właściwie nie było w kadrze i nie stała na fotografii zamieszczonej w czasopiśmie „British Society”, ale odnosiłem wrażenie, że czeka na Russum i Howsona. Świadczyła o tym jej postawa – swobodna i rozluźniona, jakby należała do tej grupy – i to, że była obok tych dwojga. Po prostu zaglądała do telefonu, korzystając z tego, że oni właśnie pozowali do zdjęcia.

Wiedzieli, kim jest, a ona znała ich.

Kilka minut później zjawił się Richard, blady i wyczerpany. Zostawiłem komputer i szybko zrobiłem dla nas na lunch linguini z owocami morza. Usiedliśmy obaj przy kuchennym stole.

– Czasami, jak coś jem, to mi się zdaje, że znam ten smak – odezwał się po chwili, pochylony nad talerzem makaronu, z którego unosiły się białe

smużki pary.

Spojrzałem na niego.

– Pamiętasz, że już kiedyś to jadłeś?

– Nie. To nie tak. Nie żebym miał wyraźne wspomnienie, że to jadłem.

To raczej niejasne odczucie, że to lubię i zawsze lubiłem.

– Coś na kształt echa?

– Właśnie. – Kiwnął głową, zastanowił się i pokiwał jeszcze energiczniej. – Coś na kształt echa, zgadza się. Wygląd jedzenia, smak... takie odczucia nazywam w myślach „łącznikami”. Jem coś i myślę: To mi naprawdę smakuje, bo bardzo lubię owoce morza. Ale nie pamiętam, czy kiedyś je jadłem. Po prostu wiem, że je lubię. – Przerwał, zmarszczył czoło i nadział na widelec krewetkę. – To jest właśnie łącznik. Łączy mnie z tym, kim kiedyś byłem, bo wiem, że bardzo lubię krewetki.

– Podobnie jak wiesz, że umiesz pływać.

– Właśnie.

– Dotyczy to tylko jedzenia?

– Jedzenia na pewno. Wiem, że lubię też steki. I kocham banany, to mój ulubiony owoc. Mógłbym je jeść na okrągło. I wiedziałem, że je polubię, zanim jeszcze ich spróbowałem. I że nie znoszę kalafiorów. Od czasu, gdy mnie znaleźli, ani razu nie jadłem kalafiora, ale wiem, że ich nie lubię. Najbardziej tego zapachu podczas gotowania. – Pomachał ręką przed twarzą. – Na samą myśl o tym zapachu robi mi się niedobrze. To też swego rodzaju łącznik, tyle że negatywny.

– Czyli działa instynkt?

– Tak.

– Co on ci jeszcze podpowiada?

Jego widelec zawisł nad linguini.

– Właściwie nie wiem – przyznał cicho.

– Nic ci nie przychodzi do głowy?

Wzruszył ramionami.

– Na przykład wiem, że lubię książki.

– Jakiego rodzaju?

– Najbardziej powieści science fiction. Czytam teraz *Ten wspaniały dzień...* Autorem jest facet, który nazywa się Ira Levin. Słyszałeś o nim?

– Tak. To świetny pisarz.

– Książka bardzo mi się podoba.

– Myślisz, że mogłeś wcześniej czytać coś tego autora?

– Nie wiem. Nie sądzę.

– Czyli tu nie wyczuwasz łącznika?

– Nie, tu mam pustkę.

Potem przycichł i starał się być uprzejmy – pytał mnie o dom, o osoby na fotografiach w salonie, o moją pracę i życie w Londynie – ale w końcu odważył się zadać pytanie, które go nękało od początku.

– Myślisz, że kiedyś się dowiesz?

Popatrzyłem na niego.

– Czego się dowiem?

– Kim jestem.

– Tak – powiedziałem. – Myślę, że tak.

I rzeczywiście tak myślałem, choć miewałem chwile zwątpienia. Ale z tego, jak na mnie patrzył, wywnioskowałem, że mi nie wierzy. A w każdym razie nie jest jeszcze gotów w to uwierzyć. Już raz się sparzył, sądząc, że szum w mediach przyniesie odpowiedź i pozwoli mu poznać jego przeszłość i odnaleźć rodzinę. A teraz miał dodatkowy powód do niepokoju: nie tylko bał się, że niczego nie ustalę, ale w dodatku ktoś miał go na oku i śledził jego rozmowy, esemesy, wszystko, co robił.

– Chcesz tu dziś zostać na noc? – spytałem.

Wydawał się zmieszany moim pytaniem.

– Sam nie wiem – odparł. – Przepraszam, że się tak nagle zwałem. Ale dziś rano nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić. Pastor Parsons wyjechał... – Głos mu zamarł.

– Nie ma sprawy.

– Nie oczekuję, że będziesz...

– Naprawdę, Richard, nie ma o czym mówić. Możesz zostać na noc.

Sprawił wrażenie ogromnie wdzięcznego.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

Powiedziałem, że muszę wracać do pracy, on zaproponował, że pozmywa po lunchu, więc zostawiłem go w kuchni i przeszedłem do salonu.

Właśnie w tym momencie zabrzęczała moja komórka.

Od telefonu do Ewana Taskera minęły zaledwie dwie godziny i zwykle, gdy tak szybko oddzwaniał, okazywało się, że znalazł w bazie policyjnej odpowiedź na moje pytanie. Co oczywiście nie znaczyło, że odpowiedź załatwi sprawę. W tym konkretnym przypadku oznaczało zapewne, że kobiety z fotografii nie ma w systemie lub że nie da się jej odnaleźć.

W słuchawce słyhać było jakieś głosy i krzątanie – Tasker najwyraźniej szukał zaciszego miejsca na rozmowę. Po chwili się odezwał:

– Zacznijmy od Naomi Russum. Niewiele o niej mam, a w każdym razie nic ekscytującego. Urodzona trzynastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku w Oksfordzie, nienotowana, żadnych upomnień ani zatrzymań. Jest właścicielką porsche siedemset osiemnaście, jej adres w bazie to Belmont Road w Clapham.

– A kobieta z tatuażem?

– Nic, co mogłoby ci się przydać. Ten trop prowadzi donikąd, a ściślej mówiąc, prowadzi do twojego Richarda Kite'a. W bazie są ludzie z podobnymi tatużami, ale poza Richardem nie ma nikogo z identycznym. Nie ma też żadnej kobiety przypominającej tę z twojego zdjęcia.

Czyli ślepy zaulek. A przecież ta kobieta istnieje, ma imię i nazwisko, jakiś życiorys i rodzinę, więc gdzieś na pewno jest jej ślad, jakkolwiek ukryty.

Muszę go tylko odnaleźć.

18

Wróciłem do zdjęć z Regent's Parku i położyłem obok siebie dwie pozornie identyczne odbitki. Czy kobieta ze zdjęć pracuje w klinice Russum? A może pracuje z Jacobem Howsonem w szkole? Czy Russum i Howsona łączy coś więcej niż tylko relacja zawodowa? Po co Russum poszła do tej szkoły?

Rozważyłem możliwość, że ona i Howson są parą, jednak nic nie wskazywało na to, że ma jakiegoś partnera życiowego i że jest nim Howson. Wprowadzie jego strona na Facebooku była niedostępna, ale na swojej fotografii profilowej i na tej z przyjęcia charytatywnego nie miał na palcu obrączki. To oczywiście mogło nic nie znaczyć, ale w notce biograficznej autora książki o Conradzie też nie było ani słowa o żonie czy partnerce.

Zniechęcony, powróciłem do zdjęć kobiety na ławce w parku – na jednym w górnej części jej ramienia ptak rozkładał skrzydła, na drugim nie było ani ptaka, ani też śladu po tym, że kiedyś tam był. Może Russum lub ktoś z jej znajomych komputerowo usunął wszelkie ślady tatuażu.

Nagle coś mi przyszło do głowy. A jeśli to nie informatyk w komputerze, tylko chirurg w gabinecie zabiegowym usunął tatuaż z ręki kobiety, już po tym, jak zrobiono to zdjęcie? To by tłumaczyło brak wzmianki o tatuażu w policyjnej bazie danych – oczywiście jeśli kobieta

w ogóle tam figurowała i jeśli policja miała jakiś powód, by wprowadzić ją do systemu.

Ale gdyby nawet zabieg się udał i na ręce kobiety nie było żadnej blizny ani zmian pigmentacji skóry, to jeśli w którymś momencie stała się podejrzaną lub ofiarą w policyjnym śledztwie, śledczy nie powinni mieć wątpliwości, że kiedyś miała na ręce tatuaż. Skoro tak mocno zaczerniona sylwetka ptaka znajdowała się na tak małym kawałku skóry, należało się spodziewać, że na ręce pozostaną jakieś cienie lub zmiany w gładkości skóry, choćby nieznaczne. Trudno uwierzyć, że wprawne policyjne oko mogłoby je przeoczyć.

Chyba że policja w ogóle nie wiedziała, że był tam kiedyś tatuaż.

W głowie od razu zakiełkowała mi nowa myśl.

Przysunąłem bliżej laptopa. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej czułem, że musiało wydarzyć się coś złego. To było przeczucie oparte na latach błądzenia po podobnych ścieżkach. Tasker przeszukał bazę kobiet zgłoszonych jako zaginione, używając tatuażu jako klucza, a teraz ja usunąłem z tego równania tatuaż i zacząłem szukać tylko na podstawie rysopisu i przypuszczalnego wieku.

I to nie wśród osób zaginionych, tylko wśród niezidentyfikowanych szczątków.

Przeszukanie stron internetowych Biura Osób Zaginionych zajęło mi trochę czasu i wymagało kilkakrotnych korekt parametrów wyszukiwania, ale w końcu na coś natrafiłem.

I zrobiło mi się słabo.

Wróciłem do Google'a i używając podstawowych danych z bazy BOZ, zacząłem szukać informacji na ten temat w mediach. Pierwszy link odesłał mnie do notatki w „Guardianie”, zaraz jednak odkryłem, że ta historia trafiła także do innych ogólnokrajowych gazet. Wszystkie wzmianki były

krótkie i wszystkie ukazały się w gazetach tego samego dnia dwa lata temu, w czwartek, szóstego listopada 2014 roku.

Przeczytałem nagłówek w „Mail”.

MAKABRYCZNE ODKRYCIE NA OSIEDLU MIESZKANIOWYM

Tym osiedlem było Armbury w Abbey Wood, w południowo-wschodnim Londynie. Ciągnęło się wzdłuż torów kolejowych, zamkniętych dla ruchu w 2014 roku z uwagi na budowę linii Crossrail, w wyniku czego powstał tam blisko kilometrowy odcinek torów. Gazety opisywały go jako wysypisko śmieci i donosiły, że jeden z tamtejszych mieszkańców, niejaki Alan Havenger, wiecznie w nim grzebał. Gdy natykał się na coś, co mu się podobało, zabierał to do domu i próbował naprawiać: starą kosiarkę, popsuty telewizor, zdezelowany rower.

Piątego listopada 2014 roku znalazł zwłoki.

Z napięciem przeczytałem tekst do końca. Napisano go bezpośrednio po znalezieniu ciała i brakowało bliższych szczegółów na temat ofiary, poza jej pobieżnym rysopisem: biała kobieta w wieku około trzydziestu lat, blondynka. Zacząłem szukać bliższych informacji, które musiały się pojawić w kolejnych dniach, znalazłem jednak tylko jedną krótką notatkę w „Evening Standard”, zamieszczoną pięć dni później.

Wynikało z niej, że śledczy nadal nie mają pojęcia, kim była ofiara. Właśnie dlatego gazety ogólnokrajowe straciły zainteresowanie. Nie ma nazwiska, nie ma sprawy. Śledczy stwierdzili, że ofiara leżała na wysypisku od dwóch tygodni, a Havenger nie natknął się na nią wcześniej, ponieważ ciało było wsunięte pod stertę podkładów kolejowych. A właściwie nie tyle wsunięte, ile wtłoczone i sprasowane z taką siłą, że niektóre kości popękały.

Trudno powiedzieć, co w tej historii było najgorsze: stan, w jakim znaleziono zwłoki, czy to, co jeszcze odkryto na ciele. Teraz już

wiedziałem, dlaczego Tasker nie znalazł nic pod hasłem *tatuaż*: kobieta nie miała tatuażu.

Został wycięty.

Kawałki skóry wycięto z lewego ramienia kobiety, ale także z nóg i z prawego ramienia. Wydało mi się oczywiste, że zrobiono to dla zmylenia tropu. Gdyby wycięto tylko jeden fragment, śledczy od razu zaczęliby się zastanawiać dlaczego. I dlaczego właśnie stąd? I co usunięto? Wycięcie kawałków skóry także z trzech innych miejsc kierowało podejrzenia raczej w stronę działań szaleńca w amoku, czynu mordercy, którego poniosło.

Ale prawda wyglądała inaczej.

Mordercą nie był ktoś, kto stracił kontrolę nad sobą. To było przemyślane postępowanie zabójcy, który wiedział dokładnie, co robi.

Zadzwoiłem do Ewana Taskera i powiedziałem mu o moim odkryciu, a on ponownie wszedł do bazy danych i szybko odnalazł tę kobietę. Wcześniej mu się to nie udało, bo nikt nigdy nie zgłosił jej zaginięcia czy grożącego jej niebezpieczeństwa, a na zwłokach nie było tatuażu. Z powodu uszkodzeń skóry przyjęto błędną koncepcję i szukano innego typu mordercy. Całe śledztwo od początku poszło w niewłaściwym kierunku.

– A co z DNA ofiary? – spytałem. – Co z jej zębami? Z odciskami palców?

– Zaprowadziły donikąd.

– I nic nie ustalono?

Tasker głęboko westchnął.

– Słuchaj, Raker, przecież wiesz, że nie mogę udawać, że niczego się nie dowiedziałem. Jeśli pojawia się szansa ustalenia tożsamości ofiary i przyczyny śmierci, jeśli jest szansa, by dopaść drania, który to zrobił,

musimy się tym zająć. Mogę ci dać trzy, cztery dni, może tydzień, ale potem będę musiał przekazać to dalej. Nie mogę z czystym sumieniem milczeć.

– Rozumiem.

– Wybacz, stary.

– Nie musisz przeproszać, Task.

Dał mi tydzień.

Musiałem wykorzystać ten czas.

CZĘŚĆ DRUGA

Fragment książki Andrew Reece'a

Nietypowym szlakiem. Nieznane zakątki Wielkiej Brytanii

Książka ta miała być początkowo dziennikiem podróży, prowadzonym dla uhonorowania Wielkiej Brytanii, Brytyjczyków i dalekich zakątków naszego kraju, których wciąż jeszcze nie znamy, jednak moja rozmowa ze znajomym dziennikarzem i radiowcem, Tomaszem Cassellem, wszystko zmieniła.

– Byłeś tam już kiedyś? – pyta mnie Tomasz.

– Nie, nigdy. Jak tam jest?

Wydaje się lekko stropiony, co do niego niepodobne.

– Mój tata był pilotem RAF-u i stacjonował kilka kilometrów od ówczesnych granic miasteczka. – Milknie na chwilę, po czym dodaje: – Dlatego wałęsałem się tam jako dziecko.

– I co stamtąd zapamiętałeś?

– Deszcz.

– Deszcz?

– Tam często leje. Naprawdę bardzo często.

– No cóż, typowa brytyjska pogoda.

– Tak, chyba tak. – Tomasz się uśmiecha.

Ale jego uśmiech zaraz znika.

– I ludzi – mówi.

– A czym się wyróżniają?

– Nigdy ich jakoś nie polubiłem.

– Dlaczego?

– Byli dziwni, bardzo, bardzo dziwni.

Siedem tygodni po tej rozmowie myślę o słowach Tomasa, patrząc na widoczne w oddali miasteczko. Dotarcie do niego, szczególnie po ciemku, trwa całą wieczność, jakbym jechał na kraniec świata. Najpierw widać mrugające w ciemnościach światełka i skąpany w księżycowej poświacie szczyt Strathgryde, a jeśli wybierzesz drogę przez most wiszący, zbudowany w 1985 roku, za rządów Thatcher, za niebagatelne dwadzieścia pięć milionów funtów, powita was filar w kolorach flagi brytyjskiej, złożony z czerwonych, niebieskich i białych plastikowych owiec. To ukłon wobec rolniczych tradycji tego regionu, ale także próba ukazania miasteczka jako miejsca przyjaznego i z poczuciem humoru.

Tyle że gdy parkuję samochód i melduję się w jedynym w okolicy przybytku oferującym nocleg ze śniadaniem, na twarzach mieszkańców miasteczka nie dostrzegam ani śladu rozbawienia. Być może bierze się to z ciągłej obawy, że wszystko może się w każdej chwili zawalić. Małe i zwarte centrum jest tego najlepszym przykładem. Łatwo się po nim poruszać, bo tak naprawdę sprowadza się ono do jednego placu z kilkoma sklepami, pubem, ośrodkiem kultury i szkołą na obrzeżach. Niestety wszystko wygląda na mocno

zapuszczone. Farba na budynkach się łuszczy. Markizy sklepowe są wypłowiałe i odbarwione. Szkoła bardziej przypomina więzienie niż krynicę wiedzy. Nawet mieszczące się nieco dalej kąpielisko – dziwaczna, choć na swój sposób oryginalna budowla, skrzyżowanie zamczyska i statku kosmicznego – też mocno podupało. Nadal działa, ale jego mury są spękane i wszędzie panoszą się chwasty.

W sumie wydaje się, że jedynym powodem, by tu zawitać, mogą być piesze wycieczki po okolicy. Tyle że i to wygląda dość dziwnie. Na lokalnych mapach brak szlaków turystycznych, a gdy poprosicie miejscowych o wskazanie najciekawszych tras wycieczkowych, napotkacie dziwną niechęć. W rezultacie aby się przejść Traktem Widokowym, drogą prowadzącą wokół północnych granic miasteczka, musiałem sam wytyczyć swoją trasę. A i tak w pewnym momencie wyżłobione schody doprowadziły mnie do miejsca, gdzie pokryty piargami trakt rozwidłał się na trzy ścieżki.

Dwie z nich okrążyły od wschodu szczyt Strathyde, o wysokości tysiąca stu metrów, i zbiegały się niemal w tym samym punkcie, z którego rozpościerał się oszałamiający widok na cieśninę Wallace. Trzecia ścieżka jest łatwiejsza, ale nie tak ciekawa. Prowadzi na zachód i jest zwykłą ścieżką w płytkiej rozpadlinie, kończącą się na rozległej polanie. Potem nagle niknie i turysta trafia na coś pośredniego między łąką a torfowiskiem, po czym natyka się na blisko dwumetrowy płot, który zagrausza dalszą drogę. I o ile miejscowi wykazywali niezrozumiałą niechęć w doradzeniu mi, którędy pójść, o tyle byli jeszcze bardziej niechętni, żeby mi wyjaśnić, czemu służy ten płot w górach. Pewnie chodzi o to, że tamtejsze mokradła są niebezpieczne i łatwo się na nich zgubić, a przy braku górskiej służby ratunkowej lepiej, by nikt się tam nie kręcił.

Ale nie wszyscy śpiewają na jedną nutę. Gdy wracam, większość ludzi mówi mi, że teren ogrodzono, bo jest naszpikowany materiałami wybuchowymi z czasów drugiej wojny światowej, kiedy to – w obawie przed niemiecką inwazją – zaminowano cały pas wybrzeża. Jednak człowiek, który kosi trawę wokół nieczynnego kąpieliska, informuje mnie, że chodzi o epidemię brucelozy wśród tutejszych owiec, z kolei ktoś inny twierdzi, że powodem są spadające z góry odłamy skalne. Pytam o to właścicielkę mojego pensjonatu, a ona odburkuje, że nie wie dlaczego, i szybko się oddala, by usmażyć mi na śniadanie jajka i kiełbaski, o które wcale nie prosiłem.

Cała ta historia doskonale obrazuje dziwaczne zwyczaje panujące w tym miasteczku.

Pod wieloma względami przypomina ono żywe muzeum, miejsce, które przetrwało na rubieżach Wielkiej Brytanii w czterdziestoletniej bańce czasu. Brytyjskie flagi, czerwone budki telefoniczne, babeczki z dżemem, dzbanki z herbatą, którą pije się na miejskim trawniku – wszystko to jakby cudem zostało przeniesione z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Lokalna społeczność jest dość jednorodna pod względem etnicznym i jeśli przypadkiem nie jesteście biali, mogłoby to nasunąć wam podejrzenie, że miejscowi zachowują się w stosunku do was dziwnie ze względu na kolor waszej skóry, ale to nieprawda. Możecie być białym, czarnym, Azjatą, mieszańcem – to zupełnie bez znaczenia.

Miejscowi odpowiedzą, jeśli się do nich zwrócić, ale cały czas ma się wrażenie, że starannie ważą słowa. W gruncie rzeczy, gdyby popuścić wodze fantazji, można by pomyśleć, że wszyscy coś ukrywają.

Wszyscy coś ukrywają.

Pierwszy raz zapisałem sobie to zdanie w dniu przyjazdu do miasteczka, jako żart. Myśl, że wszyscy tutejsi mieszkańcy kryją jakąś ponurą tajemnicę, miała stanowić żartobliwy wtręt w tekście. Tyle że kiedy człowiek stąd wyjeżdża, nie jest już taki pewien, czy to tylko żart.

Wydaje się, że naprawdę coś w tym może być.

19

Osiedle Armbury było zwartym zbiorowiskiem trzypiętrowych bloków mieszkalnych, niecały kilometr na wschód od stacji Abbey Wood, i przypominało kształtem przewróconego na bok żuka z odnóżami w postaci ośmiu ślepych uliczek – każda długości około dwustu metrów – które wyrastały z długiej arterii o nazwie Skylark Avenue. Na miejscu okazało się, że nazwa arterii jest zupełnie nietrafiona, bo dojście od stacji wyglądało ponuro i odpychająco*.

Jadąc pociągiem przez Londyn, poświęciłem trochę czasu na zapoznanie się ze szczegółami zabójstwa tej kobiety. Towarzyszący mi Richard Kite usiadł naprzeciwko mnie i zagłębił się w lekturze książki *Ten wspaniały dzień*. Pokazałem mu jedno ze zdjęć, które przysłał mi Ewan Tasker: obraz nieczynnego toru i sterty podkładów kolejowych, pod którymi znaleziono ciało.

– Poznajesz to miejsce? – spytałem.

Odłożył książkę i wziął mój telefon. Tasker przysłał mi też kilka innych zdjęć, których nie zamierzałem pokazywać Richardowi, ale jeśli wcześniej miałem jeszcze jakieś wątpliwości, czy zamordowaną kobietą jest ta z ławki w Regent's Parku, to teraz już zostały one rozwiane. Zdjęcia z miejsca znalezienia zwłok nie były tak jednoznaczne, ale te zrobione podczas sekcji dawały całkowitą pewność.

– Nie. – Pokręcił głową. – Gdzie to jest?

– Pokażę ci, jak dojedziemy.

Na miejscu zajrzałem do dokumentacji i stwierdziłem, że ciało znaleziono tuż przy torze biegnącym wzdłuż Skylark Avenue, oddzielonym jedynie stalową siatką, tyle że tor biegł w wykopie, jakieś sześć metrów poniżej poziomu osiedla, a boki wykopu były strome i zavalone śmieciami. Rozglądając się za wygodnym zejściem na dno, zauważyłem w trawie telewizor, a kawałek dalej stare opony, etażerkę na książki i zafoliowany karton. Oraz coś jeszcze. Coś niebieskiego, przywiązanego do pnia drzewa po drugiej stronie toru.

Kawałek taśmy policyjnej.

Richard szedł krok w krok za mną, trzymając w jednej ręce książkę, a w drugiej swoją nową komórkę. Wyglądał na spiętego. Wsunąłem palce w oka stalowej siatki i wskazałem głową.

– To jest to miejsce ze zdjęcia, które widziałeś w pociągu.

Podszedł do siatki i spojrzał w dół.

– Na pewno nic ci się nie przypomina? – spytałem.

– Nie. – Wydawał się coraz bardziej spięty i nerwowo omiatał wzrokiem zbocza wykopu kolejowego. – Nic z tego nie pamiętam.

– Mogłeś tu nigdy nie być.

Zrozumiał, że chcę mu pomóc, uspokajając go, że to nie ma znaczenia. Ale dla niego to miało znaczenie, bo było jeszcze jedną czystą kartą, kolejnym pytaniem, na które nie znajdował odpowiedzi. Wodził wzrokiem po śmieciach zalegających trawiaste zbocza wykopu.

– Coś w tym miejscu znaleziono – powiedziałem.

Zastanawiałem się, co stracę, mówiąc mu prawdę. Przywiozłem go tu w konsekwencji naszej rozmowy podczas lunchu, w nadziei, że coś mu zaświta w głowie, że zadziała głęboko zakorzeniony instynkt i pojawi się

„łącznik”. Nie miałem żadnych obaw, by powiedzieć mu o tej zamordowanej kobiecie. Moje obawy budziła relacja, jaką zbudował – czy tylko tak mu się wydawało – z Naomi Russum. Nie chciałem, by cokolwiek z tego do niej dotarło, a bałem się, że mógłby coś jej wygadać, nawet jeśli poproszę go o zachowanie tajemnicy.

– Kiedy masz następne spotkanie z Naomi? – spytałem.

Zmarszczył czoło, zaskoczony nagłą zmianą tematu, a ja nie po raz pierwszy dostrzegłem w jego oczach inteligencję człowieka myślącego, który stara się ocenić, dokąd prowadzi go nowa ścieżka w labiryncie powstałym po utracie pamięci.

– W przyszłym tygodniu. W piątek.

Zatem miałem osiem dni, w ciągu których albo muszę zachowywać wobec niego milczenie, albo zakończyć sprawę. Jeśli ją zakończę, nie będzie już miało znaczenia, co powie Russum.

– Znaleziono tu zwłoki – powiedziałem.

Twarz mu pobladła.

– Zwłoki?

– Kobiety. Próbuję ustalić, kim była. – Zawiesiłem głos i spojrzałem na niego. – Myślę, że mogłeś ją znać.

To wyraźnie nim wstrząsnęło. Przez chwilę błędził niespokojnym wzrokiem po stercie podkładów, pod którą ją znaleziono, potem spojrzał na trzymany w lewej ręce telefon. Nie był to tamten aparat z podsłuchem, ale myśli Richarda biegły tym samym torem co moje: najpierw atak na jego telefon, teraz nie żyje kobieta, którą mógł znać.

– Kim ona była? – spytał.

– Nie znam jej nazwiska.

– Skąd miałbym ją znać?

– Tego też nie wiem. Ale miała taki sam tatuaż jak ty.

– Co?!

Teraz już wyglądał jak po nokautującym ciosie.

Powiodłem wzrokiem po rzędach okien w pobliskich blokach mieszkalnych, by upewnić się, że nikt nas nie obserwuje. Gdy znów na niego popatrzyłem, sprawiał wrażenie jeszcze bledszego.

– Chcesz mi towarzyszyć? – spytałem.

Przełknął głośno ślinę i znów spojrzał na stertę podkładów.

– Bo możesz tu zostać, jeśli wolisz – dodałem.

Ale on już kręcił głową.

– Nie, nie – powiedział. – Pójdę z tobą.

.....
* *Skylark* (ang.) – skowronek.

20

Przedostaliśmy się na drugą stronę toru.

Przebiłem się przez zwały śmieci – połamane meble, domowe sprzęty i pełne odpadków czarne worki, które popękały i z których wysypała się zawartość – zalegające bok wykopu. Śmierdziało gnijącą żywnością, wysoka trawa była śliska od deszczu, ziemia pod nią błotnista. Im bliżej toru, tym było ciemniej. Zagłębienie miało tylko jakieś sześć metrów, ale zdawało mi się, jakbym schodził do lochu.

Z dołu spojrzałem na Richarda – był jakieś trzy metry za mną i gramolił się, wciąż z telefonem i książką w rękach. Czekaając, aż zejdzie, wyjąłem latarkę i poświeciłem na stertę podkładów. Po torze tańczyły cienie sterczących na nim – niczym popsute zęby – śmieci, ale głównie porastały go skołtunione chwasty i wysoka trawa.

Stałem zwrócony twarzą na wschód, po prawej stronie miałem mur z żużlobetonowych pustaków, kawałek dalej majaczyła kładka łącząca perony po obu stronach toru, ale schodki na nią były zabite deskami. Kładkę tak gęsto pokrywało graffiti, że trudno było dojrzeć oryginalną drewnianą konstrukcję. Obejrzałem się i stwierdziłem, że w przeciwną stronę tor ciągnie się jeszcze jakieś sześćdziesiąt metrów, po czym niknie w tunelu. Wjazd do tunelu był zamurowany, co oznaczało, że ten fragment toru był kompletnie odcięty od sieci.

Mimo że wzrok stopniowo przyzwyczajał mi się do mroku i obraz stał się ostrzejszy, nadal nie gasiłem latarki.

– Wszystko w porządku? – spytałem Richarda, kiedy stanął obok mnie.

Kiwnął głową, po czym też zaczął się rozglądać. Obserwowałem go ukradkiem, czy nie pojawi się u niego przebłysk rozpoznania.

– Nigdy tu chyba nie byłem, bo zupełnie nie pamiętam tego miejsca – powiedział wreszcie.

Dałem mu jeszcze chwilę, a potem ruszyłem przed siebie; za plecami słyszałem jego kroki. Sięgające mi do kolan chwasty i trawa oplatały się wokół moich nóg i parę razy zgubiłem nawet bieg szyn, wciąż o coś się potykając. Pod murem rosło wyschnięte drzewo i to do jego pnia była przywiązana taśma policyjna, którą zauważyłem z krawędzi wykopu. Jej drugi koniec wił się luźno w trawie niczym robak.

Zatrzymałem się przy stercie podkładów kolejowych.

Było ich tam osiemnaście, może dwadzieścia, ułożonych w niezbyt regularny prostopadłościan. Każdy podkład miał długość około trzech metrów i ważył chyba z pięćdziesiąt kilogramów. Początkowo leżały pewnie pod biegnącym tędy torem, ale teraz były już tylko porzuconymi kłodami drewna, których bez pomocy dźwigu nie dałoby się stąd usunąć.

Stojąc w trawie i czując trzepoczącą mi przy nogach taśmę, wyjąłem telefon i otworzyłem stronę, którą czytałem w pociągu. Alan Havenger zeznał na policji, że jego uwagę zwrócił smród – *taki okropny, okropny smród* – i że gdy w ślad za nim dotarł do sterty podkładów, dostrzegł pod nimi *coś białego*.

HAVENGER: Myślałem, że to może jakiś potłuczony talerz albo inna skorupa. W wykopie leżą tego tony. Chłopaki robią zawody i rzucają tym, żeby zobaczyć, jak daleko polecą. Ale im

bliżej podchodziłem, tym smród był gorszy. A potem ukląknęłam i zajrzałem przez szparę z boku sterty, i wtedy ją zobaczyłem.

Cofnąłem się do fotografii z miejsca przestępstwa. Nawet na malutkim ekranie, na którym ginęło wiele drobnych szczegółów, z trudem się na to patrzyło. Widać było biały jak papier fragment twarzy z jednym zamglonym okiem. Policzek zakrywały kosmyki brudnych, zmatowiałych blond włosów.

Inne fotografie ukazywały stertę podkładów pod różnymi kątami i choć na każdej pojawiał się jakiś mlecznobiały fragment – łokieć wystający z podartego rękawa bluzki, dłoń z łuszczącym się niebieskim lakierem na paznokciach – większość ciała kobiety była schowana pod podkładami. I o to właśnie chodziło: ktokolwiek ją zabił, wtłoczył ją głęboko pod podkłady, licząc na to, że nikt nigdy jej nie znajdzie. W rezultacie ciało leżało zgięte wpół, kolano dotykało twarzy, a kości rąk i nóg zostały pogruchothane, gdy wciskano ją w tę wąską szczelinę.

– Jak ona tu trafiła? – jęknął Richard.

Spojrzałem na niego. Sam zadawałem sobie to pytanie: Jak mordercy udało się znieść ją po stromym zboczu? Pokonanie ogrodzenia i zniesienie jej na dół wydawało się wręcz niemożliwe, w każdym razie dla kogoś działającego w pojedynkę. A gdyby nawet jakimś cudem się to udało, szaleństwem byłoby ryzykować, biorąc pod uwagę, ile okien wychodziło na wykop.

– Myślisz, że zniósł ją po tej stromiźnie? – spytał Richard.

– Wątpię.

– Dlaczego?

– Za trudne i zbyt ryzykowne – odparłem, a on pokiwał głową, jakby przyznawał mi rację. – Zniesiono ją w jakimś innym miejscu.

Znów pokiwał głową i podążył za moim wzrokiem ku kładce nad torem.

– Mam tam iść i się rozejrzeć?

Stał jakieś dwa metry ode mnie, za wysoką kępą trawy, z kapturem od kurtki nasuniętym na głowę. Z kieszeni wystawała mu książka, której strony ciemniały w padającym deszczu.

– Mogę sobie poświecić latarką w telefonie – dodał.

– Dobrze. Wołaj, jak coś znajdziesz.

Ruszył w kierunku kładki. Przez chwilę patrzyłem, jak z opuszczoną głową przedziera się przez chaszczę, przyświecając sobie telefonem, po czym znów skupiłem uwagę na podkładach kolejowych.

Przejrzałem resztę fotografii z miejsca przestępstwa; zatrzymałem się ponownie na zdjęciu twarzy kobiety zrobionym podczas sekcji. Twarz została umyta, włosy szesane z czoła. Na policzkach i brodzie widać było drobne skaleczenia i otarcia od ostrych krawędzi podkładów. Widać też było zasinienia – niewielkie na twarzy i mocne na szyi, otaczające ją jak szal. Z notatek patologa wynikało, że przerwaniu lub poważnemu uszkodzeniu uległy chrząstki nagłośniowa, tarczowata i pierścieniowata, a także tchawica, wszystkie mieszczące się w przedniej części szyi. Najwyraźniej wynikało to z użycia siły przy wciskaniu ciała w szparę. Patolog był niemal pewien, że obrażenia szyi powstały w wyniku tak silnego zgięcia głowy do przodu, że gardło uległo zmiążdżeniu. Z tyłu też były obrażenia: pęknięte kręgi szyjne, zerwane więzadła szczęki. Czytając ten kliniczny opis, mogłem mieć tylko nadzieję, że już nie żyła, kiedy się to działo.

– David! – dobiegł mnie głos Richarda. – Coś znalazłem.

Ruszyłem w stronę kładki.

Warunki do szukania śladów były coraz gorsze. Lał deszcz, do zachodu słońca zostało już tylko piętnaście minut i zrobiło się niemal ciemno, a w świetle latarki strugi deszczu przypominały srebrzyste sznury. Zbliżywszy się do kładki, uświadomiłem sobie coś jeszcze: kładka wcale nie miała takiego kształtu, jak mi się zdawało. Myślałem, że po prostu łączy perony po obu stronach torów, pozwalając pasażerom przejść z jednego na drugi, jednak z bliska okazało się, że po stronie peronu w kierunku wschodnim, czyli po mojej prawej, kładka rozdziela się u góry na dwa ciągi i ten drugi, w postaci obudowanego korytarza, skręca w stronę bloków mieszkalnych i przechodzi nad murem z żużlobetonowych pustaków. Dojrzałem to dopiero teraz, bo z daleka obie odnogi zlewały się w jedną.

– Tutaj! – zawołał Richard.

Stał na szczycie zbocza po stronie peronu w kierunku wschodnim. Krople deszczu spływały z zadaszenia kładki i ściekały po graffiti na tor i peron, obryzgując mi twarz, marynarkę i ręce. Śmierdziało próchniejącym drewnem, olejem, gnijącą żywnością, moczem i rdzą, ale prawie tego nie zauważałem. Zbyt byłem zaabsorbowany widokiem Richarda, który przykucnął przed zbitą z desek ścianką, zagradzającą wejście na schodki.

Ktoś wyciął w niej otwór.

Instynktownie popatrzyłem w obie strony toru, jakby gdzieś w głębi mroku kryła się odpowiedź, po czym ukląknęłam obok Richarda i zobaczyłem, że w ściance został wycięty kwadratowy otwór mniej więcej metr na metr. Wszedłem w telefonie do przesłanych mi materiałów ze śledztwa i wpisałem słowo *kładka*. Okazało się, że przegapiłem zawartą w nich uwagę, że zdaniem policji to właśnie po kładce przeniesiono ciało do wykopu.

Zawróciliśmy do podkładów, które teraz leżały już niemal w całkowitej ciemności. Przesuwając się nieco bardziej w lewo, wlażłem w kępę

gęstszych i wyższych chwastów. W snopie światła latarki połyskiwały ich mokre łodygi i poplamione olejem kawały drewna.

A także coś jeszcze.

Głęboko pod podkładami coś lśniło.

Podszedłem bliżej i poświeciłem latarką. Podkłady były lekko rozsunięte, zapewne przez policję podczas wydobywania zwłok, ale szpara była już zarośnięta, jak wszystko wokół. Przyroda odzyskiwała swój teren.

Schyliłem się i udało mi się dojrzeć, co tak lśni spod pokładów: kawałek celofanu, brudny od deszczu i pognieciony. Skierowałem na niego strumień światła i okazało się, że celofanu jest więcej, dużo więcej. W sumie musiało być ze dwadzieścia, może trzydzieści kawałków. Zdałem też sobie sprawę, że nie są płaskie, tylko mają stożkowy kształt i do każdego jest przyczepiona karteczka.

Na każdej karteczce było coś napisane.

– David? – odezwał się Richard zza moich pleców. – Co tam znalazłeś?

Opadłem na czworaki i przytknąłem głowę do sterty podkładów.

– Kwiaty – odparłem.

21

Sięgnąłem w głąb, końcami palców uchwyciłem najbliższe zawiniątko i pociągnąłem. Celofan się rozerwał – w środku znajdowała się wiązanka żółtych, czerwonych i różowych goździków, które zaczynały już więdnąć. Płatki zwisały żałośnie, ich brzegi pogniły.

Karteczka, pierwotnie przyczepiona zszywką, oderwała się i upadła mi na kolana. Podniosłem ją i odwróciłem. Pismo było rozmazane od deszczu, ale dało się je odczytać.

Tak mi Cię brakuje x

Przez chwilę patrzyłem na te słowa, po czym nachyliłem się i przyciskając twarz do podkładu, sięgnąłem jeszcze głębiej. Tym razem udało mi się chwycić dwie kolejne wiązanki. Te również zawierały goździki, ale jedna była w zaawansowanym stadium gnilnym i kwiaty zupełnie szerniały, a w drugiej pozostał już tylko jeden kwiat, wciąż czerwony.

Do obu doczepione były karteczki z odręcznym tekstem.

Jeden brzmiał i wyglądał dokładnie tak samo jak na pierwszej, ale drugi był inny.

Proszę, wybacz mi.

Poczułem ucisk w piersiach. Oderwałem kartkę od celofanu i pokazałem Richardowi, po czym przystąpiłem do wyciągania kolejnych

wiązanek. Po chwili leżało ich wokół mnie piętnaście, a co najmniej drugie tyle wciąż tkwiło w jamie pod podkładami. Większość kwiatów była już od dawna martwa – tylko gołe łodygi czy wręcz gnijąca miazga – ale niemal wszystkie wciąż miały przyczepione karteczki. I treść wszystkich była podobna. *Tęsknię za Tobą. Proszę, wybacz mi. Tak bardzo Cię przepraszam.*

– Rozpoznajesz ten charakter pisma? – spytał Richarda.

– Nie. – Pokręcił głową.

– A kwiaty? Z czymś ci się kojarzą?

Podszedł bliżej.

– Nie – powtórzył i spojrzał na mnie pytająco, oczekując wyjaśnienia, co się tutaj dzieje.

Raz jeszcze sięgnąłem w głąb jamy, by wydobyć więcej kwiatów, ale tkwiły zbyt głęboko i żeby się do nich dostać, musiałbym rozsunąć podkłady. Z pomocą Richarda nie było to niemożliwe, ale wymagałoby dużo wysiłku i nie byłem pewien, czy ma to większy sens. Wziąwszy pod uwagę to, co było napisane na doczepionych karteczkach, oraz to, że kwiaty znalazły się w miejscu, gdzie wciśnięto ciało ofiary, pomyślałem, że niczego nowego się nie dowiem.

– Myślisz, że te kwiaty zostawił ten, kto ją zabił?

Spojrzałem na Richarda. Pytanie było oczywiste, nie miałem jednak pewności, czy naprawdę zależy mu na odpowiedzi. Wydawał się kompletnie wytrącony z równowagi i zaczynałem się zastanawiać, czy dobrze zrobiłem, zabierając go ze sobą. Nic nie poruszyło jego pamięci, za to pustka w jego głowie wypełniła się obrazami, których nikt nie powinien ze sobą nosić.

– Nie wiem – odparłem.

I nie było to kłamstwo. Wcale nie wiedziałem, czy kwiaty pochodziły od tego, kto ją zabił, natomiast nie ulegało wątpliwości, że zostawił je tutaj

ktoś nękany wyrzutami sumienia.

Wziąłem do ręki kilka karteczek.

Wszystkie wyglądały tak samo. Po jednej stronie puste, tylko z bladą ramką, a po drugiej miały wydrukowaną nazwę kwiaciarni. Haggerty's. Jedno słowo, napisane ozdobną czcionką, bez adresu, maila, telefonu czy strony internetowej. Ale gdy wpisałem tę nazwę do Google'a, w ciągu paru sekund poznałem adres kwiaciarni Haggerty's.

Mieściła się przy Upper Thames Street.

Dokładnie naprzeciwko szkoły Red Tree.

Gotowa od urodzenia

Tego wieczoru, gdy dziewczynki odkryły, że nie ma żadnej bramy, nie poszły dalej do Otchłani. Czym prędzej zawróciły i pobięły pędem do domu, wystraszone, że może to być jakaś pułapka dorosłych. Podstęp, by przyłapać je na sekretnych wyprawach, na nieprzestrzeganiu miejscowych reguł. Tak bardzo się wystraszyły, że wszystko się wyda, że przez następne siedem miesięcy nawet nie spojrzały w stronę wzgórz.

Wiedziały, że jeśli dorośli je tam przyłapią, będą musiały do wszystkiego się przyznać: że od czterech lat chodzą do Otchłani; że im się zdaje, że na bagnach coś jest, jakiś potwór albo duch, albo wielkie zwierzę; że najbardziej pragną jednego, i to jest główny powód, dla którego wciąż tam wracają – chcą znaleźć w sobie tyle odwagi, aby przejść przez płot i poznać prawdę.

W końcu jednak Penny znudziła się czekaniem.

– A gdybyśmy naprawdę to zrobiły? – powiedziała któregoś ranka, kiedy szły do szkoły. – Gdybyśmy naprawdę przeszły?

Beth spojrzała na nią niepewnie.

– Przez ten płot?

– Ciii – syknęła Penny, zerkając na inne dzieci idące do szkoły, niektóre z rodzicami. – Mów ciszej.

Przez chwilę szły w milczeniu, po czym Beth rzuciła cicho:

– Mówisz poważnie, Pen? Naprawdę chcesz tam wrócić?

– Tak. A ty nie?

– No... chyba tak. Ale naprawdę chcesz przejść przez płot?

Głos Beth lekko drżał z podniecenia, ciekawości i strachu. W głębi duszy Penny czuła to samo. Serce jej waliło na myśl o dojściu aż do Otchłani. Zamiast tylko słuchać o niej i oglądać ją z daleka – rzeczywiście tam pójść. A jeśli tam naprawdę są w ziemi miny? A jeśli jest coś jeszcze gorszego?

– Pen?

– Myślę, że powinnyśmy to zrobić – powiedziała Penny z przekonaniem w głosie, choć tak naprawdę wcale nie była tego pewna. – Ale najpierw powinnyśmy się przygotować. Na przykład, jak tam pójdziemy i będzie nam się zdawało, że coś widzimy, powinnyśmy to zapisać. Albo jeśli usłyszymy coś dziwnego. Powinnyśmy wszystko notować, bo wtedy będziemy mogły zauważyć jakąś powtarzalność tego, co się tam dzieje. A dzięki temu znajdziemy najlepszy moment, żeby przejść przez płot i pójść dalej.

Penny zauważyła, że siostrze ulżyło, gdy zdała sobie sprawę, że nieprędko się tam wybiorą. Nie przyznała się jej, że sama także czuje ulgę.

– Powinnyśmy też zapisywać wszystko, co mówią dorośli.

Beth zmarszczyła czoło.

– Dlaczego?

– Bo większość wierzy, że tam są miny, nie? Ale niektórzy, jak Jack albo ten farmer, który czasami do nas przychodzi, myślą chyba, że tam są nie tylko miny. Pewnie dlatego chodzą sprawdzać ten płot. Może kiedy tam byli, coś widzieli, tak jak my. Może nawet coś więcej. Może byli za płotem i dlatego Jack nie chce o tym rozmawiać.

– Myślisz, że mój tata się boi?

– No – mruknęła Penny, ale im bardziej się nad tym zastanawiała, tym mniej była tego pewna. – Chociaż nie wiem. Może. Bo jakby się nie bał, to o co innego mogłoby chodzić?

– Co masz na myśli?

– Że jak to nie strach, to co to jest?

Dochodziły już do szkolnej bramy.

– Nie rozumiem – powiedziała Beth.

– Może on kłamie. – Penny nachyliła się do siostry, żeby nikt inny jej nie usłyszał. – Podobno na szlaku miała być brama, żeby nikt nie mógł się dostać do Otchłani, ale nie ma żadnej bramy. Więc może ten płot też jest tylko na pokaz?

– Dlaczego tata miałby nas okłamywać?

– Nie wiem – odparła Penny. – I właśnie tego musimy się dowiedzieć.

...

Na wszelki wypadek odczekały jeszcze miesiąc, nim znów zaczęły tam chodzić.

Brały ze sobą notatniki i zapisywały wszystko – każdy zaobserwowany ruch, każdy usłyszany dźwięk – aż po paru miesiącach, wraz z nadejściem wiosny, a potem lata i dłuższych wieczorów, były gotowe podjąć ryzyko: wymknąć się z domu przed zachodem słońca, by wejść do Otchłani, zanim zrobi się ciemno. Wcześniej nigdy nie widziały mokradeł inaczej niż po ciemku, ale poza tym, że przekonały się na własne oczy, jaki to ogromny teren, ani razu nie zobaczyły nic niezwykłego.

Gdy pod koniec lata zostały niemal przyłapane, jak wracały ze wzgórz, bo natrafiły na grupkę mężczyzn wytaczających się z pubu, Penny zdecydowała, że z następną eskapadą powinny wstrzymać się do jesieni. Czekanie okazało się jednak strasznie stresujące i już po miesiącu, kiedy wieczory znów zaczęły zapadać wcześniej, Penny była gotowa podjąć

następną próbę. Powstrzymała się jednak i oświadczyła siostrze, że na wszelki wypadek odczekają jeszcze miesiąc.

Tego wieczoru, gdy znów wybrały się na wzgórze, w powietrzu wisiał deszcz. Penny miała na sobie nową wiatrówkę, którą Fiona i Jack kupili jej do gry w hokeja, a Beth była ubrana w gruby czerwony płaszcz z wystrzępionymi rękawami i wełniane legginsy. Włożyła też podniszczone kozaki z futerkiem, które przejęła po Penny. Beth miała już dwanaście lat i nienawidziła donaszania ciuchów po starszej siostrze. Nie dlatego, że jej się nie podobały, tylko dlatego, że buntowała się przeciw noszeniu używanych spódniczek i sweterków. Ale te kozaki akurat pokochała i wkładała je przy każdej okazji, nawet w domu. Mama Penny musiała je przez to wciąż dawać do naprawy.

Penny popatrzyła z bunkra w stronę płotu. Wydało jej się, że w ciemnościach spowijających mokradła dostrzeże jakiś ruch, jakby barwny rozbłysk, który jednak zaraz zgasł, i znów nie była pewna, czy w ogóle coś widziała. Mimo to sięgnęła do kieszeni, wyjęła notatnik, otworzyła na właściwej dacie i sumiennie zapisała to spostrzeżenie.

A potem zaczęła przeglądać swoje wpisy z niemal całego roku: obserwacje i rzekome obserwacje, uwagi zasłyszane od dorosłych, które mogły być ważne, ale pewnie nie były. Im dłużej ona i Beth sporządzały notatki, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że w Otchłani naprawdę nic nie ma. A skoro tak, to coraz bardziej ją dziwiło, dlaczego ludzie robią wokół tego tyle zamieszania. Obie z Beth obserwowały te same chaszczki, słyszały po ciemku te same odgłosy, widziały te same rzekome ruchy. Parę razy nawet się przestraszyły, ale najczęściej nie robiło to już na nich wrażenia. Zaczynały wyrastać z poczucia strachu i opowieści o minach. W czasie przerw obiadowych i po szkole czytała różne

opracowania o drugiej wojnie światowej, ale w żadnym nie znalazła ani słowa o zaminowaniu tej części kraju.

Zaczęła się dzielić swoimi wątpliwościami z Beth i siostra dostrzegła logikę w jej argumentacji. Spędzały długie godziny, analizując zaobserwowane w ciągu minionych lat ruchy i dźwięki oraz zasłyszane opowieści, i logiczne wyjaśnienie ich wszystkich wydawało się coraz bardziej oczywiste. Dziwne odgłosy powodował wiatr, deszcze i zawieje śnieżne, szalejące w zaroślach na stokach wzgórz, na torfowiskach i mokradłach; źródłem rzekomych ruchów były owce pasące się na skalnych zboczach i trawiastych polanach, niewidoczne w nocnych ciemnościach. Wokół miasteczka były farmy owcze i w którąkolwiek stronę się jechało, wszędzie rozciągały się ogromne pastwiska z niezliczonymi stadami owiec. A owce lubią się rozchodzić. Wyszukują sobie w ogrodzeniach dziury, przez które się wymykają, i łązą gdzie popadnie. To dlatego Penny i Beth czasami widziały, że w Otchłani coś się rusza nisko przy ziemi, ukryte w wysokiej trawie. Gdyby w ziemi rzeczywiście były miny, to pasące się owce powinny czasem na nie wchodzić. A przecież nigdy nic nie wybuchło.

Czyli tam nie ma żadnych min, myślała Penny.

– Poznałam kogoś.

Głos Beth zabrzmiał tak niespodziewanie, że Penny aż podskoczyła. Był to pierwszy, poza szumem deszczu, dźwięk, jaki usłyszała od wyjścia z domu. Penny spojrzała na siostrę. W ciemnym kącie bunkra okolona kapturem twarz Beth tworzyła idealny owal. W ciemnościach mogło się zdawać, że jej twarz w ogóle nie łączy się z resztą ciała, że jest zawieszoną w czasie i przestrzeni porcelanową maską.

Beth była nadal mała jak na swój wiek i Penny zdarzało się zapominać, że to już właściwie nastolatka, w każdym razie, kiedy się nie odzywała. Dopiero jej głos ściągał Penny na ziemię, bo między tym, jak Beth

wyglądała, a tym, jak mówiła, był dziwny kontrast. Wyglądała dziecinnie, ale odzywała się tak dojrzałe, że chociaż Penny znała ją chyba lepiej niż ktokolwiek, zawsze potrzebowała chwili, aby się przestawić.

– Poznałaś kogoś? – prychnęła. – O czym ty mówisz?

– Kogoś poznałam.

– Chłopaka?

– Ma na imię Jason.

Penny zmarszczyła czoło, usiłując przypomnieć sobie, czy słyszała w mieście o jakimś Jasonie. Ale potem znów spojrzała na Beth i pojęła o co chodzi.

– Nie jest stąd, tak?

– Tak.

– Jak go poznałaś?

– Przyjechał tu na wakacje.

– Ktoś o tym wie?

– Nie. Oczywiście, że nie. Tata strasznie by się wkurzył.

Penny popatrzyła przez okienko w bunkrze na falującą jak ocean i szarą od deszczu wysoką trawę za płotem. Przez chwilę jej się przyglądała, ale niczego nie dostrzegła.

– Penny?

Odwróciła głowę do Beth.

– Co?

– Nic nie powiesz? Myślałam, że będziesz mnie pouczać.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

– Bo myślałam, że będziesz mnie pouczać – powtórzyła Beth.

Penny obserwowała trawę za płotem, słuchając Beth i jednocześnie wypatrując w zaroślach jakichś podejrzanych ruchów.

– Wciąż tu jest? – spytała w końcu.

– Nie, wyjechał w zeszłym tygodniu.

Penny nic nie powiedziała.

Beth przewróciła oczami, jakby w milczeniu siostry wyczytała naganę.

– Daj spokój, Pen. Zastanawiałaś się kiedyś, jaka czeka cię tutaj przyszłość? Bo ja tak, i wiem, że żadna. Nie zostanę tu na resztę życia i nie będę się spotykać z jakimś matolem ze szkoły, który marzy, żeby następne sześćdziesiąt lat przepracować w oborze kilometr od domu. Mowy nie ma.

Penny mimo woli się uśmiechnęła.

– Z czego się śmiejesz?

– Czasami aż trudno uwierzyć, że masz tylko dwanaście lat.

Beth nie była pewna, czy ma to potraktować jako komplement, czy jako zniewagę. Przesunęła się bliżej na kawałku betonu i rzuciła:

– A ty?

– Co ja?

– Chcesz zostać w tej dziurze przez resztę życia?

– Nie jest tutaj tak źle.

– To najnudniejsze miejsce na świecie, Pen.

– Nieprawda.

– Skąd wiesz? Byłaś gdzieś indziej?

– Żadna z nas nigdzie nie była. – Penny wzruszyła ramionami.

– Właśnie o to mi chodzi.

Beth nie powiedziała tego złośliwie, ale z jakiegoś powodu tak to zabrzmiało. Może dlatego, że Penny od pewnego czasu sama o tym myślała. Miała czternaście lat i czasami marzyła o ucieczce, ale ilekroć dawała się ponieść fantazji i wyobrażała sobie, jak by to było żyć gdzieś indziej i być kimś innym, od razu zaczynała myśleć o tym, jak ogromną przykrość sprawiłaby mamie. A także o tym, że znalazłaby się daleko od domu i już nigdy by się nie dowiedziała, co stało się z jej tatą.

– Jak chcesz do czegoś dojść, Pen, to musisz podjąć ryzyko.

Penny zdusiła w sobie śmiech.

– Od kogo to słyszałaś?

– Ale to prawda, nie? Sama wiesz, jak jest. – Beth pomachała ręką. – Od jak dawna tu przesiadujemy? Od pięciu lat? Od sześciu? Tak długo, że nawet nie pamiętam. Nic tam nie ma, Pen. Sama tak powiedziałaś. Powinnyśmy były przeleźć przez ten płot już dawno temu.

Penny spojrzała na Beth, potem na swój notatnik, a potem wbiła wzrok w ciemności i mgłę wiszącą przed bunkrem jak kurtyna. Płot wylaniał się z niej i znikał, niczym zagubiona, miotana falami łódź na morzu.

– Chcesz tam iść? – spytała cicho Penny.

– Co? – odezwała się Beth zza jej pleców.

– Pytam, czy chcesz tam iść.

Beth uniosła brwi.

– Mówisz poważnie?

– Tak.

Trudno było powiedzieć, czy Beth jest wystraszona, czy też podekscytowana perspektywą przejścia przez płot, i Penny po chwili stwierdziła, że pewnie jedno i drugie. Beth zsunęła się ze swego betonowego siedziska i walcząc z niewygodnym, ciężkim płaszczem, podeszła do Penny i tak jak ona wbiła wzrok w ciemności, lejący deszcz, wysoką trawę i płot. Chwilę potem Penny zerknęła na zegarek. Była dziewiąta czterdzieści trzy.

– Naprawdę to zrobimy? – spytała Beth.

Penny kiwnęła głową.

– Jak ktoś się dowie, że przychodzimy tu od dawna, będziemy miały przesrane. Jak ktoś nas tutaj przyłapie, będzie jeszcze gorzej. Ale jeśli znajdziemy coś na swoją obronę, jeśli zdołamy dowieść, że nie ma tu ani min, ani żadnych potworów, ani duchów... a gwarantuję, że ich nie ma...

i jeśli odkryjemy prawdziwy powód postawienia tego płotu, to nie będą mogli nas ukarać. – Penny wzruszyła ramionami i ponownie skupiła uwagę na okienku w bunkrze. – No bo jak można karać za odkrycie prawdy?

Beth zdawała się nabierać odwagi.

– Okej – powiedziała.

– Na pewno?

– Na pewno. Zrobmy to.

Penny chwyciła plecak, włożyła do niego notatnik i zaciągnęła zamek w wiatrówce aż po szyję. Kaptur wciąż jeszcze był mokry od deszczu, który ich złapał w drodze do bunkra, i gdy nasunęła go na głowę, przylgnął do jej twarzy jak mokra flanela. W torbie miała zabrane z domu dwie latarki. Wyjęła je, silniejszą zostawiła sobie, drugą podała Beth.

Rozbłyły snopy światła z obu latarek, krzyżując się w ciasnym wnętrzu bunkra i tworząc fosforyzujące białe plamy na betonowych ścianach. Wewnątrz zrobiło się tak jasno, że światło zdawało się wylewać przez otwór drzwiowy, jakby wyznaczając im w wysokiej trawie ścieżkę do płotu. Penny zarzuciła plecak na ramiona.

– Gotowa? – zwróciła się do Beth.

– Gotowa od urodzenia – odrzekła Beth z zawadiackim uśmiechem.

Wyszły z bunkra w ciemność.

22

Nie mogłem spać, wstałem więc z łóżka na długo przed wschodem słońca, zaparzyłem kawę i zrobiłem sobie śniadanie. Już kończyłem jeść, gdy zjawiał się Richard.

– Dzień dobry – powiedziałem. – Jak się spało?

– Dobrze, dziękuję.

Włożyłem swój talerz do zlewu.

– Posłuchaj, Richard. Muszę lecieć i załatwić parę spraw, więc czuj się jak u siebie. W szafce jest jedzenie, w telewizji masz Netflixa, a jak skończysz *Ten wspaniały dzień*, to w pokoju gościnnym znajdziesz więcej Iry Levina.

– Jasne. Mogę ci w czymś pomóc?

– Jak będę czegoś potrzebował, to zadzwonię.

– Okej – rzucił po sekundzie wahania.

Wyglądało na to, że jest zawiedziony lub urażony, albo jedno i drugie. A może zmartwił się, że znów zostaje sam. Cokolwiek to było, musiałem się z tym pogodzić. Wracając wczoraj do domu, wykonałem parę telefonów. Próbowałem umówić się na spotkanie z Jacobem Howsonem, kierownikiem katedry w Red Tree, którego widziałem na zdjęciu obok Naomi Russum. Poinformowano mnie, że jest w podróży służbowej, poprosiłem więc o spotkanie z dyrektorem szkoły, ale nie chciałem brać ze sobą Richarda

Kite'a, dopóki nie odkryję, co go łączy z tą szkołą, jak do tej układanki pasuje zamordowana kobieta i jaki to wszystko ma związek z Russum.

. . .

Kiedy drzwi wagonu metra otworzyły się na stacji Cannon Street, na peron wyległ zwarty tłum ludzi w garniturach, którzy szybkim krokiem ruszyli do wyjść. Chwilę odczekałem, aż tłum się nieco przerzedzi, przypominając sobie, jak zawsze nienawidziłem godzin szczytu, po czym ruchomymi schodami wjechałem do zalanego bladym jesiennym słońcem głównego holu stacji.

Kwiaciarnia Haggerty's mieściła się w budynku na rogu Upper Thames Street i Queen Street Place. W chwili gdy tam dotarłem, ubrana w zielony fartuch kobieta po czterdziestce układała kompozycję kwiatów na stelażu przed wejściem.

– Dzień dobry – odezwałem się.

Kwiaciarka wytarła ręce o fartuch.

– Dzień dobry – rzuciła z uśmiechem.

Wręczyłem jej swoją wizytówkę.

– Nazywam się David Raker i chciałbym prosić panią o pomoc – powiedziałem. – Próbuję odnaleźć kogoś, kto mógł mieć kontakt z pani sklepem.

Przez chwilę przyglądała się mojej wizytówce i widziałem, jak marszczy czoło, a w jej oczach pojawia się coś w rodzaju paniki. Ale nie była to panika człowieka winnego, kłamcy, który gorączkowo stara się wymyślić kolejną półprawdę. Nie. Był to lęk kogoś, kto próbuje szybko sobie uprzytomnić, co narozrabiał. Przyzwoici ludzie tak właśnie reagują na detektywów, którzy zjawiają się niespodziewanie i zadają pytania.

– Proszę się uspokoić. Tu nie chodzi o panią, przysięgam – zapewniłem ją.

Wyraźnie jej ulżyło, a ja jak zwykle poczułem ukłucie winy na myśl o tym, jak łatwo wmówić ludziom – nie mówiąc ani słowa – że detektyw jest niczym policjant i należy mu równie sumiennie pomagać.

– Mogę spytać o pani imię? – dodałem, nie czekając na jej reakcję.

– Lorie.

– Dzień dobry, Lorie. – Uśmiechnąłem się. – Próbuję odnaleźć kogoś, kto chyba jest pani klientem i regularnie kupuje tu kwiaty. Zwykle bierze tuzin goździków.

Znów zmarszczyła czoło.

– Nic to pani nie mówi?

– Nie. – Pokręciła głową, ponownie wytarła ręce w fartuch i wskazała na wnętrze kwiaciarni. – Ale zazwyczaj pracuję tu tylko w weekendy. Mam małe dzieci. Dziś jestem wyjątkowo w zwykły dzień, bo moja szefowa poszła na operację barku.

– Jasne. – Popatrzyłem w głąb kwiaciarni. Na ladzie stała kasa, obok był stary pecet i gruba księga. – Myśli pani, że moglibyśmy coś znaleźć w waszych rejestrach? Bo jeśli ten ktoś kupuje tu regularnie kwiaty, szefowa mogła zanotować jego nazwisko. Albo wpisać je do kalendarza, żeby pamiętać o przyszykowaniu następnego bukietu.

Pobiegłem myślami do mojego wczorajszego odkrycia przy torze: większość goździków była bardziej lub mniej zwiędnięta, ale było też kilka całkiem świeżych wiązanek. To oznaczało, że człowiek, który składał tam kwiaty, musiał odwiedzić kwiaciarnię w ciągu paru ostatnich tygodni.

– Mogę sprawdzić – powiedziała kobieta.

– Byłbym bardzo zobowiązany, dziękuję.

Wszedłem za nią do środka i przyglądałem się, jak grzebie w komputerze.

– Chyba coś tu mam – odezwała się po jakiejś minucie.

Na monitorze pojawiło się coś w rodzaju arkusza kalkulacyjnego. Widać było słowa i liczby, ale stałem zbyt daleko, by móc je odczytać. Wyraźny był tylko wypisany dużymi literami tytuł: KLIENCI REGULARNI. Wskazała palcem jedną z pozycji.

– Poniedziałek, siedemnastego października – odczytała. – Dwanaście goździków.

– Podano, w jakim kolorze? – spytałem.

– Czerwone, różowe i żółte.

Poczułem, jak wzbiera we mnie adrenalina.

– To ten, którego szukam. – Podszedłem bliżej. – Jest tam nazwisko?

Albo adres?

Ale Lorie już kręciła głową.

– Niestety, tylko imię.

– Okej. I co to za imię?

– Jacob.

23

Wpadające do holu szkoły Red Tree promienie słońca rzucały przez przeszklone drzwi prostokątne plamy światła na marmurową posadzkę. Przestronny hol miał wysoki sufit i obłożone dębową boazerią ściany, na których wisiały dawne widoki szkoły, bez samochodów na podjeździe i budowli w sąsiedztwie, oraz artystyczne fotografie obecnego budynku. Kręte schody prowadziły na półpiętro, gdzie uczniowie starszych klas ślęczeli nad laptopami. Pod półpiętrzem mieściło się stanowisko recepcjonistki. W holu było troje drzwi, wszystkie otwarte, a na każdych widniała tabliczka z nazwą katedry.

Podszedłem do recepcji i oznajmiłem recepcjonistce, że jestem umówiony z dyrektorem, co skwitowała wyuczonym uśmiechem i poprosiła, bym usiadł. Tak naprawdę dyrektor szkoły mnie nie interesował, chodziło mi o Jacoba Howsona – teraz nawet bardziej niż przedtem – ale na razie musiałem się zadowolić rozmową z Rolandem Dellem. Miałem nadzieję, że przynajmniej dowiem się czegoś o historii zatrudnienia Howsona. Jako szef, Dell będzie też mógł rzucić światło na związki Naomi Russum ze szkołą i na przykład wyjaśnić, dlaczego ma kartę do drzwi budynku szkoły. Jeśli mi się poszczęści, dyrektor może nawet rozpoznać Richarda Kite’a.

Czekając, patrzyłem przez okno na przechodniów mijających szkołę i kołyszące się na wietrze drzewa. Zdałem sobie sprawę, że właściwie nie mam w głowie planu na najbliższy kwadrans, pół godziny, godzinę czy ile to potrwa. Chciałem wejść do tej szkoły i bardziej czy mniej ukradkowo się rozejrzeć, jednak przede wszystkim zależało mi na rozmowie z Jacobem Howsonem. Czy uda mi się z nim porozmawiać – tutaj lub gdzie indziej – będzie zależało od tego, jak potoczy się dzisiejszy ranek, ale nawet najbardziej zmyślny plan nie mógłby mnie uwolnić od niepokoju. To, co znalazłem w wykopie kolejowym, co przeczytałem na karteczkach dołączonych do kwiatów, los, jaki spotkał kobietę z fotografii, podsłuch w telefonie Richarda, to, że trzy dni od naszego spotkania nadal nic o nim nie wiedziałem – wszystko to mnie gnębiło.

– Pan Raker?

Uniosłem głowę. Stał przede mną przystojny mężczyzna pod czterdziestkę, w ciemnoszarym garniturze i fiołkowym krawacie. Wstałem, uścisnęliśmy sobie ręce i mężczyzna przedstawił się jako Alexander. Oświadczył, że jest szefem ochrony szkoły, i podał mi rejestr gości, prosząc, bym go wypełnił i podpisał się.

– Przepraszam za kłopot – dodał. – Wiem, że to uciążliwe.

– Nie ma sprawy.

Wypełniłem wszystkie rubryki, a on oderwał odcinek kartki, złożył go na pół i wsunął do plastikowej kieszonki z przyczepioną smyczą.

– Proszę to powiesić na szyi – powiedział.

Zrobiłem to.

– Świetnie. Proszę za mną.

Po drodze starał się być miły; rzucał uprzejmie uwagi o fali chłodów i o tym, jak bardzo lubi taką jesienną pogodę. Im więcej mówił, tym wyraźniej słyszałem jego lekki środkowoeuropejski akcent – niemiecki,

austriacki, może czeski. Był jednak bardzo niski, chwilami wręcz niezauważalny. Mężczyzna prowadził mnie głównym korytarzem, z którego odchodziły odnogi do pomieszczeń klasowych, bibliotek, laboratoriów i pracowni informatycznych. Zaczął entuzjastycznie opowiadać o cudownych możliwościach, jakie ta szkoła stwarza uczniom, o niezwykle wysokim poziomie zaplecza sportowego i o tym, że jeden z jej absolwentów zdobył złoto w Rio. A potem wyjaśnił, dlaczego niezbędna jest ochrona budynku. Do szkoły uczęszczały dzieci oligarchów, synowie miliarderów saudyjskich, synowie i córki celebrytów, piłkarzy Premier League i polityków z pierwszych stron gazet.

– Nie wpadamy w paranoję i nie chcemy straszyć naszych uczniów, ale najważniejszą sprawą dla nas jest ich bezpieczeństwo – powiedział.

Słuchałem go jednym uchem, zwłaszcza gdy mijaliśmy pomieszczenia klasowe, w których najwyraźniej uczono angielskiego. Starłem się dyskretnie zerkać do środka, sprawdzając, czy nie dojrzę gdzieś Howsona, kierownika katedry języka angielskiego, ale nigdzie go nie dostrzegłem. Przypomniałem sobie, że miał być w podróży służbowej. Chwilę później stanęliśmy pod drzwiami z tabliczką DYREKTOR.

Alexander dwukrotnie zapukał.

– Proszę.

Pchnął drzwi i Roland Dell uniósł głowę znad biurka.

– Aaa – powiedział, wstając z fotela.

Wyglądał dokładnie tak samo jak na zdjęciu ze szkolnej strony internetowej: pod pięćdziesiątkę, ale dobrze zakonserwowany, atletyczna budowa, niebieskie oczy, gęste ciemne włosy zaczesane do tyłu. Jediną różnicą była broda, którą zapuszczał chyba od niedawna.

Wyciągnął do mnie rękę.

– Pan Raker, prawda?

– David. Dziękuję, że znalazł pan dla mnie czas.

– Nie ma sprawy. – Machnął ręką. – Napije się pan kawy, panie Davidzie?

– Z przyjemnością.

Dyrektor przeniósł wzrok na Alexandra.

– Mógłbyś poprosić Sandrę, żeby zrobiła nam kawę?

Alexander wyszedł, a Dell wskazał mi krzesło i wrócił do fotela za biurkiem. Skóra zaskrzypiała pod jego ciężarem. Nie odrywając wzroku od drzwi, odezwał się przeproszającym tonem:

– Mam nadzieję, że nie poczuł się pan urażony, że to Alexander pana powitał. – Zawiesił na moment głos. – Jest bardzo dobry w tym, co robi, i uważa za swój obowiązek wiedzieć, kto w danej chwili przebywa na terenie szkoły. Przyznaję, że to ważne, ale pewnie jestem człowiekiem starej daty, bo nie jestem zachwycony tym, że gości szkoły wita pracownik ochrony. Gość od razu czuje się tak, jakby wchodził do Pentagonu.

– Naprawdę, nie ma żadnego problemu – zapewniłem go z uśmiechem.

– To świetnie, dziękuję. A czy pozwoli pan, że popełnię kolejny nietakt i najpierw dokończę maila, nad którym właśnie siedziałem? – Zrobił cierpiętniczą minę. – Do członków zarządu szkoły.

– Oczywiście, bardzo proszę.

Czekając, aż skończy, rozejrzałem się po gabinecie. Szafki na dokumenty, półki z książkami, okno wychodzące na mały, ale ładnie rozplanowany dziedziniec, na ścianie oprawiony w ramki artykuł z biuletynu oświatowego. Pod dużym zdjęciem Della widniał tytuł: SZKOŁA RED TREE PO RAZ PIERWSZY NAJLEPSZA W WYNIKACH EGZAMINÓW DOJRZAŁOŚCI. Przechyliłem lekko głowę i zacząłem czytać od jednego ze środkowych akapitów:

Wszyscy w sektorze niepublicznych szkół znają tę historię: po czterech latach pracy w państwowej oświacie i zdobyciu renomy postępowego i innowacyjnego pedagoga Dell w 1995 roku podjął pracę w londyńskiej szkole Red Tree, na stanowisku kierownika katedry historii. W roku 2000, po przejściu na emeryturę wieloletniego dyrektora, Bryana Austina-Smitha, zarząd szkoły mianował na to stanowisko zaledwie trzydziestodwuletniego Della. Tak rozpoczęła się odnowa wizerunku Red Tree, chwilami kontrowersyjna, ale w sumie bardzo udana, jako szkoły koedukacyjnej, z naciskiem na angielski, matematykę, fizykę i chemię oraz zajęcia sportowe. W ciągu trzech lat szkoła pod kierunkiem Della poprawiła o niemal jedną trzecią wyniki uczniów na małych maturach i egzaminach dojrzałości, przy czym ponad 70 procent wszystkich wyników plasowało się na poziomie A lub A+. W roku 2008 Red Tree została uznana za najlepszą prywatną szkołę w Londynie, a na tegorocznych egzaminach dojrzałości szkoła osiągnęła najwyższy wynik ze wszystkich szkół w kraju.

– Przepraszam za to – powiedział Dell, a gdy przeniosłem na niego wzrok, zorientowałem się, że ma na myśli nie swojego maila, tylko czytany przeze mnie artykuł. – Z reguły uważam ludzi, którzy oprawiają artykuły o sobie w ramki, za nudziarzy, więc długo się zastanawiałem, czy to powiesić.

– Wynika z tego, że może pan być z siebie naprawdę dumny.

– Dzięki.

Sięgnąłem przez biurko i wręczyłem mu wizytówkę, krótko wyjaśniłem, czym się zajmuję, i zacząłem mówić o Richardzie Kicie. Obserwując Della, utwierdzałem się w przekonaniu, że wprawdzie nie zna Richarda – w każdym razie nie z nazwiska – ale z żywym

zainteresowaniem słucha moich uwag o jego stanie. Jego reakcja dowodziła, jak trudno jest skłonić ludzi do skupienia uwagi na rzeczach istotnych, gdy fascynuje ich tylko to, że ktoś może zapomnieć wszystko, co go dotyczy.

– I on w ogóle nic nie pamięta? – spytał Dell.

– Jakieś okruchy, ale trudno powiedzieć, czy mają jakiegokolwiek znaczenie.

– To straszne.

– Tak, dla niego to bardzo trudne.

– I myśli pan, że to może mieć jakiś związek z naszą szkołą?

– Niewykluczone. – Nie chciałem ujawniać zbyt wiele, dopóki sam się nie dowiem, co łączy Richarda z Red Tree. – Ale nie mam też żadnych dowodów na to, że tak jest. Myślę, że mógł być jakoś związany ze szkolnictwem, i to właśnie w tej części Londynu, dlatego odwiedzam tu różne szkoły. Ale to wszystko może się okazać drogą donikąd.

W tym, co mówiłem, było trochę prawdy, choć niezbyt wiele, ale Dellowi najwyraźniej to wystarczało. Położyłem na jego biurku fotografię Richarda.

Wyjął okulary, włożył je i przyjrzał się zdjęciu.

– Czy możliwe, że był tutaj nauczycielem? – spytałem.

Dell bez wahania pokręcił głową.

– Nie za moich czasów – rzucił.

– A może był tu kiedyś uczniem?

– No cóż, mówi pan, że ile ma lat? Trzydzieści parę? – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Gdyby był tutaj uczniem, to musiałby uczęszczać do nas między dziewięćdziesiątym trzecim a, powiedzmy, dwutysięcznym, dwa tysiące pierwszym rokiem. Zacząłem tu pracować w dziewięćdziesiątym piątym, czyli już bardzo, bardzo dawno temu. –

Przez chwilę się zastanawiał, po czym odłożył fotografię i podszedł do jednej z szafek na dokumenty. Wyciągnął którąś szufladę i zaczął przesuwać wiszące w niej teczki. – Zaraz to sprawdzę.

Drzwi się otworzyły i weszła sekretarka z dwiema filiżankami kawy na tacy. Bez słowa postawiła je na biurku i wyszła, a chwilę potem Dell zasunął szufladę i usiadł za biurkiem.

– Przykro mi – powiedział z westchnieniem. – Przysięgam, że nie mam nic przeciwko postępowi technicznemu, ale jestem gorącym miłośnikiem papieru i trzymam kopie starych dokumentów, choć nie z aż tak dawnych czasów. Z oczywistych względów nie przechowujemy dokumentacji wszystkich uczniów, którzy kiedykolwiek uczęszczali do naszej szkoły, bo nie tylko byłoby to niewłaściwe i na granicy prawa, ale też stanowiłoby prawdziwy administracyjny koszmar. Musiałbym zresztą dysponować dużo większymi pomieszczeniami.

Ponownie wziął do ręki fotografię Richarda.

– Zupełnie go nie poznaję – dodał. – Za moich czasów przez ten gabinet przewinęło się mnóstwo uczniów, ale ponieważ jesteśmy szkołą prywatną, i do tego nie największą, lubię myśleć, że wszystkich ich pamiętam. Przynajmniej ich twarze.

Odebrałem od niego fotografię Richarda i wręczyłem mu następną: kobiety na ławce w Regent's Parku.

– A ją? – spytałem. – Ją pan może poznaje?

Popatrzył na zdjęcie.

– Tak – potwierdził, ale gdy już przeszywał mnie dreszcz ekscytacji, na twarzy Della pojawił się grymas niechęci. – To Corrine.

– Corrine?

– Corrine Wilson. Uczyła u nas.

– Kiedy to było?

– Zaczęła tu pracować we wrześniu dwa tysiące dziewiątego roku i zrezygnowała... – Zaczął szukać w pamięci. – To musiał być koniec października lub początek listopada dwa tysiące czternastego.

Czyli dokładnie wtedy, gdy znaleziono jej ciało w wykopie kolejowym.

Patrzył na fotografię z miną wyrażającą mieszane uczucia.

– Rozmawiał pan z nią? Ciekawe, co u niej słychać.

– Nie, nie rozmawiałem. – Czuję się nieswojo, nie mówiąc mu prawdy, ale brnąłem dalej: – Natknąłem się na jej fotografię w rzeczach Richarda.

– Czyli musi znać Corrine.

– Jeśli nawet ją zna, to tego nie pamięta.

Dell pokiwał głową i znów spojrzał na zdjęcie.

– Nie miał pan z nią kontaktu po dwa tysiące czternastym? – spytałem.

Pokręcił głową.

– Nie, żadnego. Prawdę mówiąc, to dość dziwna historia. Corrine była jedną z naszych najwyżej cenionych nauczycielek. Dzieci ją uwielbiały, ciało pedagogiczne miało o niej jak najlepsze zdanie. Bardzo rzadko spotyka się tak naturalny talent. Kogoś, kto tak błyskawicznie nawiązuje kontakt z uczniami. Powtarzałem jej wielokrotnie, że czeka ją w naszej szkole fantastyczna przyszłość. A potem któregoś dnia przychodzę do pracy i dokładnie tutaj – postukał palcem w blat biurka – znajduję jej list.

– Wypowiedzenie?

– Tak. – Znów się skrzywił. – Nigdy nawet nie dała do zrozumienia, że coś jej się tu nie podoba, i to było w tym najdziwniejsze. Próbowałem do niej dzwonić, wysłałem parę maili. Pomyślałem, że może popełniliśmy jakiś błąd, że czymś ją uraziłem, jednak nie odbierała moich telefonów i nigdy nie odpisała na żaden z moich maili. Normalnie prosimy, żeby nauczyciele, którzy chcą zrezygnować z pracy, informowali o tym

z wyprzedzeniem jednego semestru, ale nie udało mi się z nią skontaktować, by wyjaśnić sprawę. Nawet Jacob nie umiał powiedzieć, co się z nią stało.

Wstrzymałem oddech.

– Jacob?

– Przepraszam. Jacob Howson, jej partner.

Kolejny dreszcz ekscytacji.

– To nasz kierownik katedry języka angielskiego – mówił dalej Dell. – Corrine też uczyła angielskiego. Tak się poznali. W każdym razie, kiedy znalazłem jej list z wypowiedzeniem, poprosiłem do siebie Jacoba i spytałem, co się dzieje, ale on oświadczył, że nic mu o tym nie wiadomo. Obiecał, że z nią wieczorem porozmawia, ale następnego dnia przyszedł i oznajmił, że w domu znalazł list z gatunku: „Kochany Johnie”. – Dell skrzywił się. – Corrine napisała, żeby nie próbował jej szukać.

A jeśli to nieprawda?

Jeśli nie było żadnego listu? Howson mógł kłamać, że go rzuciła, kłamać, że nie wie, co się z nią stało, i sam napisać wypowiedzenie.

– Czy Jacob będzie dziś w szkole? – spytałem.

– Nie, jest z grupą maturzystów na wycieczce do Muzeum Londynu. Przerabiają *Wielkie nadzieje* Dickensa i Jacob uznał, że ekspozycja muzealna przybliży im te czasy. – Dell spojrział na zegarek. – Powinni skończyć do czwartej, ale nie wiem, czy wróci do szkoły, czy pojedzie prosto do domu. Od pewnego czasu dużo pracuje wieczorami... – Zawiesił głos, ale ciąg dalszy był oczywisty: od czasu rozstania z Corrine. – Dać panu jego numer telefonu?

– Byłbym wdzięczny – odparłem, już obmyślając swój następny ruch.

Nie wiedziałem, jaką wersję przedstawił Howson i jaką rolę odegrał w zabójstwie, ale niewątpliwie musiał być przygotowany na to, co kiedyś

nastąpi: że ktoś się zjawi, zacznie zadawać pytania i będzie chciał zrozumieć, co się naprawdę stało. Teraz chodziło o to, czy jak pójdę do niego do domu, powie mi prawdę, zacznie kłamać, czy zwieje. W szkole miał dobre układy i dobrą pracę, której na pewno nie chciał stracić, ale to nie gwarantowało, że nie rzuci się do ucieczki. Desperaci często uciekają.

– Proszę – powiedział Dell.

Wziąłem kartkę z numerem telefonu i zebrałem fotografie.

– Mogę panu zadać jeszcze jedno pytanie?

– Słucham.

– Richard odbywa sesje z psycholożką, która nazywa się Naomi Russum. Słyszał pan o niej?

– Naomi? Oczywiście, pracuje u nas. To znaczy współpracuje, w niepełnym wymiarze. Cztery dni w miesiącu prowadzi porady psychologiczne.

– Jasne. – Zrobiłem sobie notatkę.

– Niektóre dzieci nie chcą mówić pewnych rzeczy rodzicom ani nauczycielom... ani nawet kolegom. Przy Naomi mogą się otworzyć. Jest wybitną specjalistką w swojej dziedzinie i uznaliśmy, że może bardzo pomóc dzieciom. Sygnały, jakie do nas docierają, świadczą o tym, że jej praca warta jest każdych pieniędzy.

Brzmiało to logicznie i tłumaczyło, dlaczego Russum ma kartę do drzwi, skąd zna Howsona i dlaczego znaleźli się na jednym zdjęciu z imprezy charytatywnej. Skoro wszyscy troje – Howson, Russum i Corrine Wilson – pracowali w tej samej szkole, było jasne, co ich łączy.

Brakowało jednak odpowiedzi na dwa pytania: dlaczego Russum pokazywała Richardowi fotografię Corrine Wilson i dlaczego Corrine i Richard mieli identyczne tatuaże.

24

Wykonałem parę telefonów i ustaliłem, że komórka Jacoba Howsona jest zarejestrowana pod adresem w Kennington. Był to wolnostojący dom w połowie cichej, krótkiej uliczki ze stanowiskiem wypożyczenia rowerów, które zajmowało wysepkę pośrodku jezdni. Poczekalem na niego i o wpół do szóstej w końcu się zjawił. Wyglądał tak samo jak na zdjęciu: wysoki, szczupły, trochę zaniedbany. Był ubrany w czarny garnitur i jasnozieloną pelerynę przeciwdeszczową, miał przerzedzone ciemne włosy, z łysiną błyszczącą w świetle latarni. Wydawał się zmęczony, wokół oczu widać było ciemne obwódki.

Schowałem się za range rovera i obserwowałem przez szyby, jak wyjmuję z kieszeni klucze i przed wejściem do domu patrzy dokoła – na stojące nieopodal samochody i na pobliskie budynki. Zadzwoiłem do niego, gdy tylko wyszedłem ze szkoły, i zostawiłem mu wiadomość, w której pokrótce wyjaśniałem, kim jestem i o czym chcę porozmawiać. Byłem ciekaw, jak na to zareaguje.

Trzy minuty później już wiedziałem.

Gdy ponownie wyszedł, w ręce trzymał przezroczystą teczkę na dokumenty. Kiedy zamykał drzwi, wsadził teczkę pod pachę tak fortunnie, że udało mi się dojrzeć zawartość: papiery, wydruki, może fotokopie, może

fotografii. I coś jeszcze. Coś małego i ciemnego, wielkości karty kredytowej.

Zamknął drzwi, rozejrzał się i ruszył ulicą, oddalając się ode mnie. Wyraźnie się spieszył i raz po raz nerwowo zerkał przez ramię.

Chwilę odczekałem i podążyłem za nim.

Przeszliśmy aż do skrzyżowania z Waterloo Road, gdzie wszedł do podłej wyglądającego hoteliku o nazwie The Tudor, który stał wciśnięty między bar z kebabem a sklepik z prasą. W jednym z okien na parterze tkwiła wywieszka obiecująca niskie ceny za nocleg ze śniadaniem. Nietrudno było zgadnąć dlaczego.

Zajrzałem przez oszklone drzwi do środka i zobaczyłem Howsona, który stał przy recepcji i płacił gotówką, wyłuskując banknoty z całkiem pokaźnego, jak mi się zdawało, zwitka. Po drodze nie zatrzymał się przy bankomacie, a gdyby nawet, to i tak nie mógłby jednorazowo podjąć tak dużej kwoty. To znaczyło, że musiał trzymać tę gotówkę wraz z plastikową teczką gdzieś w domu. A to z kolei znaczyło, że był przygotowany na nadejście tego dnia. Gruby zwitek banknotów, wstąpienie do domu po plastikową teczkę i ukrycie się w podłym hoteliku, aby zyskać na czasie i obmyślić następny ruch – miał to wszystko zaplanowane.

Wziął od recepcjonistki klucz i skierował się ku schodom w głębi obskurnego holu. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, wkroczyłem do hotelu i pewnym krokiem minąłem recepcję, jak dobrze znający drogę gość hotelowy. Niepotrzebnie się wysilałem, bo kobieta w recepcji nawet na mnie nie spojrzała, wpatrzona w ekran małego telewizora w kącie za kontuarem.

Hotel zajmował trzy kondygnacje i z tabliczki informacyjnej w holu wynikało, że na parterze mieści się sześć pokoi i osiem na pozostałych piętrach. Ruszyłem na górę. Zatrzymałem się przy drzwiach prowadzących

na korytarz pierwszego piętra i przez szybę zajrzałem do środka. Ani śladu Howsona, ale jakby na zawołanie z drugiego piętra dobiegło skrzypnięcie schodów i cichy brzęk klucza. Zacząłem wspinać się po schodach wyłożonych przetartym chodnikiem.

Na górze zwolniłem i odczekałem, aż drzwi na korytarz same się zamkną, po czym podszedłem do nich i zobaczyłem, że Howson stoi na samym końcu słabo oświetlonego korytarza i otwiera drzwi do pokoju.

Zastanawiałem się nad swoim następnym ruchem. Nie miałem zbyt wielkiego wyboru. Jeśli zapukam do jego pokoju i powiem, że to ja, to choćbym nawet zapewnił go, że nie zrobię mu krzywdy, nastroszy się i przyjmie postawę obronną. Jeżeli będę czekał, niepotrzebnie stracę czas. Jeśli nie skorzystam z tej okazji, może już nigdy się nie dowiem, co się stało z Corrine Wilson i co łączyło ją z Naomi Russum i Richardem Kite'em.

Nasłuchiwałem odgłosów zza drzwi pokoi, które mijalem, ale słyhać było tylko szum ruchu ulicznego z Waterloo Road i terkot zdezelowanego klimatyzatora na ścianie korytarza. W całym hotelu panowała taka duchota, jakby nigdy nie otwierano w nim okien.

Zapukałem do drzwi Howsona.

Natychmiast usłyszałem skrzypnięcie sprężyn materaca, stukot zamykanej szuflady i ciche kroki. W drzwiach nie było judasza, więc albo musiał udawać, że go nie ma, albo otworzyć. Chwilę później rozległ się brzęk zakładanego na drzwi łańcucha.

– Kto tam? – spytał.

– To ja, David Raker. Dzwoniłem do ciebie.

Za drzwiami zapadła cisza.

Schyliłem się i wsunąłem pod drzwi wizytówkę.

– Chcę tylko z tobą porozmawiać. – Usłyszałem cichy szelest: znak, że ją podniósł. – Chcę porozmawiać o Corrine Wilson.

Jeszcze dłuższa cisza.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? – odezwał się w końcu.

– Szedłem za tobą. – Okłamywanie go nie miało sensu. – Byłem w wykopie kolejowym przy Abbey Wood. Widziałem kwiaty, które tam zostawiałaś. Czytałem, co pisałeś na karteczkach. – Zamilkłem, by dać mu czas na przyswojenie tego. – Myślę, że Corrine mogła znać kogoś, komu ja próbuję pomóc. Może ty też go znałeś.

Usłyszałem szmer. Howson stał tuż za drzwiami.

– Chodzi mi o Richarda Kite’a.

Cisza.

– Jacob, czy wiesz, kto to jest Richard Kite?

– Nie, nie wiem. Idź już sobie.

– Może jednak otworzysz?

– Zostaw mnie w spokoju.

– Posłuchaj, dam ci szansę, żebyś przedstawił mi swoją wersję wydarzeń. Usiądę, wysłucham twojej opowieści i nie będę cię osądzał. – Oczywiście nie była to prawda, ale nie musiał o tym wiedzieć. – Albo też mogę podać policji twoje nazwisko, a oni przyjadą i cię aresztują. Tak czy siak, będziesz musiał komuś wyjawić prawdę.

Odpowiedzią znów była cisza. Popatrzyłem na migoczącą w głębi korytarza żarówkę i znów spojrzałem na drzwi.

– Jacob?

Drzwi uchyliły się na długość łańcucha. Zdążył już zdjąć płaszcz, krawat i marynarkę i podwinąć rękawy koszuli. Widać było tylko fragment jego twarzy, ale to wystarczyło: dojrzałem jego zgnębioną twarz i przekrwione oczy.

– Nie przyszedłem po to, by cię skrzywdzić.

– To po co przyszedłeś?

– Żeby ci pomóc.

Przetarł wierzchem dłoni górną wargę, omiótł wzrokiem korytarz za moimi plecami, po czym znów skupił uwagę na mnie. Z jego twarzy mogłem niemal odczytać, co myśli: bał się mnie wpuścić, ale jednocześnie potrzebował pomocy, a ja mu ją zaoferowałem. Miał dobrze mi znany wygląd człowieka przygniecionego nieznośnym ciężarem.

– Dlaczego miałbym ci zaufać? – mruknął.

– Bo chyba nie masz nikogo innego.

Przełknął tylko ślinę i nic nie powiedział.

– Wiem, że Corrine była twoją dziewczyną.

Popatrzył na mnie, z oka spłynęła mu łza i potoczyła się po policzku. Otarł ją, ale nie odwrócił wzroku. Przez chwilę nie byłem pewien, czy jeszcze się odezwie, ale w końcu niemal szeptem rzucił:

– Tak.

– Jak to się stało, że trafiła do tego wykopu kolejowego?

Wpatrywał się we mnie, z twarzą pobladłą jak kreda.

– Czy to ty zabiłeś Corrine?

– Wszystkim tak mówiła.

Nie zrozumiałem.

– Co?

– Że tak ma na imię. Wszystkim mówiła, że ma na imię Corrine.

Przez chwilę mu się przyglądałem.

– To nie było jej prawdziwe imię?

Z oczu znów popłynęły mu łzy.

– Jak naprawdę miała na imię? – spytałem.

– Penny – powiedział cicho. – Nazywała się Penny Beck.

Potwór

Dziewczynki wymknęły się z bunkra.

Ulewa od razu wytrąciła Penny z równowagi. Złapała mocniej latarkę, oświetliła mokradła za płotem i upewniła się, że Beth jest tuż obok. Spytała ją, czy wszystko w porządku, ale nie dosłyszała odpowiedzi. Na głowie miała kaptur, a głos Beth utonął w szumie deszczu. W świetle latarki krople deszczu wyglądały jak siekące niemal poziomo igiełki i tak jak one kłuły, trafiając w odkrytą skórę. Penny zawołała głośniejszym głosem do siostry i tym razem Beth uniosła oba kciuki.

Posuwały się po namokniętej trawie ku sterczącemu kawałek dalej płotowi. Ziemia pod ich nogami chlupała i ugiwała się, jakby stąpały po grzbiecie wielkiej uśpionej bestii; podmuchy wiatru były naprawdę potężne, łodygi traw smagały im ręce tak mocno, że aż traciły czucie w palcach. Otaczała je nieprzenikniona czerń i tylko stalowa siatka ogrodzenia lśniła w światłach ich latarek. Gdy wreszcie się do niego zbliżyły, płot zdawał się ciągnąć w nieskończoność; z obu stron niknął w ciemnościach.

Miały przed sobą Otchłań.

Penny poczekała, aż Beth się z nią zrówna. Obie były już przemoknięte do suchej nitki, spod kaptura Beth wymykały się kosmyki włosów i oblepiały jej twarz. Ich oddechy zamieniały się w kłęby pary jak kule waty cukrowej i im bliżej był płot, tym puls Penny coraz bardziej przyspieszał. Ogrodzenie

miało metr osiemdziesiąt wysokości i było w nim dostatecznie dużo punktów zaczepienia dla stóp, by dość łatwo je pokonać. Wystarczyło wspiąć się na górę i zeskoczyć po drugiej stronie. Chociaż wszyscy wiedzieli, że nie należy tego robić.

Chyba że ktoś nie zamierzał już wracać na tę stronę.

Ale to bzdury, napomniała się Penny. To bujdy wymyślone przez mieszkańców miasteczka i kiedyś musiało do tego dojść. Że stanie pod płotem i zażąda wyjaśnień, dlaczego to wszystko zmyślono.

Dlaczego tak im zależy, żeby trzymać wszystkich z dala od płotu?

Mimo to przez chwilę wpatrywała się w zarośla za płotem, instynktownie szukając wzrokiem śladów ruchu. Tak z nawyku. To było silniejsze od niej. Same mięśnie jej to nakazywały. Tyle że za płotem wszystko się ruszało: wysokie trawy kładły się i podnosiły w zsynchronizowanym tańcu. Kołysały się tak rytmicznie, że Penny na moment zmartwiała. Ale Beth, której odwaga i determinacja zdawała się z każdym krokiem rosnąć, rzuciła niecierpliwie:

– Co jest?

Penny spojrzała na nią.

– Nic – odparła.

– Już ci przeszło? Chcesz zawrócić?

Penny zastanawiała się, czy Beth nie wolałaby usłyszeć twierdzącej odpowiedzi. Tak, zawracamy. Nie przechodzimy przez płot. Za bardzo się boję, Beth.

O wiele za bardzo.

Ale tylko zaczerpnęła powietrza i w odpowiedzi na pytanie siostry przepłotła palce przez oka siatki. Zaczęła się wspinać. Na górze zatrzymała się, z nogami po obu stronach ogrodzenia, i zaczęła na Beth. Jeszcze

przez chwilę obie wlepiły wzrok w ciemności za płotem, po czym przełożyły nogi i zeskoczyły po drugiej stronie.

Penny lekko poślizgnęła się na błocie i mokradło wessało obcasy jej butów. Popatrzyła na opadające przed nią zbocze, które kawałek dalej ginęło w nieprzeniknionej czerni. Gdyby nie wiedziała, jak wygląda ten teren, gdyby nie przypatrywała mu się z miasteczka i z bunkra podczas letnich zachodów słońca, nie miałyby pojęcia, gdzie dalej iść. W świetle latarki widziała wokół siebie tylko chaszczę i błoto. Żadnych punktów orientacyjnych, żadnych śladów życia.

Ruszyły w głąb Otchłani.

Po chwili Penny natrafiła na ledwo widoczną ścieżkę, która wiła się pośród kęp wysokiej trawy. Starła się wypatrzyć ślady świadczące o tym, że ścieżka została wydeptana przez ludzi, zwierzęta lub cokolwiek innego, ale im dalej nią szła, tym bardziej traciła pewność, że to w ogóle jest ścieżka. Zaczynała podejrzewać, że wijący się ślad powstał od deszczu lub wiatru, czy może nawet śniegu, który już tego roku padał.

Obejrzała się na Beth i stwierdziła, że siostra jest kilka metrów za nią oraz że oddaliły się od płotu na dużo większą odległość, niż jej się zdawało. Sto, może nawet sto pięćdziesiąt metrów. Przez chwilę patrzyła na Beth, słuchając, jak krople deszczu szeleszczą na materiale ich kurtek, a potem zdała sobie sprawę, że płot sięga powyżej poziomu ich wzroku.

– Wszystko w porządku?! – zawołała Beth, przekrzykując szum deszczu.

Penny kiwnęła głową.

– To dlaczego stoimy?

Penny tym razem nie odpowiedziała, tylko wbiła spojrzenie w płot widoczny na tle światła miasteczka. Coś się w nim zmieniło. Wyglądał inaczej niż zwykle.

– Pen?

Dlaczego wydawało jej się, że wygląda inaczej?

– Penny?

Penny minęła Beth i zbliżyła się do płotu, nie spuszczając z niego wzroku. Co się w nim zmieniło? Co takiego zauważyła? Co się tam stało?

– Pen?! – dobiegło ją zza pleców wołanie Beth. – Co się dzieje?!

Ulewa tak się wzmogła, że aż huczało w uszach. Penny odwróciła się do siostry.

– Sama nie wiem! – zawołała.

– Zauważyłaś coś?

– Nie wiem.

Beth nie dosłyszała tego i myśląc, że Penny nie odpowiedziała, podeszła bliżej i powtórzyła:

– Zauważyłaś coś?

– Nie wiem. – Penny wzruszyła ramionami.

Beth wlepiła wzrok w zacinające strugi deszczu.

– Ja tam nic nie widzę – oświadczyła.

Penny nie odrywała oczu od płotu.

– Pen, co ty tam widzisz?

– Nie jestem pewna. Zdawało mi się, że coś chyba... – Penny przerwała. Jeden ze słupków płotu się poruszył. – O kurde – rzuciła zduszonym głosem.

– Co?

– Ktoś tam jest.

Beth gwałtownie się obróciła i obie wpatrzyły się w górę pochyłości. Za siatką stała jakaś postać; ktoś wyraźnie je obserwował. Był częściowo schowany za jednym ze słupków i dlatego Penny nie od razu zorientowała się, co widzi. Teraz spojrzała na Beth, która wyglądała na kompletnie dezorientowaną i wystraszoną – tak jak wyglądałaby każda dwunastolatka

w tych okolicznościach. Przez chwilę obie stały ramię w ramię, zdrętwiały z przerażenia, wpatrując się w postać i czując, że postać też je obserwuje.

– Co teraz? – szepnęła Beth.

Penny gorączkowo próbowała myśleć.

– Pen? – powtórzyła z naciskiem Beth. – Co teraz zrobimy?

– Nie wiem. Daj mi chwilę pomy...

Nagle ciemności nocne rozdarł jakiś dźwięk.

Był tak niespodziewany i tak głośny, że ziemia zdawała się drżeć jak podczas trzęsienia. Przypominał zwierzęce wycie.

– Co się dzieje?! – wykrzyknęła Beth, teraz śmiertelnie przerażona.

Penny zerknęła na siostrę i już miała powiedzieć, że nie wie, gdy kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Odwróciła głowę i spojrzała w prawo, starając się zobaczyć coś w ciemnościach.

– Pen? – rzuciła Beth drżącym głosem.

Chwyciła Penny za rękę i ścisnęła mokrą od deszczu i potu dłońią. Penny odpowiedziała uściskiem.

– Boję się, Pen.

– Wiem.

– Naprawdę się boję.

– Wiem, że się boisz.

Penny wlepiła wzrok w dół zbocza, w tę stronę, w którą się posuwały. Ciemności były tak nieprzeniknione, że nic nie mogła dojrzeć. Miała wrażenie, jakby cała dolina zamarła w oczekiwaniu, jakby wiatr ucichł i ustał deszcz. Właściwie jedynym źródłem dźwięku była Beth, która zaczęła szlochać. Penny objęła ją ramieniem i uniosła latarkę, próbując przebić nią ciemności. Kępy trawy lśniły od deszczu, budząc niepokojące skojarzenia: wyglądały jak wystające z ziemi głowy z mokrymi włosami. Jakby zakopano tu setki ludzi i z płytkich grobów wszędzie sterczały ich głowy.

Beth wtuliła twarz w pierś siostry i wydała zduszony jęk, a Penny jeszcze mocniej ją objęła i chwyciła za rękę.

– Musimy stąd iść – szepnęła.

Spojrzały w stronę płotu.

Przy słupku nie było już nikogo.

– Musimy wejść pod górę.

– Dobrze – bąknęła Beth. – Wracamy już do domu?

– Tak. Musimy dojść do płotu i potem...

Po prawej stronie coś się poruszyło.

Beth tego nie zauważyła, ale Penny tak. Jakieś trzydzieści metrów od nich, na skraju plamy światła z jej latarki. Przełknęła ślinę i napięła mięśnie – i Beth poczuła, że jej siostra nagle zeszywniała. Powiodła wzrokiem za spojrzeniem Penny, w dół ciemnego zbocza. Deszcz znów się wzmógł i teraz krople uderzały w ich kurtki z takim szumem jak fale rozbijające się na kamienistym brzegu. Przy każdym przełknięciu śliny Penny czuła drapanie w gardle, jakby przełykała drobiny szkła. Przyszła tu przekonana, że wszystkie opowieści o strachach w Otchłani są nieprawdziwe, zmyślone przez ludzi z miasteczka.

Ale teraz nie wyglądało to już na kłamstwo.

– Ruszajmy – rzuciła, pociągając Beth za rękę.

Puściły się biegiem pod górę, rozpoczynając paniczny odwrót. Penny słyszała dyszenie Beth i sama też chwyciła łapczywie powietrze, z trudem przebijając nogami. Obejrzała się, szarpnęła siostrę za rękę i w tej samej chwili dostrzegła coś w wysokiej trawie, nie dalej niż dziesięć metrów na prawo od nich.

Serce podeszło jej do gardła.

Cokolwiek to było, wyraźnie podążało ich śladem, lekko przykucnięte. Zgarbiony grzbiet i zwisające ramiona były widoczne nad wierzchołkami

traw. Penny chciała coś krzyknąć, ostrzec Beth, ale słowa uwięzły jej w gardle. Zdołała tylko wydać cichy jęk, który od razu rozpułynał się w szumie deszczu, po czym znów szarpnęła Beth za rękę, by przyciągnąć siostrę do siebie. Patrzyła to na drogę przed sobą, to na trawę po prawej stronie. Po raz pierwszy Penny usłyszała oddech mokradeł, jakby całe zbocze dyszało.

– Szybciej! – syknęła.

Tym razem Beth wyczuła przerażenie w tonie siostry i zerknęła na nią przez ramię. Natychmiast zauważyła poruszający się wraz z nimi kształt na trawie, krzyknęła ze strachu i zaczęła jeszcze głośniejsze szlochać. Penny ponownie ją szarpnęła, niemal wlokąc ją pod górę.

Zostało im dziesięć metrów do płotu.

– Ruszaj się! – wrzasnęła Penny, ciągnąc siostrę za rękę z taką siłą, jakby chciała wyrwać ją ze stawu.

Beth pisnęła z bólu, ale nie zabrała ręki.

Sześć metrów.

– Ruszaj się! – wrzasnęła znowu Penny i poczuła, że Beth wreszcie przyspiesza, jakby bliskość płotu wpłynęła na nią mobilizująco.

Obejrzała się za siebie w poszukiwaniu tego czegoś, ale w trawie za nimi nic nie było.

Trzy metry.

Znów się obejrzała i coś dostrzegła.

Puściły swoje ręce i rzuciły się obie w stronę płotu. Wczepiły się dłońmi w siatkę, najpierw Penny, zaraz po niej Beth. Kiedy Penny się wspinała, nagle omsknął jej się czubek buta. Zdołała wdrapać się na szczyt, ale tam znów się poślizgnęła. Latarka wypadła jej z dłoni i głucho uderzyła w mokre podłoże. W tym samym momencie Beth zeskoczyła po drugiej stronie płotu.

– Penny! – krzyknęła. – Szybko!

Siedząc okrakiem na płocie, Penny patrzyła na leżącą w trawie latarkę i zastanawiała się, czy po nią wrócić. Jeśli jutro nie będzie jej w szufladzie, Jack to zauważy. Ale zaraz potem dostrzegła jakiś ruch tuż za latarką.

Nie dam rady po nią wrócić, pomyślała.

Zeskoczyła niezgrabnie na stronę Beth, potoczyła się po wysokiej trawie i zaczęła na czworakach odczołgiwać się od płotu, jak krab uciekający do norki. Z miejsca, w którym się teraz znalazły, widać było tylko kilka metrów za płotem.

Ale to wystarczyło.

Coś zatrzymało się na skraju plamy światła latarki, jakby celowo kryjąc się w mroku. Obie widziały, jak szara sylwetka porusza się tam i z powrotem na tle ciemności. Beth z trudem zmuszała się do patrzenia – co chwilę spuszczała wzrok i odwracała głowę. Penny wyciągnęła rękę do siostry i ściskając jej dłoń, szepnęła, że są już bezpieczne i że wszystko będzie dobrze.

I znów spojrzała za siebie.

Cokolwiek było tam, za płotem, już zniknęło.

25

W pokoju paliła się tylko mała lampka w rogu. Howson wreszcie mnie wpuścił, ale nim zamknął drzwi i założył łańcuch, czujnie rozejrzał się po korytarzu. Stałem z drugiej strony łóżka z wygniecioną pościelą, na które padały plamy światła sączącego się przez nie do końca zaciągnięte zasłony.

Wziąłem sobie spod ściany krzesło, usiadłem i spojrzałem na Howsona, który przysiadł na krawędzi łóżka, po drugiej stronie. Widać było, że stara się nad sobą zapanować, bo głęboko oddychał i przecierał oczy i policzki rękawem. Wysłałem esemesa do Richarda Kite'a, podałem mu nazwę hotelu i numer pokoju i poleciłem, by natychmiast tu przyjechał. Chciałem sprawdzić, czy wzajemnie się rozpoznają. Tymczasem Howson rzeczywiście nieco się uspokoił, łyzy przestały mu płynąć, ale nadal wyglądał na załamane.

– Przepraszam – rzucił cicho.

Nie wiedziałem, czy przeprosza za swoje zachowanie, czy za popełnione zbrodnie, więc milczałem. Raz jeszcze głęboko odetchnął i przeniósł wzrok na stojącą pod ścianą szafę, z drzwiami tak spaczonymi, że się nie domykały. Rozejrzałem się po pokoju, szukając plastikowej teczki z papierami, ale nigdzie nie było jej widać. Pewnie leżała w szafie.

– Opowiedz mi o Penny, Jacob – odezwałem się.

– Ja jej nie zabiłem – oświadczył z naciskiem. Miał akcent z okolic Londynu, ale trudno go było dokładnie umiejscowić ze względu na emocjonalny ciężar słów. – Nigdy nie zrobiłbym jej krzywdy.

– To kto ją zabił?

– Nie wiem.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Spojrzał na mnie przez łyży. – Ale ma to jakiś związek ze szkołą.

– W jakim sensie?

– Myślę, że Corrine... Penny coś odkryła.

– Co?

– Tego nie wiem.

Przez chwilę patrzyłem na niego, zastanawiając się, czy mogę mu wierzyć. Jego żal wyglądał na autentyczny, ale Jacob miał opuszczoną głowę i trudno było zajrzeć mu w oczy. Po oczach da się najłatwiej rozpoznać kłamstwo.

– I dlatego zmieniła nazwisko?

Wzruszył ramionami.

– Miała na imię Corrine, jeszcze zanim przyszła do pracy w tej szkole. Nikt z nas nie wiedział, że naprawdę nazywa się Penny Beck. Dowiedziałem się o tym dopiero po jej śmierci.

– Jak?

Nie byłem pewny, czy mnie w ogóle słucha.

– Jak? – powtórzyłem.

– Natknąłem się na schowany w naszym mieszkaniu jej stary paszport. Był wystawiony na prawdziwe nazwisko.

– Dobrze. Co jeszcze?

Przełknął ślinę i pociągnął nosem.

– Może lepiej zaczniemy od początku – powiedział.

Próbowałem zapanować nad zniecierpliwieniem w głosie.

– Dobrze, zaczniemy od początku. Ale niczego nie pomijaj.

Z namysłem zaczął opowiadać o Penny. Poznał ją w lipcu 2012 roku, kiedy rozpoczął pracę w Red Tree na stanowisku kierownika katedry języka angielskiego. Po roku mieszkali już razem, a rok później jej zwłoki znaleziono w wykopie kolejowym koło osiedla Armbury.

– Widziałem tam twoje liściki. I kwiaty – wtrąciłem, a on pokiwał głową. Wyjąłem swój notatnik i otworzyłem na pierwszej stronie. – Policja dotąd jej nie zidentyfikowała. Skąd wiedziałeś, że ta kobieta przy torze to Penny?

Milczał, ale nie dlatego, że unikał odpowiedzi. Zbierał się na odwagę. Oderwał wzrok od mojego notatnika i spojrzał w okno. W oddali błyskały światła miasta.

– Jacob?

Po twarzy przemknął mu cień uśmiechu.

– Gdy pierwszy raz zaproponowałem jej spotkanie, odmówiła. Wciąż ponawiałem swoje prośby i w końcu się poddała. – Znow się uśmiechnął, ale zaraz przeszło to w grymas. – Cokolwiek się wydarzyło, ma to jakiś związek z Markiem.

– Kim, u diabła, jest Marek?

– Jest szefem ochrony w szkole – wyjaśnił Howson.

Alexander Marek.

Ten, który przyszedł po mnie do recepcji i zaprowadził mnie do gabinetu Rolanda Della.

– To psychol – powiedział Howson. – W Red Tree wszyscy się go boją. A jeśli nie, to w każdym razie mają go za dziwoląga. Nawet Roland się go

boi. Chodzi mi o to, że Marek robi, co mu się żywnie podoba. Ma w dupie, co myśli Roland, a Roland jest za słaby, żeby jakoś zareagować.

Przypomniałem sobie, jak po wyjściu Marka Roland mnie przeproszał. Powiedział, że nie jest zachwycony tym, że ochroniarz wita gości w recepcji, ale rozumie powody. I że to Marek się przy tym upiera. Może już wiedziałem dlaczego.

– Myślisz, że to Marek zabił Penny?

– Nie mam pewności, ale...

– Dlaczego miałyby ją zabijać?

Coś mignęło w twarzy Howsona.

– Jacob?

– Myślę, że czegoś się o nim dowiedziała.

– Na przykład czego?

Mój długopis zawisł nad notatnikiem. Howsonowi po raz pierwszy stwardniały rysy.

– Tak dokładnie nie wiem. Ale wiem, jaki jest Marek. Jeśli ktoś mu się narazi, to on robi mu z życia prawdziwe piekło. I sprawia wrażenie, jakby czerpał z tego przyjemność, to jest najgorsze. Jak raz weźmie kogoś na celownik, to już nie popuści. – Przełknął ślinę. – Ale wobec Penny nigdy taki nie był. Powiedziałbym nawet, że wręcz przeciwnie.

Znów na mnie spojrzał, tym razem z błyskiem zazdrości w oczach.

– Chcesz powiedzieć, że się do niej zalecał?

Wzruszył ramionami.

– No... tak, chyba tak.

– Do czegoś między nimi doszło?

– Nie, skądże! – prawie wykrzyknął Howson. – Marek jej się nie podobał. Nie różniła się w tym od innych. Ale myślę, że Corrine... Penny go wykorzystywała lub przynajmniej próbowała do czegoś wykorzystać.

W związku z czymś, co wiedział. Pogrywała z nim. Odrzucała jego zaloty, jego uwodzenie, ale trzymała się na tyle blisko, by osiągnąć to, co chciała. – Skrzywił się, jakby nie spodobały mu się jego własne słowa. – Markowi coś się roіło na punkcie Penny.

– Co to znaczy „roіło”?

– Ubzdurał sobie, że ją zna.

W tych pięciu słowach było tyle emocji, że atmosfera w pokoju aż zgęstniała. Howson poprawił się na łóżku i sprężyny jęknęły pod jego ciężarem.

– Ale naprawdę wcale jej nie znał, tak?

– Myślę, że zbliżyła się do niego po to, żeby uzyskać dostęp do pokoju ochrony, a przynajmniej do ich komputerów. Do materiałów Marka. Do jego nagrań z kamer bezpieczeństwa. Do tego, co się dzieje w szkole, kiedy nas tam nie ma. Co się działo, jeszcze zanim ja zacząłem tam pracować. Marek jest tam od trzech lat. Pilnuje szkoły, jakby to był Fort Knox. I myślę, że Corr... że Penny to wiedziała.

– I co odkryła?

– Regularność.

– Jaką regularność?

Howson zerknął na szafę, po czym wstał i podszedł do niej. Drzwi głośno zaskrzypiały, pokój wypełnił się zapachem kulek na mole.

Szafa była pusta. Nie było w niej nic poza plastikową teczką z papierami.

Wziął ją i usiadł z powrotem na łóżku. Na prześwitujących przez plastik fotografiach migają twarze, wydruki wyglądały z daleka jak plany zajęć, ale czcionka była zbyt mała, a pokój za słabo oświetlony, żebym mógł mieć pewność.

Howson położył teczkę obok siebie i spojrzał na mnie. Widać było, że walczy ze sobą, czy ma mi udostępnić jej zawartość. Przekonałem go, żeby mnie wpuścił, przekonałem go, żeby zaczął mówić, ale przez cały czas chciał chronić to, co znajdowało się w tej teczce.

– Czy w tych papierach jest to, czego Penny się dowiedziała? – spytałem.

Jego wzrok spoczął na teczce.

– Są tam dowody przeciwko Markowi?

– Dowody – powtórzył, nie podnosząc na mnie oczu. – Nie wiem, czy można to nazwać dowodami. Przejrzałem to niezliczoną ilość razy, porządkując wszystko, co po sobie zostawiła, jednak wciąż nie mam pewności. Ale coś tu jest. – Howson wysypał na kołdrę zawartość teczki. – Gdzieś w tych papierach jest powód, dla którego zabito Penny.

26

Od razu dostrzegłem, że na wszystkich zdjęciach jest Penny. Wydruki stanowiły dowód lub drogę do wyjaśnienia sprawy. Ale te portrety z życia kobiety, migawki ukazujące ją w różnych sytuacjach życiowych, były też czymś więcej.

Były odbiciem pamięci Howsona o niej.

Nie odrywając od nich wzroku, rozkładał je na łóżku z taką pieczołowitością, jakby się bał, że za chwilę porwie je wiatr. Były tylko trzy. Czekałem cierpliwie, aż w końcu podniesie na mnie wzrok, a on jakby sobie przypomniał, że nie jest w pokoju sam, bo odwrócił fotografie w moją stronę. Na dwóch widniała sama Penny, na trzeciej byli oboje z Howsonem. Żadnego z tych zdjęć wcześniej nie widziałem, nie było wśród nich tego na ławce w Regent's Parku.

– Ty je zrobiłeś? – spytałem.

– Tak.

Popatrzyłem na niego.

– Znasz Naomi Russum, prawda?

– Tak – potwierdził, zdziwiony tym pytaniem. – Pracuje u nas w szkole.

– Dobrze ją znasz?

– Myślę, że dość dobrze. – Wzruszył ramionami. – Byłem z nią na paru imprezach, rozmawialiśmy w pokoju nauczycielskim, tego typu rzeczy.

– Bo ona też ma zdjęcie Penny. Ale inne.

Skrzywił się, wyraźnie zaskoczony. W jego minie było jednak coś jeszcze, czego nie potrafiłem rozszyfrować.

– A na co jej zdjęcie Penny?

Przez chwilę mu się przyglądałem, chcąc wyczuć, czy mnie nie zwodzi.

– Nie wiem – odparłem. – A ty jak sądzisz?

– Też nie wiem.

Na razie dałem temu spokój i skupiłem się na bardziej oczywistych pytaniach. Skąd wzięły się u Russum te zdjęcia i dlaczego pokazywała je Richardowi?

– Czy robiłeś kiedyś zdjęcie Penny w Regent's Parku?

– Tak, raz, tydzień przed tym, jak zniknęła... miesiąc przed znalezieniem jej ciała. To było ostatnie zdjęcie, jakie jej zrobiłem.

– Masz nadal tę odbitkę?

– Mam wersję cyfrową w komputerze. Ale jeśli chodzi o papierową odbitkę, to... – Zawiesił głos i popatrzył na mnie.

– To co?

– Trzymałem ją w notesie, którego używam do planowania lekcji. Kiedy Penny zniknęła, wydrukowałem sobie to zdjęcie i miałem je cały czas przy sobie, żeby móc na nią patrzeć. Tak bardzo za nią tęskniłem. Byłem roztrzęsiony. Nie miałem pojęcia, co się z nią stało, co teraz robi i dlaczego odeszła. Miałem tylko to.

Wyciągnął z teczki jeden z wydruków i mi podał. Była to fotokopia listu napisanego na maszynie.

Najdroższy Jacobie!

Tak bardzo Cię kocham, ale muszę odejść. Nawet nie usiłuję Ci wyjaśnić dlaczego. Nie chodzi o Ciebie. Nie próbuj mnie szukać.

Spojrzał na mnie.

– Wiesz, co z tym listem jest nie tak?

– Co?

– Nigdy nie nazywała mnie Jacob. Zawsze mówiła do mnie Jake.

– Myślisz, że ten list napisał ktoś inny?

– Tak.

– Marek?

– Tak. To znaczy... nie wiem na pewno, ale... – Głos mu zamarł.

– Czyli Penny któregoś dnia po prostu zniknęła?

– Można tak powiedzieć. W ten październikowy wtorek wyszła z domu jak co dzień, bo musiała być wcześniej w szkole, i wtedy widziałem ją ostatni raz. Zacząłem jej szukać dopiero na porannej przerwie. W porze lunchu nadal nigdzie nie mogłem jej znaleźć, więc zacząłem pytać ludzi... i wtedy wezwał mnie do siebie Roland i pokazał mi jej wymówienie. Też wyglądało, jakby napisał je ktoś inny, ale dla Rolanda treść listu była przekonująca. Każdego by przekonała. Był zły, bo przyjęty jest zwyczaj, że o zamiarze rezygnacji z pracy informuje się semestr wcześniej, a tu nagle wypowiedzenie z dnia na dzień. Uwierzył jednak w jego prawdziwość.

– Ale ty nie?

Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Czułem, że coś jest nie w porządku, i zadzwoniłem na policję. Powiedzieli mi, że ludzie wciąż znikają i że oni nie mogą zacząć jej szukać ani nawet założyć sprawy, czy co tam robią, póki nie będzie dowodów, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. „Naprawdę sędzę, że może jej coś grozić”, odparłem, bo byłem pewien, że ten list do mnie też nie ona napisała. Po prostu wiedziałem, że coś jej grozi, choć nie mogłem tego udowodnić. A oni na to: „Człowiek ma prawo zniknąć”. To mnie

rozwścieczyło. Zacząłem wierzyć, że odeszła z własnej woli, że nasze wspólne życie, to wszystko, co przeżyliśmy jako para, uznała za nic niewarte i uciekła z kimś innym. Ale potem, w ciągu tych dwóch tygodni przed odnalezieniem ciała, złość mi przeszła i nabrałem pewności, że coś musiało się stać. Że naprawdę grozi jej coś strasznego. Penny nie miała żadnej rodziny, która mogłaby się o nią zatroszczyć, jej rodzice już nie żyli i była jedynaczką... miała tylko mnie. Myślę, że to był kolejny powód, dla którego trzymałem to jej zdjęcie w notatniku. Chciałem, żeby mobilizowało mnie do działania, nie pozwalało mi zapomnieć. Gdy je wkładałem do notatnika... – Znów zamilkł i przez chwilę słychać było tylko bulgot w rurach wodociągowych za ścianą i odgłosy ruchu ulicznego za oknem. – Gdy je tam wkładałem – powtórzył dużo ciszej – naprawdę za każdym razem miałem szczerzy zamiar ponownie zawiadomić policję.

– I czemu tego nie zrobiłeś?

Zobaczyłem na jego twarzy poczucie winy.

– Gdybym po trzech tygodniach od pierwszego telefonu poszedł i powiedział: „Wciąż jej nie ma”, to potraktowaliby mnie poważnie. Takie zniknięcie zupełnie do niej nie pasowało, ale ja nic nie zrobiłem. Nie zadzwoniłem ponownie, więc nie mieli nawet zgłoszenia o zaginięciu. Dlatego nie powiązali jej ze znalezionymi zwłokami.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Odwrócił głowę twarzą do okna. Nad kołnierzykiem koszuli widać było lekką wysypkę po goleniu, zaczerwienioną skórę i kropelki zaschniętej krwi.

– Któregoś dnia skorzystałem z komputera w szkolnej bibliotece i zacząłem szukać jakichś śladów. – Mówił teraz trochę nieobecny tonem, jakby tłumaczył to nie mnie, tylko duchowi kobiety, którą kochał i utracił. – Szukałem jej wśród osób zaginionych. Nie wiedziałem, co robię i czego

szukam, chciałem tylko uzyskać jakąś odpowiedź. Nic nie znalazłem i postanowiłem, że następnego dnia pójdę na policję. Przeglądałem sieć w poszukiwaniu najlepszego sposobu zgłaszania osób zaginionych, najlepszego sposobu na takie potrząśnięcie policją, żeby zechcieli poczynić jakieś kroki. Zrobiłem kilka wydruków i na chwilę wyszedłem ze szkoły, by kupić sobie kanapkę, po czym wróciłem do swojej klasy. Pamiętam to bardzo dokładnie. Chciałem popracować, wystawić oceny, zająć myśli czymś innym. – Na dłuższą chwilę zamilkł. – I już go nie było.

– Czego nie było?

– Zdjęcia Penny w moim notatniku. Zniknęło.

– Ktoś je zabrał? Myślisz, że to Marek?

– Tak.

– Szukałeś tego zdjęcia?

– Szukałem wszędzie, ale nigdzie go nie było. Nie mogłem tego pojąć. Strasznie się zdenerwowałem. A potem zauważyłem, że spod tylnej okładki notatnika wystaje żółta karteczka samoprzylepna, niczym zakładka.

Wygrzebał kolejny wydruk ze stosu na kołdrze i mi podał. Była do niego przyklepiona żółta karteczka.

Idź na policję, a już nie żyjesz.

Trudno mi było oderwać od niej wzrok, a potem pomyślałem o kwiatach, które Howson zostawiał w wykopie kolejowym, z doczepionymi karteczkami. *Tęsknię za Tobą. Proszę, wybac mi. Tak bardzo Cię przepraszam.* Przez chwilę patrzyłem na niego, zastanawiając się, czy to wszystko nie jest jego przemyślaną intrygą. Ale nie wyglądało na to. Wyglądało, że pisał do niej te liściki w poczuciu winy, że nie zadzwonił ponownie na policję. Że kompletnie zawiódł kobietę, którą kochał.

Przeniosłem się myślami do Naomi Russum. Musiała dostać to zdjęcie od Marka. Tylko po co je jej dał i dlaczego pokazywała je Richardowi

Kite'owi? Łączyły ich stosunki zawodowe czy osobiste? Czy takie i takie? To dlatego Howson sprawiał wrażenie, jakby coś przede mną ukrywał, gdy mu powiedziałem, że Russum ma zdjęcie Penny. Wiedział, że to musi być zdjęcie, które mu ukradziono, i zastanawiał się, jakim cudem trafiło ono do Naomi Russum.

Ale trafiło, a ja już wiedziałem, dlaczego nie zidentyfikowano zwłok Penny. Howson nie poszedł z tym na policję, więc nawet nie wpisali jej do rejestru osób zaginionych, a wszyscy inni byli przeświadczeni, że po prostu zrezygnowała z pracy. A cechy łączące ją ze zwłokami w wykopie kolejowym – takie jak DNA, rysy twarzy, włosy, kolor oczu – nigdy nie wyszły na jaw. Jednak nadal nie wszystko było jasne. Penny zabito ponad rok przed pojawieniem się Richarda Kite'a, więc co – poza identycznym tatuażem – ich łączyło? Czy dlatego telefon Richarda był na podsłuchu? Czy w życiorysie Marka istniało coś kompromitującego, co mogło dotyczyć także Naomi Russum i co tkwiło zagrzebane w głowie Richarda? Obawiali się, że w pewnej chwili może to sobie przypomnieć, i chcieli się przed tym zabezpieczyć, zanim będzie za późno?

Jeśli tak, to Richard był w większym niebezpieczeństwie, niż myślałem.

Spojrzałem na Howsona.

– Przeczytałem o Penny w gazetach parę dni po jej znalezieniu. – Głos znowu mu drżał. – To nie była wielka sensacja, bo media nie dysponowały jej zdjęciem. To nie było tak jak wtedy, gdy mają fotografie z miejsca przestępstwa. Tu mogli ją tylko opisać, niektóre jej obrażenia... – Zamilkł i opuścił brodę na piersi. – Policja nie wiedziała, kim ona jest, więc nie mogli się zwrócić do jej przyjaciół, do mnie, żeby zdobyć jakieś jej zdjęcie dla prasy. Dlatego nikt w pracy, kto choć trochę ją znał... nikt poza mną... nic nie skojarzył. Ale ja wiedziałem. Wiedziałem, że to ona.

– Ten, kto ją zabił, usunął kawałek skóry z tatuażem.

Spojrzał na mnie – w oczach znów miał łzy – i kiwnął głową. Przeczytał o wyciętym kawałku skóry i był na tyle inteligentny, by dodać dwa do dwóch.

– Mówiła ci kiedyś o tym?

– O tatuażu? Niewiele. Spytałem ją kiedyś, ale powiedziała tylko, że zrobiła go sobie jeszcze jako nastolatka.

Howson wspomniał, że Penny była jedynaczką, więc ona i Richard nie mogli być rodzeństwem, ale mogli mieć wspólny krąg znajomych lub jako dzieci byli sąsiadami. Czy ten tatuaż mógł być symbolem charakterystycznym dla jakiegoś regionu?

– Penny mówiła ci coś o swoim dzieciństwie?

– Nie lubiła o tym mówić.

– Dlaczego?

– Po prostu nie lubiła. – Zmarszczył czoło, jakby szukał czegoś w pamięci. – Czasami opowiadała o swoim tacie. Głównie o nim. Zaginął, gdy była jeszcze małym dzieckiem. Miała chyba trzy lata.

– Jej ojciec zaginął?

– Tak mi powiedziała.

– Co jeszcze ci o nim mówiła?

– Tylko tyle. Że to się stało, kiedy była bardzo mała.

– W końcu się odnalazł?

– Nie, chyba nie.

– Pamiętasz coś jeszcze z tego, co mówiła?

Zamyślił się, a ja zacząłem się zastanawiać, czy zniknięcie ojca Penny mogło mieć jakiś związek z tą sprawą. Nic oczywistego nie przychodziło mi do głowy, ale to mnie specjalnie nie uspokoiło. Jej ojciec zniknął i ona też.

– Urodziła się w Londynie – powiedział Howson.

– I tu dorastała?

– Nie. Jej rodzice wynieśli się z Londynu, kiedy miała kilka miesięcy. Przeprowadzili się do jakiegoś miasteczka rolniczego o nazwie Sophia. Z tego, co wiem, to gdzieś na północy, bo mówiła, że tam wciąż lało.

Pomyślałem o wspomnieniu Richarda Kite'a widoku na plażę i o słowach, które powiedział na naszym pierwszym spotkaniu: „Niebo jest szare, morze też. I mży”.

– Nigdy ci o tym miasteczku nie opowiadała?

– Nie. Kiedyś próbowałem pociągnąć ją za język, dowiedzieć się czegoś więcej, ale tylko mnie zbyła: „Czemu cię to ciekawi? To najnudniejsze miejsce na ziemi”. A mnie to zainteresowało, bo nie mogłem go znaleźć na żadnej mapie.

– Mówisz poważnie?

– Sam sprawdź.

Wziąłem swój telefon, wpisałem *Sophia* i spróbowałem wyszukać to miejsce na mapie północnej Anglii i Szkocji. Wystarczyło pięć sekund, by się przekonać, że Howson mówi prawdę.

Gdy znów na niego spojrzałem, wzruszył ramionami.

– Kiedy zaczynaliśmy mówić o jej dzieciństwie, zawsze się czułem jak intruz zaglądający do czyjegoś domu. Spędziłem dużo czasu, próbując poskładać w logiczną całość kawałki, które z niej wyciągałem. Jak choćby to, że miasteczko nazywało się Sophia. To był jeden z takich kawałków. Albo to, że jej ojciec pracował w Londynie na jakimś nudnym stanowisku urzędniczym, które rzucił, aby przenieść się na północ i zacząć hodować owce... to też był taki kawałek. Jej ojciec zaginął, to kolejny element układanki. Matka ponownie wyszła za mąż za jakiegoś Jacka, to kawałek numer cztery. Piątym było to, że miała przybraną siostrę Beth, ale potem strasznie się pokłóciły.

– O co?

– Penny nigdy mi nie powiedziała. Mówiła tylko, że już ze sobą nie rozmawiają.

Zniknięcie kogoś bliskiego, kłótnia z przybraną siostrą, miasteczko, którego nie ma na żadnej mapie – zwłaszcza to ostatnie – to były sygnały alarmowe. Według mnie wskazywały na to, że w najlepszym razie Penny mijają się z prawdą, w najgorszym – że celowo kłamała na temat swojej przeszłości. Pozostawało pytanie, czy te kłamstwa miały bezpośredni związek z jej śmiercią lub sprawą Richarda Kite’a.

Zastanawiałem się nad tym przez chwilę, po czym wróciłem do założenia, że Richard i Penny się znali, obracali się w tych samych kręgach i być może łączyło ich coś więcej. Jeśli było tak, jak mówił Howson, i Penny jako dziecko przeniosła się z rodzicami na północ kraju, to właśnie tam mogli się poznać: w tym miasteczku – jakkolwiek naprawdę się nazywało – w którym ojciec Penny hodował owce. Może uda mi się tam odnaleźć przybraną siostrę Penny. Tyle że nadal nie wszystko pasowało. Jeśli Richard miał rodzinę na północy, to dlaczego nikt się nie zgłosił, kiedy go znaleziono? Jeśli go szukali, to na pewno trafiłyby do nich doniesienia prasowe. Poza tym dlaczego Penny miałaby zmyślać nazwę swojego miasteczka? I jeśli Richard pochodzi z północy, to czemu nie mówi z północnym akcentem?

To mi nasunęło pewną myśl.

– Jak Penny mówiła? – spytałem.

Howson spojrzał na mnie zaskoczony.

– Co masz na myśli?

– Chodzi mi o jej akcent. Z jakim akcentem mówiła?

– Aha. – Pokiwał głową. – Bardzo się starała, lecz chwilami wymykały jej się naprawdę dziwnie akcentowane słowa. Nigdy wcześniej tego nie

słyszałem. W zasadzie mówiła normalnie, ale...

– Czasami jej „r” wychodziło warczące?

– Tak.

– Jakby pochodziła z West Country?

– Tak. – Zmarszczył czoło. – Właśnie tak.

Teraz już miałem pewność: Penny i Richard pochodzili z tej samej miejscowości.

27

Richard Kite i Penny Beck pochodzili z tych samych stron.

Ale skąd?

Przyjrzałem się trzem fotografiom, które miał Howson.

Na jednej Penny była trochę młodsza, miała dwadzieścia kilka lat i siedziała na schodkach, na tle Millennium Bridge; jej skóra lśniła w słońcu. Wydawała się jakaś inna. Miała na sobie kremową bluzkę z falbanką przy szyi i brązową spódniczkę i nie było widać u niej śladu znużenia, tak wyraźnego na zdjęciu z Regent's Parku, na którym była o kilka lat starsza i wyglądała pospoliej, jakby była bardziej zmęczona. Wtedy już coś ją dręczyło, ale ze słów Howsona wynikało, że nigdy mu się do tego nie przyznała.

Na zdjęciu zrobionym nad Tamizą wyglądała nieskazitelnie, a jej splecione w warkocz blond włosy podkreślały sklepienie czoła. Uśmiechała się tak szczerze i promiennie, jakby płonął w niej wewnętrzny blask, który rozświetlał jej zielone oczy i malował rumieńce na policzkach – niejako rzutował na całą jej postawę. Podobnie jak na pozostałych dwóch zdjęciach: na tym w ogrodzie różanym i na selfie z Howsonem, którego wyciągniętą rękę widać było na skraju kadru.

– A co to jest?

Podążył za moim wzrokiem ku cienkiemu plikowi papierów, który wydzielił z reszty i odłożył na bok.

– Rozliczenia – powiedział.

– To, co Penny znalazła w pomieszczeniu ochrony?

– Tak. Odkryła, że w komputerze Marka są zapisane wpływy i wydatki Red Tree za ostatnie siedemnaście lat. Trzymał je tam bez niczyjej zgody i wiedzy. Wszystkie szkolne wpływy, wszystkie opłaty uczniowskie, wszystkie darowizny dla szkoły. Miał to zapisane na twardym dysku w komputerze.

– Po co?

– Żeby kontrolować to, co się dzieje w szkole. Uważał, że może mu się to przydać jako karta przetargowa lub narzędzie do wywierania nacisku. – Wzruszył ramionami. – Dokładnie nie wiem, ale jestem pewien, że coś się za tym kryje.

– Co takiego?

– Jakieś machinacje finansowe. W dokumentacji występowała pewna regularność i Penny to odkryła.

– Jaka regularność?

– Między wrześniem dwutysięcznego a styczniem dwa tysiące trzeciego z Red Tree regularnie przelewano pieniądze do trzech zagranicznych banków.

– Czemu ktoś miałby to robić? – spytałem.

– No właśnie. Prywatne szkoły, takie jak nasza, mają status instytucji charytatywnych, prawda? Dlatego dostajemy osiemdziesięcioprocentową zniżkę podatku. To jaki sens miałoby otwieranie zagranicznego konta, które służy głównie unikaniu podatków, skoro i tak prawie ich nie płacimy?

Chwilę się zastanawiałem.

– Chyba że to zagraniczne konto nie należało do szkoły.

– Otóż to. – Howson pokiwał głową. – To nie szkoła próbowała ukrywać swoje dochody. Robił to Marek. Używał szkoły jako przykrywki dla własnych machinacji finansowych.

– Dlaczego?

– Tego nie wiem. Nie do końca.

– I nikt z kierownictwa Red Tree nie ma o tym pojęcia?

– Nie. Marek jest bardzo ostrożny. Wszystkie operacje zlecał z pomieszczenia ochrony, do którego tylko on ma dostęp. Wszystko, co trafia na biurko Rolanda, najpierw przechodzi przez ręce Marka. Widziałeś, jaką ma pozycję w szkole. Widziałeś, jak Roland się z nim cacka. Jeśli nawet dyrektor szkoły się go boi, to kto odważy się pytać? A gdyby nawet ktoś zainteresował się bliżej tą sprawą, Marek od razu by o tym wiedział. Ma dostęp do loginów, kont mailowych, danych... do wszystkiego. Nikt nie może go ruszyć.

– Ale Penny to zrobiła.

– Nie znam całości sprawy. – Wziął do ręki wydruki i nagle zaczął mówić szybciej. – To zaledwie cząstka. Drobnny fragment. Kawałki łamigłówek, którą Penny starała się ułożyć, ale tylko tyle udało mi się zebrać z tego, co po niej zostało. Jestem natomiast pewien, że wiedziała o wpłatach na zagraniczne konta i ustaliła, że robiono to od dwudziestu dziewięciu miesięcy, regularnie tego samego dnia: dziesiątego każdego miesiąca.

– O jakich kwotach mówimy?

– Około dwunastu tysięcy funtów miesięcznie, podzielonych na trzy wpłaty po cztery tysiące, czyli w sumie około trzystu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

– Czy Marek kradł te pieniądze w szkole?

– Właśnie w tym sęk. W przeddzień przelewu takie same kwoty wpływały skądś na konto szkoły. To znaczy dziewiątego każdego miesiąca, między wrześniem dwutysięcznego a styczniem dwa tysiące trzeciego roku, na konto Red Tree wpływało dwanaście tysięcy funtów, po czym następnego dnia było rozdzielane na trzy części po cztery tysiące i przelewane na trzy różne zagraniczne konta.

– A kto wpłacał te pieniądze na konto Red Tree?

– Tego nie wiem. Nie da się tego ustalić, bo pieniądze były przez kogoś wpłacane w gotówce do banku, a nie przelewane z innego konta. Wszystko, co wiem w tej sprawie, to imię Caleb, zapisane na jednym z wyciągów.

– I to Penny je zapisała?

– Tak. Próbowałem ustalić, kim mógł być ten Caleb, ale, niestety, bez rezultatu.

Wręczył mi wszystkie papiery, łącznie z wyciągami. Był to stos odręcznych notatek, arkuszy kalkulacyjnych i wydruków, które nic mi nie mówiły. Jeśli Howson, człowiek tak dobrze znający Penny, nie dawał sobie rady z przebrnięciem przez tę masę cyfr, dla mnie będzie to jeszcze trudniejsze. Nie znałem sposobu myślenia Penny Beck, a ściślej mówiąc, w ogóle jej nie znałem.

Przez kilka minut przerzucałem kartki, odczytując jej uwagi na marginesach i podkreślone fragmenty tekstu.

– Gdzie ona to wszystko trzymała? – spytałem.

– W ukryciu, poutykane w różnych miejscach po całym domu. Kiedyś, sześć miesięcy po jej śmierci, zupełnie przypadkowo natknąłem się na kilka kartek wetkniętych między stronice jej ulubionej powieści, wyraźnie celowo, by je ukryć. Parę miesięcy później chciałem otworzyć szufladę komody w sypialni, ale się zacięła. Zacząłem się z nią mocować, zluzowałem prowadnice i gdy ją wyciągnąłem, okazało się, że pod spodem

są przyklejone wyciągi bankowe. – Wskazał trzymaną przeze mnie fotokopię rozliczeń Red Tree za maj 2002 roku, z odręcznymi uwagami Penny na marginesach. – Przetrzęsnałem cały dom, szukając czegoś więcej. To, co masz w rękach, to wszystko, co znalazłem. Być może jest coś jeszcze, ale nie wiem gdzie.

Chowała to, co zdobyła, by chronić nie tylko Howsona, ale także siebie. Przerzuciłem resztę papierów i pod koniec natknąłem się na kopię wyciągu z imieniem Caleb. Czy to imię było kluczem do całej sprawy?

– To na pewno wszystko, co znalazłeś w domu? – spytałem.

– Tak.

– I nie wiesz, gdzie może być reszta?

– Może nie być żadnej reszty. – Wzruszył ramionami. – A jeśli jest, to za dobrze ukryta. Albo zniszczona, albo wyrzucona, albo zagubiona. – Znów wskazał na wydruki. – To udało mi się zebrać w ciągu dwóch lat od jej śmierci. Nic więcej nie mam, a znalezienie tego i tak kosztowało mnie dużo wysiłku.

– Nigdy ci nie powiedziała, że zajmuje się czymś takim?

– Nigdy.

– Jak myślisz, dlaczego?

Spuścił wzrok na kolana.

– Nie jestem pewny, czy mi ufała.

– Dlaczego miałyby ci nie ufać?

– Może się obawiała, że wygadam coś w pracy. Na pewno nie zrobiłbym tego celowo, ale mogłem coś chlapać. Nie byłem tak sprytny jak ona ani tak dyskretny, ani tak ostrożny. Myślę, że chroniła mnie przede mną samym. Jeśli nic nie wiedziałem, to nie mogłem wpakować się w kłopoty ani przeszkodzić w jej poszukiwaniach.

– W poszukiwaniach czego?

– Właśnie w tym problem. Nie mam pojęcia.

W poszukiwaniach czegoś związanego z imieniem Caleb.

Zamilkliśmy. Howson patrzył w przestrzeń, ja wciąż przeglądałem papiery, szukając w nich jakiejś wskazówki, poszlaki, tropu.

I nagle ktoś zapukał do drzwi.

28

Howson wytrzeszczył oczy, na jego twarzy pojawił się grymas strachu.

Uspokajająco kiwnąłem ręką, podszedłem do drzwi, uchyliłem je i wyjrzałem na korytarz.

Richard Kite uśmiechnął się do mnie.

– No proszę – odezwał się z wyraźną ulgą, że udało mu się trafić. – Przepraszam, że to tak długo trwało, ale zgubiłem się w metrze. Na Bond Street przesiadłem się na linię Jubilee, ale zamiast w kierunku południowym pojechałem na północ.

– Nie szkodzi, nic się nie stało. – Otworzyłem szerzej drzwi.

Richard i Howson spojrzeli na siebie, a ja, patrząc na nich, pomyślałem, że ściągnięcie tu Richarda nic nie dało: widać było, że się z Howsonem nie znają.

– Richard, to jest Jacob – powiedziałem, zamykając za nim drzwi.

Richard kiwnął głową.

– Miło mi.

– A co to za jeden? – burknął Howson.

Richarda trochę to speszyło; nie wiedział, dlaczego kazałem mu przyjechać i kim jest Howson.

– Pamiętasz, jak cię pytałem, czy znasz kogoś, kto nazywa się Richard Kite? – zwróciłem się do Howsona, który przenosił wzrok z Richarda na

mnie i z powrotem. – To właśnie on. Cierpi na amnezję dysocjacyjną. Nie pamięta, kim jest ani skąd się tu wziął.

Howson spojrzał na mnie tak, jakby sądził, że żartuję.

– Jestem prawie pewien, że Richard pochodzi z tej samej miejscowości co Penny – dodałem, podając Richardowi jedno ze zdjęć Howsona.

Wziął ode mnie fotografię Penny.

– To nie jest piosenkarka, Richard. Ona była nauczycielką.

Powiedziałem to możliwie najdelikatniej, by złagodzić cios, ale i tak kolejny filar w jego życiu właśnie runął. Przeniósł wzrok ze zdjęcia Penny na mnie, potem na Howsona, potem z powrotem na zdjęcie. W ciągu tych paru sekund zdołał połączyć fakty i wyciągnąć wnioski: jeśli ta kobieta nie jest piosenkarką, to znaczy, że Naomi Russum go okłamała. A jeśli kłamała w tej sprawie, to w jakiej jeszcze?

Podsunałem mu swoje krzesło, ale on jakby mnie nie zauważał. Z najwyższym trudem powstrzymałem się, by nie odwrócić od niego wzroku. Malujący się na jego twarzy wyraz głębokiego zawodu przypominał reakcję skrzywdzonego i odrzuconego dziecka.

– Penny i on się znali? – spytał Howson.

Milczałem, nie odrywając oczu od Richarda, który nie przestawał wpatrywać się w fotografię Penny.

– Penny i on pochodzą z Sophii?

Na to już zareagowałem.

– Żadna Sophia nie istnieje – rzuciłem do Howsona. – Musisz pogodzić się z myślą, że Penny cię w tej sprawie okłamywała. – Patrzyłem, jak twarz mu posępnieje, upodabniając się do twarzy Richarda: człowieka oszukanego i wyprowadzonego w pole. – Ale wszystko jedno, skąd była, jestem pewny, że Penny i Richard pochodzą z tej samej miejscowości. Jeśli ustalę, co to za miejscowość, poznam też historię Richarda.

Obaj popatrzyli po sobie.

Fizycznie byli do siebie niepodobni. Richard był lepiej zbudowany i przystojniejszy, Howson wyższy, chudszy i niezbyt urodziwy, ale stanowili dwie strony jednej monety. Richard nie pamiętał, kim jest, czy ma jakąś rodzinę, skąd pochodzi; Howson pamiętał wszystko, ale nagle dowiedział się, że to, co pamięta i co słyszał od Penny, jest kłamstwem.

– Richard, czy mówi ci coś nazwa miejscowości Sophia?

– Nie – odparł z obojętną miną.

– A imię i nazwisko Penny Beck?

– Nie.

– Penny, ta kobieta na zdjęciu, miała przybraną siostrę o imieniu Beth. – Chwilę poczekałem na reakcję. – Czy to imię z czymś ci się kojarzy?

– Nie.

– A Alexander Marek?

– Nie.

– A imię Caleb?

– Nie – powtórzył kolejny raz.

Howson zaczynał chyba rozumieć wyraz zgnębienia na twarzy Richarda, jego utratę pamięci, jego całkowity brak zakotwiczenia.

– Nic nie pamiętasz? – spytał, zsuwając się na krawędź łóżka.

Richard oderwał wzrok od zdjęcia Penny Beck. W oczach miał łzy.

– Nie, nic – odparł.

Howson już otwierał usta, by jeszcze o coś spytać, ale powstrzymałem go ruchem ręki. Przeniósł wzrok z Richarda na fotografię Penny i po raz pierwszy wyczytałem w jego twarzy pytanie. Pytanie, które gnębiło także mnie.

A jeśli ten facet był kiedyś chłopakiem Penny? Jeśli to jego wcześniej kochała? Jeśli to z jego powodu nie chciała mówić o swojej przeszłości?

Wróciłem do mojej rozmowy z Howsonem sprzed przyjścia Richarda.

– Czy Penny pokazywała te papiery komuś innemu?

– Nie sądzę.

– Potrzebujemy więcej niż to, co tu masz – oświadczyłem. – Jeśli chcesz obciążyć Marka winą za to morderstwo, musimy mieć dużo więcej.

Na słowo „morderstwo” Richard drgnął i uniósł głowę znad fotografii.

W pokoju zapadła cisza. Howson sięgnął do okładki i wyciągnął z niej coś jeszcze: ciemny kawałek plastiku wielkości karty kredytowej, który już wcześniej zauważyłem wśród papierów.

Tyle że nie była to karta kredytowa.

Nie było na niej numeru ani nazwy banku, nie było logo ani chipu z kodem. Na odwrocie widniał pasek magnetyczny i mały znaczek.

Krwistoczerwone drzewko.

– To karta wejścia do budynku szkoły? – spytałem.

Howson spojrzał na kartę i przeniósł wzrok na mnie.

– Tak.

– Twoja?

– Nie. Myślę, że Penny ją ukradła. Znalazłem ją schowaną w domu.

– Ukradła? Czy to jest karta wstępu do pomieszczeń ochrony?

– Tak.

– Korzystałeś z niej?

Odpowiedź można było wyczytać z jego miny. Nie korzystał. Bał się, że Marek mógłby go przyłapać.

– Myślę, że Penny tam weszła i zaczęła szukać wyjaśnień – rzucił posepnym tonem. – Weszła i ukradła to wszystko, a potem Marek się zorientował.

– I wtedy się nią zajął.

– Tak – potwierdził. – Myślę, że wtedy ją zabił.

Spojrzałem na Richarda – wpatrywał się we mnie ze strachem w oczach, blady jak ściana. Nie łapał do końca mojej rozmowy z Howsonem, ale zrozumiał wystarczająco dużo. Wiedział, że jego telefon był na podsłuchu, widział miejsce porzucenia zwłok Penny, a teraz się dowiadywał, że pochodziła z tej samej miejscowości co on. Może znali się w dzieciństwie, może się przyjaźnili, może nawet łączyło ich coś więcej.

Coraz bardziej wyglądało na to, że Richard może być kluczem do wszystkiego.

A to znaczyło, że muszę znaleźć dla niego jakieś bezpieczne miejsce.

29

Przesiedzieliśmy w pokoju do świtu, po czym wyszliśmy z hotelu i ruszyliśmy Waterloo Road na północ, w stronę dworca. Na ulicach panowała cisza, chodnik był śliski od deszczu, bo w nocy padało.

Richard i Howson szli w milczeniu, z opuszczonymi głowami. W hotelu spędziliśmy jeszcze godzinę na rozmowie, próbując wydobyć z pamięci Richarda jakieś okruchy – coś o Penny lub odkrytych przez nią tajemnicach – ale w końcu dałem spokój, bo widziałem, jak to na niego działa, jak po każdym pytaniu, na które nie znajduje odpowiedzi, zapada się coraz głębiej w siebie. Powiedziałem, żeby odpoczęli, i Howson szybko usnął na łóżku, a Richard w fotelu.

Ja przejrzałem raz jeszcze cały zbiór Penny, ale nie znalazłem nic nowego.

Howson szedł teraz z plastikową teczką przyciśniętą do piersi, ale karta wstępu do pomieszczeń ochrony tkwiła już bezpiecznie w mojej kieszeni. Przed wyjściem z hotelu sam mi zaproponował, żebym ją wziął, tym samym przyznając, że jemu nie starczy odwagi na jej użycie. Powiedział to stłumionym głosem, w jego oczach widać było coś pośredniego między wstydem a strachem.

Rozumiałem targające nim uczucia. Nigdy nie poinformował policji, że zwłoki znalezione w wykopie kolejowym należały do Penny, choć był tego

pevien. Nigdy nie ujawnił, że w książkach i szufladach znalazł poutykane przez Penny wydruki i inne papiery. Nikogo nie zawiadomił o regularnych przelewach do zagranicznych banków, które odkryła – a przecież to zapewne doprowadziło do jej śmierci.

Dlatego gnębiło go poczucie winy, a towarzyszący temu strach jeszcze pogarszał sprawę. Gdyby teraz poszedł z tym na policję i wszystko wyjawiał, musiałby się przyznać, że od dwóch lat ukrywał informacje o śmierci Penny, i w ten sposób zlekceważyłby ostrzeżenie, które ktoś mu zostawił w notatniku. Jednocześnie brak działania z jego strony oznaczał, że morderca Penny nie odpowie za zbrodnię.

Dylemat, czy ma powiedzieć o wszystkim policji, czy nie, był dla niego istną torturą.

Podjezewałem, że we mnie widzi rozwiązanie, sposób, by stało się coś, czego sam nie miał odwagi zrobić – choć nie sądziłem, że mógł to sobie wykalkulować. Był zbyt roztrzęsiony i zbyt zgnębiony swoją bezczynnością w sprawie śmierci Penny. Uciekł do hotelu, bo spanikował, bo taki sobie obmyślił plan awaryjny. Ale chyba na tym jego planowanie się kończyło i nie miał pomysłu, jak działać dalej. Jak by się zachował, gdybym się nie pojawił?

Kiedy zapytałem go o to w hotelu, wzruszył tylko ramionami.

– Sam nie wiem – bąknął. – Długo o tym myślałem po tym, jak znalazłem w swoim notatniku ostrzeżenie.

Idź na policję, a już nie żyjesz.

– A później już nie?

– Nie. Uznałem, że hotel będzie dobrą kryjówką przed Markiem. Że spokojnie tam posiedzę i obmyślę następny ruch... – Zamilkł.

Howson zachował się jak wielu, z którymi miałem do czynienia: skrupulatnie obmyślił drogę ucieczki i wszystko, co się z tym wiązało,

natomiast zupełnie nie pomyślał, co zrobi, kiedy już ucieknie.

W oddali ukazał się dworzec Waterloo. Obejrzałem się na dwóch wlokących się za mną mężczyzn. Wciąż szli z opuszczonymi ramionami i ze wzrokiem wbitym w chodnik, obaj szarzy w bladym świetle ulicznych latarni. Wyrzuty sumienia i poczucie winy pozbawiały kolorów Howsona, a frustracja i zniechęcenie dawały taki sam efekt u Richarda. Wyglądali jak dwie zjawy. Zagubione. Samotne.

Bezwolnie dryfujące.

...

Doszliśmy do ruchomych schodów we wschodnim skrzydle dworca Waterloo. Pierwszy poranny pociąg odjeżdżał o piątej trzydzieści i jechał na południowe wybrzeże. Poleciałem im, by do niego wsiedli i na parę dni gdzieś się ukryli. Ze słów Howsona wynikało, że Marek mógł się domyślać, że już wiem, co łączy Richarda Kite'a ze szkołą. A to znaczyło, że Richardowi grozi teraz jeszcze większe niebezpieczeństwo – i z powodu Marka, i z powodu tego, czego sam się dowiedział.

– Mam znajomych w Folkestone – powiedział Howson.

– Świetnie, jedźcie do Folkestone – rzuciłem.

Była sobota, piąta rano, i budynek dworca wydawał się wymarły. Na obu poziomach, na peronach, przy bramkach bileterów oraz w sklepach i w restauracjach nie było żywego ducha.

– W poniedziałek rano niech każdy z was zadzwoni do pracy i zawiadomi, że jest chory – poleciałem. – Dam wam znać, jak stwierdzę, że bezpiecznie możecie się pojawić.

– Wiem, że nie musiałeś mi pomagać – odezwał się Howson.

Spojrzałem na niego. Przemawiało przez niego poczucie winy. W rzeczywistości nie mówił: „Wiem, że nie musiałeś mi pomagać”, tylko: „Wiem, że na to nie zasługuję”. Nie znalazłem na to żadnej odpowiedzi.

– Dlaczego Penny to zrobiła? – spytałem.

– To znaczy? – Howson zmarszczył czoło.

– Pytam, po co w ogóle włąziła do tej króliczej nory. Dlaczego zainteresowała się Markiem? Jak możemy wnioskować z papierów, dowiedziała się, że facet upycha gdzieś pieniądze i wykorzystuje do tego szkolne konto, ale dlaczego ją to w ogóle obchodziło? Dlaczego narażała się na niebezpieczeństwo? Ukradła mu kartę wejścia do pomieszczeń ochrony i zaczęła grzebać w jego komputerze. Dlaczego?

– Bo szukała odpowiedzi.

– To rozumiem, ale dlaczego?

– Bo była uczciwym człowiekiem. – Howson wzruszył ramionami.

Ale to musiało być coś więcej. Zmieniła imię i nazwisko, kłamała na temat miejsca, z którego pochodziła, podejmowała ryzyko, zakradając się do pomieszczeń ochrony, i ukrywała, co tam znalazła – to wszystko nie mogło być wyłącznie działaniem z czysto moralnych pobudek, z nakazu sumienia, by ujawnić machinacje Marka. Z moich doświadczeń wynikało, że ludzie tak mocno angażujący się w sprawy, które ich osobiście nie dotyczą, występują tylko w komiksach.

Nie była mścicielem, który ze wzniosłych pobudek walczy ze złem tego świata, bo gdyby tak miało być, to gdzie dowody na jej wcześniejsze dokonania? Nic, co dotąd o niej usłyszałem, nie wskazywało na to, że zawsze tak postępowała.

Czyli wracaliśmy do punktu wyjścia, do pytania: „Dlaczego?”.
Dlaczego aż tak bardzo się angażowała?

Czy wszystko sprowadzało się do tajemniczego Caleba, którego imię napisała na jednym z wydruków?

Tego nie wiedziałem.

Ale może pojawiała się szansa, by się tego dowiedzieć.

30

Na River Hill panowała cisza. Było wcześnie i trwał weekend, więc w oknach biurowców nie paliły się światła, nikt nie nadchodził od strony Southwark Bridge ani nie szedł w przeciwnym kierunku, na południowy brzeg Tamizy. Kłopot mogli sprawić mi tylko ludzie, którzy właśnie otwierali sklep garmazeryjny przy końcu ulicy, oraz lokatorzy jedyne w okolicy, stojącego kawałek dalej bloku mieszkalnego.

No i oczywiście ktoś, kto mógł być w budynku szkoły.

Przyglądałem się bocznemu wejściu, stojąc we wnęce jakichś drzwi sześć metrów dalej. Howson powiedział mi, że boczne wejście jest czynne od piątej rano do dziesiątej wieczorem, przez siedem dni w tygodniu, i że korzystają z niego uczniowie mieszkający w internacie, których sypialnie są na drugim piętrze. Wkrótce miałem się o tym przekonać.

W całonocnym supermarkecie koło dworca Waterloo kupiłem wełnianą czapkę. Do wschodu słońca zostało jeszcze parę godzin i temperatura ledwo przekraczała zero stopni, więc postawienie kołnierza płaszczu i naciągnięcie czapki na oczy i uszy nie będzie wyglądało dziwnie w kamerze monitoringu nad drzwiami.

Kamerę umieszczono tak, by obejmowała całe wejście, i nie było sposobu, żeby uniknąć jej czujnego oka. Mogłem tylko próbować maksymalnie zakamuflować moje zbliżanie się do budynku. Wyjąłem

telefon komórkowy i zacząłem udawać, że rozmawiam. Jeśli nawet ktoś obserwuje obraz z kamery, w najgorszym razie dojrzy tylko część prawej połowy mojej twarzy. Stałem przed drzwiami, opuściłem nisko głowę i szybko przeciągnąłem kartę przez szczelinę czytnika, modląc się w duchu, żebym nie musiał wpisywać kodu. Nie musiałem – od razu usłyszałem serię krótkich piknięć.

I tyle. Nic więcej się nie stało.

Piknięcia ucichły, ale drzwi się nie otworzyły. Chwilę stałem nieruchomo, z twarzą odwróconą od kamery, starając się zachowywać jak najbardziej naturalnie. Ująłem mocniej kartę i już miałem ponownie przesunąć ją przez czytnik, gdy nagle coś szcęknęło, drzwi odskoczyły i zaczęły powoli się uchylać.

Przez chwilę stałem jak skamieniały, a w głowie zaczęły mi się zapalać lampki ostrzegawcze. A jeśli te piknięcia oznaczały uruchomienie alarmu? A jeśli to sygnał oznaczający odrzucenie karty? A jeśli system w jakiś sposób rozpoznał, że posługuję się skradzioną kartą? A jeśli ktoś otworzył mi drzwi i teraz tylko czeka, żebym wpakował się w pułapkę? Drzwi w pełni się otworzyły, ale ja nadal stałem jak przyrośnięty do kamiennych schodków. Pomyślałem jednak o opowieści Howsona o śmierci Penny, o tym, co wiedziałem o Alexandrze Marku i Naomi Russum, oraz o kłamstwach wciskanych Richardowi Kite'owi – i zdecydowałem się wejść.

Kiedy już znalazłem się poza zasięgiem obiektywu kamery, przystanąłem.

W korytarzu było ciepło, przyjemnie pachniało, cicho brzęczał system grzewczy. Podeszedłem do wewnętrznych drzwi; tym razem przesunięcie karty przez szczelinę czytnika spowodowało głośne piknięcie i drzwi od razu odskoczyły. Ostrożnie je pchnąłem i znalazłem się w kolejnym

korytarzu, dużo dłuższym, z kolejnymi drzwiami na końcu, a także po obu stronach. Przy tych na lewo też był czytnik, a umieszczona na nich tabliczka z wygrawerowanym logo Red Tree informowała, że za nimi znajdują się SYPIALNIE. Drzwi po prawej miały tradycyjny zamek i tabliczkę z napisem BIURO. Przy tych na końcu korytarza widniał kolejny czytnik i tabliczka z napisem OCHRONA.

Bez namysłu podszedłem do najdalszych i przeciągnąłem kartę. Nic się nie stało. Ponowiłem próbę, znowu bez rezultatu. Przeciągnąłem kartę po raz trzeci, licząc, że usłyszę brzęczyk, serię piknięć lub cokolwiek innego świadczącego o tym, że zostaję wpuszczony do pomieszczeń ochrony. Nic takiego się nie stało. Czy to znaczyło, że moja karta tu nie działa? A może w czytniku zmieniono kod?

Zawróciłem do drzwi z napisem SYPIALNIE, oglądając się przez ramię, czy ktoś nagle się za mną nie pojawi. Przeciągnąłem kartę.

Nic.

Mój puls gwałtownie przyspieszył. Dlaczego karta zadziałała przy drzwiach wejściowych, a nie działa przy wewnętrznych? Czyżbym wpadł w pułapkę?

Cofnąłem się szybko do tych prowadzących na ulicę. Nikt nie wchodził do budynku, wszystko wyglądało tak jak przedtem. Nie zauważyłem żadnej zmiany, ale nie wyłączyło to dzwonek alarmowych w mojej głowie.

Przemknęło mi przez myśl, czy nie machnąć ręką i nie wyjść stąd, ale zaraz zwyciężyło we mnie to, co dobrze znałem: ciężar odpowiedzialności wobec ludzi, którzy liczyli na moją pomoc; pamięć o kole ratunkowym, jakie mi rzucono w pierwszych latach po śmierci Derryn; poczucie obowiązku wobec tych, którzy – tak jak Penny Beck – stracili życie. Brzemie, którego nie mogłem ignorować.

Działąłem więc dalej.

Podszedłem do drzwi z napisem BIURO, które zamiast czytnika miały zwykły zamek, i nacisnąłem klamkę.

Ustąpiły.

Kiedy je uchylałem, na mosiężnej tabliczce z napisem BIURO mignęło mi moje odbicie. Wyglądałem na zmęczonego, i tak też się czułem. Wyglądałem na zdenerwowanego i spiętego – i to również była prawda. Na czole lśniły mi kropelki potu, policzki i dolną część twarzy pokrywał ciemny trzydniowy zarost.

Otworzyłem drzwi do końca i w środku ujrzałem dębowe biurko na nóżkach grubych jak pnie drzew oraz kilka regałów ze szklanymi drzwiczkami, każde z osobnym zamkiem. Po lewej stronie stały naprzeciwko siebie dwie kanapy, z niskim stolikiem między nimi, oraz kolejne regały, też zamknięte na klucz. Przez matowe szkło w drzwiczkach niewiele było widać, ale wydawało się, że na półkach stoją rzędy plastikowych segregatorów. Na biurku leżały MacBook i tacka na korespondencję. Okno za biurkiem wychodziło na ogród w stylu włoskim, ogrodzony wysokim murem i oświetlony bladymi lampami.

Zamknąłem za sobą drzwi i podszedłem do laptopa. Stał tam wsunięty pod biurko skórzany fotel, ale nawet na nim nie przysiadłem. Włączyłem MacBooka i słuchając szumu uruchamiającego się komputera, spróbowałem otworzyć pierwsze z brzegu drzwiczki regału. Ciekaw byłem, czy zamki służą tylko do ozdoby, czy też są rzeczywiście używane. Drzwiczki lekko drgnęły, ale nie ustąpiły.

Nie przejąłem się tym, bo półki i segregatory specjalnie mnie teraz nie interesowały. Znacznie bardziej ciekawiła mnie zawartość laptopa – i to na nim skupiłem uwagę. Po paru sekundach na ekranie rozbłysło logo Red Tree i zaczął migać kursor oraz prośba o wpisanie hasła, a obok pojawiła się maleńka podobizna użytkownika laptopa. Twarz Alexandra Marka.

Nagle jednak moją uwagę przyciągnęło coś innego.
Z korytarza dobiegł odgłos kroków.

31

Zamknąłem MacBooka, podszedłem do drzwi i przytknąłem do nich ucho, czując, jak krew zastyga mi w żyłach. Przypomniałem sobie słowa mojego lekarza, który badał mnie po tym, jak przeżyłem atak paniki. „Ta twoja praca może cię kiedyś kosztować życie – powiedział. – I to niekoniecznie dlatego, że ktoś dźgnie cię nożem. Możesz po prostu tego nie wytrzymać”. Miał na myśli fizyczne załamanie się organizmu. Bunt ciała, które komórka po komórce zniszczy samo siebie. Ale może moja choroba wcale nie na tym polegała.

Może moją chorobą była obsesja.

Nacisnąłem klamkę i uchyliłem lekko drzwi. Przed drzwiami pomieszczeń ochrony na końcu korytarza stał Alexander Marek.

Miał na sobie czarne spodnie i ciemnoszarą koszulę i stał z lekko przechyloną głową, wyraźnie czegoś nasłuchując: jakiegoś obcego dźwięku, który nie pasował mu do tego miejsca. W pierwszej chwili nie wiedziałem, czy właśnie wszedł do szkoły, czy był tu cały czas, zaraz jednak pomyślałem o leżącym na biurku MacBooku i stwierdziłem, że Marek nie zostawiłby przecież na wierzchu swojego laptopa, a więc musiał już tu być wcześniej.

Przez chwilę mu się przyglądałem. Wyglądał jakoś inaczej, jakby potężniej, jakby się rozrósł wszerek i wzdłuż. Uświadomiłem sobie, że

Marek, który mnie powitał i zaprowadził do gabinetu Rolanda Della, był fałszywy, jakby wymyślony. Teraz miałem przed sobą prawdziwego Alexandra Marka, człowieka opisywanego przez Jacoba Howsona. Człowieka, którego wszyscy się bali.

Najciszej jak mogłem, zamknąłem drzwi.

Szybko podszedłem do okna i je sprawdziłem. Nie było zamknięte na klucz i było wystarczająco duże, by się przez nie przecisnąć, ale nie znałem układu ogrodu i nie wiedziałem, czy da się z niego wyjść na ulicę, czy też prowadzi tylko z powrotem do budynku.

Za drzwiami dobiegły trzaski radiowe i ciche kroki, jakby się skradał. Jakby wiedział, że tu jestem.

Szedł tutaj.

O kurwa. Kurwa!

Rzuciłem się do okna i otworzyłem je najszerzej, jak się dało. Z oddali zaczynały napływać odgłosy budzącego się miasta – ruch uliczny, rozmowy, poranne życie.

Spojrzałem za siebie i mój wzrok zatrzymał się na biurku.

Laptop.

Nastąpiła chwila zawahania. Jeśli go zabiorę, Marek od razu będzie wiedział, że ktoś się tu włamał. Jeżeli go zostawię, to mogę już nigdy nie poznać prawdy.

Przez sekundę rozważałem konsekwencje zabrania – kradzieży – MacBooka: szkoła zgłosi to na policję. Kim będę, jeśli go stąd zabiorę? Okażę się nie lepszy od tych, którym zdarzało się mnie prześladować i którzy nieraz włamywali się do mojego domu podczas prowadzonych przeze mnie spraw, próbując zniszczyć moje życie. Z drugiej strony, czy Marek odważy się wezwać policję, skoro to, co ukrywa w pomieszczeniach

ochrony – a być może także na twardym dysku laptopa – może prowadzić do zbyt wielu niewygodnych pytań i ujawnienia zbyt wielu tajemnic?

Dotyczących Richarda Kite'a i prawdy o tym, kim on jest.

Dotyczących Penny Beck i powodów, dla których została zabita.

A może nawet jeszcze gorszych rzeczy.

Chwyciłem MacBooka pod pachę i wspiałem się na obudowę grzejnika. Chwilę potem byłem już w ogrodzie, otoczonym wysoki murem i drabinkami dla winorośli w ceramicznych donicach. W przerwach między nimi widać było ławki, pośrodku fontannę i dalej patio na tyłach budynku. Obok patia zobaczyłem łukowate drzwi z napisem WYJŚCIE EWAKUACYJNE.

Zamknąłem za sobą okno i ruszyłem do tych drzwi. Nadal było chłodno i czułem na skórze zimny powiew. Na ogród wychodził cały rząd okien, ale szyby były przyciemnione i nie dawało się zajrzeć do środka. Starłem się odwracać od nich twarz, na wypadek gdyby ktoś stał w środku i mnie obserwował.

Drzwi były zabezpieczone kratą przeciwpożarową.

Pchnąłem ją i otworzyły się, tyle że w tej samej chwili uruchomił się alarm. Obejrzałem się w stronę okna w biurze i dostrzegłem na tle szyby rozmytą sylwetkę. Ktoś wyglądał do ogrodu, sprawdzając przyczynę alarmu. Naciągnąłem czapkę na twarz, jak tylko mogłem, i ruszyłem wąską ścieżką przy bocznej ścianie domu.

Ściskając laptopa pod pachą, puściłem się pędem i skręciłem w lewo, byle dalej od wejścia do szkoły. Chwilę potem dotarłem do sąsiedniej, biegnącej w dół brukowanej uliczki. Była pusta, poza parą młodych ludzi, którzy trzymając się za ręce, schodzili ku Tamizie.

Skierowałem się w przeciwną stronę.

...

Gdy dotarłem do domu, dochodziła już siódma.

Otworzyłem drzwi i sprawdziłem cały dom. Alarm był włączony, wszystkie okna zamknięte. Nie spodziewałem się włamania, ale i tak wolałem się upewnić. Robiłem, co mogłem, by ukryć twarz przed szkolnymi kamerami, ale nie ulegało wątpliwości, że Marek przegląda teraz nagrania i próbuje zidentyfikować intruza, który wdarł się do budynku szkoły i ukradł jego laptopa. Pewnie już się domyślał, że to ja – nawet jeśli nie miał na to dowodów – i pozostawało pytanie, co w tej sytuacji robi. Nadal sądziłem, że nie zawiadomi policji, żeby nie ściągać na siebie uwagi – czyli będzie próbował działać coś sam.

Co pod wieloma względami mogło być dużo gorsze.

Wyłączyłem wi-fi, żeby MacBook nie mógł przekazywać lokalizacji, i spakowałem torbę podróżną, ładując do niej drugiego laptopa, zapasową komórkę, komplet przewodów zasilających oraz ubrania na kilka dni, a także czyste notatniki i zebraną dotąd dokumentację w sprawie Richarda Kite'a. Potem wszedłem pod prysznic, czując, jak ogarnia mnie zmęczenie.

Napędzany kawą i adrenaliną, przez całą noc nie zmrużyłem oka i teraz dawało to o sobie znać. Potarłem mocno oczy i wetknąłem twarz bezpośrednio pod natrysk, aby wlać trochę energii w mięśnie. Kiedy w końcu się ubrałem, czułem się już trochę lepiej.

Dwadzieścia minut później wyszedłem z domu.

Tchnienie

Land rover trząsł się na wyboistym trakcie pod stalowoszarzym niebem. Mimo że od morza dzieliło ich wiele kilometrów, wciąż jeszcze było widać ślady słońca na horyzoncie, jakby maźniętym czerwoną farbą, jednak gdy Penny chwilę później spojrzała w tamtą stronę, słońce już znikło, niebo jeszcze bardziej pociemniało i wszystko spowity nocne ciemności.

Na policzkach leżącej obok Beth nadal były ślady łez. Penny odwróciła głowę, nie chcąc patrzeć na wykrzywioną bólem i strachem twarz siostry. Chwilę później jednak nie wytrzymała. Coś ją ciągnęło do Beth i gdy samochód podskoczył na wyboju i gwałtownie szarpnął na boki, pozwoliła, by siła bezwładności rzuciła nią przez całą szerokość auta. Zderzyły się, a wtedy Penny złapała Beth za rękę i mocno ścisnęła.

Słuchała hurgotu kamieni, podrywanych przez koła i walących o podwozie land rovera, co niemal zagłuszało pochlipywanie Beth. Niemal, ale nie do końca. O ile dwie noce temu Penny próbowała walczyć ze świadomością, że Beth ma tylko dwanaście lat – co przejawiało się w jej odzywkach i zachowaniu – o tyle teraz już się z tym pogodziła. Widziała lekkie wypukłości piersi Beth pod mokrym od deszczu płaszczem, oblepiającym jej ciało. Pamiętała ich rozmowę sprzed czterech miesięcy, gdy Beth dostała pierwszą miesiączkę. Poczwały się wtedy obie jak dorosłe kobiety, ale teraz znów były tylko dziewczynkami, a nie dorosłymi

badaczkami, poszukiwaczkami przygód, pionierkami. Powróciły do niej wspomnienia: obie zbiegają do portu, ścigając się, która będzie pierwsza; kopią piłkę w parku; idą razem do szkoły i razem z niej wracają, paplając o jakichś bzdurach, które już dawno się rozwiały, jak dym ulatujący znad zgliszcz spalonego domu. Jeszcze dwa dni temu siedziały razem w bunkrze, gotowe podjąć wyprawę do Otchłani.

Beth powiedziała wtedy, że była „gotowa od urodzenia”.

Ale nie na to.

Nie na to, co ją czekało.

Land rover gwałtownie zahamował i przez chwilę kołysał się na zawieszaniu. Penny usiadła, odwróciła głowę i spojrzała przed siebie.

Otchłań.

Rozciągała się przed nimi, ledwo widoczna w zapadających ciemnościach: połać bladej trawy, przykrytej warstewką śniegu. Na lewo, nieco niżej, widać było bunkier, który razem z Beth odwiedzały od ponad pięciu lat.

W nagłym podmuchu wiatru płatki śniegu gwałtownie zatańczyły, z przodu samochodu otworzyły się drzwi i obaj mężczyźni wysiedli. Pierwszy z nich nazywał się Anthony Jessop i Penny prawie go nie знаła. Widywała go w miasteczku, jak stał pod pubem i palił. Zauważyła wtedy, że jest zbudowany jak zapaśnik, a teraz, okutany w gruby zimowy płaszcz, wyglądał jeszcze potężniej. Głowę i część twarzy zakrywała mu wełniana czapka. Za to drugiego mężczyznę Penny znała dobrze. Znała go chyba lepiej niż ktokolwiek inny.

Drugim mężczyzną był jej ojczym, Jack.

Wysoki i żylasty, z nierównym zarostem. Penny pamiętała, że kiedyś, gdy była jeszcze małym dzieckiem – po tym, jak jej tata zniknął, a Jack przeprowadził się do nich – spytała go nawet, dlaczego jego broda rośnie

tak nierówno: obficie po jednej stronie twarzy i prawie wcale po drugiej. Jack wybuchnął wtedy gromkim śmiechem i powiedział, że uwielbia te jej pytania.

„To przez starą ranę z czasów wojny”, wyjaśnił, gdy w końcu przestał się śmiać. To był żart. Mimo swego młodego wieku Penny już wiedziała, że to żart, bo Jack był farmerem i nigdy nie brał udziału w żadnej wojnie. „Nie, poważnie, odniosłem ją, walcząc z Morłokami”, dodał.

Jack uwielbiał Wehikuł czasu i czytał tę książkę jej i Beth na dobranoc, zanim jeszcze zaczęły wymykać się z domu bez wiedzy jego i mamy.

Tamte czasy zdawały się teraz należeć do innego życia.

– Dość tego.

Penny spojrzała na Jacka. Trudno było wyczytać coś z jego twarzy, ale powiedział to ostro i ze złością.

– Wysiadać, obie.

– Jack, dlaczego chcesz...

– Wysiadać.

Penny odwróciła się do Beth, która siedziała skulona z tyłu, wśród starych puszek, ubrań roboczych i narzędzi.

– Beth, nic się nie bój – rzuciła uspokajająco, ale wyraz paniki w jej oczach przeczył tym słowom. Beth dostrzegła go i zaczęła jeszcze głośniej chlipać, co z kolei nastroszyło Penny. – Nie – burknęła do Jacka. – Nie wysiądziemy.

– Wysiadaj, Pen.

– Nie wysiądę.

Spojrzał na Jessopa, wyraźnie stropiony.

– Wyłaż z tego cholernego auta, Penny – warknął przez zaciśnięte zęby.

Penny rzadko widywała u niego złość, ale teraz był naprawdę wściekły. Oczy mu się zwężyły i cały jakby nabrzimiał.

– Wychodź! – wrzasnął, robiąc krok w stronę samochodu.

– Dlaczego to robisz?

– Bo złamałaś reguły. Wsiadaj!

Penny popatrzyła dokoła: na majaczący w gęstniejących ciemnościach bunkier, na morze trawy po obu stronach płotu, na mokradła pobłyskujące w światłach latarek mężczyzn i znów na siostrę. Wokół ich twarzy tańczyło coraz więcej płatków śniegu, niesionych skądś z daleka przez wiatr.

– Nie bój się – zwróciła się do Beth.

Oczy Beth znowu napełniły się łzami i zaczęła kręcić głową.

– Beth, posłuchaj.

Beth nie reagowała.

– Beth, posłuchaj mnie.

Jedyną reakcją było jeszcze więcej łez na policzkach.

– Beth, mówię do ciebie, masz mnie wysłuchać.

Beth w końcu uniosła głowę.

– Obronię cię – powiedziała Penny. – Przyrzekam.

Ale jeśli nawet przekonała tym siostrę, to na pewno nie przekonała siebie i gdy jej słowa uleciały z wiatrem, poczuła wzbierające w oczach łzy.

– Zapłacisz za to – rzuciła do Jacka.

– Zamknij się.

– Obaj za to zapłacie. – Wskazała palcem Jacka i Jessopa, który prawie się nie ruszał i nic nie mówił, tylko w milczeniu się przyglądał. – Chcecie nas? To najpierw musicie dopaść mnie.

Penny popatrzyła na siostrę i przełknęła ślinę. Brzmiała zadziornie, jej głos był twardy i zdecydowany, ale była przerażona. Bała się tych mężczyzn, tego miejsca, tego, co się miało zdarzyć. Mimo to znów spojrzała na Jacka i zacisnęła dłoń w pięść, jakby szykowała się do walki.

Nagle zorientowała się jednak, że coś jest nie tak.

Jessop zniknął jej z pola widzenia.

Ciszę nocy rozdarł przeraźliwy krzyk. Penny odwróciła się i zobaczyła Jessopa, który stał po drugiej stronie land rovera i wyciągał coś ze środka. Zdążył już uchwycić Beth i ciągnął ją, piszczącą i wierzgającą nogami.

– Puszczaj ją! – ryknęła Penny.

Spróbowała się ruszyć, ale mocny chwyt przytrzymał jej kostkę i straciła równowagę, potykając się o własną nogę. Uderzyła o stalową karoserię land rovera, Jack szarpnął ją, objął żelaznym uściskiem i wyciągnął z samochodu. Zaczęła się wyrywać i wić jak piskorz. Nie widziała już teraz siostry i walczyła na ślepo. Tymczasem Beth zniknęła gdzieś w ciemnościach, taszczona w kierunku bunkra. Penny usłyszała jej krzyk, potem drugi... a potem zapadła cisza.

– Nienawidzę cię! – wrzasnęła do ojczyma.

Jack trzymał ją w niedźwiedzim uścisku, tak że nie była w stanie się ruszyć. Pociągnął ją w stronę płotu i po chwili dojrzała Beth, która stała plecami do ogrodzenia, przywiązana sznurem.

– Nie! – krzyknęła Penny, rozpaczliwie próbując się uwolnić. – Nie!

Jack chwycił ją jeszcze mocniej i niósł pod pachą, jak zrolowany dywan. Na drugim ramieniu zwisał mu kawał sznura. Dotarli do płotu jakieś pięć metrów od Beth i tam Jack rzucił ją niczym worek kartofli. Zderzenie z ziemią na chwilę ją oszołomiło, a on to wykorzystał: złapał ją za rękę i przyciągnął do płotu, przeciskając sznur przez oka siatki. Próbowała się wyrywać i poczuła nawet, że Jack zaczyna tracić nad nią kontrolę, ale w tym momencie przyszedł mu z pomocą Jessop. Dwóm silnym mężczyznom nie mogła już dać rady.

Poczuła, jak opuszcza ją wola walki i zalewa fala rozżalenia, która podchodziła do gardła, ogarniała piersi i żołądek. Penny zaczęła szlochać i dygotać, sztywna ze strachu i zimna. „Beth!”, jęknęła w ciemność, ale nie

dosłyszała, czy siostra coś odpowiedziała, czy nie. Prawie już jej nie widziała, bo w powietrzu między nimi wirowały gęste płatki śniegu, i dostrzegła tylko, że Jessop rusza z powrotem do land rovera.

Jack został przy niej.

– Mówiłem ci, że masz tu nigdy nie przychodzić – odezwał się łamiącym się głosem. – I mówiłem ci, że wcale nie chodzi o miny. Jak mogłaś być taka głupia? – Podniósł wzrok na Penny i potarł sobie oczy. Na jego czole widać było kropelki potu. – Jak mogłaś zabrać tu siostrę? Ma dopiero dwanaście lat, Pen.

Pod jego stopami zaskrzypiała zmrożona trawa, niczym rozdeptywane szkło, i Jack nagle opadł na kolana i przysiadł na piętach, a na jego twarzy pojawiły się łzy.

– Nie chcę tego robić, ale muszę – wymamrotał. – Musisz zostać ukarana dla przykładu. Wszyscy muszą wiedzieć, dlaczego tu nie wolno przychodzić. Masz o wszystkim opowiedzieć koleżankom w szkole, słyszysz? Muszą wiedzieć, że opowieść o minach to tylko bajeczka. Że jest tu coś gorszego. Dużo gorszego. Czas, by wszyscy wreszcie zrozumieli, że to, co robimy, jest dla ich dobra. Że próbujemy chronić miasto.

Penny spojrzała za siebie, przez siatkę płotu, ale zaraz odwróciła głowę, bo usłyszała kroki. Jessop wracał z dwoma śpiworami i dwiema płachtami folii. Okrył Penny śpiworem i owinął ciasno folią, niczym pakunek, po czym bez słowa ruszył wzdłuż płotu, by to samo zrobić z Beth. Tym razem żadna z nich nawet nie protestowała. Obie wiedziały, że będzie im potrzebna ochrona przed zimnem.

– Przyjadę po was jutro przed wschodem słońca – powiedział Jack.

Penny znów obejrzała się za siebie.

– Przykro mi – rzucił.

W Otchłani coś się poruszyło. Jakiś cień w wysokiej trawie. Penny szarpnęła się, przerażona, starając się uwolnić ręce. Próbowwała kciukami rozluźnić sznur i kręciła nadgarstkami, byle tylko wyrwać się z więzów i znaleźć się jak najdalej od płotu. Na próżno.

– Nie – jęknęła. – Jack, nie możesz...

Ale Jacka już tu nie było. Zdążył wrócić do land rovera i właśnie siadał za kierownicą.

– Jack?! – zawołała. – Jack!

Zatrzasnął drzwi samochodu, uruchomił silnik i gwałtownie wrzucił bieg. Land rover skoczył do przodu, zatrząsł się na głębokim wyboju i popędził naprzód, wyrzucając spod kół fontanny śniegu.

– Jack! – wrzasnęła Penny.

Samochód już zniknął w ciemnościach. W miarę jak cichł warkot silnika, coraz głośniejszy stawał się szum wiatru i nagle z drugiej strony płotu dał się słyszeć jakiś nowy dźwięk.

Coś ruszało się w Otchłani.

I podchodziło coraz bliżej.

32

Wyruszyłem z Londynu na zachód, wjechałem na autostradę i opuściłem ją kawałek na północ od Heathrow. Potrzebne mi było miejsce, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy mnie szukać, i zdawało się, że najlepszy będzie jeden z niezliczonych hoteli w pobliżu lotniska, w których łatwo zachować anonimowość.

Usiadłem w słabo oświetlonym kącie holu wyłożonego sztucznym marmurem i wyjąłem z torby MacBooka, którego wziąłem z Red Tree. Otworzyłem go, laptop ożył i tak jak w biurze, na ekranie znów pojawiło się żądanie hasła i zdjęcie twarzy Marka.

Wyłączyłem laptopa i ponownie go włączyłem, naciskając klawisze Command i R, w nadziei, że w ten sposób ominę zabezpieczenia, używając trybu awaryjnego. Po załadowaniu się trybu awaryjnego uruchomiłem Terminal i zacząłem procedurę resetowania hasła. Następnie zrestartowałem komputer. Podczas ładowania systemu zdałem sobie sprawę, że nerwowo wystukuję palcami jakiś rytm na stoliku. Jednocześnie zerkałem na twarze gości kręcących się po holu: rodziny z kolorowymi walizkami, biznesmeni w garniturach, emeryci czekający na autobus na lotnisko.

W końcu pojawił się ekran zmiany hasła.

Wpisałem nowe, nacisnąłem Return i wstrzymałem oddech. Zadziałało. System MacBooka zaczął się uruchamiać. Parę sekund później patrzyłem

na pulpit z widokiem góry w parku narodowym Yosemite. I niczym więcej. Na pulpicie nie było żadnych folderów ani dokumentów.

Nie włączając wi-fi, uruchomiłem Finder, przywołałem *Wszystkie moje pliki* i zacząłem przeglądać listę. Była na niej mieszanina dokumentów Worda i Excela, plików graficznych oraz kilka aplikacji ściągniętych z internetu w formie skompresowanych plików.

Szybko się okazało, że na twardym dysku nie ma żadnych informacji o ludziach zatrudnionych w szkole. Liczyłem na pliki, w których mógłbym pogrzebać i odnaleźć powiązania z Richardem Kite'em, a także śmiercią Penny Beck. Jednak większość dokumentów w laptopie Marka była żałośnie zwyczajna, by nie powiedzieć „nijaka” – typowa korespondencja, jaką każda szkoła prowadzi z władzami oświatowymi i dostawcami wyposażenia. Nowe pomoce dydaktyczne. Nowy sprzęt sportowy do sali gimnastycznej. Mięso i owoce dla stołówki. Pliki graficzne też nie zawierały nic ciekawego i dotyczyły głównie prac remontowych, jakie przeprowadzono na frontowej ścianie budynku; ponadto znalazłem zdjęcia testowe z kamer nowego systemu monitorowania w szkole. Spakowane pliki zawierały tylko zwykłe aplikacje w rodzaju Office, Chrome i Skype.

Uruchomiłem Chrome. W *Historii* znajdował się wykaz wszystkich adresów odwiedzanych w ostatnim tygodniu, ale poza tym nie było żadnych danych z przeglądania, co musiało znaczyć, że Marek wyczyścił pamięć i zapewne robił to w regularnych odstępach czasu. Szkoda, ale to nie tragedia. Cofając się tylko o tydzień, zobaczyłem, że w ciągu ostatnich dwóch dni internetowa aktywność Marka obracała się głównie wokół jednego tematu – mnie. Wyraźnie próbował się dokopać do jakichś brudów na mój temat.

Znalazłem wzmianki o sprawach, którymi się zajmowałem i które przedostały się do mediów ogólnokrajowych. Natknąłem się na notatki

zatytułowane: MOLO W WAPPING: POLICJA PRZESŁUCHUJE PRYWATNEGO DETEKTYWA oraz POLICYJNA GRUPA ZADANIOWA UBIEGA PRYWATNEGO DETEKTYWA W SPRAWIE O PORWANIE. Wiedziałem, że po kliknięciu na ten drugi tytuł zobaczę swoje prześwietlone od błysku flesza zdjęcie na schodach komisariatu policji, bo znałem te notatki i zdjęcia. Na innym zdjęciu wychodzę z domu i odwracam się twarzą od obiektywu. W *Historii* był też dowód na to, że Marek kilkakrotnie odwiedził moją stronę internetową: podstawowe informacje o tym, kim jestem, czym się zajmuję i jak się ze mną skontaktować.

Wiedziałem, że aby zagłębić się w konto Marka na Gmailu lub prześledzić mniej oczywiste linki w jego *Historii*, będę musiał zalogować się do hotelowego wi-fi. Jeżeli Marek monitoruje iCloud – co na pewno robił – od razu się dowie, gdzie jestem. Jeśli w tym momencie jest w szkole, to do jego pojawienia się w hotelu będę miał około godziny, a jeśli u mnie w domu, to nie więcej niż trzydzieści minut. Ale może też chwilowo machnąć na mnie ręką i w pierwszej kolejności zacząć zdalnie kasować zawartość MacBooka. Gdyby jednak miał to zrobić, mógłby przystąpić do tego od razu po moim wyjściu ze szkoły. Dlatego bardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że najpierw zechce mnie odnaleźć i policzyć się ze mną.

Aby maksymalnie opóźnić tę chwilę, kiedy mnie namierzy, najpierw podłączyłem się do hotelowego wi-fi i dopiero potem uruchomiłem link do jego skrzynki odbiorczej na Gmailu, ale ta droga okazała się ślepą uliczką. Po ostatnim korzystaniu ze skrzynki musiał prawidłowo wylogować się z Gmaila, bo na ekranie pojawiły się tylko pola na wpisanie nazwy użytkownika i hasła. Odpuściłem i zacząłem sprawdzać inne linki, z których większość nie miała żadnego znaczenia. Lecz potem zwróciłem

uwagę na adres internetowy, który często się powtarzał, a którego nie znałem: <http://rt.me.com>. Wpisałem go i zobaczyłem, że znajduje się pod nim intranetowa strona Red Tree. Jej wygląd był celowo maksymalnie uproszczony: pusta biała plansza z logo Red Tree w rogu i znów z polami na wpisanie nazwy użytkownika i hasła. Tym razem mi się poszczęściło. Marek nie zdążył się poprawnie wylogować, zanim wziąłem laptopa z jego gabinetu.

Nacisnąłem Return i intranet załadował następną, niemal identycznie wyglądającą stronę, tyle że na środku widniał rząd sześciu linków: *Szkoła podstawowa*, *Szkoła średnia*, *Opłaty*, *Komunikaty*, *Kontakt*, *Personel*.

Kliknąłem na wszystkie po kolei.

Z zakładki *Szkoła podstawowa* i *Szkoła średnia* rodzice mogli się dowiedzieć, czym ich dzieci zajmują się w klasach i na boiskach sportowych oraz jakie mają wyznaczone zadania domowe. W zakładce *Opłaty* można było dokonywać płatności dzięki bezpiecznej stronie, na której wpisywało się imię i nazwisko, numer i datę ważności karty kredytowej oraz trzycyfrowy kod bezpieczeństwa. *Komunikaty* zawierały najnowsze informacje o szkole, w zakładce *Kontakt* było miejsce na napisanie maila, *Personel* był kolejną czystą białą stroną z logo w rogu i polami na wpisanie użytkownika i hasła. Tu też komputer zapamiętał ostatnie logowanie Marka i po wejściu na stronę znalazłem się w systemie wewnętrznej komunikacji tekstowej.

Strona tytułowa dzieliła się na dwie części: po lewej widniało wąskie, długie okno z listą nazwisk w porządku alfabetycznym; otwierał ją jakiś Andrew Abraham. W większym oknie, po prawej stronie, znajdowała się jego podobizna i krótka notka o nim. Abraham był nauczycielem geografii.

Zacząłem przeglądać listę i po chwili znalazłem Jacoba Howsona. Zauważyłem też coś jeszcze: w rogu profilu każdego pracownika, nad jego

zdjęciem, widniał zielony przycisk i napis: POBIERZ CHAT.

Akurat przeglądałem stronę nauczyciela fizyki, Marca Daviesa-Petersa. Kliknąłem na przycisk przy jego zdjęciu, żeby sprawdzić, dokąd mnie to zaprowadzi. Natychmiast zaczął się łądować plik tekstowy. Kiedy go otworzyłem, szybko zorientowałem się, co mam przed sobą. Był to zapis rozmów przeprowadzonych przez nauczyciela w komunikatorze, którego używali pracownicy szkoły. Każde zapisane słowo rejestrowało się na serwerze. Dzięki temu Marek mógł na bieżąco monitorować, kto z kim rozmawia i o czym.

Zamknąłem stronę Daviesa-Petersa i sprawdziłem, że na liście jest też Naomi Russum. A także sam Marek.

Na zdjęciu miał oczy ciemnoniebieskie jak przestwór oceanu, włosy zaczesane do tyłu i związane w kucyk, co uwidaczniało łukowatą bliznę na czole. Przy pierwszym spotkaniu oceniłem, że ma pod czterdziestkę, i patrząc na to zdjęcie, stwierdziłem, że faktycznie tak jest. Teraz jednak dostrzegłem dziwny dysonans między twarzą a oczami. Jakby jego oczy były dużo starsze i należały do kogoś innego, kto dużo widział i dużo przeżył.

I nagle MacBook zaczął działać dużo wolniej, kursor drgał i nie dawał się przesunąć na załadowane pliki tekstowe Marka i Russum.

Jasna cholera!

Marek próbował zdalnie skasować zawartość laptopa.

Błyskawicznie wyciągnąłem z torby pendrive'a, wsadziłem w port USB w MacBooku i spróbowałem zapisać oba otwarte pliki oraz jak najwięcej innych dokumentów. Zdawało się to trwać całe wieki; pasek postępu przesunął się coraz wolniej. W pewnej chwili wyglądało nawet, że stanął w miejscu i z nagrania nic nie będzie, ale po chwili znów ruszył i wkrótce dotarł do końca.

Wyciągnąłem pendrive'a, schowałem go do kieszeni, wsadziłem laptopa Marka do torby i potruchtałem do toalet. Zamknąłem się w jednej z kabin, uniosłem pokrywę rezerwuaru i wrzuciłem MacBooka do środka.

Dźwignia pływaka lekko się wygięła pod naciskiem, trochę wody chlusnęło na podłogę, ale MacBook się zmieścił i oparty o dno rezerwuaru, pozostał cały pod wodą.

Założyłem pokrywę, opuściłem hotel i poszedłem do swojego samochodu. Wyjechałem z powrotem na Bath Road i wykonałem ponad sześciokilometrową pętlę na południe od lotniska, gdzie znalazłem następny hotel. Usiadłem w holu, tak by widzieć wejście, i szybko przenieśliem zawartość pendrive'a na twardy dysk mojego laptopa.

A potem otworzyłem pliki tekstowe.

Zawierały zapis rozmów prowadzonych przez Marka i Naomi Russum – wynikało z niego, że często ze sobą rozmawiali. I coś jeszcze rzucało się w oczy: ich rozmowy obracały się niemal wyłącznie wokół jednego tematu.

Jednego człowieka.

Tym człowiekiem był Richard Kite.

33

Marek pisał lakonicznie i dość mgliście, co tworzyło jeszcze wyraźniejszy jego obraz. Widać było, że pilnuje, by do sieci nie przedostał się żaden ślad łączący go ze śmiercią Penny Beck. Jego wypowiedzi w chatkach były niezwykle oszczędne i niemal czuło się, że ludzie aż się skręcają, kiedy muszą z nim rozmawiać.

Russum też była powściągliwa.

Zajrzałem do ich rozmów prowadzonych w czasie zbliżonym do śmierci Penny, licząc, że znajdę w nich coś o przyczynach i sprawcy jej śmierci. Oboje nie pisnęli ani słowa. Był natomiast zapis – powtórzony w obu plikach tekstowych – rozmowy między Markiem a Russum, która ciągnęła się przez siedem kolejnych tygodni od początku marca, czyli półtora miesiąca po pojawieniu się Richarda Kite’a w Hampshire.

AMarek Jak ci poszła pierwsza sesja?

NRussum Nic nie pamięta.

AMarek Nic?

NRussum Ma tylko wyraźne wspomnienie plaży. Mówi, że pamięta, jak patrzył na nią z okna, pewnie jako dziecko. Pamięta też jakiś telewizyjny program dla dzieci.

AMarek Co jeszcze mówił o tej plaży?

NRussum Nic.

AMarek A o tym programie telewizyjnym?

NRussum Też nic.

AMarek A to, co w zeszłym miesiącu opowiadał gazetom... Tylko tyle pamięta?

NRussum Tak.

AMarek Jeśli przypomni sobie coś więcej, muszę o tym wiedzieć.

NRussum Tak. Już mi to wyraźnie powiedziałaś.

Najwyraźniej Russum korzystała z komunikatora w pracy lub w domu, a w każdym razie nie w szkole, bo gdyby była na miejscu, zapewne rozmawialiby twarzą w twarz. Można się też było domyślać, dlaczego wolą pisać niż rozmawiać. Chyba źle się czuła w jego towarzystwie i nie chciała przebywać z nim w jednym pomieszczeniu.

W oczy rzucało się też parę innych rzeczy. Russum zachowywała rezerwę i nie podobało jej się, że miałyby ciągle pilnować Richarda czy go okłamywać. Z kolei u Marka czuło się wyraźną obawę, że Richard może nie tylko odzyskać pamięć, ale też przypomnieć sobie więcej szczegółów o programie telewizyjnym lub plaży. Dlaczego tak bardzo go to niepokoiło?

Do czego mogło to prowadzić?

Czołówka programu telewizyjnego stanowiłaby realne zagrożenie jedynie wtedy, gdyby ten program był nadawany tylko przez lokalną stację, w ramach wiadomości regionalnych lub audycji charakterystycznej dla danego regionu, bo wtedy pomogłoby to śledczym zawęzić obszar poszukiwań. Tyle że już wcześniej przewertowałem bazy danych lokalnych stacji telewizyjnych, łącznie z planszami tytułowymi ich newsów, i kiedy powtórzyłem to teraz, rezultat był taki sam: nie znalazłem niczego, co by przypominało maszt telewizyjny z opowieści Richarda.

Następna rozmowa Russum i Marka odbyła się kilka dni później. Wynikało z niej, że Russum właśnie miała kolejną sesję z Richardem i natychmiast donosiła o tym Markowi.

NRussum Bez zmian.

AMarek Żadnych nowych wspomnień?

NRussum Żadnych.

AMarek Zastosowałaś hipnozę?

NRussum Hipnoza to nie środek znieczulający.

AMarek Ale zastosowałaś?

NRussum Tak.

AMarek No i?

NRussum Bez powodzenia.

AMarek Co to znaczy?

NRussum To znaczy, że nie zareagował.

AMarek Chyba zdajesz sobie sprawę z wysokości stawki w tej grze, prawda?

Zatrzymałem wzrok na ostatnim wierszu.

Co to mogło znaczyć? Co dla Russum było stawką, w razie gdyby nie spełniła żądań Marka? Czy coś zagrażało jej życiu?

Czytałem dalej.

NRussum Dlaczego każesz mi to robić?

AMarek To nie twoja sprawa.

NRussum Dlaczego muszę wciąż pokazywać mu fotografię Corrine Wilson?

AMarek Nieważne.

NRussum Ale ja chcę wiedzieć dlaczego.

AMarek NIEWAŻNE. Wszystko, co musisz wiedzieć, to tyle, że on stanowi dla nas zagrożenie.

NRussum Jakiego rodzaju zagrożenie?

AMarek Jest niebezpieczny.

NRussum Nie wygląda na takiego.

AMarek Nic o nim nie wiesz.

NRussum Nie wydaje mi się niebezpieczny.

AMarek Gównu mnie obchodzi, co ci się wydaje. Dostałaś furę kasy, żebyś mogła otworzyć tę swoją klinikę, więc jeśli nie chcesz, żebym ci tę kasę zabrał, to przestań zadawać głupie pytania i rób dokładnie to, co ci każe.

No proszę. To wyjaśniało, dlaczego Marek miał władzę nad Russum. Pomógł jej wystartować z kliniką i była jego dłużniczką. Jeśli wycofa swoje udziały, klinika Aldgate padnie i cała kariera Russum, pozycja, jaką zdobyła, uznanie i renoma legną w gruzach. Nie wiedziała, dlaczego Marek interesuje się Richardem – podobnie jak ja tego jeszcze nie wiedziałem – musiała jednak zdawać sobie sprawę, że nie może oznaczać to nic dobrego.

Ale Marek trzymał ją w szachu i najwyraźniej postanowiła nie zadawać więcej pytań.

Kilka tygodni później jeszcze bardziej dokręcił śrubę.

AMarek Co się dziś stało?

NRussum To niemoralne. Nienawidzę tego.

AMarek Nie o to cię pytam.

NRussum On nie wie, co się naprawdę dzieje.

AMarek Rób, co do ciebie należy, Naomi.

NRussum Ty nie musisz co tydzień patrzeć mu w oczy.

A potem, po kolejnych paru tygodniach, bomba wybuchła.

NRussum Zrobiłam, co chciałeś. Mam nadzieję, że jesteś zadowolony.

AMarek Jestem. Tak jest najlepiej.

NRussum Na pewno?

AMarek Tak.

NRussum To dlaczego czuję się jak ostatnia szmata?

AMarek Jak daleko doszłaś?

NRussum Wprowadziłam go w stan hipnozy i zaczęłam rozmowę o czołówce tego programu, którą zapamiętał. Ale to zajmie trochę czasu. Trzeba działać stopniowo i bardzo ostrożnie. Być może potrwa to miesiące. Albo nawet lata. Rozmawialiśmy też o plaży. Podsunęłam mu, że to mogła być rzeka z miastem na drugim brzegu.

Nie mogłem spokojnie tego czytać.

Patrząc mi prosto w oczy, Russum bezczelnie skłamała, ile razy przeprowadziła z Richardem sesję hipnozy. Powiedziała, że tylko dwukrotnie, na samym początku terapii, i za każdym razem bez rezultatu. Ale z zapisu rozmów wynikało, że blisko trzy miesiące od rozpoczęcia terapii nadal stosowała hipnozę. I że zamierzała robić to dalej.

A to i tak nie było najgorsze, czego się dopuściła.

Pomyślałem o mojej rozmowie telefonicznej z pastorem Parsonsem na temat wspomnień Richarda. O tym jednym nieoczekiwanym zwrocie w jego pamięci. „Oświadczył, że to morze to wcale nie morze, tylko rzeka, a po jej drugiej stronie było miasto. Powiedział, że pamięta wysokie budynki, długie ulice, samochody i duży ruch uliczny”. To nowe

wspomnienie pojawiło się tylko na kilka dni, tydzień, może trochę dłużej. Ale dodatkowo wzmogło zamęt w jego głowie, jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi, podważyło jego wiarę w strzępy pamięci, jakie mu jeszcze zostały. A powodem, dla którego był tak rozkojarzony i nie potrafił sprecyzować swoich wspomnień co do plaży i czołówki programu telewizyjnego, i nagle pojawiały mu się całkiem nowe obrazy, było to, że Russum wciąż zbijała go z tropu.

Znikały wtedy utrwalone koncepcje lub były one zmieniane i zastępowane nowymi pomysłami. Russum wyrywała te mizerne kotwice, jakie mu jeszcze zostały. Naruszała fundamenty jego przeszłości.

Wtłaczała mu do głowy fałszywe wspomnienia.

34

Co było wspomnieniem, a co kłamstwem?

Przez chwilę zastanawiałem się nad tym, czując, jak narasta we mnie złość.

Russum mówiła o niebezpieczeństwach, jakie stwarza stosowanie hipnozy przez osobę niemającą doświadczenia. Błędna ścieżka pytań, nieodpowiedni ton, nawet jedno niewłaściwe słowo może być brzemienne w skutki. Ale Russum nie była amatorką, w żadnym wypadku, a to obciążało ją jeszcze większą odpowiedzialnością. I jeśli nawet dawała Markowi jasno do zrozumienia, że nie chce iść tą drogą, bo kłóci się to z jej wiedzą zawodową, nawet jeśli w głębi duszy wiedziała, że Richard nie stanowi żadnego zagrożenia, i tak to robiła.

A konsekwencje jej postępowania były ogromne. Może dlatego nie mogłem odnaleźć śladu tego programu telewizyjnego i nie udawało mi się zidentyfikować plaży, na którą patrzył jako dziecko – ponieważ w jego przekazie coś zmieniono lub dodano drobne szczegóły podczas seansów hipnozy. Bo mogło być tak, że Richard przypomniał sobie jakieś nowe istotne szczegóły i wyjawiał je Russum na sesji, a ona sprawiła, że zostały utracone, zniekształcone lub zniszczone, i zastąpiła je zmyśleniami, które narzucił jej Marek, reżyserujący całe to przedstawienie.

Jedno zdawało się nie budzić wątpliwości: w głowie Richarda Kite'a musiała być ukryta jakaś tajemnica lub przynajmniej wiedza o czymś. Lekarze, policja, media, pastor Parsons, ja – wszyscy próbowaliśmy dotrzeć do jego wspomnień. Staraliśmy się wydobyć je na światło dzienne, żeby zwrócić mu życie. A Marek – za pośrednictwem Russum, którą szantażował – robił wszystko, by do tego nie dopuścić. Pragnął maksymalnie zamazać pamięć Richarda, bo to coś, co tkwiło w jego głowie, mogło Marka pogrążyć.

Czytałem dalej zapis rozmów z chaty i w pewnej chwili coś mi przyszło do głowy. Coś, co już wcześniej kilkakrotnie rozważałem. Jeśli Richard stanowi aż takie zagrożenie, to dlaczego Marek nie zajmie się nim tak, jak zajął się Penny Beck? Martwy Richard nie mógłby mu zaszkodzić, nie mógłby przypomnieć sobie szczegółów z przeszłości, nie mógłby wyjawić, kim jest Marek i co zrobił. Po co posuwać się do prób zmanipulowania jego wspomnień za pomocą hipnozy?

Ponieważ Richard był znany i cieszył się poparciem wielu ludzi. Ponieważ byli tacy, którzy się nim interesowali i nie przyjęliby w milczeniu jego nagłego zniknięcia, tak jak postąpił Howson w przypadku Penny. Richard miał po swej stronie Parsonsa i organizację dobroczynną Zaczynij od Nowa. Przez kilka miesięcy pełno było wzmianek na jego temat w internecie i w gazetach na południu kraju i choć teraz nie trafiał już na pierwsze strony, dziennikarze nadal wiedzieli, kim jest, i od razu zainteresowaliby się tą historią, gdyby nastąpił w niej tak gwałtowny zwrot. Do tego należało też dodać, że choć dochodzenie w jego sprawie utknęło w martwym punkcie, oficjalnie nadal trwało, a to stanowiło dodatkową komplikację dla Marka. Penny była praktycznie anonimowa i jej zniknięcie nastąpiło w ciszy. Gdyby to samo przydarzyło się Richardowi, w policji Hampshire i w mediach zapaliłyby się czerwone lampki alarmowe. Dlatego

właśnie Marek włączył w to Russum, dlatego nią manipulował i dlatego groził jej konsekwencjami, jeśli nie będzie robiła tego, co jej każe.

Zadzwoń na komórkę Richarda.

Odebrał po czwartym dzwonku. W tle słyszałem odgłosy ruchu ulicznego. Powiedział, że dotarli do Folkestone i są teraz w drodze do domu znajomych Howsona. Kazałem mu informować mnie o wszystkim na bieżąco, po czym zacząłem go znów wypytywać o przebieg sesji z Naomi Russum. Co pamięta z seansów hipnozy i czy miał kiedykolwiek kontakt ze szkołą Red Tree oraz ludźmi, którzy tam pracują.

– Przykro mi – odrzekł. – Po prostu nie pamiętam.

W jego głosie pobrzmiwało zniechęcenie i poczucie przegranej, nawet bardziej niż zwykle. Rozmowy z nim stawały się coraz trudniejsze, i to nie tylko dlatego, że jego pamięć była tak ograniczona. Miałem już pewność, że w jego życiu były jakieś brudne sprawy, coś dotyczącego Marka, co wiązało się z miejscami, w których Richard niegdyś funkcjonował. I na tym polegał problem. Nie wiadomo było, jak i gdzie zahaczało to o jego życie, bo cała jego przeszłość stanowiła jeden wielki znak zapytania.

– Pamiętasz, jak w hotelu pytałem cię, czy zetknąłeś się kiedyś z człowiekiem, który nazywa się Alexander Marek? – zwróciłem się do niego.

– Tak, chyba tak.

Na wszelki wypadek przeliterowałem imię i nazwisko i opisałem wygląd Marka, uparcie starając się rozjaśnić mrok pamięci Richarda.

– Ani nazwisko, ani wygląd z niczym ci się nie kojarzą?

– Marek – powtórzył Richard. – Wiesz może... Skąd on pochodzi?

Nie wspomniałem ani słowem, że Marek może być obcokrajowcem. Jego obcy akcent był ledwie zauważalny, chwilami trudno go było wychwycić, a mnie bardziej interesowały jego relacje z Naomi Russum.

Teraz jednak zdałem sobie sprawę, że to błąd. Richard jest inteligentny i należało to wykorzystać.

– Myślę, że może być Czechem – powiedziałem. – Ma lekki obcy akcent.

– Aha, dobra. Okej.

Pomyślałem, że to trochę dziwna reakcja.

– Richard?

– Tak, przepraszam. Znaczy... na pewno nie znam tego nazwiska, ale ten jego opis i to, że ma obcy akcent, przypomniało mi... – zaczął tym swoim zagubionym tonem, który tak dobrze znałem.

– O czym ci przypomniało? – spytałem.

– To pewnie nic nie znaczy, ale był taki jeden facet.

– Jaki facet?

– Nie wiem, czy to w ogóle... – Znów zamilkł.

Starałem się go nie ponaglać, choć bardzo mnie korciło.

– Richard?

– Tak, przepraszam.

– Co mi chciałeś powiedzieć?

– To pewnie nic takiego, ale... Sam nie wiem. Przypomniałem sobie jednego faceta, który na początku roku zjawił się u mnie w przyczepie.

Zatkało mnie.

– Jakiego faceta?

– To chyba było w lutym.

– Kim był ten człowiek?

– Powiedział, że jest śledczym.

– Gliną?

– Nie powiedział „glina”. Powiedział tylko „śledczy”.

Poczułem, jak tężeją mi mięśnie. Telefon w mojej dłoni nagle brzęknął. Miałem drugie połączenie.

– Poczekaj sekundę – rzuciłem do Richarda i sprawdziłem, kto dzwoni.

Numer zastrzeżony.

To mógł być Ewan Tasker. Zwykle dzwonił do mnie z zastrzeżonych numerów. Albo mógł to być któryś z moich kontaktów, jakie mi zostały po czasach dziennikarskich – a oni wszyscy, z oczywistych względów, chcieli zachować anonimowość. Jednak to nie był nikt z nich. W głębi serca czułem, kto do mnie dzwoni.

– Zaczekaj chwilę na linii, Richard – poprosiłem.

Przełączyłem się na drugą rozmowę, ale nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, nim miałem szansę się odezwać, głos w słuchawce oznajmił:

– Wiem, gdzie jesteś.

Marek.

– Wiem, że jesteś na Heathrow – ciągnął, a ja w tle dosłyszałem gwar głosów, jakieś rozmowy, samochody, łagodną muzyczkę. Czyżby był już w hotelu, w którym utopiłem jego laptopa? – Wiem, że gdzieś tu jesteś.

Milczałem.

– Nie mylę się, prawda? Wciąż tu jesteś.

Powiodłem wzrokiem po hotelowym holu i otaczających mnie twarzach, rażony myślą, że już mnie namierzył i tylko się mną bawi.

Że już tu gdzieś jest i mnie obserwuje.

– Próbujesz wsiąść do jakiegoś samolotu i zwiać?

Prześlizgiwałem się wzrokiem po ludziach, szukając jego twarzy.

– Ale to nie ma znaczenia, co próbujesz zrobić.

Jego twarzy nigdzie nie było.

– Nie ma znaczenia, bo i tak cię znajdę. A jak cię znajdę, to rozerwę cię na...

Rozłączyłem się.

35

Powiedziałem Richardowi, że później do niego zadzwonię, wrzuciłem wszystko do torby i ruszyłem do samochodu. Marek miał dość czasu, by zlokalizować swego MacBooka w rejonie Heathrow, więc jeśli już tu się kręcił, tkwienie w jednym miejscu było zbyt ryzykowne. Pojechałem do Londynu przez Chiswick i kwadrans później siedziałem już w Starbucksie, plecami do ściany, ze wzrokiem utkwionym w drzwi wejściowe. Na linii znów miałem Richarda.

– Ten śledczy, który cię wtedy odwiedził... – powiedziałem. – Czego chciał?

– Szukał zaginionej kobiety.

– Zaginionej kobiety? A kim ona była?

– Tego nie wiem.

– Ale pamiętasz, że śledczy mówił z obcym akcentem?

– Tak. Bardzo nieznacznym, ale go słyszałem.

Marek. To musiał być on.

– Czemu nie powiedziałeś mi o tym wcześniej? – spytałem.

– Nie wiem. Do teraz w ogóle o tym nie myślałem. – Przerwał, jakby się zmagał z ubraniem swoich myśli w słowa. – Wiem, jak to brzmi, ale mam uczucie, że cały czas przemykało mi to gdzieś w tle. Nie pamiętałem o tym, dopóki nie podałeś jego rysopisu i nie wspomniałeś o akcencie.

Pomyślałem o Naomi Russum i o tym, jak wykorzystywała hipnozę. Może to też była jej sprawka? Może próbowała zamazać w jego pamięci wizytę Marka?

Co jeszcze zamazała?

– Ten śledczy pokazał ci zdjęcie zaginionej kobiety?

– Tak.

– I co, widziałeś ją kiedyś wcześniej?

– Nie, nigdy.

– A od tamtej pory?

– Też nie.

A zatem kobietą na zdjęciu z pewnością nie była Penny Beck.

– Mówiłeś, że był u ciebie w lutym – drążyłem dalej.

– Tak.

– Czyli niedługo po tym, jak cię znaleźli?

– Zgadza się.

Zanotowałem to sobie.

– Powiedział ci, że jak się nazywa?

– Hm... Jones, chyba.

– I wydało ci się to dziwne?

– Tak. Z uwagi na ten akcent.

Zacząłem się zastanawiać. O co Markowi chodziło? Kim mogła być ta kobieta, której szukał? Jeśli chodziło mu tylko o sprawdzenie, czy Richard coś o niej wie, czy może ją w ogóle pamiętać, to czemu nie zrobił tego za pośrednictwem Russum, w ramach sesji terapeutycznej? Przecież niedługo po jego wizycie na kempingu Russum rozpoczęła swoje sesje i szybko nawiązała z Richardem ścisłą więź. Więc dlaczego Marek nie poczekał i nie kazał jej spytać o zaginioną kobietę, dokładnie tak samo jak podpytywała Richarda o Penny Beck? Musiał być jakiś powód, dla którego Marek wolał

nie czekać paru tygodni i nie wykorzystał do tego Russum. Według mnie odpowiedź była tylko jedna: gdyby Russum spytała Richarda o tę konkretną kobietę, to nawet mimo utraty pamięci mógłby nabrać podejrzeń.

– Powiedział ci coś więcej o tej kobiecie? – spytałem.

– Powiedział, że niepokoją się o jej bezpieczeństwo.

Co zapewne było kłamstwem.

– Powiedział, jak dawno temu zaginęła?

– Nie.

– Podał ci jej nazwisko?

– Nie. Nic w tym rodzaju.

– Dobrze. Daj mi chwilę.

Sięgnąłem do zapisu rozmów z chaty. Chciałem się upewnić, czy coś ze słów Richarda znajduje odzwierciedlenie w zapisanych rozmowach.

Był jeden taki fragment.

W rozmowie Marka z kimś zalogowanym jako LG, kto w intranecie nie miał swego biogramu. Czyli nie był pracownikiem szkoły. Kimkolwiek był, musiał otrzymać od Marka dostęp do systemu. Spróbowałem w Google'u wyszukać adres IP podany przy użytkowniku LG, ale zagubiłem się w labiryncie ślepych zaułków.

Wróciłem do zapisu.

AMarek Nic.

LG Nie poznał jej?

AMarek Nie.

LG Mógł udawać?

AMarek Wątpię. Niczego nie pamięta. Widziano ją jeszcze gdzieś?

LG Wciąż szukamy. Wiemy, że była tu z nim w tygodniu zaczynającym się od dziesiątego stycznia, i mamy też świadków, którzy twierdzą, że mogli ją tu widzieć jeszcze później.

AMarek Okej.

LG No to chcesz, żebym się tym zajął, czy wrócisz na O?

AMarek Wrócę. Znajdziemy ją.

Wynikały z tego trzy rzeczy.

Kobieta nie była poszukiwana, tylko ścigana; widziano ją z Richardem w tygodniu poprzedzającym jego znalezienie na nabrzeżu w Hampshire; w ramach poszukiwań kobiety Marek wracał do jakiegoś O.

Czym, u diabła, jest to O?

Znów sięgnąłem do dokumentów skopiowanych z MacBooka Marka. Szukałem czegoś, co przeoczyłem, a co mogłoby mnie naprowadzić na ślad tej kobiety i wyjaśnić, dlaczego Marek pytał o nią Richarda. Zmieniłem widok, tak by pliki przesuwały się z prawej strony na lewą w postaci ikonki, co pozwalało łatwiej ocenić, czego dotyczył dokument, jakiego był typu i co mógł zawierać.

– Richard?

– Tak. Wciąż tu jestem.

– Pamiętasz coś jeszcze z tego, co ten śledczy mówił? – spytałem, nadal przeglądając pliki na ekranie laptopa.

– Nie powiedział, od jak dawna jej szukają, w każdym razie tego nie pamiętam. Ale był pewny, że nadal przebywa w tym rejonie.

Spróbowałem to zinterpretować: jeśli Marek łączył Richarda z tą kobietą i jeśli – jak wynikało z zapisu rozmowy z LG – widziano ich razem w dniach poprzedzających jego odnalezienie na brzegu Southampton Water, wyglądało to na swoisty test. Marek sprawdzał Richarda. Najpierw szukał jakichś oznak, że jego amnezja jest zmyślona, a gdy się przekonał, że nie jest, zaczął się zastanawiać, czy Richard nie opowiadał innych kłamstw. Próbował go wysondować, sprawdzić, czy ta kobieta pojawiła się u niego już po tym, jak go znaleziono. Dowiedzieć się, czy mu wyjaśniła, kim jest, czy z nim rozmawiała, podtrzymała go na duchu, zapewniła go, że może jej zaufać. W zasadzie Marek szukał dowodów na to, że Richard świadomie ją chronił. Ale Richard nie kłamał o swojej amnezji i nie kłamał, że nie zna tej

kobiety. Kimkolwiek dla niego była kiedyś, teraz jej nie pamiętał, a ona nie zjawiła się u niego. Marek musiał szybko dojść do tego wniosku.

– Pokazał ci jej zdjęcie, tak?

– Pokazał.

– Możesz mi coś o nim powiedzieć?

– Hm... myślę, że mogło pochodzić z kamery przemysłowej.

– Z monitoringu?

– Tak.

To musiał być ten powód. Dlatego Marek postanowił nie czekać, by Russum spytała Richarda o tę kobietę podczas sesji terapeutycznej. Richard, nawet w stanie rozkojarzenia, ujrzawszy zdjęcie kobiety z kamery monitoringu, mógłby zacząć zadawać niewygodne pytania. Natomiast użycie takiego zdjęcia przez śledczego, który zjawia się u niego w przyczepie, było znacznie mniej podejrzane.

Ale nie docenili Richarda.

Wygląd kobiety na zdjęciu, lekki obcy akcent śledczego, to, że zdjęcie pochodziło z monitoringu. Marek był pewien, że te drobiazgi z czasem ulecą Richardowi z pamięci – staną się jeszcze jednym niepotrzebnym wspomnieniem, które Russum wyczyści, a Richard, zajęty poszukiwaniem odpowiedzi na ważniejsze pytania, szybko o nich zapomni. On jednak nie zapomniał.

– Jak sądzisz, gdzie mogła być ta kamera? – spytałem.

– Tego nie wiem.

– Ale na ulicy? Wewnątrz budynku?

– Myślę, że wewnątrz budynku.

– W sklepie? W biurze?

Chwilę się zastanawiał.

– To chyba wyglądało na hotel.

- W holu hotelowym?
- Nie, chyba raczej w korytarzu.
- Widać było drzwi po obu stronach?
- Tak.

Potarłem ręką czoło. Korytarz hotelowy.

Tylko w którym hotelu?

- Pamiętasz coś więcej z tego zdjęcia? – spytałem.

Usłyszałem, jak głęboko wzdycha, i w ciszy, która zapadła, znów zacząłem przeglądać pliki, powoli. Dokumenty Worda. PDF-y. Harmonogramy i faktury. Po chwili wszystko zaczęło mi się zlewać.

- Nie – odezwał się w końcu Richard. – Nic więcej nie pamiętam.
- Chciałbym, żebyś był absolutnie pewny.
- Jestem pewny.

Spróbowałem jeszcze raz.

- Naprawdę dobrze się zastanów, chwilę pomyśl...

A potem zamilkłem.

W przeglądarce plików pojawił się nowy plik graficzny.

- David?
- Chwileczkę – powiedziałem.

Kliknąłem dwukrotnie na ikonę nowego pliku, otworzyłem go i w czasie, gdy się ładował, przysunąłem laptopa bliżej. Widziałem już to zdjęcie, kiedy po raz pierwszy przeglądałem MacBooka, ale wtedy nie wydało mi się ważne. Marek miał setki zdjęć na swoim twardym dysku, wiele z nich było zgranych z kamer monitoringu w Red Tree. Dziwnie skadrowane pomieszczenia, które trudno było rozpoznać. Uznałem, że to mogą być próbne zdjęcia w ramach testowania nowego systemu ochrony.

I może były.

Ale nie to jedno.

Na tym widać było korytarz z drzwiami po obu stronach, tak jak mówił Richard Kite. Wzorzysta wykładzina na podłodze. Fotografie na ścianach. Na samej górze, niemal na skraju kadru, kobieta oddalająca się od kamery i spoglądająca przez ramię, jakby się bała, że ktoś za nią idzie. Blondynka, ubrana na czarno, ciemny plecak na ramionach.

– David? – powtórzył Richard.

– Tak, jestem. Zdaje się, że ją znalazłem.

– Tę kobietę?

– Tak. Zaraz ci to wyślę na komórkę.

Zrobiłem zrzut ekranu i wysłałem Richardowi. Po trzydziestu sekundach usłyszałem w słuchawce ciche piknięcie. Zdjęcie doszło.

– Tak, to ona – powiedział.

– To jest to zdjęcie, które ci wtedy pokazał?

– Tak.

Zrobiłem zbliżenie na twarz kobiety.

Im bardziej powiększałem zdjęcie, tym piksele stawały się wyraźniejsze, więc znów je nieco zmniejszyłem i zacząłem uważnie się wpatrywać. Drzwi. Wystrój. Sposób, w jaki kobieta patrzy przez ramię. W tym ujęciu było coś dziwnego, ale nie potrafiłem tego określić.

Czego tu nie dostrzegam?

– Jak myślisz, kim ona może być? – zapytał Richard.

Jeszcze raz przyjrzałem się jej twarzy.

– Nie wiem – odparłem, po czym po raz pierwszy rzuciłem okiem na nazwę pliku i poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg.

Gwałtownie uniosłem głowę, przypominając sobie coś, co powiedział Jacob Howson: Penny była jedynaczką, ale miała przybraną siostrę. Raz jeszcze spojrzałem na zdjęcie, a potem na nazwę pliku.

Beth.

36

Beth. Przybrana siostra Penny Beck.

Próbowałem to jakoś powiązać, zrozumieć, dlaczego zerwały ze sobą kontakt i czy mogło to mieć związek z Richardem Kite'em. Skąd siostry mogły go znać? Zastanawiałem się, dlaczego – ponad czternaście miesięcy po tym, jak zabito Penny, i tydzień przed tym, jak on stracił pamięć – widziano go z Beth w hotelu. Co tam robili? Gdzie podziała się potem Beth? Czy Marek w końcu ją wysledził?

Zakończyłem rozmowę i zacząłem szukać w sieci kobiet o imieniu Beth, Bethan i Bethany, zgłoszonych jako zaginione. Bez rezultatu. Znalazłem natomiast całą masę kobiet o tych imionach w mediach społecznościowych, między innymi na LinkedInie, i na YouTube, ale z całą pewnością żadna z nich nie była tą Beth. Na wszelki wypadek i tak przejrzałem profile i filmiki, jednak niczego nie znalazłem i przez chwilę zastanawiałem się, co to może oznaczać. Że Beth nadal żyje? Że uciekła przed Markiem? Czy że już nie żyje, a jej śmierć – tak jak śmierć Penny – została ukryta?

Przyjrzałem się ponownie jej zdjęciu.

Musiała mieć pod trzydziestkę, choć trudno to było ocenić ze względu na jakość obrazu z kamery monitoringu. Kolory były rozmyte: czerwienie stały się bladymi różami, czernie były szare, biele – kremowe. Coś

w konstrukcji tego obrazu nadal nie dawało mi spokoju, jakiś jego aspekt, ale wciąż nie potrafiłem tego uchwycić.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się rzędy drzwi, nieparzyste na lewo, parzyste na prawo, oznakowane mosiężnymi numerami: od siedemdziesiąt dziewięć do dziewięćdziesiąt trzy i od osiemdziesiąt do dziewięćdziesiąt dwa. Beth została uchwycona w górnym lewym rogu kadru, kilkadziesiąt centymetrów od drzwi z numerem osiemdziesiąt, ale nie wyglądało na to, żeby z nich wyszła lub zamierzała w nie wejść. Wyglądało raczej, że idzie korytarzem i tylko je mija. Jej spojrzenie przez ramię, wyraz twarzy, nawet czarny ubiór i plecak na ramionach zdawały się świadczyć o tym, że usiłuje nie rzucić się w oczy. Jak ktoś, kto przyszedł coś zrobić, wykonać zadanie.

Kod czasowy w dolnym rogu obrazu wskazywał, że zdjęcie wykonano o godzinie drugiej dziewięć w piątek, piętnastego stycznia. Pięć dni przed znalezieniem Richarda na nabrzeżu w Hampshire. Jeśli – jak to wynikało z rozmowy Marka z LG – Beth i Richarda widziano razem w tygodniu po dziesiątym stycznia, znaczyłoby to, że spędzili w tym hotelu lub w jego pobliżu pięć dni, może nawet więcej niż tydzień, po czym Richard wylądował na brzegu rzeki. A więc co oni tam robili? I gdzie jest ten hotel?

Pamiętając słowa Marka, poszukałem w sieci hoteli o nazwie „O” i znalazłem tylko jeden, w Vancouver. Jakoś nie bardzo wierzyłem, że to może być ten hotel ze zdjęcia. W korytarzu wisiały obrazy przedstawiające słynne brytyjskie widoki i choć trudno było rozpoznać miejsca na obrazach w głębi korytarza, na tych bliższych dostrzegłem po jednej stronie diabelski młyn London Eye, a po drugiej Pałac Westminsterski.

Czy to znaczyło, że hotel jest w Londynie?

Spróbowałem wyszukać hotele, których nazwy zaczynają się na literę O, ale dostałem zbyt wiele wyników. Poza tymi obrazami na zdjęciu nie

było nic charakterystycznego, co mogłoby zdradzić lokalizację hotelu. Zrobiłem nieco większe zbliżenie i zacząłem kolejno oglądać obrazy na ścianach, a potem drzwi. Miałem nadzieję, że wypatrzę gdzieś logo hotelu lub sieci, do której należał, ale dojrzałem jedynie coś w rodzaju kwiatków nad zamkami drzwi. Chociaż nawet tego nie byłem do końca pewny i im dłużej im się przyglądałem, tym większe miałem wątpliwości, czy to w ogóle są kwiatki.

Oddaliłem obraz i raz jeszcze przyjrzałem się całemu zdjęciu z twarzą kobiety w lewym górnym rogu i kodem czasowym w prawym dolnym. Kod składał się z dwóch wierszy: górny podawał datę i godzinę, w dolnym widniał szereg cyfr, których znaczenie nie całkiem rozumiałem.

5106596|4|79/93

Domyślałem się, czego może dotyczyć końcowa część kodu: kamera obejmowała fragment korytarza z pokojami o numerach od 79 do 93, czwórka mogła oznaczać piętro lub określony segment hotelu, nie miałem jednak pojęcia, co może znaczyć sekwencja cyfr 5106596. Mógł to być jakiś identyfikator, choćby numer seryjny kamery.

Nachyliłem się bliżej i skupiłem uwagę na ścianach, potem na wykładzinie podłogowej – ze wzorem przeplatających się sznurów i węzłów i czymś w rodzaju herbu – wreszcie na postaci kobiety. Nagle poczułem lekkie drgnięcie, jakby coś we mnie zaskoczyło, jakbym coś skojarzył, choć nadal nie wiedziałem co. Wpatrywałem się w ekran, z palcami zawieszonymi nad klawiaturą laptopa, błędząc wzrokiem po fragmentach zdjęcia.

Co takiego dostrzegłem?

Rozejrzałem się po kawiarni, sprawdzając, czy ktoś może wygląda znajomo lub okazuje mi nadmierne zainteresowanie, zaraz jednak obraz

w laptopie znów przyciągnął moją uwagę. Intrygowała mnie konstrukcja zdjęcia i to moje nieodparte wrażenie, że coś mi w nim nie pasuje.

Na ekranie wciąż miałem powiększone o dwadzieścia procent zdjęcie Beth z trochę nieostrą twarzą. Przywróciłem pierwotną wielkość i powiększyłem z kolei wzór na wykładzinie. Uświadomiłem sobie, że wewnątrz herbu, który zauważyłem wcześniej, znajduje się jakaś sylwetka. Brodaty mężczyzna z nagim torsem trzymał na wyciągniętej dłoni galeon. Zrobiłem zbliżenie na zamek najbliższych drzwi i przyjrzałem się rzekomemu kwiatkowi. Chwilę później już wiedziałem, że to wcale nie kwiatek.

Był to trójząb.

Brodata postać z galeonem na dłoni to był Posejdon. Z powodu słabego oświetlenia nie mogłem obejrzeć korytarza tak dokładnie, jak bym chciał, mimo to dotarło do mnie coś jeszcze: wijące się na wykładzinie sznury i węzły to nie przypadkowe esy-floresy. To były marynarskie węzły – ósemki.

Patrząc znowu na Beth, uzmysłowiłem sobie, że wszystko jest lekko przekrzywione. Właśnie to mi od początku nie pasowało, tylko nie umiałem tego nazwać. Obraz był odrobinę przekrzywiony, nie więcej niż o dwa albo trzy stopnie, ale był. W pierwszej chwili pomyślałem, że może kamera została krzywo przymocowana do ściany lub że uchwyt mocujący się poluzował, lub że ktoś ją potracił i lekko się przechyliła.

Ale nie chodziło o żadną z tych rzeczy.

Z sieci dowiedziałem się, że występujący w kodzie czasowym siedmiocyfrowy numer 5106596 to kod Międzynarodowej Organizacji Morskiej – i wtedy zrozumiałem, że to nie kamera jest lekko przekrzywiona, tylko cały korytarz.

Bo to nie był korytarz hotelowy.

To było wewnątrz statku.

37

Nie mogłem oderwać wzroku od obrazu.

Marek powiedział, że Beth i Richarda widziano razem w tygodniu poprzedzającym znalezienie Richarda, zatem skoro ona była na statku, to on też. Tylko skąd się tam wzięli? Co tam robili? Dokąd ten statek płynął?

Starłem się myśleć kompleksowo.

Przede wszystkim musiałem poznać nazwę tego statku, co nie zajęło mi wiele czasu. Na podstawie kodu MOM ustaliłem, że był to liniowiec wycieczkowy o nazwie *Olympia Britannia*, co tłumaczyło, dlaczego korytarz tak bardzo przypominał wnętrze hotelu i skąd się na nim wzięły słynne brytyjskie widoki, w rodzaju London Eye.

Czy Richard mógł być członkiem załogi tego statku?

Wcale nie brzmiało to absurdalnie, zwłaszcza gdy przejrzałem swoje notatki z minionego tygodnia: na dłoniach Richarda znaleziono ślady podchlorynu wapnia.

Testy przeprowadzone przez techników medycyny sądowej niczego nie przesądzały, ale stwierdzały jednoznacznie, że ten środek chemiczny stosuje się w lakierach i woskach, rozpuszczalnikach, olejach i płynach hydraulicznych. To były materiały, z którymi Richard mógł się zetknąć na statku.

Chociaż mogło być całkiem inaczej, bo podchloryn wapnia jest też używany do dezynfekcji basenów kąpielowych. Ale jeśli taki był powód, jeśli ta substancja chemiczna znalazła się na rękach Richarda dlatego, że miał częstą styczność z chlorowaną wodą, wcale nie wykluczałoby to jego pracy na statku. Co więcej, mogło wręcz ją potwierdzać. Na liniowcu wycieczkowym na pewno musiał być basen.

Jak się okazało, na *Olympii Britannii* były nawet dwa.

Statek należał do biura podróży Głęboki Atlantyk i na ich stronie internetowej znalazłem fotografie i filmy, na których wnętrza statku wyglądały jak na zdjęciu z kamery monitoringu, tyle że wyblakłe kolory, brak ostrości i lekko rozmazane kontury przedmiotów widzianych przez kamerę zniknęły i pojawiły się krystalicznie czyste i ostre obrazy wewnętrznych korytarzy. Bez trudu dojrzałem logo w postaci trójzębu nad zamkami drzwi kajut, królewski błękit wykładziny dywanowej, postać Posejdona i ozdobny motyw w postaci cum i węzłów. Na ścianach były widoki nie tylko z Londynu, ale także ze Stonehenge, Canterbury, Edynburga i Highlands.

Ale coś mi tu nie pasowało: jeśli Richard był członkiem załogi i miał kolegów, którzy z nim pracowali, to dlaczego żaden z nich się nie zgłosił, kiedy go znaleziono? Jeśli nawet nie dotarły do nich lokalne gazety – co było możliwe – to czy nikt nie zauważył, że ich kolega nagle zniknął z pokładu?

I z tym jednym aspektem całej sprawy nie umiałem sobie poradzić: wyglądało to tak, jakby nikt go nie znał i nic o nim nie wiedział. W ciągu wielu miesięcy, które upłynęły od jego znalezienia, nikt się nie zgłosił do władz, by wyjaśnić, kim jest Richard i co się stało. To samo dotyczyło jego kolegów ze szkoły, z podwórka i z rodzinnego miasta. A także tych,

z którymi w jakimś momencie musiał pracować i utrzymywać stosunki towarzyskie.

Powróciłem do laptopa.

Na ekranie wciąż widniała strona Głębokiego Atlantyku, podająca informacje o *Olympii* – jej parametry, wyposażenie, ceny rejsów, trasy. Jeśli Richard i Beth nie przebywali na pokładzie jako członkowie załogi i nie figurowali na liście pasażerów, co wydawało się równie nieprawdopodobne, to mogło być tylko jedno wytłumaczenie: oboje byli pasażerami na gapę.

Ale nawet taki scenariusz był niezbyt realny. Gdyby wemknęli się na pokład, stałoby się to zapewne podczas postoju statku w Southampton. A jeśli tak, to dlaczego znaleziono Richarda zaledwie dziesięć kilometrów od portu? Zdjęcie Beth zostało zrobione przez kamerę monitoringu pięć dni przed jego znalezieniem, ale Marek sugerował, że wcześniej była widziana z Richardem na statku, a to musiałyby znaczyć, że *Olympia* stała w porcie Southampton przez ponad tydzień. Sprawdziłem rozkład rejsów statku – tak długi postój wydawał się mało prawdopodobny. Statek pływał ciągle po tej samej trasie: Madera, wzdłuż zachodniego wybrzeża Afryki w stronę Kapsztadu, przez Atlantyk do Buenos Aires, na północ wzdłuż wybrzeży Brazylii i przez Karaiby do USA. Ostatnim etapem podróży był rejs z Nowego Jorku do Southampton. Całą podróż realizowano w dwóch wariantach: krótszym, pięćdziesięciodniowym, bez zawijania do portów w Afryce Zachodniej i Brazylii, oraz dłuższym, osiemdziesięciodniowym, który obejmował postoje w tych portach. Nie zdarzało się, by statek stał w Southampton dłużej niż trzy dni.

Ale coś w tym było, choć bardziej chodziło o próbę ucieczki Richarda niż o to, że był pasażerem na gapę. Odsunąłem laptopa, zajrzałem do swoich notatek i zacząłem je przerzucać w nadziei, że podsuną mi jakąś nową myśl. Zatrzymałem się na stronie ze znajomym pytaniem u góry:

Dlaczego nikt nie pamięta Richarda?

Przed chwilą zadałem sobie to samo pytanie, tyle że teraz coś się zmieniło. Zacząłem uważniej przeglądać notatki; czytałem je, próbując dojść, w czym rzecz. I nagle uzmysłowiłem sobie, że chodzi nie o coś, co sam zapisałem, tylko o coś, co przeczytałem w internecie. Coś na stronie *Olympii*.

O trasę rejsu statku.

Niemal zakręciło mi się w głowie z emocji, że wreszcie znalazłem odpowiedź. Otaczające mnie w kawiarni dźwięki i ruchy przestały się liczyć.

Szukałem w niewłaściwym miejscu.

Ponownie skupiłem uwagę na trasie wycieczkowca, na trwającym dziewięć dni rejsie przez południowy Atlantyk z Kapsztadu do Buenos Aires. I nagle ujrzałem wszystko w tak jasnym świetle, jakby nagle rozstała się mgła: Richard był na *Olympii* pasażerem na gapę, ale nie wsiadł w Southampton.

On płynął do Southampton.

Teraz było już jasne, dlaczego nie udało mi się znaleźć programu telewizyjnego, o którym opowiadał. Po prostu tego programu nigdy nie nadawano w Wielkiej Brytanii. Stawało się też jasne, dlaczego Penny wspominała Howsonowi, że w jej rodzinnej miejscowości wciąż padało, i dlaczego Richard mówił, że widok plaży, którą pamięta, jest tak typowo brytyjski, ponury i zasnuty chmurami, a jednocześnie nie potrafił natrafić na jej ślad. Penny powiedziała Howsonowi, że pochodzi z miasteczka Sophia, ale jemu nigdy nie udało się znaleźć miejscowości o tej nazwie na mapie Wielkiej Brytanii. Mnie zresztą też nie, dlatego założyłem, że Penny skłamała. Jednak taka miejscowość istniała, tyle że nie na Wyspach Brytyjskich.

Ponownie przyjrzałem się trasie *Olympii*. Statek miał dwudniowy postój w połowie rejsu przez południowy Atlantyk.

Na wyspach Empress.

To stamtąd wszyscy pochodzili. Richard Kite. Penny. Beth. To tam znajdowały się konta bankowe, na które Marek przelewał pieniądze. Dlatego mnie spytał, czy jestem na Heathrow i czekam na samolot.

To w tym miejscu skupiały się wszystkie tajemnice.

Na odległym o jedenaście tysięcy kilometrów zamorskim terytorium brytyjskim.

Siostry

Wiadomości szybko rozchodziły się po Sophii. Miasteczko miało niecałe dwadzieścia kilometrów kwadratowych powierzchni i mieszkańcy błyskawicznie się o wszystkim dowiadawali. Dowiedzieli się też o dwóch dziewczynkach wywiezionych do Otchłani i o tym, dlaczego obie zasłużyły na karę: spędzenie tam większej części nocy.

Gdy później dzieci ze szkoły spotykały Penny na ulicach miasteczka i próbowały wydobyć z niej szczegóły tamtej nocy, tylko wzruszała ramionami. Jej milczenie doprowadziło w końcu do tego, że koleżanki, jedna po drugiej, zaczęły się od niej odsuwać i nie próbowały nawet bronić Penny w sprawie, o której same niewiele wiedziały. Otoczył ją nimb tajemniczości i dzieci – w tym jej najbliższe przyjaciółki – zaczęły postrzegać ją inaczej. Były nią zafascynowane, dopatrywały się w jej milczeniu jakiegoś strasznego przeżycia, a jednocześnie przerażała je myśl, że to wszystko może być prawdą.

Że wcale nie chodzi o żadne miny.

Że chodzi o coś innego.

Penny uważała ich zachowanie za śmieszne i jeszcze bardziej zamykała się w sobie; w końcu przestała w ogóle z kimkolwiek rozmawiać. Często widywano ją samą w miasteczku lub gdzieś dalej, na betonowych ławkach przed kąpieliskiem. Z ławek widać było morze i Penny potrafiła siedzieć

godzinami w nieustępliwym wichrze znad zimowego południowego Atlantyku, patrząc na wpływające i wypływające statki. Raz w tygodniu, gdy przylatywały samoloty, szła dalej, aż pod małe lotnisko z jednym pasem startowym, i przyglądała się pasażerom, którzy wsiadali do samolotu lecącego do Buenos Aires lub Kapsztadu.

To nie była egzystencja, o jakiej marzyła i jakiej pragnęła, ale Penny potrafiła sobie wyobrazić coś większego. Musiała tylko na razie siedzieć cicho i zaakceptować swój nowy los, wiedząc, że gdy tylko skończy gimnazjum, będzie mogła stąd uciec. Władze oświatowe wyspy nie miały warunków na organizowanie nauczania licealnego, nie mówiąc już o studiach wyższych, ale wspierały finansowo młodzież, która pragnęła uczyć się dalej. Co więcej, wszystkie wyższe uczelnie, z jakimi zawarto umowy o współpracy, mieściły się w Wielkiej Brytanii. Penny zawsze z żalem myślała o tym, że zostawi mamę i wyjedzie tak daleko, aby kontynuować naukę, natomiast ledwie mogła patrzeć na Jacka. Nawet przebywanie z nim pod jednym dachem było dla niej trudne do zniesienia i z każdym upływającym dniem coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że właśnie tego chce: wyjechać z Sophii i już nigdy tu nie wrócić. I choć będzie tęsknić za mamą i nie pozna odpowiedzi na dręczące ją pytania w sprawie zniknięcia ojca, ucieczka była dla niej jedynym wyjściem. Wyjedzie do Anglii, jakoś się tam urządzi i będzie czekać, aż Beth do niej dołączy.

Tyle że z wolna zaczynała sobie uświadamiać, że to się nigdy nie ziści.

Beth nie radziła sobie dobrze z konsekwencjami tamtej nocy w Otchłani. Początkowo podobało jej się zainteresowanie, jakie wzbudzała, potem jednak ciekawość przeszła w zawiść i dzieci w szkole zaczęły ją dręczyć i prześladować. Niekiedy siostry były gwiazdami klasowymi, a otaczająca je

aura tajemniczości powodowała, że koleżanki do nich lgnęły, kiedy indziej traktowano je jak trędowate.

W rezultacie Beth, nie umiejąc się odnaleźć ani w szkole, ani w domu, zaczęła się buntować. Włóczyła się całymi dniami i w wieku trzynastu lat upijała się do nieprzytomności, tak że nieraz znajdowano ją rano leżącą w zaułku za supermarketem. Jack i Fiona często dawali jej szlaban, ale wkrótce przestała się przejmować ich zakazami. Penny próbowała z nią rozmawiać, powołując się na łączącą je bliskość i siostrzaną miłość, ale Beth chodziła wiecznie naburmuszona. Wściekała się na ojca za to, co zrobił; na koleżanki za podle traktowanie; na Penny za jej decyzję, by iść do Otchłani; z powodu tego, co im się tam przydarzyło; i na każdego mieszkańca wyspy, który krzywo na nią spojrzał.

A także się bała. Penny widziała, że Beth boi się tego, że może znów zostać wywieziona w góry i przywiązana do płotu, a strach maskuje złość. Zaczęła zbyt wyzywająco się malować; nakładać tak grube warstwy kredki i tuszu, że jej oczy wyglądały jak czarne dziury. Ale Penny i w tym ją rozszyfrowała. Wyraz oczu Beth zawsze ją zdradzał. Chowając je w smolistych jamach, ukrywała, jak bardzo się boi.

Penny wielokrotnie próbowała z nią rozmawiać, ale Beth obrzucała ją szklistym spojrzeniem, odwracała się na pięcie i odchodziła. Kilka lat po tamtej nocy Penny podjęła jeszcze jedną, ostatnią próbę. Beth dostała kolejny szlaban za przekroczenie domowej godziny policyjnej o dwudziestą, a mama Penny i Jack poszli na zebranie mieszkańców w ratuszu i zostawili dom i Beth na głowie Penny. Gdy w pewnej chwili Penny zeszła na dół, zobaczyła, że tylne drzwi są otwarte, krople deszczu dudnią o dach ganku, a Beth pali papierosa pod plastikowym daszkiem, pod którym Jack trzymał narzędzia.

Penny wyszła na ganek. Siostry popatrzyły na siebie w milczeniu, po czym obie odwróciły głowy i wbiły wzrok w ciemność. Z ganku widać było światła portu na Blake Point.

– Co ty wyczyniasz? – odezwała się wreszcie Penny.

Beth obrzuciła ją długim spojrzeniem, wzruszyła ramionami i głęboko zaciągnęła się papierosem.

– A jak myślisz? – burknęła.

– Nie mówię o papierosie.

Beth znów na nią spojrzała. Tusz nieco jej się rozpląnął i ciągnął się od lewego oka ukośną kreską, wyglądającą jak długi szew. Penny w pierwszej chwili nie była pewna, czy siostra płakała, czy może tusz rozmazał się od deszczu, ale po chwili doszła do wniosku, że to jednak od łez. Od tamtej nocy, kiedy zawleczono je do Otchłani, przywiązano do płotu i zostawiono na noc, minęły niemal dwa lata. Beth udawała, że już o tym nie pamięta i że nie ma to dla niej znaczenia, ale tak naprawdę odczuwała to podobnie jak Penny.

Nigdy nie miały tego zapomnieć.

– Beth, posłuchaj...

– Nie chcę żadnych kazań.

– Nie zamierzam ci wygłaszać kazania.

– Żadnych rad też nie chcę.

– Powinnaś spuścić z tonu, Bethany.

Beth milczała. Penny rzadko, a właściwie nigdy nie nazywała jej pełnym imieniem i jeśli tak robiła, znaczyło to, że ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Ale Beth i tak pokręciła tylko głową.

– Beth...

– Powiedziałam, że nie potrzebuję żadnych rad.

– Wyjeżdżam za trzy miesiące – oznajmiła Penny. – Jak tylko dostanę świadectwo ukończenia gimnazjum, od razu jadę. Jeśli przez następne dwa lata trochę się uspokoisz i skończysz szkołę, to też będziesz mogła wyjechać. Ja w tym czasie już się urządzę w Anglii i będziesz mogła do mnie dołączyć, i obie...

– Dlaczego?

Penny zmarszczyła czoło.

– Co „dlaczego”?

– Dlaczego mam cię słuchać. Ostatnio jak cię posłuchałam, wylądowałam przywiązana do pieprzonego płotu. – Beth spojrzała na siostrę i znów zaciągnęła się papierosem. – Najgorsze, co w życiu zrobiłam, to posłuchałam twojej rady, wiesz?

Penny starała się nie pokazać, jak bardzo ją to zabolowało, ale niezbyt jej to wyszło. Patrząc na nią Beth wydawała się ośmielona tym, że tak ją zraniła. Wyprostowała się, zrobiła krok w stronę Penny i wyciągając przed siebie dłoń z papierosem, powiedziała:

– I wiesz, co jeszcze?

– Beth, proszę. Nie zachowuj się tak.

– Zjawiasz się tu i pytasz, co ja wyczyniam, jakbym musiała ci się tłumaczyć i jakby to, co o mnie myślisz, w ogóle mnie obchodziło. A my nawet nie jesteśmy spokrewnione.

– Beth...

– Nie jesteśmy nawet krewnymi. Nie masz prawa cokolwiek mi kazać. Zaciągnęłaś mnie tam – wskazała ku wzgórzom – jak miałam dwanaście lat, i zobacz, co ci zawdzięczam. To życie. Ten szajs, który wciąż wypełnia mi głowę. Budzę się w środku nocy i leżę w pieprzonej pościeli, mokrej od potu, bo mi się przypomina, co tam wtedy widziałyśmy. I wiesz co? Próbuję myśleć rozsądnie. Próbuję sobie wmawiać, że nie widziałyśmy

tego, co widziałyśmy, ale obie wiemy, że to tam było. I z kim mogę o tym porozmawiać, co? Z tatą? Z tobą?

Prychnęła pogardliwie i znów pokręciła głową.

– Zlituj się! Jak mogę o tym rozmawiać z tobą albo z nim? Przecież to on nas tam zawiózł i zostawił pod płotem. Swoją własną córkę. A ty... to przez ciebie wsadzili nas do tego land rovera. Gdybym wciąż nie łąziła za tobą, gdybyśmy robiły co trzeba i trzymały się z dala od tej pieprzonej Otchłani, to za dwa lata mogłabym stąd wyjechać. Spałabym nocami jak niemowlę, zdawałabym wszystkie egzaminy, dostałabym stypendium i przeniosłabym się do Anglii, do prawdziwego college'u, a potem na uniwersytet. Dostałabym jakąś pracę i nie musiałabym już nigdy wracać do tego przeklętego szamba. Ale to niemożliwe, prawda, Pen? Co wieczór się nawalam, bo chcę zapomnieć, co tam widziałyśmy. Zapomnieć to dyszenie, ale słyszę je za każdym razem, kiedy zamykam oczy. I czasami dzięki temu jestem traktowana jak gwiazda rocka. Wszyscy do mnie lgną i próbują wskoczyć mi w majtki. A kiedy indziej traktują mnie jak pieprzoną trędowatą. To ta z Otchłani, to ta z Otchłani, to ta z Otchłani, słyszę wszędzie. Szepczą za moimi plecami, gdy wracam ze szkoły do domu. Nie mogę się na niczym skupić. Wciąż oglądam się przez ramię. I wiesz, Pen, dlaczego taka jestem? Przez ciebie. To wszystko twoja wina.

Penny poczuła, jakby ktoś ścisnął ją za gardło.

– Zrujnowałaś mi życie.

– Beth! – Penny miała łzy w oczach. – Ja nigdy nie chciałam...

– Nienawidzę cię.

I nagle stało się tak, jakby ucichły wszystkie dźwięki. Nie było szumu deszczu i wiatru, nie było dochodzących z oddali odgłosów portowych.

Były tylko te dwa słowa.

Beth przez chwilę wpatrywała się w Penny – z iskrą nienawiści, która zaraz zgasła – po czym wyrzuciła niedopałek na deszcz, a jego żar natychmiast zniknął w ciemnościach. Bez słowa wyminęła Penny i weszła do domu.

CZĘŚĆ TRZECIA

Fragment książki Andrew Reece'a

Nietypowym szlakiem. Nieznane zakątki Wielkiej Brytanii

Wyspy Empress zajmują obszar równy połowie Walii, ale dwie największe – Victoria, na której leży stolica, St George, oraz Cabot z miastem Sophia i portem na Blake Point – są łącznie tylko trochę większe od Cardiff. St George jest stosunkowo nowoczesne i stanowi centrum tutejszego przemysłu, czyli bankowego rajy podatkowego, natomiast Sophia – dużo mniej atrakcyjna, a miejscami wręcz brzydka – skupia głównie ludność rolniczą i rybacką. Od Victorii oddzielają ją cieśnina Wallace i potężny masyw góry Strathyde, a ze względu na położenie na zachodnim krańcu archipelagu wyspa pozostaje pod silnym wpływem klimatu południowoatlantyckiego w postaci ulewnych deszczy i ciągłych przenikliwych wiatrów. W rezultacie średnia temperatura powietrza latem wynosi tu zaledwie 8°C, dużo poniżej średniej temperatury w stolicy. Mimo tych różnic ludność archipelagu, licząca łącznie 7500 osób, ma jedną cechę wspólną: dość dziwny „akcent Empress”, którego źródeł lingwiści upatrują w pierwszych brytyjskich osadnikach, przybyłych tu w roku 1766 i stanowiących mieszaninę rolników i właścicieli ziemskich z południowo-zachodniej Anglii.

Właściwie trudno jest sobie wyobrazić stopień izolacji, jakiej podlegają te wyspy. Od Buenos Aires dzieli je 3938 kilometrów, a od Kapsztadu 3045 kilometrów oceanu, co przekłada się na czterodniowy rejs statkiem lub około pięciogodzinny lot samolotem, z każdego z tych miast. Loty czarterowe odbywają się raz w tygodniu. Przewodowy internet działa w większości miejsc tak wolno, że praktycznie zniechęca do korzystania z niego, sieć 3G nie istnieje (choć mówi się, że do końca 2014 roku ma to ulec zmianie), a kilka dostępnych tu kanałów telewizyjnych pochodzi z pakietu Służby Nadawczej Brytyjskich Sił Zbrojnych, która zwykle obsługuje personel wojskowy stacjonujący za granicą. Na wyspach nigdy nie tworzono własnych programów telewizyjnych, z jednym tylko wyjątkiem. Od 1985 do 1997 roku nadawano magazyn edukacyjno-rozrywkowy dla dzieci, zatytułowany *Dziecięca godzina*, którego charakterystyczna czołówka z masztem telewizyjnym zapadła w pamięć wszystkim dzieciom na wyspach. Produkcja programu okazała się jednak zbyt kosztowna i go zlikwidowano.

Podczas mojego pobytu na wyspach stało się jasne, że większość turystów nie zostaje na nich wystarczająco długo, by zbudować sobie ich prawdziwy obraz. Zwykle przybywają z Ameryki Południowej lub z Afryki na dwudniowe „ekowycieczki” i odwiedzają tereny lęgowe słoń morskich i pingwinów skalnych oraz żerowiska humbaków i kaszalotów. Obserwują też życie drozdów i albatrosów, których ogromne kolonie zamieszkują wschodnie wyspy archipelagu, a w drodze z lotniska mijają hodowle owiec, reniferów i lam gwanako. Mają też okazję podziwiać ogrody różane w miastach (ciekawostką wysp Empress jest to, że nie występują na nich żadne lokalne gatunki ssaków, drzew czy flory, w rodzaju

róż, i wszystko to zostało tu sprowadzone z innych części świata), zrobić sobie zdjęcie pod niedziałającą czerwoną budką telefoniczną, kupić na pamiątkę chorągiewkę Union Jack i wypić herbatę z kubka z wizerunkiem Williama i Kate, po czym wsiadają do minibusu, by wrócić nim na lotnisko, lub zajmują miejsca na łodziach, które dowożą ich do statku zakotwiczonego półtora kilometra od brzegu wyspy.

Jak na jedno popołudnie, cały dzień czy nawet dwa dni pobytu, ten haust pocztówkowej imperialnej Brytanii może być całkiem fajny, ale po trzech dniach zaczyna to wyglądać nieco inaczej. Jest trochę jak w obiektywie aparatu, który powoli ustawia ostrość obrazu, i w czwartym dniu pobytu, a potem w piątym i szóstym człowiek popada w klaustrofobię.

Zaczyna się czuć jak schwyty w pułapkę.

A pomyślcie, jak czuje się ktoś, kto musi tu spędzić całe życie.

38

Olympia wypłynęła z Kapsztadu trzy dni później.

Po przylocie na miejsce spędziłem pierwszy dzień na włóczeniu się i odwiedzaniu miejsc, które pamiętałem z moich czasów dziennikarskich. Wstałem wcześnie rano i poszedłem pobiegać po plaży Camps Bay – nad głową bezchmurne, idealnie błękitne niebo, pod nogami biały jak kreda piasek – i dalej, do Clifton, gdzie kiedyś Derryn i ja zajmowaliśmy mieszkanie na trzecim piętrze. Z drogi nadal było widać ogród na dachu, gdzie spędzała najwięcej czasu, pielęgnując swoje rośliny. Kiedy się wprowadzaliśmy, wszystkie kwiaty, nawet kaktusy, umierały, natomiast w dniu naszej wyprowadzki wszystko tak pięknie kwitło, było tak kolorowe i pełne życia, że gospodarz zwrócił nam czynsz za ostatnie trzy miesiące.

Później znalazłem restaurację tuż przy Kloof Road, u podnóża wzgórz Lion's Head, i siedząc w cieniu baobabu, przyglądałem się naszym górcom i naszemu morzu. Zjadłem południowoafrykańską potrawę *bobotie*, popiłem piwem Castle i przekartkowałem kupioną na Heathrow książkę Andrew Reece'a *Nietypowym szlakiem*. Wyglądała na przewodnik turystyczny i tak się zaczynała, stopniowo jednak, w miarę jak autor zapuszczał się w coraz odleglejsze zakamarki Wielkiej Brytanii i w niemal zapomniane terytoria zamorskie, stawała się subiektywnym reportażem. Kupiłem ją w nadziei, że dowiem się więcej o wyspach Empress, Sophii

i tamtejszej społeczności Brytyjczyków żyjących tysiące kilometrów od ojczyzny. A potem, późnym popołudniem, wróciłem do hotelu, nieco poruszony tym, co przeczytałem, a także gnębiony myślą, że jestem obserwowany i że Marek już wie, dokąd zmierzam.

Po zachodzie słońca zjadłem kolację w restauracji na nabrzeżu Victorii i siedząc na tarasie, zadzwoniłem do Annabel. Porozmawialiśmy o jej dniu w pracy, o Olivii, o pogodzie w Devonie, o ich psie; czerpałem pociechę z pozornie trywialnych drobiazgów z życia córki. Jednak teraz, w wieczór poprzedzający wejście na pokład i wypłynięcie na ocean, nie wydawały się już tak trywialne. Nie miałem pojęcia, co mnie czeka, i w świetle tego, czego się dowiedziałem o Richardzie, sprawiały wrażenie ważniejszych niż kiedykolwiek.

Po kolacji wróciłem do pokoju hotelowego, usiadłem na balkonie z egzemplarzem *Nietypowego szlaku* i zacząłem podkreślać fragmenty tekstu dotyczące Sophii. Byłem w szortach i T-shircie i miałem przed sobą ocean. Sprawdziłem prognozę dla wysp Empress i okazało się, że tamtejsza pogoda zasadniczo różni się od pogody w RPA: sześć stopni w najcieplejszym momencie dnia i spadek do minus dwóch w nocy. W ciągu najbliższych trzech dni przewidywano ochłodzenie.

Na dzień mojego przyplłynięcia do portu zapowiadano śnieg.

Miałem tylko nadzieję, że nie jest to złowieszczy omen.

. . .

Statek miał dwanaście pokładów, a moja kajuta znajdowała się bardzo nisko, na drugim pokładzie od dołu, i należała do tak zwanych kajut wewnętrznych – bez iluminatora – ale nie mogłem liczyć na nic lepszego z tak krótkim wyprzedzeniem i w ramach mojego budżetu na sprawę Richarda Kite’a.

W kajucie rozpakowałem tylko to, co było mi niezbędne na najbliższe trzy dni, resztę zostawiłem w walizce, którą schowałem do szafy, i wyszedłem na górny pokład, by popatrzeć na niknący w oddali Kapsztad, białą plamkę na tle szarzielonych gór. A potem udałem się na zwiedzanie statku i jego pokładów, cały czas czujnie się rozglądając, czy nie dojrzę jakichś wcześniej widzianych twarzy.

Statek był kolosem, z labiryntem niekończących się korytarzy, i trochę potrwało, zanim odnalazłem miejsce na czwartym pokładzie, gdzie Beth została uchwycona w kamerze monitoringu. Zatrzymałem się tam i po raz pierwszy obejrzałem z bliska obrazki na ścianie i wykładzinę podłogową z postaciami Posejdona wyciągającego łódź z wody. Stałem dokładnie w tym samym miejscu co ona i próbowałem pojąć, dlaczego tu przyszła, ale nie potrafiłem znaleźć żadnego oczywistego powodu, który ją przywiódł akurat do tego korytarza. Obszedłem wszystkie siedem pokładów z kajutami pasażerskimi, by wychwycić ewentualne różnice, ale im dłużej krążyłem po korytarzach, tym bardziej zlewały się w jeden ciąg niekończących się drzwi, które różniły się tylko numerami.

Wjechałem windą na górę, na pokład sportowy, który był o połowę krótszy od pozostałych i mieścił kort tenisowy, pole golfowe i bar, po czym zacząłem schodzić: najpierw na pokład słoneczny, potem na pokład kąpielowy, a następnie przez pokłady pasażerskie na sam dół, gdzie były restauracje, kluby nocne i sale widowiskowe. Ostrożnie, by nie wzbudzić zbyt dużego zainteresowania sobą, zacząłem pytać członków załogi o Richarda Kite'a i Beth, pokazując jego zdjęcie i obraz z kamery monitoringu. Nie posunąłem się ani o krok. Nikt ich nie rozpoznał, nikt nigdy nie widział ich na pokładzie statku. Po dwóch godzinach, gdy ktoś wykazywał zainteresowanie, kim są ci dwoje i dlaczego o nich pytam, ujawniałem okrojoną wersję prawdy, w nadziei, że może to naprowadzi na

coś rozmówcę, ale bez rezultatu. Po czterech godzinach byłem nadal w punkcie wyjścia.

Miałem świadomość, że Marek mógł zaalarmować kogoś na statku. Że osoba kryjąca się pod inicjałami LG może tu pracować i teraz informuje Marka o moich poczynaniach i wypytywaniu załogi. Ale jeśli nawet, to o ile Marek nie znajduje się już na pokładzie, nie będzie mógł wiele zdziałać do chwili przybicia statku do wysp Empress, co stanie się dopiero za cztery dni. Nie wiedziałem, kim jest LG ani jakie może stanowić zagrożenie, a ponieważ nie tylko go nie znałem, ale też nie byłem nawet pewny, czy jest na pokładzie, jak wygląda i jaką może pełnić funkcję, cały czas chodziłem spięty. Nie potrafiłem ani na moment się odprężyć, pilnowałem się na każdym kroku i uważałem na każde swoje słowo.

Tego wieczoru zjadłem kolację w chińskiej restauracji na dolnym pokładzie. Usiadłem w boksie na końcu sali, by mieć na widoku wszystkich gości, i zagłębiłem się w dokumentację sprawy: zdjęcia Richarda Kite'a, Penny Beck i Beth, wydruki stron z komunikatorów w Red Tree, fotografie zrobione w biurze Naomi Russum, sporządzony przez Richarda kolaż z materiałów prasowych, który miał mu pomóc zidentyfikować plażę, jaką pamiętał z dzieciństwa. Zadzwoiłem do niego ponownie przed wylotem z Londynu do Kapsztadu, wpytując go o *Olympię* i Beth, zamieniłem też kilka słów z Howsonem, by się upewnić, czy znaleźli bezpieczne miejsce, a on poinformował mnie, że przebywają w domu na przedmieściach Folkestone. Potem telefon znów przejął Richard i zaczął mnie pytać o Beth. Chciał wiedzieć, czy nie znam więcej szczegółów na jej temat i czy nie mam jej innych, wyraźniejszych zdjęć.

– Czemu pytasz? – spytałem. – Myślisz, że możesz ją znać?

– Nie pamiętam, bym kiedykolwiek ją spotkał – odparł.

Ale to nie była odpowiedź na moje pytanie.

Chyba zdawał sobie z tego sprawę, bo dodał:

– Może coś w sprawie statku mną poruszyło albo to, jak mi powiedziałeś, że pochodzę z tych wysp, ale mam takie uczucie... – Zawiesił głos. – Pamiętasz, jak ci mówiłem, że jedzenie jest dla mnie takim łącznikiem? Że na przykład zawsze wiedziałem, że lubię banany, jeszcze zanim ich spróbowałem?

– Tak, pamiętam.

– Tutaj też tak czuję.

– Coś budzi w tobie skojarzenia?

– Tak. Tylko że nie wiem ani co, ani jakie.

Wróciłem do kajuty i długo leżałem po ciemku, wsłuchując się w szum klimatyzacji i dalekie odgłosy życia na statku. Nie wiem, o której w końcu usnąłem, ale słońce musiało już być wysoko, a z korytarza dochodziły głosy pasażerów, którzy szli do wind, rozważając, co zjedzą na śniadanie. Potem zacząłem śnić.

Sen zaczął się od mojego wejścia na statek.

Skończył się na moim zabłądzeniu w labiryncie.

39

Obudziłem się o jedenastej i włączyłem telewizor. Na ekranie widniała plansza z prognozą pogody – do popołudnia miało być całkiem znośnie, potem jednak szykowały się zmiany. Słońce chowało się za chmury i dzień coraz bardziej szarzał, po czym zapadała noc. Od jutra, w miarę jak statek będzie płynął po Atlantyku coraz dalej na południe, temperatura zacznie szybko spadać.

Wstałem, wziąłem prysznic i poszedłem coś zjeść. Obsługa w restauracji była inna niż wczoraj, więc znów popytałem o Richarda i Beth – i znów z tym samym rezultatem.

Po śniadaniu pojechałem windą na pokład kąpielowy. Było słonecznie i gorąco, oba baseny pełne ludzi, bar pomiędzy nimi też obleżony, jednak znalazłem wolny stółek przy ocienionym końcu kontuaru i zamówiłem piwo. Czekaając na nie, rozłożyłem na blacie notatnik i egzemplarz książki *Nietypowym szlakiem* i zacząłem rozmyślać o praktycznych aspektach podróżowania na gapę: jak Richardowi udało się przedostać na statek, a potem całymi dniami i tygodniami tak dobrze na nim ukrywać.

Z moich doświadczeń z Kapsztadu wynikało, że środki bezpieczeństwa przy wejściu na statek nie są tak rygorystyczne jak na lotniskach, jednak nadal są ściśle przestrzegane, obejmują kontrolę paszportową, prześwietlenie bagażu, przejście przez wykrywacze metalu i wyrywkowe

rewizje osobiste. Aby dotrzeć do wyjścia na trap, trzeba było minąć poczekalnię pasażerską i jeśli Richard nie miał paszportu, co z góry założyłem – bo pasowało do koncepcji podróży na gapę – to widziałem tylko dwie możliwości, by mógł przedostać się na statek, nie wywołując alarmu. Albo musiał udawać członka załogi – kelnera, ratownika czy konserwatora urządzeń – albo wmówić kontrolerom, że już jest pasażerem statku i wraca z wycieczki na ląd. Wtedy nie musiałyby mieć żadnego bagażu ani pokazywać paszportu, a także nie musiałyby kraść służbowego uniformu. Musiałyby natomiast mieć kartę pokładową, którą wydawano pasażerom schodzącym na ląd podczas postoju statku.

Była jeszcze trzecia możliwość: że Beth w jakiś sposób przeszmygowała go na pokład, tyle że i tak musieliby wtedy przebyć wszystkie punkty kontrolne, a na każdym istniało ryzyko wpadki. Nie umiałem znaleźć odpowiedzi na pytanie, jak to zrobili, zacząłem więc rozmyślać dlaczego. Wyglądało to na ucieczkę, jakby oboje uciekali przed czymś na wyspach. Może przed tym samym, co w końcu doprowadziło Penny Beck do śmierci pół świata dalej.

Przejrzałem uwagi, które naniósłem na marginesach książki. Czułem na skórze palące promienie słońca i wokół zrobiło się jeszcze hałaśliwiej, ale prawie tego nie zauważałem. Pasażerowie odpoczywali na leżakach, kąpali się w basenach, siedzieli w jacuzzi przy narożnikach basenów lub zamawiali drinki w barze. Przesunąłem się nieco bardziej w cień i czując w powietrzu woń kremów do opalania i soli morskiej, powróciłem myślami do Richarda Kite'a. Im więcej myślałem, tym bardziej byłem pewny, że najprostsza droga do ustalenia, kim on jest, może wieść przez Penny. W tym momencie wiedziałem o niej więcej niż o Richardzie, a przez to, że na tydzień przed jego znalezieniem widziano go w towarzystwie jej

przybranej siostry, powiązanie Penny z całą sprawą stawało się jeszcze bardziej znaczące.

Spisałem pięć faktów z życia Penny, które odkrył Jacob Howson przez ten rok, kiedy byli parą. Po pierwsze to, że pochodziła z miasteczka o nazwie Sophia, ale do tego sam już doszedłem. Zacząłem kolejno analizować pozostałe cztery.

Jej ojciec został hodowcą owiec.

Pracował w Londynie na „jakimś nudnym stanowisku”, aż w 1984 roku, krótko po narodzinach Penny, przeniósł się z całą rodziną na wyspy Empress. Autor *Nietypowego szlaku* opisywał wysiłki władz wysp Empress, podejmowane w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku, by zachęcić brytyjskich rolników do emigracji na wyspy. W ramach tych zachęt oferowano sute dotacje i pokrywano koszty przeprowadzki. W tamtym czasie rolnictwo – jeden z trzech, obok rybołówstwa i bankowości, filarów wyspiarskiej gospodarki – mocno podupadło i nowemu pokoleniu mieszkańców wysp brakowało doświadczenia. Jeśli ojciec Penny popłynął tam na tej fali, oznaczało to, że zanim podjął pracę biurową, musiał mieć jakieś powiązania z rolnictwem.

Kiedy Penny miała trzy lata, jej ojciec zaginął.

Nigdy więcej go nie zobaczyła. Brak było dowodu na to, że jego zniknięcie miało jakiś związek ze sprawą Richarda Kite’a lub nawet zabiciem Penny dwadzieścia lat później, nie mogłem jednak spokojnie uznać, że stanowiło nic nieznaczący przypisek do całej historii. Może brało się to z niejasnego przeczucia, że coś jest nie tak; z instynktu, jaki wyrobiłem w sobie przez lata poszukiwań osób zaginionych.

Jej mama wyszła ponownie za mąż za mężczyznę o imieniu Jack.

Trudno było mi ocenić, czy miało to jakiś związek ze sprawą, dopóki nie znajdę się w Sophii i nie popytam mieszkańców.

Miała przybraną siostrę o imieniu Beth.

To też już wiedziałem. Wiedziałem nawet, jak wyglądała i gdzie dokładnie znajdowała się na początku tego roku. Nie wiedziałem natomiast, co sądzić o informacji, którą usłyszałem od Howsona, że w pewnej chwili „siostry się pokłóciły”. O co? I czy ta ich kłótnia miała jakiś związek ze sprawą? Popatrzyłem na kadr z kamery monitoringu z obrazem Beth, na jej twarz i lękliwe spojrzenie przez ramię. Kim ty jesteś? Objechałem palcem zarys jej sylwetki. Skąd znałaś Richarda Kite’a? Zamiast odpowiedzi znów dotarły do mnie odgłosy z pokładu: muzyka, wybuchy śmiechu przy barze, piszczące dzieci w basenach.

– Jeszcze jedno piwo, *señor*?

Podniosłem wzrok na barmana, trzydziestokilkuletniego mężczyznę z plaketką, na której widniała meksykańska flaga oraz imię i nazwisko: Gael Mendoza. Stał przy mnie i wskazywał moją pustą butelkę.

– Jasne – odparłem. – Czemu nie?

Uśmiechnął się.

– Wakacje?

Niezupełnie, pomyślałem, ale odwzajemniłem uśmiech. Wrzucił pustą butelkę do wiadra i z lodówki za plecami wyjął nową. Stawiając ją przede mną, wskazał na mój egzemplarz *Nietypowym szlakiem*. Książka leżała otwarta na rozdziale o wyspach Empress, na prawej stronie widniała mapa wysp.

– Wybiera się pan na całodzienną wycieczkę po wyspach? – spytał.

Przyjrzałem mu się uważniej. Odpowiedź na jego pytanie brzmiała: Nie, nie wybieram się na całodniową wycieczkę. Zamierzałem wysiąść w porcie i znaleźć sobie jakąś kwaterę. Zamierzałem odprowadzić wzrokiem odpływającą beze mnie *Olympię*, po czym w ciągu kilku następnych dni

dowiedzieć się prawdy o Richardzie i odlecieć cotygodniowym lotem do Kapsztadu lub do Buenos Aires.

Byłem ciekaw, czy gość już to wie.

Byłem ciekaw, czy pracuje dla Marka.

– No – bąknąłem. – Tak się przymierzam.

– Fauna jest tam niesamowita.

– Też tak słyszałem.

– Wieloryby, foki, pingwiny. Parę lat temu zrobiłem sobie taką wycieczkę, żeby zobaczyć walenie południowe, bo występują już tylko w tych wodach. Kocham wieloryby. W ogóle kocham zwierzęta. Oglądam wszystkie filmy dokumentalne. Człowieku, Attenborough to geniusz! Potem wróciłem tam jeszcze raz w marcu z jedną z dziewczyn pracujących w Athenie. Pochodzi z tych wysp, więc spędziłem z nią cudowne godziny.

Znów się uśmiechnął, ale trudno było zgadnąć, czy „cudowne godziny” odnoszą się do wrażeń z wyspy, czy do miętoszenia się na tylnym siedzeniu samochodu w jakimś odludnym zakątku. Ale w sumie nie było to najważniejsze.

– Co to jest Athena? – spytałem.

– Kawiarnia na ósmym pokładzie.

Dopiłem piwo i ruszyłem na ósmy pokład.

40

Dziewczyna miała na imię Annie i była szczupłą dwudziestoparolatką z krótkimi ciemnymi włosami i smugą piegów ciągnących się od jednego oka do drugiego przez grzbiet nosa. Wszedłem do dużej sali kawiarni Athena z co najmniej setką stolików przedzielonych oszklonymi ściankami działowymi i dojrzałem ją sprzątającą z jednego z nich rozsypane okruchy ciasta.

– Annie?

Z uśmiechem uniosła głowę, jednak zaraz musiała zdać sobie sprawę, że nie mogłem odczytać jej imienia z plakietki przypiętej do sukienki, bo uśmiech nieco przygasł.

– Czym mogę służyć? – spytała.

– Nazywam się David Raker – powiedziałem, wyciągając do niej wizytówkę.

Wyjęła ją z mojej dłoni, a ja zauważyłem na jej plakietce małą flagę wysp Empress obok imienia i nazwiska: Annie Arnold-Yunk. Flaga była błękitna, z brytyjskim Union Jackiem w górnym lewym rogu i herbem w prawym. Herb przedstawiał Temidę z wagą w ręce, a poniżej ciągnęła się szarfa z łacińską frazą: *Hic situs est*. To jest to miejsce.

– Przed chwilą rozmawiałem na górze z Gaelem i od niego wiem, że pochodzi pani z wysp Empress – wyjaśniłem, wskazując flagę na jej

plakietce. – Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Sophii. Moglibyśmy porozmawiać?

Wydawała się zaskoczona moją prośbą.

– Właściwie nie pochodzę z Sophii – odparła, a ja od razu rozpoznałem u niej ten sam akcent co u Richarda Kite’a, tę samą wyjątkową mieszankę dialektów.

Uniosłem książkę.

– Wszystko, co w tej chwili wiem, bierze się z tej książki, więc wszelkie uwagi z ust kogoś miejscowego byłyby dla mnie bardzo cenne.

– A, no tak. – Dziewczyna nieco się rozchmurzyła.

Poprosiła, żebym poczekał, aż zejdzie na przerwę. O drugiej po południu spotkaliśmy się przed wejściem do kawiarni i wyszliśmy na pokład. Nieco dalej opalało się kilka osób, ale poza tym było raczej pusto. Usiedliśmy i Annie wyjęła z kieszeni na piersiach paczuszkę gumy nikotynowej, wsunęła kawałek do ust i wskazała ręką mój egzemplarz *Nietypowym szlakiem*.

– To ta, w której Sophię nazywają zapadłą dziurą?

– Widzę, że ją pani czytała. – Uśmiechnąłem się.

Pokręciła głową i zaczęła obracać w palcach paczuszkę gumy.

– Nie, ale pamiętam, że w „Empress Express” była jej recenzja... chyba ze trzy lata temu.

W rzeczywistości bliżej pięciu, bo książka ukazała się w 2011 roku.

– Pewnie książka nie zrobiła tu furory.

Zachichotała.

– Mówią, że jak policja w Sophii zobaczy ją u kogoś, to ją konfiskują.

– A gdzie indziej?

Wzruszyła ramionami.

– Ja pochodzę z wyspy Cardigan, na wschodnich krańcach archipelagu. Nienawidziłam tego miejsca. To jedna z mniejszych wysepek. St George, Sophia i Blake Point są na Victorii i Cabot, bardziej na zachód. Na Cardigan nie było co robić, nawet do szkoły płynęło się łodzią. Także do sklepów i jakiej takiej cywilizacji. Mam dwadzieścia dziewięć lat i do szesnastego roku życia nie wiedziałam nawet, co to jest telewizja satelitarna. Mieliśmy jeden kanał i na tym koniec. Puszczali na nim tylko wcześniej nagrane programy, z co najmniej dwutygodniowym opóźnieniem, bo tyle trwała wysyłka kaset z Anglii. – Przez chwilę w milczeniu żuła gumę. – Ale nawet my, mimo nudy panującej na Cardigan, wyśmiewaliśmy się z Sophii.

– Z czego najbardziej?

– Wszyscy nazywali to miasto Zamarzniętym Gównem.

– I naprawdę na to zasługiwało?

– To dziwne miejsce – powiedziała, przesuwając gumę językiem. – Sophia i St George są jak yin i yang. Albo może lepiej, jak doktor Jekyll i pan Hyde. Zaczniemy od tego, że Sophia leży po niewłaściwej stronie góry, więc jest narażona na najbardziej gównianą pogodę z zachodu. Od zachodu wieją najgorsze wiatry, a miasto tkwi dokładnie na ich drodze. Blake Point, gdzie jest port, znajduje się zaledwie trzynaście kilometrów na południe, ale prawie nie ma tam domów, tylko jakieś budy, dlatego większość ludzi zajmujących się rybołówstwem mieszka w Sophii. To kolejna cecha tego miasteczka. Wygląda jak wioska rybacka, ale nie w dobrym sensie tego słowa. To nie jest St Ives czy inne Cape Cod. Jest niechlujne i zaniedbane. I dosłownie śmierdzi. Mieszka tam garstka rolników, a poza tym nic więcej. Nie ma żadnego przemysłu. Wszystkie ważniejsze instytucje, jak banki, budynki lokalnych władz, jedyny na wyspach przyzwoity sklep z odzieżą, biblioteka, wypożyczalnia DVD,

wszystko to mieści się w St George. Tam też pogodę mają do kitu, jak zresztą wszędzie na wyspach. W końcu bliżej jest stamtąd do Antarktydy niż do Ameryki Południowej czy Afryki, ale ponieważ St George leży po „właściwej” stronie góry, nie jest w nim aż tak okropnie zimno i mokro ani tak przygnębiająco jak w Sophii.

– Znała pani kogoś z Sophii?

– W ogóle w życiu? Oczywiście. Ale nie miałam tam żadnych przyjaciół, jeśli o to pan pyta. To zawsze mi się wydawało najdziwniejsze na tych wyspach. Nigdy nie zrodziło się w nas poczucie wspólnoty, solidarności, choć w sumie to zaledwie siedem i pół tysiąca mieszkańców. U nas nigdy nie było jak na Falklandach. Nasze wyspy są większe i rozciągają się na większej powierzchni niż tamte, co pewnie też nie pomaga. A poza tym u nich była wojna, więc to ich na swój sposób zjednoczyło. A u nas to tylko grupki ludzi rozrzuconych na powierzchni setek kilometrów kwadratowych.

Spojrzała na zegarek.

– Jak pani stoi z czasem? – spytałem.

– Mam jeszcze jakieś dziesięć minut.

Wyjąłem z torby kilka zdjęć Richarda Kite’a i Penny Beck i przesunąłem w jej stronę.

– Poznaje pani kogoś z nich? – spytałem.

– Nie. – Pokręciła głową. – A kto to?

– Myślę, że mogli mieszkać w Sophii.

– Nie, nie poznaję. – Odsunęła zdjęcia, a ja wyświetliłem na ekranie telefonu obraz Beth, lecz nim zdążyłem go pokazać, Annie dodała: – Ale to nie tylko to.

Podniosłem na nią wzrok.

– Co „nie tylko to”?

– Sophia. – Spojrzała na mnie. – Nie tylko to, że tam było dużo zimniej albo że śmierdziało.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć... – Wskazała na egzemplarz *Nietypowego szlaku*. – Nie czytałam tego, ale słyszałam, że to, co pisze autor, w dużej mierze odpowiada prawdzie.

– Pod jakim względem?

– Píše tam, że w Sophii mają jakieś tajemnice, prawda?

– Píše, że początkowo traktował to jako żart.

– Początkowo... No właśnie.

Popatrzyłem na nią uważnie.

– To znaczy, że pani też tak uważa?

– To znaczy, że słyszy się różne plotki.

– Na jaki temat?

Na moment przestała żuć. Mewy skrzeczały nad naszymi głowami, szybując za statkiem prującym fale Atlantyku. Byliśmy już półtora dnia drogi od Kapsztadu na kursie południowo-zachodnim, ale słońce nadal ostro grzało. Jednak mimo że było ciepło, a nad naszymi głowami rozciągało się błękitne niebo bez jednej chmurki, na rękach Annie dostrzegłem gęsią skórę.

– Sama nie wiem... Brzmi to idiotycznie, ale docierały do nas pogłoski, że dzieją się tam bardzo dziwne rzeczy. Na przykład znajdowano na szlakach turystycznych masywu Strathyde fragmenty ciał. Kości. Tego typu rzeczy.

– Ktoś to zgłaszał na policję?

– Nie jestem pewna. Główny posterunek policji znajduje się w St George, a w Sophii jest drugi, mniejszy. Z obsadą czterech czy pięciu policjantów. Pewnie się tym zajęli. – Spojrzała na morze. – Tylko że jeśli

coś tam było, a miejscowi chcieli zachować to w tajemnicy, tamtejsza policja mogła to utajnić, nie?

– Tego nie wiem – rzuciłem. – Za mało znam to miejsce.

– No więc powiem panu, że mogła. Zdecydowanie mogła.

– I myśli pani, że tak właśnie zrobili?

Tylko wzruszyła ramionami.

– Ale wierzyła pani w te pogłoski?

– Było ich bardzo dużo, tyle wiem. I jeśli ktoś z Sophii zaczynał opowiadać o zasłyszanych plotkach, to zawsze dotyczyły tego samego. Dziwnych rzeczy dziejących się na szlakach turystycznych, zwłaszcza w rejonie torfowisk. Znikania ludzi. Pól minowych. O tym też mówiono. Musieli nawet postawić wielki płot, żeby uniemożliwić ludziom wstęp na mokradła.

Pamiętałem, że w książce jest mowa o różnych historiach krążących wśród mieszkańców Sophii, dlaczego postawiono ten płot. Próbowałem sobie uzmysłowić, czy cokolwiek z tego mogło mieć związek z losami Richarda Kite’a, Penny Beck, Beth czy Marka, ale jedyne, co mi się kojarzyło, to uwaga Annie o znikaniu ludzi.

Ojciec Penny zniknął.

Chwilowo to odpuściłem, ale ze słów Annie wyłaniał się obraz społeczności całkowicie odciętej – nie tylko od reszty świata, ale nawet od najbliższych sąsiadów. To mogło rodzić różnego rodzaju rzeczy: paranoję, podejrzliwość, skłonność do plotek, strach.

– Wielu twierdziło, że nie chodzi tylko o miny. – Notowałem jej słowa, ale teraz znieruchomiałem z długopisem zawieszonym nad kartką. – Niektórzy nawet mówili, że tam nie było żadnych min.

– To po co ten płot?

Patrzyła na mnie w milczeniu.

– Annie?

Przez chwilę myślałem, że nie odpowie, ona jednak prawie niedosłyszalnie szepnęła:

– Żeby nie wpuścić tego do miasta.

Zmarszczyłem czoło.

– Tego? – powtórzyłem.

Znowu wzruszyła ramionami.

– Co to znaczy „tego”?

– To znaczy... – Głos jej zamarł, pokręciła głową i przez dłuższą chwilę milczała. – Plotki mówiły, że tam może coś być.

– „Coś”?

– Aha.

– Co to znaczy „coś”?

– Wie pan, co mam na myśli. Proszę mnie nie zmuszać, żebym głośno o tym mówiła. – Spojrzała na mnie ostro. Ale ja byłem gotów ją do tego zmusić, bo nawet przez chwilę nie pomyślałem, że może w to wierzyć. – Potwór – dodała cicho.

– Mówi pani poważnie?

– Nie wiem... Tak mówili ludzie z Sophii.

Ta wersja była niemożliwa do przełknięcia. Dużo łatwiej można się było pogodzić z myślą, że miałem do czynienia z legendą opartą na szeptankach, która urosła do tych rozmiarów w bańce otaczającej miasteczko położone gdzieś na krańcu świata.

– Muszę już iść – bąknęła.

– Jasne, mogę jeszcze tylko coś pani pokazać?

– Proszę.

Zwróciłem w jej stronę ekran mojego telefonu i pokazałem wizerunek Beth.

– A ona? – spytałem, upewniając się, że dobrze widzi ekran. – Może ją pani zna?

– To było zrobione na pokładzie tego statku?

– Tak.

Nie powiedziałem nic więcej, ani o Beth, ani o tym, kiedy zdjęcie zostało zrobione. Nie chciałem jej nic sugerować. Annie pochyliła głowę i przez chwilę wpatrywała się w wyświetlacz mojej komórki, po czym, nie przestając żuć gumy, przesunęła się bliżej na leżaku.

– Ona pracuje na *Olympii*? – spytała.

– Nie, nie sędzę.

Zmarszczyła brwi.

– Jest pan pewny, że tu nie pracuje?

– Raczej tak. A co?

– To jej ubranie...

Zwróciłem ku sobie ekran i raz jeszcze przyjrzałem się sylwetce Beth, tym razem zwracając szczególną uwagę na jej ubiór. Musiałem go już widzieć setki razy. Wszystko czarne: bluzka, spodnie, buty. Tyle że tym razem zauważyłem coś jeszcze: na jednej nogawce spodni widniał jakiś motyw, bladoszary, ledwo dostrzegalny. W pierwszej chwili pomyślałem, że to zwykły wzorek, a może logo producenta. Ale to nie było ani jedno, ani drugie. To była płatanina bardzo cienkich sznurów i węzłów.

To był uniform.

– Bo tak u nas ubierają się ludzie serwisu sprzątającego – powiedziała Annie.

41

Kiedy wysiadłem z windy na czwartym pokładzie, poczułem się tak, jakbym był uwięziony w pętli, w filmie z kręcącą się w kółko taśmą. Chodziło nie tylko o ten nieznośny szereg identycznych drzwi po obu stronach, ale także o nieustanne buczenie silników, jedyny realny dowód na to, że jestem nie w hotelu, nie w centrum handlowym, nie w mieście, lecz na pokładzie statku, pośrodku niezmiernego oceanu. Chociaż to odczucie mogło też wynikać z czegoś innego: ze słów Annie o znajdowanych ludzkich szczątkach, o płocie postawionym po to, by powstrzymać ludzi, i o mieście, które nie mogło się uporać z własną historią.

Próbowałem się z tego otrząsnąć, zmierzając pustym korytarzem ku miejscu, w którym kamera monitoringu uchwyciła idącą Beth.

Każdy pokład miał własną pralnię, do której prowadziły drzwi z napisem TYLKO DLA PERSONELU, co zauważyłem podczas zwiedzania statku. Na czwartym pokładzie drzwi były uchylone i w środku dostrzegłem półki ze stosami ręczników i pościeli, a także regał pełen mydełek i szamponów. Kobieta około pięćdziesiątki właśnie ładowała na wózek zapas rolek papieru toaletowego. Poczekalem, aż wyjdzie na korytarz.

– Przepraszam panią.

Zatrzymała się. Zawieszona na cienkim sznurku podkładka z planem pokładu zakołysała się i stuknęła o plastikowy kosz wózka. Kobieta uśmiechnęła się i zamrugała niepewnie, a ja od razu wyczułem, że nie mówi dobrze po angielsku. Była Senegalką, na imię miała Léna.

– *Bonjour, Léna.*

– *Bonjour* – powiedziała z uśmiechem.

Wyjąłem telefon, odnalazłem zdjęcie Beth, powiększyłem je tak, by nie było widać daty, i podsunąwszy jej przed oczy, zwróciłem się do niej możliwie najlepszą francuszczyzną:

– Na imię mi David i jestem kimś w rodzaju policjanta. Widziałaś kiedyś tę kobietę?

Pochyliła głowę, mrużąc lekko oczy, po czym sięgnęła do kieszeni i wyjęła okulary. Włożyła je, znów się nachyliła i spojrzała w ekran.

– Nie – powiedziała.

– Nie znasz jej?

– Nie, nie znam. – Zdjęła okulary i schowała je do kieszeni. – Michael może znać. Jest tam. – Wskazała ręką drzwi dla personelu za moimi plecami.

– Kto to jest Michael?

– On tu kieruje.

– Twój szef?

– Tak. – Znów się uśmiechnęła. – Mój szef.

– Okej, dzięki, Léno.

Przez chwilę patrzyłem, jak oddala się korytarzem, po czym dwukrotnie zastukałem do drzwi. Nikt się nie odezwał, więc zapukałem jeszcze raz. Cisza. Otworzyłem drzwi szerzej.

W środku panowała duchota, na ścianach błyszczały kropelki wilgoci, pomieszczenie zastawione było metalowymi regałami. Wszedłem

i zobaczyłem, że cały środek zajmuje duży stół ze stertami pościeli i ręczników, niektórych wyprasowanych i poskładanych, innych zwiniętych w tobołki. Pod tylną ścianą stał rząd przemysłowych automatów piorąco-suszających, z których dobywało się ciche dudnienie wirujących bębnow, ale nie było tu nikogo.

– Halo?

Regały tworzyły swoisty labirynt, a ponieważ wszystkie były od góry do dołu zapełnione pościelą i ręcznikami, nie było widać, co się za nimi mieści.

– Halo? – rzuciłem ponownie, potem jeszcze raz, ale mój głos zdawał się tonąć w hurgocie maszyn pralniczych. – Michael?

Upewniwszy się, że nie ma tutaj nikogo, ruszyłem dalej. Minąłem stół i przejściem między regałami skierowałem się do automatów. Ich cykl pracy składał się z minutowych faz: głośny warkot przez sześćdziesiąt sekund, a potem chwila ciszy, kiedy bęben zmieniał kierunek obrotów. Tworzyło to dość nieprzyjemną kakofonię: drapiący uszy hurgot, z częstymi przerwami, jakby odtwarzano na gramofonie setki płyt, które raz po raz się zatrzymywały.

Dotarłem do dwóch rzędów automatów, ustawionych piętrowo pod tylną ścianą – z bliska huczały jeszcze głośniejsze. W lewym końcu zobaczyłem uchylone drzwi z tabliczką KIEROWNIK.

– Michael?

W środku widać było kolejne regały, pełne butelek wybielacza, płynów do WC i detergentów. Pod ścianą stało biurko z komputerem, na półce leżał stos plastikowych teczek na dokumenty. Kiedy pchnąłem drzwi, przez hałas automatów pralniczych przebiło się głośne skrzypnięcie zawiasów i drzwi stuknęły o ścianę.

W kantorze nie było nikogo.

Wszedłem i popatrzyłem dokoła. Podszedłem do biurka i poruszyłem myszką, wybudzając komputer z uśpienia, ale pojawiło się żądanie hasła. Zajrzałem do szuflad biurka, w nadziei, że znajdę wykaz zatrudnionych lub jakiegokolwiek dokumenty z ostatnich dziewięciu miesięcy, ale niczego takiego tam nie było. Zresztą nie bardzo chciało mi się wierzyć, żeby Beth pracowała w serwisie sprzątającym, nawet jeśli nosiła taki uniform.

Zlustrowałem resztę pomieszczenia.

Jeśli tutaj nie pracowała, to nosiła ten uniform po to, by się wmieszać w tłum pracownic lub uzyskać do czegoś dostęp. Na przykład do tego pomieszczenia. Kamera monitoringu uchwyciła ją w uniformie sprzątaczkii, idącą korytarzem w tę stronę. Czego mogła szukać w pralni?

Zawróciłem do wejścia, spojrzałem na regały i znów zerknąłem w stronę kantoru.

I wtedy dostrzegłem kratkę wentylacyjną.

Umieszczona była nisko na ścianie, dwa centymetry nad podłogą. Jeden z wkrętów był obluzowany i niemal wisiał. Jakby często wykręcano go i wkręcano. I było coś jeszcze: pełno odcisków palców wokół kratki, jakby ktoś, chcąc ją podważyć, zapierał się rękami o ścianę.

Ukląknąłem przed kratką i za pomocą spinacza wziętego z biurka powoli wykręciłem wszystkie cztery śrubki. Kratka z brzękiem upadła na podłogę. Odsunąłem ją na bok, schyliłem się i zajrzałem do otworu. Miał wysokość zaledwie piętnastu centymetrów i w pierwszej chwili nie zobaczyłem nic poza warstwą kurzu i paroma jedwabistymi pajęczynami.

Szybko jednak zdałem sobie sprawę, że to nie wszystko.

Wewnątrz coś było.

Sięgnąłem po telefon, włączyłem latarkę i położyłem dłoń płasko na podłodze. Niemal przytykając policzek do linoleum, poświeciłem do

wnętrza otworu wentylacyjnego. W smudze światła od razu coś zobaczyłem.

Czerwoną plastikową torbę.

Była wepchnięta głęboko w otwór i musiałem trochę się namęczyć, zanim ją wydobyłem. Nie dlatego, że nie mogłem jej dosięgnąć, ale dlatego, że otwór był bardzo wąski i umieszczony tuż przy podłodze. W końcu udało mi się zahaczyć palcami o rączkę torby i po kilku nieudanych próbach wyciągnąłem ją. Natychmiast rozpoznałem jej zawartość.

Uniform sprzątaczk.

Na brzegach nogawek spodni odłożyła się warstewka soli morskiej, twarda i krucha, a w paru miejscach dostrzegłem ślady brudu i plamy po jedzeniu. Ale w torbie był nie tylko uniform. Kiedy go wyjąłem, wypadło jeszcze kilka rzeczy. Rozsypały się na podłodze.

Karta pokładowa wielkości karty kredytowej, wydawana pasażerom, którzy chcieli zejść na ląd w czasie postoju statku w porcie. Była podniszczona; plastikowa powłoka odstawała na rogach. Z torby wypadł także spięty niebieską gumką plik banknotów – dolary amerykańskie. Zdjąłem gumkę i szybko je przeliczyłem. Dwieście dolarów. W torbie były również artykuły spożywcze: batony czekoladowe, suszone owoce, pojemniki jogurtu i pakowane kanapki – wszystkie przeterminowane. Na samym dole leżały dwie fotografie, obie stare i zniszczone. Spojrzałem na nie i aż ścisnęło mnie w żołądku.

Bo wiedziałem już na pewno.

Torba należała do Beth.

42

Dwie fotografie leżały na moich kolanach niczym podarunek.

Jedna przedstawiała obie przybrane siostry. Wyblakła i zniszczona, najdawniejszy wizerunek Penny, jaki dotąd widziałem. Dziewczynki były małe: Penny miała ze trzynaście, czternaście lat, Beth dwa lata mniej. Siedziały w swoim pokoju, objęte, szeroko uśmiechając się do obiektywu. Przyjrzałem się fotografii w poszukiwaniu jakichś wskazówek, ale nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Po prostu miłe, ciepłe zdjęcie.

Przeniosłem wzrok na drugą fotografię.

Ta była zupełnie inna.

Wyglądała na jeszcze starszą, zrobiono ją chyba w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku. W środku kadru stał czterdziestokilkuletni mężczyzna w pastelowej marynarce, T-shircie, płóciennych spodniach i skórzanych butach. Miał niesforną szopę jasnych włosów i ciemne wąsy. Z uśmiechem wyciągał puszkę piwa ku robiącemu zdjęcie. Gdybym nawet nie poznał po ubiorze, że fotografia pochodzi sprzed około trzydziestu lat, domyśliłbym się tego po marce piwa Hofmeister i wyglądzie samej fotografii: była wyblakła i poplamiona, przetarta na brzegach, jakby ktoś bardzo często brał ją do ręki i oglądał. We wszystkich czterech rogach widniały dziurki po pineskach, którymi kiedyś była pewnie przypięta do ściany.

W rysach mężczyzny było coś znajomego, ale nie miałem wątpliwości, że nigdy wcześniej go nie widziałem. Jeszcze chwilę mu się przyglądałem, wciąż słysząc hurgot automatów pralniczych w pomieszczeniu obok, po czym przeniosłem wzrok na zdjęcie Penny i Beth.

Wszystko nabrało ostrości.

Patrzyłem raz na jedną, raz na drugą fotografię, na samotnego mężczyznę i na dwie dziewczynki, a potem sprawdziłem, czy jest coś napisane na odwrocie zdjęć.

Na obu było.

Użyto do tego dwóch różnych długopisów – niebieskiego i czarnego – ale charakter pisma był ten sam. Rozpoznałem go bez trudu: lekkie pochylenie liter, charakterystyczne zaokrąglenie w „s”, brak kropki nad „i”. Widziałem to pismo wielokrotnie w notatkach, które pokazywał mi Howson, w zapiskach poutykanych w różnych miejscach, wetkniętych między kartki książek i przyklejonych do spodów szuflad. To było pismo Penny. To były jej zdjęcia. Musiała je zostawić, gdy wyjechała do Anglii, i Beth je po niej przejęła.

Na odwrocie fotografii sióstr Penny napisała: *Nigdy nie chciałam nas skrzywdzić*. Na zdjęciu mężczyzny widniało tylko jedno słowo.

Caleb.

Natychmiast przypomniałem sobie rozmowę z Howsonem, kiedy opowiadał mi o Penny, o jej śmierci i o powodach, dla których mogła stać się ofiarą. O tym, czego się od niej dowiedział. Odkryła, że między rokiem dwutysięcznym a dwa tysiące trzecim Marek przepuszczał pieniądze przez konto szkoły Red Tree, i zdobyła potwierdzające to dokumenty finansowe, a na jednym z nich napisała *Caleb*.

Ale to nie dlatego mężczyzna na zdjęciu wydał mi się znajomy.

Nie chodziło ani o jego imię, ani o związek z dokumentami skradzionymi z pomieszczenia ochrony. Chodziło o to, że był bardzo podobny do Penny.

Caleb był ojcem Penny.

Patrzyłem na Caleba Becka i jego córkę, starając się uporządkować myśli. A potem spojrzałem na torbę schowaną przez Beth w otworze wentylacyjnym. Byłem pewny, że te rzeczy należały do niej, zastanawiałem się jednak, dlaczego je tu zostawiła. Dlaczego ich stąd nie zabrała, dlaczego artykuły spożywcze były już przeterminowane. I nagle mnie olśniło.

Marek.

Odnalazł ją.

Zrobiło mi się niedobrze na myśl o rozmowie, którą przeprowadził w szkolnym komunikatorze. Oświadczył wtedy, że znajdzie Beth, i dokonał tego. Nie wiedziałem, czy znalazł ją gdzieś w Anglii, czy na wyspach Empress, czy w którymś z portów odwiedzanych przez *Olympię*, czy tu, na statku, ale ją znalazł.

Dopadł ją, tak jak dopadł Penny.

Spojrzałem ponownie na fotografię obu siostr i poczułem, że ogarnia mnie wściekłość, a zaraz potem żal i poczucie bezsilności. Wiedziałem, że nie mogłem zrobić nic, żeby im pomóc. Sprawę jeszcze pogarszały słowa, które Penny napisała na odwrocie, skierowane do Beth. Dowód na to, że siostry się skłóciły i ich drogi się rozeszły. Czy tak było, gdy zastała ją śmierć? Miałem nadzieję, że nie. Ból związany ze stratą kogoś kochanego z czasem słabnie. Ból spowodowany wyrzutami sumienia, niemożnością naprawienia błędu, pozostaje na zawsze, niczym blizna.

Powróciłem do Caleba Becka, człowieka, który zniknął z życia Penny, kiedy ledwo zaczynała mówić. Patrzyłem na zdjęcie, coraz bardziej przekonany, że to ojciec Penny – podobieństwo było w oczach, w kształcie

nosa, w linii szczęki – i nagle raziała mnie bolesna myśl. Jakbym poczuł w ustach posmak krwi.

Pieniądze.

Jeśli Penny się nie myliła, jeśli prawdziwie zinterpretowała machinacje finansowe w miesiącach poprzedzających jej śmierć, Caleba Becka coś łączyło z pieniędzmi przelewanymi przez Marka. Czyżby był ich odbiorcą? Czyżby nadal gdzieś żył? Brzmiało to całkiem bezsensownie. No bo jeśli tak, jeśli świadomie wdał się w konszachty z Markiem, to musiałby też wiedzieć o zabiciu Penny. Pracowałem nad wieloma sprawami, zarówno jako detektyw, jak i dziennikarz, i zetknąłem się z wieloma potwornościami, jakich ludzie się dopuszczają. Bywałem nimi wstrząśnięty i kompletnie wytrącony z równowagi. Ale raczej się nie zdarzało, by rodzice mordowali z zimną krwią własne dziecko. A już na pewno nie dla pieniędzy. Nie dlatego, że dziecko grzebało w ich finansach.

Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej wydawało się to absurdalne i tym bardziej nabierało cech kolejnej złowrogiej intrygi Marka, jakiegoś bezlitosnego czynu dla własnej korzyści. Stąd było już niedaleko do podejrzenia, że mogło to dotyczyć pieniędzy należących do Caleba Becka, które Marek ukradł.

– Tu nie wolno wchodzić.

Uniosłem głowę znad rozrzuconych na podłodze rzeczy.

Głos dobiegał z pralni. Ktoś tam był.

43

Przekręciłem się na kolanach i spojrzałem w otwarte drzwi. Miałem przed sobą tylko rząd regałów, które zasłaniały mi widok.

– Powiedziałam, że tu nie wolno wchodzić.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to do mnie, ale w moim polu widzenia nie było nikogo i nic nie wskazywało na to, że zostałem nakryty. Mimo to uznałem, że najwyższa pora się zwijać. Szybko sfotografowałem wszystkie przedmioty na podłodze, spakowałem je z powrotem do torby, wetknąłem ją do otworu wentylacyjnego, zamocowałem kratkę i podniosłem się z kolan.

A potem wyjrzałem do pralni.

W środku zobaczyłem kobietę o oliwkowej skórze i długich włosach, która stała plecami do mnie i pochylona nad stołem, składała wyprasowane prześcieradła. Przesunąłem się w lewo, pod ścianą, kryjąc się za leżącymi na półkach stertami ręczników i pościeli. Niezauważony przez kobietę, dotarłem do drzwi, nacisnąłem klamkę i zlustrowałem wzrokiem korytarz.

Wydawał się pusty.

Wymknąłem się przez uchylone drzwi pralni na spowity ciszą korytarz, ruszyłem w stronę wind i wsiadłem do pierwszej, która jechała na górę. Było już dobrze po południu i zgodnie z poranną prognozą pogoda zaczynała się psuć. Zachmurzyło się i nieco ochłodziło, ale najwyraźniej

nikomu to nie przeszkadzało. W basenach, przy barze i w restauracji na wolnym powietrzu nadal były tłumy.

Ruszyłem ośmiusetmetrową bieżnią dla biegaczy, która okrążała cały pokład. Trudno było uwolnić się od tłumów, ale udało mi się znaleźć wolną ławkę na rufie, skąd roztaczał się widok na ciągnący się za statkiem kilwater w kształcie litery V. Wszystko na tym kolosie było tak ogromne, że nim dotarłem na miejsce i usiadłem, niebo jeszcze bardziej się zachmurzyło i zerwał się wiatr. Otoczony bezkresem oceanu, zacząłem przeglądać zdjęcia, które zrobiłem w pralni. Uniform sprzątaczk. Pieniądze. Przeterminowane jedzenie. Fotografie.

– David Raker?

Uniosłem głowę.

Stał przede mną potężnie zbudowany mężczyzna pod czterdziestkę, z głową ogoloną na zero i niebieskimi oczami. Był ode mnie na wyciągnięcie ręki, ciut za blisko, by nie poczuć zagrożenia.

Spojrzałem na jego plakietkę.

Larry Grobb.

Flaga obok nazwiska wskazywała, że jest Amerykaninem.

Był ubrany zwyczajnie, w płócienne spodnie i koszulkę polo, ale to nie mogło mnie zwieść. Na kilometr pachniał pracownikiem ochrony. Widząc, że nie zamierzam uciekać, usiadł obok mnie na ławce. Odłożyłem na bok telefon, po czym nagle coś sobie uprzytomniłem: Larry Grobb. Inicjały L.G.

– Jestem Larry – przedstawił się. – Z ochrony statku.

Przez chwilę przyglądał mi się tak, jakby próbował coś ze mnie wyczytać, po czym odwrócił głowę i spojrzał na kilwater za statkiem.

– Słyszę, że nagabuje pan ludzi. – Ściszył głos. – Podobno jest pan kimś w rodzaju detektywa. To prawda?

– Nie sądzę, bym musiał panu cokolwiek mówić, prawda?

Spojrzał na mnie z ukosa, ale się nie odezwał.

– Chyba Marek już wszystko panu o mnie powiedział.

Po twarzy przemknął mu cień uśmiechu.

– Osoby płynące tym statkiem albo są na wakacjach, odpoczywają i dobrze się bawią, albo tu pracują. A ty się kręcisz, zaczepiasz ludzi i wprowadzasz nerwową atmosferę. Myślą, że dzieje się coś złego, a tak nie jest. Załoga się niepokoi, kiedy poważnie wyglądający facet zaczyna o coś wypytywać. Pasażerowie też się denerwują. – Poprawił się na ławce i wlepił we mnie spojrzenie. – A to już niedobrze.

Patrzyłem na niego bez słowa.

– To teraz nie będziesz się odzywał, tak? – prychnął Grobb.

– Czego chcesz?

Grobb rzucił mi pozbawiony wesołości uśmiech.

– Ona już nie żyje – mruknął.

Nadal mu się przyglądałem.

– Beth. – Wzruszył ramionami. – Jeśli jej szukasz, to spóźniłeś się o jakieś dziewięć miesięcy. On zaopiekował się nią już w styczniu.

Trudno było wyczuć, czy w jego głosie pobrzmiewa nutka żalu, czy nie. Rozłożył ręce i spod rękawka jego koszuli wysunął się tatuaż: dolna połowa amerykańskiego orła w trójkącie i pod spodem słowo: AIRBORNE.

Były komandos.

– Powiem ci, co teraz zrobimy. – Rysy twarzy mu stwardniały. – Teraz obaj wstaniemy i pójdziesz grzecznie ze mną.

– Czemu miałbym to zrobić?

– Bo albo zrobisz to dobrowolnie, bez uszczerbku na twoim honorze, albo na oczach tych wszystkich ludzi założę ci kajdanki i zawlokę do windy jak psa.

Powiódł wzrokiem po tłumie na pokładzie, a ja, podążając za jego spojrzeniem, dostrzegłem jeszcze trzech ochroniarzy, ubranych jak Grobb, którzy zmierzali w naszą stronę z różnych stron statku. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem czwartego, zbudowanego jeszcze masywniej niż Grobb – szedł bieżnią, nie spuszczać ze mnie oczu.

– To jak z nami będzie, David?

Kilkoro turystów już zwróciło uwagę na zbliżających się do mnie ochroniarzy i w milczeniu się nam przyglądało. Gorączkowo szukałem w głowie jakiegoś pomysłu, ale znajdowałem się na pokładzie statku, pośrodku oceanu, otoczony przez pięciu mężczyzn, którzy i tak mnie w końcu dopadną, nawet jeśli teraz zdołam im uciec.

– Bardzo rozsądnie – skwitował Grobb, jakbym udzielił mu jakiejś odpowiedzi, po czym chwycił mnie za rękę i dźwignął z miejsca.

Puścił mnie, gdy już wstałem.

– Chodź ze mną – rzucił.

44

Zaprowadzili mnie do biura ochrony na dolnym pokładzie, tuż obok restauracji. Za nieoznakowanym wejściem ciągnął się korytarz z szarymi metalowymi ścianami i trojgiem drzwi. Kończył się szklaną ścianą, za którą mieściło się biuro.

Ochroniarze wyminęli nas w korytarzu i weszli do biura, dołączając do dwóch innych. Jeden z nich coś jadł, drugi przerzucał gazetę. Pozostałe biurka były puste, z wyjątkiem jednego na samym końcu, gdzie siedział przed komputerem ogromny pluszowy miś z zawieszoną na szyi tabliczką z napisem KIEROWNIK.

– Tutaj – burknął Grobb, przeciągając kartę przez szczelinę czytnika przy pierwszych drzwiach po prawej stronie korytarza. Mieścił się tam pokój przesłuchań: dwa krzesła, stół przytwierdzony do bocznej ściany i mała kamera zamontowana w kącie pod sufitem. Okien nie było, bo znajdowaliśmy się już poniżej linii zanurzenia. – Wchodź i siadaj – polecił.

Niespodziewanie pchnął mnie, aż zatoczyłem się do wnętrza, a on zatrzasnął za mną drzwi.

Na drzwiach od środka nie było klamki ani nic, czego można by się uchwycić. W pomieszczeniu panował upał i jeśli nawet była tu klimatyzacja, to mocno ją przykręcono. Wyjąłem z kieszeni telefon i sprawdziłem sygnał, ale zniknął już dawno, niewiele ponad kilometr od

naszego wypłynięcia z Kapsztadu. Podeszedłem do stołu i usiadłem. Im dłużej siedziałem, tym bardziej rosło we mnie poczucie zagrożenia. Wstałem, podeszedłem do drzwi i zastukałem, jednak rozległ się tylko słabiutki głuchy odgłos, jakby dźwięk dochodził z bardzo daleka. Zastukałem ponownie, tym razem dużo mocniej, ale nikt nie zareagował.

Spojrzałem na kamerę pod sufitem, której obiektyw był wymierzony prosto we mnie, a przy jego obudowie świeciła się czerwona lampka. Kamera była włączona – obserwowali mnie. Widzieli, jak dobijałem się do drzwi. Mogli widzieć wszystko, co robię. Wpatrując się w kamerę, czułem w środku – w kościach i krwi – sygnały ostrzegawcze.

Wróciłem do stołu i siedziałem, próbując coś wymyślić. Pot zrosił mi czoło, spływał po plecach – choć nie tyle ze strachu, ile z upału. Myliłem się co do klimatyzacji: nie przykręcono jej, tylko całkiem ją wyłączono i w pomieszczeniu było gorąco jak w piecu.

– David? – dobiegł z za drzwi stłumiony głos Grobba.

Zerwałem się z krzesła, podbiegłem do drzwi i zacząłem walić w nie pięściami.

– Słuchasz mnie, David?

– A jak myślisz?

– Na twoim miejscu wygodnie bym się rozgościł.

– Co się, do cholery, dzieje?

– A na co to wygląda?

– Wygląda na to, że nie zamierzasz tu wrócić.

– Zgadłeś.

Za drzwiami znów zapadła cisza. Spojrzałem do tyłu, na wymierzony wprost we mnie czarny obiektyw kamery.

– Co się dzieje, Grobb?

– Siedź spokojnie.

- Dlaczego?
- Bo trochę to potrwa.
- Dlaczego?
- Dowiesz się w odpowiednim czasie.

45

Wieczór zamienił się w noc, noc przeszła w poranek.

Z początku często zerkałem na zegarek, licząc minuty, ale kiedy z poranka zrobiło się popołudnie, z popołudnia wieczór, przestałem liczyć czas i wpadłem w otępienie. W końcu usnąłem na krześle, z głową opartą na rękach złożonych na stole.

Śniło mi się to samo co pierwszej nocy na statku: że się gubię w labiryncie pełnym drzwi – i gdy się obudziłem, byłem zlany potem, kompletnie oszołomiony, niepewny, gdzie jestem. Wyprostowałem się, oprzytomniałem trochę i wszystko znów nabrało ostrości.

Próbowałem zebrać myśli i ułożyć jakiś plan, ale była już ósma wieczorem, od dwudziestu ośmiu godzin nie miałem kropli wody w ustach i w głowie mi łupało. Obróciłem się na krześle, spojrzałem w kamerę i pokazałem, że chce mi się pić, ale wątpiłem, by to coś dało. Otwarcie drzwi oznaczało dla nich ryzyko, choćby bardzo niewielkie.

Mijały kolejne godziny i ból głowy się potęgował.

Próbowałem przymknąć oczy, próbowałem usnąć, oparty na stole, ale od tej pozycji zaczęły boleć mnie plecy. Nad ranem wstałem i zacząłem krążyć po pokoju, niczym więzień na spacerniaku. Liczyłem głośno okrążenia, żeby czymś zająć myśli, na czymś skupić uwagę. Ciekawe, ile razy zdołam obejść to pomieszczenie? Szybko jednak straciłem rachubę

i po chwili znów krążyłem w milczeniu. Niedługo potem zrobiło się popołudnie, później wieczór, aż w końcu nastąpiła noc.

Sprawdziłem siłę sygnału w telefonie, ale znajdowaliśmy się na środku Atlantyku, dzień drogi od wysp Empress, i sygnał tu nie dochodził. Co gorsza, bateria była już na wyczerpaniu. Telefon był teraz tylko rozszerzeniem notatnika, uśpionym kawałkiem plastiku, w którym trzymałem notatki, szkice i fotografie. Wyłączyłem go.

Nie miałem żadnego pomysłu.

Nie widziałem żadnego wyjścia.

...

Musiałem chyba przysnąć, bo zanim się zorientowałem, że coś się dzieje, drzwi zdążyły się otworzyć i zamknąć, a na podłodze leżała butelka z wodą, pełna w jednej czwartej.

Zerwałem się od stołu i choć w głowie wciąż mi łupało, rzuciłem się na butelkę i dwoma haustami pochłonąłem całą zawartość, czując, jak woda spływa mi od gardła do żołądka. Była letnia, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Piłem ją tak łapczywie, że trochę wylało mi się na twarz, rękę i klatkę piersiową. Skończyłem pić i westchnąłem zdyszany, czując wilgoć na T-shircie i na chwilę zapominając o panującym tu upale. Zaraz jednak wrócił i znowu zrobiło się gorąco jak w piecu.

Była dwunasta w południe. Zamknąłem oczy i próbowałem się skupić. Dwunasta, czyli za jakieś siedem godzin dopłyniemy do wysp Empress. Czy właśnie na to czekają? Czy dlatego trzymają mnie tutaj?

Coś chrupnęło.

Drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się twarz Grobba, który natychmiast odnalazł mnie wzrokiem, jakby obserwował mnie w kamerze i wiedział dokładnie, w którym miejscu pokoju jestem.

– Siedź i się nie ruszaj – warknął.

Zrobiłem, co kazał, a on otworzył drzwi na tyle szeroko, że mogłem za jego masywną sylwetką dojrzeć fragment korytarza. Wyglądało na to, że włączone jest nocne oświetlenie, bo korytarz był pogrążony w mroku, z jaśniejszymi plamami kremowego światła lampek. Grobb usunął się na bok i w drzwiach stanęły dwie inne osoby.

Jedną z nich był Alexander Marek.

Drugą Roland Dell.

46

Chwilę trwało, zanim to do mnie dotarło. Pojawienie się tutaj dyrektora szkoły Red Tree było tak absurdalne, że wręcz niemożliwe do pojęcia. Ale potem Roland Dell wszedł do środka, obrzucił uważnym spojrzeniem wnętrze i wszystko zaczęło się układać w całość.

Był ubrany w dżinsy, marynarkę i białą koszulę rozpiętą pod szyją. Włosy miał gładko zaczesane do tyłu, zarost na twarzy obfitszy niż wtedy, gdy widziałem go w szkole. Wyglądał na zmęczonego, jakby brakowało mu snu, ale nadal był przystojnym, atletycznie zbudowanym czterdziestoosmioletnim mężczyzną z niebieskimi oczami, jarzącymi się w blasku lamp na suficie. Tyle że tym razem dojrzałem w nim coś jeszcze, co przedtem skrzętnie ukrywał i o czym teraz świadczył wyraz jego oczu, który aż mnie zmroził. Zdałem sobie sprawę, że postać sympatycznego i utalentowanego pedagoga i dyrektora ekskluzywnej szkoły jest tylko rolą, którą z powodzeniem odgrywa. Rolą, w którą się wcielał, przybierając inną skórę.

Stał wpatrzony we mnie, a Marek pól kroku za nim, jak posłuszny sługa czekający na rozkazy. Ich wzajemna relacja nie budziła już żadnych wątpliwości. Wszystkie moje przemyślenia na temat Marka powinienem odnieść do Della. Marek tylko wykonywał jego polecenia, sprawnie i dyskretnie realizował jego plany.

Jednak to Dell był architektem.

Spojrzałem na Marka. Jego oczy też były niebieskie, ale bez porównania mniej świetliste od oczu Della i lampy się w nich tak nie jarzyły. Co więcej, zdawały się w nich tonąć, niczym wrak opadający na dno oceanu. Tak jak poprzednio, miał włosy związane w kitkę z tyłu głowy, przez co dobrze widziałem bliznę na jego czole. Nie wyglądał groźnie, a jednak był niebezpieczny. Obaj byli.

Niemal roztaczali wokół siebie taką woń.

Marek zatrzaskał drzwi i dopiero wtedy Dell się poruszył. Usłyszałem pyknięcie włączającej się klimatyzacji, a on wlepił spojrzenie w kamerę i czerwona lampka zamigotała, po czym zgasła.

Nie chcieli, by nasze spotkanie zostało nagrane.

Dell przysunął sobie krzesło, usiadł naprzeciwko mnie i położył ręce na stole. Lekko przechylił głowę i zaczął mi się przyglądać, być może szukając we mnie objawów strachu. Z przerażenia skręcał mi się każdy mięsień, każdy nerw płonął, każdy centymetr czaszki bolał, ale udawało mi się tego nie okazywać. Nie uciekłem wzrokiem przed jego spojrzeniem i to w końcu on odwrócił wzrok i obejrzał się na Marka, który stał tuż za nim, z rękami założonymi za plecami.

– Już zdążyłem zapomnieć, jak to, kurwa, jest daleko. – Znowu popatrzył na mnie i uśmiechnął się. – Płyniecie już... ile? Cztery dni, i wciąż jeszcze nie dopłynęliście. To prawdziwy koniec świata, w dodatku z gównianą pogodą, a te ich miasta to zapadłe dziury. Wszyscy się zachwycają, że St George jest takie nowoczesne, ale nowoczesne w stosunku do czego? Chyba do średniowiecza.

Parsknął, nie odrywając ode mnie wzroku.

– Ale mogę powiedzieć ci tyle... – Nachylił się nad stołem, jakby chciał wyjawić mi jakiś pradawny sekret. – Raj podatkowy, znajdujący się tak

daleko od wszystkiego, ma swoje zalety. Może nie jest tak kuszący jak Kajmany, bo nie ma tu palm ani rumu z colą na plaży po pracy, ale dzięki temu nie ma też żadnych wścibskich detektywów ani pismaków, którzy zjeżdżaliby się na wyspy Empress pod pretekstem „podróży służbowej”. Wszyscy po prostu zapominają o tych wyspach, a wiesz, co to znaczy? To znaczy, że można tu robić rzeczy, jakich nie da się robić gdzie indziej.

– Wiem – powiedziałem. – Przeglądałem twoje finanse.

Choć uśmiech mu nieco przygasł, Dell nie dał się zbić z tropu.

– Tak myślałem. No bo cóż innego mogłoby cię sprowadzić na wyspy Empress, prawda?

W słowie „prawda” wreszcie to dosłyszałem: jego akcent. Ukrywał go przede mną w szkole, ale teraz nie musiał już tego robić.

On też pochodził z tych wysp.

– Tak, zgadza się – potwierdził, widząc, że już odgadłem. – Mój ojciec był dyplomata. Urodziłem się na Bermudach, ale ojcu zaproponowano stanowisko gubernatora tych wysp i przeprowadziliśmy się, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. – Przerwał i znów się uśmiechnął. – Dziękuję, tatusiu.

– Więc to ty przepuszczałeś pieniądze przez konto Red Tree?

Wzruszył ramionami.

– Kiedy ostatnio słyszałeś o kontroli skarbowej w jakiejś szkole, David? Zdarzają się, ale bardzo rzadko. Szkoła to świetne miejsce na ukrywanie różnych spraw.

Jego słowa spowodowały, że coś jeszcze wskoczyło na swoje miejsce w tej układance: pierwsze płatności w księgach Red Tree pojawiły się we wrześniu 2000 roku.

W tym samym miesiącu Dell został dyrektorem szkoły.

– Pozwól, że o coś cię spytam – powiedział, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Jak myślisz, dlaczego powierzyli mi stanowisko dyrektora

szkoły, choć miałem zaledwie trzydzieści dwa lata?

Znów mnie zaskoczył, jakby wiedział, w jakim kierunku podążają moje myśli.

– Później sprawdziłem się na tym stanowisku i bardzo lubię tę pracę, ale w tak prestiżowej szkole, o takiej renomie, z tyloma superbogatymi rodzicami i radą złożoną z tępaków, od których zależała decyzja... dlaczego mieliby powierzyć najważniejsze stanowisko w szkole młodemu nauczycielowi historii, który pracował tam zaledwie pięć lat, a dopiero od dziewięciu był nauczycielem?

– Bo ich przekupiłeś.

– Niegłupi jesteś. – Wymierzył we mnie palec. – Bo widzisz, życie od wczesnych lat mnie nauczyło, że jak jesteś bogaty, to nie znaczy, że mniej zależy ci na pieniądzach. Absolutnie nie. To tylko wzmacnia chęć bycia jeszcze bogatszym.

– Czyli nie wszystko wpłacałeś na zagraniczne konta, tak? Część pieniędzy zatrzymywałeś dla członków zarządu i dla siebie?

– Właśnie. Mój udział nigdy nie przechodził przez szkolne księgi.

– Twój „udział”?

– Tak to można nazwać.

– Więc skoro twój „udział” nie przechodził przez szkolną księgowość, to do kogo należą te trzy konta bankowe na wyspach Empress?

Tym razem nie odpowiedział.

– Ukradłeś te wszystkie pieniądze Calebowi Beckowi?

Uśmiechał się ironicznie, jakby moje słowa tak bardzo odbiegały od prawdy, że nie zasługiwały na odpowiedź, ale gdy oskarżyłem go o kradzież pieniędzy, w jego oczach coś zaiskrzyło. Czyżby właśnie to wykryła Penny, podążyła tym tropem i zapłaciła za to życiem? Wpadła na to, że Dell okradł jej ojca?

– To ty zamordowałaś Caleba Becka?

Dell tylko na mnie patrzył.

– A Penny?

Cisza.

Czułem, że to dobry trop. Dell wyraźnie się starał, by nie okazywać zdziwienia, zdenerwowania czy złości, i choć gra mięśni na jego twarzy była ledwie widoczna, mikroskopijne drgnięcia mówiły wszystko.

– To dlatego Penny przybrała nazwisko Corrine Wilson – ciągnąłem, bo coraz bardziej rozjaśniało mi się w głowie. – Nie wiedziałaś, kim ona jest, prawda? Trafiała do twojej szkoły nie dlatego, że chciała uczyć, a w każdym razie nie to było głównym powodem. Chciała pracować w Red Tree, żeby mieć wgląd w twoje sprawy, poznać losy swojego ojca. Podejrzewała, że miałaś coś wspólnego ze zniknięciem Caleba Becka.

Zamilkłem. Pamiętałem, jak Jacob Howson mówił, że Penny bardzo się starała pozbyć swojego wyspiarskiego akcentu, ale czasem coś jej się wymykało.

Próbowała się go pozbyć, żeby Dell niczego się nie domyślił.

Czy właśnie to doprowadziło do jej śmierci? Nie to, że Marek odkrył, że skopiowała dane z pomieszczenia ochrony, grzebała w jego komputerze i ukradła kartę do wejścia, ale jej drobna wpadka z akcentem przy Rolandzie Dellu?

Pokręcił głową, lecz jednocześnie odwrócił ode mnie wzrok, jakby zdał sobie sprawę, że go przejrzałem.

– Dureń z ciebie, wiesz o tym? – Odchylił się na krześle. – Ale nawet ty musisz rozumieć, że to wszystko nie ma znaczenia. To, co o mnie myślisz, i to, co zrobiłem naprawdę, to tylko efemerydy.

– Tak to nazywasz?

Uniósł ręce dłońmi do góry, jakby mówił: „Skoro nie, sam mi to powiedz”.

– Jeśli to tylko efemerydy, dlaczego tu jesteś?

– To akurat dobre pytanie. – Spojrzał przez ramię na Marka. – Jak długo zajęła nam droga tutaj? Dwadzieścia dwie godziny?

– Dwadzieścia jeden – odparł Marek.

Były to pierwsze słowa, jakie wypowiedział.

– Dwadzieścia jeden godzin – powtórzył Dell. – Dziesięć i pół do Kapsztadu, trzy godziny czekania na lotnisku, pięć godzin lotu gulfstreamem na wyspy Empress, kolejny, tym razem godzinny, postój i półtorej godziny lotu na środek Oceanu Atlantyckiego, z lądowaniem na tej łajbie, w cholernym deszczu.

Dell opuścił ręce i splótł je przed sobą na stole.

– Nawet jak człowieka stać na trochę luksusu, typu przelot pierwszą klasą, wynajęcie prywatnego odrzutowca i temu podobne, to wciąż jest to cholernie długa i męcząca podróż. Więc jak powiedziałem, to bardzo dobre pytanie. Bo po co w ogóle zawracać sobie głowę? – Patrzył na mnie z dziwnym grymasem ust. Nie umiałem odgadnąć, czy jest zdegustowany moim widokiem, czy też rozbawiony moją sytuacją. – Bo widzisz, odniosłem sukces dlatego, że zawsze wiem, co się dzieje w mojej szkole i w moim życiu. Znam najdrobniejsze szczegóły: kto jest kim i co jest czym; co działa dobrze, a co nie. Niektórzy uważają to za wadę, za czepianie się drobiazgów. A ja to nazywam pragmatycznym podejściem do życia. Weź za przykład nas. Wielu na moim miejscu wysłałoby tu samego Alexandra. I powiedzmy sobie szczerze, że byłoby to dużo prostsze niż te podróżne wygibasy jak z Juliusza Verne’a, a Alexander załatwiłby sprawę, w taki czy inny sposób.

Popatrzyłem na Marka. Przez cały czas nawet nie drgnął. Stał nieruchomo w jednej pozie, z rękami założonymi za plecami.

– A jednak tu jestem.

Przeniosłem wzrok na Della, z którego twarzy zniknął już wyraz udawanej jowialności. Żarty się skończyły, twarz mu spochmurniała.

– Mam do ciebie kilka pytań. To jeden z powodów, dla których tu przybyłem.

Jego wzrok znów przewiercił mnie na wylot.

– Drugi powód jest prostszy – dodał. – Uważam, że warto spojrzeć człowiekowi w twarz i samemu się upewnić, czy cię nie okłamuje, zanim potniesz go na kawałki i wrzucisz do oceanu.

47

Jakby powiało chłodem.

– Co wiesz o Penny? – zapytał Dell.

Obserwowałem go; w chwili gdy wypowiedział na głos jej prawdziwe imię, w jego oczach mignęło coś łagodniejszego: może smutek, może żal – jakaś iskra. Cokolwiek to było, zaraz zgasło i jego twarz znów przybrała obojętny wyraz.

– Myślę, że ją zabiłeś – odparłem.

– Skąd w ogóle wiesz, że ona nie żyje?

– Bo jej ciało porzucono w wykopie kolejowym.

– Nieźle to wykombinowałeś, zważywszy, że nie znalazła się nawet w rejestrze osób zaginionych.

Uśmiechnąłem się smutno.

– Wprawiam cię w dobry humor? – warknął.

Wskazałem na Marka.

– Myślę, że to on ją zabił. Na twoje polecenie.

Przyglądał mi się przez chwilę, potem zdjął jakiś włos z marynarki i poprawił się na krześle. Komunikował mi w ten sposób, że panuje nad sytuacją, a cała rozmowa odbywa się pod jego dyktando i na jego warunkach.

– Kto ci nakładł do głowy takich bzdur? – zapytał.

– To nie żadne bzdury.

– Jacob Howson?

Wpatrywał się we mnie, szukając potwierdzenia. Dla niego było to ustalenie faktów i ugaszenie pożaru: w połowie egzekucja z zimną krwią, w połowie ratowanie własnej skóry.

– Howson tak ci nagadał? – spytał znowu.

Przez chwilę patrzyłem na niego obojętnym wzrokiem, po czym przymknąłem powieki. W głowie znów zaczynało mnie łupać. W ciemności może łatwiej obmyśle następny krok. Wykombinuję, jak się z tego wyplątać.

No dalej, wymyśl coś.

Ale nie mogłem wpaść na żaden pomysł. W głowie miałem pustkę. Gdy ponownie otworzyłem oczy, Dell siedział wychylony do przodu, wpatrując się we mnie bez słowa.

– Walczysz ze sobą? – Kąciki ust drgnęły mu w lekkim uśmiechu, jakby dostrzegł swoją przewagę. Sposób, aby mnie stłamsić. – Dlatego kazałem, żeby nic ci nie dawali. Nic do jedzenia i tylko parę łyków letniej wody do picia. Człowiek od razu inaczej funkcjonuje. Ból rozrywa mu czaszkę, bolą go wszystkie mięśnie, próbuje coś wymyślić, ale tak naprawdę marzy tylko o tym, żeby coś zjeść i wypić. – Odchylił się do tyłu tak zamasyście, że aż zaskrzypiało krzesło. – Możesz być ze mną szczery, bo nic się tu już nie stanie po twojej myśli. Chłopcy z ochrony tu nie przyjdą. Nie obchodzi ich, co się tutaj dzieje. Będą jeszcze na służbie, kiedy z tobą skończymy. Ale przedtem wyciągniemy z ciebie to, na czym nam zależy. Potem Alexander da im znać i gdy wrócą do biurka, po tobie i po nas nie będzie już śladu. Tak to działa. Nie możesz nic na to poradzić, bo wszyscy są na moim żołdzie.

Tak pewnie było też, gdy kamera wypatrzyła Beth. Marek przyleciał na statek, aby się jej pozbyć, a Dell przekupił ochroniarzy, by mu w tym pomogli. Zdusiłem w sobie wściekłość. Lepiej, żeby nie zdawał sobie sprawy, ile wiem.

– Od kogo się dowiedziałeś o Penny? – zapytał ponownie.

Patrzyłem na niego tępym wzrokiem.

– Od Howsona?

– Nie znam żadnego Howsona.

– Nie pieprz. Gdzie on teraz jest?

– Powiedziałem ci – mruknąłem. – Nie znam żadnego...

– Kłamiesz. Ukrywasz gdzieś jego i Richarda.

– Nikogo nie ukrywam.

– To Howson ci powiedział.

– Co mi powiedział?

Wykrzywił twarz w uśmiešku.

– Przecież wiesz, że znajdę tego gnojka, nie?

Znów wzruszyłem ramionami na znak, że jest mi to obojętne, ale tak naprawdę rozpaczliwie szukałem w myślach sposobu, jak skontaktować się z Howsonem. Musiałem go ostrzec, żeby pozostał w ukryciu lub nawet przeniósł się gdzieś indziej. Ale potem rozejrzałem się dokoła i rzeczywistość walnęła mnie między oczy. Jakim cudem miałbym to zrobić? Jak mam się stąd wydostać? Mierzyłem wzrokiem raz Della, raz Marka.

Może nie dam rady. Może to już koniec.

Dell nie odpuszczał.

– Przyznaj, że to był Howson, i będziemy mieć to z głowy.

– Nie wiem, o kim mówisz.

– To Howson, tak?

– Nie.

– Co Penny mu przekazała?

– Nie wiem, kim jest ten How...

– Gówno prawda! – Walnął dłonią w blat stołu, który aż zadygotał, a jego nogi lekko się przesunęły.

Dell wstał, obciągnął marynarkę i spojrzał na Marka. Przez chwilę na siebie patrzyli, po czym Dell obrócił się do mnie – twarz miał czerwoną z wściekłości.

– Włamałeś się do mojej szkoły – warknął, wyciągając oskarżycielsko palec. – Włamałeś się i ukradłeś laptopa. Od początku wiedziałem, że to ty, ty zasrańcu!

Zachowywałem kamienną twarz.

– Sprawdziliśmy twojego laptopa – mówił dalej Dell. – Znaleźliśmy go w twojej kajucie. Nie ma w nim niczego, z czym byśmy sobie nie poradzili, a cała reszta tkwi w twojej głowie. – Zapiął guziki marynarki. – Ale to też łatwo usuniemy, bo niedługo twoja głowa już nie będzie przyczepiona do ciała.

Starłem się nie okazać, że jego słowa mnie poruszyły.

– Mamy tylko kłopot z papierami Penny. – Wygładził dłonią marynarkę. – I kłopotem jest też to, czym dysponuje Howson.

Podszedł do drzwi i przesunął kartę przez czytnik na ścianie. Zamek w drzwiach brzęknął, Dell uchylił drzwi, rozejrzał się po korytarzu i wniósł do środka butelkę wody.

Patrzyłem na nią jak urzeczony, czując, jak zaciskają mi się mięśnie gardła. Butelka była prosto z lodówki, cała pokryta szronem.

– Wiesz, pewnych spraw człowiek załuje – powiedział Dell, przyciągając mnie do siebie. – Na przykład Penny. – Zawiesił głos i po jego twarzy przemknął grymas bólu. – To była trudna decyzja.

– Czyli to jednak ty ją zabiłeś?

– Była niegłupia – rzucił tylko.

Wyglądało, jakby naprawdę ją lubił. Howson mówił to samo o Marku. Że miał do Penny słabość i dzięki temu udawało jej się nim manipulować. Może fascynacja Marka wynikała z czystego pożądania, pociągu fizycznego, ale u Della tego nie wyczuwałem. Wydawało mi się, że to, co do niej czuł, było dużo głębsze – i dlatego jej zdrada tym bardziej go dotknęła. Czyżby znał Penny jeszcze z Sophii? Było to możliwe, ale skoro tak, to czemu jej nie rozpoznał, gdy zgłosiła się do pracy w jego szkole jako Corrine Wilson?

– Była kłamczuchą i oszustką – powiedział, skubiąc etykietę na butelce z wodą – ale nie wybrałbym dla niej takiego końca.

Smutek przez chwilę wykrzywił mu twarz, jednak Dell szybko się z niego otrząsnął.

– Ale co do ciebie – wymierzył we mnie szyjkę butelki – to jesteś mi kompletnie obojętny. Za dziesięć minut opuszczę ten statek i nigdy więcej o tobie nie pomyślę. Gdybyś powiedział, skąd tyle wiesz o Penny, następna godzina twojego życia mogłaby być znośniejsza, ale trudno. Już taka nie będzie. A co do Howsona, to go znajdę i się nim zajmę. I może zajmę się też Richardem, zależnie od tego, jak dużo się od ciebie dowiedział. Obu ich czekają ciężkie chwile, David. A winę za to ponosisz ty. Pamiętaj, że dałem ci szansę.

Rzucił we mnie butelką.

Grzmotnęła w ścianę nieco na prawo ode mnie. Widziałem, jak leci, i chociaż słyszałem, że Dell wychodzi, nie oderwałem od niej wzroku, gdy upadła, i rozpaczliwie rzuciłem się, by ją podnieść.

I wtedy coś do mnie dotarło.

Marek się poruszył.

Mój umysł był oziębiały z pragnienia, oczy zalewał mi pot, po skórze przebiegały dreszcze strachu – i gdy nagle Marek znalazł się tuż przy mnie, było już za późno. Teraz pojąłem, dlaczego cały czas stał nieruchomo, z rękami założonymi za plecami. Trzymał cieką metalową pałkę długości ręki.

– Trzeba było mówić – mruknął.

I wymierzył mi pałką cios w żebra.

48

Ból przeszył mi piersi. Odchyliłem się z krzesłem do tyłu, wysunęło się spode mnie, a ja poleciałem na ścianę, walnąłem w nią i osunąłem się na podłogę.

Byłem oszołomiony, całe ciało mi płonęło.

Nim się zorientowałem, Marek stał już nade mną, na rozstawionych nogach.

Zdołałem unieść rękę i zasłonić twarz, ale zderzenie ze ścianą jeszcze wzmocniło ból. Bolały mnie wszystkie stawy, od nadgarstka, przez łokieć, po bark. Gdy spróbowałem się odczołgać, Marek walnął mnie pałką po palcach. Krzyknąłem z bólu, lecz tak żałośnie cicho, że krzyk zamarł mi już na wargach.

Kolejne uderzenie w żebra. I jeszcze jedno, w przedramię.

Dłonie, korpus, przedramię, i znów, i znów.

Aż w końcu dostałem w kark, gardło mi się ścisnęło i runąłem na podłogę. Tym razem naprawdę straciłem przytomność.

Gdy po chwili ją odzyskałem, Marek był już przy drzwiach.

Przez chwilę leżałem twarzą do podłogi, widząc wszystko pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a ból pulsował mi w dłoniach, rękach i żebrach. Przekręciłem się lekko na bok, najpierw w jedną, a potem w drugą stronę, by sprawdzić, czy nie mam połamanych kości. Wyglądało na to, że jestem

tylko mocno poobijany i posiniaczony. Pałka miała być sposobem, aby mnie zmiękczyć. Chciał złamać we mnie ducha oporu, osłabić mnie tak, bym się nie mógł stawiać, bo zapewne czekało mnie coś znacznie gorszego.

Tyle że nieoczekiwanie coś się zmieniło.

Marek wyszedł i zostawił otwarte drzwi.

Początkowo tylko je uchylił i przez chwilę wyglądał na korytarz, a ja, gramoląc się z podłogi i przesuając pod ścianę, pomyślałem, że może z kimś rozmawia, ale nie było słyhać żadnych głosów. Potem zerknął na mnie przez ramię, jakby się upewniał, że nie zdołam wykonać żadnych gwałtownych ruchów, rozejrzał się na boki i wyszedł.

Drzwi pozostały otwarte.

Siedziałem chwilę nieruchomo, niepewny, czy nie jest to pułapka, ale Marek już się nie pojawił. Przez uchylone drzwi widać było fragment pustego korytarza.

Odczekałem jeszcze pół minuty, po czym dźwignąłem się z podłogi i odepchnąłem od ściany. Nadal nic. Chwiejąc się z bólu, obszedłem stół i przechyliłem głowę, tak bym mógł zobaczyć korytarz.

To na pewno pułapka. To musi być pułapka.

W korytarzu było tak ciemno, a tutaj tak jasno, że w pierwszej chwili prawie nic nie widziałem – trudno mi było nawet dostrzec, gdzie kończą się ściany, a zaczyna szary sufit. Jednak nagle coś poczułem. Chłodny powiew. Zimny prąd powietrza wydobywał się z kratki na korytarzu i wpadał do pokoju przesłuchań, działając kojąco na moje obolałe ciało. Przez chwilę stałem jak skamieniały: krople potu na twarzy i rękach gwałtownie marzły i ustępowało uczucie palenia w zmasakrowanych mięśniach.

Mój wzrok z wolna się przyzwyczajał do mroku w korytarzu i dojrzałem Marka stojącego kawałek dalej pod ścianą. Pałka leżała na

podłódze u jego stóp. Nie bardzo wiedziałem, co to wszystko znaczy i co może się stać, jeśli przestąpię próg tego pokoju.

– Co się dzieje? – spytałem.

Nie odpowiedział, ale po chwili drgnął jak rażony prądem, zamrugał gwałtownie i wycedził przez zęby:

– Właśnie wszystko spieprzyłeś.

– O czym ty mówisz?

Rozejrzałem się po pokoju przesłuchań, popatrzyłem na kamerę i leżącą na podłódze pustą butelkę po wodzie. „Właśnie wszystko spieprzyłeś”. Czy chodziło mu o tę wodę? Wsypali coś do niej? Nie czułem żadnych sensacji żołądkowych. Nie było mi niedobrze. A jeśli nie miał na myśli wody, to co?

Marek poruszył się i nieco zbliżył, stając na krawędzi kręgu światła padającego z pokoju. Przyjrzałem mu się uważnie, chcąc dojść, co się w nim zmieniło, ale w głowie tak mi łupało, że miałem trudności z koncentracją. Ból rozchodził się po całym ciele, dławił mnie w gardle, pulsował w stłuczonych mięśniach. Nie wiedziałem, co się dzieje i czym mi grozi wyjście z tego pokoju. W tym wszystkim musiał być jakiś haczyk.

I wtedy zauważyłem coś jeszcze.

Na korytarzu za Markiem błysnęło coś białego. Wlepiłem w to wzrok, próbując rozgryźć, co to jest. Wyglądało jak ryba wyłaniająca się z wód oceanu, która to się pojawia, to znika. Przeniosłem wzrok na Marka, on też spojrział na mnie i w jego twarzy dostrzegłem coś na kształt potwierdzenia.

Tak, nie masz omamów.

Zrobiłem parę kroków do przodu i stanąłem w miejscu, skąd po prawej stronie widać było szklaną ścianę biura ochrony, w którym nie było nikogo, tak jak to zapowiedział Dell. W lewym końcu korytarza drzwi prowadzące do restauracji były zamknięte.

Ale na podłódze przed nimi coś leżało.

Zacząłem się temu przypatrywać, zastanawiając się, co to takiego i skąd się tu wzięło, gdy moją uwagę zwróciło coś jeszcze. W suficie nad tym czymś widniał otwór.

Odkryty otwór wentylacyjny.

Na podłodze pod nim leżała jego osłona.

Patrzyłem na widoczny w mroku za plecami Marka biały skrawek, który zaczął nabierać kształtu i stawać się czymś więcej niż tylko skrawkiem: białym rękawem, paskiem plecaka, całą ręką i wreszcie pistoletem na jej końcu.

Wycelowanym w głowę Marka.

– Jesteś cały? – dobiegł mnie głos zza jego pleców.

A potem w ślad za głosem pojawiła się twarz: krótko przycięte blond włosy i błyszczące w półmroku zielone oczy. Smuga brudu na policzku. Siniaki i skaleczenia na dłoni. Rany odniesione na polu walki o przeżycie.

Stała przede mną Beth.

49

Kazała Markowi przejść do biura.

W mroku korytarza wyglądał na dwa razy większego od Beth i w pierwszej chwili nie zareagował, jakby chciał powiedzieć, że wcale nie musi jej słuchać. Może ją zgnieść i przejąć kontrolę nad sytuacją. Jednak nie zrobił tego, tylko ruszył w głąb korytarza. Patrzyłem na niego, on też zerknął w moją stronę, ale zaraz odwrócił głowę i spojrzał na pałkę leżącą trzy metry dalej na podłodze.

Ocenił Beth tak samo jak ja. Była niska, drobna i wiotka, miała nie więcej niż metr sześćdziesiąt, ale czuło się w niej determinację: pewność siebie, zaciekłość, świadomość, że wybrnęła już z trudniejszych sytuacji, zarówno fizycznie, jak i emocjonalnie. Celowała do Marka z pistoletu i obaj nie mieliśmy wątpliwości, że w razie potrzeby bez wahania pociągnie za spust.

Stałem w miejscu, obserwując, jak przemieszczają się od jednej do drugiej plamy światła padającego z lamp na ścianach korytarza, a potem ruszyłem w przeciwnym kierunku. Dotarli do biura i Beth kazała Markowi przejść pod ścianę i usiąść; ja w tym czasie zdążyłem otworzyć drzwi i zajrzeć do restauracji. Minęła już pierwsza w nocy i było tam prawie pusto. Od drzwi miałem dobry widok na dwie sale restauracyjne – jedną w stylu francuskim, drugą urządzonej jak przydrożna amerykańska knajpa –

wiedziałem jednak, że dalej w prawo są jeszcze dwie, które teraz zasłaniała mi rozłożona nad wejściem markiza w biało-czerwone pasy. Jeszcze trochę ludzi kręciło się po holu, niektórzy siedzieli na kanapach czy zaglądali do sklepów, ale większość pasażerów udała się już do swoich kajut.

Rozejrzałem się za ochroniarzami, lecz nie było tu żadnego; nie widziałam też Della. Od jego wyjścia z pokoju przesłuchań minęło dziesięć minut i jeśli rzeczywiście zamierzał wsiąść do helikoptera, zostawiając Marka, by ten załatwił wszystko do końca, to pewnie właśnie odlatywał. Wątpię, by przyszło mu do głowy, że Marek może zawalić sprawę.

A to znaczyło, że Beth i ja mamy chwilę oddechu.

Przymknąłem drzwi i patrzyłem, jak Beth w biurze wyrywa przewody telefoniczne z gniazdek i wsadza je do kieszeni, a także zgarnia walkietalkie, by uniemożliwić Markowi wezwanie pomocy. Potem zamknęła drzwi na klucz i odrzuciła go – brzęknął o podłogę gdzieś w mroku korytarza. Wiedziała jednak, że Marek będzie tkwił w biurze, tylko dopóki mamy go na oku. Gdy stąd odejdziemy, to albo wypuszczą go ochroniarze, albo sam wybije szybę w drzwiach.

Beth odwróciła się do mnie i zatknęła sobie pistolet za pasek spodni. Znów wtopiła się w mrok korytarza, ale widziałem, jak omiata wzrokiem otoczenie: biuro, gdzie widać było sylwetkę Marka, korytarz, pokój przesłuchań z uchylonymi drzwiami i otwór w suficie, którym dostała się tutaj. Kierowała się instynktem samozachowawczym, szczegółową znajomością statku oraz zmysłem technicznym, który pozwalał jej ocenić, co jest na swoim miejscu, a co nie, co do siebie pasuje, a co nie. Upewniła się, że wszystko jest w porządku, i pewnym, szybkim krokiem ruszyła w moją stronę.

– Dobrze się czujesz? – spytała.

– Od dwóch i pół dnia nie miałem nic w ustach, ale poza tym...

Kiwnęła głową.

– Dziękuję ci – powiedziałem.

Ponownie skinęła głową. Białko prawego oka było mocno zaczerwienione, źrenicę otaczała siateczka uszkodzonych naczynek krwionośnych. Twarz miała bladą, ze smugami brudu i krwawymi otarciami. Wyglądała dość zwyczajnie, w jakimś sensie wręcz pospolicie, a ja pomyślałem, że właśnie dzięki temu wychodzi zwycięsko z różnych opresji. Przez swój wzrost i wygląd była pewnie niedoceniana i dopiero z bliska, widząc wyraz jej oczu, wyczuwało się tkwiącą w niej determinację. Była cała jak nakręcona sprężyna. I piekielnie szybka.

Znów omiotła spojrzeniem cały korytarz. Czuło się, że tego rodzaju swoboda, z jaką się tutaj porusza, nie powstaje z dnia na dzień ani w ciągu dwóch tygodni, ani nawet w osiemdziesiąt dni, które pasażerowie spędzali na statku podczas całego rejsu. Znała ten statek nie dlatego, że spędziła na nim parę tygodni w styczniu, ukrywając się tu z Richardem Kite'em.

Znała go dlatego, że stał się jej domem.

– Od jak dawna tu jesteś? – spytałem.

– Od grudnia – powiedziała tak obojętnym tonem, że zabrzmiało to jak coś niemal oczywistego.

Jedenaście miesięcy.

W każdym rejsie pojawiała się nowa załoga i pasażerowie, więc otaczający ją ludzie regularnie się zmieniali, co czyniło ze statku idealną kryjówkę. Rzadko się też zdarzało, by jedna załoga pozostawała na pokładzie przez całe osiemdziesiąt dni, a przebieranie się w skradziony uniform sprzątaczkki sprawiało, że pasażerowie nie zwracali na nią uwagi. Miała do czynienia z wciąż zmieniającą się czterotysięczną gromadą, wystarczająco liczną, by się w niej z powodzeniem ukryć. Przy

odpowiedniej dozie sprytu – a tego jej chyba nie brakowało – mogła przebywać na statku zupełnie niezauważona.

Spojrzałem na pistolet za jej paskiem.

– Skąd to wzięłaś? – spytałem.

– Ukradłam.

– Ochroniarzom?

– Z ich sejfu.

– Jak dostałaś się do ich sejfu?

– Wpisałam szyfr.

Pomyślałem o tym, jak korzystała z kanałów wentylacyjnych. Mogła z nich podglądać ludzi, słuchać rozmów i poznawać różne sekrety. Na przykład szyfr do sejfu.

– A o mnie? – spytałem.

– Co o tobie?

– Skąd wiedziałaś o mnie? Że jestem na pokładzie.

Wzruszyła ramionami.

– Widziałam cię.

Już chciałem spytać gdzie i kiedy, ale zaraz sam to odgadłem. Drugiego dnia rejsu, gdy znalazłem jej plastikową torbę w otworze wentylacyjnym, w pralni zjawiała się jedna z pracownic i usłyszałem jej słowa: „Tu nie wolno wchodzić”. Początkowo myślałem, że mówi to do mnie, ale wymknąłem się stamtąd, a potem zajął się mną Larry Grobb i całkiem o tym zapomniałem, mając ważniejsze sprawy na głowie. Gdyby nie to, pewnie bym zrozumiał, że kobieta nie mówiła do mnie.

Mówiła to do Beth.

– Weszłaś do pralni – powiedziałem.

– Tak.

– I zauważyłaś, że grzebię w twoich rzeczach.

– Tak. Od tamtej pory cię śledziłam. Chciałam rozgryźć, kim jesteś. Widziałam, jak Grobb do ciebie podszedł, i patrzyłam, jak cię prowadzą do pokoju przesłuchań. Czekałam potem na ciebie, ale ty już się nie pojawiłeś.

– Ale dlaczego? Dlaczego mnie uwolniłeś?

– Bo pomyślałam, że możesz mi pomóc.

– Skąd wiedziałaś, że możesz mi zaufać? Zrobienie czegoś takiego dla obcego człowieka było ogromnie ryzykowne.

– Słyszałam, jak o tobie rozmawiali. – Jej oczy znów zaczęły omiatać korytarz i na moment zatrzymały się na sylwetce Marka. – Kiedy zobaczyłam, że cię prowadzą do pomieszczeń ochrony, schowałam się w kanale wentylacyjnym. Mówili, że jesteś niebezpieczny. I że o mnie wypytywałeś.

– Bo tak było.

– Z jakiego powodu? Czego ode mnie chcesz?

– Próbuję pomóc komuś, kogo mogłaś znać.

Spojrzała na mnie bez słowa.

– Podaje się za Richarda, ale stracił pamięć i nawet nie wie, czy rzeczywiście tak ma na imię – dodałam.

Po jej reakcji poznałem od razu, że to jego prawdziwe imię. Wypuściła z sykiem powietrze, jakby je wstrzymywała, słuchając moich słów, i oczy jej rozblęły. Na krótką chwilę zrzuciła z twarzy swoją maskę.

– Richard – powiedziała cicho, bardziej do siebie niż do mnie.

I wtedy uprzytomniłem sobie coś jeszcze. Ona nie tylko znała Richarda.

Ona go kochała.

50

Usiedliśmy na podłodze w korytarzu, twarzami do siebie. Napięcie już ze mnie zeszło i w miarę jak opadała mi adrenalina, mięśnie coraz bardziej mi sztywniały, a ciało zaczynało pokrywać się sińcami.

Beth nie przestawała obserwować Marka, który siedział w biurze z tak obojętną miną, jakby mu było wszystko jedno. Raz tylko przejechał dłonią po głowie, jak gdyby się głaskał po związanych w kitkę włosach, ale poza tym trwał w całkowitym bezruchu. Chyba też nas obserwował i próbował dosłyszeć, o czym rozmawiamy.

Beth zdjęła z ramion plecak, położyła go przed sobą i wyjęła butelkę wody. Z wdzięcznością ją od niej wziąłem, a ona wręczyła mi jeszcze baton czekoladowy, torebkę suszonych owoców, paczuszkę chrupków oraz zapakowaną kanapkę, po czym odwróciła głowę, jakby wypatrywała czegoś w mroku korytarza. Jedząc, przyglądałem się jej; oboje milczeliśmy. Odwróciła się do mnie twarzą dopiero, gdy już prawie kończyłem jeść.

– Skąd się tu wzięłaś, Beth? – spytałem.

Otarła twarz z brudu i jej liczne skaleczenia wyglądały teraz niczym pęknięcia na starym olejnym malowidle.

– Nie wiem, od czego zacząć – odparła.

– Zaczynij od Richarda.

Potarła palcem oko.

– Co u niego? – spytała.

– Nieźle.

– Czytałam w sieci, że nic nie pamięta.

Powiedziała to tak cicho, że z trudem wyłowiłem jej słowa z szumu klimatyzacji.

– Pamięta tylko parę drobiazgów. Że jako dziecko patrzył z okna na plażę ciągnącą się wzdłuż jakiegoś brzegu. Pewnie gdzieś niedaleko Sophii. – Zawiesiłem głos w oczekiwaniu na jej reakcję, ale odniosłem wrażenie, że choć zna Richarda Kite’a, nie wie, o jaką plażę chodzi. – I pamięta czołówkę programu telewizyjnego dla dzieci. Chyba chodzi o program *Dziecięca godzina*.

– *Dziecięca godzina* – powtórzyła z uśmiechem.

– Pamiętasz ten program?

– Tak. Wszyscy w mieście oglądali go po szkole. Nie mieliśmy wtedy zbyt wielu kanałów. Właściwie mieliśmy w ogóle niewiele, więc brało się, co było. W środku programu puszczała kreskówkę o smoku, który był wielki i groźnie wyglądał, ale wszystkiego się bał. Obie z siostrą uwielbiałyśmy te filmy. Śmiałyśmy się do rozpuku.

– Z Penny, tak?

– Tak. – Spojrzała na mnie. – A co, znałeś ją?

Jej wyspiarski akcent nasilił się teraz.

– Nie – odparłem. – Ale dużo o niej słyszałem.

– Skąd?

– Rozmawiałem z jej chłopakiem w Londynie.

– Miała chłopaka?

– Nie powiedziała ci?

Beth jakby się w sobie zapadła. Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami.

– Nie – bąknęła, wpatrując się w przestrzeń między nami. – Wyjechała z Sophii, jak miała szesnaście lat, i już nie wróciła.

– Nigdy nie dostałaś od niej żadnych wiadomości?

– Moja macocha miała z nią kontakt, pisały do siebie maile, czasami rozmawiały przez telefon. Ale Fiona zmarła jakieś pięć lat temu na raka i po jej śmierci nic już o Penny nie słyszałam, bo przestałyśmy ze sobą rozmawiać, a ja... – Zawiesiła głos. – Powiedziałam Penny parę gorzkich słów, których... – znów przerwała – których nie powinnam mówić, i tyle. Była moją siostrą. Wiem, że nie byłyśmy spokrewnione, ale pod wszelkimi innymi względami byłyśmy siostrami. I gdy zniknęła, pierwsze, o czym pomyślałam, to o tym, że już nigdy... nigdy nie uda mi się...

Głos jej zamarł, ale reszta zdania była wypisana na jej twarzy.

Nigdy nie uda mi się jej przeprosić.

Beth opuściła głowę, przyłożyła kciuk i palec wskazujący do oczu i dłuższą chwilę trwała w milczeniu. W końcu uznałam, że mogę podjąć rozmowę i ponownie nakierować ją na Richarda Kite'a.

– Jak Richard się nazywał? – spytałam.

– Presley.

Richard Presley.

Nie bardzo wiedziałam, czego się spodziewać. Może po tak długim okresie niepewności żadne nazwisko nie zabrzmiałoby właściwie.

– Wiesz może, czy jego rodzice jeszcze żyją?

– Ojciec żyje.

– Matka nie?

– Chyba też żyje, przynajmniej żyła do mojego wyjazdu z wysp, ale przeszła udar i straciła mowę. Praktycznie nie było z nią kontaktu.

– Jak mają na imię?

– Jego tata to William. Bill. Bill Presley.

– A mama?

– Carla.

Wyjąłem swój notes z przypiętym długopisem i zapisałem imiona.

– Miał jakieś rodzeństwo?

– Nie.

A więc było ich tylko troje.

– Dobrze znałaś jego rodziców?

Beth pokiwała głową.

– Jego tata przyjaźnił się z moim.

– Jak nazywa się twój tata?

– Jack Kilburn.

Uzmysłowiłem sobie, że nie znałem dotąd nazwiska Beth.

– Jak to się stało, że twój tata i Bill Presley się zaprzyjaźnili?

– Mój tata jest farmerem, ale jest też przewodniczącym rady miejskiej.

Tata Richa był przez wiele lat członkiem tej rady i tak się poznali.

– Ojciec Richarda też jest farmerem?

– Nie. Jest inspektorem.

– Policji?

– Tak. Szefem posterunku w Sophii.

Znieruchomiałem z długopisem zawieszonym nad kartką notatnika. Przypomniałem sobie, co powiedziała Annie w rozmowie ze mną na górnym pokładzie: „Jeśli coś tam było, a miejscowi chcieli zachować to w tajemnicy, tamtejsza policja mogła to utajnić”. Była mowa o fragmentach ludzkich ciał znajdujących na wzgórzach wokół miasta i o czymś, co miało ciągnąć się za płotem. W to, że u stóp góry Strathyde grasuje jakiś polujący na ludzi potwór, wierzyłem tak samo jak w to, że na przystani czekają na mnie wampiry i jednorożce. Ale coraz trudniej było zaprzeczać temu, że w Sophii dzieje się coś dziwnego.

– Nie wierzę, że Penny zginęła – odezwała się Beth.

Spojrzałem na nią.

– Co?

– Mówię o Penny. Nie wierzę, że zginęła.

– A co twoim zdaniem się z nią stało?

– Myślę, że została zabita.

Starałem się nie okazywać zdziwienia.

– Dlaczego ktoś miałby ją zabić? – spytałem.

Wiedziałem dlaczego i wiedziałem, że Beth się nie myli, ale musiałem postępować ostrożnie. Jeśli nie znała całej prawdy o siostrze, moja relacja mogła podziałać na nią niczym wybuch granatu. Przełknęła ślinę, przesunęła się nieco, oparta o ścianę, i zebrała się w sobie.

– Powiedziałaś jej, że jej nienawidzę.

Głos Beth wytrącił mnie z zamyślenia.

– Powiedziałaś jej, że jej nienawidzę – powtórzyła. – Piętnaście, może szesnaście lat temu, nie wiem. Próbuję wyrzucić z pamięci ten dzień i to, co jej wtedy powiedziałam, próbuję, jak mogę, ale nie potrafię. Nie potrafię tego zapomnieć. Pamiętam ten wieczór, jakby to było wczoraj. Zachowałam się tak wrednie. Byłam nastolatką i kompletnie mi odbiło. I nim się obejrzałam, nim to do mnie dotarło, Penny była już na drugim końcu świata.

Zastanawiałem się, jaki to może mieć związek z tym, co Beth wie i czego nie wie o śmierci przybranej siostry, ale nie chciałem teraz zmieniać kierunku rozmowy.

– Nie pomyślałaś nigdy, żeby też się przenieść do Anglii? – spytałem tylko.

– O niczym innym nie marzyłam, ale zawaliłam szkołę. Moje wyniki egzaminów były żałosne. Oblewałam kolejno wszystkie przedmioty, bo

byłam zbyt zajęta upijaniem się i balowaniem z kim popadnie. W końcu zaczęłam pracować na stacji benzynowej przy drodze z Sophii do St George. Jedyнным sposobem na wyrwanie się z wysp jest pójście do liceum i dalej na uniwersytet, ale to kosztuje, a władze finansują tylko dobrych uczniów. Pewnie mogłam poszukać jakiejś pracy w Anglii, ale kto chciałby zatrudnić kogoś takiego jak ja? Nie miałam żadnych kwalifikacji. Nie mogłam niczego nikomu zaoferować. – Kąciki jej ust uniosły się w smutnym uśmiechu. – Ironią losu jest to, że w szkole podstawowej wszyscy mówili mi, że daleko zajdę. „Możesz być, kim tylko zechcesz, Beth”. No i spójrz na mnie. Popatrz, co zrobiłam ze swoim życiem.

Głos jej się lekko załamał przy ostatnich słowach. Czekałem w milczeniu na dalszy ciąg, popijając wodę z butelki, którą mi dała. Nie mogłem oderwać od niej wzroku: minę miała obojętną i trudną do rozszyfrowania, czyli dokładnie taką, jaka była jej potrzebna do przeżycia. Ale na jej twarzy pojawiały się też błyski, w których widać było prawdziwą Beth: zranioną, skruszoną, wystraszoną.

– W wieku dwudziestu paru lat – zaczęła znów mówić, ale tak cicho, że musiałem przysunąć się bliżej, aby ją słyszeć – trochę się ustatkowałam, jednak było już za późno. Szkoda została wyrządzona, a ja tkwiłam na dobre w tej cholernej dziurze. Przeniosłam się ze stacji benzynowej do stoczni remontowej na Blake Point. Należała do kilku rybaków, dalekich znajomych mojego taty. Oprócz naprawiania łodzi zajmowali się też uboczną działalnością: wozili turystów na żerowiska przy wschodnich wyspach.

Przerwała i w jej oczach znów coś rozbłysło.

– W stoczni pracował Richard – powiedziała. – Tam go poznałam, zaczęłam z nim rozmawiać i zaprzyjaźniliśmy się. – Zamilkła i zrobiła taką minę, jakby ją coś zabolalo. – I od tego wszystko się zaczęło.

51

– Sam nie wypływał łodziami, choć był dobrym żeglarzem – mówiła dalej. – Naprawiał kutry. Był cichy i małomówny, ale rozmawialiśmy w przerwach na lunch, a wkrótce zaczęliśmy też po pracy chodzić na spacer. Takie były rozrywki w tym beznadziejnym mieście. Nie było nic innego. Żadnych kawiarni. Żadnych restauracji. Ani jednego kina.

Obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Jak już mówiłam, nasze rodziny trochę się znały, w każdym razie nasi ojcowie, więc widywałam go już wcześniej. Słyszałam o nim, choć właściwie go nie znałam. I jeśli mam być szczerą, z początku wcale mi się nie podobał, ale potem się do niego przekonałam. Był trochę dziwny. Chociaż naprawiał łodzie i pracował fizycznie, mówił jak jakiś profesor. Najbardziej lubił rozmawiać o książkach, które przeczytał. Uwielbiał książki science fiction i historyczne i szedł do biblioteki, gdy tylko docierały do nas gazety z Anglii. Przychodziły z opóźnieniem trzech tygodni, ale i tak czytał je od deski do deski.

To był Richard, jakiego znałem: cichy, umiejący formułować myśli, wykształcony. Pamiętałem jego rozważania o sporcie i polityce podczas naszej podróży do Coldwell Point, a także jego starania, by jak najdokładniej zrelacjonować to wszystko, co zapamiętał ze swego życia; opowieści o książkach, które uwielbiał czytać, bijącą z jego słów

inteligencję. Dla kogoś takiego musiała to być męczarnia: pochłaniał wiedzę podczas przerw na lunch i po pracy, w bibliotece, i nie mógł z tej wiedzy korzystać.

– Po pewnym czasie zaczęliśmy jeździć za miasto jego samochodem – ciągnęła Beth. – Miał takiego starego forda i jeździliśmy nim przez most do St George i na północ, do starej stacji wielorybniczej. Jest już opuszczona i nic się w niej teraz nie dzieje. – Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami. – Czasami żartowałam i mówiłam, żeby się nie zatrzymywał. Żeby jechał tak daleko od Sophii, jak tylko się da, i że uciekniemy. Dziwne było to, że przez długi czas w ogóle nie podejmował tego tematu.

– Dlaczego?

– Wciąż powtarzał, że mu tam dobrze. Lubił pracę przy łodziach. Twierdził, że nie poradziłby sobie w wielkim mieście, nie wiedziałby, jak się w nim odnaleźć. Początkowo sądziłam, że po prostu odpowiada mu samotność. Nie, że był nietowarzyski, że nie lubił ludzi, tylko wydawał się jakiś taki... – Umilkła i skrzywiła się, nie mogąc znaleźć właściwego słowa. – Jakiś taki zamyślony... zamknięty w sobie.

– Ale nie to było prawdziwą przyczyną tego, że chciał pozostać na wyspach?

– Nie. Prawdziwą przyczyną był strach przed tym, co się stanie, jak stamtąd wyjedzie.

– Strach?

– Bo na wyspach działy się różne dziwne rzeczy.

Spojrzała na mnie, jakby nie była pewna, czy może mi się zwierzyć, a ja w ciszy, która zapadła, wybiegłem w myślach dalej, kojarząc jej słowa z opowieściami Annie z drugiego dnia rejsu.

– Masz na myśli to, co jest za płotem? – rzuciłem, a po jej twarzy przemknął wyraz zdziwienia. – Tego „potwora”?

Patrzyła na mnie nieufnie.

– Tak.

– Nie ma żadnych potworów, Beth. W każdym razie nie takie, o jakich myślisz.

– Nieważne – burknęła. – Nie obchodzi mnie, w co wierzysz lub nie, bo fakt pozostaje faktem. W Otchłani coś było.

Przyjrzałem się jej uważnie.

– W Otchłani?

Nie podniosła na mnie wzroku.

– Beth?

– To taki górzysty teren za płotem – powiedziała cicho.

Pamiętałem, że Annie także o tym mówiła. O zagrodzonych płotem mokradłach na jednym ze szlaków turystycznych. Wspominał też coś o tym autor książki *Nietypowym szlakiem*. Ale obojętne, kto to powtarzał, pomyśl, że w zaroślach miałyby czaić się potwór, był kompletnie pozbawiony sensu. Nawet jeśli miejscowi, również tacy inteligentni jak Beth, mieliby się przy tym upierać.

– Chcesz powiedzieć, że Richard też słyszał o tym potworze?

– Wszyscy w Sophii o nim słyszeli.

– I wszyscy w niego wierzyli?

– Nie wiem, czy wszyscy wierzyli, bo czasami trzeba coś zobaczyć na własne oczy, żeby w to uwierzyć. Ale wszyscy wiedzieli, że tam się nie chodzi. Niektórzy uważali, że to z powodu min. Ale inni słyszeli ode mnie, co się przydarzyło Penny i mnie, albo słyszeli o tym od kogoś innego. I wiedzieli, co jest prawdziwą przyczyną.

– Ten potwór?

Po jej twarzy przemknął błysk gniewu.

– To, co jest za płotem, było przyczyną naszej kłótni z Penny – rzuciła ze złością. – Po tym, jak nas tam zostawili, znów zaczęłam się moczyć. Moczyłam się w łóżko, mając dwanaście lat! Nie mogłam uporać się z tym, co tam widziałam, nie mogłam...

– Zaraz, zaraz, spokojnie. Zostawili was przy płocie?

– Tak. – Przełknęła głośno ślinę. – Na pięć godzin. W nocy.

– Dlaczego?

– Bo złamałyśmy reguły. Przeszłyśmy na drugą stronę.

– Przeszłyście przez płot?

– Tak.

– I co się stało?

– Coś tam było.

– Widziałaś to?

Chwila milczenia.

– Częściowo.

– Jak to wyglądało?

– Nie wiem. – Skrzywiła się. – Było rozmazane, a ja w panice uciekałam. Ale ktoś nas widział tej nocy po drugiej stronie płotu i dotarło to do mojego taty.

– Zostałyście ukarane?

– Powiedzieli, że musimy na własne oczy się przekonać, dlaczego nikomu nie wolno tam wchodzić. Ukarali nas dla przykładu. Mój tata płakał i przeproszał, kiedy nas tam zostawiali. Ale stwierdził, że tylko tak zrozumiemy... że wszyscy w mieście rozumieją, dlaczego nie wolno przechodzić za płot.

Patrzyłem na nią, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Nie patrz tak na mnie – burknęła. – Nie jestem wariatką. Wiem, co tam widziałam, i wiem, co tam słyszałam. Kiedy nas przywiązali do tego

płotu, poczułam na sobie oddech tego czegoś. Słyszałam, jak mi dyszy prosto do ucha.

Uniosłem rękę w uspokajającym geście.

– I Richard też widział tego potwora?

– Tak. – Zawahała się. – I nie tylko to.

– To znaczy?

– On też przeszedł za ten płot. Nie razem z nami, później, ale został ukarany tak samo jak Penny i ja. Kiedy odkryłam, że spotkało nas to samo, i zaczęliśmy sobie opowiadać, co tam widzieliśmy i słyszeliśmy, po raz pierwszy coś do niego poczułam. Po wyjeździe Penny był jedynym człowiekiem, z którym mogłam o tym porozmawiać i który mnie rozumiał. Tyle że Penny i ja byliśmy tam w nocy, a on poszedł za dnia. – Pociągnęła nosem i spojrzała na swoje dłonie. – Dlatego tak się bał wyjechać z wyspy.

Wpatrywałem się w nią, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

– Chcesz powiedzieć, że natknął się tam na coś jeszcze?

– Tak.

– Coś poza tym... potworem?

– Tak.

– I co to było?

Odwróciła głowę, w jej oczach po raz pierwszy zalśniły łzy.

– Znalazł tam kogoś, kto zniknął dawno temu – powiedziała cicho.

Staw

Stara stacja wielorybnicza znajdowała się na północnym krańcu wyspy Victoria, osiem kilometrów od St George. Dojeżdżało się do niej wąską, krętą drogą, która wiała się po zboczu wzniesienia zwanego Urwiskiem. Większość turystów, którzy się tam zapędzali, kończyła swą wyprawę na szczycie Urwiska, gdzie zalane betonem wypłaszczenie tworzyło coś w rodzaju parkingu i platformy widokowej. W pogodny dzień roztaczał się stamtąd widok na cały łańcuch wysp: ku zachodowi aż po Sopię, ku wschodowi po żerowisko i ptasie kolonie.

Jednak Beth Kilburn i Richard Presley zjechali na sam dół.

Dawna stacja składała się z siedmiu różnych budowli, w których były stacje zasilania, magazyny i pomieszczenia mieszkalne. Poza tym stały tutaj trzy olbrzymie zbiorniki na olej wielorybi, każdy o średnicy dziewięciu metrów, wysoki na dwanaście. Wszystko było pogruchotane, zniszczone, rozkradzione i przewiane brutalnymi wichrami znad południowego Atlantyku. Metalowe kominy, rozprute ściany i zawałone stropy były tak skorodowane, że cała stacja wyglądała jak pokryta grubą warstwą pomarańczowego pyłu.

Zaparkowali na lewo od zabudowań, nad samym brzegiem oceanu, gdzie znajdowała się stara płyta załadunkowa, zastawiona teraz tak zardzewiałymi urządzeniami, że ledwo dawało się je rozpoznać. Richard

zgasił silnik i jego szum natychmiast zastąpiło wycie wiatru i skrzypienie obluzowanych kawałów blachy falistej na budynkach. Słysząc było skrzypienie drzwi, które wiatr otwierał i zatrząskiwał, oraz jęki i stukoty poruszanych wiatrem fragmentów wyposażenia olejarni. Przez szyby samochodu widać było wyciągnięte na brzeg kutry, które pod działaniem soli morskiej i rdzy przywarły na dobre do pochylni i leżały skorodowane i pokryte morskimi mięczakami.

– Mam ciarki na plecach, jak na to patrzę – powiedziała Beth.

Richard uśmiechnął się, wziął ją za rękę i przez chwilę siedzieli w milczeniu, patrząc na ciemniejące niebo.

– Dlaczego nigdy nie mówisz nic o siostrze? – zapytał.

Beth zwróciła ku niemu twarz, zaskoczona tym pytaniem.

– Skąd ci to nagle przyszło do głowy? – rzuciła.

Popatrzył na nią, a potem znów za okno. Obok samochodu widniały sterczące z ziemi stare kawałki harpunów i kupka wielorybich kości.

– Przepraszam – bąknął.

– Nie masz za co przepraszać.

– To nie moja sprawa.

– Oczywiście, że twoja. – Ścisnęła mu dłoń.

– Po prostu byłem ciekaw, nic więcej.

– A co chcesz wiedzieć?

– Mieszka teraz w Londynie, tak?

– Tak.

– Rozmawiasz z nią czasami?

Beth westchnęła głęboko.

– Nie – powiedziała. – Już ze sobą nie rozmawiamy.

– Kiedy rozmawiałaś z nią ostatni raz?

– Jak stąd wyjeżdżała, piętnaście lat temu.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, słuchając wycia wiatru.

– Wtedy gdy poszłaś do Otchłani – odezwał się w końcu Richard – byłaś z Penny, prawda?

– Tak. Zawsze chodziliśmy tam razem.

– I przeszłyście przez płot?

Beth spojrzała na niego uważnie.

– Już ci to wszystko mówiłam – mruknęła.

– Wiem. Wiem, że mówiłaś.

– Dobrze się czujesz, Rich?

Puścił jej dłoń, położył ręce na kierownicy i wbił wzrok przed siebie. Od ich oddechów zaparowały szyby i w wieczornym chłodzie pokryły się nieprzejrzystą mgiełką.

– Co się stało z tatą Penny? – spytał cicho.

– Z jej tatą?

Popatrzył na nią.

– Z Calebem Beckiem. Słyszałem, że zaginął.

– Tak. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym, kiedy Penny miała trzy lata. – Beth zmarszczyła czoło. – A co?

– Natrafiono na jakikolwiek jego ślad?

– Nie, nigdy. – Zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły, twarz zeszywniała jak stężały beton. – Rich? Czemu mnie o to wypytujesz?

– Ja tylko... tylko...

Zamilkł.

– Rich?

– No bo ty i Penny byliście tam pierwsze – powiedział, wpatrując się w przetarty kawałek przedniej szyby. – Byliście pierwszymi dziećmi w mieście, które odważyły się przejść przez płot. Jeszcze się wtedy tak naprawdę nie znaliśmy, ale to małe miasteczko i wszyscy o tym mówili.

I widziałem, jak ludzie was traktowali. Słyszałem, co mówią inne dzieci. Wszystko ze strachu. Myślę, że były wystraszone waszym wyskokiem. Może też trochę zazdrosne, że byliście tak odważne, ale głównie wystraszone, że może je spotkać to samo co was. Bały się znaleźć twarzą w twarz z tym... tym... – Przerwał i odchrząknął, jakby bał się wypowiedzieć to słowo. – Z tym czymś.

Gwałtowny podmuch wiatru zaświstał wśród budynków pustej stacji wielorybniczej. Beth słuchała Richarda, nie bardzo wiedząc, do czego to wszystko zmierza.

– Byłem taki sam jak wy – powiedział. – Ta gadanina nigdy do mnie nie trafiała. No bo jeśli są tam miny, to czemu żadna nigdy nie wybuchła? Po wzgórzach bez przerwy kręcą się owce, więc powinny co chwilę wylatywać w powietrze. Ale pogłoski o straszącym tam potworze też do mnie nie przemawiały. Nie wierzę w żadne potwory.

Beth znów ścisnęła dłoń Richarda.

– O co ci chodzi, Rich?

– Poszedłem tam dzięki tobie. Ludzie opowiadali o Otchłani, a ja nie chciałem im wierzyć, ale po tym, jak ty i Penny wróciłyście i zobaczyłem wyraz twoich oczu, pomyślałem: jedynym sposobem, żeby poznać prawdę o tym, co się tam dzieje, jest pójście samemu. I tak zrobiłem. Poszedłem tam. Ale nigdy ci nie mówiłem, że zrobiłem to inaczej niż ty i Penny. Poszedłem tam nie wieczorem ani w środku nocy, tylko w biały dzień.

– I widziałeś coś więcej? – Beth przysunęła się bliżej.

– Za płotem teren stopniowo opada. Musiałyście to zauważyć, nawet po ciemku. Zaczynają się mokradła, wielkie torfowisko, otoczone piargami osypującymi się z góry Strathyde. Teren opada aż do poziomu morza, ale rozciąga się na szerokość pięciu, sześciu kilometrów. Jest ogromny. – Przerwał i zapatrzył się na przewróconą wyciągarkę. – Łaziłem tam

z godzinę i nic się nie wydarzyło. Nie było żadnego potwora. W ogóle nic tam nie było. Wróciłem inną drogą, równoległą do płotu, ale parę kilometrów od niego.

– I co zobaczyłeś? – spytała znów Beth.

Odpowiedział nie od razu. Popatrzył na nią dziwnym wzrokiem, położył sobie rękę na głowie, czapka mu się przesunęła i wymknęły się spod niej jego rude włosy.

– Wiesz, co to jest staw? – zapytał.

– Tak, to takie górskie jezioro.

– Zgadza się. – Pokiwał głową. – Tak. Jeśli w Otchłani pójdziesz w stronę szczytu Strathyde, a nie morza, to dojdiesz do tego stawu. Znajduje się mniej więcej w połowie drogi pod górę. Ze wszystkich stron otaczają go strome zbocza i prowadzi do niego tylko jedna droga, wąska ścieżka wśród piargów. Ale jak się ją już pokona, to jest się jakby w samym sercu gór. Niesamowity widok.

– Ale co to wszystko ma wspólnego z Penny?

Popatrzył na Beth i dotknął ust dłonią pełną zadrapań, siniaków i plam od oleju, jakby nie bardzo wiedział, jak to powiedzieć i czy w ogóle powinien o tym mówić.

– Nad stawem stoi chata – odezwał się wreszcie.

– Chata?

– Drewniana chata. Po drugiej stronie stawu. Gdy ją dostrzegłem, postanowiłem obejść staw dookoła i obejrzeć ją z bliska, ale u szczytu ścieżki zahaczyłem o coś i upadłem.

Nagły podmuch wiatru aż zakołysał samochodem.

– Okazało się, że potknąłem się o przeciągnięty przez ścieżkę drut.

– Drut?

– Jak tylko go dotknąłem, zadziałał jakiś alarm.

Wokół nich wszystko skrzypiało, świstało i wyło.

– Rozległa się seria krótkich, szybkich pyknięć. Pyk, pyk, pyk. Dochodziły skądś z bliska. Rozejrzałem się i znalazłem ukryte wśród kamieni nieduże pudełko. Jakby nadajnik z migającą czerwoną lampką.

– I co wtedy zrobiłeś? – spytała Beth.

– Uciekłem.

– Wróciłeś do płotu?

– Tak. – Mówił cicho, ze wzrokiem wbitym w pustkę oceanu. – Ale odbiegłem najwyżej z dziesięć metrów, gdy poślizgnąłem się na piargach. Byłem przerażony i pędziłem co sił w nogach. Potknąłem się o kamień na krawędzi dwumetrowego jaru ze strumieniem. I na jego dnie to zobaczyłem.

– Co zobaczyłeś?

– Lunetę. I kurtkę.

– Lunetę?

– Tak, taką, przez jaką ludzie obserwują gwiazdy. Znajdowała się tam od dawna, bo była cała zabłocona i obrośnięta mchem. Kurtka też. Pomarańczowa i naprawdę stara, brudna, na wpół przegniła. Leżała na kamieniach przy brzegu. Nawet gdyby udało mi się po nią zejść, to chyba rozlazłaby mi się w rękach. Więc dałem sobie spokój, szybko się podniosłem i uciekłem. – Głos mu zamarł w gardle i widać było, że jest mocno poruszony. – A potem, po jakichś piętnastu minutach, może trochę więcej, usłyszałem wycie.

– Jakie wycie?

– Wycie – powtórzył z naciskiem i tym razem Beth zrozumiała.

To wycie. Dźwięk, który ona i Penny usłyszały wtedy w nocy, gdy przeszły przez płot.

Wycie potwora.

– Zdawało się dochodzić od strony płotu – powiedział Richard – ale nie miałem wyboru, musiałem tamtędy przejść. Inaczej nie umiałbym trafić do domu. Puściłem się biegiem. Pędziłem tak szybko, aż brakło mi tchu.

Popatrzyli po sobie.

– Nigdy wcześniej tego nie skojarzyłem, dopiero jak cię poznałem i jak mi pokazałaś wasze zdjęcia z dzieciństwa. Pamiętasz?

– Tak. Parę miesięcy temu.

– Właśnie. Było tam takie zdjęcie Penny, pamiętasz?

– Jakie zdjęcie?

– Jej z ojcem. Siedzi mu na kolanach.

– Tak, pamiętam to zdjęcie. No i co?

Wiatr nagle się uspokoił i słychać było tylko, jak otwierają się i z trzaskiem zamykają drzwi, podzwaniają metalowe urządzenia i skrzypią kołyszące się na rusztowaniach zbiorniki olejowe.

– Rich?

W końcu oderwał wzrok od szyby.

– Na fotografii, którą mi pokazywałaś, tata Penny był w takiej samej kurtce.

– Co?

– Ta kurtka, którą widziałem koło stawu. To była kurtka taty Penny.

– Jesteś... – Zawahała się. – Jesteś pewny?

Teraz przypomniała sobie tę kurtkę ze zdjęcia. Była pomarańczowa.

– Gdy zbliżyłem się do płotu – mówił dalej Richard, ściskając dłoń Beth – już tam na mnie czekali. Mój i twój tata. Jak tylko mnie zobaczyli, zaczęli krzyczeć, żebym się pospieszył, żebym biegł najszybciej, jak mogę. Kiedy dobiegłem do płotu, pomogli mi przez niego przejść i pomyślałem, że już po wszystkim, że jestem bezpieczny. – Do oczu napłynęły mu łzy. Otarł je wierzchem dłoni, jednak zaraz pojawiły się następne. – Ale nie było po

wszystkim. Jak tylko znalazłem się po ich stronie płotu, tata mnie chwycił, przyparł do samochodu i zaczął się wydzierać: „Co ci, kurwa, strzeliło do głowy?! Wiesz, że nie wolno chodzić do Otchłani! Wiesz, jak tam jest niebezpiecznie! Słyszałeś o tych dwóch dziewczynkach! Mogłeś tam zginąć!”. Był naprawdę wściekły. A potem ukarali mnie tak samo jak ciebie. Wieczorem zawlekli pod płot, przywiązali i... i to... – Pociągnął nosem. – I to tam było.

Beth znów ścisnęła jego dłoń.

Milczał przez chwilę, starając się opanować.

– To podeszło do samego płotu. – Odchrząknął. – Widziałem to po ciemku kątem oka. Słyszałem. Miałem wrażenie, że czuję na karku jego oddech. Ale wiesz, co było najdziwniejsze?

– Co?

– Kiedy tata przyjechał po mnie rano, wyglądał, jakby płakał. Odwiązał mnie od płotu, przytulił i powiedział, że mnie kocha.

– Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał?

– Nie, nie o to chodzi.

– A o co?

– Mówiłaś, że Jack zrobił to samo, kiedy przyjechał po ciebie i Penny. I nie chodzi mi o przytulanie. Chodzi o to, co mi powiedział. Prosto stamtąd przywiózł mnie do tej stacji wielorybniczej. – Richard powiódł ręką dokoła. – Byłem tu wtedy pierwszy raz w życiu, miałem szesnaście lat. Przywiózł mnie tu, bo to najdalej od Sophii, dokąd da się dojechać. Popatrzył na mnie i w jego oczach widziałem łzy. „Jak daleko doszedłeś wokół stawu?”, zapytał.

Beth lekko się odchyliła.

– A potem zaczął mówić o Penny. Powiedział, że zamierza wyjechać do Anglii, jak skończy szesnaście lat, ale że się tym nie przejmują, bo jeśli

nawet opowie komuś o potworze, to kto jej uwierzy? Jednak ze mną to co innego, powiedział, bo zaszedłem głębiej do Otchłani niż ktokolwiek inny i wyspiarze się o mnie martwią. Chodziło mu o to, że widziałem coś więcej niż potwora. I nagle zaczął mówić bardzo dziwne rzeczy. „Nie opuszczaj wysp. Jeśli teraz wyjedziesz, to pomyślą, że uciekasz. Dlatego powinieneś zostać i nic nikomu nie mówić o stawie. Jeśli postąpisz inaczej, mogę nie dać rady cię ochronić”.

– Ochronić? – powtórzyła ze zdziwieniem Beth. – Dlaczego ktoś miałby cię chronić?

Richard milczał, nerwowo ściskając palcami dłoń Beth, jakby tonął i szukał pomocnej ręki.

– Nie wiem – odezwał się w końcu. – Ale patrzyłem na załzawione oczy taty i wydawało mi się, że poza łzami widzę w nich coś jeszcze. Prawdziwy powód jego płaczu...

Głos mu zamarł.

Krople deszczu siekły w szybę samochodu.

– Jakby myślał, że to, co najgorsze, jest dopiero przede mną.

52

W szumie klimatyzacji próbowaliśmy oboje przetrwać relację Beth z rozmowy z Richardem Kite'em – Richardem Presleyem – na starej stacji wielorybniczej.

– To ma jakiś związek z tą chatą nad stawem – powiedziała, patrząc na mnie. – Wiąże się z nią jakaś tajemnica i nasi ojcowie ją znali.

– A co z tym potworem? – spytałem.

– A co ma być? – Zmarszczyła brwi.

– Nadal uważasz, że istnieje?

– Już to omówiliśmy.

– Założyli drucianą pułapkę w przejściu nad staw.

– I co z tego?

– Czy to nie dowodzi, że Bill Presley, twój tata i nie wiadomo kto jeszcze starali się na wszelkie sposoby uniemożliwić ludziom dotarcie do chaty?

– Ale potwora nie stworzyli.

– Zmyślili go, by odstraszyć ludzi.

– Nie zmyślili.

– Beth, zastanów się, co ty mówisz...

– Nie mów mi, że mam się zastanawiać! – prychnęła, ale zaraz się zreflektowała, że mówi za głośno. – Nie było cię tam.

– I naprawdę go widziałaś?

– Tak! Ile razy mam ci to powtarzać?

– Nie, pytam, czy widziałaś go wyraźnie. Czy widziałaś tego potwora przed sobą w pełnym świetle latarki? Czy tylko coś ci mignęło? – Zawiesiłem głos, nie odrywając od niej wzroku. – Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się, dlaczego ojciec przywiązał cię do płotu plecami, a nie tak, byś mogła obserwować to, co dzieje się w Otchłani?

Beth nie odpowiedziała.

– Gdyby chciał udowodnić, że potwór jest prawdziwy, to powinien pozwolić, byś go zobaczyła.

Opuściła głowę na piersi. Nie byłem zdziwiony, że w niego wierzy. Że mimo opowieści Richarda o chacie nad stawem nadal wierzy. Tamtej nocy w Otchłani była tylko przerażonym dzieckiem, unieruchomionym w miejscu, o którym krążyły różne plotki, a potem nikt nawet nie próbował jej przekonywać, że może być inaczej. Wręcz przeciwnie, coraz więcej mieszkańców miasteczka zaczynało w to wierzyć. Ale przecież nie było żadnego potwora.

W każdym razie takiego z bajki dla dzieci.

Nachyliłem się ku niej i szepnąłem:

– Powiedziałaś, że Richard po tym ostrzeżeniu, jakie usłyszał od ojca, był zbyt wystraszony, aby opuścić wyspy. To co sprawiło, że zmienił zdanie?

Przez chwilę mi się przyglądała, wciąż jeszcze naburmuszona.

– Rich coś znalazł – mruknęła wreszcie.

– Co takiego?

– W grudniu zeszłego roku. Miał kłopoty ze spaniem i którejs nocy poszedł na dół, żeby zrobić sobie herbatę, i przy kuchennym stole zobaczył

kompletnie zalanego ojca. Rich mówił, że jego tata coraz więcej pije. Niemal co wieczór upijał się w trupa.

Wyglądało na to, że Bill Presley się staczał. Ale dlaczego?

– Na stole obok ojca leżał otwarty laptop – ciągnęła Beth. – Był w nim włączony jakiś komunikator.

Chat pracowników Red Tree. To musiało być to.

– I z kim ojciec Richarda przez niego rozmawiał?

– Z Rolandem Dellem.

Ścisnąłem mocniej butelkę z wodą.

– To jeden z tych ludzi, którzy byli u ciebie w pokoju przesłuchań – dodała.

– Tak, wiem. Poznałem go już wcześniej. O czym rozmawiali?

– O Penny.

Wypowiedziała to imię niemal szeptem, jakby wymawianie go głośno było zbyt bolesne. Pamiętałem jej słowa sprzed paru minut: „Nie wierzę, że Penny zaginęła. Myślę, że została zabita”. Wtedy nie byłem pewny, czy tylko zgaduje, czy też twierdzi tak, ponieważ wie o czymś, czego mi nie zdradziła. Teraz zrozumiałem, że chodziło o to drugie. Wiedziała, co się stało z siostrą, bo powiedział jej o tym Richard.

A on poznał prawdę z laptopa ojca.

– Tata Richa musiał być zalany, kiedy prowadził tę rozmowę, bo powtarzał, że pójdą do piekła za to, co zrobili. Tak dokładnie napisał: *Wszyscy pójdziemy do piekła za to, co zrobiliśmy*. Rich zaczął przeglądać całą rozmowę i wtedy się okazało, że dotyczyła Penny...

– Wymieniali jej imię?

– Nie, używali tylko inicjałów P.B. Wspominali, że zaginęła w dwa tysiące czternastym roku. Ale Dell pisał o tym tak, jakby chodziło nie o zaginięcie, tylko o coś dużo gorszego.

Spróbowałem połączyć elementy układanki.

Pomyślałem o ojcu Penny i o tym, jak skojarzyła go z pieniędzmi przepływającymi przez szkołę. *Wszyscy pójdziemy do piekła za to, co zrobiliśmy.* Ojciec Penny nie żył, to wydawało się oczywiste, natomiast pozostawało pytanie, co Dell, Bill Presley i Jack Kilburn wiedzieli o jego śmierci. Jakkolwiek brzmiałaby odpowiedź, jeśli Bill Presley był w to zamieszany, zło w Sophii miało głębokie, sięgające policji korzenie.

– Poznałaś kiedyś Della? – spytałem.

– Osobiście nie. – Pokręciła głową.

– Ale słyszałaś o nim?

– Mój ojciec go zna.

– Skąd?

– Ojciec, Bill Presley, Roland Dell i niejaki Anthony Jessop, wszyscy oni dorastali na wyspach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dell się tu nie urodził. Przyjechał na wyspy z ojcem, gdy ten został gubernatorem. Wiem niewiele więcej.

Po tych jej słowach kolejny element wskoczył na swoje miejsce: to dlatego Dell był tak przejęty śmiercią Penny. „Nie wybrałbym dla niej takiego końca”, powiedział. Była pasierbicą kolegi, z którym dorastał. Dell przeniósł się do Anglii w 1984, w roku urodzenia Penny. Nie mógł jej znać jako dorosłej kobiety, dlatego mogła go oszukać, że nazywa się Corrine Wilson. To jej pozwoliło węszyć w jego życiu i natrafić na związek z jej ojcem.

– Chodziły też plotki o ojcu Richa. – Głos Beth wyrwał mnie z zamyślenia.

– O Billu Presleyu?

– Tak. Ale słyszałam o tym nie od Richa.

– A od kogo?

– Nie wiem. Nie pamiętam. Ludzie plotkują. W Sophii nie robią nic innego. Gęby im się nie zamykają.

– I co usłyszałaś?

– To dotyczy czasów, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, więc nie wiem, czy to prawda, ale plotkowano o Dellu i Billu Presleyu. Dell przeniósł się do Londynu, kiedy skończył szesnaście lat, ale przyjeżdżał na letnie wakacje, bo jego ojciec wciąż był tu gubernatorem. No i mówiono, że gdy przyjechał po pierwszym roku studiów, któregoś ranka widziano Billa Presleya siedzącego w zaułku za pubem. Siedział tam i płakał. Naprawdę płakał. Ludzie pomyśleli, że ma za sobą pijacką noc i nadal jest pijany. W Anglii mogło to być lato, ale na wyspach była już zima, a tu w zimie słońce nie wschodzi przed dziewiątą, więc panował jeszcze mrok i Billa trudno było zauważyć. Opowiadano, że już w wieku dwudziestu paru lat zdarzało mu się tak upić, że nie mógł trafić do domu. – Umilkła i spojrzała na mnie. – Chociaż niektórzy twierdzili, że wcale nie był pijany. Mówili, że Bill Presley nie pojawił się w pubie, że nikt go tej nocy w ogóle nie widział. Jeden z jego sąsiadów miał go podobno widzieć, jak o szóstej rano wychodził z domu. I już wtedy płakał. I podobno był zakrwawiony.

– Zakrwawiony?

– Na rękawach kurtki miał krew.

Próbowałam złożyć to w jakąś logiczną całość. Dell wrócił na wyspy w porze letnich wakacji. Wkrótce potem widziano Billa Presleya płaczącego, ze śladami krwi na kurtce. Presley powiedział Dellowi, że za to, co zrobili, wszyscy pójdą do piekła. Mówiąc „wszyscy”, miał na myśli siebie, Della, Jacka Kilburna i być może także tego Anthony’ego Jessopa. A to wszystko wiązało się z czymś, co Beth powiedziała, nie zdając sobie nawet sprawy ze znaczenia swoich słów.

Dell był po pierwszym roku studiów, co znaczyło, że miał wtedy dziewiętnaście lat. Czyli był to 1987 rok.

Rok, w którym zaginął ojciec Penny.

53

– Penny podjęła pracę w szkole po to, żeby śledzić Della, prawda?
Beth skinęła głową.

– Myślę, że tak.

– A co, twoim zdaniem, wzbudziło jej podejrzenia?

– Tata Penny i Roland Dell byli zaprzyjaźnieni. W starych numerach „Empress Express” można znaleźć wiele zdjęć ich obu przy różnych okazjach towarzyskich. Więc może stąd się to wzięło.

Spojrzałem na nią.

– A może z czegoś innego?

– Może z czegoś, co jej powiedziałam. Byłam jeszcze dzieckiem, jak mój tata kiedyś się upił i zaczął mi opowiadać, że Caleb Beck był bardzo bogaty. Powtórzyłam to Pen, ale ona nie uwierzyła. Chyba już nigdy do tego nie wróciliśmy, bo nic nie wskazywało na to, żeby Fiona dostała coś w spadku po tacie Penny. Nigdy nie mieszkaliśmy w dużym domu, nie mieliśmy eleganckich samochodów, nie jeździliśmy na zagraniczne wakacje. Ale potem, niedługo przed wyjazdem Penny, tata nagle kupił sobie nowego land rovera. Nowiutkiego.

– Powiedział, skąd miał na to pieniądze?

– Powiedział, że trafiła mu się większa sumka.

To oczywiście idealnie pasowało.

Jak mówiła Beth, stało się to niedługo przed wyjazdem Penny z wyspy, czyli w sierpniu lub wrześniu 2000 roku. A właśnie we wrześniu tego roku Dell przelał pieniądze z konta Red Tree na trzy rachunki bankowe na wyspach Empress. Jeden z tych rachunków mógł należeć do Jacka Kilburna, pozostałe dwa do Billa Presleya i Anthony'ego Jessopa. Wszyscy czterej byli jedną paczką. Czy mogli wszyscy maczać palce w obrabowaniu Caleba Becka? A jeśli z tego powodu go zabili?

– Czyli Penny nie ufała twojemu tacie?

– Myślę, że straciła zaufanie tamtej nocy, kiedy zostawili nas przywiązane do płotu. Myślę też, że im była starsza, tym bardziej pragnęła się dowiedzieć, co stało się z jej tatą. – Beth wzruszyła ramionami. – Nie wiem, i może teraz nie ma to już żadnego znaczenia. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że zaczęła grzebać w papierach ojca i już będąc w Anglii, wykryła jakieś powiązanie z Rolandem Dellem.

I zapłaciła za to życiem.

Beth poruszyła się i zmieniła pozycję pod ścianą tak, że spłynął na nią blask jednej z nocnych lamp, w którym jej twarz nabrała odcienia ziemistej szarości. Przeniosłem wzrok na siedzącego w biurze Marka i stwierdziłem, że przez cały czas nawet nie drgnął.

– Następnego dnia po tym – odezwała się cicho Beth – jak Rich przeczytał rozmowę ojca na komunikatorze, przyszedł do mnie i wszystko mi powiedział. Powiedział mi o Penny. – Pociągnęła nosem. Trzymała dłoń przy ustach, jakby chciała podeprzeć głowę, przez co jej słowa były przytłumione. – Powiedział, że był w bibliotece i szukał w internecie wiadomości o Penny. Przejrzał wszystko w sprawie jej zniknięcia.

Teraz było już jasne, dlaczego Naomi Russum pokazywała Richardowi zdjęcia Penny. Gdy on i Beth opuścili w końcu wyspy, Bill Presley, Jack Kilburn i Anthony Jessop, przy czynnym udziale Della, który pociągał za

sznurki z Londynu, dowiedzieli się, że Richard odwiedził bibliotekę. Łatwo byłoby ustalić, po co tam poszedł, bo w wyszukiwarce internetowej pozostałby ślad jego poszukiwań. I wtedy zrozumieli, że mają problem. Musieli dojść do wniosku, że Richard poznał prawdę i wie, że Penny uciszono, ponieważ odkryła coś o swoim ojcu, rozumiała, dlaczego zniknął. W rzeczywistości Richard wiedział o wiele mniej, niż myśleli, tyle że wkrótce – dzięki Beth i jej nieustępliwości – miał dowiedzieć się więcej.

Był też dodatkowy problem: rola Jacka Kilburna w śmierci Penny. Praktycznie to on ją wychowywał, zastępując jej ojca. Fiona zmarła w 2011 roku, ale nic nie wskazywało na to, by Kilburn – czy to za życia Fiony, czy po jej śmierci – nie był dla Penny kochającym ojczymem, nawet jeśli ona straciła do niego zaufanie po nocy w Otchłani. A jednak wyraził zgodę, by ją zamordowano – lub co najmniej uznał to za uzasadnioną konieczność – i patrzył z daleka, jak Marek zabija kobietę, która była dla niego córką na równi z Beth. Jak rodzic mógł zrobić coś takiego?

– Rich nie znalazł wtedy żadnych wiadomości o Penny – powiedziała Beth, przerywając moje rozmyślenia – ale natknął się na informację o zamordowaniu kobiety i znalezieniu jej zwłok na torach w Londynie.

Tę samą, którą i ja czytałem.

Patrzyłem, jak oczy Beth nabiegają łzami.

– Wycięli jej tatuaż, żeby nikt się nie zorientował, że to ona, prawda? – spytała.

Nie było sposobu na złagodzenie odpowiedzi.

– Tak – potwierdziłem. – Bardzo mi przykro, Beth.

Przełknęła ślinę i zapatrzyła się w mrok korytarza. Usłyszałem, jak pociąga nosem, i zobaczyłem, że przeciera sobie oczy. A potem zwróciła się w moją stronę i ujrzałem jej zmienioną twarz: mokrą od łez, ale jednocześnie pełną zaciekleści.

– Zastanawialiśmy się, czy nie iść na policję w St George. Tata Richa był szefem posterunku w Sophii, więc do niego nie mogliśmy pójść. Znał też ludzi w St George, a od kogoś, kto mógłby nam pomóc, dzieliło nas ponad jedenaście tysięcy kilometrów. Więc praktycznie nie mieliśmy wyboru.

– I ukryliście się na pokładzie *Olympii*.

Otarła oczy, rozmazując brud na policzku.

– Nie mogliśmy tak zwyczajnie wyjechać z wyspy. Otaczały nas tysiące kilometrów oceanu. Poza tym ludzie z portu na Blake Point i z lotniska kawałek dalej albo nas znali, albo by nas rozpoznali. Dlatego wymyśliłam ucieczkę statkiem.

– Jak dostaliście się na pokład?

– Udało mi się ustalić rozkład rejsów *Olympii* na podstawie papierów, które trzymali w stoczni. Było tego mnóstwo, bo stocznia organizowała całodniowe wycieczki dla pasażerów schodzących na brzeg. Statek odbywał regularne rejsy: osiemdziesięciodniowy, pięćdziesięciodniowy, osiemdziesięciodniowy, pięćdziesięciodniowy i osiemdziesięciodniowy, w sumie trzysta czterdzieści dni w roku. Pozostałe dwadzieścia pięć dni spędzał w suchym doku, przechodząc naprawy i coroczną konserwację. To znaczyło, że zawijał do portu na wyspach Empress pięć razy do roku, a z rozkładu rejsów wynikało, że do naszej najbliższej szansy ucieczki został tylko tydzień. Rich spędził ten czas, gromadząc zapasy żywności i ubrania, ja zajęłam się resztą.

– Resztą?

– Uniformami i dokumentami.

– Udawaliście zatrudnionych na statku?

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie musieliśmy. Paru pracowników stoczni miało karty wstępu na pokład *Olympii*, bo od lat organizowali całodzienne

wycieczki dla pasażerów. Statek zawsze cumował na Blake Point wcześniej rano i zostawał na noc, więc pracownikom stoczni wystawiono stałe przepustki, żeby mogli rano wchodzić na pokład i bezpośrednio zachęcać ludzi do zwiedzania wyspy. Na karcie wstępu nie było zdjęcia jej właściciela, ale jak przytknęło się ją do skanera, na ekranie ukazywało się nazwisko. Po południu drugiego dnia, kiedy ludzie ze stoczni byli z grupami pasażerów na żerowisku wielorybów, oboje z Richardem weszliśmy na pokład *Olympii*. Ochronie powiedziałam, że jeden z kolegów zostawił wczoraj na statku rejestr wycieczek i poprosił mnie, bym go zabrała. Użyliśmy wejścia dla członków załogi, mieliśmy na sobie T-shirty z nazwą stoczni, plakietki z nazwiskami i pliki papierów w rękach i zagadaliśmy ochroniarzy, więc w ogóle nie zwrócili uwagi na nasze torby i nawet nie spojrzeli na ekran maszyny prześwietlającej. Nie zauważyli męskiego imienia na mojej karcie. – Przerwała i odetchnęła głęboko. – Było bardzo dziwnie. Cały tydzień spędziliśmy w nerwach, przewidując, co nam zrobią, jeśli nas złapią. Wielokrotnie omawialiśmy wszelkie możliwe scenariusze i ustalaliśmy odpowiedzi, wzajemnie się przepytując. Przez ten tydzień prawie nie zmrużyłam oka. A potem wszystko przebiegło gładko i prosto.

– Gdzie się ukrywaliście?

– Niektóre noce spędzaliśmy po prostu w restauracji lub w nocnym klubie, bo wszędzie było pełno ludzi i nikt nie zwracał na nas uwagi. Następnego dnia odsypialiśmy nad basenem albo na kanapie w salonie. Kiedy noce były cieplejsze, spaliśmy na pokładzie, na leżakach. Po pewnym czasie udało mi się zdobyć uniform sprzątaczkki i gdy nikogo nie było w pobliżu, wkładałam go i szłam do pralni. Sprawdzałam na planie, które kajuty są wolne, i parę razy udało nam się przespać noc w kajucie.

To dlatego miała na sobie uniform na nagraniu z kamery ochrony. Stopniowo pralnia stała się dla niej miejscem przechowywania rzeczy – żywności i zapasów – ale wtedy znajdował się też w niej harmonogram, z którego mogli się dowiedzieć, która kajuta stoi pusta.

– I tak to się ciągnęło całymi tygodniami – mówiła dalej. – Dotarliśmy do Ameryki Południowej, opłynęliśmy Karaiby i ani razu nikt się nami nie zainteresował. Postanowiliśmy zejść na ląd w Southampton i wiedzieliśmy, że do tej pory musimy siedzieć cicho. – Po jej twarzy przebiegł lekki dreszcz, jakby coś sobie przypomniała. – A potem zawinęliśmy do portu w Nowym Jorku.

– I co się stało?

– Już zaczęliśmy myśleć, że nam się udało. W końcu byliśmy zaledwie sześć dni od Anglii i naprawdę wszystko szło gładko. Gdy wypływaliśmy z portu, zostawiłam Richa na górnym pokładzie i zesłam po kawę dla nas. I wtedy natknęłam się na tego faceta, który chodził i wypytywał personel. Ustawiłam się w kolejce po kawę, a on nagle zaczął sunąć wzdłuż kolejki w moją stronę. W ręce miał cały plik fotografii, a na wszystkich byliśmy ja i Rich.

Nie jedno zdjęcie, ale cały plik. Widać Dell uruchomił Marka, kiedy Presley, Kilburn i Jessop nie znaleźli ich nigdzie na wyspach. A potem, wkrótce po wejściu na pokład *Olympii*, Marek przy pomocy Larry’ego Grobba przejrzał nagrania z kamer ochrony i odkrył liczne ślady obecności Beth i Richarda na statku.

– Tym wypytyującym facetem był on – dodała Beth, wskazując na Marka.

– I co było potem?

– Bardzo ostrożnie się wycofałam, pobiegłam na górę i pociągnęłam za sobą Richa. Byliśmy przerażeni. Przeżyliśmy trzy tygodnie w fałszywym

przekonaniu, że jesteśmy już bezpieczni. Przestaliśmy nawet specjalnie uważać. Nie mieliśmy żadnego planu awaryjnego, bo byliśmy pewni, że nie jest nam potrzebny. – Spojrzała na Marka, a potem na mnie i pokręciła głową. – Nie znałam wtedy statku tak dobrze jak teraz. Teraz wszystko mam porozkładane w różnych miejscach: rzeczy na wypadek sytuacji awaryjnej, najcenniejsze dla mnie pamiątki. – Głos jej się lekko załamał. Najcenniejsze pamiątki. Wiedziałem, że ma na myśli fotografię jej i Penny jako dzieci, którą znalazłem w pralni. – Ale wtedy nie mieliśmy pojęcia, jak należy się zabezpieczać.

– I co zrobiliście?

– Przez następne sześć dni przenosiliśmy się z miejsca na miejsce. Chodziliśmy do kina i siadaliśmy po ciemku w ostatnim rzędzie, oglądając w kółko te same filmy. *Północ – północny zachód* widziałam z siedemdziesiąt razy. Chowaliśmy się w toaletach, w pralni, po kątach w restauracjach i barach, wieczorami szliśmy do nocnego klubu. Na zmianę trzymaliśmy wartę. Możliwie jak najczęściej zmienialiśmy ubiór, żeby nie widziano nas ciągle w tych samych ciuchach. Zrywaliśmy się przed wschodem słońca i szliśmy na basen się umyć. Staraliśmy się zachowywać w miarę normalnie, bo wiedziałam, że każde odbiegające od normy zachowanie zwróci na nas uwagę. Jeśli będziemy śmierdzieć potem lub dziwnie się zachowywać, ludzie od razu to zauważą.

Na dłoniach Richarda stwierdzono ślady podchlorynu wapnia – sproszkowanego chloru – i wtedy od razu skojarzyłem to z basenem, ale dopiero teraz poznawałem całą prawdę. Oboje z Beth myli się codziennie w basenie.

– I tak to trwało przez całą drogę do portu w Southampton – ciągnęła. – Brytyjską linię brzegową dojrzeliliśmy o czwartej rano, a statek miał przybić do nabrzeża o piątej trzydzieści. O tej porze na pokładzie było dość pusto,

ale i tak byliśmy bardzo ostrożni. Uznaliśmy, że najlepiej będzie schować się w kinie i doczekać tam do końca rejsu, bo jeśli ten facet wciąż nas szuka, to pewnie założył, że pójdziemy na górny pokład.

Nie знаła wtedy Marka tak dobrze jak teraz. I jak ja.

Wcale by tak nie założył.

– A on czekał na nas właśnie w kinie – powiedziała. – Sala kinowa była dla nas dobrą kryjówką. Po ciemku mogliśmy zachować anonimowość. – Głos jej się załamał. Sześć dni walki o anonimowość poszło na marne, bo tam ich znalazł. – Miał dostęp do nagrań z kamer monitoringu. Wiedzieliśmy o tym od chwili, gdy zaczął pokazywać nasze ujęcia z kamer. Staraliśmy się uciekać przed okiem kamer, ciągle przenosić się z miejsca na miejsce, ale sala kinowa stała się naszą oazą i nawet się nad tym nie zastanawialiśmy. Czuliśmy się tam bezpiecznie i bywaliśmy w niej dość często. – Jej twarz wykrzywił grymas bólu. – Kiedy go tam zobaczyliśmy, wybiegliśmy z sali. Dosłownie rzuciliśmy się do ucieczki, po czym w jakiś sposób się rozdzieliliśmy. Nie wiem, kiedy i jak to się stało, ale nagle Richa już obok mnie nie było.

– I co wtedy zrobiłaś?

– Zawróciłam i zaczęłam go szukać.

Zamrugła i wbiła wzrok w podłogę między nami, gdzie leżały resztki po jedzeniu, którym mnie poczęstowała: papierki po batonach, niedojedzona paczka chrupek, okruchy po kanapce.

– Nie było go na tym pokładzie, więc zaczęłam przenosić się coraz wyżej. Sprawdzłam kolejne, jeden po drugim, zaglądałam do różnych naszych kryjówek, w miejsca, do których byśmy razem wrócili. W końcu dotarłam na pokład basenowy. Panowała tam cisza. Było jeszcze bardzo wcześnie. Obeszłam wszystkie baseny, przebieralnie, toalety i wtedy ich zobaczyłam. Byli obaj pode mną.

– Pod tobą?

– Stali na wąskim balkoniku w kącie pokładu ósmego. – Smutno się uśmiechnęła. – Rich najwyraźniej tam się schował, ale trzeba przyznać, że z natury nie był zbyt przebiegły. To ja sterowałam wszystkim, co się działo do tego momentu, przez te całe trzy tygodnie, kiedy się ukrywaliśmy. Rich nie był do tego stworzony. Kombinowanie i oszukiwanie nie leżało w jego naturze. Uznał balkonik za najlepszą kryjówkę, nie myśląc o tym, że w ten sposób odcina sobie drogę ucieczki. Znalazł się w pułapce.

Następne słowa wypowiedziała tak cicho, że brzmiały niemal jak westchnienie.

– Rzucił się na Richa, zaczęli się mocować i Rich się poślizgnął. Wcześniej padało i wszędzie stały kałuże wody. Stracił równowagę, spadł i uderzył twarzą w reling. Walnął tak mocno, że ten dźwięk przebił się nawet przez hałas na statku. Zaraz potem osunął się na pokład i zobaczyłam krew na jego twarzy.

A więc to było źródłem obrażeń Richarda.

– Stracił przytomność?

– Nie. Próbował nawet wstać, ale tylko się zatoczył i... – spojrzała w stronę Marka – on zostawił Richa, jakby wiedział, że już po wszystkim. – Głos jej uwiązł w gardle i rozwarła dłoń, jak gdyby próbowała ochronić swojego chłopaka przed upadkiem. – Nie sądzę, by myślał, że Rich wypadnie za burtę, ale wszystko stało się tak szybko. Rich otarł się o reling i stracił równowagę, a kiedy próbował się go przytrzymać, ręka mu się omsknęła i nagle znalazł się za burtą. Mam to wciąż przed oczami. W jednej chwili był, w następnej już go nie było. Tak jakbym tylko zdążyła mrugnąć, a on w tym czasie przestał istnieć. Nie słyszałam żadnego plusku, żadnego uderzenia w wodę. Rich nawet nie krzyknął. Jak gdyby nic się nie stało. Po prostu zniknął.

Zdawało się, że na statku zapadła grobowa cisza.

– O tym, że przeżył, dowiedziałam się dużo później. Zawsze doskonale pływał, więc pewnie kiedy znalazł się w wodzie, machinalnie zaczął pływać. Zadziałał instynkt przetrwania, automatyczny odruch czy coś w tym rodzaju. Dzięki temu udało mu się dostać do brzegu i dopiero tam ostatecznie stracił przytomność. Parę tygodni później zakradłam się do sali komputerowej na dolnym pokładzie i ze zdumieniem przeczytałam w sieci o Richu. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom.

– Parę tygodni? Czyli nawet nie spróbowałaś wysiąść w Southampton?

– Nie. – Jej rozwarta dłoń powoli zacisnęła się w pięść. – Czułam, że w Southampton nie mogę zejść na ląd, bo Marek tylko na to czeka. Skoro korzystał z kamer monitoringu, żeby nas odnaleźć, znaczyło to, że ochronę statku ma w kieszeni. Czyli że obstawią wszystkie wyjścia. Wiedziałam, że jestem w pułapce.

– I zostałam na statku, cały czas się ukrywając?

– Tak. Dzięki temu odkryłam takie miejsca jak to. – Spojrzała na otwór wentylacyjny w suficie. – Po pewnym czasie, po paru tygodniach, może po miesiącu, doszli do wniosku, że jednak udało mi się zejść na ląd, i przestali mnie szukać. Tylko że ja nie wiedziałam już, co robić i gdzie się podziać. Byłam przerażona.

– Nie myślałaś o odszukaniu Richarda?

– Przecież stracił pamięć, więc jaki by to miało sens? Wtedy był już Zagubionym. – Uśmiechnęła się, ale był to zaledwie cień uśmiechu, przepełniony bólem złamanego serca. – Wiesz, co w tym było najdziwniejsze? Nie wiedziałam, że stracił pamięć, dopóki nie przeczytałam o tym w internecie, ale była taka chwila, tuż zanim wypadł za burtę, kiedy jakby na mnie spojrzał i w jego oczach... – Zawiesiła głos. – Wiem, że nie mogłam w nich dojrzeć utraty pamięci, że takich rzeczy nie da się poznać

po wyglądzie, ale przysięgam, że po tym, jak uderzył się w głowę, zmienił się wyraz jego oczu. Jakby należały do kogoś innego. Mojego Richa w nich nie było.

Przez chwilę się w nią wpatrywałem, próbując zrozumieć to wszystko, co powiedziała, i jakoś poukładać to w głowie. Zapadła między nami cisza, a potem nagle oboje zdaliśmy sobie sprawę, że coś się zmieniło. Spojrzeliśmy na siebie, po czym przenieśliśmy wzrok na szklaną ścianę w końcu korytarza.

Marek zniknął.

54

Spuściliśmy go z oka tylko na moment i to mu wystarczyło.

Beth wyszarpnęła pistolet zza paska i trzymając go w wyciągniętej ręce, skierowała się ku drzwiom. Ruszyłem za nią. Im bardziej się zbliżaliśmy, tym większe czułem napięcie. Marka nie było przy żadnym biurku, a w prześwitach pod nimi widać było, że nie kryje się za żadnym z nich.

Gdzie on się podział?

Otwarcie zamków w drzwiach wymagałoby czasu i wysiłku, nawet gdyby miał komplet wytrychów; a gdyby wyszedł z biura, musielibyśmy go zauważyć. Każdy ruch zwróciłby naszą uwagę.

Beth zaczęła się rozglądać za kluczem, który wcześniej rzuciła gdzieś na korytarz. Po chwili znalazła go i podeszła do drzwi.

Powiedziałem, żeby się wstrzymała, ale ona zdążyła już włożyć klucz do zamka i położyć rękę na klamce. Popatrzyła na mnie zaskoczona, a ja wskazałem wysoką metalową szafkę w głębi pomieszczenia. Obok był pluszowy miś z zawieszoną na szyi tabliczką z napisem KIEROWNIK.

Tam, powiedziałem bezgłośnie.

Drzwi szafki były lekko uchylone.

Beth skinęła głową i otworzyła drzwi do biura. Z wylotu nad szafką dmuchał strumień klimatyzowanego powietrza, lekko poruszając niedomkniętymi drzwiami. Nie dało się dojrzeć, co jest w środku, ale nie

wyglądało na to, by były w niej półki. A jeśli ich nie było, to wystarczyłoby miejsca, by się w niej schować.

Zatrzymałem się w wejściu do biura.

Coś mi tu nie pasowało.

Beth spojrzała na mnie pytająco, po czym ruszyła do przodu, trzymając pistolet w wyciągniętych rękach, całkowicie nieruchomo. Widać było, że ma wprawę w posługiwaniu się bronią. Jako córka farmera musiała mieć z nią styczność od dziecka. Podobnie jak ja, bo też byłem synem farmera, ale moje zetknięcie z prawdziwą bronią palną – w odróżnieniu od wiatrówek i śrutówek – nastąpiło dużo później, gdy w takich sprawach jak ta zacząłem spotykać na swej drodze ludzi pokroju Marka.

Uniosłem rękę w ostrzegawczym geście, ale Beth była już w środku, z metr przede mną, i przeciskała się między biurkami.

Nigdy wcześniej tu nie byłem, a Beth zajrzała tu tylko na moment, by wyrwać z gniazdek przewody telefoniczne. Po zamknięciu drzwi za Markiem wyrzuciła ze złością klucz, gdy ja byłem wtedy na drugim końcu korytarza, lustrując wzrokiem restaurację i kręcących się pasażerów i nie patrząc na biuro ochrony. Beth skupiała się na tym, by odciąć łączność i upewnić się, że Marek się nie wydostanie.

Nie na tym, co było ponad nim.

Popatrzyłem w górę.

Sufit złożony z kwadratowych paneli był rozsunięty i trzech brakowało. Widać było owinięte czarną izolacją przewody i rząd białych żelaznych legarów. Zerknąłem na blat biurka obok i dostrzegłem na nim odcisk stopy. Popatrzyłem jeszcze raz w górę i dostrzegłem także jego. Tkwił przykucnięty na jednym z legarów, ukryty w mroku i gotowy do skoku.

Cholera.

Skoczył wprost na mnie.

Runęliśmy obaj na najbliższe biurko. Komputer z hukiem wylądował na podłodze, a Marek zważył się na mnie całym ciężarem, wyciskając ze mnie resztki tchu. Poczułem żelazny ucisk od żołądka po gardło, w głowie coś mi załomotało i błysnęło. Białe plamy w oczach. Rozmazany obraz. Huk w uszach.

Strasznie głośny.

Starałem się skupić wzrok i gdy wreszcie mi się to udało, zobaczyłem, że Marka już nie ma. Zostawił mnie i wyniósł się, a ja zwiisałem z krawędzi biurka, czując ból w całym ciele.

Gdzie on się podział?

Spróbowałem się podnieść, lekko oszołomiony i niepewny, w którą stronę się zwrócić. Skąd znów na mnie skoczy? Rozejrzałem się za Beth.

Krew zastygła mi w żyłach.

Stała dwa kroki dalej, wciąż trzymając pistolet przed sobą, a jej ramionami wstrząsał szloch.

Policzki miała mokre od łez.

Zdałem sobie sprawę, że huk, który usłyszałem wcześniej, nie rozległ się w mojej głowie i nie był reakcją po zwaleniu się na mnie Marka. Nie był to też nagły atak migreny ani przejaw odwodnienia, ani wewnętrzny wstrząs.

Był to huk wystrzału.

Między nią a mną leżał Marek, częściowo oparty plecami o biurko. Dłoń miał przyciśniętą do rany u podstawy gardła, a między palcami ciekła mu krew, rozlewając się po koszuli. Powieki mu zadrgały, spróbował skierować na mnie wzrok, ale nie był w stanie poruszyć oczami.

Jego ręka zaczęła się osuwać.

Ciało przechyliło się ku podłodze.

W chwili gdy na nią opadło, już nie żył.

55

Beth powoli zaczęła się uspokajać.

– Uratowałaś mi życie – odezwałem się łagodnym tonem, choć nie byłem pewny, czy to jej w czymś pomoże. Dotknąłem ręką jej ramienia, uważając, by nie odebrała tego źle. – Musimy się go pozbyć, nim wróci tu ochrona. Jesteś w stanie mi pomóc?

Zawahała się, ale skinęła głową.

– Dobrze. Chciałbym, żebyś poszła i coś przyniosła.

Powiedziałem jej, czego potrzebujemy, i Beth wspięła się z powrotem do kanału wentylacyjnego. Ja tymczasem nalałem wody do wiadra i zabrałem się do usuwania plam krwi i innych śladów po tym, co tu zaszło.

Po piętnastu minutach Beth wróciła do biura, wtaczając wózek do sprzątnia. Wspólnie załadowaliśmy do niego zwłoki Marka. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne zadanie. Wiedziałem, jakim był draniem i co miał na sumieniu, i przyjmowałem, że spotkał go zasłużony koniec, ale i tak nie mogłem w pełni stłumić w sobie poczucia winy. Wtłoczyliśmy go do wózka, dociskając tak, żeby się zmieścił, i popatrzyliśmy na siebie. Czytałem jej w myślach tak wyraźnie, jakby były napisane na ścianie: on to samo zrobił z Penny. Wtłoczył jej ciało do ciemnej i ciasnej dziury, w nadziei, że nikt nigdy go tam nie znajdzie.

Znów zalała się łzami i tym razem pozwoliłem jej się wypłakać. Raz jeszcze ogarnąłem wzrokiem biuro, upewniając się, że niczego nie przeoczyłem. Zajrzałem też do pokoju przesłuchań, uprzątnąłem pozostawiony tam bałagan i wytarłem wszystkie powierzchnie, na których mogły być moje odciski palców – drzwi, biurko, krzesło. Chwilę zajęło mi sprawdzenie komórki Marka, która była podłączona do sieci wi-fi ochrony statku. Zajrzałem do jego skrzynki odbiorczej i wysłanych maili, ale tylko jedna wiadomość zwróciła moją uwagę: godzinę temu przyszedł mail od Rolanda Della z informacją, że jest już z powrotem na wyspach Empress i że po dotarciu do Kapsztadu wyśle po Marka gulfstreama, a sam poleci rejsowym samolotem na Heathrow.

Kiedy Marek nie pojawi się na lotnisku i Dell się o tym dowie, od razu zrozumie, że coś jest nie tak. Obojętne, czy dowie się jeszcze przed wylotem z Kapsztadu, czy już po przybyciu do Londynu; tak czy inaczej, jego ludzie go o tym poinformują. W tej chwili nie była to jednak najważniejsza sprawa. Schowałem telefon do kieszeni i spokojnie pozwoliłem Beth dojść do siebie. Wiedziałem, że przeżycia ostatnich godzin na długo pozostawią ślad na jej twarzy.

Przebrałem się w strój ochroniarza, Beth włożyła swój uniform sprzątaczkki i wyszliśmy głównymi drzwiami. Szła przodem, ja podążałem za nią, pchając wózek. Czujnie rozglądała się wokół, ze szczególną uwagą penetrując wzrokiem zakamarki i załomy w korytarzach statku, który tak dobrze poznała. Patrzyłem, jak wraz ze wzrostem poziomu adrenaliny górę bierze w niej instynkt przetrwania, zacierając straszne wspomnienia i trzymając nas oboje przy życiu. Potem jednak, gdy wsiedliśmy do windy i w panującej tam ciszy nieco się rozluźniliśmy, zerknąłem w lustro. I nie spodobało mi się to, co w nim zobaczyłem: twarz faceta, który z zimną krwią zapakował ludzkie zwłoki do wózka i zamierza po kryjomu wrzucić

je do morza, tak by nikt nigdy ich nie znalazł. Spojrzałem na Beth i po jej udręczonej minie poznałem, że zмага się z podobnymi myślami.

Wysiedliśmy na czwartym pokładzie, na którym znalazłem w pralni jej plastikową torbę, i Beth poprowadziła nas na rufę; powiedziała, że znajduje się tam galeryjka widokowa w formie balkonu, o której mało kto wie. Miała rację: przez podwójne drzwi wyszliśmy na pusty taras z kilkoma krzesłami po bokach. Nie wychodziły na niego okna żadnych kajut.

Popatrzyłem na ciemną toń oceanu. Gdzieś za chmurami wschodziło słońce i na niebie widać już było zapowiedź brzasku, ale zanosilo się na to, że ranek będzie szary; padał tak gęsty deszcz, że po szybach za moimi plecami ciekły strugi wody, a widoczność nie przekraczała kilometra. Od Blake Point dzieliły nas jeszcze dwie godziny drogi i znajdowaliśmy się teraz bliżej bieguna południowego niż wybrzeży Afryki.

– Co jest? – spytała Beth.

W jej głosie słychać było strach, więc uspokoiłem ją, że wszystko w porządku, choć poczucie winy nadal mnie nękało. Stanęła na straży, a ja wydobyłem z wózka ciało Marka. Zwaliło się na pokład. Patrząc w jego martwe oczy, znów zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek pogodzę się z tym, co teraz robimy. Powlokłem ciało Marka do relingu i walcząc z bólem w plecach, nogach i zmaltretowanej klatce piersiowej, dźwignąłem je, przerzuciłem przez reling i w ślad za nim wrzuciłem jego telefon komórkowy. Spojrzałem w falującą toń i patrzyłem chwilę, jak ciało Marka niknie w głębinie.

. . .

– Nie wrócę tam – odezwała się cicho Beth.

Siedzieliśmy w mojej kajucie, którą tymczasem już splądrowano: laptop był roztrzaskany na kawałki, notatki podarte lub zabrane, ubrania rozrzucone po całej kajucie. Na szczęście wciąż miałem przy sobie telefon

i notatnik. Grobb i jego koledzy nie zawracali sobie głowy telefonem, bo bez sygnału i dostępu do wi-fi był tylko bezużytecznym kawałkiem plastiku. Nie zainteresowali się też notatnikiem, bo póki byłem zamknięty w pokoju przesłuchań, dla nikogo nie stanowił zagrożenia. Pewnie po mojej śmierci Marek zabrałby oba i w spokoju sobie przejrzał.

– Nie wracam na wyspy – powiedziała znowu Beth. – Nie mogę tam wrócić. Wyjechałam stamtąd na zawsze. Wolę resztę życia spędzić w kanałach wentylacyjnych statku i odżywiać się resztkami z cudzych stołów, niż kiedykolwiek znów postawić tam nogę.

– Na statku nie jest teraz bezpiecznie.

– W Sophii też nie jest bezpiecznie. Oboje nas tam zabiją. Będziesz cierpieć. – Popatrzyła na szafę i drzwi, a potem znów na mnie. – Mój tata traktował Penny jak własną córkę, a jednak ją zamordowali. Nie wiem, na ile był w to zamieszany, ale musiał o tym wiedzieć. Porzucili jej ciało na torze kolejowym i jeszcze wycięli jej kawałki skóry. Nie wiem dlaczego i nie wiem, czego się dowiedziała o tacie, Billu Presleyu, Rolandzie Dellu i o tym, co zrobili, ale powiem ci jedno: możesz być pewny, że nie zawahają się zrobić tego samego z nami.

Miała rację. Beth nie wiedziała, co się znajduje w chacie nad stawem, ale wiedziała, że jej siostrę spotkała śmierć za to, co odkryła o Calebie Becku. Wiedziała, że ojciec Penny zniknął w tym samym roku, w którym Roland Dell przyjechał na wyspy w czasie letnich wakacji, i wiedziała, że Dell dorastał razem z jej ojcem, Billem Presleyem i Anthonym Jessopem. Czyli wiedziała za dużo.

Oboje wiedzieliśmy za dużo.

Nagle Beth, ku mojemu zdziwieniu, zaczęła podciągać rękaw bluzki. Spod rękawa wyłonił się łokieć, rękaw powędrował wyżej i dopiero wtedy zrozumiałem: pokazywała mi swój tatuaż. Taki sam, jaki miał na ramieniu

Richard Kite. Taki sam miała też Penny. Wszyscy troje mieli identyczny tatuaż.

Sylwetkę ptaka w locie.

– Penny zrobiła sobie ten tatuaż parę miesięcy przed wyjazdem – powiedziała Beth. – Miała wtedy zaledwie szesnaście lat, ale na wyspach był koleś, który brał forszę i nie zadawał zbyt wielu pytań. Zawsze się zastanawiałam dlaczego. Dlaczego akurat ten obrazek. Wtedy już ze sobą nie rozmawialiśmy, więc jej nawet nie spytałam, co to znaczy i po co w ogóle to zrobiła. Dopiero dużo później się dowiedziałam, że to sylwetka rybitwy popielatej. Wiesz, czym te rybitwy się odznaczają?

– Nie – odparłem.

– Najdłuższymi migracjami w świecie zwierząt. Aby dotrzeć do wyznaczonego miejsca, pokonują większe odległości niż jakikolwiek inny gatunek. – Popatrzyła na swój tatuaż. – Dlatego Rich i ja też zrobiliśmy sobie takie tatuaże przed wyjazdem z wyspy. My też migrowaliśmy. Wszyscy chcieliśmy stamtąd uciec.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Myśleliśmy o tatuażu, o powodach zrobienia go i o tym, co się może wydarzyć w ciągu najbliższych trzech czy dwunastu godzin, doby czy dwóch dni. Cokolwiek się stanie, oboje byliśmy zdecydowani: Beth zostaje na statku i nadal będzie się ukrywać, do chwili, aż to wszystko się skończy, a ja schodzę na brzeg; potrzebny mi będzie plan działania, żeby mnie nie namierzyli i nie powstrzymali, nie mówiąc o czymś gorszym.

Nie po to przebyłem jedenaście tysięcy kilometrów, by wracać, nie poznawszy prawdy.

CZĘŚĆ CZWARTA

Fragment książki Andrew Reece'a

Nietypowym szlakiem. Nieznane zakątki Wielkiej Brytanii

Miesiąc po moim powrocie do Anglii wydarzyło się coś dziwnego. Jadłem kolację w towarzystwie starego przyjaciela, dziennikarza i radiowca Tomasa Cassella, od którego zaczęło się moje zainteresowanie wyspami Empress i którego ojciec był pilotem stacjonującym w zlikwidowanej już bazie RAF-u na wyspach, i w pewnym momencie Tomas powiedział, że o mojej podróży na wyspy wspomniał paru kolegom z hiszpańskiej firmy produkcyjnej. Jeden z nich był Argentyńczykiem.

– Facet mówi, że powinieneś zainteresować się Seliną Torres – mówi mi Tomas.

– Kim?

– Seliną Torres.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

– Właśnie – mówi Tomas. – I w tym sęk.

Zaintrygowany, poprosiłem Tomasa o zorganizowanie spotkania z jego argentyńskim kolegą, kamerzystą Juanem Cotą. Spotykamy się po paru dniach i Juan wręcza mi coś, co wygląda na protokół z policyjnego przesłuchania.

– Selina była znajomą mojego znajomego – wyjaśnia. – Jej sprawa była dość głośna, ale tylko w Argentynie.

Czytam protokół.

POLICJANT: Kiedy ostatnio widział pan siostrę?

EMILIO TORRES: Dwa tygodnie temu. W czwartek, 16 lipca.

POLICJANT: Wszystko wyglądało w porządku?

EMILIO TORRES: Tak. Powiedziała, że musi wyjechać, ale tylko na krótko. Dwa, trzy dni, nie więcej.

POLICJANT: Wyjazd był służbowy?

EMILIO TORRES: Tak.

POLICJANT: Gdzie Selina pracuje?

EMILIO TORRES: Jest stewardesą.

POLICJANT: W jakiej linii lotniczej?

EMILIO TORRES: Nie wiem.

POLICJANT: Nie wie pan?

EMILIO TORRES: Nigdy nie mówi nic o pracy. Nigdy nie widziałem jej w służbowym uniformie. Pytałem, w której linii pracuje i na jakiej trasie lata, ale nie chciała powiedzieć.

POLICJANT: Dlaczego?

EMILIO TORRES: Bo myślę, że naprawdę wcale nie jest stewardesą.

– Podobno poleciała wtedy na wyspy Empress – mówi Juan.

I prawda jest taka, że nigdy nie rozgryzłem sprawy Seliny Torres. Przez jakiś czas próbowałem, ale moje wysiłki kończyły się w ślepych zaułkach, a potem pojawiły się nowe propozycje dobrze płatnych zajęć i praktycznie o niej zapomniałem. Tak że nie wiem, czy Selina Torres naprawdę poleciała na wyspy Empress i tam zaginęła, czy też jest to tylko kolejna pogłoska zrodzona w odizolowanej społeczności na końcu świata.

Ale powiedzmy sobie szczerze: po tym wszystkim, co mnie tam spotkało, zwłaszcza w miastach w rodzaju Sophii, już nic specjalnie mnie nie dziwi.

56

W deszczu wyspy wyglądały jak zjawy.

Zdawały się unosić w porannym świetle; wyłaniając się i znikając, światła portu mrugały w szarudze i za chwilę gasły. Siedziałem przy oknie w tenderze – katamaranie służącym w razie potrzeby jako szalupa ratunkowa – i przyglądałem się wyspie przez zaparowaną szybę. Ludzie wokół mnie robili to samo, dzieląc się wrażeniami. Rozległo się kilka wybuchów śmiechu, słychać było gwar rozmów, ale nad wszystkim i tak dominowało wycie wiatru i warkot silnika na rufie.

W łodzi było około osiemdziesięciu osób i większość z nich wybierała się w zorganizowanych grupach wycieczkowych prosto z Blake Point na żerowisko wielorybów. Program obejmował oglądanie wielorybów, fok i pingwinów, a także ogromnych kolonii ptaków morskich na klifach wschodnich wysp. Rozejrzałem się po łodzi, ciekaw, czy jestem jedynym pasażerem z odmiennymi planami i czy swoją obecnością nie budzę ciekawości, po czym znów popatrzyłem w kierunku portu. Im bardziej się do niego zbliżaliśmy, tym wyraźniej było widać, czego możemy się spodziewać. Na falach kołysały się liczne łodzie przycumowane do pomostu, na którym stała grupa mężczyzn w czerwonych sztormiakach, czekając na klientów.

A może właśnie na mnie.

Było tuż po ósmej rano i wiedziałem, że w ciągu najbliższej godziny gulfstream z Rolandem Dellem na pokładzie wylądaje na lotnisku w Kapsztadzie, po czym zostanie zatankowany i wysłany z powrotem na wyspy, po Alexandra Marka. Dell zapewne spróbuje zadzwonić do niego z lotniska, aby się upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Gdy się do niego nie dodzwoni i żaden z opłaconych ochroniarzy nie odnajdzie go na statku, machina pójdzie w ruch. Dell domyśli się, że przeżyłem, i zaalarmuje swoich ludzi na wyspie. Zdawało się oczywiste, że są nimi Bill Presley, Jack Kilburn i Anthony Jessop, bo tylko oni wiedzieli, co Dell ukrywa. Przyszło mi na myśl, czy zanim wyrzuciłem telefon Marka do morza, nie powinienem wysłać do Della wiadomości, czegoś w rodzaju: *Sprawa załatwiona* czy *Już po wszystkim*, albo *Problem z głowy*. Zyskałbym w ten sposób na czasie lub – jeszcze lepiej – całkowicie wyprowadził Della w pole. Było już jednak za późno, a poza tym nie miałem pewności, czy Dell dałby się nabrać. Teraz miałem jakieś półtorej godziny, najwyżej dwie, zanim Presley, Kilburn i Jessop zostaną zaalarmowani, a to znaczyło, że na razie nikt w porcie na mnie nie czeka.

Mimo to widok postaci stojących na pomoście wcale mnie nie uspokajał.

. . .

Blake Point zbudowano wokół małej półkolistej zatoczki: po lewej stronie było kilka magazynów i warsztatów, wciśniętych między pochylnie i porośnięte wodorostami umocnienia portowe, po prawej rząd sześciu stłoczonych chat rybackich, pomalowanych na różne kolory i jednakowo wyblakłych od soli. Przed nimi na skrawku trawnika stała dwumetrowa replika wieży z Big Benem i kilka ławek, ale wszystko przesłaniały strugi deszczu, przesuwane się niczym poły kurtyny i nadające całości ponurą szarość.

Z opuszczoną głową ruszyłem wraz z innymi do wyjścia z łodzi, zerkając spod oka na twarze czekających, ale żadna nie wydała mi się znajoma. Poprowadzono nas pomostem w stronę drewnianego baraku z napisem WYCIECZKI na oknie. Większość pasażerów skierowała się do niego, a ja poszedłem dalej. Od baraku biegła główna ulica portowa, która ciągnęła się tuż za rzędem chat rybackich przez całą długość portu. Na postoju taksówek za rogiem stał tylko jeden samochód, ubłocony citroen kombi, i gdy ruszyłem w jego stronę, siedzący za kierownicą taksówkarz spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby nie wierzył własnym oczom, że trafił mu się klient.

– Jak leci, szefie? – odezwał się, gdy wsiadłem. Był pod pięćdziesiątkę i miał zupełnie siwą czuprynę oraz siwiejącą brodę. – Dokąd jedziemy?

– Do Sophii – odparłem.

Wyjechaliśmy z portu na zwykłą dwukierunkową szosę, która pięła się w mgłę przesłaniającą Sophię. Im jechaliśmy wyżej, tym mgła bardziej gęstniała i tylko od czasu do czasu pojawiały się przed nami przebłyski światła. Chwilami odsłaniał się też widok na pasmo wzgórz ponad miastem i ostre grzbiety góry Strathyde.

Głównie jednak widziałem ciągnące się po obu stronach drogi bezkresne pola, niektóre puste, inne pełne owiec. Trzy kilometry przed Sophią ujrzałem pierwszego renifera, kawałek dalej stadko gwanako wyciągało swe długie szyje z zarośli. Z *Nietypowego szlaku* pamiętałem, że na wyspach nie żyją żadne rodzime ssaki i wszystkie zostały tutaj sprowadzone. Mieszkańcy mogli mieć psy, ale musieli uzyskać pozwolenie, koty były zabronione, bo zagrażały rodzimej populacji ptaków. Wiedziałem, że to odróżnia wyspy od Wielkiej Brytanii, ale patrząc na mijane pola i pastwiska, miałem wrażenie, jakbym jechał przez środkową Anglię. Choć

znajdowałem się jedenaście tysięcy kilometrów od domu, krajobraz za oknami taksówki praktycznie niczym się nie różnił od angielskiego.

Blżej Sophii widok zaczął się stopniowo zmieniać. Na wyspach nie było naturalnie rosnących drzew, więc domy budowano z importowanego drewna i wykańczano blachą. Wokół ciągnęły się dachy pokryte czerwoną i zieloną blachą, rozrzucone niesymetrycznie wzdłuż drogi, przez co układ urbanistyczny miasteczka wydawał się przypadkowy.

Przypominało labirynt wąskich uliczek, przy których stały oszalowane domy z przesuwными oknami, werandami i płotami. Kiedyś, dawno temu, mogło być całkiem niebrzydkie. Nasuwało mi na myśl wioski południowego Devonu, gdzie się wychowywałem: ciasne zaułki i tajemne przejścia, które zawsze albo biegły pod górę, albo opadały. Tyle że wioski mojego dzieciństwa były malownicze, czyste i eleganckie, a tu domy wyglądały niechlujnie, szyby były aż matowe od brudu, soli znad oceanu i pyłu z gór. Sklepy w centrum miasteczka i jedyny pub były zaniedbane, ze ścian obłaziła farba, drewno się wypaczyło, okucia zardzewiały. Kawalek dalej dostrzegłem budynki miejskiego ośrodka kultury i szkoły, też brzydkie i zaniedbane. I wszystko ziało pustką.

– No to jesteśmy na miejscu – oświadczył taksówkarz.

Zatrzymał się pod supermarketem o nazwie Empress Stores, w którego witrynie odbijała się sylwetka szczytu Strathyde z granią jak grzbiet śpiącego lewiatana.

– Na pewno chcesz pan tu wysiąść? Jestem z St George, więc mogę nie być obiektywny, ale zapewniam, szefie, że u nas jest dużo fajniej niż w Sophii. – Uśmiechnął się krzywo i potoczył wzrokiem po domach. – No bo niedużo wiary tu przyjeżdża. A już na pewno nie tacy jak pan.

Spojrzałem na ciąg sklepów, na uliczki i zaułki odchodzące od opustoszałej głównej ulicy, popatrzyłem na pasmo wzgórz za miasteczkiem

i na zbocza Strathyde, poprzecinane szlakami wyglądającymi jak blizny.

Pomyślałem o Beth i Penny.

Pomyślałem o Richardzie.

– Tak – powiedziałem.

Znalazłem się dokładnie w tym miejscu, w którym chciałem być.

Taksówkarz podwiózł mnie dwie ulice dalej, do pensjonatu oferującego noclegi ze śniadaniem, należącego do małżeństwa po sześćdziesiątce. Dom stał przy wąskiej, pochyłej uliczce, z której roztaczał się widok na całe miasteczko. Pokoik był mały i staroświecko urządzone, z kwiecistą pościelą, winylową tapetą i meblami, które trzeszczały same z siebie, ale było czysto. Nie zamierzałem zostawać tu dłużej niż to konieczne.

W pokoju nie było telewizora ani sieci wi-fi, ale w mojej komórce pojawił się sygnał i okazało się, że wprawdzie wolno, ale działa sieć 3G. Od razu przystąpiłem do wyszukiwania Billa Presleya, Jacka Kilburna i Anthony'ego Jessopa. Tego ostatniego najtrudniej było znaleźć, za to Billa Presleya znalazłem niemal natychmiast.

Jego fotografia widniała na stronie internetowej Królewskich Sił Policyjnych wysp Empress, wśród podobizn innych funkcjonariuszy w służbie czynnej. Było ich w sumie dwudziestu: trzynastu posterunkowych, dwóch sierżantów, dwóch inspektorów, dwóch nadinspektorów i szef policji. Posterunki policji w Sophii i St George miały po jednym nadinspektorze i w Sophii tę funkcję sprawował Presley. Miasta leżały na dwóch różnych wyspach, ale ze względu na swoje centralne położenie odgrywały nadrzędną rolę wobec innych wysepek: posterunek

w St George miał w swej jurysdykcji wyspy leżące na wschód, posterunek w Sophii był odpowiedzialny za wyspy w zachodniej części archipelagu.

Jednak posterunek w Sophii był dużo mniejszy, miał mniej liczną załogę i mieścił się w stojącym jakieś czterysta metrów od mojego pensjonatu budynku, w którym niegdyś odbywało się strzyżenie owiec. Z okna pokoju go nie widziałem, ale w sieci zamieszczono fotografię posterunku i byłem pewien, że bez trudu odnajdę jego charakterystyczną sylwetkę: stał na tej samej pochyłości co mój pensjonat, był podparty grubymi palami i obłożony arkuszami jasnoniebieskiej blachy falistej. Miejsce pod budynkiem wykorzystywano jako parking.

Przyjrzałem się fotografii Presleya.

W jego twarzy nie dostrzegłem zbyt dużego podobieństwa do Richarda, może z wyjątkiem wyrazu oczu, wykroju ust i koloru włosów. Tyle że Presley już zaczął tracić swoje i czubek głowy całkiem mu wyłysiał, przez co reszta tworzyła rudą aureolę. Większych podobieństw można się było dopatrzeć gdzie indziej: mieli tak samo szczupłą i umięśnioną budowę ciała i identyczną wadę zgryzu – krzywo rosnące górne trójki.

Wgrałem zdjęcie do pamięci telefonu i zająłem się Jackiem Kilburnem. Beth mówiła, że był szefem rady miejskiej, więc od tego adresu zacząłem poszukiwania, ale trafiłem tylko na linki do kilku materiałów w „Empress Express” z wymienionym jego nazwiskiem – sprawozdań z posiedzeń rady i informacji o wnioskach, jakie złożył – nigdzie jednak nie było jego zdjęcia. Zmieniłem tryb poszukiwań i spróbowałem dowiedzieć się czegoś o Kilburnie jako farmerze – też bez rezultatu. Również wpisanie hasła *Beth Kilburn* nic nie dało. Pomyślałem, że może w materiałach prasowych o jej zniknięciu Kilburn pojawi się jako zatroskany ojciec, ale niczego nie znalazłem. Sprawa jej ucieczki z wyspy została przez gazetę zignorowana lub nigdy do niej nie dotarła.

W końcu natrafiłem tylko na jeden drobiazg: krótkie wspomnienie pośmiertne w „Expressie”.

FIONA VIOLET KILBURN

Ur. 20 kwietnia 1959, zm. 13 listopada 2011

Fiona Kilburn, która w wieku pięćdziesięciu dwóch lat zmarła wczoraj po krótkiej walce z rakiem, była w Sophii dobrze znana głównie ze swej aktywności w zbieraniu funduszy na rozbudowę szpitala Empress. Nie urodziła się tutaj, lecz przybyła tu w październiku 1984 roku wraz z rodzicami, którzy wyemigrowali z Londynu, ale w pełni utożsamiała się z życiem na wyspach i wpisała się nawet do ich historii – choć nie z najradośniejszego powodu – gdy jej pierwszy mąż, Caleb Beck, farmer z wyspy Cabot, zniknął bez śladu w lipcu 1987 roku. Wprawdzie Caleba nie odnaleziono i ostatecznie uznano za zmarłego, ale Fiona znalazła nowe szczęście o boku innego tutejszego farmera – Jacka Kilburna, za którego wyszła w styczniu 1993 roku. Pozostawiła w żalu Jacka, córkę Penny, która mieszka i pracuje w Anglii, oraz pasierbicę Beth.

Wszystkie podkreślone w tekście hasła prowadziły do strony zawierającej artykuły powiązane z tym tematem. Kliknąłem na Jacka Kilburna, trafiłem na artykuł, który już czytałem, i uświadomiłem sobie, że kręcę się w kółko. Poczuję też, że ogarnia mnie zmęczenie. Byłem na nogach od wczesnego ranka, a od trzech dni nie przespałem dobrze ani jednej nocy. Wciąż bolała mnie głowa i czułem, że całe ciało mam obite. Chciałem maksymalnie wykorzystać czas, dopóki było to możliwe, wiedziałem jednak, że jeśli będę robił to na siłę i walczył z sennością, popełnię jakieś błędy.

Przymknąłem oczy.

Zamierzałem zdrzemnąć się ze dwie godziny, ale gdy się obudziłem, dochodziła już czwarta po południu, czyli przespałem większość dnia. Zły na siebie, chwyciłem płaszcz i wyszedłem z pensjonatu.

Do zachodu słońca zostały jeszcze trzy godziny, jednak z powodu mgły i deszczu niebo mocno już pociemniało. Większość ulic była oświetlona, ale nie latarniami, bo ich tutaj w ogóle nie było, tylko światłem padającym z okien i sieni domów. Miałem nadzieję, że znajdę jakąś knajpkę, gdzie uda mi się coś zjeść, ale sklepy już się zamykały lub wręcz były zamknięte na noc i nigdzie nie widziałem żadnej restauracji, a w pubie, jak się okazało, nie serwowano jedzenia. Kilka razy odniosłem wrażenie, że ktoś za mną idzie lub mnie obserwuje z drugiej strony ulicy, i zacząłem się niepokoić, że jestem śledzony. W obawie, że się w końcu zgubię w labiryncie uliczek, zawróciłem do pubu i wszedłem do środka.

Wnętrze przypominało spelunę z lat siedemdziesiątych – mieszanina ciemnego drewna i geometrycznych wzorów. Wszystko zalatywało stęchlizną, meble były przesiąknięte zapachem dymu papierosowego i piwa. Na stołkach barowych siedziało kilku mężczyzn pochylonych nad swoimi kufkami – byli tylko oni i facet za barem.

– Podać coś? – spytał barman.

Poprosiłem o butelkę piwa i orzeszki. Na dźwięk mojego akcentu kilka par oczu zwróciło się ku mnie, a siedzący najbliżej mnie mężczyzna, facet po pięćdziesiątce z surową, wysmaganą wiatrem twarzą i kosmykami czarnych włosów, które wymykały się spod wełnianej czapki, mruknął:

– Znaczy gość z ojczyzny.

– Tak jest – potwierdziłem.

– I co tu robisz?

Spojrzałem na niego, a potem powiodłem wzrokiem po reszcie gości przy barze. Żaden na nas nie patrzył, ale wszyscy słuchali.

Barman postawił przede mną piwo.

– Interesuje mnie dzika przyroda – powiedziałem.

58

Po powrocie do pensjonatu zastałem właścicielkę, panią Smart, która właśnie nakrywała do jutrzejszego śniadania. Najwyraźniej tylko dla mnie – stolik pod wykuszowym oknem.

– Mogę panią o coś spytać? – odezwałem się.

Pani Smart była drobna, ale dziarska, miała jasne oczy i mocno kręcone włosy.

– Oczywiście, synu, że możesz – odrzekła, układając na stoliku sztućce.

– Zna pani Anthony’ego Jessopa?

– Nie. – Pokręciła energicznie głową.

– A Jacka Kilburna?

Popatrzyła na mnie obojętnie.

– O ile wiem, jest przewodniczącym rady miejskiej – dodałem.

Pociągnęła nosem i odchrząknęła.

– A co on ma do gadania? – rzuciła.

Nie bardzo rozumiałem jej reakcję. Z jej słów mogło wynikać, że go nie lubi lub że ma o nim wyrobione zdanie, ale na jej twarzy nie odmalowały się żadne emocje.

– Tak tylko byłem ciekaw.

– Aha.

Nie kupiła kłamstwa.

– Czyli zna go pani?

– Słyszałam o nim.

– Wie pani może, gdzie mieszka?

– Nie wtrącam się do takich spraw jak rada miejska – odparła, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Ja i Harold pilnujemy własnego nosa.

Spojrzałem na jedyny nakryty stół i spróbowałem zmienić taktykę.

– Co pani myśli o tych opowieściach? – Wskazałem okno w głębi domu, skąd roztaczał się widok na góry.

Zmarszczyła czoło.

– O jakich opowieściach?

– O tym czymś, co tam jest.

Twarz jej stężała.

– Na twoim miejscu, synu, nie zadawałabym takich pytań.

– Nie?

– Radzę ci, żebyś nie zadawał takich pytań tam. – Kiwnęła głową w stronę ciemnego miasta za oknem. – Bo to miejsce potrafi połykać takich ciekawskich.

Zebrała sztucce i przez moment wpatrywała się w ciemne okna od frontu, przez które niewiele już można było dostrzec, za to łatwo było zajrzeć do środka.

– Chodź ze mną – powiedziała.

Przeszliśmy do holu, gdzie pani Smart odłożyła sztucce na dębową serwantkę wciśniętą we wnękę pod schodami i upewniła się, że nie widać nas przez żadne z okien.

– Widzisz, zanim otworzyliśmy ten interes, mój Harold był tu koronerem. Tak naprawdę nie miał kwalifikacji na koronera, bo jest tylko zwykłym lekarzem, ale jak ktoś umierał, to Harold często pierwszy oglądał zwłoki.

Przysunęła się bliżej i zerknęła przez ramię.

– Nie spodobałoby mu się, że ci to powtarzam – mruknęła, nie spuszczać wzroku z drzwi prowadzących do tylnej części domu, gdzie było ich mieszkanie – ale powiedział mi, że kiedyś słyszał rozmowę Jacka Kilburna i Billa Presleya w kostnicy.

– O czym?

– O jakiejś Selinie Torres.

Selina Torres. Wspominał o niej autor *Nietypowego szlaku*.

– Czytałem coś o niej – rzuciłem.

– Taaa? Nie wiem, co czytałeś, ale wątpię, żeby to była prawda.

– Miranda? – dobiegł głos jej męża z mieszkania na tyłach domu. – Nie widziałaś gdzieś moich okularów?

– Już idę! – odkrzyknęła, po czym nachyliła się i położyła mi rękę na ramieniu. – Harold nie lubi o tym mówić, bo jak powiada, ściany w tym mieście mają uszy. Ale jeśli chcesz wiedzieć, kim naprawdę są Kilburn i Presley, powinieneś się zainteresować losem Seliny Torres.

59

Nie udało mi się już nic więcej wycisnąć z pani Smart. Chwilę później pojawił się jej mąż, a ona – jakby w ogóle nie było naszej rozmowy – obojętnym tonem życzyła mi dobrej nocy i ruszyła za nim, strofując go, że powinien lepiej pilnować swoich okularów. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do swego pokoju.

Telefon też nie na wiele mi się przydał. Łącze działało przeraźliwie wolno, co utrudniało sprawę, ale przede wszystkim okazało się, że są setki kobiet, które nazywają się Selina Torres, a ich liczba wzrosła o kolejne setki, gdy zacząłem szukać również na stronach hiszpańskojęzycznych. Jednak żadna z kobiet nie kojarzyła się w oczywisty sposób z wyspami i czwórką mężczyzn na moim radarze.

W końcu postanowiłem iść spać, ale jeszcze podszedłem do okna. Ponad czernią pól oddzielających mnie od Blake Point dojrzałem światła *Olympii*. Zdawała się tak odległa, jakby była na innej planecie. Widziałem mdłe oświetlenie kajut, rzędy światełek na relingach i alabastrową poświatę z odkrytych pokładów. Jutro po południu *Olympia* odpłynie, a wraz z nią także Beth.

I wtedy zostanę już całkiem sam.

...

Nad ranem przestało padać, ale powietrze zasnuła gęsta mgła, otulając miasto i zasłaniając góry. Pierwotnie planowałem, że z samego rana wyruszę na szlak turystyczny i spróbuję odnaleźć chatę nad stawem, ale do tego potrzebna była lepsza pogoda. Chodzenie po górach we mgle jest niebezpieczne, zwłaszcza jeśli człowiek nie wie, dokąd idzie. Nie miałem też kogo prosić o mapę terenu. Zrezygnowany, udałem się na śniadanie. Podała je pani Smart, która zachowywała się tak, jakby nasza wczorajsza rozmowa w ogóle nie miała miejsca. Po śniadaniu wyszedłem z pensjonatu.

Na ulicach panowała cisza, jeśli nie liczyć pobrząkiwania blaszanych dachów na wietrze. Zrobiło się strasznie zimno i widziałem wirujące w powietrzu płatki śniegu. Posterunek policji mieścił się w samotnym budynku, w ślepym zaułku dziesięć minut drogi od pensjonatu. Naprzeciwko znajdował się dodatkowy parking, a uliczka kończyła się polem porośniętym wysoką trawą. Przed posterunkiem stało dwóch policjantów w mundurach i paląc papierosy, coś sobie ze śmiechem opowiadali. Na mój widok obaj zamilkli i zaczęli mi się przyglądać.

Recepcja w środku sprowadzała się do ciasnego pokoiku z wyciętym w ścianie działowej otworem z przesuwaną szybką, za którą przy drewnianym blacie siedział policjant w mundurze.

Gdy wszedłem, odsunął szybkę.

– Tak, kolego? – odezwał się.

– Szukam nadinspektora Presleya.

Problemem, z którym na każdym kroku musiałem się liczyć, był mój akcent. Wystarczyło, bym otworzył usta, a wszyscy natychmiast wiedzieli, z kim mają do czynienia. Policjant przysunął się bliżej na krześle na kółkach i oparł łokcie na blacie.

– W jakim celu? – burknął.

– To sprawa osobista.

Zmrużył oczy, nie próbując ukrywać, że lustruje mnie wzrokiem od stóp do głów. Pewnie zastanawiał się, czy mnie poznaje i czy w ogóle kiedyś się spotkaliśmy.

Albo czy jestem tym, przed którym go ostrzegano.

– Nadinspektor Presley ma dziś chorobowe – mruknął w końcu.

– Naprawdę? – Nie spuszczałem z niego wzroku. – Mam nadzieję, że to nic poważnego.

– Pewno przeziębienie. – Policjant wzruszył ramionami.

Podziękowałem mu, wyszedłem z budynku i wróciłem krętymi uliczkami na główną ulicę, zerkając za siebie, czy nie jestem śledzony. Zatrzymałem się pod supermarketem i przez szybę dojrzałem stojącą za ladą kilkunastoletnią dziewczynę. Widać też było kierownika, ponurego draba w białym rzeźnickim fartuchu, wyładowującego skrzynki z towarem. Przy ladzie stało dwóch klientów.

Odczekałem, aż wyjdą, pchnąłem drzwi i wszedłem do środka. Kierownika nie było stąd widać, ale słyszałem dochodzący z zaplecza rumor przesuwanych skrzynek.

– Dzień dobry – zwróciłem się do dziewczyny.

– Witam – odrzekła. – Jak leci?

Jej odzywka zabrzmiała przyjaźnie, co mnie zaskoczyło, bo jak dotąd nikt w Sophii mnie tak nie powitał.

Wdałem się z nią w pogawędkę, starając się mówić tak cicho, by jej szef na zapleczu mnie nie słyszał. Powiedziałem, że zszedłem ze statku, żeby się trochę rozejrzeć. Pomyślałem o Presleyu, Kilburnie i Jessopie, którzy musieli już wiedzieć, że Markowi nie udało się wykonać zadania. Czy Presley dlatego nagle zachorował? Jeśli wiedzą, że tu jestem, to na co czekają?

Może czas pchnąć ich do działania?

– A właściwie to chcę odwiedzić znajomych – powiedziałem.

– Ach tak? A kogo?

– Billa Presleya, Jacka Kilburna i Anthony’ego Jessopa.

Jej twarz rozjaśnił pogodny uśmiech.

– Fajnie.

– Znasz ich może?

– Znam Billa. Moja mama pracowała w policji jako sekretarka. –
Zawahała się. – Bo wie pan, Bill jest tu szefem policji, nie?

– Tak, wiem.

– Fajny z niego gość.

– Tak, to świetny facet – potwierdziłem ochoczo.

– I będzie się pan z nim widział?

– Tak, tyle że tu mam problem. – Zacząłem przewracać kartki
w notatniku, jakbym czegoś szukał. – Podał mi adres, ale chyba źle
zapisalem, bo nie mogę go znaleźć.

– Ooo.

– I nie mam też jego telefonu.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

– Jestem prawie pewna, że mieszka koło biblioteki.

– To by się zgadzało – powiedziałem. – Pamiętam, że coś o tym
wspominał.

Skwitowała to uśmiechem.

– A ci dwaj pozostali? – spytałem.

– Mówił pan, że jeden z nich nazywa się Jessop?

– Tak, Anthony Jessop.

– O nim nie słyszałam, ale znam pana Kilburna. Przychodzi do nas parę
razy w tygodniu. Też jest bardzo fajny. Nie wiem, gdzie mieszka, ale Brian
będzie wiedział – dodała, wskazując ręką w stronę zaplecza.

– Nieważne – rzuciłem, raz jeszcze jej podziękowałem i wyszedłem ze sklepu.

Uznałem, że czas odwiedzić Billa Presleya.

60

Odnalezienie jego domu chwilę jednak potrwało.

Biblioteka okazała się zestawem trzech kontenerów mieszkalnych na wysypanym żwirem parkingu na obrzeżach miasta. Miejsce było brzydkie, ale roztaczał się stąd spektakularny widok: na południu kilometr od brzegu stała na kotwicy *Olympia*, od północy wznosił się masyw góry Strathyde, na zachód ciągnęły się zabudowania Sophii, na wschodzie widać było setki małych wysepek i most wiszący, który łączył Sopię z St George.

Im dalej od miasta, tym zabudowa stawała się luźniejsza i dom Presleya znalazłem w otoczonej polami grupce trzech gospodarstw. Mimo że ziemi wokół było pod dostatkiem, wygląd domów pozostawał taki sam jak w mieście: czerwone blaszane dachy, oszalowane ściany, przesuwne okna, płoty z drewnianych sztachet. Do bocznej ściany domu Presleya była dobudowana samochodowa wiata z blaszanym dachem i podtrzymującymi go podporami ze starych opon rowerowych, ułożonych jedna na drugiej. Wiata wyglądała niechlujnie i prowizorycznie, zresztą takie wrażenie robiła cała posesja.

Przed domem sterczała skrzynka pocztowa, taka w amerykańskim stylu, na której widniało jedno słowo: *Presley*.

Idąc ścieżką prowadzącą do domu, zastanawiałem się, jak podejść Presleya i czym spotkanie z nim może mi grozić. Wciąż miałem w pamięci

opowieść Beth o tym, jak Richard któregoś wieczoru zastał ojca przy kuchennym stole, zalanego po rozmowie z Rolandem Dellem na komunikatorze. I pamiętałem jego słowa skierowane do Della.

Wszyscy pójdziemy do piekła za to, co zrobiliśmy.

To nie wskazywało na kogoś trzeźwo myślącego. Nie wskazywało na człowieka pokroju Della, który był gotów z zimną krwią odciąć się od przeszłości. I jeśli nawet Presley nie był słabym ogniwem w tym łańcuchu, to nękały go wątpliwości, a jego sumienie z trudem sobie radziło. Im więcej o tym myślałem, tym bardziej się utwierdzałem w przekonaniu, że Bill Presley może stanowić wyłom w murze milczenia.

Co nie wykluczało potencjalnego zagrożenia z jego strony, i gdybym nie musiał, nie poszedłbym do niego do pracy, a zaraz potem do jego domu. Ale liczyłem na dwie rzeczy: że ciąży mu na sumieniu to, co się stało, oraz że miłość do syna jest dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego.

Zapukałem do drzwi.

Pod wiatą stała toyota land cruiser, przez okno widać było fragment pokoju: elektryczny kominek, a nad nim półka z kilkoma fotografiami w ramach, oraz telewizor na wiklinowym stoliku. Zapukałem powtórnie i gdy znów odpowiedzią była cisza, przeszedłem parę kroków i zajrzałem do innego okna. Dwie kanapy, dębowy stół, duży szaroniebieski fotel obok kominka.

Na fotelu siedziała kobieta koło pięćdziesiątki i patrzyła wprost na mnie.

Nie widziałem jej nigdy wcześniej, ale nie miałem cienia wątpliwości: to była Carla Presley. O ile u Billa Presleya można było doszukać się tylko pewnych cech wspólnych z synem, o tyle w przypadku Carli podobieństwo było wręcz uderzające. Była jakby żeńską wersją Richarda: miała taki sam zarys szczęki, nos, układ kości twarzy. Przesunąłem się nieco w lewo, żeby

mogła lepiej mnie zobaczyć i przekonać się, że nie mam złych zamiarów, ale jej twarz pozostała nieruchoma i tylko jej oczy podążały za mną.

I wtedy przypomniałem sobie słowa Beth.

Matka Richarda przeszła udar.

Dopiero teraz dostrzegłem, że lewą stronę twarzy ma lekko zapadniętą. Nie bardzo, jednak wystarczająco, szczególnie wokół warg, powyżej i poniżej linii ust. Siedziała w całkowitym bezruchu. Nie byłem pewien, do jakiego stopnia może się poruszać, ale jej dłonie leżały nieruchomo, splecione na udach okrytych plisowaną spódnicą, stopy były ułożone równolegle na dywanie, głowa odrzucona do tyłu i oparta o zagłówek fotela. Rozpuszczone brązowe włosy opadały jej poniżej ramion.

– Pani Presley! – zawołałem i przytknąłem twarz do szyby.

Sięgnąłem do kieszeni po wizytówkę, licząc nie tyle na to, że coś z niej odczyta, ile na reakcję kogoś innego w domu, kto usłyszy moje wołanie. Czekałem na skrzyknięcie podłogi, jakiś przejaw ruchu w kuchni lub holu, ale wszędzie panowała głucha cisza.

Czy Bill Presley chowa się przede mną i tylko nasłuchuje?

– Nie wiem, czy pani to widzi – rzuciłem, przyciskając wizytówkę do szyby – ale nazywam się David Raker, jestem detektywem i przyjechałem z Anglii. – Ponownie omiotłem wzrokiem cały salon. – Chcę porozmawiać o pani synu, Richardzie.

Coś jakby drgnęło w jej oczach.

– Mogę wejść, pani Presley?

Czekałem. Jej ręka wolniutko uniosła się dwa centymetry nad spódnicę i kobieta drżącym palcem wskazała drzwi wejściowe. Ruch był ledwo zauważalny, ale zdawało się, że włożyła całą swoją siłę, by go wykonać.

– Wchodzę, dobrze? – powiedziałem i otworzyłem drzwi.

Owionęła mnie fala przegrzanego powietrza. Wylałem buty o wycieraczkę, wszedłem i zamknąłem drzwi. Przed sobą miałem hol, po prawej stronie schody z zamontowaną na nich windą. Zatrzymałem się, niewidoczny dla Carli Presley, i przez chwilę nasłuchiwałem, czy z góry nie dochodzą jakieś odgłosy, ale w domu panowała cisza, zakłócana tylko tykaniem zegara i szumem elektrycznego kominka w salonie.

Carla, nie poruszając się, patrzyła, jak wchodzę – jedyną oznaką życia były jej oczy, którymi za mną wodziła. Zdjąłem płaszcz, rzuciłem go na najbliższe krzesło i przysiadłem na jednej z kanap naprzeciw jej fotela, po czym powiodłem wzrokiem po stojących na półce nad kominkiem fotografiach. Na wszystkich był Richard: z rodzicami, jako dziecko i nastolatek, i sam, w wieku dwudziestu paru lat.

– Dziękuję, że mnie pani przyjęła.

Przełknęła ślinę i mrugnęła.

– Pani mąż jest w domu?

Ledwo dostrzegalne poruszenie głową.

– Wyszedł gdzieś?

Coś w rodzaju kiwnięcia głową.

– Jest w pracy?

Mrugnięcie oczami na potwierdzenie.

Tylko że w pracy go nie ma. Czyli okłamuje żonę i okłamuje podwładnych. Pytanie dlaczego. Czyżby udał się na naradę z pozostałymi dwoma?

Czy teraz wszyscy trzej po mnie przyjdą?

Skupiłem uwagę na Carli, wiedząc, że i tak nic nie wskóram. Ale gdy nasze oczy znów się spotkały, poczułem ukłucie żalu i wyrzuty sumienia: nic nie wiedziała o synu. Ani gdzie jest, ani co się z nim stało. Gdy go znaleziono, nikt stąd się po niego nie zgłosił, czyli albo wiadomość tu nie

dotarła, albo – jeśli dotarła – ktoś w rodzaju Kilburna czy Jessopa musiał ją przejąć i nie dopuścić do jej upublicznienia. Najsmutniejsze było to, że zapewne uczestniczył w tym także Presley, pomagając w zacieraniu śladów po synu. Może gdy oświadczył Dellowi, że za to, co zrobili, wszyscy pójdą do piekła, miał na myśli nie tylko śmierć Penny czy upiory pozostawione w chacie nad stawem. Może chodziło mu też o to, jak potraktował własnego syna.

Zerknąłem w stronę półki nad kominkiem, na stojącą tam fotografię Richarda z ojcem.

– Jak już mówiłem, jestem detektywem z Londynu – powiedziałem.

Wpatrywała się we mnie bez słowa.

– Nie wiem, czy pani wie, że pani syn Richard jest obecnie w Anglii. – Przerwałem w oczekiwaniu na jej reakcję.

Lekkie poruszenie głową na boki.

– Nie wiedziała pani?

Ponowny lekki ruch głową.

– Nie słyszała pani o tym, co mu się przydarzyło?

Nie.

– Sądziła pani, że po prostu zniknął?

Tak.

Wyjąłem notes. Nie musiałem przypominać sobie szczegółów. Potrzebowałem chwili na zastanowienie się, jak najlepiej to rozegrać.

– Richard zgłosił się do mnie prawie dwa tygodnie temu i poprosił o pomoc. Miał wypadek i doznał urazu głowy. Ale nic mu nie jest... – dodałem szybko, unosząc rękę w uspokajającym geście – tylko że... – Tylko że to była nieprawda.

Cień na twarzy. Tylko że co?

– Tylko że, niestety, stracił pamięć.

Niemal się wzdrygnęła.

– Cierpi na tak zwaną amnezję dysocjacyjną. Nie wie, kim jest ani skąd pochodzi. Nie pamięta pani ani męża.

Nie.

Próbowała pokręcić głową.

– Przykro mi, że muszę pani o tym mówić.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Przykro mi – powtórzyłem, by wypełnić czymś ciszę.

Znów przełknęła ślinę i z oczu pociekły jej łzy. Tylko to, nic więcej się w niej nie poruszyło. W kącikach ust zebrała jej się ślina i widziałem po jej oczach, że ją to irytuje, że odruchowo próbuje podnieść dłoń do ust. Ręka drgnęła, ale uniosła się tylko na wysokość brzucha. Wysiłek okazał się zbyt wielki. Mogła tylko patrzeć na mnie i czuć, że po policzkach płyną jej łzy, a z kącików ust cieknie ślina.

– Liczyłem, że uda mi się porozmawiać z pani mężem – powiedziałem łagodnym tonem – ale jeśli jest w pracy, to spróbuję tam go znaleźć. – Było mi głupio na myśl, że mąż ją okłamuje, a ja próbuję coś z niej wydobyć. – Liczyłem też na rozmowę z Jackiem Kilburnem.

Nie byłem pewien, czy w ogóle usłyszała.

– Pani Presley? Zna pani Jacka Kilburna?

Siedziała ze wzrokiem wbitym w kolana, ale zdało mi się, że kiwnęła głową.

– Zna go pani?

Tak.

– Wie pani, gdzie mieszka?

Zadałem pytanie i natychmiast się zreflektowałem: jak, u diabła, może mi powiedzieć, nawet jeśli wie? Ale ona wolno uniosła głowę i skierowała wzrok ku górze, ku półce na kominku. Podążyłem za jej spojrzeniem

i dopiero teraz dostrzegłem, że zza jednej z fotografii Richarda z nią i Billem wystaje kilka kartek.

Podszedłem do kominka i wziąłem do ręki kartki. Okazało się, że to protokół z zebrania rady miejskiej, w którym uczestniczył też Bill Presley. Protokół liczył sześć kartek i nie było w nim nic ciekawego aż do ostatniej strony, na której Kilburn, jako przewodniczący rady, złożył podpis i podał swoje dane.

Łącznie z prywatnym adresem.

Zapisałem adres i odłożyłem protokół na miejsce za fotografią, po czym spojrzałem na Carlę Presley i znów ogarnęło mnie poczucie winy. Patrzyła na mnie w milczeniu, bez ruchu, i tylko na jej policzkach lśniły ślady łez. W kącikach ust zebrało się jeszcze więcej śliny i widziałem, że naprawdę ją męczy to, że nie może jej sobie wytrzeć.

– Czy mogę pani coś przynieść do wytarcia? – spytałem.

Mrugnęła oczami. Tak.

– Chusteczki higieniczne? Coś w tym rodzaju?

Tak.

– Są tu w pokoju?

Nie.

– Na górze?

Nie.

– W kuchni?

Tak.

– Są w kuchni?

Tak.

– Dobrze, proszę chwilę poczekać.

Wstałem z kanapy, wyszedłem z pokoju i skręciłem w lewo, do kuchni. Na ścianie przy schodach wisiały kolejne fotografie całej trójki. Były

oprawione w cieką metalową ramkę w kształcie drzewa. Chwilę się zatrzymałem, przyglądając się twarzom Richarda Presleya, Carli przed udarem i Billa w mundurze, obejmującego syna.

Kuchnia była mała i staromodna. Pod ścianą stał niewielki stół, w zlewie leżała sterta naczyń, mikrofalówka nosiła ślady przyrządzanych w niej potraw. Wyglądało to na kuchnię człowieka, który usiłuje radzić sobie nie tylko z pracą zawodową i wyrzutami sumienia, ale też z opieką nad niesprawną żoną.

Nigdzie na wierzchu nie dostrzegłem chusteczek higienicznych, więc zacząłem przeszukiwać szuflady. I wtedy w rogu kuchni dostrzegłem jeszcze jedne drzwi. Pomyślałem, że to zapewne spiżarnia lub schowek na szczotki, i zajrzałem do środka.

Mylłem się.

Za drzwiami był gabinet Billa Presleya.

61

Drzwiczki stalowej szafki na dokumenty były uchylone, na biurku leżał laptop i sterta papierów, pod ścianą piętrzył się stos książek. W pokoju nie było regału ani innych mebli poza szafką na dokumenty, biurkiem i kanapą ze zmietoszoną pościelą, niedbale nakrytą kocem. Na brzegu biurka stała pusta butelka po whisky. Najwyraźniej Presley spędził tu ostatnią noc.

Spojrzałem na pustą butelkę.

Być może spędzał tu wszystkie noce.

Ostrożnie zajrzałem do szuflad szafki. Zawierały akta policyjne. Widać zabierał pracę do domu. Na pierwszy rzut oka nie było w nich nic ciekawego: kłótnie o przysłowiową miedzę, drobne kradzieże, awantury i bójkę pod jedynym w miasteczku pubem, bijatyki po wyjściu na jaw romansów, spici do nieprzytomności mieszkańcy – obojga płci, choć głównie mężczyźni – zbierani o pierwszej w nocy ze środka głównej ulicy. Pijaństwo z reguły pojawia się tam, gdzie brakuje kawiarni, restauracji i kin, jest tylko pub i kilka sklepów, a nie ma dobrej jakości internetu i telewizji. Ale nie sądziłem, by pijaństwo Billa Presleya brało się właśnie z tego. Raz jeszcze spojrzałem na kanapę i butelkę po whisky.

Podejrzewałem, że upija się z innych powodów.

Patrząc na laptopa, zastanawiałem się, czyby go nie włączyć, ale minęła już co najmniej minuta i miałem świadomość, że Carle może zaniepokoić

moja długa nieobecność, więc wróciłem do salonu. Oznajmiłem Carli, że nie udało mi się znaleźć chustek, i spytałem, czy mam poszukać na górze. Kiwnęła głową.

Wszedłem na piętro.

Na górze były dwie sypialnie. Pokój Richarda wyglądał tak, jakby niczego w nim nie tknięto od chwili jego ucieczki z Beth. Na półkach było mnóstwo części, jakieś mechanizmy w trakcie naprawy i ręcznie wykonane modele statków, na podłodze stał archaiczny pecet z początku lat dwutysięcznych i leżały rozrzucone książki – encyklopedie, podręczniki, powieści. Zdałem sobie sprawę, że wiele książek w gabinecie Billa Presleya należało nie do niego, tylko do Richarda. Potwierdzało to wszystkie moje wcześniejsze domysły na jego temat – to, co zaobserwowałem w Anglii.

Zajrzałem jeszcze do sypialni Billa i Carli, gdzie zobaczyłem, że tylko połowa łóżka wygląda na używaną, i szybko zbiegłem na dół. Przemknąłem cicho przez przedpokój i wróciłem do gabinetu Presleya.

Usiadłem przy biurku i włączyłem laptopa.

Rozległy się dźwięki towarzyszące uruchamianiu systemu Windows Vista. Czekając, zajrzałem do szuflad w biurku. W trzeciej od góry coś było: wciśnięta między notatniki czerwona teczka na dokumenty.

Na ekranie zaczął migać kursor przy poleceniu, by wprowadzić hasło, więc wyłączyłem laptopa, odsunąłem go na bok i rozłożyłem na biurku kartonową teczkę, z której coś wystawało.

Plik wycinków gazetowych.

Tyle że były to nie artykuły, lecz same nagłówki, wycięte z „Empress Express”. Jeden pochodził ze strony tytułowej, bo zachował się fragment winiety, ale większość dotyczyła tekstów zamieszczonych w środku. Na odwrocie każdego Presley zapisał mazakiem datę.

Ułożyłem je chronologicznie.

Pierwszy był z kwietnia 1992 roku.

PIES ZNAJDUJE KOŚĆ PISZCZELOWĄ NA SZLAKU TURYSTYCZNYM STRATHYDE

Następny pochodził z czerwca i zawierał zdjęcie. Było nieostre i wyblakłe.

PŁOT NA STRATHYDE WZMOCNIONY

Badania potwierdzają, że znaleziona kość piszczelowa nie należy do zaginionego mieszkańca Sophii, Caleba Becka.

Zdjęcie przedstawiało trzech mężczyzn w ubłoconych, poplamionych olejem kombinezonach. U dwóch można było dostrzec noże w pochwach przytroczonych do pasa, ale wielu innych szczegółów nie dało się zauważyć. Podpis głosił:

Płot został wzmocniony przez ekipę, która go postawiła. Na zdjęciu od lewej: Bill Presley, Jack Kilburn, Anthony Jessop.

Pochyliłem się nad zdjęciem.

Gdybym wcześniej nie widział Presleya na fotografiach w salonie i na znalezionym w sieci zdjęciu w mundurze policyjnym, z trudem bym go rozpoznał. Na fotografii z gazety miał gęstą czuprynę i sumiaste wąsy, które porastały całą górną wargę i opadały po bokach aż do podbródka.

Przyjrzałem się dwóm pozostałym mężczyznom.

Wcześniej nie widziałem żadnych ich zdjęć, a na tym były to tylko niewyraźne czarno-białe plamy. Mogłem jedynie stwierdzić, że obaj są rośli i krzepcy oraz mają jasne włosy i brody, ale od tamtej pory minęło wiele czasu i obecnie mogli wyglądać zupełnie inaczej. Na pewno nadal są wysocy, ale mogą być otyli, łysi i gładko ogoleni.

Ostatni wycinek był z listopada 1997 roku, dziesięć lat po zniknięciu Caleba Becka.

WYDZIAŁ POLICJI BUENOS AIRES DO SPRAW
NIEWYJAŚNIONYCH PROSI O POMOC W POSZUKIWANIU
ZAGINIONEJ KOBIETY

Selina Torres. To o nią musiało chodzić.

Wziąłem swój telefon, wszedłem do wyszukiwarki, na argentyńskiego Google'a, i wpisałem nazwisko „Torres”, dodając hasła „Buenos Aires” i „policía”.

Wreszcie coś miałem.

Sprawa była zbyt stara, by została w całości zdygitalizowana na potrzeby sieci, ale znalazłem skan z półstronicowej notatki w argentyńskiej gazecie „La Nación” o niewyjaśnionych zniknięciach ludzi. U dołu znajdowało się podsumowanie najważniejszych faktów. Moja znajomość hiszpańskiego była w najlepszym razie na poziomie podstawowym, więc skopiowałem tekst i wrzuciłem do automatycznego tłumacza. Wynik nie był olśniewający, ale tekst dało się zrozumieć.

SELINA TORRES

Argentyńska stewardesa Torres widziana po raz ostatni w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Ezeiza w Buenos Aires w lipcu 1987 roku. Z jej karty kredytowej wynikało, że zapłaciła nią za kawę i flakon perfum, ale detektywi nie byli w stanie ustalić, w jakiej linii lotniczej pracowała, i zaczęli nawet podejrzewać, że wcale nie pracowała w liniach lotniczych, choć tak mówiła swojej rodzinie. Na nagraniu z kamer lotniskowych widać, jak udaje się do wyjścia, z którego odlatują ludzie na wyspy Empress, ale z dokumentacji służb imigracyjnych i nagrań miejscowych kamer wynika, że nigdy tam nie doleciała. W dziesiątą rocznicę jej zniknięcia zespół Policji Metropolitalnej Buenos Aires do spraw niewyjaśnionych zwrócił się do Królewskiej Policji wysp Empress

z prośbą o pomoc w wyjaśnieniu losów Torres, ale na żadne jej ślady nie natrafiono.

Sprawa była oczywista. Chodziło nie o to, dlaczego Torres nie doleciała na wyspy Empress, tylko o to, dlaczego po dotarciu tam zniknęła. Bo nie miałem wątpliwości, że tu doleciała, choć wszystkie dowody rzeczowe jej przybycia na wyspy w tajemniczy sposób zniknęły, zostały zagubione czy zatarte. Kluczem do sprawy była data jej zniknięcia: lipiec 1987 roku, miesiąc zniknięcia Caleba Becka. W tym samym miesiącu przybył tu na letnie wakacje Roland Dell. W tym samym miesiącu widziano pod pubem Billa Presleya z krwią na rękawach.

Rzuciłem okiem na zegarek.

Minęło już pięć minut od mojego wyjścia z salonu i Carla zaraz zacznie coś podejrzewać. Sfotografowałem telefonem wszystkie wycinki, schowałem je z powrotem do teczki i włożyłem ją na miejsce do biurka. W kuchni raz jeszcze rozejrzałem się za chusteczkami, ale ich nie znalazłem, więc wszedłem do łazienki i urwałem kawałek papieru toaletowego. Kiedy wróciłem do salonu, zauważyłem, że Carla bacznie mi się przygląda, jakby czuła, że coś jest nie w porządku.

Powinienem był przyjść z góry!

Uniosłem kawałek papieru na znak, że mi się udało. Nie wiedziałem, czy mam go jej podać, czy pomóc wytrzeć jej usta. Ogarnęło mnie takie poczucie winy, że nie mogłem spojrzeć jej prosto w oczy. Wszystkie wysiłki, jakie podjąłem dla dobra jej syna, swoista obsesja, która rzuciła mnie na drugi koniec świata – nic się nie liczyło. Oboje wiedzieliśmy, że wykorzystałem jej chorobę do przeszukania domu.

Popatrzyłem na nią.

– Przepraszam, Carlo.

Powiedziałem to szczerze, ona jednak patrzyła na mnie nieruchomym wzrokiem, jakby nie miała mi nic do powiedzenia. I to nie z powodu swojego kalectwa, ale dlatego, że nie chciała ze mną rozmawiać.

– Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz, kiedy to wszystko się skończy.

Zamrugła i jej oczy znów wypełniły się łzami.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale nie bardzo mi się to udało, więc wstałem, wsunąłem papier w jej dłoń i wyszedłem, zostawiając ją w ciszy tego domu.

62

Kilburn mieszkał kilka kilometrów za miastem, na farmie w środku całkowitej głuszy. Na wyspie nie było transportu publicznego, więc mogłem tam dotrzeć – jeśli chciałem uniknąć długiego marszu w przejmującym zimnie – albo biorąc taksówkę, albo wynajmując samochód.

Żadna z tych opcji nie budziła mojego entuzjazmu. Wzięcie taksówki oznaczało, że zdam się na kogoś obcego, kto po mnie przyjedzie i mnie zawiezie, co automatycznie uniemożliwiało zachowanie dyskrecji i uniknięcie zbędnego rozgłosu. Pod tym względem wynajęcie samochodu było rozwiązaniem lepszym, ale równie niepraktycznym, ponieważ jedyna wypożyczalnia samochodów na wyspach znajdowała w St George, czyli prawie dwadzieścia kilometrów dalej.

Postanowiłem, że zanim wybiorę najlepsze rozwiązanie, spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o tym, co odkryłem w gabinecie Presleya. Ruszyłem więc drogą w dół, do biblioteki. Żwir zachrząścił mi pod nogami na parkingu przed bibliotecznymi kontenerami, co zadziało jak system alarmowy. W jednym z okien rozchyliły się listewki rolety i dojrzałem wpatrującą się we mnie parę oczu. Chwilę później oczy zniknęły i listewki powróciły na swoje miejsce.

Trzy kontenery były ze sobą połączone i tworzyły nieforemne półkole. Do środkowego wchodziło się po dwóch pokrytych rdzą metalowych schodkach. Otworzyłem drzwi i buchnęło na mnie ciepłe powietrze, co przywiodło mi na myśl Carłę Presley i podobne odczucie gorąca, kiedy otworzyłem drzwi jej domu. I przypomniałem sobie, jak na mnie patrzyła.

Wiedziała, że ją okłamuję.

Otrząsnąłem się z poczucia winy, dokładając je do kupki innych przykrych doznań, jakie od lat w sobie tłumiłem – żalu, strachu i wyrzutów sumienia – i skupiłem się na tu i teraz. Ciasne wnętrze przypominało staromodną bibliotekę obwoźną. Wykładziny podłogowe były miejscami przetarte ze starości, na kremowych ścianach roiło się od śladów po brudnych rękach, w paru miejscach widniały pęknięcia. Pod ścianami stało kilka grzejników elektrycznych, a w kącie biurczko z komputerem – w panującej tu ciszy słyszałem jego cichy szum.

– Dzień dobry.

Zwróciłem głowę w stronę tego głosu.

Kilka metrów od wejścia ujrzałem czterdziestoparoletnią kobietę. Stała, opierając rozłożone dłonie na blacie biurka, i zimno się uśmiechała. Sprawiała wrażenie sztywnej i niesympatycznej, więc ja też się nastroszyłem.

– Dzień dobry – odburknąłem i zamknąłem za sobą drzwi.

W bibliotece poza nią nie było nikogo. Zerknąłem w okno, na drogę wspinającą się ku miastu. Też była pusta.

– Czym mogę panu służyć? – spytała kobieta.

– Jestem ze statku, który przyplłynął rano, i prowadzę drobne rozeznanie.

– Rozumiem – mruknęła.

Spojrzałem na stojący w kącie komputer i umieszczoną nad nim wywieszkę z napisem: MAMY SZYBKI INTERNET. Termin „szybki” mógł tu znaczyć coś innego niż w Anglii, ale tutejsza sieć i tak musiała być szybsza od niepewnego sygnału 3G w moim telefonie. Poza tym nie musiałbym czytać wszystkiego na czteroipółcalowym ekraniku.

– Czy mógłbym skorzystać z komputera?

Skrzywiła się.

– Jeśli chodzi panu o internet, to niestety, mamy chwilowe trudności. – Machnęła ręką. – Jakies problemy z serwerami czy z centralą, czy z czymś takim. Nie bardzo się w tym wyznaję.

– Jest tu jeszcze ktoś, kto ma komputer?

– W Sophii?

Obrzuciła mnie takim wzrokiem, jakbym pytał o Świętego Graala. Nie umiałem poznać, czy mówi prawdę, czy ze mnie drwi, więc podziękowałem i wyszedłem.

Zimno panujące na dworze walnęło we mnie jak obuchem. W powietrzu nadal tańczyły płatki śniegu nawiewanego z gór. Spojrzałem na masyw góry Strathyde i stwierdziłem, że z przerzedzającej się mgły wyłania się poszarpana grań, jakby w sklepieniu chmur otwierało się okno. Wyglądało na to, że w ciągu paru godzin powietrze całkiem się oczyści i będę mógł wyruszyć nad staw, by samemu się przekonać, co tam naprawdę jest.

– To ty szukasz Kilburna i Presleya?

Kawałek ode mnie, na stercie porośniętych chwastami betonowych bloczków, siedział jakiś mężczyzna. Miał na sobie gruby czarny płaszcz z postawionym kołnierzem, a na głowie granatową wełnianą czapkę, naciągniętą na uszy. Dolną połowę twarzy pokrywał mu siwy zarost, na górnej widać było upływ czasu i działanie tutejszego klimatu. W prawej ręce trzymał palącego się papierosa, lewą się podpierał. Musiał mieć dobrze

po pięćdziesiątce i był potężnie zbudowany – wzrost około metra dziewięćdziesięciu, waga ponad sto kilogramów – ale wyraz jego twarzy nie pasował do tej postury. Był jakby zmieszany i lekko wystraszony.

– No, ty czy nie? – zapytał znowu.

– Jestem turystą i właśnie zszedłem z pokładu *Olymp*...

– Nie pierdol mi, dobra?

Wstał, zaciągnął się papierosem i rzucił niedopałek na ziemię, a ten natychmiast zgasł na zimnie.

– Tylko że... – Urwał, zacisnął zęby i przysunął się do mnie tak blisko, że poczułem bijący od niego smród tytoniu, przetrawionego alkoholu, potu, strachu. – Popełniłeś błąd, żeś tam poszedł. – Wskazał na bibliotekę. – Ta, co tam siedzi, to siostra Kilburna.

Chwilę patrzył na biblioteczne kontenery, po czym kiwnął ręką, że mam iść za nim. Przeszliśmy za kontenery, na skraj parkingu, skąd zbocze stromo opadało ku uliczce wytyczonej wśród czerwonych blaszanych dachów. Po zboczu biegła błotnista ścieżka, wydeptana tysiącami stóp. Uliczka na dole, tak jak biegnąca górą, też prowadziła do centrum miasteczka, ale z jedną dużą różnicą: siedząca w bibliotece kobieta nie mogła widzieć, kto tam idzie.

Mężczyzna spojrział na zegarek, potem przeniósł wzrok na uliczkę i na moment się zamyślił.

– Wiesz, gdzie jest kąpielisko? – spytał.

– Wiem, że gdzieś za miastem.

– Skręć z głównej ulicy w Reynolds Road. Kawalek trzeba przejść, ale na pewno trafisz. – Znowu spojrział na zegarek. – Już prawie południe. Spotkamy się tam o pierwszej. W taki ziąb nikogo tam nie będzie, więc nikt nam nie...

– Zaraz, zaraz, chwileczkę.

Aż zachnął się ze złości, dłonie zacisnęły mu się w pięści.

– Co jest?!

– Nigdzie nie idę, póki się nie dowiem, kim jesteś.

– Dobra – mruknął, zerkając na zegarek, a potem na drogę. Widać było, że z nerwów aż wstrząsają nim dreszcze. – Co chcesz wiedzieć?

– Może zacznijmy od nazwiska.

– Dobra – powtórzył. – Nazywam się Jessop. Anthony Jessop.

63

Popatrzyłem na niego.

– Ty jesteś Anthony Jessop?

– Aha – potwierdził, nerwowo wystukując palcami rytm na dłoniach. –
Słyszałeś o mnie?

– Czytałem o tobie w gazecie.

Chwilę mi się przyglądał, zanim zrozumiał, co mam na myśli.

– Znaczy o tym, jak poszliśmy w góry, tak?

Kiwnąłem głową.

– Pisali o tym w Anglii?

– Nie. Pisali o tym w „Expressie”.

Zmarszczył czoło.

– Znaczy... byłeś w St George?

– Słucham?

– W archiwum gazety?

– Tak – skłamałem, by wreszcie pchnąć tę rozmowę do przodu. – Jak
mnie znalazłeś?

Zerknął na boki i przysunął się bliżej.

– Jeden z moich najlepszych kumpli pracuje w supersamie – odparł
szeptem, jakby samo przyznanie się do tego mogło mu czymś grozić. –

Pracująca tam dziewczyna powiedziała mu, że byłś i pytałeś o Billa Presleya.

– Pytałem też o ciebie i Jacka Kilburna.

– Tak, tylko że mnie ona nie zna. Zna Billa.

– I chodziłeś za mną?

– Słuchaj, umawiasz się ze mną czy nie?

– Nigdzie się z tobą nie umówię, póki się nie dowiem, co tu jest grane.

Przełknął ślinę jeszcze głośniejszą niż dotąd. Jego świetnie obmyślane plany zaczynały się sypać. Zakładał, że to on będzie rządził, że o wszystkim będzie decydował, a ja mu się podporządkuję.

– Anthony?

Uniósł rękę w uspokajającym geście.

– Też mieszkałem w Anglii, tak jak ty, ale nienawidziłem swojego życia w Wigan i w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym przenieśliem się tutaj. Z początku mi się nawet podobało: spokój, cisza. – Znów zerknął na boki. W polu widzenia wciąż nie było nikogo. – Ale nadmiar spokoju i ciszy może człowieka rozwalić, jak się nie jest na to przygotowanym.

– I z tobą tak było? – spytałem, nie spuszczać z niego wzroku.

– Wiem pewne rzeczy o Kilburnie i Presleyu – rzucił szybko, strącając z policzków płatki śniegu. – Wiem też pewne rzeczy o niejakiem Rolandzie Dellu. Słyszałeś o nim?

– Tak.

Spojrzał ponad moim ramieniem gdzieś w dal. Stał na tyle blisko, że w zieleni jego oczu mogłem zobaczyć odbicie góry Strathyde. Częściowo zakrywały ją chmury i wyglądała smuklej, jak zębaty nóż wymierzony w niebo.

– Wiem, co oni zrobili – powiedział. – Dell, Presley, Kilburn.

– Co zrobili?

– W Otchłani. Przy stawie.

Patrzyłem na niego.

– Co to znaczy, że wiesz?

– To znaczy, że wiem – wycedził przez zęby. – Wiem, co zrobili w osiemdziesiątym siódmym. – Przysunął się jeszcze bliżej. Jego usta znalazły się kilka centymetrów od mojego ucha, jakby walczył ze sobą, by to wyznać. – Wiem, co zrobili, bo też tam byłem.

64

Kąpielisko znajdowało się na obrzeżach miasta, gdzie nie było już domów mieszkalnych ani innych zabudowań. Prowadziła do niego wąska dwukierunkowa droga – biegła pośród trawiastych pól, które ciągnęły się od gór do brzegu morza. Ze snujących się w powietrzu tumanów mgły i płatków śniegu chwilami wyłaniała się sylwetka mostu wiszącego, który łączył tę wyspę z sąsiednią, ale wokół panowała całkowita martwota. Pewnie dlatego Jessop wybrał właśnie to miejsce.

W rzędnej miejskiej zabudowie brakowało osłony przed zimnem, które coraz dotkliwiej dawało mi się we znaki. Czułem się, jakby ktoś wbijał mi w ciało miliony gwoździków, i naciąganie szalika na twarz i kaptura na głowę niewiele pomagało.

Gdy wreszcie dotarłem na miejsce, zobaczyłem przed sobą okrągły budynek. Pisano o nim, że wygląda jak skrzyżowanie zamczyska z UFO i rzeczywiście przypominał oba. Był przysadzisty, jak audytorium zbudowane w stylu architektonicznego brutalizmu, i miał małe wąskie okienka, zatopione w wielkich bryłach żółtoszarego betonu. Wejście i dach były pełne zdobień w stylu art déco – zygzaków, promieni, łuków i szewronów – a gdy minąłem obrotową bramkę przy drzwiach, znalazłem się w obszernym foyer z płaskim dachem. Basen mieścił się w zagłębieniu terenu na wprost mnie, otoczony trawą i starymi ławkami. Rząd

przebieralni ciągnął się po mojej lewej stronie, a na dachu trzepotała na wietrze flaga wysp Empress.

Cofnąłem się do bramki, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża Jessop. Powietrze wypełniały tańczące płatki śniegu, ale droga z Sophii była pusta.

Przez chwilę stałem, zatopiony w myślach.

Poza przebieralniami w budynku nie było żadnych pomieszczeń, w których można by się ukryć, więc nie obawiałem się, że ktoś nagle skądś wyskoczy, ale nadal byłem spięty. O Anthony Jessopie nie wiedziałem nic oprócz tego, że to on wraz z Jackiem Kilburnem tamtej nocy przywiązał Penny i Beth do płotu, i nie miałem pojęcia, czy można mu ufać.

Bo przecież mógł mnie tu ściągnąć po to, żeby się mnie pozbyć.

Wyjąłem telefon, zobaczyłem, że jest już pięć po pierwszej, i wszedłem do książki adresowej. Chciałem powiadomić kogoś o tym, gdzie jestem, ale co ważniejsze, chciałem powiedzieć Richardowi, jak brzmi jego prawdziwe nazwisko i jak mają na imię jego rodzice.

W razie gdybym miał już nigdy stąd nie wrócić.

Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Halo?

– Richard, to ja.

– Hej, David.

Głos miał pogodny, co mnie uspokoiło. Oznaczało to, że on i Howson są cali i zdrowi. Od zejścia ze statku wysłałem mu kilka esemesów, a on odpisał, że u nich wszystko w porządku, ale słuchanie jego głosu dawało pełniejszy obraz niż czytanie wiadomości. Oświadczył, że dużo czyta o wyspach Empress, w nadziei, że może to ożywi jego pamięć, a ja, słuchając go, nie przestawałem rozglądać się za Jessopem. Wreszcie we mgle i sypiącym śniegu wypatrzyłem sylwetkę nadjeżdżającego samochodu.

– Posłuchaj, Richard – rzuciłem. – Masz pod ręką długopis?

– Tak, poczekaj chwilę.

Usłyszałem stuknięcie odkładanego telefonu i w słuchawce zapadła cisza, a ja wlepiłem wzrok w drogę. Samochód był o jakąś minutę stąd i dojrzałem już sylwetkę kierowcy, kogoś dużego i zwalistego jak Jessop, ale nie mogłem rozpoznać, czy to on. Poza nim w samochodzie nie było nikogo. Popatrzyłem jeszcze na pola po bokach, na drogę i miasto w oddali.

Wyglądało na to, że Jessop nie ma obstawy.

Co nie znaczyło, że za chwilę ktoś nie nadjedzie.

– Dobra, jestem – odezwał się Richard.

– Nie mam dużo czasu, a muszę koniecznie przekazać ci kilka spraw. Słuchasz mnie?

– Tak.

– Twoje nazwisko brzmi Presley.

Cisza w słuchawce.

– Richard?

– Presley?

– Tak. Twoi rodzice to Carla i Bill. Poznałem twoją matkę. Jest... – Jak mu to powiedzieć? – Jest w nie najlepszym stanie.

– Co masz na myśli?

– Jakiś czas temu przeszła udar.

Spojrzałem na drogę. Jessop był coraz bliżej i zdawałem sobie sprawę, że muszę zaraz kończyć tę rozmowę.

– Richard, przepraszam za pośpiech, ale chcę cię o coś spytać. Słyszałeś kiedyś o Anthony'm Jessopie? – Nie miałem pewności, czy mnie w ogóle słucha. – Richard?

– Słucham?

Jego głos brzmiał słabo i niewyraźnie.

– Czy słyszałeś kiedyś o kimś, kto nazywa się Anthony Jessop?

– Nie. Chyba nie.

– Dobra, to zapisz sobie. Tak nazywa się człowiek, z którym za chwilę się spotkam. Anthony Jessop. Pochodzi z Wigan. Urodził się na początku lat pięćdziesiątych, na wyspach jest od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego. Niewiele więcej o nim wiem. – Przerwałem i spojrzałem na land rovera Jessopa, z impetem rozbryzgującego na boki fontanny błota i śnieżnej brei. – I to mnie martwi.

– Co masz na myśli?

– To, że za chwilę się z nim spotkam.

– Aha.

– Jeśli nie będziesz miał ode mnie wiadomości, to dopilnuj, by te wszystkie informacje dotarły do człowieka, który nazywa się Ewan Tasker. – Podyktowałem mu numer komórkowy Taskera. – Zrozumiałeś mnie?

– David, dobrze się czujesz?

– Zrozumiałeś mnie, Richard?

Land rover już wjeżdżał na parking. Cofnąłem się od bramki na trawę otaczającą basen.

– Richard, wszystko jasne?

– Tak. – W jego głosie słyhać było wahanie. – Myślisz, że nie możesz mu ufać?

– Myślę, że tu nikomu nie mogę ufać.

– Gdzie teraz jesteś?

– W kąpielisku, jakieś dwa kilometry od Sophii.

– Nie możesz zadzwonić na policję?

Twój ojciec dowodzi tu policją.

– Nie. Gliniarze są w to zamieszani.

Cisza na linii.

– Muszę kończyć – rzuciłem. – Dzięki, Richard.

Rozłączyłem się, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. Zanim spróbowałby odwieść mnie od spotkania z Jessopem.

Zresztą i tak było już na to za późno.

Jessop zbliżył się do wejścia. Opuścił kaptur i przeszedł przez bramkę, której skrzypnięcie zakłóciło panującą wokół ciszę. Na mój widok wyraźnie odetchnął i opuścił ramiona, jakby wcześniej wstrzymywał oddech. Rozejrzał się po kąpielisku i obrzucił wzrokiem przebiegalnie, a ja zdałem sobie sprawę, że robi dokładnie to samo co ja chwilę wcześniej: sprawdza, czy nie sprowadziłem tu kogoś, czy nie zastawiłem na niego pułapki, czy nic mu nie grozi.

– Nie byłem pewny, czy się zjawisz – powiedział.

– Po co mnie tu sprowadziłeś?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Bo szukasz odpowiedzi.

– Tak, ale dlaczego chcesz ich udzielić właśnie mnie?

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Bo Kilburn rządzi miastem, a Presley policją – odparł w końcu. – Kto może się im postawić? – Pokręcił głową. – Nikt. Podobnie jak Dellowi. Pompuje mnóstwo forsy w Sophię. Może tego nie widać, ale tak jest. Na przykład to. – Ogarnął ręką kąpielisko. – Praktycznie dzięki Dellowi to miejsce wciąż istnieje. – Przeniósł wzrok na wejście. Sprawiał wrażenie kogoś, kto już dawno się z tym wszystkim pogodził. – Jeśli przebyłeś taki szmat drogi, to chyba po to, żeby poznać prawdę, zgadza się?

– Tak.

Jessop starł z twarzy kilka płatków śniegu.

– No to zacznijmy od Caleba Becka.

65

Usiedliśmy na dwóch końcach kamiennej ławki, którą częściowo osłaniał daszek nad wejściem na basen. Jessop, skulony, z łokciami opartymi o kolana, wychylony do przodu, nagle wydał mi się mniejszy. Na głowie miał kaptur, ale obszyty futrem brzeg wystawał poza krawędź betonowego daszku, podobnie jak jego ręce i stopy. Opadające płatki śniegu topniały na kurtce mężczyzny.

– Jak dużo wiesz o Becku? – spytał.

– Założmy, że nic.

Spojrzał na mnie z ukosa przez mgiełkę swojego oddechu. Trudno było poznać, czy nie spodobał mu się mój ton, czy też zirytowało go, że musi się cofnąć do samego początku, ale w końcu kiwnął głową, wbił wzrok w ziemię i zaczął mówić:

– Caleb także pochodził z Anglii. Przyłynął z Londynu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym, na tej samej fali, która przyniosła tutaj i mnie: poszukiwanie lepszego życia. Morze, plaże, dzika przyroda, pod dostatkiem ziemi. Praktycznie tyle, na ile było cię stać. Koszty przeprowadzki pokrywane przez państwo, zapomogi, korzystne warunki kredytu. – Jessop wzruszył ramionami. – Co się miało nie podobać?

Splótł dłonie.

– Chodzi o to, że Beckowi już wcześniej dobrze się powodziło. Miał forszę. Może nie był jakoś nadzwyczajnie bogaty, ale wystarczająco. Przyjechałem tu rok po nim i parę razy w tygodniu spotykaliśmy się w pubie i gadaliśmy. Wtedy próbowałem po prostu poznawać tutejszych ludzi. Nie mówił zbyt dużo o swoim życiu w kraju, wspominał tylko, że jako dziecko mieszkał na wsi, potem wyjechał do Londynu i znalazł pracę w biurze, ale po jakimś czasie, już po narodzinach Penny, doszedł do wniosku, że tęskni za rolnictwem i chce się wynieść z miasta. Niektórzy mówili, że pracował w bankowości i tam się dorobił, ale on sam o tym nie opowiadał, a ja go nie wypytywałem. Chociaż pewnie tak było. Większość przyjeżdżających na wyspy zaczynała od małych gospodarstw, po czterdzieści hektarów na początek. A on od razu kupił ponad siedemset hektarów, łącznie z kawałem masywu Strathyde. Żartowaliśmy nawet, że każda owca na stoku należy do niego. Jednak to wcale nie był żart.

– Czyli Becka zamordowano dla pieniędzy?

Jessop spojrzał na mnie.

Moja uwaga go zaskoczyła, ale po jego minie zobaczyłem, że jestem bliski prawdy.

– Tak było? – spytałem. – Dell się kapnął, podobnie jak reszta z was, że Beck śpi na forsie, i go dla niej zabił, tak?

– Tak – powiedział Jessop tak cicho, że ledwie go usłyszałem.

Popatrzył na mnie i kilkakrotnie przełknął ślinę, jakby chciał się pozbyć gorzkiego smaku winy.

Pieniądze, ścieżka, która zaprowadziła Penny do śmierci. Zaczęło się od kupienia przez Jacka Kilburna nowego land rovera, gdy w roku 2000 zaczęły napływać z Anglii pierwsze wpłaty na konta. To dało Penny do myślenia i przypomniało jej dawną rozmowę z Beth, która twierdziła, że tata Penny był bogaty. Penny upierała się, że to niemożliwe, bo jej matka

nie ma żadnych pieniędzy. Nikt z nich wtedy ich nie miał. Ale Penny – już nieufna wobec Kilburna – zaczęła się przyglądać jego finansom i w rezultacie doprowadziło ją to do pokoju ochrony w szkole Red Tree, tysiące kilometrów od Sophii. I tam znalazła ostateczne potwierdzenie swoich podejrzeń. Pytanie brzmiało: Dlaczego Dell tak długo zwlekał z przekazaniem pieniędzy? Beck zginął w 1987 roku i wtedy też ukradziono jego pieniądze, a wpłaty zaczęły się dopiero w roku 2000.

I nagle przypomniałem sobie, co jeszcze się wydarzyło w 2000 roku: Dell przekupił zarząd szkoły i został dyrektorem Red Tree.

– Czyli po zamordowaniu Caleba Becka – powiedziałem, głośno myśląc – Dell ukrył swój udział w zbrodni, ukrył kradzież pieniędzy Becka i przez jakiś czas na nich siedział. Dopiero po trzynastu latach, gdy doszedł do wniosku, że horyzont jest już czysty i wszyscy o Becku zapomnieli, zaczął je wydawać. Tak było?

– Tak. – Jessop kiwnął głową.

– I ty w tym uczestniczyłeś?

Wzruszył ramionami.

– To gdzie ukryliście ciało Becka?

– Nie wiesz? – Spojrzał na mnie ponuro.

– Gdzieś w Otchłani?

Nie poruszył się i dopiero gdy kolejny podmuch wiatru sypnął mu w twarz płatkami śniegu, podniósł rękę, by je strząsnąć z oczu. Odwrócił głowę, patrząc po otaczającej nas galerii z betonu. Chyba chodziło mu o to, bym nie widział jego twarzy.

– Jak dużo wiesz o Otchłani? – zapytał.

– Dość dużo.

Odchrząknął, jakby chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się rozmyślił.

– Tam jest pogrzebany? – spytałem. – W Otchłani?

Bąknął coś, czego nie dosłyszałem.

– Co?

– Nie.

– Wyrażaj się jaśniej, Anthony.

– Mówię, że nie tam.

– A gdzie?

Nie odpowiedział.

– Anthony, gdzie są zwłoki Caleba Becka? W chacie nad stawem?

Drgnął, jakby coś go ukłuło.

– W chacie? – powtórzył cicho, nie odrywając wzroku od basenu.

Tym razem nie miałem poczucia, że chce coś przede mną ukryć. Raczej bał się w ogóle o tym mówić. Coraz bardziej utwierdzałem się w przeświadczeniu, że nie ma do mnie zaufania. Że nie chce wyjawić mi wszystkiego, aby coś sobie zostawić, na wypadek gdyby musiał się tym ratować. Taki fant na wymianę.

– Słyszałeś o Selinie Torres? – zapytał.

Nagła zmiana tematu trochę zbiła mnie z tropu.

Przysunąłem się bliżej niego.

– O kim? – spytałem.

Usłyszałem dobrze, chciałem go tylko zmusić, aby odwrócił się do mnie. Chciałem spojrzeć mu w oczy i coś z nich wyczytać.

– Słyszałeś? – powtórzył i w końcu na mnie spojrział.

W jego wzroku było teraz coś nowego, czego nie umiałem rozszyfrować. Nie wiedziałem, czy mógłbym to wykorzystać, czy też powinienem się tym zaniepokoić.

– Torres – bąknąłem. – Hm... słyszałem to nazwisko.

Znów powiódł wzrokiem po kąpielisku. Nad jego kapturem, nad dachem budynku, widziałem masyw góry Strathyde. Miałem w pamięci zasłyszane opowieści i patrząc na Jessopa w ciszy tego starego budynku, nagle poczułem ukłucie strachu.

Coś się tu nie zgadzało.

– Torres była Argentynką – powiedział Jessop. – Stewardesą z Buenos Aires, która przyleciała tu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym.

– Czyżby? – rzuciłem, a Jessop zmarszczył czoło. – Bo ja gdzieś czytałem, że nigdy tu nie doleciała.

– I uwierzyłeś w to? – prychnął.

– Nie, niezupełnie.

– Doleciała, doleciała.

– A wy tak to urządziliście, żeby wyglądało, że nie.

– Właśnie.

– Ty i kto jeszcze?

– Kilburn i Presley. Dell także. To on wyłożył forszę za milczenie, po czym uciekł do Londynu. Wtedy po raz pierwszy sięgnął do kasy Becka, a w takim miejscu jak to nawet nieduże pieniądze czynią cuda. Da się wszystko kupić. Na przykład odwrócenie wzroku na stanowisku kontroli paszportowej. Albo niewpisanie przyjezdnego do komputera. Albo przerwę w zasilaniu kamer bezpieczeństwa, żeby nie nagrały wejścia pasażera do terminalu. Można przekonać ludzi, by trzymali gęby na kłódkę, kiedy zjawi się ekipa argentyńskich gliniarzy i zaczną pytać o zaginioną kobietę. I można to zrobić powtórnie dziesięć lat później, gdy Argentyńczycy nagle wracają do sprawy jako niewyjaśnionej.

– Co łączyło Selinę Torres z Beckiem?

– Co ją z nim łączyło? – Obrócił głowę, popatrzył na mnie i przeciągnął dłoń po zaroście na twarzy. – Wszystko.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że zabiliśmy Becka. A potem, jak go już zabiliśmy, to nie mieliśmy wyboru: musieliśmy zabić także ją.

66

Becka i Torres zamordowano tej samej nocy.

Moje myśli natychmiast pobiegły ku czemuś innemu: kość piszczelowa znaleziona przez psa pięć lat później, w 1992 roku, należała do kobiety.

Mogła należeć do Torres.

Przypomniałem sobie też inne rzeczy: to, że jej brat nie wierzył, by siostra była stewardesą, i że go okłamywała, a także rozmowę z Annie na *Olympii*, kiedy opowiadała o reakcji na książkę Reece'a. „Mówią, że jak policja w Sophii zobaczy ją u kogoś, to ją konfiskują”. Uważała, że dowodzi to dziwactwa i nietolerancji mieszkańców Sophii, ale naprawdę chodziło o coś innego: policją rządził Bill Presley, miastem rządził Jack Kilburn – i obu im zależało, żeby nikt się nie interesował losem Seliny Torres.

– Dlaczego oboje musieli zginąć? – spytałem.

Głowa opadła mu na piersi. Nie widziałem jego twarzy i prawie go nie słyszałem. Widać było tylko jego splecione dłonie, jakby za chwilę miał paść na kolana i zacząć się modlić.

– Anthony?

Spojrzał na mnie.

– Co jeszcze wiesz? – mruknął.

Po raz trzeci czy czwarty zadawał mi z grubsza to samo pytanie, lecz zanim zdążyłem odpowiedzieć, nagle ożył mój telefon.

W pierwszej chwili nawet się nie zorientowałem, że to mój, ale Jessop spojrział na moją kieszeń z taką miną, jakby to mogła być pułapka, sztuczka mająca go usidlić, a ja poczułem lekką wibrację na nodze. Dałem mu znak ręką, że ma być cicho, wyjąłem telefon i na wyświetlaczu ujrzałem angielski numer komórkowy.

Dzwonił Richard.

Postanowiłem nie odbierać, schowałem telefon do kieszeni i przeniosłem wzrok na Jessopa. Wiatr smagał nas obu płatkami śniegu.

– Powiedz mi coś więcej o Selinie Torres – odezwałem się.

Jessop jakby mnie nie usłyszał.

– Po co przyleciała na wyspy?

Mój telefon znów zaczął dzwonić.

Jasna cholera!

Wyjąłem go z kieszeni i zerknąłem na wyświetlacz. Znowu Richard. Popatrzyłem na Jessopa, który spoglądał to na telefon, to na mnie.

– Muszę odebrać – mruknąłem i wcisnąłem ODBIERZ.

W telefonie szumiało i brzęczało.

– David? – zabrzmiał głos Richarda.

– Później do ciebie oddzwonię – rzuciłem.

– Hm, myślę że powinieneś teraz to usłyszeć.

Spojrzałem na Jessopa. Zrzucił z głowy kaptur i jego wełniana czapka szybko pokrywała się śniegiem. Odwrócił głowę, wbił wzrok w ziemię i znieruchomiał, jakby się zamyślił. Ale to nie było zamyślenie. Jessop z uwagą przysłuchiwał się mojej rozmowie.

– O co chodzi? – powiedziałem do słuchawki.

– Dowiedziałem się czegoś o tym Jessopie.

Moja irytacja, że Richard przeszkadza mi w takim momencie, od razu znikła. Spojrzałem na Jessopa. Tkwił dokładnie w tej samej pozycji.

– To znaczy czego?

– Jacob pozwolił mi użyć swojego laptopa.

– Dobra. I co z tego?

– Chciałem sprawdzić, z kim się spotykasz.

Znów popatrzyłem na Jessopa, a on tym razem odwzajemnił spojrzenie.

– I czegoś się dowiedziałeś? – spytałem, starając się zachować obojętny ton.

– Tak – potwierdził Richard. Wiatr znów sypnął na nas śniegiem. – Że Anthony Jessop od dziesięciu lat nie żyje.

67

Siedzący obok mnie na ławce mężczyzna poruszył się niespokojnie.

Chyba wyczuł, że coś się dzieje.

Tymczasem Richard mówił mi, że znalazł w internecie zarchiwizowany artykuł z „Wigan Evening Post” o tym, jak Jessop po powrocie z wysp Empress w 2001 roku otworzył skład zaopatrzenia rolnictwa, oraz zamieszczony w tej samej gazecie nekrolog, gdy pięć lat później zmarł na niewydolność wątroby. Pobiegłem myślami do fotografii ich wszystkich trzech w „Expressie”. Rozpoznałem na niej Presleya, ale tylko dlatego, że już wcześniej widziałem jego zdjęcie i z grubsza wiedziałem, jak wygląda. Pozostali dwaj, Kilburn i Jessop, byli – z powodu słabej jakości zarówno samego zdjęcia, jak i gazetowego druku – tylko rozmazanymi plamami.

Kilburn.

Nie miałem pojęcia, jak on wygląda.

– Odłóż telefon.

Na dźwięk jego głosu aż mnie w środku skręciło. Wyraz jego twarzy się zmienił, głos mu stwardniał. Przy pasie miał kaburę z rewolwerem, która teraz wystawała mu spod kurtki.

Przeniosłem wzrok z rewolweru na twarz Kilburna.

– David? – W głosie Richarda słychać było napięcie i strach. – David, jesteś tam?

– Odłóż telefon – powtórzył Kilburn.

Zakończyłem rozmowę i wyłączyłem telefon.

Zapadła cisza.

Nie sięgnął po rewolwer, prawie nie zmienił pozycji. Siedział wychylony do przodu, jakby znieruchomiał w pół drogi między siedzeniem a staniem. Przez chwilę nic nie mówił i słychać było tylko świst wiatru w załomach kąpieliska. Płatki śniegu osiadały na naszych nylonowych kurtkach. Skądś dobiegło wołanie ptaka – tak dalekie, że bardziej przypominało echo – i dopiero wtedy się poruszył. Odpiął klapkę kabury, wyjął rewolwer i zacisnął na nim dłoń z palcami zbielejącymi od mrozu. Nie odrywałem wzroku od broni, mimo że lufa skierowana była w ziemię.

– Mieli cię załatwić na statku – mruknął tak cicho, jakby mówił do siebie, z oczami wbitymi w ziemię. – Wszystko miało być załatwione, a teraz patrz, co się porobiło.

Spojrzał na rewolwer.

– I zobacz, co muszę teraz zrobić.

Starłem się zachować spokój.

Patrzył na broń w swojej ręce. Trwałem w całkowitym bezruchu i tylko rozpaczliwie wodziłem spojrzeniem po kąpielisku, szukając wyjścia, drogi ucieczki, ratunku. Wiedziałem, że jeśli nic nie zrobię, za chwilę wpakuje mi kulkę. Może udałoby mi się na niego skoczyć – byliśmy raptem półtora metra od siebie – ale miał już w ręce rewolwer, z palcem na spuście. To było zbyt ryzykowne.

Zerknął na mnie i lekko się uśmiechnął, ale widać było, że jest spięty i niezadowolony z obrotu sprawy.

– Żeby musieć aż tak się wysilać, udawać, zmyślać, pleść farmazony. Nienawidzę tego. Nie byłem pewny, czy wiesz, jak wyglądam, ale jak łyknąłeś moją bajeczkę o Jessopie, to uspokoilem się, że mnie nie znasz

i mogę cię tu ściągnąć pod pozorem wyjawienia ci prawdy. – Kolejny uśmiezek, jeszcze bardziej zbolały niż poprzedni. – Prawdy... Cokolwiek to, kurwa, znaczy w tym miejscu.

Znów powiodłem dokoła wzrokiem, szukając drogi ucieczki.

Drzwi. Przejścia. Zakamarki.

Gdy na niego spojrzałem, mrugał, ocierając sobie twarz ze śniegu.

– Czułem, że zaczynasz coś podejrzewać – powiedział. – Zaczynałeś się zastanawiać: „Dlaczego ten gość wciąż mnie pyta, co wiem o Becku i o Torres, i o pieniądzach? Przecież to on miał mówić”.

Miał rację. Gdy po raz trzeci czy czwarty zapytał, co wiem, a jednocześnie sam coraz bardziej chował się do swojej skorupy, stawało się dla mnie jasne, że próbuje mnie wy badać.

– Muszę wiedzieć, komu jeszcze o tym mówiłeś – burknął.

Robił dokładnie to, co Dell próbował zrobić na statku: dowiedzieć się, z kim jeszcze o tym rozmawiałem. Jak daleko się to rozlało.

– Komu jeszcze mówiłeś o nas? – powtórzył i nie doczekawszy się odpowiedzi, spojrzał na telefon w mojej ręce. – A ten, kto dzwonił, to co za jeden? Wie o wszystkim, tak? Poznałem to po twojej minie, jak zadzwonił. Więc na pewno jemu. Komu jeszcze?

Wiatr znów się wzmógł, woda w basenie lekko falowała, betonowe ściany kąpieliska jęczały.

– Komu jeszcze? – Głos mu stwardniał.

Muszę coś wymyślić.

– Komu jeszcze?

Zacisnął zęby, ściągnął usta, napiął szczękę i po raz pierwszy wycelował we mnie rewolwer, tak że wylot lufy znalazł się nie dalej niż trzydzieści centymetrów od mojej twarzy. Starłem się nie okazywać

strachu, ale krew tak mi pulsowała w uszach, jakby ktoś łomotał w ścianę kąpieliska.

– Komu jeszcze?

Muszę wytrącić go z równowagi.

– Wiem, gdzie jest Beth – rzuciłem.

– Co? – Przechylił się ku mnie. – Coś ty powiedział?

– Wiem, gdzie jest Beth.

Moje słowa podziały; po jego twarzy przemknął cień konsternacji, potem złości, potem niepewności. Lekko opuścił rewolwer, by lepiej widzieć moją twarz, wyczytać z niej prawdę.

– Beth – powtórzył.

– Wiem, gdzie jest.

– Gdzie?

– Nie może ci wybaczyć, Jack.

Zmarszczył brwi.

– Nie może wybaczyć tego, co się stało z Penny – dodałem.

Po jego twarzy przebiegł dreszcz. Gwałtownie zamrugał i widziałem, że ze wszystkich sił stara się zapanować nad sobą. Nieźle go trafiłem. Odwróciłem wektor całej rozmowy.

Lufa rewolweru jeszcze bardziej opadła.

– Beth – powiedział cicho. – Wiesz, gdzie jest moja Beth?

Nie chciałem używać jej jako przynęty, ale w końcu była jego córką. Zawiódł ją, oszukał i odwrócił głowę, gdy mordowano Penny, którą wychowywał jak własną córkę. Nie znałem w szczegółach całej historii – jeszcze nie – ale wiedziałem wystarczająco dużo: nosił w sercu ciężar winy za śmierć Penny i tęsknił za Beth tak bardzo, że zżerało go to od środka. Fiona odeszła, Beth też go opuściła. Teraz pozostało mu tylko rozpamiętywanie własnych czynów i wyborów.

– Gdzie ona jest?

– Wie, co zrobiłeś.

– Gdzie ona jest?! – wrzasnął i znów wymierzył we mnie rewolwer, tym razem z tak bliska, że dojrzałem zadrapania na lufie.

Ale nie zamierzał strzelać.

– Jeśli mi powiesz, co się wydarzyło w górach w osiemdziesiątym siódmym, to ja ci powiem, gdzie jest Beth. – Przechyliłem lekko głowę i spojrzałem na niego, prześlizgując się wzrokiem po lufie rewolweru. – Obiecuję.

– Obiecujesz?

– Tak.

– Twoje obietnice są dla mnie głównie warte. – Brzmiało to jak splunięcie, ale pozbawione jadu. Jak słowa, które same ukształtowały mu się w ustach.

– Jack, co się wtedy wydarzyło?

– Oczekujesz, że ci zaufam?

– Nie. Ale ja cię nie okłamuję.

– Skąd mam to wiedzieć?

– Bo ja nie kłamię – oświadczyłem z mocą.

Przez chwilę mi się przyglądał, mierząc mnie wzrokiem, wpatrując się w moje zmarszczki, szukając w mojej twarzy potwierdzenia, że jestem oszustem. Ale im dłużej patrzył, tym mniej widział. Nie kłamałem.

Jakby zeszło z niego powietrze.

– Jack?

Wciąż trzymał rewolwer wymierzony w moją głowę, ale on sam zdawał się rozplýwać w powietrzu jak dym znikający w ciemnościach.

– Wszystko zaczęło się od planu zrabowania Calebowi Beckowi jego pieniędzy, tak?

– Nie było żadnego planu rabowania pieniędzy – odparł. – Nie było w ogóle żadnego planu. Po prostu się wygłupialiśmy. O zabraniu mu pieniędzy pomyśleliśmy dopiero po tym.

– Czyli po czym?

Spojrzał na mnie, ale nie odpowiedział.

– Po czym, Jack? Po zabiciu Caleba Becka i Seliny Torres?

– Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić.

Pięć słów, które jakby przeszły powietrze, i padający śnieg, zagłuszyły wiejący wiatr i odgłosy budynku. Przełknął ślinę, spojrzał na mnie i ręka z rewolwerem opadła na ławkę.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było straszne.

68

Zrobiło się jakby jeszcze zimniej, i to nie z powodu pogody.

Kilburn siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię i nic nie mówił, ja przyglądałem się, jak płatki śniegu osiadają mu na plecach i nogach; niektóre od razu się topiły, inne tworzyły delikatne krystaliczne wzorki.

– Wszyscy byliśmy kumplami – odezwał się w końcu ledwo słyszalnym, chrapliwym szeptem. – Ja, Roland, Bill Presley, Jessop. Byliśmy w różnym wieku, ale zgadaliśmy się i zaczęliśmy się spotykać. Roland był trzy lata młodszy ode mnie, Bill siedem lat starszy od niego, ale się tego nie czuło.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Po prostu Roland nie był jak inne chłopaki, których znałem. Z nikim się nie kolegował, a jeśli nawet, to tylko dlatego, że w ten sposób chciał zdobyć coś, na czym mu zależało, co było mu potrzebne. Miał łeb na karku, był cholernie sprytny, ale wyrachowany i zimny jak pieprzona żmija. – Spojrzał na mnie. – Nikt z nas tego nie widział. Mieliśmy wtedy po kilkanaście lat lub niewiele ponad dwudziestkę, a ludzie w tym wieku nie zwracają uwagi na takie rzeczy, prawda? Dotarło to do nas dopiero znacznie później. Zaczęliśmy zauważać, jak Roland zwraca się do ludzi, jak ich traktuje. Był z niego... Jak się nazywa takiego człowieka?

Spojrzał na mnie, szukając odpowiedniego słowa, i wzruszył ramionami.

– No nie wiem... Taki pozbawiony uczuć samolub. Myślę, że odziedziczył to po ojcu. Stary Dell był dyplomata, prawdziwym skurwielem, który w latach osiemdziesiątych rządził wyspami jako gubernator. Ktoś na takim stanowisku powinien być nadziany, ale on nie był. Mówiło się, że stary siedzi po uszy w długach. To pewnie dlatego Roland w końcu połazczył się na tę forszę Caleba Becka. Nie chciał być jak ojciec.

Kilburn nieco się uspokoił i znów wbił wzrok w ziemię. Poły jego kurtki lekko trzepotały na wietrze.

– Beck nie ufał bankowi na wyspie – rzucił.

– Chcesz powiedzieć, że trzymał pieniądze w domu?

Pokiwał głową.

– Ukrył je pod podłogą w sześciu torbach. Fiona nic o tym nie wiedziała.

– Ile tego było?

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy.

Kilburn poprawił się na ławce, a ja znowu dojrzałem w jego oczach poczucie winy, milczące przyznanie się do zbrodni.

– To Roland wszystko obmyślił i zorganizował – mówił dalej. – Był w tym dobry. Ukrył te pieniądze, przechował je gdzieś... nie wiem gdzie. W każdym razie zrobił tak, żeby nikt nie mógł ich połączyć z nami. A potem, trzynaście lat później, zaczęliśmy dostawać nasze części na konta bankowe, które tu dla nas otworzył.

Coś mi tu nie pasowało i im więcej o tym myślałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że Dell ich też wykiwał. Podejrzywałem, że Kilburn, Presley i Jessop nie mieli nawet pojęcia, ile pieniędzy zrabowali

wtedy Beckowi. Dell przejął wszystkie torby z forszą, a oni mu zaufali, że gdy sprawa przycichnie, uczciwie podzieli łup i przekaże im ich działki. Istotnie, podzielił i przez dwadzieścia dziewięć miesięcy przekazywał każdemu po cztery tysiące funtów miesięcznie, ale to dawało w sumie trzysta czterdzieści osiem tysięcy, czyli prawie całą skradzioną kwotę, a przecież niemożliwe, aby Dell nie zachował dla siebie swojej części. Wzięłoby pewnie tyle co pozostali, ale jako pomysłodawca i organizator mógłby też przyznać sobie coś ekstra. A to by znaczyło, że w torbach Becka mogło być co najmniej dwa razy więcej pieniędzy.

Przez chwilę biłem się z myślami, czy powiedzieć o tym Kilburnowi, ale dałem spokój: nareszcie zaczął mówić i robił to z własnej woli, więc wolałem mu nie przerywać.

– Często, bardzo często w ciągu tych trzynastu lat patrzyłem na Fionę albo na dziewczynki i zadawałem sobie w duchu pytanie: „Coś ty, kurwa, narobił?”. Myślałem też, żeby zadzwonić do Rolanda w Londynie i powiedzieć: „Zapomnij o mnie przy podziale. Nie chcę ani grosza. Nie mogę żyć ze świadomością tego, co zrobiliśmy. Żeniąc się z Fioną, wiedziałem, co zrobiliśmy jej mężowi”. Ale się na to nie zdobyłem. Kochałem Fionę i chyba w głębi serca pragnąłem tych pieniędzy. A poza tym wiedziałem, że jak nie będę trzymał gęby na kłódkę, to Roland się mną zajmie. – Zamilkł i głośno przełknął ślinę, jakby następne słowa utkwily mu w gardle. – Zawsze była we mnie taka częśćka, której nienawidziłem, częśćka, która poczuła ulgę po śmierci Fiony. Naprawdę ją kochałem i bardzo mi jej brakowało, ale czasami w nocy leżałem po ciemku i myślałem: Już nie muszę patrzeć jej w twarz i udawać, że nie wiem, co się stało z jej mężem. Byliśmy małżeństwem osiemnaście lat i przez te wszystkie lata okłamywałem ją w sprawie Caleba.

– A co się z nim naprawdę stało?

Skrzywił się, a potem się wyprostował i oparł plecami o ławkę; z jego ubrania posypała się mała śnieżna lawina.

– Stary Rolanda był zaprzyjaźniony z Calebem i Roland podsłuchiwał kiedyś ich rozmowę w domu Dellów. Beck opowiadał ojcu Rolanda, że na jego ziemi, wysoko na zboczu Strathyde, jest górski staw. Oficjalnie należał on do Becka, ale Beck chciał go udostępnić ludziom. Miał głowę pełną pomysłów, jak ściągnąć na wyspy zagranicznych turystów, bo jak twierdził, będzie to z korzyścią dla wyspiarskiej gospodarki. Wielu przyjezdnych z Anglii tak do tego podchodziło. Przyjeżdżali tu z myślą o zrewolucjonizowaniu życia na wyspach. Ten kit, który ci wcześniej wciskałem, że ja też przyjechałem tu z Anglii, to dotyczyło Jessopa, nie mnie. Ja urodziłem się, wychowałem i całe życie przeżyłem na wyspach, ale za wszelką cenę starałem się nie nabrać wyspiarskiego akcentu. Jessop, Beck, nawet Fiona... oni byli inni. – Gdy wymienił imię żony, głos mu się załamał. – Mieli inną mentalność. Fiona praktycznie na własną rękę dobudowała nowe skrzydło w tutejszym szpitalu. Sama nie kładła cegieł, ale zdobywała potrzebne pieniądze. A tutejsi tak się nie zachowują. To cecha imigrantów z Anglii.

Odbiegał od tematu, ale go nie popędzałem.

Wolno, bo wolno, jednak do czegoś zmierzał.

Do czegoś strasznego.

– Jak tylko przyjechała na wyspy, od razu wpadła mi w oko – powiedział, wciąż tkwiąc myślami przy Fionie, swojej żonie, którą na różne sposoby zwodził przez blisko dwadzieścia lat, podobnie jak robił to wobec Penny i Beth. – Była pięć lat ode mnie starsza. Ożeniłem się młodo, Fiona była żoną Caleba i mieli córkę Penny, a ja nie wiedziałem, co się wydarzy. Ale nie przeszkodziło mi to poddać się urokowi Fi. Dałem się usidlić w osiemdziesiątym piątym i już po pół roku zrozumiałem, że popełniłem

wielki błąd. Sheila, moja pierwsza żona, była kompletnie walnięta i strasznie dała mi się we znaki. Dosłownie jedynym dobrym wspomnieniem z trzech lat naszego wspólnego życia jest chwila na porodówce, gdy podała mi moją córeczkę.

Beth.

Kilburn odchrząknął, zaczął coś mówić i przerwał. Uniósł głowę i potoczył wzrokiem po kąpielisku.

– Była śliczna – powiedział niemal szeptem. Zdjął palec ze spustu i go wyprostował. – Do dziś czuję jej dotyk, jak chwyciła rączką koniec mojego palca. Pamiętam też jej ciche popiskiwanie, jakie wydawała przy oddychaniu. Popiskiwała tak przez całą pierwszą noc.

Oczy nabiegły mu łzami.

Zwrócił ku mnie twarz, ocierając wolną ręką łzy, które natychmiast wytyczały sobie nowe ścieżki na jego zaczerwienionych policzkach.

– Proszę, powiedz mi, gdzie ona jest – jęknął, podniósł rewolwer z ławki i machnął nim w kierunku mojej twarzy.

Trudno mi było na niego patrzeć. Cokolwiek zrobił, jakiegokolwiek zbrodnie popełnił, cokolwiek ukrywał ze swej przeszłości – nic z tego w tej chwili się nie liczyło.

W tej chwili był tylko ojcem.

– Wspomniałeś coś o stawie – przypomniałem.

Nie mogłem udawać, że jego opowieść mnie nie poruszyła czy że jego wspomnienia o Beth mnie nie obeszły, ale skupiłem się na tym, co powiedział chwilę wcześniej.

„Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było straszne”.

Miałem przed sobą ojca, ale także mordercę.

Powiedział, że nie planowali obrabowania Caleba Becka z pieniędzy, że ten pomysł zrodził się dopiero później. Po jakimś zdarzeniu.

Spojrzał na mnie.

– Jak ci już mówiłem, Roland powiedział nam, że podsłuchał, jak Beck rozmawiał z jego ojcem o stawie. Beck wspomniał też o chacie nad stawem. – Przejechał końcem języka po zębach, jakby chciał z nich usunąć nieprzyjemny posmak. – Mówił, że to stary myśliwski domek, do którego od wielu lat nikt nie zaglądał, i że leży na zbytnim odludziu, żeby mógł do czegoś mu się przydać. I wtedy Roland, jak to Roland, od razu zaczął główkować.

– O czym?

– Jak my moglibyśmy go wykorzystać.

– Wykorzystać do czego?

– Wiesz, tak naprawdę byliśmy jeszcze dziećmi.

– O czym ty mówisz? – Uniosłem brwi.

– Tylko dziećmi – powtórzył Kilburn, jakby mnie nie słyszał. – Po prostu gówniarzami. Roland dopiero co skończył dziewiętnaście lat. Trzy lata wcześniej wyjechał do Londynu, do liceum, ale wrócił tu na letnie wakacje i od razu stwierdził, że powinniśmy wszyscy pójść i obejrzeć tę chatę nad stawem.

– Po co?

Pociągnął nosem.

– Ja miałem dwadzieścia dwa lata, Bill dwadzieścia sześć. Tak, byłem żonaty, owszem... Beth właśnie skończyła roczek. Bill też miał żonę i syna Richarda, który miał ile?... chyba cztery lata. Tu mężczyźni wcześniej się żenili, płodzili dzieci i stawali się dorośli. Ale nie dojrzalsi. Byłem mężem i ojcem, tak jak Bill, ale nie miałem pojęcia o świecie. Przez trzy lata w Anglii Roland dowiedział się o życiu więcej niż ja przez dwadzieścia dwa na wyspach.

– Po co chcieliście iść do tej chaty? – znów zapytałem.

Zaczerpnął głęboko powietrza, a ja nagle poczułem, jak jest zimno. Mróz przeszywał mi kości, przenikał do kolagenu i wapnia, niczym ból artretyczny.

Kilburn popatrzył na mnie.

– Ojciec Rolanda był strasznym jebaką. Kiedy Roland o tym opowiadał, myślałem, że gdyby to był mój ojciec, to za takie traktowanie matki urwałbym mu jaja. Ale Rolandowi to wręcz imponowało. Uwielbiał swojego starego. A stary był sprytny i wiedział, że w takiej małej społeczności łatwo trafić na języki, dlatego nigdy nie rznął żadnej baby z wysp. Nigdy. Po to wyjeżdżał służbowo. I tak spotkał Torres.

Obraz w mojej wyobraźni zaczynał nabierać ostrości.

– Przylatywała do niego z Argentyny – powiedziałem.

Kilburn pokiwał głową.

– Była prostytutką?

– W każdym razie płacił jej, jeśli o to pytasz. – Wzruszył ramionami.

– A w osiemdziesiątym siódmym przyleciała do młodego Della, tak?

– Roland przejrzał notes ojca i znalazł w nim numer telefonu Torres.

Nie była tym zachwycona, zwłaszcza że Roland jej powiedział, że ma zachować swój przyjazd w tajemnicy przed starym Dellem, ale obiecał jej furę kasy i dała się skusić. Jak ci już mówiłem, byliśmy wszyscy smarkaczami. Żadnego życiowego doświadczenia. Igraszki z gorącą Argentyneką, gra w pokera, chłanie piwa, palenie trawki do utraty przytomności, a wszystko to w górach, gdzie nikt nas nie nakryje i nikt z miasta się nie dowie... Więc jak można było się oprzeć?

– Torres zginęła w tej chacie?

– Obok niej.

– Dlaczego?

– Wszystko przez Caleba Becka. – Potrząsnął głową. – Pierdolony Beck. Tej nocy miało go tam nie być w pobliżu. Poszliśmy do chaty, bo nikt nigdy tam nie chodził. – Przerwał i krzywo się uśmiechnął. – Tylko że Beck lubił gwiazdy.

– Co takiego?

Pokazał palcem w niebo.

– Był zapalonym obserwatorem nieba. Okazało się, że znalazł sobie miejsce jakiś kilometr od chaty i parę razy w tygodniu chodził tam z lunetą.

Luneta.

Pamiętałem, jak Beth mówiła, że Richard natknął się na lunetę i pomarańczową kurtkę w jarze obok stawu i że leżały tam od dawna, bo były pokryte warstwą błota i mchu. Czyli ta luneta też należała do Becka.

– Później o tym czytałem. Że nasze wyspy są jednym z najlepszych miejsc na świecie do obserwacji nieba. Środek oceanu, praktycznie zerowe zanieczyszczenie powietrza. Galaktykę Andromedy widać jak na dłoni. Można oglądać gwiazdy w odległości dwóch milionów lat świetlnych.

– I Beck nakrył was w swojej chacie?

– Tak.

– Przyszedł zobaczyć, co się tam dzieje?

– Tak.

Zostawił wszystko i poszedł sprawdzić, pewien, że zajmie mu to tylko chwilę. A tymczasem już nigdy nie wrócił do lunety i pomarańczowej kurtki, które ostatecznie wylądowały na dnie jaru, być może zdmuchnięte tam przez poryw wiatru. I nikt nigdy nie natknął się na nie, aż do czasu wyprawy Richarda do Otchłani.

– Zabiliście go dlatego, że przyszedł do chaty?

Kilburn spochmurniał.

– Jack?

– Wymknęło się to nam spod kontroli.

– Jak to: wymknęło się?

Wpatrywał się w pustą przestrzeń za nami, w ściany kąpieliska, w paskudny beton, w połąć trawy otaczającej basen.

I wtedy nagle coś sobie uświadomiłem.

Gdzieś pośród śnieżnej zamieci, wycia wiatru i pojękiwania budynku dał się słyszeć nowy dźwięk. Byłem tak pochłonięty tą rozmową, tak zasłuchany, że wcześniej go nie dosłyszałem.

Odgłos silnika.

Nadjeżdżał jakiś samochód.

Widać dotarło to do nas jednocześnie, bo Kilburn w tym samym momencie uchwycił mocniej rewolwer. Obaj odwróciliśmy się i spojrzeliśmy ku wejściu, skąd dobiegał odgłos. Zaskrzypiała obrotowa bramka.

Ktoś wchodził na teren kąpieliska.

69

Kilburn odruchowo wetknął rewolwer pod kurtkę, zaraz się jednak uspokoił, widząc, kto minął bramkę.

Bibliotekarka.

Była opatulona w puszystą kurtkę, spod kaptura wymykały się kosmyki włosów, jej oddech zamieniał się w obłoki pary. Podeszła do krawędzi zadaszzonego foyer i obrzuciła spojrzeniem mnie i Kilburna, nie okazując zdziwienia ani naszą obecnością, ani tym, że Kilburn trzyma w ręce rewolwer. Przypomniałem sobie, co mi powiedział, kiedy jeszcze udawał Jessopa.

„Popełniłeś błąd, żeś tam poszedł. Ta, co tam siedzi, to siostra Kilburna”.

Zarzucił mnie dziś mnóstwem kłamstw. Skłamał, kim jest, być może kłamał też o nocy w chacie i o tym, co się tam wtedy wydarzyło. Ale w tej sprawie nie kłamał. To była jego siostra. Dostrzegałem wyraźne podobieństwo między nimi. I widziałem, że nie zdziwił jej widok broni w jego ręce, a on stał spokojnie, z opuszczonym rewolwerem, i czekał, aby mu wyjaśniła, po co tu przyszła.

– Znaleźli ją – powiedziała.

– Co?

– Znaleźli ją – powtórzyła.

Spojrzał na mnie.

– Gdzie ona jest?

– Ma ją Grobb.

Zrobiło mi się słabo.

Rozmawiali o Beth.

– Jest na statku?! – wykrzyknął z niedowierzaniem Kilburn.

– Tak.

Znów spojrzał na mnie.

– Od jak dawna się tam ukrywała?

Nie byłem pewny, czy to pytanie kieruje do mnie, czy do siostry, ale to ona zareagowała. Zrobiła krok do przodu, miażdżąc podszwami źdźbła trawy.

– Nie wiem. Grobb nie mówił. Powiedział tylko, że koło biura zauważyli źle zamocowaną kratkę wentylacyjną, zajrzeli do środka i ją znaleźli.

– Roland o tym wie?

– Chyba... chyba jeszcze nie.

Kilburn nie chciał, żeby Dell się dowiedział.

Nie chciał, żeby się powtórzyło to, co spotkało Penny.

Uderzył w nas tak gwałtowny poryw wiatru, że Kilburn aż się zachwiał pod jego naporem, po czym zwrócił się twarzą do mnie. Ślady łez wciąż lśniły mu na policzkach, ale w jego zaczerwienionych od tarcia oczach nie dostrzegłem już wcześniejszych emocji. Udało mi się skłonić go do wynurzeń obietnicą wyjawienia, gdzie jest Beth. Szczerze mówiąc, wcale nie miałem pewności, czy to zrobię. Nie dlatego, że wątpiłem, czy kocha córkę, tylko z obawy, że narażę ją na niebezpieczeństwo. Bo gdybym powiedział Kilburnowi, do Della też by to dotarło.

Ale teraz nie miało to już znaczenia.

– Gdzie w tej chwili jest statek? – zapytał, patrząc na mnie, ale zwracając się do siostry.

Głos i rysy twarzy wyraźnie mu stwardniały.

– Odpłynął godzinę temu.

Statek odpłynął, a wraz z nim moja karta przetargowa. Nie miałem już żadnego asa w rękawie i żadnej drogi ucieczki. Znajdowałem się ponad jedenaście tysięcy kilometrów od domu, samotny, bez wyjścia. Spojrzałem ponad ramieniem Kilburna na betonowe zabudowania kąpieliska, które otaczały nas półkolistym niczym więzienne mury. Zerknąłem w lewo, w stronę przebieralni, potem znów na bramkę, obok której stała jego siostra.

– Trochę za późno na ucieczkę – rzucił z uśmiechem Kilburn.

Uśmiechnął się szerzej i odetchnął głęboko. Wyraźnie czuł ulgę, bo znów kontrolował sytuację – dowiedział się, że jego córka jest bezpieczna, i wkrótce ją zobaczy. Bez względu na to, co się wydarzyło i jak wyglądała prawda o tamtej nocy w chacie nad stawem, Kilburn nie był sadystą. Nie kłamał, nie ranił i nie zabijał dlatego, że sprawiało mu to satysfakcję. Robił to, by ratować własną skórę.

– Zadzwoń na lotnisko do Barry’ego Sargenta – zwrócił się do siostry, nie spuszczać ze mnie wzroku i trzymając rewolwer w opuszczonej ręce. – Powiedz mu, że potrzebny mi pilot, żeby mógł polecieć na statek. – Zerknął na zegarek. – Powiedz, że będę u niego za pół godziny.

Po tym, jak mnie załatwi.

Jego siostra też popatrzyła na mnie. Wyglądała na przejętą tym, co ma się wydarzyć, co się kryje za słowami brata. Próbowałem przemówić do niej spojrzeniem, nakłonić ją, aby jakoś na niego wpłynęła, ale oderwała ode mnie wzrok i skierowała się do wyjścia.

– Jack – odezwałem się – nie musisz tego robić.

– To właśnie chciałeś mi powiedzieć? – Wymierzył we mnie rewolwer. – Czy może cały czas grałeś tylko na zwłokę?

– Nie grałem.

Bramka znów zaskrzypiała, siostra Kilburna wyszła, ale on nawet za nią nie spojrział, nie spuszczać ze mnie oczu. Za to ja odprowadziłem ją wzrokiem – patrzyłem, jak mijają bramkę i wychodzi z kąpieliska. Zerknęła na mnie przez ramię, raz i drugi, i po chwili już jej nie było.

– Zamierzałeś mi powiedzieć?

Zwróciłem się do niego twarzą.

– Tak – skłamałem. – I Beth tego by nie chciała.

– A skąd ty niby wiesz, czego chciałaby Beth?

– Rozmawiałem z nią na statku.

– I co z tego?

– To, że właśnie przemoc wygnała ją z...

Wyrzucił mnie rewolwerem w twarz.

Zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje, leżałem już na ziemi, lekko ogłuszony. Poczułem płatki śniegu na jednym policzku, a na drugim krew ciekącą z rozcięcia nad okiem, i usłyszałem wrzask pochylonego nade mną Kilburna.

– Nie waż się mówić o mojej córce! Nie masz pojęcia, jak ja to przeżyłem!

Machinalnie zakryłem twarz rękami w oczekiwaniu, że lada chwila padnie strzał, dostanę cios lub kopa, i tylko modliłem się, by palec nie omsknął mu się na spuście. W uszach słyszałem łomot swojego serca, czułem pulsowanie w oczodołach. Odjąłem ręce od twarzy i patrzyłem, jak Kilburn mierzy do mnie z rewolweru.

– Jack, proszę! – jęknąłem łamiącym się głosem. – Jack, nie musisz...

– Zamknij mordę.

– Nie musisz tego robić.

– Zamknij się!

Pochylił się i przytknął mi lufę rewolweru do głowy, przekręcając mnie na plecy. Usłyszałem odgłos silnika samochodu siostry Kilburna, który stopniowo się oddalając, zostawiał po sobie tylko szum wiatru, bezszelestnie padający śnieg i nas dwóch.

– Jeśli musisz to zrobić, to zrób to teraz – powiedziałem i zamknąłem oczy.

Pomyślałem o Richardzie Presleyu, człowieku, który na drugim końcu świata przeżył, ponieważ nie wiedział nic o sobie, a ja, jedenaście tysięcy kilometrów od domu, miałem zginąć dlatego, że wiedziałem za dużo.

– Co ty tu, kurwa, robisz?

Otworzyłem oczy.

Kilburn miał wzrok utkwiony gdzieś za mną. Uniosłem się lekko na łokciu, czując na policzku ciepło spływającej krwi.

– Zawiedliśmy nasze dzieci – odezwał się czyjś głos.

Odwróciłem głowę i spojrzałem w stronę przebieralni.

To był głos Billa Presleya.

70

Presley stał metr dalej, ubrany w policyjny mundur Królewskich Sił Policyjnych Wysp Empress*, z białymi literami REIP na przodzie czarnej wiatrówki. Do ramienia przyciskał kolbę wymierzonej w Kilburna strzelby. Chwiał się lekko na nogach, czuć było od niego alkohol.

Kilburn pokręcił głową i opuścił rewolwer.

– Od jak dawna tam sterczysz? – Zrobił krok do przodu, spojrzał w stronę przebieralni i ostentacyjnie pociągnął nosem. – Podają tam teraz whisky?

Presley nie odpowiedział.

Kilburn znów pokręcił głową, spojrzał na mnie, leżącego na ziemi, i z powrotem na Presleya.

– Bill, jest druga po południu, a ty już jesteś zalany, więc nie wtrącaj się i daj mi to załatwić.

– Wiesz, kiedy to się zmieniło?

Kilburn westchnął.

– Co?

– Wiesz, kiedy to wszystko się zmieniło?

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– O tym, co tam zrobiliśmy. – Presley kiwnął głową w stronę wzgórz i masywu góry Strathyde. – Najpierw walczyliśmy o życie. Ty i ja nie

byliśmy tacy sprytni jak Roland, więc chwilę trwało, zanim się kapnąłem. – Nie był bardzo pijany, ale trochę bełkotał i przeciągał słowa. – Ten płot i te kłamstwa, i te wszystkie głupoty. Forsa, którą zabraliśmy, i czekanie trzynaście lat, żeby Roland łaskawie się z nami podzielił, jak z grzecznymi chłopcami, którymi byliśmy, i to potulne spełnianie jego życzeń, kiedy argentyńskie gliny przyjechały zadawać pytania. To wszystko była nasza walka o życie.

– Pieprzysz coś bez sensu – burknął Kilburn.

– Nie – rzucił Presley i przeniósł wzrok na mnie. – Nie. Od dawna walczyliśmy, żeby nie trafić do pierdła za to, co zrobiliśmy, a ja to łykałem i akceptowałem, obaj to akceptowaliśmy, bo Roland powiedział, że tak będzie najlepiej. – Poprawił ręce na strzelbie. – Ale wiesz, kiedy się to wszystko zmieniło, Jack? Wiesz, kiedy to nagle do mnie dotarło? Cały ciężar tego, co zrobiliśmy, to wszystko, co ukrywaliśmy, nieszczęście, jakie sprowadziliśmy na innych ludzi, na ich rodziny... Wiesz, kiedy to wszystko po raz pierwszy do mnie dotarło?

Kilburn popatrzył na mnie, ale w jego spojrzeniu coś się zmieniło. Już czuł, do czego to wszystko zmierza. Już wiedział, co Presley ma na myśli.

– Kiedy zginęła Penny – oznajmił Presley.

Na dźwięk imienia pasierbicy Kilburn aż drgnął.

– Kiedy Roland nas zawiadomił, że Penny nie żyje, i wytłumaczył dlaczego. Kiedy nam powiedział, że ten Szwab czy Polak, czy kim tam jest ten jebany Marek, zostawił jej ciało na torach kolejowych, że je wepchnął pod stertę podkładów, jakby była śmieciem, a ty się z tym pogodziłeś. Zabijają dziewczynę, którą wychowywałaś jak własną córkę, a ty to akceptujesz...

– Nie zaakceptowałem tego.

– I co w tej sprawie zrobiłeś? No co? – Presley umilkł, czekając na odpowiedź, a gdy jej nie uzyskał, mówił dalej: – Minęły dwa lata, Jack. Ona od dwóch lat nie żyje.

– Codziennie ją oplakuję.

– Czyżby? Nigdy nie wyraziłeś zgody na jej zamordowanie, tyle ci mogę przyznać. Ale później szybko się z tym pogodziłeś. Jesteś równie winny jak ten łajdak, który porzucił ją na torach. I właśnie wtedy to do mnie dotarło. – Znow na mnie spojrzał i jego następne słowa były skierowane do mnie. – Jak Roland nam o tobie powiedział, pomyślałem: Dobrze, niech sobie przyjeżdża. – Na moment zawiesił głos. – Niech tu przyjeżdża.

– Odłóż strzelbę, Bill – odezwał się Kilburn.

– Cieszę się, że mój syn stracił pamięć – powiedział Presley łamiącym się głosem. – Przynajmniej mnie nie pamięta. Nie pamięta tego, czego się o nas dowiedział. Nie wie, kim jesteśmy i co zrobiliśmy, czyje życie zrujnowaliśmy.

– Bill... – powtórzył Kilburn.

Patrzyłem, jak Presley przenosi wzrok na Kilburna.

– Dlaczego Beth miałyby chcieć cię jeszcze widzieć, Jack?

Oczy Kilburna rozbłysły.

– Bo jest moją córką.

– Nie.

– Jestem jej ojcem.

– Nie. – Presley zrobił krok w stronę Kilburna. – Przestałeś być jej ojcem dwa lata temu. Przestałeś być jej ojcem, kiedy pozwoliłeś, żeby Rolandowi uszło na sucho to, co zrobił. Beth jest lepiej bez ciebie, Jack. Tak jak Richardowi jest lepiej beze mnie. Obaj zawiedliśmy nasze dzieci.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie.

Wiatr świstał, płatki śniegu wirowały w powietrzu.

A potem ciszę rozdarł huk wystrzału.

* Royal Empress Islands Police.

71

Z dachu budynku kąpieliska zerwały się wystraszone ptaki.

Chwiejnie dźwignąłem się na nogi; spodnie miałem wilgotne od śniegu, twarz mnie paliła. Rękawem płaszcza otarłem z niej krew i popatrzyłem na Presleya. Stał między ławką a przebieralniami, ze strzelbą w opuszczonych rękach.

I głośno łkał.

Przeniosłem wzrok na Kilburna. Leżał na opadającej ku basenowi trawiastej pochyłości, z oczami wbitymi w niebo. Sypiący śnieg już zaczynał układać białe łaty na cholewach jego butów, na fałdach płaszcza, na rozharatonym gardle. Cieknąca na boki krew rysowała na śniegu czerwone wzory, które rozkładały się na zmrożonej trawie niczym skrzydła zestrzelonego ptaka.

Spojrzałem znów na Presleya.

Zgięty w pół, jeszcze głośniejszłochał, opierając się na strzelbie wpartej kolbą w ziemię, niczym na lasce. Gdy uniósł drugą rękę ku twarzy, by otrzeć łzy i wytrzeć nos, dostrzegłem, że z jego kieszeni coś wystaje: róg kolorowej fotografii.

Ruszyłem ku niemu, nie bacząc na to, że jest uzbrojony i napompowany whisky, ale on nawet nie drgnął. Z bliska dojrzałem na tyle duży fragment fotografii, że ją rozpoznałem. Widziałem ją rano na kominku w jego domu.

Stali na niej obaj z Richardem, obejmując się, uśmiechnięci, w zupełnie innym momencie ich życia.

Wręcz w innym życiu.

I dostrzegłem coś jeszcze. Do ubrudzonych ziemią dłoni Presleya przyłgnęło coś, co wyglądało jak płatki róż. Pomyślałem o Jacobie Howsonie i bukietach kwiatów, które nosił na miejsce śmierci Penny, gdzieś na drugim końcu świata.

A teraz ja byłem na drugim końcu świata.

I gdy Kilburn przytknął mi lufę rewolweru do głowy, przez chwilę myślałem, że dotarłem do kresu swego życia, po czym okazało się, że do kresu dotarł on. Spojrzałem na jego leżące na ziemi ciało i poczułem nawet coś na kształt żalu.

– Masz.

Odwrociłem się do Presleya.

Patrzył na mnie przez cieknące po twarzy łzy i wyciągał rękę, w której coś trzymał.

Klucz.

– To do chaty nad stawem? – spytałem.

Kiwnął głową.

– I co tam znajdę?

Chyba mnie nie dosłyszał.

– Bill? – odezwałem się z naciskiem, by skupić na sobie jego uwagę. Spojrzył na mnie. – Bill, co tam znajdę?

Zauważyłem, że nie tylko skóra jego dłoni jest ubrudzona ziemią, ale ma też pod paznokciami ciemne obwódki. Brudny był także brzeg kurtki i spodnie na kolanach.

– Jeśli nie ty, zrobi to ktoś inny – powiedział, nadal wyciągając w moją stronę klucz. Umilkł i rozwarł lekko wargi, ukazując dziąsła. Widać było

krzywo rosnący ząb, tak jak u jego syna. Spod wełnianej czapki wymykał się kosmyk rudych włosów. – Ty, Argentyńczycy, jeszcze ktoś. Będziecie się tu kręcić, bo niczego nie da się ukryć na zawsze. Myślisz, że pogrzebałeś swój sekret gdzieś w górach, że go ukryłeś za płotem i zabezpieczyłeś legendą, której się wszyscy boją, a on i tak wyłazi. – Rzucił we mnie kluczem. – Bo dopóki ludzie mają sumienie, żaden sekret się nie uchowa.

Patrzyłem na klucz.

– Miał piękną duszę.

Znów spojrzałem na Presleya.

– Richard. Był cudownym dzieckiem. Czytał te wszystkie książki, jedną po drugiej. O wszystkim tak dużo wiedział. Słuchałem jego wywodów przy kolacji albo na rybach, albo kopiąc z nim piłkę na podwórzu, i za każdym razem to była najlepsza chwila w moim życiu, to było jak... – Presley przerwał, jakby nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa, i tylko łzy wciąż płynęły mu po twarzy. Ocierał je z uśmiechem, ale tak bolesnym, że serce się ścisnęło. Był jak promień słońca po wybuchu bomby, który rozświetla obraz dokonanych zniszczeń. – Powiedz Richardowi, że go kocham.

– Bill, poczekaj chwilę...

– Powiedz mu tylko, że go kocham.

Uniósł strzelbę.

– I powiedz mu, że ta plaża, którą pamięta... niech o niej zapomni.

Zmarszczyłem czoło.

– Co?

– Czytałem w sieci, że z dzieciństwa pamięta widok plaży z okna. I myślę, że to może być jego rodzinny dom. – Pokręcił głową. – Nie jest. Jako dziecko nie mieszkał przy plaży. Powiedz mu, że go przepraszam, dobrze? I powiedz, żeby o tym zapomniał.

- O czym ty mówisz?
 - Chciałbym, żebyś już stąd poszedł.
- Wpatrywałem się w niego.
- Dostałeś klucz. I teraz już odejdz stąd.
 - Nie musisz tego robić.
 - Nieprawda. To jest właśnie to, co muszę zrobić.

. . .

Wyszedłem na śnieżną zawieję, mając przed sobą kilometrowy marsz do centrum Sophii. W oddali widać było rozmazane światła Blake Point. *Olympia* już odpłynęła, wyspy znów były odcięte od świata.

Byłem tu uwięziony.

Po paru minutach drogi obejrzałem się na kąpielisko, tkwiące w płaskiej pustce jak wrzód na gładkiej skórze. Gdzieś w pobliżu odezwały się głosy ptaków, a po chwili nagle ucichły.

Z dala dobiegł odgłos jednego wystrzału.

Szlaki turystyczne miały postać wąskich, pokrytych piargiem ścieżek, oplatających zbocze góry. Kiedy wspinałem się do Otchłani, śnieg niemal przestał padać, za to wzmógł się wiatr, który hulał po załomach i urwiskach góry Strathyde.

Jego podmuchy były mroźne i utrudniały wspinaczkę, zwłaszcza że miejscami nachylenie sięgało czterdziestu pięciu stopni, a wiatr uderzał we mnie z pełnym impetem, gwizdząc mi w uszach i zrywając z głowy kaptur. Bolało mnie wszystko: skaleczenia na twarzy i rękach, stłuczenia ramion i klatki piersiowej. W pewnej chwili przystanąłem, by odetchnąć, i wydało mi się, że w prószącym śniegu dostrzegam wijącą się po zboczach drogę. Pamiętałem, jak Beth mówiła, że Kilburn i Jessop przywieźli tu samochodem ją i Penny i zostawili je na noc pod płotem. Droga wyglądała jednak na skrajnie niebezpieczną, była stroma i pełna ostrych zakosów; gdybym nawet miał samochód, nie wiem, czy jazda po niej byłaby mniej męcząca od wspinaczki. Może nie było zasp, ale pokrywała ją gruba warstwa śniegu i drogi na pewno nie posypano piaskiem.

Dwadzieścia minut później krajobraz się zmienił.

Zupełnie niespodziewanie góra rozdzieliła się na dwie części. Obejrzałem się, oceniając, że pokonałem dotąd około dwustu pięćdziesięciu metrów. Potem znów popatrzyłem przed siebie. Sto metrów dalej szlak

rozdzielał się na dwie odnogi. Prawa, niezbyt dobrze widoczna, biegła w górę zbocza, jakieś sześćset metrów, i prowadziła na szczyt Strathyde. Lewa odnoga skręcała na obszerne trawiaste wypłaszczenie, które, jak po chwili zauważyłem, zaczynało lekko opadać. Ciągnęło się ono szeroko, tak szeroko, że przy tej widoczności trudno było ocenić jego prawdziwą wielkość. Ale i tak wiedziałem, gdzie jestem.

Gdzieś w pobliżu Otchłani.

Szedłem dalej, pozostawiając za sobą piargi i wkraczając na trawiaste wypłaszczenie. Początkowo trawa była niska i dość rzadka, szybko jednak zgęstniała i zamieniła się w kępy splątanych chaszczy, a podłoże stało się bardziej grząskie i z powodu wilgoci wolne od śniegu. Ale płatki śniegu wciąż wirowały w powietrzu, pędzone przez podmuchy wiatru, i na ziemię zaczęła opadać lekka mgiełka, rozmywając zarysy góry. Przed sobą nadal widziałem szlak, ale leżącej jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów niżej Sophii prawie nie było już widać.

Przeszedłem jeszcze kawałek i stanąłem.

Po raz pierwszy ujrzałem ten sławetny płot.

Był wysoki na metr osiemdziesiąt i biegł przez całą szerokość mokradeł. Trudno było ocenić, jak daleko sięgał i z ilu siatkowych segmentów się składał, lecz na pewno było ich bardzo wiele. Ruszyłem wzdłuż niego w dół zbocza, w nadziei, że natknę się na jakąś dziurę, ale żadnej nie znalazłem.

Znalazłem za to coś innego.

Betonowy bunkier.

Czując lekki niepokój, podszedłem do płotu i popatrzyłem przez siatkę na rozmiar i głębokość Otchłani, nad którą wisiał tuman mgły i wirowały płatki śniegu, bezustannie zmieniając kształty.

Bywałem już w takich miejscach, w budynkach przytłoczonych ciężarem przeszłości i na skrawkach ziemi z wypalonymi śladami historii. Nie wierzyłem w duchy – w każdym razie nie takie podzwaniające łańcuchami i hałasujące na strychu – ale wierzyłem w to, że w różnych miejscach mogą trwać pozostałości po zdarzeniach sprzed lat, nigdy niewysychające ślady. I to było jedno z takich miejsc.

Widziałem to i czułem przez skórę.

Wczepiłem palce w siatkę, znalazłem jakiś otwór, by wsunąć czubek buta, i zacząłem się wspinać. Dotarłem do szczytu siatki, przełożyłem nogę na drugą stronę i spojrzałem w dół, na wysoką trawę, która poruszała się i falowała na wietrze jak żywa. I nagle się zawahałem. Jakiś wewnętrzny głos odradzał mi przejście tam i coraz bardziej stanowczo domagał się, bym pozostał po bezpiecznej stronie płotu.

Zwalczyłem w sobie wątpliwości, przełożyłem drugą nogę i zsunąłem się po siatce. Postawiłem stopy na ziemi i poczułem, że zapadają się w grząskie torfowisko, a wysoka trawa oplątuje mi nogi.

Odwróciłem się i spojrzałem w lewo, w dół pochyłości, potem w prawo, pod górę, w stronę miejsca opisywanego przez Richarda: górskiego stawu i stojącej nad nim chaty – tam gdzie miałem nadzieję poznać prawdę. Poza wznoszącym się nade mną masywem Strathyde z nagimi turniami nie widziałem stąd żadnego szlaku, żadnych punktów orientacyjnych.

I znów opadły mnie wątpliwości.

A potem ruszyłem w głąb Otchłani.

73

Wszędzie dokoła, gdziekolwiek spojrziałem, Otchłań się ruszała, trawa falowała i kładła się na wietrze. Szedłem ledwo widoczną, wygniecioną w torfowisku ścieżką, która początkowo prowadziła w górę pochyłości, ale im wyżej wchodziłem, tym coraz bardziej się zacierała. Jak wszystko wokół, zdawała się poruszać i pulsować, i nawet gdy w chwilach między podmuchami trawa nieruchomiała, wszystko wciąż jakby żyło: płatki śniegu siekły moją twarz, ziemia chlupała i usuwała mi się spod stóp, trawa czepiała się nóg i rąk.

Było dobrze po południu i dzienne światło częściowo już przygasało, ale to nie zachmurzone niebo ani nie zbliżający się zachód słońca wypełniały Otchłań posępną szarością, tylko spływająca na nią mgła. Nie była zbyt gęsta – widziałem wszystko dokoła na odległość co najmniej sześćdziesięciu metrów – ale otulała krawędzie góry niczym utkany z babiego lata i zawieszony gdzieś wysoko pod szczytem całun. Pod nim rysowały się tylko niewyraźne kształty, które też jakby żyły; bezustannie wynurzały się i rozplływały, co sprawiło, że znów dopadły mnie wątpliwości.

Nie zwracaj na nic uwagi i przyjdź do przodu, nakazałem sobie w duchu.

Zerknąłem na zegarek – dochodziła czwarta. A potem, gdy spojrziałem ponownie, przekonany, że upłynęło dobre dwadzieścia minut, okazało się,

że minęło raptem pięć czy sześć. Grzęzawisko pod nogami było teraz znacznie bardziej suche i już nie wciągało tak nóg. Opowiadając o swojej wyprawie, Richard mówił Beth, że staw leży w niecce otoczonej graniami i szczytami.

Niczego podobnego nie było w zasięgu mojego wzroku.

Zaczynało mnie ogarniać coś w rodzaju lekkiej paniki. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani jak daleko uszedłem, i docierał do mnie bezsens wybrania się tu bez mapy i odpowiedniego ekwipunku. Pragnąłem za wszelką cenę odszukać chatę i poznać prawdę, teraz jednak schodziło to na dalszy plan: przeszywał mnie lodowaty wiatr i wszystko wokół wyglądało tak samo.

Coś się poruszyło.

Coś na samym krańcu mojego pola widzenia, tak daleko w lewo, że aby to dojrzeć, musiałem obrócić się o czterdzieści pięć stopni. Spojrzałem w dół pochyłości, na południe. Nie widać już było płotu ani bunkra, choć wiedziałem, że gdzieś tam są. Na połaci pomiędzy mną a tumanem mgły nic się nie zmieniło. Wszędzie rosły kępy wysokich traw, a widoczne tu i ówdzie pasma torfu sprawiały wrażenie, jakby ziemia została zbryzgana olejem.

Patrzyłem i czekałem.

Nic się nie działo.

Ruszyłem dalej, oglądając się przez ramię; serce znów zaczęło mi się tłuc w piersi, co nie miało żadnego związku z trudem wspinaczki. Oglądałem się raz po raz, penetrując wzrokiem zalegającą mgłę i patrząc, jak się snuje i zmienia kształt i zasięg, jak się rozchodzi i gęstnieje. Zacząłem iść szybciej, jakby mnie ktoś gonił, ale za mną nie było nic poza moją niepewnością i echem historii, które słyszałem o Otchłani.

A potem krajobraz się zmienił.

Stało się to nagle, całkiem niespodziewanie: dotychczasowa lekka pochyłość nabrała ostrości i przede mną wyrosła ogromna skalna ściana. Im bliżej podchodziłem, tym jaśniejsze się stawało, że jest ona fragmentem grani sterczącej ze Strathyde jak narośl i że wznosząca się przede mną skała z jej pęknięciami i występami ciągnie się dużo głębiej i niknie we mgle. Chwilę później już wiedziałem. Miałem przed sobą kotlinę.

Dojrzałem częściowo ukryty w cieniu naturalny przesmyk wyżłobiony w skalistym zboczu, niczym tunel bez dachu.

Za przesmykiem połyskiwała tafla wody.

Dotarłem do stawu.

Przyspieszyłem kroku. Z mojej perspektywy staw wyglądał jak duża płytką kałuża z idealnie gładką powierzchnią, którą naruszały tylko opadające na nią płatki śniegu, ale podejrzewałem, że staw musi być głęboki. Czuło się to po jego wyglądzie, po trudnej do zdefiniowania atmosferze, po lustrze wody, w którym odbijały się otaczające szczyty, różnych kształtów i wysokości, ale jednakowo potężne. Byłem w połowie przesmyku, gdy wokół mnie coś zaczęło się dziać.

Jakby znikąd dobiegł mnie dziwny dźwięk.

Tak mnie to zaskoczyło, że aż się potknąłem, a dźwięk był tak intensywny, że poczułem pod nogami lekkie drzenie podłoża. Ale wiedziałem, co słyszę.

To samo słyszały Penny i Beth. A także Richard.

Zew czegoś, co się tam kryło.

Wołanie dobiegło końca i tylko echo zdawało się dźwięczyć w gęstym od mgły powietrzu. Przypominało wycie zranionego zwierzęcia, przeciągłą nutę pełną bólu i żalości. Dziwnie i strasznie było tak stać, a im dłużej to trwało, tym bardziej czułem się bezbronny. Starłem się myśleć racjonalnie, zachowywać zimną krew i podchodzić do tego logicznie, ale znajdowałem

się w takiej głuszy, a wołanie brzmiało tak nierealnie i dziwacznie, że trudno było nie czuć zdenerwowania.

Rozejrzałem się, a potem szybkim krokiem pokonałem pochyłość i dotarłem do miejsca, z którego roztaczał się pełny widok na staw. Po drugiej stronie tafli wody dojrzałem ciemną budowlę.

Chata.

I nagle gdzieś za mną rozległo się następne wycie.

Spojrzałem do tyłu, na ścieżkę, którą tu dotarłem, i na wypłaszczenie, przez które przeszedłem. W falującej wysokiej trawie lśniły smugi torfu, śnieg nie przestawał prószyć. Płatki były małe, lekkie i delikatne, ale tańcząc w podmuchach wiatru, wyglądały jak żywe. A potem coś dostrzegłem.

A to co?

Co to, do cholery, jest?

We mgle widać było rozmytą sylwetkę, która przez chwilę stała nieruchomo, po czym zniknęła jak ktoś stojący w oknie pokoju, w którym gaśnie światło. Uniosłem rękę, by osłonić oczy przed śniegiem i dojrzeć to coś wyraźniej, może też coś usłyszeć, ale miałem przed sobą tylko tuman mgły, słyszałem jedynie bicie własnego serca i szelest oddechu w gardle i piersiach.

Nie odrywając wzroku od miejsca, gdzie pojawiła się ta zjawą, ruszyłem tyłem w górę pochyłości, w stronę stawu. Starłem się nadać temu obrazowi jakiś sens, odtworzyć z pamięci jego kontury, zrozumieć, z czym mam do czynienia. Potykałem się na śliskich od błota i śniegu piargach, ale nie przestawałem iść. Byłem spięty i wyczerpany, trudy tej wyprawy zaczynały dawać mi się we znaki. Nic się już nie ruszało, niczego nie było widać ani słychać.

Ale to mnie nie uspokoiło.

Odczekałem jeszcze chwilę, nie bardzo wiedząc, co w tym wszystkim jest prawdą, a co złudzeniem, w końcu jednak skupiłem się na tym, co mnie tu przywiodło. Na tym, co się tu naprawdę kiedyś wydarzyło.

Odwróciłem się i ruszyłem w stronę chaty.

A po paru krokach zacząłem biec.

74

Podbiegając do chaty, widziałem ją coraz wyraźniej, jak statek wyłaniający się z mgły. Nieduża i zwarta, stała około dwudziestu metrów od brzegu stawu. Była zbudowana z ciemnego drewna, które jednak z biegiem lat zbielało; miała blaszany dach, tak porośnięty mchem i pokryty ptasimi odchodami, że trudno było zgadnąć, jaki pierwotnie miał kolor.

Dotarłem do schodków prowadzących na ganek przed wejściem i usłyszałem, jak cała konstrukcja skrzypi na wietrze, jakby pojękiwała ze starości. Stanąłem i obejrzałem się na ścieżkę, którą przed chwilą przybiegłem.

Drewno schodków ugięło się pod moim ciężarem, a gdy stanąłem na ganku, cały zadrżał, jakby się nagle obudził ze snu. Silniejszy podmuch wiatru zmarszczył powierzchnię stawu i też wytrącił go z uśpienia, ale po chwili wszystko znów zamarło w bezruchu, okna przestały skrzypieć, jęczenie ścian domu ustało.

Tuż obok mnie znajdowało się okno, zasłonięte od środka firanką; dostrzegłem też meble, jakieś pudła i ściany. Na końcu ganku leżała sterta kłód drewna, którą wiatry i deszcze musiały już dawno rozrzucić, bo kłody zdążyły porosnąć gęstą trawą i jakby zostały przez nią uwięzione.

Podszedłem do drzwi i wyjąłem z kieszeni klucz od Presleya, okazał się jednak niepotrzebny. Skrzydło drzwi było mocno zastałe i trudne do

ruszenia, lecz niezamknięte na klucz, i z głośnym zgrzytaniem zawiasów dało się otworzyć.

Na chwilę zamarłem, serce mi przyspieszyło.

Dlaczego te drzwi nie były zamknięte?

W środku zobaczyłem troje drzwi, jedno po lewej stronie, drugie po prawej, trzecie na wprost. Nie mogłem dojrzeć, co się za nimi kryje, ale wydało mi się, że w pokoju na wprost widzę przysypany popiołem żeliwny piecyk i zarys stołu. Stamtąd dochodził jakiś dźwięk.

Nie potrafiłem rozpoznać źródła dźwięku i nie wiedziałem, co mnie tam czeka, więc ze sterty drewna wyciągnąłem najdłuższy i najsolidniejszy kawałek, ująłem w obie ręce jak kij baseballowy i wszedłem do środka. W głowie kotłowało mi się to wszystko, co widziałem i o czym słyszałem: ludzkie kości i zjawy w górach, dziwne odgłosy.

Człowieku, weź się w garść!

Deski pod nogami skrzypiały. Ściany pokrywało ciemne drewno, sufit był ułożony z zachodzących na siebie desek, jak w drewnianym pomoście. Zatrzymałem się przy drzwiach po lewej stronie i zajrzałem do środka. Nie licząc paru krzeseł, pomieszczenie było puste. W pokoju na prawo zobaczyłem półki, a na nich puszki z konserwami, olejem, klejem i trutką na szczury, wszystkie z datami ważności sprzed dziesiątków lat. Stały tam też słoiki gwoździ i śrubek oraz puste butelki, wszystko zasnutę pajęczyną i cuchnące. Powietrze przesycił zapach starości i rdzy, który na dobre już wsiąknął w ściany.

Ruszyłem do pomieszczenia na wprost wejścia i znów usłyszałem ten sam dźwięk, jeszcze wyraźniejszy niż przedtem. Brzmiało to tak, jakby ktoś stukał kawałkiem drewna o drewno. Obejrzałem się w stronę drzwi do chaty, przez które wpadały kłęby śniegu, i stanąłem w progu trzeciego pomieszczenia. W środku stały archaiczny żelazny piecyk i stół, które

dostrzegłem wcześniej, ale było też trochę innych sprzętów: stara czerwona kanapa, tak wytarta i spłowiała, że przybrała barwę jasnoróżową, oraz kilka krzeseł – jedno stojące, jedno wywrócone, jedno całkiem połamane. Tu również były półki z mnóstwem puszek, w większości zawierających przeterminowane konserwy. Stało też radio na baterie, z ułamaną anteną, i kilka puszek zupy.

Ale nie to przykuło moją uwagę.

W oczy rzuciły mi się płatki róż.

Leżały rozsypane po podłodze; układały się we wzór ścieżki prowadzącej przez całe pomieszczenie do tylnego wejścia. Drzwi na tylną werandę były otwarte i wiatr poruszał nimi, stukając o framugę. Cały czas trzymałem w palcach klucz, który dostałem od Presleya, ale nie był mi już do niczego potrzebny, więc schowałem go do kieszeni. Pchnięte wiatrem drzwi znów się otworzyły, a ja poczułem owiewający mnie podmuch, który wpadł do chaty i poruszył płatki na podłodze.

Ruszyłem ku wyjściu, powracając myślami do kąpieliska i Billa Presleya. Pamiętałem plamy na jego spodniach, ślady błota i trawy i brud pod paznokciami, jakby grzebał w ziemi. Ale najbardziej zapamiętałem płatki róż na jego skórze.

Musiał tu być, zanim przyszedł do kąpieliska.

Zauważyłem też coś jeszcze.

Z bliska coraz dokładniej widać było tylne drzwi i małe otworki w ścianie, które rozchodziły się niczym wachlarz. Przeniosłem wzrok na widoczne na zewnątrz poletko porośnięte wysoką trawą, które ciągnęło się na jakieś dziesięć metrów. Szyba w drzwiach była pęknięta promieniście i gdy wiatr nimi poruszał, odbijał się w niej zniekształcony widok wnętrza. Zdałem sobie sprawę, że dotąd nie zwróciłem uwagi na otworki, którymi usiane były także ściany za moimi plecami.

To wszystko były ślady po kulach.

Naliczyłem ich w sumie dziesięć, ale mogło być ich więcej. Dzień szybko ustępował miejsca wieczorowi i w chacie robiło się coraz mroczniej. Gdy wiatr po raz kolejny otworzył drzwi, przytrzymałem je i poczułem, jak do środka wdziera się podmuch zimnego powietrza. Wszedłem na tylną werandę i ze zdumieniem zauważyłem, że na jej końcu są jeszcze jedne drzwi, ale moją uwagę przyciągnął widok poletka za chatą. W trawie ruszało się coś białego i szybko zdałem sobie sprawę, że to kolejne płatki. Wiatr zrywał je z łądyg kwiatów, które leżały u stóp schodków werandy.

Pomyślałem o plamach błota na spodniach Presleya i ponownie spojrzałem na wznoszące się poletko za chatą. W trawie, poza białymi płatkami, było coś jeszcze. Coś kolorowego – i nie były to kwiaty.

Drzwi za mną zatrasnęły się z hukiem.

Gwałtownie się odwróciłem i wbiłem wzrok w pękniętą szybę, próbując coś przez nią dojrzeć.

W środku coś się poruszyło.

Uchwyciłem mocniej drewnianą pałkę i zacząłem wolno uchylać drzwi.

W pokoju nie było nikogo.

Odetchnąłem z ulgą, ale w głowie pojawiły mi się obrazy tego, co widziałem – co mi się zdawało, że widzę – na zbocz. Wszedłem do środka, minąłem wysłużone sprzęty i żeliwny piecyk i ruszyłem korytarzem ku frontowemu wejściu.

W tej części chaty, bez okien, było jeszcze ciemniej, zresztą dzieńne światło i tak szybko gasło. Spojrzałem na zegarek: dochodziła piąta.

Zostało jeszcze około półtorej godziny do zapadnięcia zmroku.

I wtedy dostrzegłem na schodkach ganku coś, czego wcześniej nie zauważyłem. Podeszedłem bliżej. Coś małego, pustego w środku,

w kształcie litery C. Replika rogu, dętego instrumentu używanego przez dawnych myśliwych.

Ależ tak, to było to!

Dźwięk, który słyszałem wcześniej w Otchłani, pochodził z tego rogu.

– David.

Serce podeszło mi do gardła.

Głos wypowiedający moje imię zabrzmiał tak blisko, jakby się odezwał w mojej głowie. Chciałem odwrócić się twarzą w jego stronę, ale jakaś ręka zacisnęła się od tyłu na mojej szyi, coś podcięło mi nogi i pchnęło na najbliższą ścianę.

Roland Dell nie poleciał do Londynu.

Był tutaj.

75

Przycisnął moją twarz do ściany, przytrzymał, po czym puścił mnie i cofnął się. Odwróciłem się, przyszykowany na walkę, ale on wcale mnie nie zaatakował, tylko zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, stanął między mną a wejściem do tylnego pokoju i wymierzył we mnie broń.

Kuszę.

Trzymał ją dociśniętą do ramienia i patrzył na mnie przez celownik na prowadnicy bełtu. Kusza była czarna, poręczna, długa na jakieś pół metra, gotowa do użycia. Pod prowadnicą tkwiła wiązka dodatkowych bełtów w jaskrawożółte prążki.

Tym razem Dell nie miał na sobie garnituru. Był ubrany w czarne spodnie, szarą polarową bluzę i czarną kamizelkę, na głowie miał wełnianą czapkę, na nogach czarne buty z ośnieżonymi cholewami.

To jego sylwetka mignęła mi w domu.

I to on mnie stąd wywabił.

– Jak chcesz mieć pewność, że robota zostanie dobrze wykonana, to najlepiej wykonaj ją sam – powiedział, przysuwając się bliżej. Obserwował mnie czujnym wzrokiem, jakby w obawie, że się na niego rzucę, ale poza tym wyglądał na równie wyczerpanego jak ja. Na kogoś, kto cały ubiegły tydzień żył w napięciu, pełen niepokoju, jak daleko się posunę; na kogoś, kto przeleciał pół świata, by mnie powstrzymać. – Nie mogłem wylecieć

z Kapsztadu, nie mając pewności, że się tobą zajęli. Kiedy się okazało, że Alexander dał plamę, wysłałem Kilburna, żeby się dowiedział, co wiesz, i dokończył dzieła. Ale on też zawalił sprawę, choć myślę, że uniknąłeś śmierci nie tyle dzięki swojemu sprytowi, ile przez alkoholizm Billa. – Westchnął i pokręcił głową. – Już od dawna przestałem liczyć na Billa, a sądząc po tym, co się tu wydarzyło, miałem rację, nie uważasz?

Chodziło mu o te płatki róż?

Zachowałem obojętną minę, jakbym wiedział, o czym mówi.

– Co jest z tobą? – burknął, kierując koniec kuszy w stronę frontowych drzwi i wskazując nim staw, zbocze i górę. – Tyle wysiłku, tyle przebytych kilometrów i właściwie po co? Tylko po to, żeby zapełnić parę białych plam w pamięci faceta, dla którego byłoby zdrowiej, gdyby nie pamiętał?

– Myślisz, że byłoby zdrowiej?

Dell wzruszył ramionami i gdy to zrobił kusza drgnęła w górę i w dół.

– W każdym razie nie będzie dzięki temu szczęśliwszy.

Tym razem nie pogrywał ze mną. Patrząc na jego twarz, przypomniałem sobie coś, co Presley powiedział o swoim synu. „Czytałem w sieci, że z dzieciństwa pamięta widok plaży z okna. I myślą, że to może być jego rodzinny dom. Nie jest. Jako dziecko nie mieszkał przy plaży. Powiedz mu, że go przepraszam, dobrze? I powiedz, żeby o tym zapomniał”.

– Żałuję, że nie udało mi się go zabić.

Spojrzałem na niego.

– Szkoda, że nie udało mi się go załatwić, tak jak Penny. Ale z Richardem było trudniej. Miał po swojej stronie policję, miał organizację dobroczynną, która się nim interesowała. Jego historia zaciekała miejscowych ludzi i media, wszyscy próbowali dociec, skąd się tam wziął. Gdyby nagle zniknął albo, co gorsza, został znaleziony martwy, zrobiłby się straszny szum. Nie mogłem tak ryzykować.

– Bo wszystko kręci się wokół ciebie.

Uśmiechnął się.

– Wiesz, co to jest za miejsce?

Nie odpowiedziałem.

– Jest jak karciana sztuczka. Najlepsza karciana sztuczka, jaką w życiu widziałeś. Tak dobra, że sam diabeł mógłby ją wymyślić.

Zmarszczyłem brwi, nie bardzo rozumiejąc, o czym on mówi.

Wybuchnął śmiechem, częściowo chowając twarz za kuszą.

– Spójrzcie na niego. Masz minę jak wojak, którego dręczą zwidy z pola walki. Pomieszało się w główce? Wystraszyłeś się? Sfajdałeś się ze strachu?

Zrobił krok ku mnie, jego ruchy stawały się bardziej agresywne.

– No to może już? Co? Strzelę ci w oko i pogrzebię twojego trupa razem z innymi.

Próbowałem opanować strach i skupić się na myśli, że Dell podejrzewa, że znalazłem coś za domem, coś więcej niż tylko płatki róż na trawie. Pogrzebie mnie z innymi. To musiało znaczyć, że poletko za chatą jest miejscem pochówku Caleba Becka i Seliny Torres.

A może nawet czymś więcej?

Pomyślałem o słowach Kilburna – „Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to było straszne” – i o dziurach od pocisków w ścianach i powrócił do mnie obraz, jaki widziałem kilka minut wcześniej z werandy za domem: leżące w trawie na zboczu coś jeszcze, poza płatkami i kwiatami, coś kolorowego. Wtedy nie wiedziałem, na co patrzę.

Ale właśnie to sobie uświadomiłem.

To były krzyże ukryte w trawie. Widziałem je teraz tak wyraźnie, jakbym odtwarzał nagranie z pamięci: każdy zbity z dwóch listewek sklejki. W podmuchach wiatru lekko się kołysały, więc trudniej było je rozpoznać,

ale już nie miałem wątpliwości: tam są groby. Presley miał ziemię na spodniach, bo celowo je pobrudził, żebym wpadł na ten trop.

Co gorsza, krzyży było więcej niż dwa.

Spojrzałem na Della.

– Ile ich tam jest?

– Czego ile jest?

– Ile ofiar zakopałeś za domem?

Podszedł do mnie i dziabnął mnie kuszą, bym nie zapomniał, kto tu rządzi. Zachwiałem się do tyłu i walnąłem w ścianę z takim impetem, że posypał się na mnie pył. Poczułem go na twarzy i na ramionach, ale się nie ruszyłem. Koniec kuszy tkwił pół metra od czubka mojego nosa.

– Oni już się nie liczą – powiedział.

– Nie dla swoich rodzin.

Przez chwilę mi się przyglądał.

– Byłem bardzo zaprzyjaźniony z Billem i z Jackiem, i z Anthonym, ale nie zamierzałem się użerać z ich dziwkami.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem, o czym mówi, ale szybko to do mnie dotarło.

– Torres nie była jedyną kobietą, którą tu sprowadziłeś.

Milczał.

– Ile ich było?

– Nie pamiętam.

– Kłamiesz. Ile?

– Tyle, żeby starczyło dla wszystkich.

– Co wyście tu, do cholery, nawyczyniali?

– Już ci mówiłem. To miejsce jest jak karciana sztuczka.

Karcianą sztuczką była Otchłań.

To jego widziałem jako zjawę we mgle. Bawił się mną i nic więcej. Posępny głos rogu i sylwetka we mgle wystarczyły, by wytrącić mnie z równowagi i dać mi do myślenia, więc trójce wystraszonych smarkaczy tym bardziej to wystarczyło. Wystarczyło też, by zasiać ziarno wątpliwości w miasteczku, dać początek legendzie, która jeszcze się umocniła, kiedy stanął płot i rozeszły się pogłoski, że tak naprawdę może nie chodzić o miny z czasów wojny. Noce spędzone tam przez trójkę dzieci, za karę przywiązanych do płotu, i ich opowieści o tym, co je spotkało, dodatkowo rozbudziły wyobraźnię mieszkańców. A to, że pies znalazł kość piszczelową Seliny Torres, wprawdzie nie było częścią planu, ale jak na ironię dodatkowo pomogło w ugruntowaniu kłamstwa. Kłamstwa kontrolowanego przez najważniejszych ludzi w miasteczku. Przez nich stworzonego i świadomie podtrzymywanego, tak by nie dopuścić do wygaśnięcia plotek.

– Tak to już jest z plotkami – powiedział Dell, jakby słyszał moje myśli. – Każda, nawet najbardziej fantastyczna, musi zawierać ziarno prawdy. Większość ludzi wierzy tylko w to, co może zobaczyć na własne oczy. – Zrobił krok do tyłu, na jego ustach znów błąkał się uśmiezek. Ale nie był to przejaw rozbawienia. To był uśmiech triumfu. – Przyszedłeś tu jako niedowiarek, przyznaj się. Odrzucałeś myśl, że coś tu może być. Ale tam, na górze, twój sceptycyzm został mocno naruszony. I to wystarczy. W takiej dziurze jak ta, pełnej zamkniętych w sobie i niezbyt rozgarniętych ludzi, wystarczy jeden błysk. Jednak wobec tych wścibskich smarkaczy, Richarda, Penny i Beth, którzy zaczęli węszyć, musieliśmy posunąć się o krok dalej. Złamali zasady. Na swój sposób podziwiałem ich odwagę, ale nie mogłem puścić tego płazem. Jack podejrzewał, że jego smarkule od pewnego czasu wymykają się tu po zmroku, więc któregoś wieczoru on i Bill poszli za nimi aż do Otchłani. To ich widziały wtedy za płotem. Jack

był tym „potworem”, przed którym rzuciły się do ucieczki. To Jessopa słyszały w Otchłani tej nocy, gdy stały pod płotem. Przywiązaliśmy je, żeby nie zobaczyły za dużo. Wystarczyło, aby się porządnie wystraszyły, a potem ich historię w razie potrzeby odpowiednio rozdmuchiwaliśmy w mieście. I wiesz, ilu smarkaczom przyszło jeszcze do głowy, żeby pójść w ślady Richarda i przejść przez płot?

– Ani jednemu.

– Ani jednemu. – Pokiwał głową.

– I zmyśliliście tę historię po to, by ukryć przed ludźmi to, co się tu stało?

– Zrobiliśmy, co było konieczne.

– Do ukrycia prawdy o zabiciu tych ludzi?

– Zrobiliśmy, co było konieczne – powtórzył.

– Beck przybiegł tutaj, wściekły, że jacyś obcy rządzą się na jego własności, i sprawa wymknęła się spod kontroli. Coś padło wam na mózg i zaczęli...

– Ciii. – Uniósł rękę do ust, druga zacisnęła się na kuszy.

Wiatr szumiał i omiatał puste kąty, tylne drzwi miarowo stukały we framugę, ale poza tym panowała głucha cisza. Nadstawiłem ucha, spojrzałem w stronę wejścia, potem na tylne drzwi, a w końcu na Della, zastanawiając się, czy to jakaś kolejna jego sztuczka, którą chce mnie zaskoczyć. Ale w jego twarzy nie dojrzałem śladu rozbawienia.

Wydawał się zdenerwowany.

Chwilę potem zrozumiałem dlaczego. Spoza szumu wiatru i stukania drzwi dobiegł mnie jakiś nowy dźwięk. Dell doskonale znał naturalne odgłosy chaty i dlatego od razu wyłowił go z ich tła.

Teraz ja też to usłyszałem.

Ktoś cicho wołał mnie po imieniu.

76

Wołanie rozlegało się z tyłu chaty.

Dell okrążył mnie, znalazł się między mną a drzwiami frontowymi i machnął kuszą na znak, że mam iść przed siebie. Bez słowa wykonałem polecenie. Widziałem, że czuje się zagrożony i że jego palec nerwowo porusza się na spuście. Wystarczyło, by na moment stracił panowanie i nieco mocniej go przycisnął.

– Co się dzieje? – szepnął, sunąc za mną.

Pokręciłem głową.

– Pogrywasz ze mną, Raker?

Znów pokręciłem głową.

Nie wiedziałem, czy mi wierzy, ale skorzystałem z okazji i przechodząc z jednej części chaty do drugiej, szybko się rozejrzałem, wodząc wzrokiem po dziurach od pocisków i płatkach rozsypanych na podłodze.

Nic się nie zmieniło.

Tylne drzwi nadal stukały we framugę.

Dell dziabnął mnie w plecy kuszą i twarda plastikowa prowadnica boleśnie ukłuła mnie w kręgosłup. Idąc do drzwi, raz jeszcze ogarnąłem wzrokiem całe pomieszczenie. Spojrzałem na kanapę, na krzesła i piecyk, wyobrażając sobie, jak tu musiało wyglądać w 1987 roku. Co się działo tej nocy, gdy byli tu Dell, Kilburn, Presley i Jessop? Pomyślałem

o sprowadzanych przez Della kobietach, którym płacił za ich usługi i które – tak jak Selina Torres – zachowywały dyskrecję. Nie wiedziałem, jak wyglądały i jak się nazywały, ale z pewnością żadna z nich nie była stewardesą. Nie były też urzędniczkami i nie latały służbowo do egzotycznych miejsc na konferencje, choć taką właśnie wersję podawały swoim rodzinom w Buenos Aires. I trzydzieści lat później ich rodziny nadal w to wierzyły. A jedyne, co było pewne, to to, że ich córki, siostry, żony i dziewczyny wyjechały z domów w 1987 roku i nigdy już nie wróciły.

Tak wiele zaginionych bez wieści kobiet.

– Stój – syknął mi do ucha Dell i pchnął mnie na bok.

Potknąłem się o jedno z krzesel, a gdy odzyskałem równowagę i spojrzałem na niego, okazało się, że uchyla drzwi frontowe, nie przestając mierzyć do mnie z kuszy.

Patrzyłem, jak omiata wzrokiem werandę.

Panowała tak absolutna cisza, że wyraźnie zaczął mieć takie same wątpliwości jak ja: Czy na pewno coś słyszeliśmy? Czy na pewno ktoś wołał moje imię? Dał mi znak ruchem ręki, żebym do niego podszedł. Nie ufał mi i chciał mieć mnie na oku. Gdy to zrobiłem, odsunął się od drzwi i wypchnął mnie na werandę.

Było zimno i zapadał już zmrok.

Poczułem wiatr. Szumiał w wysokiej trawie, przeczesując ją i rozgarniając, co pozwoliło mi lepiej przyjrzeć się poletku.

I krzyżom.

Targane wiatrem, to znikwały w trawie, to znów się pojawiały, niczym duchy przenikające przez ściany. Dojrzałem dwa. Trzy. Cztery.

Pięć.

Sześć.

Stałem jak skamieniały.

– Zabiliście sześć osób?!

– Zamknij mordę – warknął i pchnął mnie lewą ręką tak, że przesunąłem się na krawędź schodków werandy, twarzą do poletka z krzyżami.

To nie było zwykłe morderstwo.

To była masakra.

– Zabiliście sześć osób – wymamrotałem, czując na języku ciężar tych słów, tak potworny, że wręcz nierealny.

– Powiedziałem: zamknij się.

Wyglądał na podenerwowanego; błękit jego oczu jakby zbladł i rozpląnął się w mroku, palce ściskające kuszę zsiniały z zimna i wysiłku.

Podążyłem za jego wzrokiem w stronę stoku.

Z tego miejsca zacząłem dostrzegać nierównomierną wysokość trawy. Miejscami rosła wyżej, jakby tam ją podlewano. Ale to nie woda była źródłem bujniejszego wzrostu, tylko to, co znajdowało się pod spodem i co już dawno się rozłożyło, użyźniając glebę. I właśnie tam sterczały krzyże postawione przez Presleya.

Wiatr znowu zawiał, posypując nas płatkami śniegu. Trawy się położyły pod naporem wiatru i wtedy wyżej na zboczu jakby coś się poruszyło.

Dell też to zauważył.

Jeszcze mocniej chwycił kuszę, docisnął jej korpus do ramienia i przesunął się na samą krawędź werandy. Patrzyłem, jak spanikowanym wzrokiem przeczesuje zbocze.

– Widzę cię tam, na górze! – krzyknął, ale to jego oczywiste kłamstwo rozwiął wiatr.

Spojrzał na mnie i znów na zbocze.

– To twoja sprawka, Raker? Tak?

W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiało zdenerwowanie.

– Pytam, czy to twoja sprawka! – wrzasnął i skierował wylot kuszy w moją stronę. Broń drżała mu w rękach, cały aż się trząsał ze złości i strachu. – Co tam, do cholery, jest?! Co?!

Uniosłem ręce.

– Nie wiem.

– Kłamiesz!

Zrobiłem krok do tyłu.

– Nie kłamię.

– Kłamiesz!!!

– Nie wiem, co tam jest. Przysięgam, że nie wiem. – Ponownie spojrzałem na przyprószoną śniegiem trawę, krzyże z kawałków sklejki i unoszone przez wiatr białe płatki.

– Wychodź stamtąd! – wrzasnął Dell w kierunku zbocza.

Wiatr przycichł.

– Wychodź! – krzyknął znowu, a potem jeszcze raz, z taką siłą, że aż załamał mu się głos. Zrobił krok w moją stronę i wymierzył we mnie kuszę. – Bo go zabiję!

Następny krok.

– Przestrzelę mu łeb!

Był metr ode mnie, może nawet mniej. Stałem z rękami podniesionymi na znak, że z mojej strony nic mu nie grozi, że zagrożenie nadchodzi ze strony kogoś, kto kryje się w zaroślach na zboczu. Chyba go to przekonało, bo obrócił koniec kuszy w stronę zbocza i zaczął znów się wydzierać w coraz ciemniejszą pustkę.

– Zaraz tam pójde i cię zabiję!

Podszedł do krawędzi werandy.

– Zastrzelę cię, kurwa twoja mać!

Penetrował zbocze, z okiem przytkniętym do wąskiej prowadnicy, przekładając kuszę z ręki do ręki. A potem postawił stopę na pierwszym schodku – a ten z trzaskiem się pod nim załamał.

Drewno było tak spróchniałe i napęczniałe od wody, że rozsypało się na kawałki, a on gwałtownie się zachwiał, próbując utrzymać równowagę i nie wypuścić kuszy z rąk.

Dojrzałem swoją szansę i rzuciłem się na niego.

Nie miał czasu na reakcję. Zwalilem się na niego z całym impetem, jaki mogłem z siebie wykrzesać. Pod moim ciężarem jego noga wyrwała się z dziury w schodku i obaj runęliśmy na poręcz.

Brzęknął wystrzelony bełt.

Stoczyliśmy się w wysoką trawę, ja na wierzchu, on pode mną. Z całej siły wcisnąłem kolana w jego klatkę piersiową i poczułem, że chrupnęły mu kości, mięśnie się skręciły. Wrzasnął z bólu, ale ten krzyk został zduszony w jego gwałtownym wydechu i na moją skórę padły kropelki śliny. Zerwałem się na nogi i rozejrzałem za kuszą. Leżała metr dalej.

Podniosłem ją, wyjąłem bełt z pojemnika pod prowadnicą i załadowałem. Potrwało to dłużej, niżbym sobie życzył, ale moje obawy, że Dell może mnie zaatakować, okazały się płonne. Leżał rozciągnięty na plecach, przyciskał rękę do żeber i jęczał z bólu.

Próbował coś powiedzieć, ale wydobył z siebie tylko charkot, dźwięk jak z zepsutego silnika. Miał połamane żebra. Spojrzał na mnie i zamrugał. Wiedział, że jest skończony.

Przeniosłem wzrok na zbocze.

Z miejsca, w którym stałem, nie było nic widać. W mroku zapadającego wieczoru widziałem tylko wirujące płatki śniegu i zbocze porośnięte trawą. Z wieczornej mgiełki wyłaniał się masyw Strathyde ze szczytem sterczącym kilkaset metrów wyżej.

– Halo?! – zawołałem.

Moje wołanie zagłuszał szum wiatru w trawie, towarzyszący mi od chwili, gdy wszedłem do chaty. Raz jeszcze spojrzałem na Della, który wciąż leżał, trzymając się za żebra, po czym znów skierowałem wzrok na zbocze.

Kilka metrów wyżej stała jakaś postać.

Była otulona czarnym płaszczem, spod kaptura wymykały się kosmyki brązowych włosów i fragment białej skóry twarzy. Postać zaczęła schodzić ze zbocza i po jej ruchach zorientowałem się, że to kobieta. Miała na sobie szare ocieplane spodnie i wykończone futrem kozaki, mokre i znoszone.

Kroczyła wśród grobów z opuszczoną głową, pilnując, by nie stawiać nóg w miejscach ostatniego spoczynku sześciu ofiar: pięciu kobiet i jednego mężczyzny, którym nigdy nie było dane wrócić do domów.

W końcu się zatrzymała.

– Wiem, że mój mąż nie żyje – powiedziała cicho, zsuwając z głowy kaptur. – Ale chcę się dowiedzieć prawdy o Richardzie. Całej prawdy.

Mówiła płynnie i bez wysiłku, bez mamrotania i zacinań się, a w jej ruchach nie było śladu niesprawności. Nie była sparaliżowana po udarze.

Tylko udawała, że jest.

Carla Presley podeszła bliżej i stanęła parę metrów ode mnie na falującej trawie zbocza. Spojrzałem na jej owalną twarz, na lekko, prawie niezauważalnie, wykrzywione usta świadczące o tym, że udar nie był zmyślony.

Ale do fotela jej nie przykuł.

– To się stało dwa lata temu, jeszcze przed wyjazdem Richarda – wyjaśniła, jakby czytała mi w myślach. – Przez cały rok, zanim zniknął, nie mogłam się z nim porozumieć. Mogłam jedynie na niego patrzeć. Mieszkał na przedmieściu i tylko nas odwiedzał. Sprawdzał, jak się czuję, i siedział przy mnie, kiedy Bill był w pracy lub upijał się w pubie. Próbował ze mną rozmawiać albo coś mi czytał. – Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu. – Jestem jego mamą i wiem, że nie umiem patrzeć obiektywnie, ale byłam z niego bardzo dumna. Oczywiście wciąż jestem. Był dla mnie taki dobry.

W jej słowach zabrzmiało echo słów Billa Presleya.

„Miał piękną duszę”.

– Nie wiedziałam, dokąd Richard pojechał...

Pamiętałem jej reakcję w domu, gdy powiedziałem, że jej syn żyje i mieszka w Anglii. I szok, gdy usłyszała, że stracił pamięć. Dlatego pomyślałem, że mogę jej zaufać. Tej reakcji nie mogła udawać, nawet gdyby udawała wszystko inne.

– Nie miałam pojęcia – dodała ciszej. – I nie miałam też pojęcia, że Bill mnie okłamuje. Nie przyszło mi do głowy, że może znać prawdę, wiedzieć, dokąd i dlaczego Rich wyjechał. Kochał tego chłopca równie mocno jak ja. Bill bywał trudny, samolubny. Był alkoholikiem. Potrafił wściekać się o byle co i całymi dniami się boczyć. Kiedyś mnie uderzył i potem przez parę tygodni mnie przeproszał, klękał i błagał o przebaczenie. A gdy mu nie przebaczyłam, znów się wściekł i wypadł z domu. Taki już był. Był człowiekiem, którego nie dało się kochać. Ale w jednym nigdy mnie nie zawiódł. W swoim stosunku do Richa. I dlatego ani przez chwilę nie myślałam, że może coś o nim wiedzieć.

Przerwała i głośno przełknęła ślinę, a ja znów dostrzegłem u niej ślady przebytego udaru.

– Przepraszam – szepnęła. – Prawie całkiem odzyskałam mowę, ale czasem brak mi słów i męczę się, żeby powiedzieć to, co chcę.

– Nie wolałaby pani wejść do środka? – spytałem.

Kiwnęła głową.

Przysunąłem jej jedno z krzeseł w chacie i zawróciłem, by zająć się Dellem. Spojrzał na mnie zażawionymi oczami, nie odrywając ręki od połamanych żeber. Pociągnąłem go, charczącego z bólu, do schodków werandy. Wygnieciona trawa, po której go wlokłem, szybko się prostowała.

Zostawiłem go u stóp schodków.

Byłem pewny, że nigdzie się stąd nie ruszy.

Wszedłem do tylnego pokoju, skąd mogłem mieć Della na oku. Gdyby tylko drgnął, od razu bym to zauważył i w ciągu sekundy się przy nim znalazł. Usiadłem naprzeciwko Carli, ledwo ją widząc w gęstniejącym mroku.

– Czemu pani udawała, że jest pani wciąż sparalizowana? – spytałem.

Jej usta wykrzywił grymas.

– W tym czasie, kiedy Richard zniknął, czułam, że następuje poprawa. Pod względem fizycznym, bo psychicznie byłam wrakiem. Tak strasznie się bałam, że Richardowi coś się stanie. Kiedy nie natrafiono tu na żaden ślad po nim i Beth, nie przyszło mi nawet do głowy, że mogli sami chcieć wyjechać. Brzmiało to dla mnie bezsensownie. Ale nie mogłam się jeszcze swobodnie poruszać i miałam trudności z mówieniem, więc mogłam tylko siedzieć i patrzeć. Widziałam, jak Bill co wieczór wraca do domu, i słyszałam, jak w gabinecie szeptem rozmawia przez telefon. Zdałam sobie sprawę, że choć czuję się coraz lepiej, Bill nawet tego nie zauważa. Tak bardzo był czymś zaabsorbowany. Dla niego byłam wciąż w takim stanie jak dzień po udarze. Mówił coś o mnie, nie do mnie. Nosił mnie po domu, przeświadczony, że nie mogę chodzić ani nie mogę nic wokół siebie zrobić. Ale najdziwniejsze było to, że ani słowem nie wspominał o Richu. Nasz syn zniknął, a jedyne, co Bill miał do powiedzenia, to że „nic o nim nie wiadomo”.

– Nie wydawał się zmartwiony?

– Nie dość zmartwiony. Nie zachowywał się tak, jak powinien. Gdyby rzeczywiście brak było jakichkolwiek wieści, gdyby naprawdę nic nie wiedział o Richu, powinien być przybity. A on był taki opanowany. „Nic o nim nie wiadomo, ale go znajdziemy”, powtarzał w kółko. Dlatego zaczęłam coś podejrzewać.

Chata znów zaskrzypiała pod naporem wiatru.

– Dlatego nie przyznawałam się, że jest ze mną lepiej – powiedziała, wpatrując się w swoje dłonie. – Nie chciałam mieć pielęgniarza, być pod stałą kuratelą, więc okazywałam poprawę na tyle, żeby się nie bał zostawiać mnie samej w ciągu dnia. Siedziałam sobie i patrzyłam. Obserwowałam i słuchałam. Pozwoliłam zainstalować przyciski alarmowe i poręcze w łazience oraz windę na schodach. Godziłam się na wszystko, bo dzięki

temu całymi dniami go nie było, a gdy wracał wieczorem, zamykał się w swoim gabinecie i gadał przez telefon. Wiedziałam, że nawet nie przyjdzie mu do głowy, że mogłabym go podsłuchiwać. Był przekonany, że bez pomocy nie jestem w stanie ruszyć się z miejsca.

– I czego się pani dowiedziała?

Popatrzyła na mnie z błyskiem żalu w oczach, że kłamała, oszukiwała i zwodziła męża i już nigdy nie będzie miała okazji go za to przeprosić. Ale jej wzrok zaraz stwardniał, jakby sobie uświadomiła, że on potraktował ją tak samo źle, a właściwie dużo gorzej.

– Przeszukałam jego gabinet i znalazłam wycinki z gazet. Schował je głęboko w szufladzie, a ja nie mogłam zrozumieć dlaczego. Próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale nasze łącze internetowe przestało działać, a nie mogłam wstać i pójść do biblioteki... to znaczy mogłam. Wtedy już bez trudu mogłabym to zrobić, ale nie chciałam się zdradzić.

Otarła kąciki ust. Nie były zaślinione, jak wtedy u niej w domu, jednak pewnie nabrała takiego nawyku i robiła to odruchowo.

– Ale wie pan co? Okazało się, że nasz internet wcale się nie popsuł, tylko został odłączony. W papierach męża znalazłam korespondencję, z której wynikało, że w styczniu zerwał umowę z operatorem.

Znowu zamilkła i wbiła we mnie wzrok, a ja wszystko w nim wyczytałem: po mojej wizycie u niej domu zrozumiała, dlaczego jej mąż zrezygnował z internetu. Dlatego, że w styczniu morze wyrzuciło Richarda na brzeg Southampton Water i jego sprawa nabrała rozgłosu w tamtejszych gazetach. I choć było mało prawdopodobne, by Carla mogła wpaść na to, że syn wyjechał do Anglii, i zacząć szukać w tamtejszych lokalnych gazetach jakichś informacji o nim, dostęp do internetu stwarzał takie ryzyko. Pozbycie się internetu z domu zmniejszało to ryzyko do zera.

– Nikt w Sophii nie słyszał nic o Richardzie?

– Nie. Wiadomość o nim nigdy tu nie dotarła.

Przerwała, bo emocje sprawiły, że znów głos jej się załamał. Nie wiedziałem, czy ich źródłem była rozmowa o Richardzie, świadomość, że stracił pamięć, czy kłamstwa, którymi karmiła męża.

Popatrzyłem na Della. Leżał nieruchomo, obserwując nas i słuchając naszej rozmowy.

– Wspomniała pani o podsłuchiwaniu rozmów Billa w gabinecie.

– Tak.

– I co pani usłyszała?

– Przez długi czas były to tylko urywki rozmów. Rozmowy z Jackiem Kilburnem, z których niewiele rozumiałam, ale ani przez chwilę nie sądziłam, że mogą dotyczyć Richa. Podejrzewałam raczej, że Bill wdał się w romans albo wpadł w kłopoty finansowe. Myślałam nawet, że wykryto u niego śmiertelną chorobę, a on boi się mi o tym powiedzieć. Słuchałam jego rozmów i szperałam w jego gabinecie, gdy wychodził do pracy lub wieczorem do pubu. Próbowalam przejrzeć zawartość jego laptopa, był jednak zabezpieczony hasłem. Zaglądałam do szafek, ale znalazłam w nich tylko stare szpargały.

Spojrzała na Della, który leżał z ręką opartą na schodku, cicho pojękując, i skrzywiła się z odrazą.

– Widziałam, jak dziś po południu zbliżał się pan do mojego domu, i pomyślałam, że pewnie znów chce mnie pan o coś wypytywać. Ale pan poszedł dalej, jakby wybierał się w góry. A potem, po dziesięciu, może piętnastu minutach, zobaczyłam jego – wskazała ręką Della – jak idzie tą samą drogą. Tylko że niósł na ramieniu kuszę i pomyślałam, że coś tu jest nie w porządku.

Prześliznęła się wzrokiem po zboczu za domem.

– Te wzgórza... – mówiła dalej. – Tak dużo o nich słyszeliśmy. Wszyscy tak się bali tego, co kryje się za płotem. I wszyscy wiedzieli, że tam nie wolno chodzić, również dorośli, tacy jak ja. I jeśli nawet nie wierzyliśmy w potwora, to wierzyliśmy, że teren jest zaminowany. Cokolwiek tam było, oznaczało, że należy trzymać się od tego miejsca z daleka. – Przerwała i obrzuciła mnie spojrzeniem. – No i proszę, co tu mamy. Nic, tylko kolejne kłamstwa.

Zapadła długa cisza.

– Bill zrobił coś strasznego – odezwała się w końcu Carla.

Pokiwałem głową. Nie znajdowałem słów, jakimi mógłbym ją pocieszyć. Niczego, co mogłoby osłodzić gorzką prawdę o tym, co jej mąż, Kilburn, Jessop i Dell zrobili tu w 1987 roku.

– Czułam, że Bill wpakował się w coś bardzo złego. W końcu się domyśliłam. – Znów otarła sobie usta i na chwilę umilkła. – Potem, jakiś tydzień temu, zyskałam już pewność, bo znów podsłuchiłam jego rozmowę telefoniczną.

– I co powiedział?

– Wymienił nazwisko Raker – odparła. – Mówił o jakimś Rakerze.

– Wiedziała pani, że płynę na wyspy?

– Gdy usłyszałam, co o panu mówi i czym się pan zajmuje, mogłam mieć tylko nadzieję, że to prawda.

Spojrzała na bladą twarz Della w wieczornym półmroku, po czym zaczęła grzebać w kieszeni płaszcza i wyjęła z niej złożoną na czworo kartkę A4.

– Proszę. – Wyciągnęła ku mnie rękę.

– Co to jest?

– Bill wyszedł dziś rano z domu, zanim się obudziłam.

Wziąłem od niej kartkę i rozłożyłem. Zawierała odręcznie naszkicowaną mapkę Otchłani z zaznaczonym stawem i lokalizacją chaty.

– Zostawił mi to przy łóżku – dodała.

Pod mapką znajdował się szkic wnętrza chaty z zaznaczonymi wszystkimi pokojami, gankiem i werandą oraz poletkiem za domem, z sześcioma grobami. Pod czterema wpisał nazwiska, pod dwoma zamiast nazwisk napisał tylko: *Kobieta, lat 20–30*. Nie wiedziałem, czy Presley nie pamiętał nazwisk tych kobiet, czy też może nigdy ich nie poznał. I nie wiedziałem, co byłoby gorsze. A potem moją uwagę zwróciło coś jeszcze.

Czwarty pokój, z wejściem z werandy, był zaznaczony dużym X.

– Chodźmy sprawdzić – zwróciłem się do Carli i poprowadziłem ją do tylnych drzwi.

Siarczysty chłód na dworze uderzył w nas jak obuchem. Popatrzyłem na Della – szcząkał zębami i był śmiertelnie blady – i na poletko, na którym część krzyży już leżała, przewrócona przez wiatr. Sięgnąłem do kieszeni po klucz, który Presley dał mi w kąpielisku. Początkowo myślałem, że to klucz do frontowych lub tylnych drzwi chaty.

Spojrzałem na te przy końcu werandy.

To był klucz do jedyne go pomieszczenia, w którym jeszcze nie byłem.

78

Uchyliłem ostrożnie drzwi.

Pod ścianą stało wąskie jednoosobowe łóżko z przetartym materacem i kawałkiem sznura przywiązany do zagłówka. Przez chwilę patrzyłem na sznur, po czym przeniosłem wzrok na przeciwległą ścianę. Nie więcej niż półtora metra od nóg łóżka stała komoda z szufladami. Powietrze było przesycone zapachem pleśni. Podeszedłem do komody i kolejno otworzyłem szuflady. Wszystkie były puste.

Jedynym sprzętem, poza łóżkiem i komodą, był telewizor z wbudowanym wideo, umieszczony na stoliku w rogu pokoju, pokryty grubą warstwą kurzu. W chacie nie było prądu i telewizor podłączono do generatora na ropę, który stał pod stolikiem i oplatała go taka sieć pajęczyn, że prawie nie było go widać.

Zerknąłem przez ramię na Carlę. Stała w drzwiach, ściskając w dłoni naszkicowaną mapkę, i wodziła spojrzeniem po wnętrzu – telewizorze, łóżku, sznurze i komodzie, na której zatrzymała wzrok.

Był tam magnetofon kasetowy i jedna kasetka.

Wziąłem do ręki kasetę i popatrzyłem na szpulki. Nagranie zajmowało mniej więcej dwie trzecie taśmy. Otworzyłem kieszeń w magnetofonie i raz jeszcze spojrzałem na Carlę. Nie wiedziałem, co tam jest nagrane, i nie

byłem pewny, czy powinna tego słuchać. Włożyłem kasetę, zamknąłem kieszeń i ostrożnie wcisnąłem klawisz Play.

„...spod kontroli. Kompletnie spod kontroli”.

Głos Billa Presleya.

Mówił cicho. W pokoju słysząc było tylko szum przesuwanej się taśmy, zawrozcenie wiatru i skrzywienie desek podłogi pod ciężarem Carli, która na dźwięk głosu męża podeszła bliżej. Szybko się okazało, co to za nagranie: opowieść o tamtej nocy w 1987 roku. Jak to się stało, że wystrzelono tyle pocisków, które utkwiły w ścianach. I że tyle osób trafiło do grobów na poletku. Wcześniej się myliłem: uznawałem kwiaty i krzyże za ostatni akt w życiu winowajcy. Jednak to nie był ostatni akt.

„Przyszedł tu Caleb Beck – mówił Presley i w jego głosie słyszało się łzy, echo trzydziestu lat sekretów i wyrzutów sumienia. Lekko bełkotał. – Dostał pierdolca ze złości. Był na stoku oglądać gwiazdy i nas zauważył albo usłyszał, w każdym razie wpadł jak burza do chaty. – Słysząc było, jak Presley przełyka ślinę, zaczyna mówić i znów przełyka. – Jeszcze teraz słyszę jego wrzaski: «Co się tu, kurwa, dzieje?! Co wy tu, do kurwy nędzy, wyprawiacie?! To moja własność!». Miał rację. To było jego, a myśmy to niszczyli, plugawili. Wóda, pokerowe sztony, potłuczone szkło, rzygowiny. I te wszystkie kobiety. Na stołach leżały sterty zioła, a my wszyscy byliśmy albo urznięci, albo naćpani”.

Głos na taśmie ucichł. Spojrzałem na Carłę.

Ocierała oczy.

Po chwili Presley podjął swoją spowiedź:

„Roland był w pokoju z Torres. Nie znaliśmy nazwisk większości kobiet, ale jej nazwisko znaliśmy. Kiedy Beck wpadł do chaty i zaczął wrzeszczeć, Roland go usłyszał i wyskoczył z pokoju. Ledwo zdążył wciągnąć pieprzone gacie. – Presleyowi coś zabulgotało w gardle, jakby

mówił: kiedy indziej byłoby to śmieszne. – Beck od razu zabrał się do bitki, dojrzał Rolanda i bez namysłu się na niego rzucił. Wiedział, że to Roland jest naszym przywódcą, bo to już taki typ człowieka. Złapał go i mówi: «Powiem wszystko twojemu ojcu. To obrzydliwe, co tu robicie. To oburzające»”.

Presley zamilkł i w głośniku rozległ się dźwięk wyjmowania korka, po czym nastąpił gulgot nalewanego płynu i brzęk odstawianej butelki.

„Roland niewielu rzeczy się bał – ciągnął Presley – ale swojego starego bał się jak ognia. Nie tego, że ojciec sprawi mu lanie, tylko że się na niego wścieknie. On i jego stary byli jak dwa ziarnka groszku w jednym strąku. Dokładnie tacy sami, ale łączyły ich dziwne relacje. Bardzo sztywne i oficjalne, a Roland zawsze nadawał na ojca. Mówił, że stary jest do niczego, tonie w długach, jest głupim nieudacznikiem, idiotą, łajzą, tego typu rzeczy. A jednocześnie wciąż zabiegał o jego akceptację, aż do jego śmierci w dziewięćdziesiątym drugim. Więc Beck, grożąc, że powie staremu Dellowi, co wyprawiamy w chacie, wcisnął odpowiedni przycisk. Wiedział dobrze, że ze wszystkiego, czym mógłby zagrozić Rolandowi, a nie było tego dużo, to najbardziej do niego trafi. Oczywiście Beck nie mógł wiedzieć, że Roland zdążył jeszcze bardziej narazić się staremu: znalazł jego notes, a w nim telefon i adres Seliny Torres. Zadzwoił do niej i namówił ją, żeby zabrała cztery koleżanki i przyleciała z nimi na wyspy. Obiecał opłacić im przelot, pokryć wszystkie koszty i dać każdej po dwa kawałki. A najgorsze było to, że forszę na to zabrał z sejfu ojca, praktycznie ostatnie pieniądze starego”.

Na taśmie zapadło milczenie jak cisza przed burzą.

„Wszystko stało się tak szybko. – Słysząc było, jak Presley raz i drugi pociąga ze szklanki. Odchrząknął, w przerwach między słowami wzmagał się szum taśmy. – Roland wyciągnął spluwę. Nie wiem, skąd ją wziął, bo

nie był miłośnikiem strzelania, ale nagle pojawiła się w jego ręce. Beck chyba nie sądził, że strzeli. Właściwie żaden z nas tak nie myślał, ale w pokoju czuć było napięcie i powietrze jakby się zmieniło. Roland wymierzył broń w Becka”.

Spojrzałem na Carlę, a ona na mnie.

„Beck spróbował mu ją wyrwać”.

Znów skierowałem wzrok na magnetofon.

„I spluwa wypaliła mu prosto w twarz”.

Presleyowi załamał się głos, jakby wciąż nie wierzył we własne słowa, nie mógł się pogodzić z obrazem wypalonym na dnie jego oczu. Na taśmie słychać było, że się poruszył, a gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał bliżej, zniekształcony nie tylko bliskością mikrofonu, ale także świadomością Presleya, co ma do powiedzenia.

„Rozległy się krzyki. – Jego cichy głos jakby dochodził zza ściany. – Krzyki i łomot przewracanych mebli, wóda i prochy były wszędzie. Dziewczyny zaczęły histeryzować i kryć się po kątach. Ja zresztą też. Nie wstydzę się do tego przyznać. – Gulgot towarzyszący nalewaniu kolejnego drinka. – I wtedy jedna z dziewczyn... na imię miała chyba Calista... chwyciła swoje ciuchy z kanapy i rzuciła się do tylnego wyjścia z chaty. W tym momencie Roland był już w szoku. Pamiętam, jak patrzył na swoją spluwę, jakby nie wiedział, co trzyma i do czego to służy. U jego stóp leżał martwy Beck, wszędzie było pełno krwi”.

Taśma furknęła, syknęła i poszła dalej.

„Wtedy Jack i Anthony też wyjęli swoje spluwy”.

Kolejne siorbnięcie.

„Byli synami farmerów. Wszyscy jesteśmy tu farmerami albo myśliwymi, albo rybakami. Nie robimy w bankowości ani turystyce. Mieszkamy na końcu świata i dookoła jest tylko ocean i pustka. To ostatnia

dzicz na świecie. Wcześniej też byliśmy tylko farmerami, myśliwymi i rybakami”.

Kolejne siorbnięcie.

„Jack i Anthony machali spluwami i gdy tylko ta Calista otworzyła tylne drzwi, trach! Jack wpakował jej kulkę w plecy. Nie wiem, co sobie myślał, może to, że jak którejś uda się uciec, to wszystkich nas zapuszczają. A może wcale nie myślał, może w tym był cały problem. W każdym razie ona upadła na werandzie, krew pociekła między deski. Inne dziewczyny się rozbiegły”.

Znowu siorbnięcie i zaraz potem następne.

„Trach, trach, Anthony załatwił drugą i trzecią. Trach, trach, trach, Roland strzelił do Torres w chwili, gdy wyszła z sypialni. Zaczął walić kulami po całym pokoju, bo strzelec z niego do dupy, ale wtedy on i Jack dostali już takiej adrenaliny, że było im wszystko jedno. W pewnej chwili skierowali spluwy w moją stronę, bo ostatnia z dziewczyn siedziała obok mnie i prawie dusiła się od płaczu. Niemal czułem, jak jej serce wyrywa się z piersi, chociaż siedziałem prawie pół metra od niej. Jack rusza w naszą stronę i dziewczyna już wie, co się zaraz stanie, łapie mnie za rękę i po hiszpańsku zaczyna błagać o życie, a ja... ja tylko... ja...”

Tym razem zamiast siorbnięcia rozległ się zduszony szloch. Zerknąłem na Carlę i zobaczyłem, że ona też cicho płacze, wpatrując się w magnetofon. Za nią, w szybko zapadającym zmroku, ledwo było widać zarys zbrocza. Pomyślałem o zostawionym bez nadzoru Dellu, ale gdyby nawet jakimś cudem udało mu się pozbierać, nie miałyby to większego znaczenia. Miał pęknięte żebra, z trudem mógłby się wyprostować i oddychać. Daleko nie zajdzie.

Przyszedł na niego koniec.

„Widziałem, jak światło gaśnie w jej oczach – mówił Presley, a jego bełkotliwy głos coraz trudniej było zrozumieć. – Zastrzelili ją, kiedy wciąż jeszcze błagalnie patrzyła na mnie. Cały byłem umazany jej krwią, na twarz padły mi drobiny jej mózgu i już to byłoby wystarczająco straszne. Ale do dziś, kładąc się spać, widzę jej oczy. Budzę się i też je widzę. Za rok minie trzydzieści lat od wydarzeń tamtej nocy, a nie przestają mnie nękać. I wiecie, co mnie najbardziej boli? – Przerwał i po chwili usłyszeliśmy kolejne siorbnięcie. – Jedna z nich miała na imię Selina, inna Calista, a imienia tej nawet nie znam. Nigdy go nie poznałem”.

Presley znowu zamilkł, a ja nachyliłem się do magnetofonu. Cała chata aż jęczała w gwałtownych podmuchach wiatru, jakby ją też wzburzyły wspomnienia tamtej nocy.

„Ale to wszystko i tak nie było najgorsze z tego, co zrobiłem – podjął Presley zdławionym głosem. – Pomogłem im zakopać Becka i dziewczyny na łączce za chatą, a następnego dnia wszyscy czterej pojechaliśmy na farmę Becka sprawdzić, czy nie ma tam nic, co mogłoby nas połączyć z jego zniknięciem. Stałem i bez słowa patrzyłem, jak w domu Becka Roland znajduje pod podłogą torby pełne forsy, dosłownie wypakowane setkami tysięcy funtów. I nie powiedziałem słowa, gdy trzynaście lat później dostałem swoją część. I nie powiedziałem słowa, kiedy Jack wprowadził się do Fiony, która nic nie wiedziała o forsie skradzionej jej mężowi i nie miała pojęcia, co się z nim stało. A potem jeszcze pomogłem rozsiewać plotki o Otchłani i przyczyniłem się do szaleństwa ogarniającego to miasto. Ale i tak nie dlatego będę się smażył w piekle...”

Zamarłem, czekając na kolejne wyznanie.

„Carla, czuję się wobec ciebie tak strasznie winny”.

Tego się nie spodziewałem. Spojrzałem na jej zalaną łzami twarz i mocno ściągnięte czoło. Odwzajemniła spojrzenie i niepewnym głosem

bąknęła:

– Co? O czym on mówi? Dlaczego czuje się winny wobec...

„Wyszłaś w ostatniej chwili. Twoja siostra była chora, więc zostałam u niej na noc w St George... Nie wiedziałem, co mam zrobić”.

Poczułem, jak dławi mnie przerażenie.

„Związałem go”.

Słysząc było, jak wypija kolejny łyk.

„To najgorsze, co w życiu zrobiłem”.

Znów zaczął szlochać.

Taśma sunęła do przodu, z głośnika dobiegał szloch Presleya, a ja przeniosłem wzrok z Carli na łóżko i sznur przywiązany do kolumnienki.

„Związałem go”.

Popatrzyłem na telewizor z wideo. Marki Sharp, wyprodukowany w 1985 roku i jak wynikało z naklejonej etykiety, importowany z Anglii. Nachyliłem się nad generatorem, omiotłem go z pajęczyn, zmuszając do panicznej ucieczki całą chmurę insektów, i go włączyłem. Urządzenie zacharczało i zakasłało, jakby miało zaraz wyzionąć ducha, ale potem z wolna nabrało rozpędu i zaczęło miarowo pracować – i telewizor sam się uruchomił.

Nacisnąłem przycisk Eject na odtwarzaczu i urządzenie wypluło kasetę VHS z etykietą, na której drukowanymi literami było napisane: ODCINEK SPECJALNY – LIPIEC 1987. Taśma miała prawie trzydzieści lat, odtwarzacz wideo nawet więcej. Jedno i drugie było w chacie, gdy w sąsiednim pomieszczeniu popełniano morderstwa.

Nie, pomyślałem, tylko nie to.

Wsunąłem kasetę do odtwarzacza.

W rogu ekranu wyświetliła się mała ikonka wideo. Carla podeszła bliżej. Zrobiło się tak zimno, że para oddechów zbierała się na naszych

twarzach i nawet przenikała do ust. Po paru sekundach w magnetofonie coś pstryknęło, taśma stanęła i głos Presleya umilkł, za to na ekranie telewizora pojawił się obraz z odtwarzacza wideo.

Zaczęła się *Dziecięca godzina*.

Patrzyłem na znajomą czołówkę z masztem telewizyjnym, którą Richard tak dobrze zapamiętał i którą Naomi Russum starała się wymazać z jego pamięci. Carla przysunęła się jeszcze bliżej, gdy po czołówce pojawił się mężczyzna prowadzący program. Dźwięk był urywany i chrapliwy, ale zrozumiałą. Prezenter mówił, że dziś pokażą specjalny odcinek programu: półgodzinny film z wysp Empress.

Och, nie. Nie, niech to nie będzie to.

Zaczęła się czołówka filmu.

Proszę, niech to nie będzie to.

Nigdy nie widziałem tego filmu, ale gdy tylko skończyły się napisy i na ekranie ukazała się pierwsza scena, poczułem, że zbiera mi się na mdłości. Ośmio-, dziewięcioletni chłopiec wszedł do kuchni i zatrzymał się, by z patery wziąć banana – potem obraz zaczął skakać i uległ zniekształceniu.

Znów wróciłem pamięcią do tego, co Presley powiedział w kąpielisku. „Czytałem w sieci, że z dzieciństwa pamięta widok plaży z okna. I myślą, że to może być jego rodzinny dom. Nie jest. Jako dziecko nie mieszkał przy plaży. Powiedz mu, że go przepraszam”.

Obraz przestał skakać i ponownie skierowałem uwagę na ekran. Chłopiec stanął przy kuchennym oknie i obierając banana, wyjrzał na dwór. Przypomniałem sobie, jak Richard mówił, że banany są jednym z jego łączników. Że podświadomie wiedział, że je bardzo lubi, zanim miał okazję ich spróbować.

Na filmie kamera ujmuje chłopca od tyłu, ukazuje się zarys jego głowy i widok za oknem. Tuż przed domem ciągnie się gładki trawnik, dalej widać

białą plażę i zatokę.

Znałem ten obraz ze wspomnień Richarda.

Okno. Plaża. Zatoka.

Nie dorastał w takim miejscu. Pamiętał je z filmu, który oglądał w kółko tamtej nocy w 1987 roku. Bo Carla w ostatniej chwili zmieniła plany i pojechała odwiedzić chorą siostrę, a Presley nie wiedział, co zrobić. Obiecał, że przyjdzie do chaty, i nie mógł się z tego wycofać.

Zabrał więc ze sobą czteroletniego Richarda.

Zamknął go w pokoju i puścił mu film na wideo.

I przywiązał go do łóżka, żeby nie mógł wyjść.

79

Przesłuchania ciągnęły się pięć dni.

Siedziałem w ciasnej klitce, przerobionej z owczarni na jednym ze stoków Sophii, i odpowiadałem na pytania policjantów, podwładnych Billa Presleya. Większość z nich nadal była w szoku; nie potrafili pogodzić mojej relacji o wydarzeniach w chacie nad stawem – w której żaden z nich nigdy nie był, ani nawet nie wiedział o jej istnieniu – z wizerunkiem człowieka, z którym od lat pracowali.

Wszyscy byli zgodni co do tego, że Presley nadużywał alkoholu, ale w miejscu, gdzie czasami tylko butelka niosła pocieszenie, takie postępowanie nie było uważane za szczególnie naganne, a już na pewno nie świadczyło o moralności człowieka. Presley służył w policji od trzydziestu lat, był sympatyczny i towarzyski i troszczył się o swą niepełnosprawną żonę, co zaskarbiło mu dużo sympatii i uznania. Gdy zaczęto o nim mówić, mieszkańcy – w tym nawet policjanci znający szczegóły tamtych wydarzeń – nadal go bronili i dopiero przyjazd ekipy śledczej z Anglii, którą przysłano na prośbę gubernatora wysp Empress, by przeprowadziła niezależne śledztwo, sprawił, że stosunek do Presleya stopniowo zaczął się zmieniać.

Cała trójka angielskich śledczych pracowała w Policji Metropolitalnej; wszyscy usiedli ze mną w jednym pokoiku i wysłuchali mojej relacji o tym,

co się wydarzyło, kiedy zacząłem się dokopywać do wspomnień Richarda Presleya. Powiedziałem im właściwie wszystko – zataiłem tylko szczegóły śmierci Marka. Gdy doszliśmy do tej sprawy, oświadczyłem, że nie mam pojęcia, co się z nim stało, i że od chwili, gdy Beth zamknęła go w biurze ochrony statku, więcej go nie widziałem. Byłem pewny, że śledczy słyszeli o mnie, o moich utarczkach z policją w Anglii i o wrogach, których mimo woli tam sobie narobiłem, ale żadne z nich o tym nie napomknęło ani nie próbowało wykorzystać tego przeciwko mnie. Jedyna nasza scysja nastąpiła w trakcie rozmowy o Otchłani.

Ludzi w mieście jakby замуrowało po wydarzeniach nad stawem i nikt nie chciał o tym mówić. Twierdzili, że nigdy nie słyszeli żadnych pogłosek, lub marszcząc czoła, odmawiali jakichkolwiek komentarzy. Trudno było ocenić, czy wynika to ze wstydu i złości, że przez tyle lat dawali się wodzić za nos, czy też z tego, że opowieści o potworze w Otchłani tak głęboko w nich siedziały, że w głębi duszy nadal w nie wierzyli.

– Naprawdę myśleli, że tam grasuje jakiś potwór? – spytała jedna ze śledczych.

Cała trójka reagowała tak samo. Siedzieli z półuśmieszkami na twarzach, nie mogąc uwierzyć, że tak wielu mieszkańców dało się nabrać na tę historię. Ale łatwo im było się dziwić. Zjawili się na samym końcu, kiedy prawda leżała już w grobach na zaśnieżonym poletku nad stawem.

Ja przyjechałem tu wcześniej i choć próbowałem temu zaprzeczać, to kiedy znalazłem się w zasnutych mgłą górach, wystarczyło ledwie mignięcie czegoś dziwnego, by zachwiały się fundamenty mojego racjonalnego myślenia. Tak jak powiedział Dell, była to karciana sztuczka. Czysta iluzja.

A iluzja nie musi być prawdziwa, wystarczy, by była dość przekonująca.

. . .

Między kolejnymi przesłuchaniami, w chwilach samotności, gdy w bezsenne noce, gapiąc się w mrok, leżałem na łóżku w moim pokoju w pensjonacie, nie mogłem uwolnić się od myśli o pokoiku w chacie nad stawem. O kasecie VHS w odtwarzaczu. O sznurze. O czteroletnim chłopcu przywiązany do łóżka za nogę lub rękę i zmuszonym do oglądania w kółko jednego programu, podczas gdy jego ojciec zabawiał się w sąsiednim pomieszczeniu. Chłopiec musiał słyszeć strzały i krzyki kobiet. Musiał słyszeć kroki na werandzie. Ale jeśli Richard nawet próbował potem opowiedzieć coś matce lub komuś, kto zechciał go słuchać, jego opowieści musiały być uznane za wymysły i przejaw rozbuchanej dziecięcej wyobraźni.

Na taśmie Presleya nie było ani słowa o tym, co działo się z Richardem po tamtej nocy w chacie, a Carla nie pamiętała, by syn kiedykolwiek jej się skarżył, że ojciec przywiązał go do łóżka lub że słyszał strzały i krzyki z sąsiedniego pokoju. W wieku czterech lat był za mały, by złożyć w logiczną całość poszczególne dźwięki, nawet jeśli przywiązanie do łóżka wzbudziło w nim sprzeciw, mimo wysiłków ojca, by złagodzić mu to przeżycie. Wiedział tyle, że tata zwykle tego nie robi – we wszystkich opowieściach, łącznie z relacjami Carli, Bill jawił się jako czuły ojciec, bezwarunkowo kochający syna – więc gdyby Richard nawet coś o tym wspomniał po powrocie do domu, nikt nie zwróciłby na to większej uwagi.

Ale nie zrobił tego, a w każdym razie nikt tego nie pamiętał. Anthony Jessop od dawna nie żył, Kilburn był w kostnicy. Poza Carlą Roland Dell był jedynym żyjącym, który mógłby to pamiętać, ale gdy spytałem śledczych, czy w swoich zeznaniach wspomniał coś o czteroletnim Richardzie, odrzekli, że nie. Pamiętał, że tamtej nocy Presley przyprowadził ze sobą swoje dziecko, ale śledczy szybko przeszli do ważniejszych spraw:

sześciu ciał na poletku za chatą, kradzieży blisko dziewięciuset tysięcy funtów z torby Caleba Becka i zamordowania Penny Beck przez Alexandra Marka. Wypytywali też Della o Naomi Russum, bo okazało się, że na początku lat dwutysięcznych łączyły ich intymne relacje i że pożyczyła od Della pieniądze – te, które ukradł Beckowi – na rozruch swojej kliniki. Russum nie chciała oszukiwać Richarda, to od początku było jasne, uległa jednak presji i karmiła Richarda kłamstwami, które podsuwał jej Dell.

Rozumiałem, dlaczego dla policji te sprawy są ważniejsze.

Rozumiałem też, że mają kluczowe znaczenie dla całości sprawy.

Ale nie potrafiłem przestać myśleć o czterolatku przywiązany sznurem do łóżka. O wspomnieniu plaży, które stało się punktem zaczepienia dla jego przyszłego życia. O jego przeświadczeniu, że widział tę plażę z okna swego rodzinnego domu.

Było to dla niego wspomnienie, na którym próbował coś budować; sposób na odzyskanie dawnego życia, które tak rozpaczliwie chciał odzyskać. Ale jak się okazało, człowiek, który najboleśniej go zdradził, jego własny ojciec, był jedynym, który powiedział prawdę.

Więc może lepiej, że tego nie pamiętał.

I może zaangażowanie się w tę sprawę i wejście aż tak głęboko do króliczej nory, że wychynałem z niej na końcu świata, było wyczerpujące, ale gdy tak leżałem w ciemnościach, myśląc o tym nieszczęsnym chłopcu, chciało mi się płakać. I chciało mi się płakać na myśl o Penny i Beth, przywiązanych w nocy do płotu.

Bo wszyscy kiedyś byliśmy dziećmi.

I wszyscy ufaliśmy ludziom, którzy nas kochali.

80

Gdy cztery dni po odpłynięciu z wysp *Empress Olympia* rzuciła kotwicę w Buenos Aires, czekała tam na nią argentyńska policja i jeden z angielskich śledczych. Weszli na pokład i znaleźli Beth Kilburn zamkniętą w pokoju przesłuchań, gdzie trzymano ją niemal przez całą drogę z wysp. Znaleziono też członków ochrony statku, którzy byli na usługach Rolanda Della od czasu, gdy w styczniu Marek, szukając Beth, wszedł na pokład i ich przekupił.

Beth wróciła na wyspy, ale jedynie na czas śledztwa. Złamała postanowienie, że nigdy tam nie wróci, choć przyjechała tylko na krótko. Tydzień po tym, jak skończyły się przesłuchania, spakowała manatki i odleciała do Kapsztadu. Trzydzieści sześć godzin później wylądowała w Anglii.

Początkowo się nią zaopiekowałem i pozwoliłem jej zamieszkać w moim pokoju gościnnym, ale szybko znalazła sobie pracę w miejscowym supermarkecie i wynajęła coś razem z koleżanką. Krótco po przyjeździe spotkała się z Richardem, lecz ich spotkanie przebiegło w dziwnej i dość sztucznej atmosferze. Później Beth powiedziała mi, że nie jest pewna, czy się jeszcze zobaczą. Było mi przykro, że ich związek – nie z ich winy – rozleciał się i już pewnie nigdy nie uda się go scalić, a zrobiło mi się

jeszcze smutniej, gdy pewnego dnia Beth z płaczem wyznała mi, że tak strasznie tęskni za Penny.

Ująłem jej dłonie, nic nie mówiąc, bo cokolwiek bym powiedział, nie miałyby sensu.

Potem jednak coś się zmieniło.

Pewnego słonecznego dnia w grudniu spotkałem się z Jacobem Howsonem w kafejce nieopodal szkoły Red Tree. Pogadaliśmy o jego ukrywaniu się na południu kraju, o śledztwie prowadzonym w szkole i o Rolandzie Dellu, który do końca życia nie wyściubi nosa zza krat. Howsona nadal dręczyło poczucie winy za śmierć Penny i swoją bezczynność.

Policja przesłuchiwała go jako partnera Penny i nie postawiono mu zarzutów, a Howson szukał u mnie potwierdzenia, że to dobrze rokuje. Widziałem jednak w jego oczach strach, że prędzej czy później oskarżą go o celowe ukrywanie informacji.

Może właśnie dlatego jeszcze raz dokładnie przeszukał całe mieszkanie, rozkręcając meble, zaglądając do wszystkich książek, pod materace i do szaf. Chciał się upewnić, że nie przeoczył żadnych śladów. Tu też kierowało nim poczucie winy, że zdradził Penny, i nadzieja, że natknie się gdzieś na dowód jej przebaczenia.

I go znalazł, tyle że nie dotyczyło to jego.

– Znalazłem to – powiedział, wręczając mi złożoną kartkę.

Był to list, napisany odręcznie tydzień przed zniknięciem Penny. Pismo było nierówne i rozchwiane, niektóre słowa skreślone, inne nieczytelne. List sprawiał wrażenie, jakby pisząc go, Penny wiedziała, że stanie się coś niedobrego. Wdarła się do biura ochrony Red Tree, poznała prawdę i czuła, że obręcz wokół niej się zaciska.

Wiedząc, co wydarzyło się później, z ciężkim sercem zacząłem czytać list. Gdy doczytałem go do końca, trudno mi było opanować emocje, tak jak podczas bezsennych nocy w pensjonacie w Sophii.

– Mogę go zatrzymać? – spytałem.

– Tak – odparł Howson, widząc, jak bardzo jestem poruszony. – Oczywiście, że możesz.

Następnego dnia umówiłem się z Beth w naszym stałym miejscu, w kawiarni znajdującej się między moim domem a jej supermarketem, i wręczyłem jej list. Wzięła go, rozpoznała pismo Penny i łzy napłynęły jej do oczu. W ciągu krótkiego czasu, kiedy miałem ten list u siebie, przeczytałem go kilkanaście razy i wcale się nie dziwiłem jej wzruszeniu.

Beth!

To, co powiedziałyśmy sobie na koniec, nie ma znaczenia. To były tylko słowa. Nigdy nie były dla mnie ważne, bo wiedziałam, że są nieprawdziwe, więc dla Ciebie też nie powinny nic znaczyć. To, jak się zachowałyśmy i co mówiłyśmy przed moim wyjazdem, w ogóle się nie liczy. Nie takie byłyśmy zawsze wobec siebie. Więc się tym nie przejmuj. Cokolwiek się dalej stanie, nie wolno Ci się tym przejmować.

Nie ma czego wybaczać, bo nigdy nie zrobiłaś nic złego. Żadna z nas nie zrobiła.

Byłyśmy niewinne.

Byłyśmy dziećmi.

Dlatego gdziekolwiek będę w chwili, gdy to przeczytasz, pamiętaj o jednym: byłaś moją siostrą i zawsze nią będziesz, a ja nigdy nie przestanę Cię kochać.

Penny x

81

W dniu mojego odlotu z wysp Empress do domu – miesiąc przed znalezieniem listu Penny do Beth – ostatni ranek w Sophii spędziłem na telefonicznej rozmowie z Richardem Presleyem, starając się wypełnić jak najwięcej białych plam w jego pamięci. Słuchał spokojnie i tylko od czasu do czasu zadawał jakieś pytanie, a na koniec westchnął, jakby nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Jak tam jest? – zapytał.

– Na wyspach Empress? – Siedziałem na schodkach przed wejściem na posterunek policji w Sophii. Góry nad miastem znów tonęły we mgle. Było wilgotno, zimno i szaro. Patrzyłem na blaszane dachy i niechlujną zabudowę, wsłuchując się w panującą ciszę. – To wersja Wielkiej Brytanii, której w ogóle nie znam – powiedziałem.

Chwilę milczał.

– No to podoba ci się tam?

Powinienem skłamać i powiedzieć, że tak, w razie gdyby zamierzał tu wrócić i od nowa podjąć życie na wyspach, ale nie mogłem się przemóc. Już dość mu nakłamanano.

– Nie – odparłem. – Cieszę się, że wracam do domu.

Nie mówiłem mu nic o nocy w chacie nad stawem, by nie rujnować jego wspomnienia: tego, co rzekomo widział w dzieciństwie z okna

swojego rodzinnego domu. Nie dlatego, że się bałem – choć na myśl o tym czułem się nieswojo – ale dlatego, że poprosiła mnie o to Carla. Po naszym powrocie z Otchłani oświadczyła, że chciałaby sama opowiedzieć mu o tej nocy.

Razem ze mną wysłuchiwała nagranej spowiedzi męża i wiedziała, co się wydarzyło, a to, co pozostawało dla niej niejasne, wyjaśniłem jej w ciągu kilku następnych godzin, ale nie byłem zachwycony jej decyzją. Wierzyłem, że potrafi opowiedzieć to Richardowi w maksymalnie delikatny sposób. W końcu jako jego matka znała go lepiej niż ktokolwiek inny. Tylko że w tym właśnie tkwił problem: dzisiejszy Richard Presley nie przypominał już tego Richarda, który opuścił wyspy niemal rok temu. Nie był tym samym człowiekiem, którego matką była Carla przez trzydzieści trzy lata. Nie znał jej i nie pamiętał, by kiedyś ją widział, dlatego zastanawiałem się, czy tak dramatycznych informacji nie powinien przekazać mu ktoś taki jak pastor Parsons. Richard ufał mu i wytworzył się między nimi bliski związek. Parsons opiekował się nim przez pierwsze miesiące po tym, jak znaleziono go na brzegu Southampton Water, kiedy zainteresowanie mediów zaczęło słabnąć. Z braku przyjaciół i rodziny Parsons stał się dla Richarda kimś w rodzaju ojca.

Napomknąłem Carli o pomysśle z pastorem, ale zbytnio nie naciskałem, bo to w końcu nie była moja sprawa. Okazało się jednak, że już po jednej rozmowie telefonicznej z Richardem Carla dostrzegła sensowność mojego pomysłu. Słuchałem, jak rozmawia z synem po raz pierwszy od dwóch lat, i widziałem, że zaczyna mnie rozumieć. Głos Richarda był taki sam, podobnie jak jego akcent i sposób wyrażania się, ale to nie był syn, jakiego pamiętała. Nie w pełni.

Przedstawiłem Richarda Carli przez telefon, ona powiedziała „Halo”, po czym oboje zamilkli, nie bardzo wiedząc, co mówić dalej. Próbowałem

wypełniać luki i zbliżać ich do siebie, aż w końcu coś zaskoczyło i zaczęli rozmawiać. Carla opowiedziała synowi, jaki był jako dziecko i nastolatek, a potem wspomniała o jego ojcu i nagle zamilkła.

– Mój tata też tam jest? – spytał Richard.

Popatrzyłem na Carłę.

– Nie – odparła, odwzajemniając spojrzenie. Do oczu nabiegły jej łzy. – Nie, nie ma go tutaj, kochanie. Twój tata... – Znów umilkła. – Twój tata... on... on...

– On nie żyje – wtrąciłem.

– Aha.

Tylko zwykłe „Aha”, w którym nie było cienia smutku. Nie znał ojca i nie mógł go żałować.

I to zaważyło na decyzji Carli. Zrozumiała, że jeśli to nawet ona wyjawi Richardowi całą prawdę, może lepiej, aby pastor Parsons też przy tym był.

Miesiąc później zorganizowałem to spotkanie.

Carla przyleciała do Anglii i spotkaliśmy się z nią – wielbny Parsons, Richard i ja – w kościele w Dorset. Usiedliśmy w salce, w której Richard i ja odbyliśmy naszą pierwszą rozmowę, i Carla opowiedziała synowi wszystko: kim jest, skąd się wywodzi, co lubił robić jako dziecko i kim się stał, gdy dorósł. Powiedziała mu prawdę o ojcu i choć wiedziałem, że wysłuchanie spowiedzi męża bardzo ją zraniło, w swojej relacji zachowała wobec niego obiektywizm.

Na początku rozmowa była dość sztywna i często się rwała, a ja siedziałem z boku i nie wtrącałem się. Parsons okazał się doskonałym spoiwem. Podrzucał tematy i splatał różne wątki, co potwierdzało, że decyzja, aby go w to włączyć, była słuszna. Po pewnym czasie atmosfera się rozluźniła, w rozmowie pojawiły się żarciki i zabawne komentarze,

a gdy Carla zaczęła opowiadać o dzieciństwie Richarda, znalazła się w swoim żywiole.

– Mieliliśmy labradora, Wolfa – powiedziała w pewnej chwili. – Co zabawne, był to największy pieszczoł na świecie, a nie żaden zły wilk. Bardzo go kochałeś.

– Chodziłem z nim na spacer?

– Bez przerwy – potwierdziła z uśmiechem. – Ciągle. – Trzymała dłoń płasko na stole i czułem, że bardzo chciałaby położyć ją na dłoni syna, ale tego nie zrobiła. – Ten pies dawał ci bardzo dużo radości.

– Spał ze mną w łóżku?

– Jak mu pozwoliliśmy. – Uśmiechnęła się. – Miałeś takiego starego Action Mana bez jednej ręki. Domalowałeś mu flamastrem brodę. Chowaleś go w różnych miejscach w ogrodzie i kazałeś Wolfowi go szukać. – Znów się uśmiechnęła, ale tym razem z odrobiną smutku. – Kiedy Wolfa akurat nie było, kazałeś to robić tacie. Dosłownie kazałeś mu chodzić na czworakach i szczekać, a on to robił. Siadałeś mu na plecach, a on cię woził. Robił wszystko, o co go prosiłeś. Byliście jak... – Głos jej zamarł, podniosła rękę ze stołu i otarła oko. – Tatuś bardzo cię kochał, i tyle – powiedziała cicho. – Oboje bardzo cię kochaliśmy.

Coś ścisnęło ją w gardle i chwilę trwało, nim się opanowała. A potem zaczęła dalej mówić o ich życiu jako kochającej się rodziny, o tym, co Richard lubił, a czego nie.

Jej opowieść była miła, sympatyczna i często nudnawa.

Pełna szacunku, łagodności i monotonii.

Ale jak na matkę usiłującą znaleźć sens w każdym drobiazgu z dawnego życia i odzyskać syna, którego tak długo miała za utraconego, jej wysiłki były całkiem udane.

Podziękowania

Napisanie powieści to tylko początek procesu wydawniczego i – tak jak zwykle – tej książki by nie było, gdyby nie pomoc wspaniałego zespołu Michaela Josepha. To grupa naprawdę najbardziej utalentowanych, twórczych i przesympatycznych ludzi, z jakimi kiedykolwiek pracowałem. Dziękuję wszystkim, którzy przyłożyli rękę do powstania tej książki, zarówno w dziale MJ, jak i w całym wydawnictwie Penguin.

Specjalne podziękowania kieruję do mojego poprzedniego wydawcy, Emada Akhtara – od dłuższego czasu przekonywał mnie, żebym napisał książkę, w której osoba zaginiona nie jest zaginiona fizycznie, tylko cierpi na zanik pamięci. Zabrzmi to teraz śmiesznie, ale wtedy po prostu nie umiałem sobie wyobrazić, jak na tym błahym pomysłe można by oprzeć całą powieść, i wciąż odmawiałem. Dlatego jestem mu niezmiernie wdzięczny, nie tylko za jego upór, ale także za wszystko, co dla mnie zrobił w Penguinie, łącznie z pracą nad pierwszą wersją tego tekstu.

Wielkie słowa wdzięczności należą się też Maxine Hitchcock, która przejęła stery po odejściu Emada i włączyła się do pracy nad kolejnymi wersjami książki, ogromnie pomagając je ulepszać i służąc światłymi radami. Na koniec dziękuję Caroline Pretty, redaktorce wszystkich moich ośmiu książek, kobiecie o sokolim oku i niestrudzonej tropicielce bezsensownych błędów narracyjnych.

Moja agentka, Camilla Wray, jest moim oficjalnym Debeściakiem. Dosłownie nie ma dnia, żebym nie czuł głębokiej wdzięczności za jej rady, cierpliwość, umiejętność postępowania z moimi kryzysami twórczymi, zdarzającymi się w połowie pracy, oraz za jej opowiadki o psach i świnkach morskich. Jest świetną agentką literacką, uroczą osobą i fantastyczną przyjaciółką. Dziękuję także paniom z Darley Anderson, zwłaszcza Mary, Emmie i Kristinie z działu praw zagranicznych, Sheili z działu praw filmowych i telewizyjnych oraz Rosannie z bankowego skarbcza.

Mamie, tacie, Lucy i całej reszcie mojej wspaniałej rodziny serdeczne podziękowania za wszystko, co dla mnie robią. Dziękuję Erin, z której jestem taki dumny, i Sharlé, na którą spada cała gama moich emocji, od pierwszego do ostatniego słowa (i która zawsze udaje, że jej to nie przeszkadza) – bez was obojga nie dałbym sobie rady.

I na koniec składam najgorętsze podziękowania moim cudownym czytelnikom. Bez waszego wsparcia ta książka by nie powstała. Właściwie nie powstałaby żadna książka z Rakerem, a ja nie spędzałbym dni na obmyślaniu nowych, ekscytujących sposobów, jak mogą zniknąć ludzie.